

KAMELEON

**ZBÓJECKA
NARZECZONA**

Margaret Atwood

**Mistrzynie
prozy metafizycznej**



Margaret Atwood

**ZBÓJECKA
NARZECZONA**

Tłumaczył Wiesław Marcysiak



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału
THE ROBBER BRIDE

Copyright © by O.W. Toad Ltd., 1993
Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c.,
Poznań 1996

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce
Piotr Chojnacki

Redaktor serii
Tadeusz Zysk

Redaktor
Aldona Fabiś

ISBN 83-7150-092-0

Wydanie I

Zysk i S-ka
Wydawnictwo s.c.
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
fax 526-326

Dział handlowy tel./fax 532-751
Redakcja tel. 532-767

Skład i łamanie perfekt s.c.
Poznań, ul. Grodziska 11
Printed in Germany by Elsnerdruck-Berlin

*Graeme'owi i Jess, Ruth, Phoebe, Rosie i Annie
oraz nieobecnyim Przyjaciołom*

Grzechotnik, który nie kęsa, niczego nie uczy.

Jessamyn West

*Tylko to, co jest całkowicie utracone, wymaga ciągłego
nazywania: istnieje szaleństwo nazywania utraconej rzeczy,
aż sama powróci.*

Gunter Grass

Iluzja jest największą z przyjemności.

Oskar Wilde

Podziękowania

Chciałabym podziękować za pomoc następującym osobom: moim agentom Phoebe Larmore i Vivienne Schuster; moim redaktorom Ellen Seligman, Nan A. Talese i Liz Calder; Davidowi Kimmelowi za pomoc przy niektórych historycznych szczegółach; Barbarze Czarnecki, Judi Levita, Marly Rusoff, Sarah Beale i Claudii Hill–Norton; Joan Sheppard, Donyi Peroff i Sarah Cooper; Michaelowi Bradleyowi, Gary’emu Fosterowi, Kathy Mineoloff i Alison Parker; Rose Tomato. Dziękuję także Charlesowi i Julie Woodsworthom, Doris Heffron oraz Johnowi i Christine O’Keeffe.

The Face of Battle i *The Mask of Command* Johna Keegana były bardzo użyteczne w tworzeniu tła, podobnie *None Is Too Many* Irvinga Abelli i Harolda Trapera, *The War Against the Jews* Lucy S. Dawidowicz, a w opisie konkretnych bitew i wydarzeń – także *A.D. 1000* Richarda Erdoesa i *The Unknown South of France* Henry’ego i Margaret Reuss. Zamordowanie eksperta balistyki, Geralda Bulla, opisane jest w *Bull’s Eye* Jamesa Adamsa oraz w *Wilderness of Mirrors* Dale Grant.

Obraz ciała ludzkiego jako abażuru zapożyczyłam od Lenore Mendelson Atwood, „bezmóżdże” od E.J.A. Gibson. Biało-czerwone ślady stóp pochodzą z opowieści Earle Birney; incydent z sankami i mieszkanie pomalowane na czarno od Graeme’a Gibsona; ducha z suchego ryżu zasugerował epizod opowiedziany przez P.K. Page; obraz sukni z ciała pochodzi z wiersza Jamesa Reaneya *Doomsday, or the Red-Headed Woodpecker*; opowieść o bohaterskiej cioci, Niemce, częściowo zainspirował Thomas Karl Maria Schwarz; postać profesora, który nie pozwalał paniom pisać wypracowań o militariach, pochodzi z anegdoty Susan Crean.

„Zenia” wymawia się przez długie „i” (i); „Charis” przez „k”, jak w wyrazie „karma”. Teutonowie (II w. p.n.e.) nie są tożsami z Teutonami z X w. n.e.

Początek

1

Opowieść o Zeni powinna zacząć się tam, gdzie zaczęła się Zenia. Musiało to być gdzieś daleko i dawno, myśli Tony; w miejscu pokaleczonym i poplątanym. Zdjęcie z Europy, ręcznie retuszowane, w kolorze ochry, z zadymionym światłem słonecznym i mnogością krzewów, krzewów o grubych liściach i starych, poskręcanych korzeniach, z którymi poza zasięgiem wzroku – co sugeruje jedynie wystający but i bezwładna dłoń – dzieje się coś zwyczajnego, lecz zarazem przerażającego.

A może Tony pozostało tylko takie wrażenie. Tyle zostało zatarte, tyle zabandażowane, tyle rozmyślnie zagmatwane, że Tony sama już nie wie, która z relacji Zeni o sobie samej była prawdziwa. Teraz nie może zapytać, a nawet gdyby mogła, Zenia nie odpowiedziałaby albo by skłamała. Kłamałaby umiejętnie, ale zdradziłoby ją drżenie głosu, skrywany żal; albo kłamałaby z wahaniem, jakby podczas spowiedzi, a może z zimną, wyzywającą złością, a Tony wierzyłaby jej tak jak przedtem.

„Wybierz dowolną nitkę i odetnij, a historia rozplącze się”. Tak właśnie Tony zaczyna jeden ze swoich bardziej intrygujących wykładów, ten na temat dynamiki spontanicznych rzezi. Metafory odnoszą się do tkania, robótek na drutach lub do nożyc krawieckich. Lubi się nimi posługiwać; podoba jej się zdumienie na twarzach słuchaczy. Wywołuje je połączenie obrazu domu z rozlewem krwi; taki zestaw z pewnością doceniłaby Zenia, ona bowiem czerpała radość z niepokoju, z takich gwałtownych sprzeczności. Nawet więcej niż czerpała radość – stwarzała ją. Dlaczego? To jest ciągle niejasne.

Tony nie wie, dlaczego czuje przymus, by się tego dowiedzieć. Kogo obchodzi, dlaczego, po tak długim czasie? Katastrofa jest katastrofą; zabici pozostają zabitymi, gruz gruzem. Mówienie o przyczynach mija się z celem. Zenia to wątpliwy interes, należy ją zostawić w spokoju. Po co doszukiwać się jej motywów?

Zenia jednak stanowi także zagadkę, węzeł. Gdyby tylko Tony mogła znaleźć wolny koniec i pociągnąć, wiele spraw znalazłoby wyjaśnienie, dla wszystkich zainteresowanych, a także dla niej samej. Taką przynajmniej ma nadzieję. Jako historyk wierzy w zbawienną siłę wyjaśnień.

Problem tkwi w tym, gdzie zacząć, ponieważ nic się nie zaczyna tam, gdzie się zaczyna, i nic się nie kończy tam, gdzie się kończy, a wszyskiemu potrzebny jest wstęp: wstęp, postscriptum, wykaz jednoczesnych zdarzeń. Historia to budowla, jak mówi swoim studentom. Każdy punkt jest możliwym wejściem, a wszelki wybór jest arbitralny. Istnieją jednak określone momenty, momenty, które są dla nas odniesieniami, ponieważ burzą nasze poczucie ciągłości, zmieniają kierunek czasu. Możemy patrzeć na te momenty i mówić, że po tych zdarzeniach sprawy już nigdy nie są takie same. One określają nam początki, a także zakończenia. Narodziny i śmierci, na przykład, i śluby. I wojny.

To właśnie wojny interesują Tony, choć sama nosi kołnierzyki wykończone koronką. Ona lubi jednoznaczne rezultaty.

Tak samo było z Zenią, a może tylko Tony tak myślała. Teraz trudno to dokładnie określić.

A zatem mamy arbitralny wybór, określony moment: 23 października 1990 roku. Jest jasny, słoneczny dzień, ciepły wbrew porze roku. Wtorek. Blok sowiecki wali się w gruzy, stare mapy stają się nieaktualne, wschodnie plemiona znowu przechodzą przez ruchome granice. Nad Zatoką Perską zamieszki, rynek nieruchomości pada, w warstwie ozonowej powstała wielka dziura. Słońce przechodzi w znak Skorpiona, Tony je lunch w „Toxique” wraz z dwiema przyjaciółkami – Roz i Charis, znad jeziora Ontario powiewa lekka bryza, Zenia powraca z martwych.

„Toxique“

Tony

Tak jak zawsze Tony wstaje o wpół do siódmej. West śpi dalej, trochę pojękując. Prawdopodobnie krzyczy we śnie; dźwięki w snach są zawsze głośniejsze. Tony przygląda się jego twarzy we śnie, kanciastej zuchwie teraz złagodniejszej, nieziemsko błękitnym oczom pustelnika, delikatnie zamkniętym. Cieszy się, że on jeszcze żyje; kobiety żyją dłużej od mężczyzn. Oni mają słabe serca, czasem po prostu przewracają się i chociaż ona i West nie są starzy – zupełnie nie – to jednak często kobiety w jej wieku budzą się rano i znajdują obok siebie martwego mężczyznę. Tony nie uważa tej myśli za niezdrową.

Cieszy się też w bardziej ogólnym sensie. Cieszy się, że West jest w ogóle na tej ziemi i w tym domu, że co noc kładzie się spać obok niej, a nie gdzie indziej. Pomimo wszystko, pomimo Zeni, on jest tu nadal. To wydaje się cudem. Któręś dnia sama nie będzie w stanie w to uwierzyć.

Po cichu, tak aby go nie zbudzić, szuka okularów na nocnym stoliku i wyslizguje się z łóżka. Nakłada szlafrok, bawełniane skarpety, na nie podkolanówki z wełny i tak opatulone stopy upycha jeszcze w papucie. Zawsze ma zimne nogi, to oznaka niskiego ciśnienia. Papucie są w kształcie szopów, dawno temu dostała je w prezencie od Roz, a dlaczego, najlepiej wie sama Roz. Są dokładnie takie same jak te, które Roz w tamtym czasie dała swym ośmioletnim bliźniaczkom; mają nawet taki sam rozmiar. Teraz szopy są już nieco postrzępione, a jednemu brakuje oka, ale Tony nigdy nie potrafiła niczego wyrzucić.

Z opatulonymi stopami udaje się skrycie do pracowni na drugim końcu holu. Każdego ranka spędza tam godzinę; uważa, że dzięki temu koncentruje myśli. Pracownia wychodzi na wschodnią stronę, więc łapie trochę słońca, jeżeli akurat jest. Dzisiaj jest.

W pracowni są nowe zielone zasłony w palmy i egzotyczne owoce, do tego fotel z poduszkami z takim samym deseniem. Wzór pomogła jej wybrać Roz; namówiła ją do zapłacenia ceny, która była wyższa niż ta, na którą zdecydowałaby się Tony, gdyby była sama. „Słuchaj, kochanie – mówiła Roz. –

To jest okazja! A przede wszystkim to będzie znajdować się w miejscu, w którym myślisz! To twoje środowisko mentalne! Wyrzuć te nudne i stare niebieskie żagłówki! Jesteś to sobie winna”. Są takie dni, kiedy Tony jest pod wrażeniem powojów i pomarańczowego mango czy cokolwiek to jest, ale dekoracja wnętrza ją onieśmiela i nie może się oprzeć znawstwu Roz.

Swobodniej czuje się z pozostałymi elementami wystroju pracowni. Książki i gazety leżą poskładane w stopy na dywanie; na ścianie wisi reprodukcja *Bitwy pod Trafalgar* i jeszcze jedna – przedstawiająca Laurę Secord w nieprawdopodobnej bieli, prowadzącą swą mityczną krowę przez linie Amerykanów, by ostrzec Brytyjczyków w wojnie 1812 roku. Sterty wojennych pamiątek z zagiętymi rogami, zbiory listów i zbrązowiałe woluminy reportaży z frontu dawno zapomnianych dziennikarzy upchnięte są w oliwkowej biblioteczkę obok kilku egzemplarzy dwóch wydanych książek Tony: *Pięć zasadzek* i *Cztery przegrane procesy*. „Drobiazgowo przestudiowane szczegóły, odświeżająco nowa interpretacja” – chwałą recenzenci na okładkach książek. „Sensacyjność, zbyt rozbudowane dygresje, obsesyjne szczegóły” – oceniają recenzje nie zacytowane. Tony o swoich oczach i elfim nosie, o twarzy młodszej niż teraz, wybałusza oczy z tylnej strony okładki, marszcząc lekko brwi, by wyglądać jak osoba ważna.

Poza biurkiem ma w pracowni deskę kreślarską z wysokim obrotowym stołkiem, który sprawia, że jest wyższa. Na tej desce sprawdza prace semestralne studentów; lubi wspiąć się wysoko na stołek i, machając krótkimi nogami, poprawiać te prace na pochylej desce, z odpowiedniej odległości, zupełnie jakby malowała. Prawda jest taka, że robi się dalekowidzem, chociaż zawsze było odwrotnie. Pisane jej są okulary dwuogniskowe.

Poprawia prace lewą ręką, używając różnokolorowych ołówków, które trzyma między palcami prawej dłoni zupełnie jak pędzle: czerwonego używa do uwag negatywnych, niebieskiego do pozytywnych, pomarańczowego do błędów ortograficznych, a fioletowego w kwestiach spornych. Czasami zmienia rękę. Kiedy skończy sprawdzać jedną pracę, zrzuca ją na podłogę, powodując wywołujący zadowolenie podmuch. By pokonać nudę, nieraz głośno czyta kilka zdań wspak. „Hcaigolonhctet hcyczącindowazkópsw o akuan ot einjow o akuan”. Jakież to prawdziwe. Powtarzała to sobie wiele razy.

Dzisiaj poprawia szybko, dzisiaj jest zsynchronizowana. Lewa ręka wie, co robi prawa. Jej dwie połowy nakładają się; jest tylko mały półcień, przesunięcie o mały kąt.

Tony poprawia prace semestralne do za piętnaście ósma. Słońce zalewa pokój

ozłocony przez żółte liście przed oknem; w górze przelatuje odrzutowiec; ulicą zbliża się śmieciarka, hałasując niby czółg. Tony słyszy ją, pospiesznie ześlizguje się w kapciach po schodach, wpada do kuchni, wyciąga z kubła plastikowy worek, zakręca go dookoła, biegnie do drzwi frontowych i pokonuje stopnie werandy, podciągnąwszy poły szlafroka. Żeby dogonić ciężarówkę, musi przebiec tylko krótki odcinek. Mężczyźni uśmiechają się do niej; widywali ją już wcześniej w szlafroku. Śmieciami ma się zajmować West, ale zapomina.

Wraca do kuchni i robi herbatę; rozgrzewa imbryk, odmierza dokładnie liście, sprawdza czas zaparzania na zegarku o dużych cyfrach. Przyrządzania herbaty nauczyła ją matka; to jedna z niewielu użytecznych rzeczy, jakich nauczyła Tony. Umie parzyć herbatę, odkąd skończyła dziewięć lat. Pamięta, jak stała na kuchennym taborecie, odmierzała i nalewała herbatę, uważnie balansując, zanosila filiżankę na górę, gdzie matka leżała w pościeli, zaokrąglona hałda, biała niczym śnieżna zaspą. „Jak miło. Postaw tutaj”. Później znajdowała filiżankę zimną i nadal pełną.

Precz, matko, myśli Tony. „Oktam, zcerp”. Wygania ją, nie po raz pierwszy.

West zawsze pije herbatę, którą robi Tony. Zawsze przyjmuje to, co ona ofiaruje. Kiedy Tony idzie na górę z filiżanką dla niego, on stoi przy oknie i patrzy na zaniedbany i opuszczony jesienny ogród. (Oboje zobowiązują się zasadzić coś, teraz, później, a żadne z nich tego nie robi.) West już się ubrał w dżinsy i gruby dres z napisem „Scales and Tails” i żółciem. To symbol pewnej organizacji troszczącej się o ocalenie płazów i gadów, która – jak sobie wyobraża Tony – nie ma jeszcze zbyt wielu zwolenników. Tyle jest dzisiaj innych rzeczy, które trzeba ocalić.

– Proszę, twoja herbata – mówi.

West zgina się w kilku miejscach, niczym wielbłąd przy siadaniu, aby ją pocałować. Ona wspina się na palce.

– Przepraszam za śmieci – mówi West.

– W porządku – odpowiada Tony – nie były ciężkie. Jedno jajko czy dwa?

Kiedyś, podczas porannego wyścigu ze śmieciami, zaczepiła nogą o połą szlafroka i runęła głową w dół ze stopni przed drzwiami. Na szczęście wylądowała na worku, tylko że worek pękł. Nie wspominała o tym Westowi. Zawsze z nim uważa. Wie, jak bardzo jest kruchy, jak łatwo się załamuje.

Tony gotuje jajka i myśli o Zeni. Przeczucie? Nie, wcale. Często myśli o Zeni, częściej niż kiedy Zenia żyła. Martwa Zenia stanowi mniejsze zagrożenie, nie trzeba jej odganiać, spychać gdzieś między pajęczyny w kącie, gdzie Tony trzyma swoje cienie.

Chociaż nawet imię Zeni wystarczy, by wywołać stare uczucia wściekłości, poniżenia i zawstydzającego bólu, albo przynajmniej ich echo. Prawda jest taka, że w pewnych porach – wcześniej rano, w środku nocy – Tony nie może uwierzyć, że Zenia faktycznie nie żyje. Mimo swego racjonalnego podejścia do życia, Tony ciągle spodziewa się, że ona przyjdzie, wejdzie przez nie zamknięte na klucz drzwi, wespnie się przez niedbale uchylone okno. Wydaje się niemożliwe, by ona po prostu przestała istnieć i by nic nie zostało. Było jej zbyt wiele; cała ta złośliwa witalność musiała dokąś się przenieść.

Tony wkłada dwa kawałki chleba do opiekacza i szpera w szafce w poszukiwaniu dżemu. Zenia oczywiście nie żyje. Zniknęła i przepadła na zawsze. Jak kamień. Za każdym razem, gdy Tony tak myśli, powietrze wypełnia jej płuca, a potem uchodzi z długim westchnieniem ulgi.

Ceremonia pogrzebowa Zeni odbyła się pięć lat temu albo cztery i pół. Był marzec. Tony doskonale pamięta ten dzień, mokry i szary, później zaczął jeszcze padać śnieg z deszczem. Wtedy najbardziej dziwiło ją to, że przyszło tak mało ludzi: głównie mężczyźni z postawionymi kołnierzami płaszczy. Unikali pierwszego rzędu, starając się kryć jeden za drugim, żeby nikt ich nie zobaczył.

Wśród tych mężczyzn nie było zbiegłego męża Roz, Mitcha – jak Tony zauważyła z ożywieniem i pewnym rozczarowaniem, chociaż cieszyła się ze względu na Roz. Wyczuwała, jak Roz wyciąga głowę i przebiega wzrokiem po twarzach; musiała się go tu spodziewać i co wtedy? Wtedy byłaby scena.

Charis też się rozglądała, ale w mniej natrętny sposób. Gdyby wśród tych mężczyzn był Billy, Tony nie potrafiłaby go rozpoznać, ponieważ nigdy go nie spotkała. Pojawił się i zniknął w przerwie, kiedy nie kontaktowała się z Charis. Wprawdzie Charis pokazała jej zdjęcie, ale było niedobre – Billy miał uciętą głowę, w dodatku nosił wtedy brodę. Z biegiem czasu mężczyznom bardziej niż kobietom zmieniały się twarze albo bardziej potrafili je zmieniać, tak jak chcieli.

Zapuszczali zarost albo golili go.

Tony nie znała nikogo na zdjęciu, oprócz Roz i Charis, oczywiście. Musiały to zobaczyć za wszelką cenę, powiedziała Roz. Chciały zobaczyć koniec Zeni, upewnić się, że jest teraz w pełni (wyrażenie Tony) unieszkodliwiona. Charis określała to słowem: „spokojna”, Roz – „kaput”.

Ceremonii brakowało porządku. Wydawała się jakby przypadkowo sklecona, poprowadzona w kaplicy pogrzebowej z ociężałą, napuszczoną niezdarnością, która przepełniłaby Zenię pogardą. Było kilka wiązanek kwiatów, białe chryzantemy. Tony zastanawiała się, kto mógł je przysłać. Ona sama nie przyniosła żadnych kwiatów.

Mężczyzna w granatowym garniturze, który przedstawił się jako adwokat Zeni – ten sam, który zadzwonił do Tony z informacją o pogrzebie – przeczytał krótki list wychwalający zalety Zeni. Na pierwszym miejscu postawił odwagę, chociaż Tony nie uważała śmierci Zeni za szczególnie odważną. Zenia wyleciała w powietrze podczas jakiejś napaści terrorystycznej w Libanie; nie była celem, po prostu znalazła się w tym miejscu. Niewinny przechodzień, powiedział adwokat. Tony sceptycznie odniosła się do obu tych słów: „niewinny” nigdy nie był ulubionym przymiotnikiem Zeni w stosunku do własnej osoby, a przechodzenie obok nigdy nie było jej typowym zajęciem. Adwokat nie powiedział jednak, co faktycznie tam robiła, na bezimiennej ulicy w Bejrucie. Zamiast tego stwierdził, że długo będziemy ją pamiętać.

– Cholera, pewnie, że będziemy – szepnęła Roz do Tony. – A przez odwagę rozumiał wielkie cycki.

Tony uznała, że brak w tym smaku, gdyż wielkość cycków Zeni z pewnością nie stanowi istotnej już kwestii. Według niej Roz czasami posuwa się za daleko.

Zenia obecna była jedynie duchem, jak powiedział adwokat, a także w postaci prochów, które teraz zostaną przeniesione na Mount Pleasant Cemetery i tam pogrzebane. Rzeczywiście użył słowa „pogrzebane”. Wolą Zeni było, zgodnie z testamentem, aby jej prochy zostały pogrzebane pod drzewem.

Pogrzebanie było tak niepodobne do Zeni. Tak samo drzewo. Właściwie to niepodobne do Zeni było sporządzenie testamentu czy w ogóle posiadanie adwokata. Cóż, nigdy nic nie wiadomo, ludzie się zmieniają. Na przykład, dlaczego Zenia umieściła je trzy na liście osób, które należy poinformować w razie jej śmierci? Czy to skrucha? A może jeszcze jeden żart? Jeśli tak, to Tony nie rozumiała jego sensu.

Adwokat także nie potrafił pomóc. Miał jedynie listę nazwisk albo tylko tak

twierdził. Tony nie spodziewała się, aby mógł w kwestii Zeni cokolwiek wyjaśnić. Jeżeli już, to powinno być odwrotnie.

– Czy nie była pani jej przyjaciółką? – zapytał oskarżycielskim tonem.

– Tak – odpowiedziała Tony – ale to było dawno temu.

– Zenia miała wspaniałą pamięć – odparł prawnik i westchnął. Tony słyszała już kiedyś takie westchnięcia.

To Roz nalegała, aby udać się na cmentarz po ceremonii. Zawiozła je swoim samochodem, tym dużym.

– Chcę zobaczyć, gdzie ją chowają, żebym mogła wyprowadzać tam psy – powiedziała. – Nauczę je sikać na to drzewo.

– Drzewo tutaj nie jest winne – odezwała się oburzona Charis. – Nie ma w tobie miłosierdzia.

Roz zaśmiała się.

– Racja, kochana. Robię to dla was!

– Roz, ale ty nie masz psa – rzekła Tony. – Ciekawe, co to za drzewo.

– To kupię, tylko w tym celu – odparła Roz.

– Morwa – wyjaśniła Charis. – Stoi w kruchcie i ma tabliczkę.

– Nie rozumiem, jak ono będzie rosnąć – powiedziała Tony. – Jest za zimno.

– Będzie – oświadczyła Charis – jeżeli nie puściło jeszcze pąków.

– Mam nadzieję, że uschnie – rzekła Roz. – O, nie! Ona nie zasługuje na drzewo.

Prochy Zeni umieszczono w szczelnie zamkniętym, metalowym pojemniku, prawdziwa mina ładowa. Tony widywała już takie pojemniki; przygnębiały ją. Brakowało im majestatu trumien. Uważała, że ludzie wewnątrz nich są skondensowani jak mleko.

Myślała, że nastąpi rozsypanie prochów, doczesnych szczątków, jak je nazywał adwokat, ale pojemnika nie otwarto i prochy nie zostały rozrzucone. (Później, po ceremonii, Tony miała czas, by zastanawiać się, co naprawdę było w tym pojemniku. Piasek chyba albo coś odrażającego jak psie kupy lub zużyte kondomy. To byłby typowy gest Zeni w czasie, kiedy Tony ją poznała.)

Stali kręgiem w drobnej, zimnej mżawce, pojemnik został zakopany, nad nim zasadzona morwa. Przykryto wszystko ziemią. Nie padły żadne ostateczne słowa, żadne słowa pożegnania. Mżawka zaczęła marznąć, mężczyźni w płaszczach zawahali się, potem powoli odeszli do zaparkowanych samochodów..

– Mam niepokojące odczucie, że coś pominęliśmy – powiedziała Tony, gdy

odchodziły.

- Cóż, nie było żadnych pieśni – odezwała się Charis.
- Na przykład czego? – podjęła Roz. – Wbić jej kółek w serce?
- Może Tony chodziło o to, że była ludzką istotą – zastanawiała się Charis.
- Ludzką istotą, na mą pupę! – zawołała Roz. – Jeżeli ona była ludzką istotą, to ja jestem królową Anglii.

Tony chodziło o coś mniej dobrotliwego. Myślała, że od tysięcy lat, kiedy umierali ludzie – szczególnie ci potężni, wzbudzający strach – ci, którzy pozostawali przy życiu, przechodzili udrękę. Podrzynali gardła swym najlepszym koniom, zakopywali żywcem niewolników i ulubione żony, wylewali na ziemię krew. Nie była to żałoba, ale zadośćuczynienie. Chcieli pokazać swą dobrą wolę bez względu na to, jak udawane to były czyny, ponieważ wiedzieli, że duch zmarłego będzie im zazdrościł życia.

Może powinnam posłać kwiaty, pomyślała Tony. Kwiaty by nie wystarczyły, nie Zeni. Wysztydziłaby je. Potrzeba było misy krwi. Misy krwi, bólu, jakiejś śmierci. Wtedy może zostałyby w grobie.

Tony nie powiedziała Westowi o pogrzebie. Mógłby pójść i rozkleić się albo nie poszedłby, a wtedy czułby się winny lub byłby zły, że poszła bez niego. Wiedział jednak, że Zenia nie żyje; czytał w gazecie – mała, prostokątna, ukryta gdzieś w środku notatka: „śmierć Kanadyjki w ataku terrorystycznym”. Kiedy byli młodzi, „atak” kojarzył się z zabawą. West nic nie powiedział Tony, ale ona znalazła stronę z wyciętym artykułem. Była między nimi cicha umowa, aby nigdy nie wspominać Zeni.

Tony podaje jajka w ceramicznych podstawkach w kształcie kurek, które kupiła we Francji kilka lat temu. Francuzi lubią wyrabiać naczynia w kształcie tego, co będzie w nich podawane; kiedy przychodzi do jedzenia, niczego nie owijają w bawełnę. Ich karty dań przypominają nocny koszmar wegetarianina – serca czegoś tam, mózdzek czegoś innego. Tony docenia taką bezpośredniość. Ma francuską paterę do ryb, także w kształcie ryby.

W zasadzie zakupy to nie jej specjalność, ale ma słabość do pamiątek. Te podstawki do jaj kupiła w pobliżu pola bitwy, gdzie rzymski generał Mariusz starł sto tysięcy Teutonów – albo dwieście tysięcy, w zależności od tego, kto prowadził kronikę – na wiek przed narodzeniem Chrystusa. Wystawiwszy na przynętę mały kontyngent swych sił przed wojska wroga, sprowadził je w wybrane przez siebie miejsce rzezi. Po bitwie trzysta tysięcy Teutonów zostało sprzedanych do niewoli, a dziewięćdziesiąt tysięcy pozostałych zrzucano – lub też nie – w przepaść z góry Świętej Wiktorii, za namową prawdopodobnie

syryjskiej prorokini imieniem – lub też nie – Marta. Mówiono, że nosiła purpurowe szaty.

Ten szczegół ubioru przekazywany był przez wieki ze szczególnym przekonaniem, pomimo niejasności innych fragmentów opowiadania. Sama bitwa jednakże z całą pewnością została stoczona. Tony zbadła teren; płaska równina otoczona z trzech stron górami. Niedobre miejsce na walkę w defensywie. Pobliskie miasto nosi nazwę Pourrières, a to za sprawą odoru gnijących ciał.

Tony nigdy nie wspomina (i nigdy nie wspomniała) Westowi o skojarzeniach związanych z tymi podstawkami do jajek. Byłby przerażony: nie tyle gnijącymi Teutonami, ile nią. Kiedyś nadmieniła, że potrafi zrozumieć tych starych królów, którzy używali czaszek swych wrogów do picia wina. To był błąd; West chce myśleć o niej jako o miłej i dobrej. I litościwej oczywiście.

Tony zrobiła kawę, sama zmieliwszy ziarenka; podaje ją ze śmietanką, na przekór cholesterolowi. Prędzej czy później, kiedy ich arterie zamulą się, będą musieli zrezygnować ze śmietany, ale jeszcze nie teraz. West siedzi i je jajko; jest tym zaabsorbowany niczym szczęśliwe dziecko. Jaskrawe, podstawowe kolory – czerwone kubki, żółty obrus, pomarańczowe talerze – stwarzają w kuchni wrażenie placu zabaw. Jego siwe włosy to prawdziwy fuks, nieobliczalna transformacja, która spadła na niego podczas nocy. Kiedy go poznała, był blondynem.

– Dobre jajko – mówi. Takie drobiazgi jak dobre jajka sprawiają mu rozkosz, takie drobiazgi jak niedobre jajka przygnębiają go. Łatwo go zaspokoić, ale trudno obronić.

West, Tony powtarza w myślach. Od czasu do czasu powtarza jego imię, bezgłośnie, jak zaklęcie. Kiedyś nie był Westem. Kiedyś – trzydzieści, trzydzieści dwa lata temu? – był Stewartem, dopóki nie powiedział jej, jak bardzo nie znosi, kiedy nazywają go „Stew”¹; przeczytała więc jego imię wspan i od tamtej chwili jest Westem. Trochę przy tym oszukała; prawdę mówiąc, to powinno wyjść „Wets”². Tak właśnie jest, kiedy się kogoś kocha, myśli Tony. Trochę się oszukuje.

– Co masz dzisiaj w planie? – pyta West.

– Chcesz jeszcze grzanek? – pyta Tony. On kiwa głową, ona wstaje i podchodzi do opiekacza; po drodze zatrzymuje się, aby pocałować go w głowę, wdychając znajomy zapach włosów i szamponu. Rzedną mu włosy; wkrótce będzie miał tonsurę niczym mnich. Przez tę chwilę jest wyższa od niego; nieczęsto zdarza jej się taki widok z góry.

Nie ma potrzeby mówić Westowi, z kim będzie jeść lunch. On nie lubi ani

Roz, ani Charis. Denerwiają go. Czuje – i słusznie – że wiedzą o nim zbyt wiele.

– Nic szczególnego – odpowiada Tony.

Po śniadaniu West udaje się do swojej pracowni na drugim piętrze, Tony przebiera się ze szlafroka w dżinsy i bawełniany pulower i dalej poprawia prace. Z góry dociera do niej rytmiczne dudnienie potęgowane mieszanym chórem parzących się hien, krów ginących pod ciężarem młota kowalskiego i zawodzących ptaków egzotycznych.

West jest muzykologiem. Częściowo pracuje tradycyjnie – wpływy, warianty, derywacje – ale uczestniczy także w jednym z interdyscyplinarnych projektów, które ostatnio zrobiły się tak popularne. Współpracuje z grupą neuropsychologów z Akademii Medycznej; badają razem wpływ muzyki na ludzki mózg – różnych odmian muzyki, różnych rodzajów hałasu, gdyż to, co produkuje West, czasem trudno nazwać muzyką. Chcą się dowiedzieć, która część mózgu słucha, szczególnie która połowa. Uważają, że może to pomóc ofiarom uderzeń w głowę i tym, którzy utracili część mózgu w wypadkach samochodowych. Podłączają druty do mózgu, włączają muzykę – albo hałasy – i obserwują rezultat na kolorowym monitorze komputera.

West bardzo się tym ekscytuje. Jest przekonany, że mózg to instrument muzyczny, że można na czyimś mózgu komponować muzykę, a w każdym razie można by, gdyby tylko znaleźć do niego dojście. Tony uważa ten pomysł za niebezpieczny – co się stanie, jeżeli naukowcy zagrają coś, czego dana osoba z mózgiem nie będzie chciała usłyszeć? West twierdzi, że to czysta retoryka.

Ma jednak nieodpartą chęć podłączyć Tony, ponieważ ona jest leworęczna. Dominacja półkul to jeden z tematów ich studiów. Chcą podłączyć elektrody do głowy Tony i kazać jej grać na pianinie, bo pianino jest instrumentem, na którym obie ręce pracują jednocześnie, ale w inny sposób. Do tej pory Tony uniknęła tego, tłumacząc się, że zapomniała już, jak się gra, co po części jest prawdą; poza tym jednak nie chce, aby West przyglądał się czemukolwiek, co się dzieje w jej mózgu.

Odkłada część prac i wraca do sypialni, aby przebrać się na lunch. Zagląda do szafy; nie ma dużego wyboru, zresztą, cokolwiek nałoży, Roz mruży oczy i proponuje, aby poszły na zakupy. Roz uważa, że Tony za bardzo gustuje we wzorach kwiatowych prosto z tapety, chociaż Tony cierpliwie wyjaśniała jej, że to kamuflaż. W każdym razie w czarnym skórzanym stroju, który według Roz

jest jej prawdziwym „ja”, wyglądała jak awangardowy stojak na włoskie parasolki.

W końcu decyduje się na ciemnozielony komplet ze sztucznego jedwabiu w białe kropeczki, który nabyła w dziale dziecięcym Eaton. Tam kupiła sporą część swojej niewielkiej garderoby. Dlaczego nie? Pasują, podatek jest mniejszy, a jak bezustannie powtarza Roz, Tony jest skąpa, szczególnie jeśli chodzi o ubranie. Wolałaby raczej odłożyć pieniądze na bilety lotnicze, aby zwiedzać pola bitew.

Z tych pielgrzymek przywozi relikwie – z każdego pola bitwy kwiat, a raczej chwast, ponieważ zbiera najzwyczajniejsze rośliny: stokrotki, koniczynę, maki. Taki sentymentalizm wydaje się zastrzeżony u niej dla osób, których nie zna. Sprasowuje kwiaty między kartkami Biblii, jakie prozelickie sekty pozostawiają w szufladach komód w tanich hotelach i pensjonatach, w których mieszka. Jeżeli Biblii nie ma, przyciska rośliny popielniczkami. Popielniczki są zawsze.

Następnie, po powrocie do domu, wkleja je do zielników w kolejności alfabetycznej: Agincourt, Austerlitz, Bunker Hill, Carcassonne, Dunkierka. Nie jest stronnicza; bitwa to bitwa, w każdej jest bohaterstwo, w każdej jest śmierć. Nie mówi o tym zwyczajnie koleżankom, ponieważ żadna z nich nie zrozumiałaby przyczyn, dla których to robi. Sama nawet nie jest tego pewna. Sama nie wie, co naprawdę zbiera ani dla upamiętnienia czego.

W łazience poprawia twarz. Puder na nos, ale żadnej szminki. Szminka wygląda na niej alarmująco, zbyt mocno, jak czerwone, plastikowe usta, które dzieci przyczepiają do ziemniaków. Przeczesuje włosy. Obcina je w Chinatown, bo tam nie zdzierają za dużo i potrafią poradzić sobie z prostymi, krótkimi, czarnymi włosami, z kilkoma kosmykami na czole – i to za każdym razem tak samo. Na pazia, jak to się mówi. W wielkich okularach, z dużymi oczami i zbyt szczupłą szyją wygląda w rezultacie jak łobuziak skrzyżowany ze świeżo wyklutym pisklakiem. Nadal ma dobrą skórę, dosyć dobrą; przez nią odznaczają się siwe włosy. Wygląda jak bardzo młoda staruszka albo bardzo stara dziewczyna; wygląda tak, odkąd skończyła dwa lata.

Wpycha prace semestralne do zbyt dużego płóciennego worka i wbiega na górę, aby pomachać Westowi na pożegnanie. „Wiatr z naprzeciwka” – ostrzega napis na drzwiach jego pracowni; tak samo odpowiada jego automatyczna sekretarka: „Drugie piętro, wiatr z naprzeciwka”. Tak samo nazwałby profesjonalne studio nagraniowe, gdyby je miał. West ma na uszach słuchawki, jest podłączony do magnetofonu i syntezatora, ale widzi ją i macha w odpowiedzi. Tony wychodzi frontowymi drzwiami, które zamyka za sobą na

klucz. Zawsze pamięta o drzwiach. Nie chce, aby narkomani dostali się do domu w czasie jej nieobecności i przeszkadzali Westowi.

Trzeba naprawić drewnianą werandę; jedna deska gnije. Każe to zrobić na wiosnę, obiecuje sobie; przynajmniej tyle czasu trzeba, aby taką rzecz zorganizować. Ktoś wetknął reklamę pod wycieraczkę – następna wyprzedaż narzędzi. Tony zastanawia się, kto kupuje te wszystkie narzędzia – piły tarczowe, wiertarki bezprzewodowe, pilniki i śrubokręty – i co oni z tym robią. Może narzędzia stanowią substytut broni; może mężczyźni ich potrzebują, kiedy nie prowadzą wojen. West nie jest jednak typem majsterkowicza; jedyny młotek w domu należy do Tony, która w każdej sprawie, poza zwykłym wbiciem gwoźdźcia, odwołuje się do książki telefonicznej. Po co ryzykować życie?

Mały trawnik przed domem, zachwaszczony i nie strzyżony, zaśmieca jeszcze jedna reklama narzędzi. Ten trawnik to wstyd dla całej dzielnicy; Tony o tym wie i wstydzi się od czasu do czasu; przysięga, że skopie trawę i zastąpi jakimiś ozdobnymi i odpornymi krzewami albo kamykami. Nigdy nie rozumiała, po co są trawniki. Gdyby miała wybór, wołałaby fosę ze zwodzonym mostem i krokodylami na życzenie klienta.

Charis nieustannie popiskuje przymilająco, że zajmie się trawnikiem Tony i przemieni go w kwitnące чудо, ale Tony odparowuje atak. Charis zrobiłaby ogród niczym zasłony w pracowni Tony, o których mówi „kojące” – rozpasane kwiecie, sploty winnej latorośli, wszędobylskie strąki – to byłoby dla Tony zbyt wiele. Wiedziała, co się stało z kawałkiem ziemi wzdłuż chodnika za domem Roz, która uległa podobnym prośbom. Ze względu na to, że dokonała tego Charis, Roz nie może nic z tym zrobić, więc na podwórzu Roz jest kawałek ziemi, który na zawsze będzie należał do Charis.

Na rogu ulicy Tony odwraca się, aby spojrzeć na dom z podziwem, tak jak często to robi. Nawet po dwudziestu latach posiadanie na własność takiego czy jakiegokolwiek innego domu jest dla niej niczym miraż. Dom zbudowany jest z cegły, w późnowiktoriańskim stylu, wysoki i wąski, z gontami na drugim piętrze podobnymi do rybiej łuski. Okna jej pracowni mieszczą się w imitacji wieży na drugim piętrze po lewej stronie; wtedy ludzie lubili myśleć, że mieszkają w zamku. Dom jest duży, większy, niż by się mogło wydawać z ulicy, solidny, budzący zaufanie. Fort, bastion, szaniec. W środku jest West, tworzy kaleczące uszy dźwięki, sam zabezpieczony przed wszelkim urazem. Kiedy kupowała dom, okolica była jeszcze zaniedbana, ceny niskie; nie spodziewała się, że ktoś kiedykolwiek będzie tutaj mieszkał poza nią.

Schodzi do metra, wrzuca opłatę do obrotowej barierki, wsiada do wagonu, zajmuje plastikowy fotel i kładzie torbę na kolanach ruchem pielęgniarki chodzącej na wizyty domowe. Wagon nie jest zatłoczony, więc nikt wysoki nie zasłania głową widoku, i Tony może czytać reklamy. „Purhc!” – głosi tabliczka czekolady. „Cómop zsfartop?” – pyta Czerwony Krzyż. „Akżinbo! Akżinbo!” Gdyby wypowiedziała te słowa głośno, ludzie pomyśleliby, że to jakiś inny język. To jest inny język, archaiczny, język, który zna dobrze. Mogłaby nim mówić przez sen i czasami mówi.

Gdyby przyłapali ją na tym fundamentaliści, oskarżyliby ją o czczenie szatana. To oni puszczają popularne piosenki od tyłu, szukając ukrytych w nich bluźnierstw. Mysłą, że można przywołać diabła, wieszając krzyż odwrotnie lub wypowiadając *Ojcie nasz* wspak. Nonsens. Zło nie wymaga takich nawoływań, takich dziecinnych i teatralnych rytuałów. Niczego tak skomplikowanego.

Ten drugi język Tony nie jest złem. Niebezpieczny jest tylko dla niej. To jej szew, miejsce, w którym jest zszyta, w którym mogłaby się rozpaść. Mimo to oddaje się mu. Ryzykowna nostalgia. „Aiglatson”. (Średniowieczny wódz wikingów? Środek na przeczyszczenie?)

Wysiada na St. George i wychodzi na Bedford Road, mijają człowieka z reklamami, uliczną kwiaciarkę i chłopca grającego na flecie na narożniku ulicy; uważa, aby nic jej nie przejechało, kiedy przechodzi na zielonym i kierując się na Varsity Stadium, pokonuje trawiasty plac głównego kampusu. Jej gabinet mieści się przy bocznej uliczce, starej i obskurnej, tuż za rogiem, w budynku o nazwie McClung Hall.

McClung Hall to surowy budynek z czerwonej cegły, pociemniałej od sadzy i czasu do brązu i fioletu. Kiedyś był tu żeński akademik, w którym mieszkała jako studentka przez równe sześć lat. Dowiedziała się, że nazwa pochodzi od osoby, która walczyła o prawo do głosowania dla kobiet, ale Tony to nie obchodziło. Nikogo nie obchodziło, wtedy.

Tony wspomina ten budynek jako starą, łatwopalną pułapkę, przegrzaną, ale z przeciągami, o skrzypiących podłogach, z mnóstwem zużytego, lecz solidnego drewna – masywnych balustrad, ciężkich siedzisk przy oknach, grubych drzwi. Pachniał – i nadal pachnie – wilgotną spizarnią, gdzie wszystko butwieje, gdzie zapomniane ziemniaki puszczają pędy. Za tamtych czasów wisiał jeszcze w powietrzu mdławy odór podgrzanej kapusty, resztek jajecznicy i przypalonego tłuszczu. Unikała tych posiłków i przemyciała do pokoju na górze chleb i jabłka.

Wydział Religii Porównawczej wszedł w posiadanie tegoż budynku w latach

siedemdziesiątych, potem zamieniono go na biurowiec zastępczy dla różnorodnych rozrastających się, zasłużonych, ale zubożałych wydziałów – dla ludzi, którzy w powszechnej opinii używają swych umysłów zamiast lśniącej aparatury, którzy nie przyczyniają się zbyt do rozwoju nowoczesnego przemysłu i dlatego uważa się ich za naturalnie przystosowanych do biedy. Filozofia miała swój przyczółek na parterze, historia współczesna zdobyła prawo do pierwszego piętra. Pomimo niezbyt entuzjastycznych prób przemalowania (w przeszłości, nie było po nich żadnego śladu) McClung pozostał tym samym srogim, statecznym gmachem, jakim zawsze był.

Tony nie przeszkadza to ubóstwo. Nawet jako studentce podobało jej się tutaj – to znaczy w porównaniu z miejscami, gdzie mogłaby się znaleźć. Wynajęty pokój, anonimowa pracownia. Niektórzy studenci przekreślali nazwę na McFungus i przekazywali ją następnym pokoleniom, ale dla Tony McClung była to przystań, i nadal jest wdzięczna.

Jej gabinet znajduje się na pierwszym piętrze, od jej starego pokoju dzieli go zaledwie kilkoro drzwi. W tamtym pokoju parzy się teraz kawę – to miejsce rozmyślnie pozbawione radości, z pociętym stołem z deski do prasowania, kilkoma krzesłami z różnych kompletów i żółtym się plakatem amnestyjnym, przedstawiającym mężczyznę związanego drutem kolczastym i ponadziewanego pozginanymi gwoździami. Jest ekspres do kawy, który pluje i przyska, oraz stojak do kubków, dających się myć i przyjaznych środowisku, z wymalowanymi inicjałami, aby pracownicy nie pozarządzali się nawzajem chorobami jamy ustnej. Tony miała trochę kłopotów z własnym kubkiem. Na czarnym tle wypisała czerwonym lakierem do paznokci: „Antawyrp ćsonsałw”. Ludzie czasami używają czyjegoś kubka przez pomyłkę albo z lenistwa, ale jej kubka nikt nie używa.

Zatrzymuje się w pokoju do parzenia kawy, gdzie dwoje jej znajomych, ubranych w wełniane dresy, pije mleko i je ciasteczka. Doktor Ackroyd, znawca osiemnastowiecznego rolnictwa, i doktor Rose Pimlott, specjalizująca się w historii społecznej i historii Kanady, która, obojętnie jakim imieniem nazwana, zawsze będzie męcząca. Tony zastanawia się, czy Rose Pimlott i Bob Ackroyd coś kręcą, jak powiedziałyby Roz. W ciągu ostatnich tygodni dość często poszeptują po kątach. Bardzo prawdopodobne, że to jakiś spisek pałacowy. Cały wydział jest niczym renesansowy dwór: szept, spiski, małe zdrady, knucia i obrażania. Tony stara się być poza tym, ale tylko niekiedy jej się to udaje. Nie ma żadnych szczególnych sprzymierzeńców i dlatego podejrzewana jest przez wszystkich.

Sz szczególnie przez Rose. Tony nadal czuje się dotknięta faktem, że dwa lata

temu Rose oskarżyła jeden z jej kursów dyplomowych o eurocentryczność.

– Oczywiście, że jest eurocentryczny! – oświadczyła Tony. – A czego się spodziewasz po kursie, który został nazwany „Strategia oblężenia Merowingów”?

– Uważam – odparła Rose Pimlott, próbując ratować swą pozycję – że mogłabyś prowadzić ten kurs z punktu widzenia ofiar, zamiast spychać je na margines.

– Jakich ofiar? – pyta Tony. – Wszyscy byli ofiarami! Na zmianę! Właściwie to na zmianę próbowali uniknąć stania się ofiarą. Na tym polega wojna!

Całą wiedzę pani doktor Rose Pimlott o wojnie można puścić mimo uszu. Jej ignorancja jest tendencyjna: Rose przede wszystkim nie chce więcej słyszeć o wojnie i pragnie, aby wojna przestała być dla niej taką przykrą sprawą.

– Dlaczego ty to lubisz? – zapytała niedawno Tony, marszcząc nos, jakby rozmawiały o pierdnięciach albo smarkach, o czymś nieważnym, odrażającym i najstaranniej ukrywany.

– Czy pytasz tych, co pracują nad AIDS, dlaczego lubią AIDS? – zapytała Tony. – Wojna istnieje i jeszcze długo nie zniknie. Nie o to chodzi, że ją lubię. Chcę zrozumieć, dlaczego tylu innych ludzi lubi wojnę. Chcę zrozumieć, jak funkcjonuje. – Rose Pimlott woli jednak na to nie patrzeć, niech inni kopią zbiorowe mogiły, ona mogłaby złamać sobie paznokcie.

Tony zastanawia się, czy powiedzieć Rose, że Laura Secord, której portret na pudełku czekoladek nazwanych jej imieniem okazał się – w promieniach rentgena – zdjęciem mężczyzny w sukni, rzeczywiście była mężczyzną noszącym suknię. Żadna kobieta, powiedziałyby do Rose, nie mogłaby okazać takiej agresywności albo – jeśli wolisz to tak nazwać – odwagi. To by rozjątrzyło Rose! Musiałaby utrzymywać, że kobiety mogą być równie dobre w prowadzeniu wojen, jak mężczyźni, i dlatego równie złe, lub też, że z natury są tchórzliwymi lesbijkami. Tony przepętnia ciekawość, który z wariantów wybierze Rose. Tylko dzisiaj nie ma czasu.

Kiwa głową w stronę Rose i Boba, a oni patrzą na nią spode łba; do takich spojrzeń przyzwyczajona była od dawna. Historycy-mężczyźni uważają, że wkracza na ich terytorium i że powinna zostawić w spokoju ich włócznie, strzały, katapulty, lance, miecze, działa, samoloty i bomby. Według nich powinna zająć się historią społeczeństwa, to znaczy tym, kto, co i kiedy zjadł, albo „Życiem w rodzinie feudalnej”. Historycy płci żeńskiej, których nie ma zbyt wielu, myślą tak samo, tylko z innych powodów. Uważają, że powinna studiować narodziny, nie śmierć, a już z całą pewnością nie plany bitew; nie

druzgocące klęski i paniczne ucieczki, nie rzezie, nie masowe mordy. Ich zdaniem rozczarowuje kobiety.

W zasadzie lepiej jej się układa z mężczyznami, jeżeli oni potrafią przebrnąć przez swój dziwny rytuał wstępny; jeżeli uda im się nie nazwać jej „małą damą” lub też stwierdzić, że nie spodziewali się istnienia takiej kobiety, w ich rozumieniu – niskiej. Chociaż tylko ci najbardziej roztargnieni jeszcze to robią.

Gdyby nie była taka drobna, nigdy by jej to nie uszło płazem. Gdyby miała metr osiemdziesiąt wzrostu i była zbudowana jak blokhauz, gdyby miała biodra, stanowiłaby zagrożenie, byłaby Amazonką. To niedopasowanie daje jej zezwolenie. „Oddech mógłby cię powalić”, górują nad nią w milczeniu. „Chcielibyście”, myśli Tony, kierując uśmiech ku górze. Wielu próbowało.

Otwiera drzwi do gabinetu i zaraz zamyka na klucz, aby ukryć fakt, że jest tutaj. Teraz nie ma dyżuru, ale studenci wykorzystują jej obecność. Potrafią ją wyczuć nosem jak psy; pochwycą każdą okazję, by przyssać się do niej, skomleć albo próbować wyrzucić wrażenie, potajemnie narzucić jej własne wersje nadąsanego wyzwania. „Jestem tylko człowiekiem”, chce im powiedzieć Tony. Ale oczywiście nie jest. Jest człowiekiem z władzą. Nie ma jej dużo, ale mimo wszystko to jest władza.

Jakiś miesiąc temu jeden z nich – wielki, w skórzanej kurtce, o przekrwionych oczach, z drugiego roku, z przeddyplomowego kursu ogólnego – wbił kozik w środek jej biurka.

– Muszę mieć piątkę! – wykrzyknął. Tony przestraszyła się, ale zarazem wpadła w złość. „Zabij mnie, a nawet wtedy nie zdasz!”, chciała mu odkrzyknąć, ale on mógł być na jakichś prochach; albo wariat, albo jedno i drugie. A może naśladował obłąkanych żądzą krwi studentów szlachetnych profesorów, których widział w dzienniku telewizyjnym. Na szczęście to był tylko nóż.

– Doceniam pańską bezpośredniość – powiedziała do niego. – A teraz może by pan usiadł na krześle i porozmawiał ze mną?

– Dziękuję Bogu za kursy psychiatryczne – mówiła do Roz przez telefon, gdy student wyszedł. – Ale co w nich wstępuje?

– Słuchaj, kochanie – odrzekła Roz. – Wiesz, ile hormonów ma kobieta w sobie przed miesiączką? Cóż, mężczyźni mają te chemikalia w sobie przez cały czas.

Może to prawda, myśli Tony, bo inaczej, skąd by się brali sierżanci?

Pokój Tony jest duży, większy, niż miałyby w nowoczesnym budynku, z

typowymi biurkami, z typową tablicą ogłoszeń z października, z typowymi poziomymi żaluzjami. W bladej farbie wgryzały się całe pokolenia pinezek; to tu, to tam połyskują zapomniane strzępki taśmy samoprzylepnej, zupełnie jak mika w pieczarze. Na biurku stoi komputer Tony – drugorzędnej jakości; jest tak powolny i bezużyteczny, że Tony zupełnie nie troszczy się, czy ktoś go ukradnie. Na regale stoi kilka niezawodnych tomów, które czasami wypożycza studentom. *Piętnaście decydujących bitew świata* Creasy’ego, konieczna starość; Liddell Hart; Churchill oczywiście; *Fatalne decyzje*; i jeden z jej ulubionych – *Oblicze bitwy* Keegana.

Na ścianie wisi kiepska reprodukcja *Śmierci Wolfe’a* Benjamina Westa, ponury obraz, zdaniem Tony. Wolfe jest biały jak brzuch dorsza, oczy kieruje pobożnie ku górze, dookoła zbierają się nekrofilycy podglądacze w cudacznych strojach. Tony trzyma ten obraz w gabinecie jako przestrożę – dla siebie i dla studentów – przed pychą i cierpiętnictwem, którym niektórzy w jej profesji czasem ulegają. Obok tego obrazu jest Napoleon w zamyśleniu przemierzający Alpy.

Na przeciwległej ścianie powiesiła amatorską karykaturę w tuszu pod tytułem *Wolfe robi sikę*. Generał stoi tyłem do oglądającego, pokazuje jedynie swój profil z rzadką brodą. Twarz wyraża irytację, w dymku wychodzącym z jego ust widnieje napis: „Kurwa, te guziki”. Obrazek narysował jeden ze studentów dwa lata temu; pod koniec semestru wręczyła go jej cała grupa. Na ogół większość studentów stanowią mężczyźni; niewiele kobiet przyciągają takie kursy, jak „Błędy w późnośredniowiecznej taktyce” albo „Historia wojen jako artefakt”, a takie właśnie nazwy noszą jej kursy.

Kiedy rozpakowała prezent, wszyscy wbili w nią wzrok, by zobaczyć, jak zareaguje na słowo „kurwa”. Mężczyźni w ich wieku myślą, że kobiety w jej wieku nigdy w życiu nie słyszały takich słów. Uważa to za ujmujące. Musi świadomie i stanowczo unikać zwracania się do swych studentów „moi chłopcy”. Jeżeli nie będzie uważać, to zamieni się w rześką, krotochwilną drużynową; albo jeszcze gorzej – we wszystkowiedzącą, rozkapryszoną kwokę. Zacznie mrugać oczami i szczypać policzki.

Sama karykatura ma uhonorować jej wykład na temat rodzajów zapieć rozporka, który to wykład – jak słyszała – oni nazwali „Uważaj na guziki” (zazwyczaj przyciąga on ogromne tłumy). „Ci, którzy piszą o wojnie – zaczyna – tendencyjnie koncentrują się na królach i generałach, na ich decyzjach, strategii, a pomijają bardziej przyziemne, ale równie ważne czynniki, które mogą, i tak już bywało, faktycznie wystawić żołnierzy – tych z linii frontu – na niebezpieczeństwo”. Pchły i wszy roznoszące choroby, na przykład. Złe buty.

Błoto. Zarazki. Bielizna. Zapięcia rozporków. Sznurek do zaciągania, zakładka, klapka zapinana na guziki, zamek błyskawiczny, wszystko odegrało ogromną rolę w historii wojskowości na przestrzeni wieków, nie wspominając już kiltu, o którym, z pewnego punktu widzenia, dużo można by powiedzieć. „Nie śmiećcie się – mówi do nich. – Zamiast tego wyobraźcie sobie siebie samych na polu bitwy, kiedy macie potrzebę, jak to częstokroć bywa w stresie. Wyobraźcie sobie, jak byście odpinali te guziki”.

Pokazuje szkic rzeczonych guzików, dziewiętnastowieczny zestaw; każdy guzik z pewnością wymagał przynajmniej dziesięciu palców i dziesięciu minut.

„Teraz wyobraźcie sobie snajpera. Mniej zabawne?”

Armia maszeruje na brzuchu, ale także na rozporkach. Nie o to chodzi, że zamki błyskawiczne – chociaż poprawiły szybkość otwierania – były całkowicie bez winy. „Dlaczego nie? Pomyślcie – zamki błyskawiczne zacinają się. I hałasują!” A mężczyźni nabrali niebezpiecznego zwyczaju zapalania o nie zapalek. „Po ciemku! Równie dobrze można by wystrzelić racę”.

„Niejedną zbrodnię popełniono – kontynuuje – na bezradnych poborowych, a popełnili ją projektanci umundurowania. Iluż brytyjskich żołnierzy umarło niepotrzebnie na skutek czerwieni uniformów? Taka bezmyślność bynajmniej nie odeszła wraz z dziewiętnastym wiekiem. Zbrodnia Mussoliniego, który nie zapewnił butów – butów! – własnym żołnierzom, jest tylko jednym z takich przykładów”. Zdaniem Tony, ten, kto wymyślił nylonowe spodnie do Korei Północnej, powinien stanąć przed sądem wojennym. Na miłą można było usłyszeć nogi pocierające o siebie. A śpiwory – one też szeleściły, nie można ich było szybko otworzyć ze środka, zacinają się na dobre! Podczas nocnych napadów wroga mężczyźni w nich śpiący byli szlachetniejsi jak kocięta w worku.

Śmierć z rąk projektanta! Mogłaby wiele o tym mówić.

Wszystko to, w formie bardziej wyważonej i z przypisami, wystarczy przynajmniej na jeden rozdział powstającej właśnie książki Tony: „Śmiertelne szaty. Historia niedorzecznej mody mundurowej”.

Charis mówi, że to źle dla Tony poświęcać tyle czasu czemuś tak negatywnemu jak wojna. Uważa, że to rakotwórcze.

Tony szuka w skorowidzu listy z nazwiskami studentów, umieszcza ją pod B, jak biurokracja, i wpisuje stopień za każdą pracę w odpowiednim kwadraciku. Po skończeniu wpisywania wrzuca prace do koperty z grubego papieru pakowego, przyczepionej pinezkami do drzwi od zewnątrz, skąd studenci będą mogli je później wyjąć, tak jak im obiecała. Idzie na koniec korytarza, sprawdza,

czy jest poczta w brudnej dziurze, czyli sekretariacie wydziału, gdzie czasem bywa sekretarka; nie ma nic poza ofertą przedłużenia prenumeraty „Obrona Jane” i najnowszym numerem „Dużego kalibru”. Wpycha obie rzeczy do torby.

Zatrzymuje się w przegrzanej toalecie damskiej, w której pachnie mydłem w płynie, chlorem i częściowo przetrawioną cebulą. Jedna z trzech ubikacji jest zapchana, jak to jest od dawna w zwyczaju, a w dwóch pozostałych brak papieru toaletowego. Jest trochę papieru w nieczynnej, więc Tony rekwiruje go. Na ścianie jej ulubionej kabiny – tej obok okna z mrożonego szkła – ktoś wydrapał nową wiadomość, ponad „Herstory Not History” i „Hersterectomy Not Hysterectomy”³: FEMINISTYCZNA DEKONSTRUKCJA ŚMIERDZI. Podtekstem tego, jak Tony dobrze wie, jest ruch na rzecz ogłoszenia McClung Hall budynkiem historycznym i umieszczenia w nim Centrum Kobiet. HISTORIC NOT HERSTORIC dodał ktoś z boku. Tony ma nadzieję, że uniknie omenów nadchodzącej potyczki.

Na biurku sekretarki zostawia informację: „Ubikacja jest zapchana. Dziękuję. Antonina Fremont”. Nie dodaje – „znowu”. Nie ma potrzeby być niemiłą. Ta notatka niczego nie zmienia, ale Tony spełniła swój obowiązek. Pospiesznie opuszcza gmach, wraca do metra i kieruje się na południe.

Lunch jest w „Toxique”, więc Tony wysiada przy Osgoode i idzie pieszo na zachód Queen Street, mijając „Dragon Lady Comics”, „Queen Mother Café” i „BamBoo Club” z gorącymi grafikami. Mogłaby poczekać na tramwaj, ale w tłoku przeważnie ją gniotą, a czasem okradają. Przeprowadzone do tej pory studia guzików koszulowych i sprzączek u pasków powinny jej starczyć na jakiś czas, wybiera więc bardziej przypadkowe niebezpieczeństwa ulicy. I tak nie spóźnia się zbyt, nie bardziej niż ma to w zwyczaju Roz.

Trzyma się zewnętrznej strony chodnika, z dala od ścian i opierających się o nie obszarpanych postaci. Z pozoru chcą drobnych pieniędzy, ale Tony widzi ich w bardziej złowróżbnym świetle. To szpieczy, badający teren przed zmasowaną inwazją, albo uciekinierzy, chodzący ranni, kryjący się przed nadciągającą napaścią. W każdym razie ona ich unika. Desperaci wywołują w niej stan zagrożenia; dorastała przy dwojgu takich. Uderzą, pochwycą cokolwiek.

Ta część Queen Street nieco się uspokoiła. Kilka lat temu było tu bardziej dziko, bardziej niebezpiecznie, ale czynsze poszły w górę i wiele antykwariatów, i podrzędniejszych artystów wyprowadziło się. Powstała mieszanka podrzędnej mody, wschodnioeuropejskich delikatesów, hurtowni mebli biurowych, pijalni piwa w stylu country-and-western; teraz doszły jednak jasno oświetlone ciastkarnie, modne nocne lokale, ubrania z metkami, które coś znaczą.

Jednakże recesja nadal się pogłębia. Jest więcej budynków na sprzedaż, więcej pozamykanych butików, w drzwiach ciągle otwartych sklepów czają się sprzedawczynie, kierujące ku przechodniom zrezygnowane i błagalne spojrzenia pełne niemej złości. „Obniżka cen” – głoszą okna wystawowe; w zeszłym roku, na dwa miesiące przed Bożym Narodzeniem, byłoby to niemożliwe. Suknie połyskujące na manekinach o pustych twarzach lub pozbawionych głów nie są już tym, czym się wydawały, ucieleśnieniem pożądania. Zamiast tego wyglądają jak resztki po przyjęciu. Pozgniatane papierowe serwetki, pobojowisko pozostałe po rozwydrzonym tłumie albo plądrujących armiach. Chociaż nikt ich nie widział ani nie mógł powiedzieć, kim byli, oczywistym faktem było, że przeszli Goci i Wandalowie.

Tak myśli Tony, która nigdy by takiej sukni nie włożyła. One są dla kobiet o długich nogach, długich torsach, długich, wdzięcznych ramionach.

– Nie jesteś mała – mówi jej Roz. – Jesteś *petite*. Słuchaj, zabiłabym dla takiej tali.

– Ale ja mam taki sam obwód aż do dołu – odpowiada Tony.

– Potrzebny jest nam więc mikser – proponuje Roz. – Wsadzimy twoją talię i moje uda i podzielimy się. Pasuje ci?

Gdyby były młodsze, taka rozmowa mogłaby doprowadzić do poważnego niezadowolenia z własnego ciała, do poważnych tęsknot. Tymczasem to ich typowy repertuar. Mniej więcej.

Jest Roz; macha do niej sprzed „Toxique”. Tony podchodzi do niej, Roz się pochyła, Tony wyciąga twarz ku górze. Całują powietrze po obu stronach swych głów, jak stało się ostatnio modne w Toronto lub w pewnych jego sferach. Roz parodiuje ten rytuał, zasysając policzki i robiąc rybie usta, a do tego zezuje. „Pretensjonalne? *Moi?*” – pyta. Tony uśmiecha się i wchodzi do środka.

„Toxique” to jedno z ich ulubionych miejsc; niezbyt drogie, ale mające styl, chociaż nieco staromodne i brudne. Talerze podają z jakąś dziwną substancją przyklejoną od spodu, kelnerzy niekiedy używają cienia do powiek albo noszą kolczyki w nosie, kelnerki przeważnie chodzą we fluorescencyjnych getrach i skórzanych miniszortach. Z jednej strony wisi długie lustro z przydymionego szkła, uratowane z jakiegoś upadłego hotelu. Na ścianach są przyklejone stare plakaty reklamujące przedstawienia teatru alternatywnego. Ludzie o bladej cerze, obwieszeni łańcuchami, w ponurych, ponadziewanych ćwiekami ubraniach, przemykają do niedostępnych pomieszczeń na zapleczu albo konferują z sobą na rozpadających się schodach prowadzących na dół, do toalet. Specjalności „Toxique” to kanapka z *chèvre* i pieczoną papryką, dorsz w cieście po nowofunlandzku i czasami śluzowata, gigantyczna sałatka z mnóstwem orzechów i startych korzeni. Jest baklawa i tiramisu oraz mocna, narkotyzująca kawa z ekspresu.

Nie chodzą tam w nocy, oczywiście, kiedy dominują grupy rockowe i decybele, ale to dobre miejsce na lunch. Rozwesela je. Sprawia, że czują się młodsze i są śmielsze niż w rzeczywistości.

Charis już jest; siedzi w narożniku, przy stoliku z czerwonym blatem ozdobionym złotymi cętkami, z aluminiowymi nogami; stół może faktycznie pochodzić z lat pięćdziesiątych albo być imitacją. Charis zamówiła już butelkę białego wina i wodę mineralną. Widzi je i uśmiecha się. Pocałunki krążą w powietrzu wokół stolika.

Dzisiaj Charis jest ubrana w luźną, dżersejową sukienkę w kolorze fiołków, puszysty, szary kardigan i pomarańczowo-błękitny szal z polnymi kwiatami, udrapowany wokół szyi. Jej długie proste włosy są koloru szaroblond; ma przedziałek na środku. Okulary do czytania przesunęła na czubek głowy. Brzoskwiniowa pomadka doskonale pasuje do jej karnacji. Charis przypomina nieco wyblakłą reklamę szamponu ziołowego – zdrowa, ale na granicy antyku. Tak wyglądałaby Ofelia, gdyby żyła, albo Maryja w średnim wieku – poważna, ale roztargniona, i z wewnętrznym światłem. Właśnie ono, to wewnętrzne światło, wpędza ją w kłopoty.

Roz wciśnięta jest w kostium, który Tony pamięta z wystawy jednego z droższych salonów mody przy Bloor. Roz kupuje z rozmachem i smakiem, ale często w biegu. Żakiet jest ostro niebieski, spódniczka obcisła. Roz ma wymuskaną twarz, a włosy niedawno przefarbowała. Tym razem są kasztanowe. Usta malinowe.

Twarz nie pasuje do stroju. Nie jest beztroska i smukła, ale pulchna, o zaokrąglonych policzkach różowej dziewczuchy od krów, z dołkami, kiedy się śmieje. Jej oczy, inteligentne, współczujące i ponure, wydają się należeć do jakiejś innej twarzy, szczuplejszej; szczuplejszej i twardszej.

Tony sadowi się na krześle, kładąc pod nie wielką torbę, aby służyła jej za podnózek. Niscy królowie mieli niegdyś podnóżki, aby nogi im nie dyndały, gdy zasiadali na tronie. Tony im współczuje.

– Więc – mówi Roz po wstępnej wymianie słów – jesteście wszystkie na swoich miejscach z radosnymi twarzami. Co nowego? Tony, widziałam przesłiczne wdzianko u Holta, tak by ci pasowało. Ma stójkę – wróciły stójki! – i mosiężne guziki z góry na dół. – Zgodnie ze swym zwyczajem zapala papierosa, Charis jak zwykle pokasłuje. W tej części „Toxique” palenie nie jest zabronione.

– Wyglądałabym jak goniec hotelowy – mówi Tony. – W każdym razie to nie dla mnie.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad szpilkami? – pyta Roz. – Dodałabyś sobie z dziesięć centymetrów.

– Bądź poważna – odpowiada Tony. – Chciałabym móc chodzić.

– Mogłabyś dać sobie zrobić przeszczep nóg – proponuje Roz. – Przedłużenie nogi. Co, czemu nie? Oni wszystko teraz robią.

– Uważam, że ciało Tony jest właściwe – odzywa się Charis.

– Nie mówię o ciele Tony, mówię o jej garderobie – odpowiada Roz.

– Jak zwykle – mówi Tony. Wszystkie się śmieją, nieco niesforne. Butelka wina jest już do połowy opróżniona. Tony wypila tylko parę łyków zmieszanych

z wodą. Uważa z alkoholem pod każdą postacią.

Ich trójka umawia się na lunch raz w miesiącu. Uzależniły się od tego. Nie mają z sobą wiele wspólnego poza katastrofą, która je połączyła – jeżeli Zenię można nazwać katastrofą. Z czasem stały się wobec siebie lojalne, *esprit de corps*. Tony polubiła te kobiety; uważa je za bliskie przyjaciółki lub kogoś w tym rodzaju. Są rycerskie, mają blizny po bitwach, przeszły przez ogień, każda z nich wie teraz o drugiej rzeczy, których nie wie nikt inny.

Spotykają się więc regularnie niczym wdowy wojenne, starzejący się weterani albo żony żołnierzy zaginionych podczas akcji. Jak bywa z takimi grupami, przy stole znajduje się więcej osób, niż można by pomyśleć.

O Zeni jednak nie mówią. Już nie, od czasu, kiedy ją pochowały. Jak twierdzi Charis, mówienie o niej mogłoby zatrzymać ją na ziemi. Tony twierdzi, że ona źle wpływa na trawienie, a Roz powtarza, po co poświęcać jej czas na antenie.

Mimo to ona jest przy stole, myśli Tony. Jest tutaj, my ją zatrzymujemy, poświęcamy jej czas. Nie umiemy pozwolić jej odejść.

Podchodzi kelnerka, by odebrać ich zamówienie. Dzisiaj jest to dziewczyna o włosach żółtych jak mlecz, w rajstopach imitujących skórę geparda i w srebrnych, wiązanych botkach, wysokich do kolan. Charis zamawia „przysmak króliczy” – dla królików, nie z królików – tartą marchewkę, biały ser i sałatkę z zimnej soczewicy. Roz bierze grzanekę z grubym plastrem sera gourmet, ziołami, kminkiem i polskim kiszonym ogórkiem; Tony „przysmak ze Środkowego Wschodu” z kulkami z ciecierzycy, szaszłykiem, kuskusem i pastą hummus.

– À propos Środkowego Wschodu – mówi Roz. – Co się tam dzieje? Tam w Iraku. To chyba twoja specjalność, Tony.

Obie patrzą na Tony.

– Właściwie to nie – odpowiada Tony. Dzięki temu, że jest historykiem, próbowała im to wyjaśnić, z powodzeniem może unikać teraźniejszości, w większości przypadków. Chociaż, oczywiście, obserwuje tamtą sytuację, już od lat. Zostaną sprawdzone nowe i ciekawe techniki, to na pewno.

– Nie bądź taka skromna – mówi Roz.

– Myślisz, że dojdzie do wojny? – kontynuuje Tony. – Mówiąc krótko, tak.

– To straszne – odzywa się przerażona Charis.

– Nie strzelajcie do posłańca – mówi Tony. – To nie moja sprawka; ja tylko wam mówię.

– Ale skąd możesz wiedzieć? – pyta Roz. – Coś może się zmienić.

– To nie jest tak jak z giełdą – wyjaśnia Tony. – To już zostało postanowione. Zostało postanowione, kiedy Saddam przekroczył granicę. Zupełnie jak Rubikon.

– Co? – pyta Charis.

– Nieważne, kochanie, to coś z historii – wtrąca Roz. – Więc jest aż tak źle czy co?

– W bliskiej perspektywie nie – mówi Tony. – W dalszej... Cóż, niejedno imperium rozpadło się, bo za bardzo się rozrosło. To może działać w obie strony. Obecnie jednak Stany nad tym się nie zastanawiają. To im się podoba. Będą mieli szansę wypróbować wszystkie nowe zabawki, podkreślić interes. Nie myślcie o tym jak o wojnie, ale o poszerzaniu rynku.

Charis nadziewa na widelec kawałek marchwi; na górnej wardze zawisła jej odrobina jarzyny, tworząc milutki, pomarańczowy wąsik.

– W każdym razie nie my będziemy to robić – mówi.

– Właśnie, że my – oświadcza Tony. – Nasza obecność będzie konieczna. Jeżeli bierzesz królewskiego szylinga, to całujesz króla w dupę. Będziemy tam, my i nasza rozpadająca się, zardzewiała stara marynarka. To ci dopiero hańba.

– Tony jest właściwie tym wszystkim oburzona; jeżeli chcecie, aby mężczyźni walczyli, powinniście dać im odpowiedni sprzęt.

– Może on się wycofa – sugeruje Roz.

– Kto? – pyta Tony. – Wujek Sam?

– Wujek Saddam, przepraszam za zbieżność nazwisk – mówi Roz.

– Nie może – tłumaczy Tony. – Zaszedł za daleko. Jego własny lud by go zamordował. Jakby nie próbowali wcześniej.

– To przygnębiające – stwierdza Charis.

– A pewnie, że tak – przyznaje Tony. – Żądza władzy wygra. Tysiące ludzi zginą bez potrzeby. Ciało zgniją. Kobiety i dzieci ucierpią. Plagi się rozszaleją. Głód ogarnie ziemię. Powstaną fundacje charytatywne. Urzędnicy będą ssać z nich pieniądze. Nie jest jednak aż tak źle – spadnie procent samobójstw; zawsze spada podczas wojny. A może kobietom uda się dostać na pierwszą linię frontu i powalczyć o feminizm. Chociaż wątpię. Prawdopodobnie będą jak zwykle zajmować się bandażami. Zamówmy jeszcze jedną butelkę wody.

– Tony, jaką ty masz zimną krew – podziwia Roz. – Kto wygra?

– Bitwę czy wojnę? – pyta Tony. – Jeżeli chodzi o bitwę, to z całą pewnością technika. Ktokolwiek z przewagą w powietrzu. A któż to może być?

– Irakijczycy mają jakieś wielkie działo – mówi Roz. – Coś o tym czytałam.

– Tylko część – twierdzi Tony, która sporo o tym wie, ponieważ ją to

interesuje. Ją, tygodnik „Obrona Jane” i nieznane osoby. – Superdział. Będzie to przełom w technice; położy kres samolotom o średnim zasięgu i drogim rakietom, obniży koszty. Zgadnijcie, jak je nazwali? Projekt Babilon! Ale facet, który nad nim pracował, zginął. Szalony konstruktor broni – Gerry Bull. Najlepszy na świecie człowiek od balistyki – notabene, jeden z naszych. Został w pewnym sensie ostrzeżony. Jak go nie było w mieszkaniu, różne rzeczy zmieniały miejsce. To więcej niż podpowiedz, według mnie. Ale on dalej konstruował tę broń, aż trach – pięć kulek w głowę.

– To straszne – odzywa się Charis. – Okropne.

– Możesz wybierać – mówi Tony. – Pomyśl, ilu ludzi zabiłoby to superdział.

– Ale oni, jak słyszałam, są okopani – dodaje Roz. – Mają betonowe bunkry głęboko w ziemi. Odporne na bomby.

– Tylko generałowie – tłumaczy Tony. – Poczekaj, to zobaczysz.

– Tony, jesteś cyniczna – oświadcza Charis z ubolewającym westchnieniem. Żywi nieustającą nadzieję na duchową przemianę Tony, która bez wątplenia polegałaby na odnalezieniu poprzednich wcieleń, częściowej lobotomii oraz zwiększonym zainteresowaniu uprawianiem ogródka.

Tony patrzy na nią, siedzącą przed ślicznym deserem, sorbetowymi kulkami lodów, jedną czerwoną, drugą jagodową, trzecią różową, z łyżeczką w pogotowiu niczym dzieciak na przyjęciu urodzinowym. Taka niewinność sprawia Tony ból.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? Że wszyscy powinniśmy wybrać bardziej pozytywne nastawienie?

– To mogłoby pomóc – poważnie odpowiada Charis. – Nigdy nic nie wiadomo. Gdyby każdy tak postąpił?

Czasami Tony ma ochotę wziąć Charis za różowutką dłoń i zaprowadzić do stosów czaszek, do zamaskowanych dołów pełnych ciał, do głodujących dzieci o wzdętych brzuchach i patykowatych rękach, do kościołów z zaryglowanymi drzwiami, płonących wraz z uwiecznionymi w nich, wyjątkami ludźmi, do krzyży, rząd za rządem, rząd za rządem. Stulecie za stuleciem, coraz dalej w przeszłość, jak daleko można sięgnąć. „Powiedz mi teraz, zapytałaby ją, co widzisz?” „Kwiaty”, odpowiedziałaby Charis.

Zenia by tego nie powiedziała.

Tony przenika dreszcz. Ktoś musiał otworzyć drzwi. Podnosi wzrok i patrzy w lustro.

Tutaj, za nią, pośród dymu, w szkle, w tym pomieszczeniu, stoi Zenia. Nie

ktoś, kto wygląda jak Zenia: sama Zenia.

To nie halucynacja. Kelnerka w gepardziej skórze też ją widzi. Kiwa głową, podchodzi, wskazuje na stolik w tyle. Tony czuje, jak serce jej się ściska, ściska niczym pięść i ciąży jak kamień.

– Tony, co tobie? – pyta Roz. Chwyta Charis za ramię.

– Odwróć powoli głowę – mówi Tony. – Nie krzyknij.

– O, cholera – odzywa się Roz. – To ona.

– Kto? – pyta Charis.

– Zenia – odpowiada Tony.

– Zenia nie żyje – mówi Charis.

– Boże – odzywa się Charis. – To naprawdę ona. Charis, nie gap się, zobaczy cię.

– Po tym, jak zmusiła nas do tej idiotycznej ceremonii – mówi Tony.

– Cóż, jej tam nie było – stwierdza Roz. – Była tylko ta puszka, pamiętacie?

– I ten prawnik – dodaje Tony. Po pierwszym szoku już się nie dziwi.

– Tak – potwierdza Roz. – Adwokat, na mą pupę.

– Wyglądał na adwokata – poprawia Charis.

– Nawet za bardzo – dodaje Roz. – Trzeba to przyznać, wrobiła nas. To jeden z jej numerów.

Szpeczą niczym konspiratorki. Dlaczego, myśli Tony. Nie mamy nic do ukrycia. Powinniśmy podejść do niej i wymóc odpowiedź – co? Jak ona może mieć czelność jeszcze żyć?

Powinny dalej rozmawiać i udawać, że jej nie widzą. Zamiast tego wpatrują się w stół, na którym resztki deseru lodowego stopniały w różowe i malinowe packi i pływają na białych talerzykach niczym dowód ataku rekina. Czują się zaskoczone, czują się uwięzione, czują się winne. To Zenia tak powinna się czuć.

Zenia mijają jednak ich stolik, jakby ich tam w ogóle nie było, jakby nikogo nie było. Tony wyczuwa, że one wszystkie bledną w bijącym od niej blasku. Jej perfumy są nierozpoznawalne: coś intensywnego i mrocznego, posępnego i wszechogarniającego. Zapach spalonej ziemi. Idzie do końca sali i siada; zapala papierosa i patrzy ponad ich głowami przez okno.

– Tony, co ona robi? – szepcze Roz. Jedynie Tony wyraźnie widzi Zenię.

– Pali – mówi Tony. – Czeka na kogoś.

– Ale co ona tutaj robi? – pyta Roz.

– Trwoni czas – odpowiada Tony. – Tak samo jak my.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi Charis płacząco. – Lubiłam ten dzień...

do dzisiaj.

– Nie, nie – odzywa się Roz. – Chciałam powiedzieć: w tym mieście. Cholera, w tym kraju. Ona spaliła za sobą wszystkie mosty. Co jej zostało?

– Nie chcę o niej rozmawiać – oznajmia Tony.

– Nie chcę nawet o niej myśleć – dodaje Charis. – Nie chcę, aby mieszała mi w głowie.

Nie ma jednak nadziei na myślenie o czymś innym.

Zenia jest tak piękna jak zawsze. Jest ubrana na czarno; ma obcisły kostium z dużym dekoltem, który obnaża jej piersi. Jak zawsze, wygląda jak z fotografii, jak supermodelka w ciepłym świetle, w którym znikają wszystkie zmarszczki i piegi, a pozostają tylko zasadnicze rysy. W jej przypadku to pełne, karminowe usta, lekceważące i smutne; duże, głębokie oczy, zgrabnie wygięte łuki brwi, wysokie kości policzkowe zaznaczone lekko brązowym cieniem. Jej włosy to gęsta chmura, rozwiana we wszystkie strony niewyczuwalnym wiatrem, który wszędzie jej towarzyszy, dopasowuje ubranie do ciała, kapryśnie rozrzuca czarne kędziory wokół czoła, szelestem wypełnia powietrze dookoła niej. Pośrodku tego niewidzialnego ruchu Zenia siedzi niewzruszenie, nieruchoma niczym rzeźba. Fale złej woli wypływają z niej niczym promieniowanie kosmiczne.

A może tak widzi tylko Tony. To oczywiście przesada, wyolbrzymienie, ale takie są emocje, jakie zazwyczaj wzbudza Zenia; nadmierne emocje.

– Wyjdźmy – proponuje Charis.

– Nie pozwól, aby cię przestraszyła – mówi Tony jakby do siebie.

– To nie strach – odpowiada Charis. – Niedobrze mi się przez nią robi. Niedobrze mi na myśl o sobie.

– Ona rzeczywiście ma taki wpływ – przyznaje zamyślona Roz, po czym zabierają torebki i zaczynają rytuał dzielenia rachunku. Tony nadal patrzy na Zenię. To prawda, jest piękna jak zawsze, ale teraz Tony dostrzega lekką matowość pudru, jak meszek na winogronach, lekkie zwięzienie porów, skurczenie, jakby część soków została wyszana spod skóry. To uspokaja Tony; w końcu Zenia jest śmiertelna, jak one wszystkie.

Zenia wydmuchuje dym, zniża wzrok. Wpatruje się w Tony. Patrzy poprzez nią, ale nadal dobrze ją widzi. Widzi całą ich trójkę. Wie, jak się czują. Cieszy się tym.

Tony przestaje patrzeć. Serce ma twarde i zimne, ubite jak kula śniegowa. Jednocześnie czuje podniecenie, napięcie, jakby czekała na krótkie słowo,

rozkaz, cięty i śmiertelny. „Naprzód! Ładuj! Ognia!” lub coś w tym rodzaju.

Odczuwa również zmęczenie. Może nie ma już więcej siły do Zeni. Może nie o nią jej chodzi tym razem, co nie znaczy, że nigdy jej nie chodziło.

Koncentruje się na gładkim czerwonym blacie, czarnej popielniczce z pozgniatanymi niedopałkami. Jest na niej wybita srebrnymi literami nazwa restauracji: „Toxique”.

„Euqixot”. Niby azteckie.

O co jej chodzi, zastanawia się Tony. Czego chce?

Co ona tutaj robi, po tej stronie lustra?

Wszystkie trzy, jedna za drugą, wycofują się do drzwi. Dokonują odwrotu. Tony tłumi w sobie impuls, by wyjść tyłem; liczba poszkodowanych rośnie, gdy tyły nie są kryte.

Nie o to chodzi, że Zenia ma broń. A jednak Tony wyczuwa pogardliwe, ultramarynowe spojrzenie, które niczym laser świdruje jej plecy w cienkiej sukience w kropki. „Patetyczne”, na pewno myśli Zenia. Musi się śmiać albo uśmiechać, zadzierając ku górze kąciaki soczystych ust. Ich trójka nie zasługuje na śmiech. „Cięcie”, mruczy do siebie Tony. Takie jak zbroi, godności, włosów.

Tony czuła się bezpieczna dzisiaj rano, wystarczająco bezpieczna. Ale teraz już nie. Nad wszystkim pojawił się znak zapytania. Nawet w najlepszych momentach świat za dnia jest dla niej zbyt subtelny. Wiele wysiłku wkłada w utrzymanie tej upragnionej iluzji stabilności i spokoju, słów płynących z lewa w prawo, rutyny miłości; ale pod spodem jest ciemność. Zagrożenie, chaos, płonące miasta, walące się wieże, anarchia głębokiej wody. Bierze głęboki wdech, aby się uspokoić i czuje, jak tlen i spaliny samochodowe wypełniają jej mózg. Nogi się uginają, domy falują, marszcząc się jak powierzchnia stawu, słabe słońce rozwiewa się jak dym.

Mimo to, kiedy Roz chce ją powieźć do domu lub gdzie tylko zechce, Tony mówi, że pójdzie pieszo. Potrzebuje przerwy, potrzebuje przestrzeni, potrzebuje przygotowań na spotkanie Westa.

Tym razem nie całują powietrza. Zamiast tego obejmują się. Charis drży, mimo prób utrzymania wesołości. Roz jest nonszalancka i swobodna, ale powstrzymuje łzy. Wsiądzie do samochodu i rozplacze się, osuszając łzy rękawem jasnego żakietu, aż będzie gotowa powrócić do swojego biura na ostatnim piętrze wieżowca. Charis z drugiej strony odejdzie spokojnie do przystani promów, zaglądając radośnie w okna sklepowe. Na promie będzie obserwować mewy, wyobrazić sobie, że jest jedną z nich, starając się wypędzić Zenię z myśli. Tony czuje się odpowiedzialna za nie obie. Co one wiedzą o trudnych wyborach? Żadna z nich nic nie pomoże w nadchodzącej walce. Ale... one nie mają nic do stracenia. Nic i nikogo. Tony ma.

Idzie Queen Street, potem skręca na północ na Spadina. Nakłania nogi do

marszu, nakłania słońce do świecenia. „Strach w nim budzi o los obawa / Lub że zasługi jego są zbyt małe / Kto wypowiedzieć nie chce takich słów / Wszystko lub nic, śmierć lub sława”, powtarza w myślach. Pokrzepiający wiersz, ulubiony wiersz generałów. Potrzeba jej perspektywy. „Ywytkepsrep”. Uzdrowiające słowo.

Jej serce powoli się uspokaja. Kojąco działa przebywanie wśród obcych, którzy nie żądają od niej żadnego wysiłku, żadnych wyjaśnień, żadnych zapewnień. Lubi tę mieszaninę uliczną, mieszaninę skór. W zasadzie dominuje Chinatown, chociaż nadal jest tu parę żydowskich delikatesów, wyżej i bardziej z boku portugalskie i indyjskie sklepy na Kensington Market. Rzym w drugim wieku, Konstantynopol w dziesiątym, Wiedeń w dziewiętnastym. Skrzyżowanie. Ci z innych krajów wyglądają, jakby chcieli o czymś zapomnieć, ci stąd, jakby mocno starali się coś sobie przypomnieć. A może jest dokładnie odwrotnie. W każdym razie jest wymiana spojrzeń, zerkanie ukradkiem. Muzyka dochodzi zewsząd.

Na chodniku zaroilo się od osób robiących zakupy w porze lunchu; unikają wpadania na siebie, choć wydają się na siebie nie patrzeć, jakby mieli kocie wąsy. Tony wije się pośród sklepów warzywnych z tropikalnymi owocami i chińskimi liczi, długimi, pomarszczonymi kapustami wyłożonymi na straganach na zewnątrz, pośród sklepów mięsnych z wywieszonymi w oknach błyszczącymi czerwonawo kaczkami, pośród sklepów z obrusami o powycinanych wzorach, z jedwabnymi kimonami, które mają wyhaftowane na plecach smoki na szczęście. Wśród Chińczyków Tony czuje, że jest właściwego wzrostu, chociaż nie wie, jak oni mogą ją postrzegać. Włochaty, biały, obcy diabeł; choć nie jest bardzo owłosiona, jeśli o to chodzi, ani zbytnio diabelska także. Obca, tak. Obca tutaj.

Już niedługo czas, aby poszła z włosami do Liliane, dwie przecznice dalej, za rogiem. Nadskakują jej tam; podziwiają albo udają, że podziwiają jej małe stopy, drobne dłonie, płaskie pośladki, usta w kształcie serduszka, tak niemodne na tle wydętych warg, opuchniętych jak od uządleń, pokazywanych w magazynach mody. Mówią, że jest niemal Chinką.

Jednak tylko niemal. Niemal – zawsze to wyczuwała; w przybliżeniu. Zenia nigdy nie była niemal, nawet w największych szalbierstwach. Jej sztuczność była akceptowana głęboko i nawet najbardziej udawane przebrania były całkowite.

Tony idzie i idzie Spadina obok starej „Victory Burlesque” – jakie zwycięstwo, czyje, zastanawia się – oblepionej plakatami reklamującymi filmy po chińsku,

obok „Grossmans’s Tavern”, przechodzi przez College Street, gdzie szkocka misja oferuje darmową zupę coraz większej grupie ludzi z coraz mniejszą ilością pieniędzy. Może wracać pieszo do domu, nie ma dzisiaj zajęć. Musi przegrupować siły, musi się zastanowić, musi zaplanować strategię. Chociaż ile można zaplanować, kiedy ma się tak mało ruchów? Na przykład, dlaczego Zenia postanowiła zmartwychwstać? Dlaczego zadała sobie tyle trudu, by wpiąć się wysadzić w powietrze? Może miała własne powody, bez żadnego związku z ich trójką. Albo dwójką – z nią i Westem. A jednak, to pech, że Zenia zauważyła ją w „Toxique”.

Może Zenia zapomniała już o Weście. „On jest nic nie wart”, błaga Tony bezgłośnie. „Mała rybka. Po co sobie zawracać głowę?” Zenia lubi jednak polować. Lubi polować na wszystko. Rozkoszuje się tym.

„Wyobraź sobie swojego wroga, mówią eksperci. Postaw się na jego miejscu. Udawaj, że nim jesteś. Naucz się przewidywać jego ruchy”. Na nieszczęście Zeni nie można rozszyfrować. To zupełnie jak w dziecięcej zabawie – nożyczki, papier, kamień. Nożyczki tną papier, ale łamią się na kamieniu. Sztuka polega na tym, aby wiedzieć, co ukrywa przeciwnik: jakie uderzenie, przykrą niespodziankę czy tajną broń za plecami. Przeciwnik. Albo przeciwniczka.

Słońce zachodzi. Tony, szurając liśćmi klonu i kasztana, idzie swoją spokojną ulicą do swojego domu. Do swej warowni. W błędnym świetle dom już nie jest potężny, nie do obalenia. Teraz wygląda raczej na prowizoryczny, przeznaczony na sprzedaż, albo jakby miał odpłynąć. Rusza się lekko, kołysze na cumach. Przed przekręceniem klucza Tony przebiega dłonią po ceglach, upewniając się, że dom istnieje.

West słyszy, jak Tony wchodzi, i woła do niej z góry. Tony przegląda się w lustrze na korytarzu i przybiera swój normalny, według niej, wyraz twarzy.

– Posłuchaj tego – mówi West, kiedy Tony wspięła się już na drugie piętro.

Tony słucha; jeszcze jeden hałas, prawie taki sam – o ile potrafi je rozróżnić – jak wczorajszy. West przynosi hałasy.

– Cudowne – oświadcza Tony. To jedno z jej pomniejszych kłamstw.

West uśmiecha się, co znaczy, że Tony nie słyszy tego, co on, ale lubi ją za to, że tego nie mówi. Ona uśmiecha się w odpowiedzi, z niepokojem badając jego twarz. Sprawdza każdą zmarszczkę, każdą zmianę i inność. Wszystko jest jak zwykle, o ile się nie myli.

Żadne z nich nie ma ochoty na gotowanie, więc West wychodzi do restauracji

japońskiej za rogiem po coś na wynos – węgorz z różną, tuńczyk i suszi z łososia. Jedzą przed telewizorem, siedząc na pufach w pracowni Westa na drugim piętrze; oblizują palce.

West ma telewizor, aby mógł odtwarzać taśmy wideo, na których dźwięki przedstawione są jako kolory i faliste linie; oglądają tu także stare filmy, nocne kryminały, nic nie warte. West zazwyczaj woli filmy, ale dzisiaj prawo wyboru ma Tony, więc oglądają powtórkę serialu o gliniarzach, wyjątkowo napastliwego i wulgarnego, z mocno przesadzonymi scenami gwałtu.

Studenci Tony uśmialiby się, przyłapawszy ją na tym. Wyobrażają sobie, że ich rodzice i nauczyciele nie mogą być tak lekkomyślni i próżni jak oni sami. Tony ogląda kobietę szcزتokującą świeżo umyte włosy i inną – wychwalającą nowy rodzaj podpaski tak ukształtowanej, by wychwytywała każdą kroplę. I dalej patrzy, po raz setny, po raz tysięczny, jak jeden człowiek przygotowuje się do zabicia drugiego.

Tacy ludzie zawsze mają do powiedzenia coś stosownego, zanim rzucą nożem czy złamią komuś kark albo pociągną za spust. Może to zjawisko występuje jedynie na ekranie, może to wymysł scenarzystów; a może ludzie rzeczywiście mówią takie rzeczy w takich okolicznościach? Skąd Tony ma wiedzieć? Czy jest to chęć ostrzeżenia, nasycenia się, zastraszenia wroga, nakłonienia siebie do działania? „*Dieu et mon droit. Noli me impune lacessit. Dulce et decorum est pro patria mori. Nie igraj ze mną*”. Wyzwania, okrzyki wojenne, epitafia. Nalepki na zderzakach.

Ten człowiek mówi: „Jesteś już historią”.

Tony sporządziła w pamięci listę tych telewizyjnych synonimów śmierci. „Jesteś skończony, to twój koniec, już jesteś śmierzdzącym mięchem, padliną, gnijesz”. To zaskakujące, ile z nich ma związek z jedzeniem, jakby ostatecznym poniżeniem było zredukowanie człowieka do substancji odżywczych. „Jesteś historią” od dawna należy do jej ulubionych. To takie dokładne równanie między przeszłością – jakąkolwiek przeszłością, całą przeszłością – a zasłużonym i paskudnym zapomnieniem. „To historia”, obwieszczają młodzi z pogardą, pewni siebie. „To terazniejszość”.

Pokazują zbliżenie przerażonej twarzy człowieka z wybałuszonymi oczami, który wkrótce stanie się historią, jeżeli sprawy potoczą się tym torem, aż nagle scena zmienia się w obraz nozdrzy, przez które przesączają się pomarańczowe bąble niczym „broszki-śmieszki”.

– To okropne – mówi West. Tony nie wie, czy chodzi mu o film czy przekrój nosa. Wyłącza dźwięk i ujmuje jego wielką dłoń; trzyma go za dwa palce umazane sosem sojowym.

– West – odzywa się. Co chce przekazać? „Jesteś taki duży?” Nie. „Nie posiadam ciebie?” Nie. „Proszę, zostań?”

Mutt i Jeff, tak West niekiedy mówi o nich. „Tum i Ffej”, odpowiada Tony. Przestań, mówi West. Kiedy spacerują razem, wyglądają, jakby jedno z nich było na smyczy, ale które? Niedźwiedź i pogromca? Pudel i treser?

– Chcesz piwo? – pyta West.

– Sok jabłkowy – odpowiada Tony. – Proszę. – West zbiera się w sobie, wstaje z pufy i człapie w skarpetach na dół.

Tony siedzi i patrzy, jak nowy samochód bezgłośnie pędzi po górzystej pustyni, na tle płaskich szczytów. Dobre miejsce na zasadzkę. Tony musi teraz podjąć tylko jedną decyzję: czy powiedzieć Westowi. Jak ma to ująć? „Zenia żyje”. A co potem? Co zrobi West? Wybiegnie z domu, bez płaszcza, bez butów? Możliwe. Wysocy ludzie mają głowy zbyt daleko od ziemi, ich środek ciężkości jest zbyt wysoko. Wystarczy jeden wstrząs i przewracają się. Jak Zenia kiedyś powiedziała, West jest wywrotny.

Tknięta przecuciem, wstaje i podchodzi na palcach do biurka Westa, gdzie stoi jego telefon. West nie posiada niczego tak rozsądnego, jak notes z numerami telefonów, ale na odwrotnej stronie zużytego papieru nutowego znajduje to, czego się obawiała: „Z. – Hotel A. Wew. 1409”.

„Z” widnieje na papierze, jakby było nabazgrane na ścianie, wydrapane w oknie, wycięte na ramieniu. „Z” jak Zorro, zamaskowany mściciel. „Z” jak w „godzinie Zero”, „Z” jak „Zabić”.

Zupełnie tak, jakby Zenia była tu przed chwilą i pozostawiła swój szyderczy podpis, ale to pismo Westa. Miłe, myśli Tony. Zostawił to właśnie tutaj, aby nikt tego nie zobaczył; nie wie nawet, że powinien spuścić to w ubikacji. Niemiłe jest to, że jej nie powiedział. Jest mniej przejrzysty, niż myślała, mniej otwarty, bardziej perfidny. Wróg jest już w obrębie murów.

To, co dotyczy ciebie osobiście, nie należy do polityki, myśli Tony; osobiste sprawy stają się domeną wojny. Wojna zaczyna się, gdy zawodzi język.

„Zenia”, szepcze na próbę Tony. „Zenia, jesteś historią”.

„Padliną”.

Charis

Charis wstaje o świcie. Starannie ściele łóżko, ponieważ je szanuje. Wędrując w czasie od jednego łóżka do drugiego – materac na podłodze czy raczej kilka materaców na różnych podłogach, używany tapczan z przykręcanyymi drewnianymi nogami, które nieustannie się łamały, zabójczy dla kręgosłupa miękki siennik, mata z pianki pachnąca chemią – w końcu trafiła na łóżko, które ją zadowala: twarde, ale nie za twarde, z wezglowiem z kutego żelaza pomalowanym na biało. Kupiła je tanio w pracy od Shanity, która pozbyła się go podczas jednej z okresowych transformacji. Wszystko od Shanity przynosi szczęście, i to łóżko też. Jest jasne, jest świeże jak cukierek miętowy.

Charis przykryła łóżko piękną narzutą we wzorki – ciemnoniliowe liście, winna latorośl z gronami na białym tle. Wiktorianańska z wyglądu. Zbyt kapryśna, twierdzi jej córka Augusta, która ma słabość do skórzanych foteli, gładkich jak zgięcie w kolanie, do stolików ze szkła i chromowanych rur, do sof z bawełnianym obiciem, z poduszkami w odcieniu szarokremowym albo herbaty z mlekiem: minimalistyczna zamożność, jak w gabinetach prawników, a przynajmniej tak sobie Charis wyobraża – nigdy nie była w takim biurze. Jej córka wycina z magazynów zdjęcia takich onieśmielających foteli i stolików i wkleja do swojego albumu, który zostawia otwarty w różnych miejscach jako wyrzut dla Charis i jej niechlujstwa.

Jej córka to trudna dziewczyna. Trudno ją zadowolić; a może tylko Charis trudno ją zadowolić. Może tak jest, ponieważ nie ma ojca, a raczej ma niewidzialnego ojca, ojca obrysowanego przerywaną linią, którego Charis musiałaby dla niej pokolorować, dlatego że sama dla siebie nie miała co wybrać, więc jego cechy pozostały niezbyt wyraźne. Charis zastanawia się, czy byłoby lepiej dla córki, gdyby miała ojca. Nie wie, ponieważ sama ojca nigdy nie miała. Może Augusta łagodniej traktowałaby Charis, gdyby oboje rodzice byli nieadekwatni, nie tylko jedno z nich.

Może Charis na to zasługuje. Może w poprzednim życiu była matką przełożoną w ochronce – w wiktorianańskiej ochronce, z kleikiem dla sierot, z

miłym kominkiem i ciepłym łóżem z baldachimem, i puchową kołdrą dla matki przełożonej, co tłumaczyłoby jej upodobanie do kap na łóżko.

Pamięta, że jej własna matka też uważała ją za trudną, zanim stała się Charis, a była jeszcze Karen. „Trudna jesteś, trudna”, krzyczała, uderzając Karen po nogach butem, trzonkiem od miotły albo czymkolwiek, co było pod ręką. Karen nie była trudna, była delikatna, miała delikatny głos. Była tak delikatna, że nie stawiała żadnego oporu. Twarde rzeczy zatapiały się w niej, przechodziły przez nią na wylot, jeżeli naprawdę się postarała. Wtedy nawet nie musiała ich widzieć czy słyszeć albo dotykać.

Może wyglądało to na hardość. „Nie wygrasz tej walki”, mówił wujek, kładąc mięsistą dłoń na jej ramieniu. Myślał, że ona walczy. Może walczyła. W końcu zmieniła się w Charis i zniknęła. Pojawiła się gdzie indziej, od tamtej pory jest gdzie indziej. Kiedy stała się Charis, zrobiła się twardsza, na tyle twarda, aby przetrwać, chociaż nadal nosi miękkie rzeczy, lejące hinduskie muśliny, długie, obszerne spódnice, kwieciste chusty, szale owinięte dookoła szyi.

Tymczasem jej własna córka wybrała lakier. Pomalowane paznokcie, ciemne włosy zamienione żelam w połyskujący kask, chociaż nie na modłę punkową. Jest za młoda, aby tak błyszczeć, ma dopiero dziewiętnaście lat. Jest jak motyl, który jeszcze w połowie będąc poczwarką, został pokryty emalią i zamieniony w broszkę. Jak ona kiedyś się rozwinie? Jej chrzęszczące stroje, jej małe wojskowe buty, jej schludne komputerowe wydruki łamią serce Charis.

Charis dała jej na imię August, ponieważ urodziła się w sierpniu, w sierpniu. Ciepły powiew wiatru, puder dla niemowląt, żar przypalający o mdlenie, zapach skoszonego siana. Takie delikatne imię. Zbyt delikatne jak dla jej córki, która dodała do niego „a”. Augusta – tak ma teraz na imię, zupełnie inne brzmienie. Marmurowe posągi, rzymskie nosy, rozkazy wydawane przez zaciśnięte wargi. Augusta jest na pierwszym roku kursu biznesu; szczęściem dostała stypendium, Charis nigdy by nie było na to stać. Ten jej niejasny stosunek do pieniędzy jest jeszcze jednym źródłem narzekań Augusty.

Jednakże mimo braku gotówki Augusta nigdy nie chodziła głodna. Była dobrze karmiona, dobrze pielęgnowana; za każdym razem, gdy Augusta przyjeżdża w odwiedziny, Charis przyrządza pożywny posiłek z zieleciną, zrównoważoną dawką białka. W prezencie daje Augustcie drobiazgi: woreczki wypełnione płatkami róży, sezamki, aby zabrała je z sobą do szkoły. Nigdy nie są to jednak rzeczy właściwe, zdają się nigdy nie wystarczać.

Augusta każe Charis wyprostować plecy, bo inaczej w starszym wieku zrobi się z niej zwalista baba. Przeszukuje szafy i szuflady Charis i wyrzuca z nich końcówki świeczek, które Charis zebrała, aby kiedyś, jak znajdzie czas,

przetopić na nowe świece, a także kawałki mydła, z których chciała ulepić nowe, i przeznaczone na ozdoby na choinkę resztki włóczki, w których przypadkiem załęgły się mole. Pyta Charis, kiedy ostatni raz czyściła ubikację. Każe jej wyrzucić z kuchni te śmieci, przez które rozumie wiązanki suszonych ziół z czułością hodowanych przez Charis co lato, zwisające z różnej wielkości gwoździ powbijanych we framugę okna – trochę zakurzone, ale jeszcze przydatne, a także druciany koszyk na jajka i cebulę, do którego Charis wrzuca rękawiczki i szaliki, oraz łapki do gorących naczyń w kształcie czerwonej sowy i niebieskiego kota, zrobione gdzieś daleko przez wiejskie kobiety. Augusta marszczy brwi na widok tej sowy i kota. Jej kuchnia będzie biała, mówi do Charis, i bardzo funkcjonalna, wszystko będzie poukładane w szufladach. Już wycięła takie zdjęcie z „Architectural Digest”.

Charis kocha Augustę, ale postanowiła o niej teraz nie myśleć. Jest zbyt wcześnie rano. Zamiast tego będzie podziwiał wschód słońca, co jest bardziej neutralnym sposobem rozpoczęcia dnia.

Podchodzi do małego okna w sypialni i zsuwa zasłonkę wykonaną z tego samego materiału co narzuta na łóżko. Jeszcze nie zdążyła jej obrębić, zrobi to później. Kilka pinezek przytwierdzających górę zasłonki do ściany odskakuje i rozsypuje się po podłodze. Teraz będzie musiała pamiętać, aby nie nadepnąć na nie bosą stopą. Powinna sprawić sobie karnisz czy coś w tym rodzaju albo dwa haczyki z kawałkiem sznurka; to nie byłoby zbyt kosztowne. W każdym razie firanek należy wyprać przed przyjazdem Augusty.

– Nie pierzesz czasami tego tu? – zapytała ostatnim razem. – Wygląda to jak gacie biedaka.

Augusta określa wszystko w obrazowy sposób, który sprawia Charis ból. Jest zbyt ostry, zbyt wyraźny, zbyt szorstki; jakby wycięty z blachy.

Nie szkodzi. Widok z okna uspokaja ją. Dom stoi na końcu szeregu; dalej jest trawa, a potem drzewa: klon i wierzb, w przerwie między drzewami widać przystań, gdzie teraz właśnie słońce zaczyna dotykać powierzchni wody, z której podnoszą się opary mgły. Tak różowa, tak biała, tak delikatnie błękitna, z plasterkiem księżycy i mewami krążącymi i nurkującymi niczym stado dusz. Nad mgłą unosi się miasto, wieża, wieża, wieża, wieżyca, szklane ściany rozmaitych kolorów, czarne, srebrne, zielone, miedziane, chwytające światło i odbijające je czule o tej godzinie.

Z tego miejsca na wyspie miasto wydaje się tajemnicze niczym fatamorgana, niczym okładka popularnej książki *science fiction*. Tak samo jest o zachodzie, kiedy niebo jest jak spalona pomarańcza, potem jak szkarłat jej

wnętrza, potem indygo, aż światła w oknach zamieniają ciemność w mgiełkę; w nocy neony rozświetlają się na niebie, które odbija poświatę zupełnie jak w wesołym miasteczku lub jak coś bezpiecznie płonącego w ogniu. Jedynie w południe, w pełnym blasku dnia, Charis nie ma odwagi patrzeć na miasto. Jest zbyt wyraźne, zbyt zuchwałe i pewne siebie. Rozpycha się i rośnie. Stal i beton.

Charis woli patrzeć na miasto niż w nim się znaleźć, nawet o zmierzchu. Kiedy już tam jest, nie widzi go. Widzi raczej tylko szczegóły. Staje się surowsze, dziobate, pokryte siatką jak mikroskopowa fotografia skóry. Musi do niego jednak jeździć codziennie; musi pracować. Lubi swoją pracę, tak jak pracę można lubić, ale ta praca, jak każda, nakłada kajdany. Planuje więc na każdy dzień coś, co da wytchnienie, sprawi małą radość, coś ekstra.

Dzisiaj je lunch w „Toxique” z Tony i Roz. W pewnym sensie są dla niej niewłaściwymi przyjaciółkami. Aż dziw bierze, że zna je tak długo, od czasów McClung Hall. Właściwie nie zna. Tak naprawdę wtedy nikogo nie znała, jedynie z wyglądu. Tony i Roz są teraz przyjaciółkami, to nie ulega wątpliwości. Są częścią jej sposobu na to życie.

Cofa się od okna i zatrzymuje, by wyjąć ze stopy pinezkę. Nie boli tak, jak by się mogła spodziewać. Przemyka jej przez myśl obraz łoża z gwoździ, na którym leży. Trzeba by się do tego trochę przyzwyczać, ale byłyby to dobry trening.

Ściąga białą bawełnianą koszulę nocną, wypija szklankę wody, którą stawia co noc przy łóżku, aby przypominała jej o przyjmowaniu wystarczającej ilości płynów, i w samych majtkach wykonuje ćwiczenia jogi. Trykot jest w praniu, ale kogo to obchodzi? Nikt jej nie widzi. Mieszkanie w pojedynkę ma pewne dobre strony. W pokoju jest chłodno, ale zimne powietrze działa na skórę jak balsam. Jednym z miłych aspektów jej pracy jest to, że zaczyna się dopiero o dziesiątej, dzięki czemu ma długi poranek i czas, by wrosnąć w dzień.

Oszukuje trochę przy ćwiczeniach, ponieważ nie ma ochoty akurat teraz leżeć na podłodze. Schodzi na dół i bierze prysznic. Łazienka jest przy kuchni, gdyż dodano ją już po zbudowaniu domu. Wiele domów na Wyspie tak urządzono: pierwotnie miały łazienki na dworze, bo były to tylko domki letniskowe. Charis pomalowała łazienkę na radosny różowy kolor, ale to nic nie pomogło na krzywą podłogę. Bardzo możliwe, że łazienka odpada od reszty domu, co tłumaczyłoby pęknięcia i przeciągi zimą. Mogłaby kazać ją podeprzeć.

Charis myje się żelem do kąpieli „Body Shop” o zapachu jeżyny: ramiona, szyję, nogi z niemal niewidzialnymi już bliznami. Lubi być czysta. Kto jest czysty na zewnątrz, jest czysty i w środku, mawiała jej matka, a czysty w środku to jeszcze lepiej. Charis nie jest jednak taka czysta w środku. Resztki

Zeni trzymają się jeszcze jak porwana gaza. Widzi w głowie imię „Zenia”, płonące jak zadrapanie, jak lawa, i przekreśla je grubo czarną kredką. Jest zbyt wcześnie, aby myśleć o Zeni.

Szoruje głowę pod prysznicem, wychodzi, wyciera ręcznikiem włosy i robi przedziałek na środku. Augusta nalega, aby je ścięła i pofarbowała. Augusta nie chce starej, spranej matki. „Spranej”, to jej wymysł. „Lubię siebie taką, jaka jestem” – mówi do niej Charis, ale zastanawia się, czy to rzeczywiście prawda. Odmawia farbowania włosów, bo jak raz zaczniesz, musisz to robić ciągle i tak zaczyna się jeszcze jeden nudny obowiązek. Wystarczy spojrzeć na Roz.

Bada sobie piersi przed lustrem w łazience – musi to robić codziennie, bo zapomni i w ogóle nie będzie tego robiła. Nie znajduje żadnych guzków. Może powinna zacząć nosić stanik. Może zawsze powinna była nosić; nie zrobiłaby się taka sflaczała. Nikt cię nie uprzedza o tym, że się zestarzejesz. Nie, to nie tak. Ludzie mówią, ale ty ich nie słuchasz. „Mama odbiera na innym kanale” – zwykła mówić August koleżankom, zanim dodała „a”.

Charis wyjmuje kwarcowe wahadełko ze ściąganej sznurkiem woreczka z niebieskiego chińskiego jedwabiu – jedwab powstrzymuje wibracje, jak mówi Shanita – i trzyma je nad głową, spoglądając w lustro. „Czy dzisiaj będzie dobry dzień?” – pyta wahadełko. Dwa razy dookoła oznacza „tak”, w tę i z powrotem „nie”. Wisior waha się, zaczyna się kołysać jakby po elipsie. Nie może się zdecydować. Normalnie, myśli Charis. Nagle wahadełko jakby podskakuje i staje. Charis jest zaskoczona; nigdy przedtem tego nie widziała. Postanawia zapytać Shanitę; Shanita będzie wiedzieć. Chowa wahadełko z powrotem do woreczka.

Aby mieć inne spojrzenie na sprawę, bierze Biblię babci, zamyka oczy i wbija szpilkę między kartki. Nie robiła tego od jakiegoś czasu, ale nadal potrafi. Jej dłoń spada, Charis otwiera oczy i czyta: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz”. Pierwszy List do Koryntian – jako zapowiedź dnia niezbyt pomocny.

Na śniadanie je musli wymieszane z jogurtem i wkrojonym jabłkiem. Kiedy Billy mieszkał tutaj, jadalі jajka od dawna nie istniejących kur i boczek. Albo Billy jadł boczki. Lubił.

Charis szybko wymazuje to z myśli – „Skasuj to! Jak taśmę!”, mówi Shanita – obraz Billy’ego i rzeczy, które on lubił. Zastanawia się nad boczkiem. Przestała jadać boczki, kiedy miała siedem lat, a później zrezygnowała i z innych gatunków mięsa. Książka kucharska *Życiu na ratunek* radziła wtedy, aby wyobrazić sobie, jak taki kawałek tłuszczu będzie wyglądać w żołądku.

Funt masła, funt smalcu, plasterek boczku, nie ugotowany, biały, leżący płasko i nieruchomo jak tasiemiec. Charis zbyt dobrze potrafi sobie wyobrazić różne rzeczy; nie poprzestała na tłuszczu. Za każdym razem, gdy wkłada coś do ust, wyobraża sobie, jak to coś przechodzi przez jej przewód pokarmowy do żołądka, gdzie pieni się niemile, potem centymetr po centymetrze przesuwa się przewodem w kształcie długiego, zwiniętego węża ogrodowego, pokrytego małymi gumowymi paluchami, jak sandały do masażu stóp. Prędej czy później wyjdzie drugim końcem. Oto, do czego może doprowadzić koncentrowanie się na zdrowej żywności: wszystko na talerzu widzi w postaci przyszłej kupy.

„Skasuj boczek”, rozkazuje sobie stanowczo. Na dworze zrobiło się teraz słonecznie, powinna o tym pomyśleć. Siedzi przy stole w kuchni, przy okrągłym, dębowym stole, który miała, zanim urodziła się August; siedzi w japońskim kimonie w bambusowe pędy i je swoje musli, odpowiednio długo żując i wyglądając przez kuchenne okno. Kiedyś widziała stąd kurnik. Billy sam go zbudował, a ona pozostawiła go jako pomnik, mimo że nie było w nim już żadnych kur, aż August zmieniła się w Augustę i zmusiła ją do rozbiórki. Zrobiły to razem żelaznymi drągami, a ona potem płakała na białej narzucie w winogrona. Żeby tylko wiedziała, dokąd on odszedł. Musiał go ktoś zabrać siłą. On by tak nie odszedł, nie mówiąc jej nic, nie pisząc...

Ból uderza ją w szyję, przebija się przez krtań, zanim udaje się jej go powstrzymać. „Skasuj ból”. Czasem po prostu nie może. Uderza lekko czołem w krawędź stołu.

– Czasem po prostu nie mogę – mówi głośno.

„Dobrze, w takim razie, przemawia głos Shanity, niech to spłynie. Niech to tylko spłynie po tobie. To tylko fala, jak woda. Pomyśl, jakiego koloru jest fala”.

– Czerwonego – mówi głośno Charis.

„W takim razie, mówi Shanita z uśmiechem, to też może być ładny kolor, prawda? Tylko trzymaj się tego koloru”.

– Tak – zgadza się potulnie Charis. – Ale to boli.

„Oczywiście, że boli! Kto powiedział, że nie będzie bolało? Jeśli boli, to znaczy, że nadal żyjesz! A teraz – jaki kolor boli?”

Charis nabiera powietrza, wypuszcza i kolor znika. To działa też na ból głowy. Próbowала to kiedyś wytłumaczyć Roz, kiedy tamta była pełna bólu, o wiele głębszego i świeższego niż jej. Może nie głębszego.

– Możesz sama się uzdrowić – powiedziała do Roz głosem spokojnym i pewnym jak Shanita. – Możesz nad tym zapanować.

– To gówno prawda – odparła Roz ze złością. – Absolutnie nie ma sensu mówienie, że powinnaś przestać kogoś kochać. To tak nie działa!

- Cóż, powinnaś, jeżeli wiesz, że to dla ciebie źle – upierała się Charis.
- Źle nie ma z tym nic wspólnego – rzekła Roz.
- Lubię hamburgery – powiedziała Charis – a ich nie jem.
- Hamburgery to nie uczucia – oznajmiła Roz.
- Właśnie, że tak.

Charis wstaje, aby nastawić czajnik. Zrobi trochę herbaty „poranny cud”, specjalna mieszanka z pracy. Aby zapalić gaz, ustawia się bokiem, ponieważ w pewnych przypadkach – na przykład teraz – nie lubi odwracać się plecami do drzwi.

Drzwi do kuchni mają szybkę na wysokości głowy. Miesiąc temu, kiedy Augusta wróciła do domu na weekend, nastraszyła Charis. Nie rano, ale wieczorem, o zmierzchu. Mżyło, drobna szkocka mgła; miasto i częściowo jezioro były zasnutę, zachodzące za chmurami słońce nie dawało żadnego światła. Charis nie spodziewała się Augusty tak wcześnie, może nawet dopiero następnego dnia; myślała, że najpierw zadzwoni z łądu, chociaż nie wiedziała kiedy. Augusta zrobiła się bardzo niedbała w kwestii swoich przyjazdów i odjazdów.

Nagle za szybą drzwi pojawiła się głowa kobiety. Biała twarz, niewyraźna w półmroku, w zamglonym powietrzu. Charis odwróciła się od pieca i dostrzegła ją; zjeżyły jej się włosy na głowie.

To była tylko Augusta, ale nie ona przyszła Charis na myśl. Pomyślała, że to Zenia. Zenia o ciemnych włosach ulizanych przez deszcz, mokra i roztrzęsiona, stojąca na progu tak jak kiedyś, dawno temu. Zenia, która nie żyje od pięciu lat.

Najgorsze w tym, myśli Charis, że pomyliła Zenię z własną córką, która do Zeni nie jest wcale podobna. Jaką straszną rzecz zrobiła.

Nie. Najgorsze jest to, że w ogóle się nie zdziwiła.

Nie zdziwiła się, ponieważ ludzie nie umierają, przynajmniej Charis w to wierzy. Tony zapytała ją kiedyś, co rozumie przez „umieranie”; Charis – która denerwuje się, kiedy Tony ją przygwaźdza, i często udaje, że nie słyszy pytania – musiała przyznać, że istotnie przechodzą przez proces zwyczajowo nazywany przez wszystkich śmiercią. Oczywiście, z ciałem dzieją się pewne ostateczne rzeczy, którymi Charis wolałaby się nie zajmować, ponieważ nie postanowiła jeszcze, czy lepiej będzie mieszać się z ziemią, czy – przez kremację – z powietrzem. Obie możliwości jako ogólna idea przypadły jej do gustu, ale kiedy przychodzi co do czego, do szczegółów takich, jak palce rąk i nóg, usta, to już mniej.

Próbowała jednak powiedzieć, że śmierć to jakby faza. Stan, przemiana; to... jakby uczenie się.

Nie potrafi nic wyjaśnić Tony. Przeważnie się jąka i urywa, szczególnie kiedy Tony wbija w nią swoje wielkie i nieco chłodne oczy, powiększone szklami okularów, rozchylając małe usta z ząbkami jak perełki: zupełnie jakby dziwiła się wszystkiemu, co mówi Charis. Ale to nie zdziwienie – jak podejrzewa – panuje wtedy w delikatnej główce Tony. Chociaż Tony nigdy się z niej nie śmieje, nie w twarz.

– Czego się uczysz? – zapytała Tony.

– No, uczysz się – jak być lepszą, następnym razem. Wstępujesz w światło – powiedziała Charis. Tony pochyliła się do przodu i wyglądała na zainteresowaną, więc Charis dalej nieporadnie szukała słów. – Są ludzie, którzy przeżyli pewne doświadczenia ze śmiercią, i to właśnie mówią, stąd my wiemy. Kiedy wracają do życia po śmierci.

– Wracają do życia? – Tony zrobiła wielkie oczy.

– Ktoś robi im masaż serca, sztuczne oddychanie, ogrzewa ich ciało i przywraca do życia – wyjaśniła Charis.

– Chodzi jej o śmierć kliniczną – powiedziała Roz, która często tłumaczy Tony, o co chodzi Charis. – Musiałś czytać te artykuły! Tyle się o tym pisze ostatnio. Ponoć przeżywa się coś w rodzaju widowiska „światło i dźwięk”. Tunele i fajerwerki, barokowa muzyka. Mój ojciec miał takie coś przy pierwszym ataku serca. Pojawił się jego stary kierownik banku, oświetlony jak

choinka, i powiedział ojcu, że nie może jeszcze umierać, ponieważ nie dokończył interesów.

– Ach – odezwała się Tony. – Nie dokończył interesów.

Charis chciała powiedzieć, że nie o to jej chodziło. Naprawdę myślała o życiu po śmierci.

– Niektórzy nie dochodzą do światła – mówiła. – Gubią się w tunelu. Niektórzy nie wiedzą nawet, że umarli.

Nie dodała, że tacy ludzie mogą być niebezpieczni, ponieważ mogą wejść w twoje ciało, wprowadzić się w nie niczym dzicy lokatorzy, a potem trudno ich stamtąd wydostać. Nie zdecydowała się jednak tego powiedzieć, bo i tak byłoby to daremne; Tony potrzebowała dowodów.

– Dobra – powiedziała Roz, która bardzo nieswojo czuła się podczas takich rozmów. – Znam takich ludzi. Mój własny kierownik banku, na przykład. Albo rząd; zupełnie martwy, ale czy oni o tym wiedzą? – zaśmiała się i zapytała Charis, co dolega jej ostróżkom, ponieważ zaczęły czernieć.

– Mączniak – odpowiedziała Charis. Tak właśnie Roz traktowała życie po śmierci; wieczne granice. Na ten jedyny temat Charis miała więcej danych niż Tony.

Kiedy Zenia pojawiła się w drzwiach kuchennych, w deszczu, oto, co pomyślała Charis: pomyślała, że Zenia zgubiła się, że nie może odnaleźć światła. Może nawet nie wie sama, że nie żyje. Co byłoby wówczas bardziej dla niej naturalne, niż zjawić się w domu Charis z prośbą o pomoc? Wcześniej przyszła właśnie po pomoc.

Potem, oczywiście, okazało się, że Zenia wcale nie była Zenią, ale Augustą, która przyjechała na weekend do domu, beznadziejnie samotna, ponieważ – jak podejrzewała Charis – przepadł jakiś inny jej plan, związany z mężczyzną. W życiu Augusty są mężczyźni; Charis to przeczuwa, chociaż ich nie widziała, nie są jej przedstawiani. Najprawdopodobniej uczestniczą w tym samym kursie biznesu, nieopierzeni przedsiębiorcy, którym wystarczy jedno spojrzenie na Charis w tym jeszcze nie w pełni zorganizowanym domu, by uciec w popłochu. Prawdopodobnie Augusta ich powstrzymuje. Może mówi im, że matka jest chora albo wyjechała na Florydę lub coś podobnego.

Augusta nie jest jednak jeszcze całkowicie polakierowana; czasem ma poczucie winy. Wtedy przywiozła bochen chleba z otrębami na znak pokoju i suszone figi. Charis uściskała ją o jeden raz więcej, zrobiła placki z cukinii i dała do łóżka butelkę z gorącą wodą – zupełnie jak wtedy, kiedy Augusta była mała – bo była wdzięczna, iż Augusta to nie Zenia.

A jednak jest tak, jakby Zenia była tu rzeczywiście. Jakby przyszła, a potem odeszła bez tego, czego chciała. Jakby jeszcze miała wrócić.

Kiedy zmaterializuje się następnym razem, Charis będzie przygotowana. Zenia musi mieć coś do powiedzenia. Albo nie. Może to właśnie Charis ma coś do powiedzenia; może właśnie to zatrzymuje Zenię na ziemi. O tym, że Zenia jest w pobliżu, jest gdzieś, Charis wie od czasu pogrzebu. Popatrzyła na pojemnik z prochami Zeni i wiedziała. Prochy mogły tam być, ale prochy to nie osoba. Zeni nie było w pojemniku ani razem ze światłem. Zenia z niczym nie była związana, swobodnie unosiła się w powietrzu, jednocześnie ograniczona do świata pozorów, a wszystko to z winy Charis. To Charis pragnie jej obecności, to Charis nie pozwala jej uwolnić.

Zenia ukaże się; jej biała twarz zamajaczy w owalu szyby i Charis otworzy drzwi. „Wejdz”, powie, ponieważ umarli nie mogą przekroczyć progu, jeżeli ich nie zaprosisz. „Wejdz”, powie, ryzykując własnym ciałem, bo Zenia będzie szukać nowej cielesnej powłoki. „Wejdz”, powie po raz trzeci i najważniejszy i Zenia przeniknie przez drzwi, z zapadniętymi oczami, z włosami jak zimny dym. Stanie w kuchni, światło pociemnieje, Charis będzie się bać.

Nie wycofa się jednak, tym razem nie. „Co zrobili z Billym?”, zapyta ją. To wie tylko Zenia.

Charis wraca na górę i ubiera się do pracy, starając się nie oglądać za siebie. Czasem myśli, że wcale nie jest tak wspaniale mieszkać samej, ale na ogół mimo wszystko to lubi. Może robić, co chce, może być, kim chce, a jeżeli mówi głośno do siebie, nikt się na nią nie gapi. Nikt nie narzeka na kłęby kurzu, może z wyjątkiem Augusty, która wyciąga miotłę i zamiata.

Natrafia na następną pinezkę, tym razem boli mocniej, wkłada więc buty. Kiedy ma na sobie już wszystko, zaczyna szukać okularów do czytania; będzie ich potrzebować w pracy, przy wypełnianiu faktur, i w „Toxique” do przeczytania menu.

Wyczekuje tego lunchu. Zmusza do tego samą siebie, chociaż coś ją powstrzymuje, jakaś intuicja... uczucie tonięcia. Nic gwałtownego – jak eksplozja czy ogień. Coś innego. Często ma takie uczucia, ale jako że nic po nich nie następuje, nie należy się nimi przejmować. Shanita twierdzi, że to przez krzyż Salomona na dłoni, chociaż jest niewyraźny – za dużo drobnych linii. „Odbierasz wiele stacji, mówi Shanita. Zakłócenia kosmiczne”.

Znajduje okulary pod nakrywką na imbryk; nie pamięta, aby je tam kładła. Przedmioty mają własne życie, w jej mieszkaniu poruszają się w nocy. Ostatnio coraz częściej. To prawdopodobnie wina warstwy ozonowej. Przedostają się

nieznane siły.

Ma dwadzieścia minut na dojście do promu. To dużo. Z zasady wychodzi kuchennymi drzwiami; frontowe są zabite gwoździami, od środka izolowane folią plastikową i hinduską narzutą tkaną ręcznie w zielono-niebieski deseń. Izolacja jest na zimę. Latem ją zdejmuje, tylko ostatniego lata nie zabrała się do tego. Pod folią zawsze jest pełno martwych much, niespecjalnie je lubi.

Powietrze na wyspie jest dobre. Oczywiście względnie. Przynajmniej zawsze jest lekki wiatr. Charis staje przed drzwiami i wdycha względnie dobre powietrze, czując, jak orzeźwiająco wypełnia płuca. W warzywniku jeszcze rośnie boćwina, jest marchew i zielone pomidory; w jednym narożniku rdzawo kwitnie chryzantema. Ziemia jest tu żyzna; kurzy nawóz jeszcze działa, a wiosną i jesienią Charis rozsypuje kompost. Już właściwie na to pora, zanim przyjdzie pierwszy mróz.

Kocha ten ogród. Uwielbia klęczeć na ziemi, wpychać ręce głęboko w glebę i szperać pośród korzeni, gdy dżdżownice uciekają jej spomiędzy palców, a ją całą ogarnia zapach babek z piasku i powolnego gnicia. Nie myśli wtedy o niczym. Pomaga roślinom rosnąć. Nigdy nie używa rękawiczek w ogrodzie, ku rozpaczy Augusty.

Shanita mówi, że jej babka jadła ziemię, garść albo dwie na wiosnę. Mówiła, że dobrze jej to robi. (Charis trudno się domyślić, o którą babkę chodzi: Shanita najwyraźniej ma więcej niż dwie.) Co do jedzenia ziemi, to własna babka Charis mogła ją jeść, bo choć niechlujna i przerażająca, znała się na takich sprawach. Charis jeszcze się na to nie zdecydowała, ale ma taki zamiar.

Przed jej domem jest jeszcze wiele do zrobienia. Ostatniej wiosny zrezygnowała z trawnika z zamiarem uzyskania czegoś w rodzaju angielskiego domku na wsi, co, jak myślała, będzie pasować do jej nieco rozsypującego się domu z białych desek. Zasadziła jednak zbyt wiele gatunków, nie poprzerywała roślin ani nie pielęła tyle, ile trzeba. Powstała płatanina. W większości wygrały lwie paszcze; jeszcze kwitną, te najwyższe przewróciły się (powinna je była podeprzeć), ale zaczęły z nich wyrastać nowe pędy. W przyszłym roku wysokie rośliny zasadzi z tyłu i będzie mieć mało kolorowych.

To znaczy, jeżeli w ogóle będzie przyszły rok. Może wcale nie będzie miała domu. Ciągłe trwa wojna miasta z Wyspą. Miasto chce zburzyć domy, wyrównać wszystko, zamienić w park. Wiele domów skończyło w ten sposób kilka lat temu, dopóki ludzie nie zaparli się piętami. Charis postrzega to jako zazdrość; jeżeli ludzie z miasta sami nie mogą tutaj mieszkać, nie chcą, aby mieszkał tu ktokolwiek inny. Dzięki temu ceny nieruchomości są niskie. W

przeciwnym razie, gdzie by się Charis podziiała?

Gdyby nikt nie mieszkał na Wyspie, kto patrzyłby na miasto z oddali, tak jak Charis patrzy co rano o świcie, podziwiając jego piękno? Bez takiej wizji, bez postrzegania jego uroku i możliwości, miasto zgniłoby, rozpadłoby się i runęło w bezużyteczny gruz. Utrzymuje się tylko dzięki wierze; wierze i medytacji, medytacji ludzi takich jak ona. Charis wie to na pewno, ale jak do tej pory nie potrafiła tego dokładnie przekazać w licznych listach do radnych miasta, z których udało się jej wysłać tylko dwa. Samo pisanie jednak wystarcza. Wiadomość zostaje wyemitowana, dociera do głów radnych bez ich wiedzy. Zupełnie jak fale radiowe.

Kiedy dochodzi do doku, prom jest już otwarty. Ludzie wchodzą, pojedynczo i parami; jest coś z procesji w ich wchodzeniu, w przechodzeniu z lądu na wodę. Właśnie tutaj po raz ostatni widziała Billy'ego, a także Zenię z krwi i kości. Byli już na pokładzie; kiedy Charis przybiegła, bardzo zdyszana, podtrzymując brzuch, chociaż taki bieg był dla niej niebezpieczny, przewoźnicy podnosili już trap, prom buczał, wycofywał się, czarna woda tworzyła wir. Nie udałoby się jej skoczyć.

Billy i Zenia nie dotykali się. Byli z nimi dwaj obcy mężczyźni, a może dwaj obcy stali obok nich. Mężczyźni w płaszczach. Billy zobaczył ją. Nie pomachał. Odwrócił się. Zenia nie poruszyła się. Stała w mocno czerwonej aurze. Włosy miała rozwiane dookoła głowy. Słońce znajdowało się za nią, więc nie miała twarzy. Była jak czarny słonecznik. Całe niebo było błękitne. Ich dwoje pomniejszyło się i zniknęło.

Charis nie pamięta, jaki wydała z siebie głos. Nie chce. Stara się zatrzymać ten obraz ich dwojga oddalających się, moment wyciszony i pozbawiony treści, jak nie wypisana pocztówka.

Idzie na górny pokład gotowa do zmiany. W kieszeni ma skórkę od chleba; nakarmi mewy, które już krążą, zerkając na nią, nawołując niczym wygłodniałe dusze.

Może nie wchodzi się do światła przez tunel, myśli Charis. Może jest to łądz, jak myśleli starożytni. Płacisz, przejeżdżasz, pijesz z Rzeki Zapomnienia, potem rodzisz się na nowo.

Miejsce, w którym pracuje Charis, nazywa się „Promiennosc”. Sprzedaje się tu kryształy wszelkiego rodzaju, duże i małe, w postaci wisiorów i kolczyków albo po prostu nie obrabione, a także muszle; olejki importowane z Egiptu i południowej Francji, kadzidelka z Indii, organiczne żele do kąpieli i kremy do ciała z Kalifornii i Anglii, woreczki z korą, ziołami i suszonymi kwiatami, głównie z Francji, karty do tarota w sześciu różnych wersjach, biżuterię tajską i afgańską, taśmy z muzyką New Age, na których jest dużo harfy i fletu, płyty kompaktowe z nagraniami wodospadów, odgłosów wybrzeży morskich, krzyku mew, książki o duchowości Indian amerykańskich, tajemnicach medycyny Azteków, chińskie pałeczki z masy perłowej, japońskie naczynia z laki, małe rzeźbione figurki z chińskiego jadeitu, kartki z życzeniami z ręcznie wytwarzanego papieru makulaturowego, wyklejane suszonymi roślinami, paczki dzikiego ryżu, herbaty bezkofeinowe z rozmaitych krajów, naszyjniki z kauri, suszone nasiona, polerowane kamienie i rzeźbione drewniane paciorki.

Charis pamięta to miejsce jeszcze z lat sześćdziesiątych. Wtedy nazywało się „Odlot”, sprzedawało się tu fajki do haszyszu, psychodeliczne plakaty, szczypczyki do skrętów z marihuany, farbowane w dziwaczne wzory podkoszulki i afrykańskie tuniki. W latach siedemdziesiątych zmieniono nazwę na „Okkult”, były tu książki na temat demonologii, pradawnych religii kobiet, Wikki i zaginionych królestw, Atlantydy i Mu, jakieś niezbyt pociągające przedmioty z kości i śmierdzące – zdaniem Charis, także oszukane – pęczki wykopanych kości zwierząt. W oknie znajdował się wypchany aligator. Przez jakiś czas sprzedawano peruki i zestawy do makijażu do straszenia ze sztuczną krwią i przylepianymi szramami. To było dno, chociaż popularne wśród punków.

Kolejna zmiana nastąpiła na początku lat osiemdziesiątych. Kiedy sklep nazywał się jeszcze „Okkult”, przejęła go Shanita. Szybko pozbyła się wypchanego aligatora, kości i książek o demonach – po co szukać kłopotów, mówiła, nie chciała sporów z organizacjami broniącymi praw zwierząt albo szurniętymi chrześcijanami malującymi sprayem po oknach. To był jej pomysł, by zająć się kryształami i zmienić nazwę na „Promiennosc”.

Właśnie ta nazwa zainteresowała Charis. Najpierw przyszła jako klientka, po herbaty ziołowe. Potem pojawiła się możliwość pracy, a jako że znudziło jej

się zbieranie raportów w Ministerstwie Zasobów Naturalnych – było zbyt bezosobowe, zbyt nerwowe, a poza tym nie była w tym dobra – zgłosiła się tutaj. Shanita zatrudniła ją, ponieważ odpowiednio wyglądała, przynajmniej tak twierdziła Shanita.

– Nie będziesz naprzykrzać się klientom – powiedziała Shanita. – Nie lubią, kiedy się na nich naciska. Chcą się tutaj jakby unosić pośród tych rzeczy, wiesz, o co mi chodzi?

Charis wiedziała. Sama lubi się unosić w „Promienności”. Podoba jej się ten zapach i te rzeczy. Od czasu do czasu zrobi mały interes, przyjmując zamiast pensji jakieś towary po obniżonej cenie, co spotyka się z niezadowolaniem Augusty. „Znowu te śmieci?”, mówi. Nie rozumie, ilu jeszcze japońskich waz z laki i taśm z krzykiem mew Charis rzeczywiście potrzebuje. Charis mówi, że nie jest to kwestia potrzeby w materialnym sensie. To potrzeba duchowa. Teraz upatrzyła sobie wyjątkowo ładny ametyst z Nowej Szkocji. Będzie go trzymała w sypialni, aby odstraszał złe sny.

Wyobraża sobie reakcję Augusty na ten kamień. „Mamo! Co robi ta skała w twoim łóżku?” Wyobraża sobie sceptycznie zainteresowaną Tony: „Czy to naprawdę działa?” i matczyne pobjażanie Roz: „Kochanie, jeżeli ciebie to uszczęśliwia, to jestem za!” To jest problem jej całego życia – wyobrażanie sobie reakcji innych ludzi. Jest w tym za dobra. Potrafi sobie wyobrazić reakcję kogokolwiek – odpowiedzi, emocje, krytykę, żądania – ale oni jakoś się nie odwzajemniają. Może nie potrafią. Może nie posiadają tego daru, jeżeli taki istnieje.

Charis oddała się od przystani ulicą King, potem Queen, wdychając obrzmiałe, miejskie powietrze, tak odmienne od powietrza na Wyspie. To powietrze pełne jest chemikaliów, a także oddechów, oddechów innych ludzi. W tym mieście oddycha zbyt wielu ludzi. Na tej planecie oddycha zbyt wielu ludzi; może byłoby dobrze, gdyby kilka milionów dokonało przeniesienia. Jest to zatrwająco samolubna myśl, więc Charis przestaje myśleć. Każda pojedyncza molekula, którą Charis przyjmuje do płuc i oddaje, była wielokrotnie wsysana i wypompowywana przez płuca milionów innych ludzi. Jeżeli chodzi o to, każda cząsteczka jej ciała była kiedyś częścią kogoś innego lub wielu innych; cofając się w czasie, poza istoty ludzkie, można dojść aż do dinozaurów, aż do pierwotnego planktonu. Nie wspominając o roślinach. Wszyscy jesteście częścią nas wszystkich, rozmyśla. Wszyscy jesteście częścią całości.

To jest kosmiczne postrzeganie. Nagle Charis nachodzi niemiła myśl. Skoro wszyscy jesteście częścią kogoś innego, to ona sama jest częścią Zeni. Albo

odwrotnie. Może właśnie wdycha Zenię. Tę część Zeni, która uszła z dymem. Nie ciało astralne, które nadal unosi się nad ziemią, ani nie prochy, które są bezpieczne w pojemniku pod morwą.

Może właśnie tego chce Zenia! Może martwi ją podzielony stan, część jej energii zamknięta w pojemniku, a część rozdmuchana. Może chce, aby ją wypuścić. Może Charis powinna iść którejs nocy na cmentarz z łopata i otwieraczem do puszek, wykopać ją i rozsypać. Wymieszać z Wszechświatem. Byłby to dobry uczynek.

Dochodzi do „Promiennosci” za dziesięć dziesiątą, chociaż raz wcześniej, i otwiera drzwi własnym kluczem. Wkłada fiołkowo-morski kitel zaprojektowany przez Shanitę, aby klienci rozpoznawali osoby ze sklepu.

Shanita już jest.

– Cześć, Charis, jak tam? – woła z magazynu. To Shanita realizuje wszelkie zamówienia. Ma do tego talent; jeździ na targi rzemiosła do mało znanych miejsc i znajduje rzeczy, cudowne rzeczy, których nie ma w żadnym innym sklepie. Zdaje się wiedzieć z wyprzedzeniem, czego ludzie będą chcieli.

Charis bardzo podziwia Shanitę. Shanita jest bystra i praktyczna, ma także właściwości paranormalne. W dodatku jest silna; jest też jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znała Charis. Nie jest jednak młoda... musi być dobrze po czterdziestce. Nie chce podać wieku – jedyny raz, kiedy Charis ją zapytała, Shanita tylko zaśmiała się i powiedziała, że wiek znajduje się w umyśle, a tam ona ma dwa tysiące lat; w jej włosach pojawiły się jednak białe pasemka. To Charis też podziwia: Shanita nie farbuje się.

Same włosy są czarne, ani kręcone, ani kędzierzawe, tylko faliste, grube, lśniące i powabne, jak płynna czekolada albo lawa, i jak gorące czarne szkło. Shanita zakręca je w różnych miejscach, czasem u góry, czasem z jednej strony. Kiedy są rozpuszczone, zwisają do tyłu jednym grubym splotem. Ma szerokie kości policzkowe, zgrabny, wysoko osadzony nos, pełne usta i duże oczy w ciemnej oprawie, oczy o zadziwiającym odcieniu, który zmienia się od brązowego do zielonego w zależności od tego, w co jest ubrana. Skórę ma gładką, bez zmarszczek, o nieokreślonym kolorze, ani czarnym, ani brązowym, ani żółtym. Ciemny beż, ale beż to szydercze słowo. Nie jest to orzech ani siena palona, ani umbra. To jakieś inne słowo.

Ludzie przychodzący do sklepu często pytają Shanitę, skąd pochodzi.

– Właśnie stąd – odpowiada z nadzwyczaj białym uśmiechem. – Urodziłam się właśnie w tym mieście! – Wobec pytających jest miła, ale to pytanie ją męczy.

– Myślę, że chodzi im o to, skąd pochodzą twoi rodzice – mówi Charis, ponieważ przeważnie o to chodzi Kanadyjczykom, kiedy zadają takie pytanie.

– Nie o to im chodzi – zaprzecza Shanita. – Chcą zapytać, kiedy stąd wyjeżdżam.

Charis nie rozumie, dlaczego ktoś chciałby, aby Shanita wyjechała, ale kiedy to mówi, Shanita śmieje się.

– Ty – mówi do niej – prowadziłaś życie cholernie odizolowane. – Potem opowiada Charis o tym, jak bardzo niegrzeczni wobec niej są biali konduktorzy w tramwajach. – „Przesuń się do tyłu”, mówią do mnie, jakbym była śmieciem!

– Wszyscy konduktorzy są niegrzeczni! „Przesuń się do tyłu”, mówią każdemu; w stosunku do mnie też są niegrzeczni! – oponuje Charis, chcąc pocieszyć Shanitę, ale jest trochę nieszczerą, bo tylko niektórzy konduktorzy są nieuprzejmi, a poza tym ona rzadko jeździ tramwajami. Shanita rzuca jej pogardliwe spojrzenie za to, że nie jest w stanie przyznać się do rasizmu – jak niemal wszyscy biali; Charis czuje się wtedy źle. Czasem myśli o Shanicie jako o nieustraszonemu badaczu, przedzierającym się przez dżunglę. Ta dżungla składa się z ludzi takich jak Charis.

Dlatego powstrzymuje się przed ciekawością, przed zadawaniem pytań na jej temat, o jej rodowód, o to skąd pochodzi. Shanita lubi się z nią przekomarzać. Robi aluzje, zmienia swoją historię. Czasami jest w połowie Chiną, w połowie czarną, z hinduską babką; potrafi naśladować akcent, więc może coś w tym jest. Może to być ta babka, która jadła ziemię, jedna ze Stanów i jedna z Halifaxu, jedna z Pakistanu i jedna z Nowego Meksyku, a nawet jedna ze Szkocji. Może są to przybrane babki, a może Shanita dużo podróżowała. Charis nie potrafi ich sobie ułożyć. Shanita ma więcej babek niż ktokolwiek inny. Czasami jest z plemienia Ojibwa, a kiedy indziej z Majów, raz była po części Tybetanką. Może być kimkolwiek, kim się czuje, bo kto to może powiedzieć?

Tymczasem Charis utknęła na byciu białą. Białym królikiem. Bycie białym staje się coraz bardziej wyczerpujące. Tyle wiąże się z tym złych fał, pozostałych po przeszłości, ale rozciągających się przez teraźniejszość niczym śmiertelne promienie z wysypisk odpadów radioaktywnych. Jest za co pokutować! Samo myślenie o tym wpędza ją w anemię. W przyszłym życiu będzie mieszkanką, mieszaniną, żywą hybrydą, jak Shanita. Wtedy nikt nic nie będzie do niej miał.

Sklep otwiera się dopiero o jedenastej, więc Charis pomaga Shanicie w magazynie. Shanita chodzi między półkami, liczy, a Charis zapisuje cyfry. To

dobrze, że znalazła okulary.

– Będziemy musiały obniżyć ceny – mówi Shanita, marszcząc czoło. – Nic nie schodzi. Trzeba będzie zrobić wyprzedaż.

– Przed Gwiazdką? – dziwi się Charis.

– Jest zastój – tłumaczy Shanita, wydymając usta. – Taka rzeczywistość. O tej porze roku zazwyczaj musiałyśmy jeszcze raz zamawiać towar przed świętami, prawda? A teraz, tylko popatrz!

Charis rozgląda się: półki są denerwująco pełne.

– Wiesz, co schodzi? – pyta Shanita. – To.

Charis wie, ponieważ ostatnio sporo tego sprzedawała. To mała książeczka kucharska, wydana na szarym papierze makulaturowym z czarno-białymi grafikami, instruktażowa: *Smacznie i tanio. Zupy i gulasze za grosz*. Właściwie nie jest to w jej guście. Coś za grosz według niej jest bardzo ograniczające, samo oszczędzanie jest bolesne; jest w tym coś trudnego, coś, co zgrzyta. To prawda, zbiera końcówki świeczek i kawałki włóczki, ale tylko dlatego, że chce – chce z nich tworzyć nowe rzeczy; to akt miłości wobec ziemi.

– Potrzebuję więcej takich rzeczy – oświadcza Shanita. – Prawda jest taka, że myślę o zmianie w sklepie. Zmianie nazwy, pomysłu, wszystkiego.

Serce Charis zamiera.

– Na co byś zmieniła? – pyta.

– Myślałam o „Tanim Ciuchu” – mówi Shanita.

– „Tani Ciuch”? – powtarza Charis.

– No, wiesz. Tak jak kiedyś były te przeceny, wszystko za grosze – wyjaśnia Shanita. – Tylko bardziej twórcze. Zadziała! Kilka lat temu mogłaś handlować w przyływie impulsu. Szalone pieniądze, rozumiesz? Ludzie szastali forszą dookoła. Jedyнным sposobem przetrwania recesji jest nakłonienie ludzi do kupowania, zachęcając ich do oszczędzania; wiesz, o co chodzi.

– Ale „Promiennosc” jest taka śliczna! – woła zasmucona Charis.

– Wiem – przyznaje Shanita. – To była wspaniała zabawa, póki trwała. Ale „śliczne” to luksus. Jak myślisz, ile tych świecidełek ludzie teraz kupią? Może kilka, i to jeśli obniżymy cenę. W dzisiejszych czasach obcina się koszty własne, obcina się wszelkie opłaty, tak trzeba. Jest zupełnie jak na tratwie ratunkowej, wiesz? To moja tratwa, moje życie. Pracowałam cholernie ciężko, wiem, z której strony wieje wiatr, i nie mam zamiaru zatonać razem ze statkiem.

Broni się. Patrzy na Charis, wbija w nią wzrok – dzisiaj ma zielone oczy – i Charis uświadamia sobie, że ona właśnie należy do tych zbędnych kosztów. Jeżeli sprawy się pogorszą, Shanita będzie musiała ją zwolnić i sama prowadzić

sklep; Charis zostanie bez pracy.

Kończą przegląd zapasów i otwierają sklep. Shanicie zmienia się nastrój. Jest teraz przyjazna, nieomal troskliwa. Robi im obu „poranny cud”, siadają przy głównej ladzie i piją herbatę. Nie ma nawału klientów, więc Shanita dla wypełnienia czasu dokładnie wypytuje Charis o Augustę.

Ku niezadowoleniu Charis, Shanita popiera Augustę. Uważa, że jest bystra, skoro uczęszcza na kurs biznesu.

– Kobieta powinna być przygotowana, aby zatroszczyć się o siebie – mówi.
– Za dużo wszędzie leniwych mężczyzn.

Pochwala nawet ten jej zeszyt z fotografiami mebli, który sama Charis uważa za taki zaborczy, taki materialistyczny.

– To dziewczyna z głową na karku – twierdzi Shanita, nalewając więcej herbaty. – Szkoda, że sama nie mam takiej w jej wieku. Zaoszczędziłaby mi wielu kłopotów. – Shanita ma dwie córki i dwóch synów, wszyscy dorośli. Jest nawet babcią, ale niewiele mówi o tej stronie swego życia. Teraz wie już bardzo dużo o Charis, a Charis nie wie o niej prawie nic.

– Moje wahadełko bardzo dziwnie się dzisiaj zachowało – mówi Charis, aby skończyć rozmowę o Auguście.

– Dziwnie? – pyta Shanita. Wahadełka sprzedają w sklepie, pięć różnych wzorów; Shanita jest ekspertem w odczytywaniu ich ruchów.

– Po prostu zatrzymało się – opowiada Santia. – Zamarło tuż nad głową.

– To silna wiadomość – tłumaczy Shanita. – To coś naprawdę nieoczekiwanego, czego nie szukałaś. Może jakaś istota próbuje przesłać ci wiadomość? Dzisiaj jest pierwsza faza Skorpiona, tak? To zupełnie, jakby wahadełko wskazywało palcem i mówiło: uważaj!

Charis czuje lęk; czy może to dotyczyć Augusty, wypadek? To najpierw przychodzi jej do głowy, więc pyta.

– Odbieram coś innego – uspokaja ją Shanita – ale popatrzmy.

Sięga po karty do tarota, które trzyma pod ladą, talię marsylską, jej ulubioną. Charis tasuje i przekłada.

– Wieża – mówi Shanita. – Coś nagłego, jak mówiłam. Kapłanka. Otwarcie, coś, co jest ukryte, zostaje odsłonięte. Miecznik – hm, to ciekawe! Wszyscy rycerze przynoszą wiadomości. A teraz Cesarzowa. Silna kobieta! Nie ty jednak. Ktoś inny, ale nie powiedziałabym, że to Augusta, nie. Cesarzowa to nie młoda dziewczyna.

– Może to ty – sugeruje Charis, a Shanita śmieje się.

– Silna! Jestem złamaną trzcina! – Kładzie następną kartę. – Śmierć –

mówi. – Zmiana. Może być odrodzenie. – Przekłada kartę jeszcze raz. – Och, Księżyc.

Księżyc ze stróżującymi psami, w blasku, skradający się skorpion. W tym momencie dźwięczy dzwonek przy drzwiach, wchodzi klientka. Prosi Charis o dwa egzemplarze *Smacznie i tanio*, jeden dla siebie, jeden na prezent. Charis przyznaje, że książka jest bardzo przydatna i niezbyt droga, ręczne ilustracje są śliczne, i mówi, że owszem, Shanita jest naprawdę oszałamiająca, ale nie pochodzi z żadnego innego miejsca, tylko ze starego, pocziwego Toronto. Przyjmuje pieniądze, pakuje książki, myślami będąc gdzie indziej.

Księżyc, myśli. Iluzja.

O dwunastej Charis zdejmuje kwiecisty kitel, zegna się z Shanitą – we wtorek pracuje tylko pół dnia, więc po lunchu nie wraca – i wychodzi na ulicę, starając się nie wdychać zbyt wiele. Widywała gońców na rowerach z białymi papierowymi масeczkami na nosach, jak pielęgniarki. To moda, myśli; może powinny zamówić takie do sklepu, ale kolorowe, z jakimś ładnym wzorem.

Gdy tylko wchodzi do „Toxique”, zaczyna trzeszczeć jej w głowie, zupełnie jakby była burza albo przerwa w obwodzie. Bombardują ją jony, fale groźnej energii. Ociera palcami czoło i strzepuje, aby się tego pozbyć.

Rozgląda się, wyciągając szyję, za źródłem tych zakłóceń. Czasami wywołują je ludzie, którzy przychodzą handlować narkotykami na schodach do łazienki, ale teraz najwyraźniej nie ma ich tutaj. Podchodzi kelnerka, Charis prosi o stolik przy lustrze. Lustra odbijają.

„Toxique” to niedawne odkrycie Roz. Roz zawsze odkrywa rozmaite rzeczy, szczególnie restauracje. Lubi jeść w miejscach, gdzie nikt z jej biura nigdy nie będzie jadł; lubi, aby otaczali ją ludzie w ubraniach, których ona sama nigdy nie włoży. Lubi myśleć, że ociera się o prawdziwe życie, prawdziwe, czyli biedniejsze niż jej. A może to tylko wrażenie Charis. Próbowwała powiedzieć Roz, że każde życie jest prawdziwe w takim samym stopniu, ale Roz widocznie nie rozumie, o co jej chodzi; chociaż z drugiej strony może Charis nie ujęła tego dostatecznie jasno.

Rzuca spojrzenie na gepardzie rajstopy kelnerki, marszczy nos – te rzeczy są dla niej zbyt dosadne – i nakazuje sobie bezstronność. Zamawia butelkę wody mineralnej i wina; sadowi się, by czekać. Otwiera menu, wyteża wzrok, szuka w torbie okularów, nie może ich znaleźć – czy nie zostawiła ich w sklepie? – w końcu znajduje je na własnej głowie. Musiała tak iść ulicą. Ściąga je na nos i przegląda specjalności dnia. Przynajmniej mają tu zawsze coś wegetariańskiego; chociaż, czy to wiadomo, skąd pochodzą te warzywa? Prawdopodobnie z jakiejś ogromnej, napromieniowanej, przesyconej chemikaliami, przemysłowej farmy.

Prawda jest taka, że niespecjalnie lubi „Toxique” – częściowo z powodu samej nazwy; uważa, że przebywanie w pobliżu tak trującego słowa niszczy neutrony. Stroje kelnerki i kelnerów przypominają jej rzeczy, które kiedyś

sprzedawali w „Okkult”. W każdej chwili może się pojawić sztuczna krew i gumowe szramy. Zgadza się jeść tu od czasu do czasu ze względu na Roz.

Jeżeli chodzi o Tony, to kto wie, co ona myśli o tym miejscu? Charis nie potrafi odczytać Tony; tak było zawsze, od kiedy się poznały, już w McClung Hall. Najprawdopodobniej jednak Tony zachowywałaby się tak samo, gdyby były w „King Eddie” albo „McDonaldzie” – szeroko otwarte oczy, notatki czynione z niedowierzaniem, jak Marsjanin na wakacjach. Zbieranie preparatów. Zamrażanie ich. Wlepianie wszystkiego do pudełek z opisem. Bez żadnego miejsca na to, co niewypowiedziane.

Nie w tym rzecz, że nie lubi Tony. Nie, nieprawda. Bywa, że nie lubi Tony. Tony używa zbyt wielu słów, drażni jej słuch, pobudza pole elektryczne w zły sposób, ale mimo to kocha Tony. Tony jest taka spokojna, tak trzeźwo myśląca, taka przyziemna. Jeśli Charis usłyszy jeszcze kiedyś głosy podszeptujące jej, by podcięła sobie żyły, to zadzwoni właśnie do Tony, aby przyjechała na Wyspę, zajęła się nią, uspokoiła, powiedziała, żeby nie była idiotką. Tony wiedziałyby, co robić, krok po kroku, jedną rzecz po drugiej, we właściwej kolejności.

Nie dzwoniłaby najpierw do Roz, ponieważ Roz uległaby panice, rozplakałaby się i współczuła jej, byłaby z nią zgodna co do nieznośności tego wszystkiego, a później i tak spóźniłaby się na prom. Po wszystkim, kiedy poczułaby się lepiej, Charis poszłaby jednak do Roz, aby ją utuliła.

Roz i Tony wchodzi razem. Charis macha do nich. Robi się zamieszanie, jak zwykle, kiedy Roz wchodzi do restauracji. Obie siadają; Roz zapala papierosa i natychmiast zaczynają rozmawiać. Charis wyłącza się, nie interesuje jej tak bardzo, o czym mówią. Pozwala, aby ich obecność opływała ją. Ich bliskość jest dla niej ważniejsza niż to, co wychodzi z ich ust. Słowa tak często stają się firanami w oknach, ozdobnymi ekranami oddzielającymi od sąsiadów. Aury jednak nie kłamią. Teraz Charis sama ich już nie widzi, tak jak kiedyś. Kiedy była mała, kiedy była Karen, widziała bez trudu. Potrafi jednak wyczuwać, tak jak niewidomi wyczuwają kolory pod opuszkami palców.

Dzisiaj wokół Tony wyczuwa chłód. Przejroczysty chłód. Tony przypomina płatek śniegu, mały, błydy i wymyślny, ale zimny; umysł niczym kostka lodu, wyraźny i kwadratowy, albo szkło, twarde i ostre. A może lód, bo topnieje. W szkolnym przedstawieniu Tony byłaby płatką śniegu; najmniejsze dziecko, zbyt małe, aby grać rolę mówioną, ale przyjmujące wszystko. Charis przeważnie obsadzano jako drzewo albo krzew. Nie powierzano jej roli wymagającej poruszania, ponieważ wpadałaby na innych – tak przynajmniej mówili nauczyciele. Nie rozumieli, że jej niezdarność nie jest taka zwyczajna,

nie jest brakiem koordynacji. Była taka, bo nie wiedziała, gdzie są granice jej ciała, a gdzie zaczyna się świat.

Kim mogłaby być Roz? Charis wyobraża sobie aurę Roz – złotą, wielobarwną i ostrą – oraz jej władczość, a także element wygnania, i obsadza ją w roli jednego z Trzech Króli, ubraną w brokaty i klejnoty, niosącą wspaniały dar. Czy Roz wystąpiła kiedyś w takiej roli? Jej dzieciństwo to istna płatanina, te wszystkie zakonnice i rabinie. Może by jej nie pozwolono.

Charis rzuciła chrześcijaństwo dawno temu z jednej przyczyny: Biblia pełna jest mięsa, zwierzęta składane w ofierze, baranki, woły, gołębie. Kain miał rację, ofiarując warzywa, Bóg źle zrobił, odrzucając je. Jest zbyt wiele krwi; ludzie w Biblii zawsze rozlewają krew, krew na ich rękach, krew zlizywana przez psy. Jest zbyt wiele rzezi, zbyt wiele cierpienia, zbyt wiele łez.

Kiedyś uważała, że niektóre religie Wschodu są bardziej pogodne; przez jakiś czas była buddystką, dopóki nie odkryła, ile tam mają piekieł. Większość religii tak mocno skupia się na karze.

Uświadamia sobie, że zjadła już połowę posiłku, w ogóle tego nie zauważając. Je sałatkę z tartej marchwi i twarogu, mądry wybór; nie pamięta, aby to zamawiała, ale dobrze jest mieć takiego automatycznego pilota, który kontroluje rutynowe czynności. Przez chwilę patrzy, jak Roz je kawałek francuskiego chleba; lubi patrzeć, jak Roz je francuskie pieczywo, łamie je, zanurza nos – „To takie dobre, takie dobre!” – zanim wbije w nie mocne białe zęby. Robi to z ogromnym wdziękiem.

– Tony – mówi Charis. – Naprawdę mogłabym zrobić coś z twoim ogrodem.

Tony ma wielki kawał ziemi za domem, ale jest tam tylko trawnik i kilka chorych drzew. Charis planuje wyleczenie drzew i założenie czegoś w rodzaju zagajnika z arisemą, fiołkami, kokoryczką, roślinami, które lubią cień. Trochę paproci. Nic, co Tony musiałaby pielnić, w tym względzie nigdy nie można było na niej polegać. To by było nadzwyczajne! Może fontannę? Tony jej nie odpowiada, ale po chwili Charis uświadamia sobie, że nie wypowiedziała tego głośno. Bywa, że nie pamięta, czy faktycznie powiedziała coś czy nie. Augusta również narzeka na ten jej zwyczaj.

Nastawia się z powrotem na odbiór rozmowy; mówią o jakiejś wojnie. Charis pragnie, aby nie zajmowały się wojną, ale ostatnio często to robią. Wydaje się, że wojna jest wszędzie, choć tak długo jej nie było. Zaczyna Roz; zadaje Tony pytania, ponieważ lubi wypytywać ludzi o sprawy, na których powinni się znać.

Kilka miesięcy temu jeden z lunchów przegadały o ludobójstwie. Roz chciała rozmawiać o holocauście, a Tony zajęła się szczegółami ludobójstwa na przestrzeni wieków: Dżyngis-chan, katarowie we Francji, rzeź Ormian dokonana przez Turków, później to, co Anglicy zrobili Szkotom i Irlandczykom, śmierć za śmiercią, coraz bardziej okropna, aż Charis myślała, że zwymiotuje.

Tony potrafi się tym wszystkim zajmować, daje sobie radę. Może dla niej to tylko słowa, ale dla Charis słowa stają się obrazami, krzykami i jękami, zapachem gnijącego mięsa i spalenizny, palących się ciał, fizycznego bólu. Zajmowanie się tym sprawia, iż to się urzeczywistnia. Charis nie potrafi wytłumaczyć tego Tony tak, by ją zrozumiała, poza tym boi się, że uznają ją za głupią. Histeryczkę, kretynkę, dziwaczkę. Wie, że czasami tak o niej myślą.

Wstała więc i zesłała po rozwalających się schodach do łazienki, gdzie na ścianie wisiał plakat Renoira – różowa kobieta o zaokrąglonych kształtach, wycierająca się po kąpieli, fiołkowa gra świateł na jej ciele; z obrazu emanował spokój. Kiedy Charis wróciła na górę, Tony nadal była w Szkocji, wśród góralek i dzieci ściganych pośród wzgórz, nadziewanych na włócznie i zabijanych jak płowa zwierzyna.

– Szkoci! – powiedziała Roz, która chciała wrócić do holocaustu. – Bardzo dobrze na tym wyszli, popatrz tylko na tych wszystkich bankierów! Kogo oni obchodzą?

– Mnie – odezwała się Charis, zadziwiając siebie i je obie. – Mnie obchodzą. – Spojrzały na nią zaskoczone, ponieważ przywykły, że wyłączała umysł, kiedy one rozmawiały o wojnie. Myślały, że to jej nie interesuje.

– Ciebie? – zdziwiła się Roz, unosząc brwi. – Dlaczego, Charis?

– Powinniśmy się troszczyć o wszystkich – odparła. – A może dlatego, że po części jestem Szkotką. Częściowo Szkotką, częściowo Angielką. Częścią tych wszystkich ludzi, którzy zabijali się nawzajem. – Opuszcza menonitów, bo nie chce denerwować Roz, chociaż menonici nie są uważani za prawdziwych Niemców. Poza tym, oni nigdy nie zabijają, sami stają się ofiarami.

– Kochana, przepraszam – rzekła Roz pełna skruchy. – Oczywiście! Ciągłe zapominam. Głupia *moi*, że uważam cię za czystą *crème de la WASP*. – Poklepała Charis po ręce.

– Jednak ostatnio nikt ich nie zabijał – powiedziała Charis. – Nie wszystkich naraz. Chyba właśnie dzięki temu tutaj trafiliśmy.

– Tutaj trafiliśmy? – spytała Tony, rozglądając się dookoła. Czy Charis miała na myśli „Toxicque”?

– Z powodu wojen – odparła Charis, nieszcześliwa; nie bardzo lubiła taką wnikliwość. – W tym kraju. Wojen takich lub innych. Ale to było wtedy.

Powinniśmy żyć w terażniejszości, nie uważacie? A przynajmniej starać się.

Tony uśmiechnęła się do Charis czule, jak zazwyczaj w takich przypadkach.

– Ma absolutną rację – powiedziała do Roz, jakby to wydarzenie warto było odnotować.

Rację względem czego, zastanawia się Charis. Względem wojen czy terażniejszości? W standardowej wypowiedzi na temat terażniejszości Tony mówi, jak wiele dzieci rodzi się teraz w ciągu każdej minuty, w tej terażniejszości, którą tak bardzo lubi, i jak wzrost tempa narodzin w nieunikniony sposób prowadzi do większej liczby wojen. Następnie rzuca wzmiankę o szaleńczym zachowaniu się szczurów w przepełnionych klatkach. Charis jest wdzięczna, że nie robi tego dzisiaj.

W końcu dochodzi jednak do tego, do groźby: to Saddam Husajn i inwazja na Kuwejt oraz to, co się stanie później.

– To już zostało postanowione – mówi Tony. – Jak Rubikon.

– Co? – pyta Charis.

– Nieważne, kochanie, to coś z historii – wtrąca Roz, ponieważ rozumie, że nie jest to ulubiony temat rozmowy dla Charis; daje jej zezwolenie na odpłynięcie.

Wtedy Charis przypomina sobie, co to takiego Rubikon. To ma związek z Juliuszem Cezarem, pamięta z liceum. Przemierzył Alpy na słońcach; jeszcze jeden, który wślawił się zabijaniem ludzi. Gdyby przestali takim dawać medale, myśli Charis, gdyby przestali urządzać im defilady i stawiać pomniki, wtedy oni przestaliby to robić. Przestaliby zabijać. Robią to, aby zwrócić na siebie uwagę.

Może to właśnie nim była Tony w poprzednim wcieleniu – Juliuszem Cezarem. Może za karę Juliusz Cezar został powtórnie przysłany w ciele kobiety – w ciele bardzo niskiej kobiety – aby wiedział, jak to jest być pozbawionym siły. Może właśnie tak sprawy się mają.

Otwierają się drzwi, staje w nich Zenia. Charis robi się zimno, wciąga powietrze. Jest gotowa, przygotowywała się na to, chociaż „Toxique” to ostatnie miejsce, gdzie by się tego spodziewała: tej manifestacji, tego powrotu. Wieża, myśli Charis. Nagłe wydarzenie. Coś, czego nie szukałaś. Nic dziwnego, że wahadełko zamarło tuż nad głową! Ale dlaczego Zenia kłopotczy się otwieraniem drzwi? Mogła przez nie przeniknąć.

Zenia ubrana jest na czarno, co nie jest niespodzianką, czerń to jej kolor. Dziwne jest to, że jest grubsza. Śmierć ją wypełniła, co nie jest normalne. Duchy bywają chudsze, wygłodniałe, wysuszone, a Zenia wydaje się w dobrej

kondycji. Szczególnie jej piersi są większe. Ostatnim razem, kiedy Charis widziała ją żywą, była chuda jak grabie, prawdziwy cień; piersi miała zupełnie płaskie, niczym okrągłe kółka wycięte z tektury, przyklejone do klatki piersiowej i przypięte sutkami. Teraz można by powiedzieć, że jest zmysłowa.

Jednakże jest zła. Ciemna aura wiruje dookoła niej jak korona wokół słońca w zaćmieniu, tyle że negatywna; korona ciemności, a nie światła. Jest to buzująca, błotnista zieleń, poznaczona żyłkami krwawej czerwieni i szarawej czerni – to najgorsze, najbardziej destrukcyjne kolory, śmiertelna aureola, widzialne skażenie. Charis będzie musiała przywołać całe swoje światło, to białe światło, nad którym tak usilnie pracowała, które magazynowała przez lata. Będzie musiała natychmiast przeprowadzić medytację, i to tutaj! Zenia dobrze wybrała miejsce na spotkanie: „Toxique”, gwar rozmów, dym papierosów, spaliny, ciężkie powietrze miasta wypełnione oddechami – to wszystko działa na korzyść Zeni. Staje w drzwiach, mierząc pomieszczenie pogardliwym, zawistnym wzrokiem, i ściąga rękawiczkę; Charis zamyka oczy i powtarza do siebie: „Myśl o świetle”.

– Tony, co tobie? – pyta Roz, i Charis otwiera oczy. Do Zeni podchodzi kelnerka.

– Odwróć powoli głowę – mówi Tony. – Nie krzyknij.

Charis patrzy z zainteresowaniem, czy kelnerka przejdzie przez Zenię, ale nie, zatrzymuje się. Musi coś wyczuwać. Chłód.

– O, cholera – odzywa się Roz. – To ona.

– Kto? – pyta Charis, zaczyna się wkradać niepewność. Roz rzadko używa takich słów. To coś ważnego, na pewno.

– Zenia – mówi Tony. Więc one też ją widzą! Cóż, dlaczego nie? Mają jej sporo do powiedzenia, każda z nich. Nie tylko Charis.

– Zenia nie żyje – oznajmia Charis. Ciekawe, po co wróciła, myśli. Po kogo. Aura wokół Zeni zbladła albo Charis już jej nie widzi. Zenia jest najwyraźniej z ciała, materialna, bezwzględnie żywa. – Wyglądał na adwokata – mówi Charis.

Zenia podchodzi do niej, a ona przygotowuje wszystkie siły na moment uderzenia. Jednakże Zenia mija je. Jest ubrana w sukienkę z drogiego materiału, ma długie nogi, zadziwiające nowe piersi, chmurę błyszczących włosów wokół ramion, czerwone gniewne usta, rozsiewa piżmową woń perfum. Celowo nie zauważa Charis, nie chce jej zauważyć; przesuwając nad nią dłoń ciemności, roszcząc sobie do niej prawo, wymazując ją.

Charis, roztrzęsiona, zamyka oczy; walczy z mdłościami, walczy o władzę nad własnym ciałem. „Moje ciało, moje”, powtarza. „Jestem dobra. Istnieję”.

W ciemnościach swej głowy rozświetlonych poświatą księżyca widzi obraz:
wysoka budowla, coś spada z jej wierzchołka, frunie w powietrzu, koziółkuje.
Rozpada się.

Stoją w trójkę przed „Toxique” i żegnają się. Charis nie jest zupełnie pewna, jak stamtąd wyszła. Wyprowadziło ją jej własne ciało, samodzielnie. Ciało zajęło się samym sobą. Charis drży pomimo słońca, zimno jej, czuje się chudsza, lżejsza i bardziej porowata, jakby cała energia została z niej odsączona, energia i materia, po to, by zmaterializować Zenię. Zeni udało się wrócić, wrócić poprzez rzekę; jest teraz tutaj, w nowym ciele, pochwyciła kawałek ciała Charis i wessała w siebie.

Chyba jednak tak nie jest. Zenia prawdopodobnie żyje, ponieważ inni ludzie ją widzieli. Siedziała na krześle, zamówiła coś do picia, zapaliła papierosa, chociaż żadna z tych rzeczy nie jest konieczną oznaką życia.

– Uważaj na siebie, kochanie. Zadzwoń do ciebie, dobrze? – mówi Roz, ściskając ją za rękę i odchodzi w stronę samochodu. Tony już się do niej uśmiechnęła i odchodzi, odeszła. Jej krótkie nogi niosą ją miarowo ulicą jak nakręcaną zabawkę. Charis przez chwilę stoi przed „Toxique”, zagubiona. Nie wie, co robić. Mogłaby się obrócić i wejść tam z powrotem, podejść do Zeni, stanąć nad nią, ale to, co chciała Zeni powiedzieć, wyparowało, uleciało z głowy. Pozostał tylko warkot.

Mogłaby wrócić do sklepu, do „Promiенności”, mimo że dzisiaj ma wolne i Shanita jej się nie spodziewa. Mogłaby opowiedzieć wszystko Shanicie. Ona jest nauczycielem, może potrafiłaby pomóc. Prawdopodobnie Shanita nie będzie jej współczuć. „Taka kobieta, powie, jest niczym. Dlaczego się nią zajmujesz? Ty dajesz jej moc, dobrze o tym wiesz! Jakiego jest koloru? Jakiego koloru jest ból? Skasuj taśmę!”

Shanita nigdy nie przyjęła dawki Zeni. Nie jest w stanie uświadomić sobie, nie potrafi zrozumieć, że Zeni nie można unicestwić medytacjami. Gdyby można było, Charis dawno by tego dokonała.

Postanawia wrócić do domu. Napełni wannę, włoży trochę skórek pomarańczy, nieco olejku różanego, kilka goździków; upnie włosy, wejdzie do wanny i pozwoli, by ręce unosiły się swobodnie w perfumowanej wodzie. Zmierzając ku temu celowi, idzie w dół zbocza, w kierunku jeziora i przystani promowej; skręca jednak w następną przecnicę w lewo i wędruje wąską alejką do następnej ulicy, znowu skręca w lewo i znajduje się z powrotem w

Queen.

Jej ciało nie chce, aby szła teraz do domu. Namawia ją, by napiła się kawy, gorzej, kawy z ekspresu. To takie niezwykle – na ogół żądania jej ciała dotyczą soku owocowego albo wody – że czuje się zmuszona posłuchać tych nakazów.

Dokładnie naprzeciw „Toxique” znajduje się kawiarnia. Nazywa się „Kafay Nwar”, w oknie wisi różowy neon w stylu lat czterdziestych. Charis wchodzi i siada przy jednym z małych, okrągłych stolików o chromowanych brzegach; zdejmuje kardigan. Kiedy podchodzi kelner, w koszuli z kontrafałdą, czarnej muszce i dzinsach, Charis zamawia Espresso Esperanto – wszystko w menu ma skomplikowane nazwy: Cappuccino Cappriccio, Tarte aux Tarts, Sadystyczne Ciasto z Błota – i obserwuje drzwi „Toxique”. Jest dla niej jasne, że jej ciało w zasadzie nie chce kawy. Jej ciało chce śledzić Zenię.

Aby nie rzucać się w oczy jako obserwator, wyciąga z torby śliczny notes, na który wydała część pensji. Ma ręcznie wykonaną oprawę z marmurkowego papieru, zamszowy grzbiet w kolorze burgunda, stronicie są lekko lawendowe. Pióro, które do niego dokupiła, jest szaroperłowe, napełnione szarozielonym atramentem. Pióro i atrament także nabyła w „Promienności”. Smutno jej, że „Promiennosc” podupada. Tyle prezentów.

Notes jest do zapisywania myśli, ale jak dotąd żadnej nie zapisała. Nie chce psuć piękna czystych kart, ich potencjału; nie chce ich zużyć. Teraz jednak odkręca pióro i pisze drukowanymi literami: Zenia musi wracać. Kiedyś uczestniczyła w kursie kaligrafii, więc wiadomość wygląda elegancko, nieomal jak pismo runiczne. Pisze po jednej literze, podnosząc wzrok między wyrazami i patrząc ponad oprawą okularów na ulicę, aby nic nie uszło jej uwagi.

Najpierw więcej ludzi wchodzi, niż wychodzi, potem więcej wychodzi, niż wchodzi. Żaden z wchodzących nie jest Billym; myśląc realnie, nie spodziewa się go, ale nigdy nic nie wiadomo. Żadna z wychodzących osób nie jest Zenią.

Dostaje kawę, ciało podpowiada, aby wzięła dwie kostki cukru, więc bierze je, szybko pije kawę i czuje uderzenie kofeiny oraz napieranie cukru na głowę. Skupia się teraz, ma wzrok jak promienie rentgena, wie, co ma robić. Ani Roz, ani Tony jej w tym nie pomogą, nie muszą jej w tym pomagać, ponieważ ich historie, ich historie z Zenią, mają zakończenie. Przynajmniej wiedzą, co się stało. Charis nie wie, nigdy nie wiedziała. To tak, jakby jej historia, historia z Zenią i Billym, biegła ścieżką, na której nagle urywają się ślady.

W końcu, kiedy Charis zaczyna już myśleć, że Zenia wymknęła się tyłem albo zdematerializowała, drzwi otwierają się i Zenia wychodzi. Charis spuszcza nieco oczy; nie chce pełnym, supernaladowanym wzrokiem objąć Zeni, nie

chce cała jej się oddać. Zenia nawet nie patrzy w jej stronę. Jest z kimś, kogo Charis nie zna. Młody blondyn. Nie Billy. Jest zbyt drobny jak na Billy'ego.

Nawet gdyby to był Billy, nie mógłby być tak młody, choć mógłby być gruby albo łysy. W jej myślach pozostał w tym samym wieku, w jakim był, kiedy go ostatni raz widziała – w tym samym wieku, tej samej tuszy, wszystko takie samo. Pod nogami znowu otwiera się przepaść, znajoma zapadnia. Gdyby była sama, gdyby była w swojej kuchni w domu, a nie w „Kafay Nwar”, uderzyłaby lekko głową w krawędź stołu. Ból jest czerwony, czuje go i nie może wymazać.

Zenia nie jest szczęśliwa, myśli Charis. To nie jest spostrzeżenie, ale raczej zakłęcie, czar. Nie może być szczęśliwa. Gdyby szczęście było jej dane, byłoby to całkowicie niesprawiedliwe; we wszechświecie musi być równowaga. Zenia uśmiecha się do mężczyzny, którego twarzy Charis nie widzi dokładnie, bierze go pod rękę, idą ulicą; z daleka wygląda na szczęśliwą.

Współczucie dla wszystkich żywych istot, Charis upomina samą siebie. Zenia żyje, więc trzeba mieć dla niej współczucie.

Te słowa mają takie znaczenie, ale Charis uświadamia sobie, że w tym momencie nie okazuje Zeni żadnego współczucia. Wręcz przeciwnie, wyraźnie widzi, jak sama spycha Zenię ze zbocza lub czegoś wysokiego.

Weź to uczucie, mówi sobie, bo chociaż jest zupełnie nic niewarte, należy je w pełni przyjąć, zanim się je odrzuci. Koncentruje się na tym obrazie, przybliża go sobie; czuje na twarzy wiatr, jest świadoma wysokości, słyszy, jak we wnętrzu jej ciała uruchamiają się mięśnie rąk, wyczekuje krzyku, ale Zenia nie wydaje żadnego dźwięku. Tylko spada, a jej włosy rozpościerają się za nią niczym czarna kometa.

Charis zawija ten obraz w papierową serwetkę i z wysiłkiem wyrzuca z siebie. Chce tylko z nią porozmawiać, mówi sobie. To wszystko.

Powstaje zamieszanie, szelest suchych skrzydeł. Zenia zniknęła z owalnego okna kawiarni. Charis zbiera notes, pióro, kardigan, okulary, torbę i przygotowuje się, by podążyć za nią.

Roz

W swoim śnie Roz otwiera drzwi. Nic nie ma za jednymi, nic nie ma za drugimi, a ona się spieszy, limuzyna z lotniska czeka, a Roz niczego nie ma na sobie, niczego na wielkim, obwisłym, surowym, żenującym ciele. W końcu znajduje właściwe drzwi. Są za nimi ubrania, długie płaszcze wyglądają na męskie palta, ale światło nie chce się zapalić i pierwszy płaszcz, jaki wyciąga, jest wilgotny i cały pokryty żywymi ślimakami.

Budzik dzwoni w samą porę.

– Matko Boska, jak babcię kocham – Roz mamrocze nieprzytomnie. Nienawidzi snów o ubieraniu się. Jest zupełnie jak na zakupach, tylko że nigdy nie znajduje tego, czego chce. Chociaż woli, jak śnią się jej ślimaki pokrywające płaszcz niż Mitch.

Albo Zenia. Szczególnie Zenia. Niekiedy ma sen o Zeni, jak nabiera kształtu w narożniku sypialni Roz, jak składa się w całość z fragmentów ciała po wybuchu bomby: ręka, noga, oko. Zastanawia się, czy Zenia była kiedykolwiek w tej sypialni pod nieobecność Roz. Razem z Mitchem.

W ustach czuje smak dymu. Wyciąga rękę, szukając po omacku budzika, zrzuca ze stolika nocnego najnowszy kryminał. Morderstwa na tle seksualnym, seks i zbrodnia, w tym roku tylko to idzie. Czasem tęskni za spokojnymi wiejskimi domami w Anglii z książek czasów jej młodości; ofiarą w nich zawsze był jakiś złośliwy stary sknera, który na to zasługiwał, a nie ktoś niewinny, wybrany przypadkowo z ulicy. Te skneruchy ginęły od trucizny albo pojedynczej kuli. Ciała nie krwawiły. Detektywami były dystyngowane, siwe damy, które zajmowały się głównie szydełkowaniem, albo bardzo eleganccy ekscentrycy bez jakichkolwiek funkcji cielesnych. Koncentrowali się na drobnych, nieszkodliwie wyglądających śladach: guzikach od koszul, końcówkach świec, natce pietruszki. Najbardziej podobało jej się umeblowanie: pokoje pełne mebli, i to tak niespotykanych! Rzeczy, o których istnieniu nie wiedziała. Stoliki do herbaty na kółkach. Pokoje bilardowe. Kandelabry. Wozownie. Chciała mieszkać w takich domach! Kiedy jednak wraca do tych

książek, już jej nie interesują; nawet dekoracje nie przyciągają uwagi. Może pociąga mnie krew, myśli. Krew, przemoc i gwałt, tak jak każdego.

Przetacza nogi poza krawędź wielkiego łóża z kolumnami – błąd, dosłownie łamie sobie kark za każdym razem, kiedy musi wygramolić się z tego cholerstwa – i wsuwa stopy w aksamitne pantofle. Pantofle gospodyni, jak nazywają je bliźniaczki, nie wiedząc, jakie niepokojące echa wywołuje u niej to słowo. Nigdy w życiu nie widziały gospodyni. Roz nadal nie potrafi stwierdzić, czy każda z nich ma własne życie czy obie mają jedno. Ona czuje jednak przymus noszenia atrakcyjnego obuwia przez cały dzień – butów pasujących do kostiumów, na wysokim obcasie; w domu zasługuje więc na coś bardziej wygodnego dla zbolałych stóp, bez względu na to, co mówią bliźniaczki.

Ta cała biel w sypialni to też błąd – białe zasłony, biały dywanik, biała narzuta na łóżko. Nie wie, co ją naszło. Może chciała, by sypialnia wyglądała jak pokój dziewczęcy; chciała cofnąć się w czasie, stworzyć sypialnię nastolatki, której tak bardzo pragnęła, ale nigdy nie miała. To było wtedy, gdy odszedł Mitch. Związał, zwinął się, wymeldował, jest bardziej na miejscu. Zawsze traktował ten dom jak hotel, ją traktował jak hotel. Musiała wyrzucić wszystko, co było w domu, gdy z nimi mieszkał, musiała określić się na nowo. Chociaż z pewnością to nie jest ona! Łóżko wygląda jak kołyska albo tort weselny, albo jeszcze gorzej, jak wielkie, faliste ołtarze, które budują w Nowym Meksyku na Święto Zmarłych. Nigdy się nie dowiedziała (kiedy tam była z Mitchem podczas miesiąca miodowego, gdy byli tacy szczęśliwi), czy wszyscy zmarli wracali, czy tylko ci zapraszani.

Jest paru takich, bez których mogłaby się obejść. Tego jej tylko trzeba, umarlaki wpraszające się na obiad! A ona sama leży w łóżu jak wielki kawałek ciasta owocowego. Urządzi na nowo ten pokój, doda trochę smaczków, czegoś bardziej stylowego. Dosyć bieli.

Człapie do łazienki, wypija dwie szklanki wody, by zaopatrzyć komórki, bierze witaminy, myje zęby, natłuszcza, naciera, ożywia i wygładza skórę; łypie na siebie groźnie w lustrze. Jej twarz zamula się niczym staw; piętrzą się warstwy. Od czasu do czasu, kiedy praca na to pozwala, spędza kilka dni w ośrodku rekreacyjnym na północ od miasta, pijąc soki warzywne i poddając się kuracji ultradźwiękowej: wszystko to w poszukiwaniu prawdziwej twarzy, tej, która, jak wie, jest gdzieś tam pod spodem. Wraca uspokojona, silna i głodna, a także zła na siebie. Na pewno już nie próbuje; na pewno nie robi już tego dla mężczyzn. To rzuciła. „Robię to dla siebie samej”, mówi Tony.

– Spieprzaj, Mitch – rzuca do lustra. Gdyby nie on, odprężyłaby się, mogłaby być w średnim wieku. Jednakże gdyby tu był, nadal próbowałaby go

zadowolili. „Próbowałyby” to kluczowe słowo.

Włosy musi zmienić. Tym razem są zbyt czerwone. Wyglądają jak pomalowane ochrą; to słowo zawsze podziwiała. „Ruda wiedźma”, czytała kiedyś w angielskich kryminałach, przysiadłszy na kufrze przy oknie na poddaszu i podwinąwszy nogi pod siebie, czytała w tajemnicy, w pokoju zaciemnionym jak podczas nalotów, książkę ustawiała tak, aby światło latarni padało na druk, było to w pensjonacie przy Huron Street, przed którym rósł kasztan. „Roz! Jeszcze nie śpisz? Do łóżka, natychmiast, bez wygłupów! Nicponiu!”

Jak ona mogła usłyszeć, że Roz czyta po ciemku? Jej matka gospodyni, jej matka nieprawdopodobna męczennica, stoi u dołu schodów i krzyczy szorstkim głosem praczki, udręczona Roz boi się, że mieszkańcy mogą usłyszeć. Roz czyszcząca ubikacje, Roz Kopciuszek z rynku, pośępnie szorująca podłogi. „Jesz tutaj, mówiła matka. Więc pomagasz”. Tak było, zanim jej ojciec bohater został bogaczem. „Ruda wiedźma”, mruzczała Roz, nie mając pojęcia, że kiedyś może się nią stać. Nie było łatwo dorastać z bohaterem i męczennicą. Brakowało roli dla niej.

Teraz tego domu nie ma. Właściwie to jest – chiński. Oni nie lubią drzew, jak słyszała. Myślą, że w gałęziach trzymają się złe duchy, smutne rzeczy, jakie przytrafiły się wszystkim, którzy tu kiedykolwiek mieszkali. Może jest tam coś z samej Roz, która tam wtedy mieszkała, pochwycone przez gałęzie kasztana, jeżeli jeszcze stoi; pochwycone i trzepoczące się.

Zastanawia się, czy trudno byłoby pofarbować włosy na siwo, na kolor, jaki miałyby, gdyby zapuściła włosy. Z siwymi włosami wzbudzałyby szacunek. Byłaby bardziej stanowcza. Nie taki mięczak. Żelazna dama! Marne szanse.

Najnowszy szlafrok Roz wisi na drzwiach łazienki. Pomarańczowy welur. Pomarańcz to tegoroczny przebój. W zeszłym roku była nim ostra żółć, której nie mogła nosić, chociaż się starała. Wyglądała jak cytrynowy lizak. Pomarańcz wydobywa żar spod jej skóry, przynajmniej tak myślała, kiedy kupowała to paskudztwo. Wierzy w wewnętrzny głos, który mówi: „To ty! To ty! Bierz to, bo będzie za późno!” Na tym wewnętrznym głosie coraz mniej można polegać, a tym razem musiał mówić do kogoś innego.

Nakłada szlafrok na batystową koszulę nocną, ręcznie haftowaną białą nicią na białym tle. Kupiła ją, aby pasowała do łóżka, tylko kto, jej zdaniem, miał to zauważyć? Szuka torebki i przekłada do kieszeni do połowy wypaloną paczkę papierosów. Nie przed śniadaniem! Schodzi na dół kuchennymi schodami, tymi, z których kiedyś korzystały pokojówki, sprzątaczkі takie jak ona. Trzyma się

poręczy, aby się nie potknąć. Schody prowadzą prosto do kuchni, błyszczącej, surowej, całej białej (pora na zmianę!); bliźniaczki siedzą już na wysokich taboretach przy kafelkowym blacie. Ubrane są w długie podkoszulki z rękawkami, rajstopy w paski i skarpety gimnastyczne. Uważają te stroje za fajne do spania. Jakaż to była zabawa, kiedy je ubierała, gdy były małe. Za takie falbanki i kapelusze można by oddać życie! Nie ma już porannych pantofli z plastikowymi podeszwami, nie ma też drogich angielskich flanelowych koszul z Matką Gęsią w czepku i fartuszk. Nie ma książek, które Roz im czytała, kiedy nosiły te koszule i wtulały się w nią, każda pod inne ramię – *Alicja w Krainie Czarów*, *Piotruś Pan*, *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*, wznowienia baśni z przełomu wieku z akwarelami Rackhama. A właściwie są – zmagazynowane w piwnicy. Nie ma różowych dresów, bamboszy udających szopy, aksamitnych sukienek wieczorowych z obfitymi falbankami. Teraz one nie pozwolą jej kupić ani jednej rzeczy. Jeśli przyniesie do domu czarny stanik, nawet parę majtek, przewracają oczami.

Obydwie piją koktajl z jogurtu, chudego mleka i jagód, który właśnie zrobiły w mikserze. Widzi rozplywającą się na blacie paczkę mrożonych jagód i kałużę niebieskiego mleka niczym błady atrament.

– Cóż, zrobicie mi przysługę i wstawicie to chociaż raz do zmywarki. – Nie może się powstrzymać przed powiedzeniem tego.

Obracają na nią wzrok, identyczne, błyszczące oczy, jak u dzikich kotów, i uśmiechają się w identyczny sposób łamiący serce, jak zdziczałe fauny lekko odsłaniają niebieskie od jagód zęby, potrząsając puszystymi grzywami. Roz łapie oddech, tak jak za każdym razem, kiedy je widzi, ponieważ są takie wielkie, wspaniałe, a ona jeszcze nie potrafi zrozumieć, jak zdołała je urodzić. Jedno takie stworzenie byłoby nieprawdopodobne, ale dwa!

Śmieją się.

– To Wielgachna Mama! – krzyczy jedna z nich, ta po prawej. – Mamunia Dużunia! Ukochajmy ją!

Zeskakują ze stołków, chwytają ją i ściskają. Jej stopy odrywają się od podłogi i unosi się niebezpiecznie w powietrze.

– Postawcie mnie! – wrzeszczy. Wiedzą, że tego nie lubi, wiedzą, że boi się upadku. Upuszczą ją i rozpadnie się. Czasem nawet o tym nie myślą; uważają ją za niezniszczalną. Roz Skała. Tego nie zapomną.

– Postawmy ją na stolku – mówią. Przenoszą ją i odstawiają, potem siadają na swoich taboretach, jak zwierzęta w cyrku po wykonaniu sztuki.

– Mamo, wyglądasz w tym jak dynia – mówi jedna z nich. Erin. Roz zawsze potrafi je rozróżnić, przynajmniej tak twierdzi. Zgaduje dwa razy i

zawsze ma rację. Mitch miał problemy, ale w końcu widywał je tylko piętnaście minut dziennie.

– Tak, jestem dynią – przyznaje Roz z niezdnym rozbawieniem. – Gruba, pomarańczowa, z wielkim, przyjaznym uśmiechem, wydrążona w środku, świecąca po ciemku. – Musi się napić kawy, zaraz! Otwiera zamrażarkę, wkłada paczkę z jagodami, znajduje torebkę magicznych ziarenek i szuka w jednej z szuflad na rolkach młynka elektrycznego. Pochowanie wszystkiego w szufladach nie było wcale takim superpomysłem, nigdy nic nie może znaleźć. Szczególnie pokrywek na garnki. „Koniec z bałaganem”, powiedział ten idiota projektant. Zawsze ją poniżają.

– Och – odzywa się druga z bliźniaczek. Paula. Mówią o sobie Errie i Pollie albo Er i La. Kiedy mówią zbiorowo – Erla, jest to przerażające. „Erla wychodzi wieczorem”. Oznacza to obie. – Och! Ty wredna bliźniaczko! Zraniłaś uczucia mamy! Jesteś zepsuta, zepsuta na wskroś! – To jest przedrzeźnianie Roz, która w taki sposób naśladowała własną matkę. Roz nagle pragnie swej matki, szorstkiej, niedostępnej, pogardzanej, dawno nieżyjącej. Zmęczona jest rolą matki. Chce dla odmiany побыć dzieckiem. To ją ominęło. A wygląda na o wiele zabawniejsze.

Bliźniaczki wybuchają śmiechem.

- Samolubne, zgniłe szambo – mówi jedna do drugiej.
- Niegolona pacha!
- Śmierzący tampon!
- Zużyta podpaska!

Mogą tak godzinami, wymyślając coraz gorsze wyzwiska; śmieją się przy tym tak, że aż turlają się po podłodze i kopią nogami w powietrzu, czerpiąc radość ze swojego obscenicznego humoru. Zastanawia ją jedno: jak wiele z tych wyzwisk może być związanych z kobietami. „Suka” i „dziwka” należą do najłagodniejszych. Zastanawia się, czy pozwalają chłopcom tak na siebie mówić. Kiedy myślą, że ich nie słyszy, stają się jeszcze bardziej obsceniczne, może tylko według jej kategorii. „Cipoguma”. Taka rzecz była nie do pomyślenia, kiedy ona dorastała. A one mają dopiero po piętnaście lat!

Ludzie noszą swoje słowa przez całe życie, jak żółwie skorupy, myśli Roz. Nagle wyobraża sobie, że bliźniaczki mają osiemdziesiąt lat, ich śliczne twarzyczki pociemniały, na wysuszone już nogi nadal wkładają kolorowe rajstopy, skarpety gimnastyczne na obolałe stopy, ale ciągle powtarzają „cipoguma”. Wzdryga się.

Odpukać w nie malowane, poprawia się. Powinny tak długo żyć.

Młynka nie ma tam, gdzie go wczoraj zostawiła.

– Kurde, dzieciaki – mówi. – Ruszałyście mój młynek? A może to Maria. Wczoraj był dzień sprzątanía.

– Kurde! – powtarza Paula. – Och, kurde, mój młynek. Och, rety, kurde, do diaska!

– Oj, niech cię, Jezus Maria – mówi Erin. Myślą, że to zabawne, to, że Roz nie potrafi zmusić się do prawdziwych przekleństw. Ona jednak nie może. Te słowa ma w głowie, tylko nie potrafią wyjść. „Chcecie, aby ludzie mieli was za nic?”

Musi się im wydawać taka archaiczna. Taka przestarzała, taka obca. W pierwszej połowie życia coraz mniej czuła się emigrantką; teraz – w drugiej połowie – czuje się nią znów coraz bardziej. Uciekinier z krainy wieku średniego, zagubiony w kraju młodych.

– Gdzie wasz brat? – pyta. To je otrzeźwia.

– Tam gdzie zazwyczaj o tej porze dnia – odpowiada Erin z cieniem wyrzutu. – Uzupełnia niedobór energii.

– Tnie komara – mówi Paula, jakby chciała, aby wróciły do żartów.

– W krainie snów – dodaje rozmarzonym głosem Erin.

– Larryland – mówi Paula. – Witaj, Ziemiannie, przybywam z odległej planety.

Roz zastanawia się, czy powinna obudzić Larry'ego. Postanawia, że nie. Kiedy śpi, czuje się spokojniejsza o niego. Jest jej pierwszym dzieckiem, pierworodnym synem. Niezbyt szczęśliwa rola. Kiedyś byłby skazany na ofiarę. Bardzo źle, że dostał imię po Mitchu. Laurence Charles Mitchell, taka poważna i pompatyczna kombinacja dla tak delikatnego chłopca. Chociaż teraz ma dwadzieścia dwa lata i wąsy, nadal myśli o nim w taki sposób.

Roz odnajduje młynek do kawy w szufladzie pod grzejnikiem, między blachami do pieczenia. Musi porozmawiać z Marią. Miele ziarenka, odmierza kawę, włącza zmyślny włoski ekspres. Czekać, obiera sobie pomarańczę.

– Zdaje się, że on coś kręci – mówi Erin. – Jakiś romans albo coś.

Paula zrobiła sobie zęby ze skórki pomarańczy obranej przez Roz.

– *Pouf, qui sait, c'est con ça, je m'en fiche* – mówi, znacząco wzruszając ramionami, sepleniąc i plując. To chyba wszystko, co obie wyniosły z francuskiego otoczenia: niezobowiązującą gadaninę. Roz nie zna większości słów i dobrze jej z tym.

– Chyba was zepsułam – mówi do nich Roz.

– Zepsułaś, *moi*? – powtarza Erin.

– Erla nie jest zepsuta – zaprzecza Paula z udawaną urażoną niewinnością,

zdejmując zęby ze skórki. – Prawda, Erla?

– Jezu Maria, mamó, nie! – wykrzykuje Erin. Obie przyglądają jej się bacznie spod grzyw, oceniając jasnymi oczami. Ta gadanina, przedrzeźnianie, wulgarne wygłupy, śmiech, to ma służyć odwróceniu jej uwagi, jej dobru. Drażnią się z nią, ale nie za bardzo. Wiedzą, gdzie są granice. Na przykład nigdy nie wspominają Mitcha. Zachowują się, jakby nigdy nie istniał. Czy brak im go, czy go kochały, czy go nienawidzą, czy nim gardzą? Roz nie wie. Nie zdradzą się przed nią. Tak jest trudniej.

One są takie cudowne! Przygląda im się z trudną do ukrycia miłością. Zenia, myśli Roz, ty suko! Może miałaś wszystko, ale nigdy nie dostałaś takiego błogosławieństwa. Nigdy nie miałaś córek. Zaczyna płakać, opierając głowę na dłoniach, z łokciami na zimnych białych płytkach, łzy bezradnie spływają.

Bliźniaczki podchodzą do niej, mniejsze niż wcześniej, niespokojne, bardziej nieśmiałe, poklepują ją, głaszczą pomarańczowe plecy.

– Już dobrze, mamó, już dobrze – powtarzają.

– Patrzcie – mówi do nich. – Kurde, wsadziłam łokieć w wasze niebieskie mleko!

– O kurczę blade! – mówią. – Dupa blade! – Uśmiechają się do niej z ulgą.

Bliźniaczki ostentacyjnie wstawiają szklanki po koktajlu do zmywarki, idą w kierunku schodów kuchennych, zapominają o mikserze, przypominają sobie, wstawiają go także, zapominają o niebieskiej kałuży mleka. Wyciera ją Roz, gdy one są już na schodach, pokonują po dwa stopnie na raz, potem galopują korytarzem do swoich pokoi, aby przygotować się do szkoły. Są bardziej opanowane niż zazwyczaj; normalnie jest to galop spanikowanego słonia. Na górze jednocześnie rozbrzmiewają dwie wieże stereofoniczne, dwa współzawodniczące rytmy.

Za parę lat wyjadą na uniwersytet, do jakiegoś innego miasta. W domu będzie cisza. Roz nie chce o tym myśleć. Może wtedy sprzeda tę oborę. Zamieni na pierwszej klasy domek letniskowy z widokiem na jezioro. Poflirtuje z dozorcą.

Siedzi przy białym blacie, pijąc w końcu kawę i jedząc śniadanie. Dwa suchary. Tylko pomarańczę i suchary, ponieważ jest na diecie. Na niby-diecie. Mini.

Przechodziła najrozmaitsze diety. Grejpfrutową. Z otrębami dodawanymi do wszystkiego. Wysokobiałkową. Zmieniała się w księżyc, próbując zrzucić dwadzieścia funtów, które jej zostały po urodzeniu bliźniaczek. Teraz już nie podchodzi do tego tak rygorystycznie. Wie, że te zwariowane diety są złe, w czasopismach pisano o tym wiele. Ciało jest niczym oblegana forteca, mówią; magazynuje zapasy w komórkach tłuszczowych, zachowuje jedzenie na czarną godzinę, a kiedy przechodzisz na dietę, myśli, że zagłodzi się na śmierć, odkłada więc jeszcze więcej, a ty zamieniasz się w mały sterowiec. Niewielkie ograniczenia z pewnością nie zaszkodzą. Jeść trochę mniej, to nie prawdziwa dieta.

Właściwie to nie jest nawet gruba. Po prostu mocno zbudowana. Dobra, wiejska dziewczucha, jak za czasów, kiedy kobiety musiały ciągnąć pługi.

Choć może nie powinna tak skąpić, szczególnie na śniadanie. Śniadanie to najważniejszy posiłek w tym wieku, kiedy, jak mówią, kształtujesz ciało kosztem twarzy. Schodzi z bioder, ale najpierw z karku. Robi ci się kurza szyja. Roz nie ma zamiaru stać się jedną z tych pięćdziesięcioletnich dzierlatek, o twarzach jak kupa złomu powiązana sznurkiem, na których widać każdą kość i ścięgno.

Chociaż „dzierlatka” to nie jest właściwe określenie kobiety w tym wieku. Raczej „torba”. Tym stałaby się Zenia, gdyby żyła. Starą torbą.

Roz uśmiecha się i wkłada dwa kawałki pszenno-razowego chleba do opiekacza. To pomaga, gdy wyzywa Zenię, pomaga i umacnia. Bo kogo to teraz może ranić?

„A kogo raniło wtedy?”, pyta siebie surowo. Na pewno nie Zenię, której nic a nic nie obchodziło, co Roz o niej myśli albo co o niej mówi, nawet do Mitcha. Było jednak parę rzeczy, których celowo nie powiedziała. „Nie widzisz, że te cycki nie są prawdziwe? Zrobiła je sobie, wiem na pewno. Była płaska jak deska. Zakochałeś się w dwóch workach silikonu”. Nie, to by nie przeszło z Mitchem, nie w tym jego stanie zamroczenia. A kiedy ten jego stan minął, było już za późno.

Te rzeczy nie spalają się, kiedy cię kremują; takie krążą plotki na temat sztucznych cycków. Topią się. Cała reszta ciebie zamienia się w proch, a cycki w kisiel. Muszą je potem zdrapywać z dna pieca. Może dlatego nie rozsypali prochów Zeni na pogrzebie. Może nie mogli. Może to właśnie było w blaszanym pojemniku. Przetopione cycki.

Roz smaruje obie grzanki masłem i miodem i rozkoszuje się nimi, jedząc powoli i oblizując palce. Gdyby Zenia żyła, bez wątplenia byłaby na diecie. Nie można mieć takiej talii jak Zenia bez ciężkiej pracy. Teraz miałyby już kurze podgardle; albo jeszcze lepiej, szłaby na operację. Tu by jej uszczknęli, tam naddali; naciągnięcie powiek, wydęcie ust. To nie dla Roz. Nie może znieść myśli, że jakiś obcy mężczyzna pochyła się nad nią z nożem, gdy ona leży zimna na stole. Naczytała się o tym aż nadto, zbyt wiele kryminałów o morderstwach na tle seksualnym. Mógłby to być zdeprawowany wariat w skradzionym kitlu. To się zdarza. A jeżeli popełni błąd i obudzisz się cała w bandażach i przez sześć tygodni będziesz wyglądać jak szop po wypadku drogowym tylko po to, aby po zdjęciu opatrunków okazać się drugoplanowym aktorem z kiepskiego horroru? Nie, woli już zestarzeć się spokojnie. Jak dobre czerwone wino.

Robi sobie następną grzankę, tym razem z dżemem truskawkowo-rabarbarowym. Dlaczego karać ciało? Dlaczego odmawiać ciału? Po co ściągać na siebie gniew, mroczną zemstę, bóle głowy, bóle głodowe, jęki protestu? Je grzankę ociekającą dżemem; potem, zerknąwszy za siebie, czy nikt nie patrzy – chociaż kto mógłby? – wylizuje talerz. Teraz czuje się lepiej. Czas na papierosa, poranną nagrodę. Nagrodę za co? Nie pytaj.

Blizniaczkę lecą po schodach jak wodospad, ubrane mniej więcej w szkolne mundurki, których Roz nigdy nie potrafi w pełni pojąć. Kilty i krawaty – ich zadaniem jest zamienić je w Szkotów. Koszula wyłożona na wierzch aż do

ostatniej chwili, to zdaje się, obecny krzyk mody. Całują ją w policzek; wielkie, rozmamłane, przesadne pocałunki. Galopują przez tylne drzwi. W kuchennym oknie migają dwie lśniące głowy.

Możliwe, że depczą grządki kwiatów, które uparła się zasadzić Charis w zeszłym roku, miłosierny uczynek, więc Roz nie może nawet tknąć ich palcem, mimo że przypominają dywanik pogryziony przez mole; jej stały ogrodnik, elegancki japoński minimalista, uznaje to za afront wobec profesjonalizmu. Może bliźniaczki zadepczą je do cna, trzymać kciuki. Patrzy na zegarek; są spóźnione, ale nie bardzo. Odziedziczyły to po niej, zawsze miała zmienne poczucie czasu.

Roz dopija kawę, zgniata papierosa i idzie na górę, tym razem ona, aby wziąć prysznic. Po drodze nie może się oprzeć i zagląda do pokoiw bliźniaczek, chociaż wie, że są w okropnym stanie. Pokój Erin wygląda jak po eksplozji ubraniowej. Paula znowu zostawiła włączone światło. Tak bardzo zależy im na środowisku, wrzeszcza na nią za kupowanie trujących środków czystości, każą jej kupować papier makulaturowy, ale mimo to, kurde, nie potrafią gasić światła.

Naciska kontakt, wiedząc, że się zdradza („Mamo! Kto był w moim pokoju? Kochanie, ja mogę wchodzić do ciebie, jestem twoją matką! Nie szanujesz mojej prywatności i nie bądź taka tępa, nie nazywaj mnie kochanie! Mam prawo! Więc kto płaci tutaj rachunki za prąd?” i tym podobnie), i rusza dalej korytarzem.

Pokój Larry’ego jest na samym końcu, za jej sypialnią. Może powinna go obudzić. Z drugiej strony, gdyby chciał, zostawiłby jej wiadomość. Może tak, może nie. Czasem chce, aby czytała jego myśli. Dlaczego nie miały się tego spodziewać? Kiedyś potrafiła. Teraz już nie. Wiedziałyby, gdyby stało się coś bliźniaczkom, chociaż niekoniecznie, co. Ale nie Larry’emu. Larry stał się dla niej nieprzezroczysty. „Jak leci?”, pyta go, a on na to „Dobrze”, i może to oznaczać wszystko. Ona nie wie nawet, co ma lecieć, więc skąd ma wiedzieć, że leci dobrze.

Był upartym dzieckiem. Przez całą tę awanturę z Mitchem, kiedy bliźniaczki popisywały się, kradły w supermarkecie, uciekały ze szkoły, on brnął wytrwale. Opiekował się Roz, obowiązkowo. Wynosił śmieci, mył samochód, jej samochód, w soboty, niczym mężczyzna w średnim wieku. „Nie musisz tego robić, mówiła mu. Słyszałeś o myjniach?” „Lubię, odpowiadał, odpoczywam przy tym”.

Zdobył prawo jazdy, zdał maturę, ukończył studia. Między oczami zrobiła mu

się bruźda od zmartwień. Robił to, czego jego zdaniem od niego oczekiwano, przynosił jej urzędowe dokumenty do domu, jak kot przynosi martwą mysz. Teraz jakby się nieco poddał, bo nie wie, co jeszcze przynieść; skończyły mu się pomysły. Mówi, że zastanawia się, co robić dalej, ale ona nie widzi oznak podjętej decyzji. Nie wraca na noc, a ona nie wie, dokąd chodzi. Gdyby był jedną z bliźniaczek, zapytałaby, a one odpowiedziałyby, żeby pilnowała własnego nosa. Jego nawet nie pyta. Boi się, bo mógłby jej powiedzieć. Nigdy nie umiał kłamać. Szczere dziecko, może zbyt szczere. Jest w nim jakiś brak radości, który ją niepokoi. Przykro jej, że zrezygnował z gry na perkusji w piwnicy, chociaż czasami doprowadzała ją do szaleństwa. Przynajmniej miał w co uderzać.

Sypia długo. Nie prosi jej o pieniądze. Nie musi, dzięki temu, co mu pozostawiono, co jest jego własne. Mógłby się wyprowadzić, poszukać mieszkania, ale on się nie rusza. Niemal w ogóle nie przejawia inicjatywy; kiedy była w jego wieku, nie mogła się doczekać, by strzepnąć z sandałów prochy przodków, chociaż nie w pełni jej się to udało.

Może jest na prochach, zastanawia się. Śladów tego też nie widzi, ale co ona wie? Za jej czasów prochy znały co innego. Kiedyś znalazła paczuszkę, małą plastikową kopertę z czymś, co wyglądało jak proszek do pieczenia, ale postanowiła nie dowiadywać się, co to takiego, bo co mogła zrobić? Nie możesz powiedzieć dwudziestodwuletniemu synowi, że właśnie przeszukałaś mu przypadkowo kieszenie spodni. Już nie.

On ma budzik, ale wyłącza go podczas snu, tak jak to robił Mitch. Może mogłaby wejść na palcach, zerknąć na budzik i sprawdzić, na którą jest nastawiony. Wtedy będzie wiedzieć, czy wyłączył go czy nie.

Uchyła drzwi. Od drzwi do łóżka prowadzi szlak z pozostawionych ubrań, jak zrzucany kokon: ręcznie robione kowbojskie buty, skarpety, płowa zamszowa marynarka, džinsy, czarna koszulka. Swędzą ją ręce, ale zbieranie z podłogi już do niej nie należy; Marii też nie kazała tego robić. „Jeżeli coś jest w koszu na bieliznę, idzie do prania, powiedziała wszystkim, w innym przypadku nie”.

Ten pokój nadal jest pokojem chłopca, nie mężczyzny. Półki pełne szkolnych podręczników, dwa obrazy osiemnastowiecznych żaglowców wybrane przez Mitcha, ich pierwsza łódź „Rosalinda” z nimi w środku: nią, Mitchem i Larrym, kiedy miał sześć lat, zanim urodziły się bliźniaczki, drużynowa nagroda w mistrzostwach hokeja w jedenastej klasie, obrazek z rybą, który narysował, gdy miał dziewięć lat, a który szczególnie podobał się Mitchowi. Przynajmniej chwalił go. Larry więcej miał z Mitcha niż bliźniaczki, może dlatego że był

pierworodnym dzieckiem i do tego chłopcem. Mitch nigdy nie był jednak swobodny wobec niego ani któregośkolwiek z nich. Zawsze był jedną nogą za drzwiami. Grał ojca; za bardzo blefował, był zbyt serdeczny, zbyt świadomy chwili. Robił żarty, które przerastały Larry'ego. Syn patrzył na ojca zaskoczony i podejrzliwy; przejrzał go na wylot. Dzieci to potrafią.

Larry ciężko to przeżył. Czegoś brakuje. Roz ogarnia zwątpienie, znajome uczucie przegranej. Najbardziej zawiodła Larry'ego. Żeby tylko była... jaka?... ładniejsza, inteligentniejsza, nawet bardziej seksowna, lepsza w jakiś sposób albo gorsza, bardziej wyrachowana, bez skrupułów, terrorystka, Mitch byłby tutaj nadal. Roz zastanawia się, ile czasu minie, zanim dzieci jej wybaczą, kiedy już zrozumieją, ile mają jej do wybaczenia.

Larry śpi. W pojedynczym łóżku, z jedną ręką na oczach. Puszyste włosy leżą na poduszce, są lżejsze niż u bliźniaczek, prostsze, bardziej jak u Mitcha. Larry zapuszcza włosy, z tyłu ma długi cienki warkoczyk. Roz uważa, że wygląda paskudnie, ale nie mówi tego.

Roz zamiera w bezruchu, nasłuchując jego oddechu. Zawsze to robiła, kiedy jeszcze był mały. Nasłuchiwała, czy żyje. Miał słabe płuca jako dziecko – astma. Bliźniaczek nie nasłuchiwała, bo nie wydawało się to konieczne. Były takie żywe.

Larry wciąga powietrze. Długie westchnienie. Jej serce przewraca się. Jego kocha inaczej niż bliźniaczki. One są twarde i żyłaste. Sprężyste. Owszem, można je zranić, już odniosły kilka ran, ale potrafią je sobie wylizać, a potem oddać. Mają także siebie nawzajem. Larry wygląda jak wygnaniec, jak zagubiony wędrowiec, który utknął gdzieś na ziemi niczyjej, między granicami, bez paszportu. Chce domyślić się znaczenia drogowskazów. Pragnie zrobić rzecz właściwą.

Usta, poniżej młodego wąsa, są czyste i takie łagodne. Te usta martwią ją najbardziej. To usta mężczyzny, którego potrafią zniszczyć kobiety, cała banda kobiet po kolei. Albo tylko jedna, dostatecznie przebiegła. Wystarczy tylko jedna: jedna o naprawdę chytrym i sprytnym umyśle, a biedny Larry zakocha się, zakocha się szczerze, jak słodki, wierny, tresowany szczeniak, odda jej serce; później wystarczy jeden ruch jej ozdobionego złotem nadgarstka, i Larry stanie się wyssaną muszlą.

Po moim trupie, myśli Roz, ale co może poradzić? Wobec tej nieznannej przyszłej kobiety będzie bezradna. Zna teściowe, zna kobiety, które myślą, że ich synowie są doskonali, że żadna kobieta, żadna inna kobieta, nie będzie wystarczająco dobra. Widziała to już, wie, jak może być zgubne, przysięgała, że

nigdy taka nie będzie.

Przeżyła już kilka jego dziewczyn – tę z liceum, z ufryzowaną grzywką i ślepiami wściekłymi jak *pit-bull*, która utrzymywała, że gra na gitarze, i zostawiła w jego pokoju swój wypchany francuski stanik; córkę krótkowzrocznego maklera giełdowego z kolonii letnich, o agresywnie owłosionych nogach i woniejącej głowie, która była we Włoszech na wycieczce kulturoznawczej i myślała, że to ją upoważnia do uwag na temat mebli w salonie Roz; tę pulchną ze studiów, o ładnych ustach, z włosami jak męska peruczka, pofarbowanymi na sztuczną, pozbawioną życia czerń, wygolonymi po bokach, która nosiła po trzy kolczyki w każdym uchu i skórzane minispódniczki sięgające aż po pachy, siadywała na blacie kuchennym, krzyżując grube uda, i zapalała papierosa, nie częstując Roz, używała jej kubka jako popielniczki i pytała ją, czy czytała *Tako rzecze Zaratustra*.

Ta była najgorsza. To ją złapała w jadalni na przeglądaniu wiktoriańskich szkatulek ze srebra i drewna różanego; prawdopodobnie chciała zwinąć coś małego i obwinąć o to sprzątaczkę. To ona uznała za stosowne poinformować ją, iż jej matka знаła Mitcha kilka lat temu, i udała zdziwienie, kiedy Roz oświadczyła, że nigdy o niej nie słyszała. (Nieprawda. Wiedziała dokładnie, kim jest ta kobieta. Dwa razy rozwiedziona, pośredniczka w handlu nieruchomościami, kolekcjonująca mężczyzn dziwka. Ale to było w okresie, kiedy Mitch traktował kobiety jak chusteczki – wydmuchać i wyrzucić – i ona przetrwała jedynie miesiąc.)

Larry zakochany był po uszy w tej kreaturze. *Tako rzecze Zaratustra*, rzeczywiście! Pretensjonalne, małe gówno. Roz słyszała, jak mówiła bliźniaczkom (a miały wtedy tylko trzynaście lat), że ich brat ma wspaniały tyłek. Jej syn! Wspaniały tyłek! Ta tandetna suka wykorzystywała go, ale spróbuj mu to powiedzieć.

Nie o to chodzi, że spotyka dużo dziewczyn. Larry je skrętnie ukrywa. „Czy to miła dziewczyna?, próbuje Roz. Zaproś ją na obiad”. Marne szanse. Rozżarzonymi szczypcami nie wydostanie się z niego informacji. Ona jednak wie, kiedy mają nieczne zamiary. Wpada na te dziewczyny na ulicy, wczepione w Larry’ego zębami i pazurami; Larry przedstawia je, a ona widzi wszystko w ich koszmarnych rozbieganych oczkach. Kto wie, jakie zło tkwi w sercach kobiet? Matka wie.

Przeczekala je wszystkie, zagryzając wargi, modląc się, aby to nie było na poważnie. Teraz, według bliźniaczek, chodzi jej o następną. Na kolana, Roz, mówi do siebie. Odkup swoje grzechy. „Dobry Boże, ześlij mi miłą, wyrozumiałą dziewczynę, nie za bogatą, nie za biedną, nie za ładną ani nie za

brzydką, nie za bystrą, bystrej nie będzie potrzebował, miłą, ciepłą, rozsądną, serdeczną dziewczynę, która doceni jego dobre cechy, która zrozumie jego pracę, czymkolwiek by się zajmował, a przede wszystkim taką, która kocha dzieci. I proszę, Panie Boże, niech ma normalne włosy”.

Larry wzdycha i przewraca się w łóżku, Roz wycofuje się. Zrezygnowała ze sprawdzenia budzika. Niech śpi. Prawdziwe życie wkrótce dobierze się do niego błyszczącymi czerwono, ostrymi i chciwymi paznokciami.

Stojąc boso, różowa i parująca, owinięta w wyborny brytyjski ręcznik kąpielowy, róż flamingo, Roz przegląda szafę z lustrzanymi drzwiami, zajmującą całą szerokość sypialni. Dużo ubrań, ale nic, co by chciała. Wybiera kostium zakupiony we włoskim butik przy Bloor; ma zebranie, a potem lunch z Tony i Charis w „Toxique”; ten kostium nie jest ani zbyt nieoficjalny, ani także za bardzo oficjalny. Nie jest także szeroki w ramionach jak skrzynia na mumię. Wypchane ramiona, dzięki Bogu, wychodzą z mody, chociaż Roz z przyzwyczajenia i tak wypruwa poduszki, jej ramion starczy dla dwóch osób. Bliźniaczki wykorzystują część tych niepotrzebnych poduszek; ostatnio przeszły na pisanie wiecznymi piórami, ponieważ plastikowe długopisy to marnotrawstwo, według nich te poduszki doskonale nadają się do wycierania piór. Na to cholerstwo na ramionach i tak może sobie pozwolić ktoś wysoki i giętka; Roz jest wysoka, ale giętka na pewno nie.

Ramiona kurczą się, a pośladki pęcznieją. Nie ma rady. Roz dodaje do swej listy próśb: „Proszę, Boże, aby ona nie miała silikonowych piersi”. Zenia wyprzedziła epokę.

Roz bierze mercedesa, gdyż wie, że będzie musiała zaparkować na Queen w porze lunchu, rolls za bardzo zwracałyby uwagę. Po co komu przecięte opony?

Zresztą i tak rzadko jeździ rollsem; to tak jakby prowadziła łódź. Jedną z tych dawnych, ciężkich łodzi, z motorem w środku, z mahoniowym wykończeniem, których silnik szeptał „pieniądze”. Stare pieniądze szepczą, nowe pieniądze krzyczą: to jedna z lekcji, jakich Roz musiała się nauczyć. „Mów cicho, Roz”, kazał jej wewnętrzny cenzor. Niski ton, spokojny profil, beżowe ubiory: wszystko, co pomagało jej się ukryć, nie dać się zauważyć pośród przepychającej się hordy nowych pieniędzy, skośnych oczu, nerwowych pieniędzy, pozbawionych smaku, pieniędzy gorzkich i pogardzanych. Wszystko, co pomagało jej unikać rozbawionego, niewinnego, zamglonego i rozwścieczającego spojrzenia tych, którzy nigdy nie musieli oszczędzać, omijać przepisów prawa, skrócić ramienia paru osobom, wydrapywać komuś oczu, udowodniać czegoś. Większość nowobogackich kobiet była zdesperowana, wszystkie przebierały się, dokądkolwiek szły, i nie czuły się bezpieczne, denerwowały się jak cholera. Większość mężczyzn to kutaszy. Roz wie coś na temat desperacji i na temat kutasów. Szybko się uczy, potrafi twardo negocjować. Jest jedną z najlepszych.

Teraz ma nowe pieniądze już tak długo, że stały się niemal starymi pieniędzmi. W tym kraju nie trzeba czekać długo. Teraz może już ubierać się w pomarańczowy kolor, teraz może już wrzeszczeć. Teraz takie rzeczy uchodzą jej; może traktować je jako czarującą ekscentryczność, a komu się nie podoba, niech ją pocałuje gdzieś.

Sama jednak nie kupiłaby rollsa. Jej zdaniem jest zbyt ostentacyjny. Został z czasów Mitcha; to on ją namówił, zrobiła to, aby go zadowolić; jest to jedna z nielicznych rzeczy po nim, których nie potrafi się pozbyć. Tak był z niego dumny.

Przeważnie stoi w garażu, ale Roz pojechała nim na pogrzeb Zeni, przez złośliwość. Proszę, pomyślała. Wiele zabrałaś, suko, ale nigdy nie położyłaś łapy na tym wozie. Co prawda, Zenia nie mogła go widzieć, ale była w tym niezaprzeczalna satysfakcja.

Charis nie pochwałała rollsa; widać to było ze sposobu, w jaki w nim

siedziała, zgarbiona i niespokojna. Tony za to wcale go nie zauważała. „Czy to ten twój duży wóz?“, zapytała. Tony jest taka rozkoszna, jeżeli chodzi o samochody. Wie wszystko o sprawach historycznych, o broni i tym podobnych rzeczach, ale nie potrafi odróżnić jednego samochodu od drugiego. „Twój duży wóz, twój drugi samochód“, to są jej kategorie. Zupełnie jak w dowcipie o Eskimosach liczących ryby: jedna ryba, druga ryba, następna ryba, następna ryba... Roz wie, że nie powinna się śmiać z takich żartów, to nie fair, ale śmieje się. Wśród przyjaciół. Czy szkodzi Eskimosom, że Roz spadnie ciśnienie, że lepiej się poczuje w okropny dzień? Kto wie? Przynajmniej nikt nie chciał ich eksterminować. A jednak. Mówi się, że oni mają najlepsze życie erotyczne w całej Kanadzie, to jest, cholera, o wiele więcej, niż ma teraz Roz, paskudny pech.

Kieruje się na południe przez Rosendale, mijają wieżyczki udające gotyk, imitacje dziewiętnastowiecznych fasad, holenderskich szczytów domów, a wszystko stopione w dziwną autentyczność: autentyczność dobrze spranych pieniędzy. Wystarczy jej raz rzucić okiem, aby je oszacować: milion pięćset, dwa miliony, trzy, ceny spadły, ale ci młodzi trzymają się mniej więcej mocno, i to dobrze dla nich, coś musi się trzymać w tym całym bałaganie. Czemu można zaufać w tej rzeczywistości? (Nie giełdzie, to na pewno, i dobrze, że swój pakiet zaangażowała inaczej, w porę.) Kiedyś pogardzała tymi zadufanymi w sobie domami białej klasy średniej, ale z biegiem lat je polubiła. Posiadanie takiego domu pomaga, a także wiedza, że ludzie mieszkający w nich, nie są lepsi, niż powinni. Nie lepsi od niej.

Jedzie Jarvis – niegdyś była to ulica śmietanki, potem dzielnica burdeli, obecnie niezbyt przekonująco odnowiona; skręca na zachód w stronę Wellesley i wpada na teren kampusu uniwersyteckiego. Mówi strażnikowi, że odbiera kogoś z biblioteki. Każe jej przejeżdżać – jest wiarygodna, a raczej jej samochód – Roz jedzie naokoło, mijają McClung, miejsce niesfornych wspomnień. Dziwne uczucie – pomyśleć, że tu kiedyś mieszkała, kiedy była młoda i zielona, pełna psiego entuzjazmu. Wielkie psie łapy na meblach, wielki psi jęzor obdarowujący każdą napotkaną twarz liźnięciami nadziei. Jak ja! Jak ja! Już więcej nie. Czasy się zmieniły.

Jedzie w kierunku college’u, skręca w stronę uniwersytetu. Co za błąd architekta! Jeden zwalisty blok sterylnych cegieł i szkła, obok drugi, nieciekawy dziedziniec, chociaż próbują go ożywić, wypełnić kwietnikami. Co Roz by zrobiła, gdyby dostała zlecenie? Nie wie. Może altany z winną latoroślą albo okrągłe pawiloniki, jak w Paryżu; chociaż cokolwiek by się tu zrobiło, byłoby to

ucieczką od głównego tematu. Teraz tak jest ze wszystkim. Nawet to, co prawdziwe, wygląda jak poskładane. Kiedy zobaczyła Alpy po raz pierwszy, pomyślała, pojedłujmy wszyscy.

Może tak ludzie rozumieją tożsamość narodową. Czerpią siłę ze strojów. Z ła. Z rekwizytów.

Biuro Roz mieści się w przystosowanym do tego celu browarze z dziewiętnastego wieku. Z czerwonej cegły, z fabrycznymi oknami i wyrzeźbioną lwią głową nad głównym wejściem, dla dodania klasy. Jeden ze sprytnych pomysłów ojca, aby budynek przerobić, inaczej zostałby zburzony. To była jego pierwsza wielka rzecz, pierwsze rozpasanie, kiedy zaczął bawić się własnymi pieniędzmi, zamiast je po prostu odkładać.

Zostawia wóz na firmowym parkingu, „Pojazdy nie upoważnione będą usuwane”, na swoim miejscu oznaczonym tabliczką ze złotym napisem: „Pani Prezes” – jak już coś masz, to chwal się tym, chociaż Roz ciągle musi sobie przypominać, że nie jest tak superważna, za jaką chciałyby się uważać. To prawda, że czasami rozpoznają ją w restauracjach, szczególnie od czasu gdy umieszczono ją na corocznej liście najbardziej wpływowych osób w Toronto, opublikowanej w „Toronto’s Life”. Jeżeli jednak takie uznanie jest miernikiem siły, to Myszka Mickey jest milion razy silniejsza od niej, chociaż nie istnieje.

Sprawdza w lusterku, czy nie ma szminki na zębach – cóż, takie rzeczy się liczą – i zamazyście, ma nadzieję, że wygląda to zamazyście, maszeruje do wejścia. Pora zmienić wystrój frontu, dosyć ma tych głupich kolorowych kwadratów, wygląda to jak obrus, chociaż kosztowało krocie. Na szczęście, dało się odpisać od podstawy opodatkowania korporacji. Sztuka kanadyjska.

– Cześć, Nicki – mówi do recepcjonistki. Ważne, aby pamiętać ich imiona. Roz znana była z tego, że imiona nowych recepcjonistek i sekretarek wypisywała na przegubie dłoni atramentem, jak ściągę w szkole. Gdyby była mężczyzną, wystarczyłoby skinąć głową, ale nie jest i wie dobrze, co robić, zamiast udawać, że nim jest.

Nicki puszcza do niej oko, nie przerywając rozmowy przez telefon. Nie uśmiecha się, cipka o kamiennej twarzy. Nicki długo nie pociągnie.

Skomplikowane jest być kobietą-szefem. Kobiety nie patrzą na ciebie i nie myślą „szef”. Patrzą i myślą: „Kobieta. Jeszcze jedna, taka jak ja, i dokąd dojdzie?” Żadna z ich seksownych sztuczek nie działa na ciebie, a żadna z twoich nie działa na nie; duże niebieskie oczy nie stanowią przewagi. Jeżeli zapomnisz o ich urodzinach, to obrzucą cię błotem, jeżeli je zwymyślasz, będą

plakać, nie zrobią tego nawet w łazience, ale na widoku; wieszają na tobie swoje opowieści o pechu i spodziewają się współczucia, a spróbuj tylko wydobyć od nich filiżankę kawy. „Liż własne znaczkę, miła pani”. Owszem, przyniosą, ale będzie zimna, i będą cię za to wiecznie nienawidzić. „Kto był twoją służącą w zeszłym roku?”, pytała kiedyś matkę, kiedy dorosła na tyle, aby się buntować. No właśnie.

Te same kobiety bez pytania usługiwałyby szefowi-mężczyźnie. Kup prezent urodzinowy dla żony, kup prezent dla kochanki, zrób kawę, przynieś w zębach kaptcie, zostań po godzinach – bez problemu.

Czy Roz robi się zbyt negatywna? Możliwe. Miała jednak trochę złych doświadczeń.

Może nie potrafiła sobie z nimi poradzić? Wtedy była głupsza. Zrzuciła wagę, zachowywała się normalnie. Miwała napady złego humoru. „Nie powiedziałam jutro, powiedziałam teraz! Postarajmy się o trochę profesjonalizmu!” Teraz już wie, że jeżeli jest się kobietą i zatrudnia się kobiety, należy uczynić z nich przyjaciółki, kumpelki; musisz udawać, że są tobie równe, a to trudne, kiedy jesteś od nich dwa razy starsza. Albo trzeba je niańczyć. Trzeba stać się dla nich matką, opiekować się nimi. Tyle jest już ludzi w życiu Roz, którym musi matkować, a kto zaopiekuje się nią, będzie dla niej matką, ponianczy ją? Nikt – dlatego zatrudniła Boyce’a.

Wsiada do windy i jedzie na ostatnie piętro.

– Cześć, Suzy – zwraca się do recepcjonistki. – Jak idzie?

– Wspaniale, pani Andrews – mówi Suzy, uśmiechając się obowiązkowo. Jest tu dłużej od Nicki.

Boyce jest w biurze, tuż obok jej gabinetu, na drzwiach ma wypisany złotymi literami tytuł: „Asystent Pani Prezes”. Boyce zawsze jest w swoim biurze, kiedy ona zjawia się w pracy.

– Cześć, Boyce – wita się z nim.

– Dzień dobry, pani Andrews – odpowiada ponuro Boyce, wstając zza biurka. Boyce jest przesadnie formalny. Każdy cienki, pofarbowany na kasztanowo włos jest na właściwym miejscu, kołnierz koszuli nieskazitelny, garnitur – dzieło sztuki skromności.

– Przejrzyjmy to jeszcze raz – mówi Roz. Boyce kiwa głową.

– Kawy? – pyta.

– Boyce, jesteś aniołem – mówi Roz i Boyce znika, wraca z kawą, jest gorąca i świeża, właśnie ją zaparzył. Roz cały czas stoi, więc teraz może doświadczyć przyjemności tego, jak Boyce wysuwa dla niej fotel. Roz siada tak

zgrabnie, jak tylko potrafi w tej spódnicy – Boyce wydobywa z niej damę, na tyle, na ile nią jest. Boyce mówi to, o czym nigdy nie zapomina:

– Muszę przyznać, pani Andrews, że wygląda pani dzisiaj wspaniale i ma pani na sobie wyjątkowo atrakcyjny kostium.

– Boyce, podoba mi się twój krawat – odwzajemnia się Roz. – Nowy, prawda? – Boyce promienieje z radości, a raczej lekko emanuje. Boyce rzadko pokazuje zęby.

Roz uwielbia Boyce’a! Boyce jest wyborny! Tyle jej sprawia frajdy, mogłaby go uściskać, chociaż nigdy nie śmiałyby tego zrobić. Chyba by tego nie zniósł. Boyce bez powściągliwości staje się niczym.

Boyce ma dwadzieścia osiem lat, jest z wykształcenia prawnikiem, człowiekiem bystrym i homoseksualistą. Tę skłonność wyjawiał na samym początku, przy wstępnym wywiadzie.

– Chciałbym, żeby pani wiedziała to od razu – powiedział. – Zaoszczędzi to czasu i spekulacji. Jestem gejem, ale publicznie nie będę pani żenować. Zachowuję się nienagannie. Gej, jeżeli panią to interesuje, to homo, pedał albo ciota. Wolę raczej to pierwsze określenie.

– Dziękuję – odparła Roz, która doszła do wniosku, że nic a nic nie wie o pedałach. Pojęła, że Boyce może wypełniać te luki, nawet o to nie proszony. – Boyce, jesteś przyjęty.

– Śmietanki? – pyta teraz Boyce. On zawsze pyta, ponieważ ma na uwadze zmieniające się diety Roz. Jest taki szarmancki!

– Proszę – mówi Roz i Boyce nalewa trochę, potem zapala jej papierosa. To zadziwiające, myśli Roz, co trzeba zrobić w tym mieście, aby być traktowaną jak kobieta. Nie, nie jak kobieta, jak dama. Jak pani prezes. Boyce ma wyczucie stylu, a także maniery. Szanuje hierarchię, docenia dobrą porcelanę, pięknie się wyraża. Podoba mu się istnienie drabiny społecznej ze szczeblami, bo chce się po nich wspiąć. A wspina się, jeżeli Roz może coś na ten temat powiedzieć, ponieważ Boyce ma prawdziwy talent, a ona chętnie mu pomaga. W zamian za jego lojalność, oczywiście.

Nie ma pojęcia, co Boyce o niej myśli. Jednakże ma nadzieję – Boże, proszę – że nie traktuje jej jak matki. Może postrzega ją jako wielkiego mężczyznę o miękkim ciele, mającego władzę. Może nienawidzi kobiet, może sam chce być kobietą. Kogo to obchodzi, dopóki on gra swoją rolę?

Roz akurat obchodzi, ale nie może sobie na to pozwolić.

Boyce zamyka drzwi, aby pokazać reszcie świata, że Roz jest zajęta. Nalewa

sobie kawy, prosi Suzy, aby nie łączyła telefonów, i daje Roz to, co ona zawsze chce rano zobaczyć, to znaczy wykaz jej pozostałych akcji giełdowych.

– Co myślisz, Boyce? – pyta Roz.

– Pół mili, pół mili, pół mili w Dolinę Śmierci wjechało pięciuset niefortunnych – odpowiada Boyce, który lubi czytać i cytować. – Tennyson – dodaje dla wyjaśnienia.

– To rozumiem – mówi Roz. – Więc jest źle, co?

– Wszystko się rozpada, środek nie wytrzyma – mówi Boyce. – Yeats.

– Sprzedać czy trzymać? – pyta Roz.

– Droga w dół to droga do góry. Eliot – odpowiada Boyce. – Jak długo może pani czekać?

– Obojętnie – mówi Roz.

– Czekałbym – radzi Boyce.

Co Roz zrobiłaby bez Boyce'a? Staje się dla niej niezastąpiony. Niekiedy uważa go za surogat syna, z drugiej strony mógłby być surogatem córki. Przy sporadycznych okazjach namawia go na wspólne zakupy – ma taki dobry smak, jeżeli chodzi o ubrania – chociaż Roz podejrzewa, że czasem ją podpuszcza, odrobinę, dla własnej ukrytej, sardonicznej uciechy. To on, na przykład, był wmieszany w ten pomarańczowy szlafrok.

– Pani Andrews, pora się rozluźnić – to właśnie powiedział. – *Carpe diem*.

– To znaczy? – zapytała Roz.

– Korzystaj z dnia – odpowiedział Boyce. – Zbieraj pąki rózań, póki możesz. Choć sam raczej wolałbym być zbieranym.

To zaskoczyło Roz, ponieważ Boyce nigdy nie jest tak bezpośredni w murach biura. Oczywiście, musi mieć inne życie – wieczorne, o którym ona nic nie wie. Prywatne życie, do którego łagodnie, ale stanowczo, ona nie jest zapraszana.

– Co robisz dzisiaj wieczorem? – Była na tyle niemądra, że zapytała go kiedyś. (Na co miała nadzieję? Że może pójdzie z nią do kina albo coś w tym rodzaju? Staje się samotna, dlaczego nie ma się do tego przyznać? Staje się ogromnie, żarłocznie samotna i wtedy je. Je i pije, pali, wypełniając wewnętrzne przestrzenie. Jak umie najlepiej.)

– Paru z nas idzie zobaczyć Clichettes – odpowiedział Boyce. – Wie pani, parodiują piosenki, przebierają się za kobiety.

– Boyce – rzekła Roz. – To są kobiety.

– No, wie pani, o co mi chodzi – odparł Boyce.

Kim było „paru z nas”? Prawdopodobnie grupa mężczyzn. Młodych mężczyzn, młodych gejów. Martwi się o zdrowie Boyce'a, a konkretnie – czy

on może mieć AIDS. Jest na tyle młody, że jeszcze nie złapał, dowiedział się w porę. Nie wiedziała, jak zapytać, ale jak zwykle Boyce przeczuł jej zamiar. Kiedy skomentowała, o jeden raz za dużo, że miał kłopoty z wyleczeniem się z grypy zeszłej wiosny, powiedział:

– Niech się pani nie gryzie. Czas mnie nie pokona ani nie zniszczy zespół nabytego braku odporności. Ta mała świnka umie się o siebie troszczyć. – Było to jedynie częścią odpowiedzi, ale tylko tyle może się Roz spodziewać.

Po przejrzeniu akcji Roz i Boyce zabierają się do czytania przepięknie wydrukowanych podań z wytłoczonymi nagłówkami, podpisanych prawdziwym atramentem (Roz zawsze sprawdza podpisy poślinionym palcem; dobrze jest wiedzieć, kto oszukuje, a kto jest naprawdę pretensjonalny). Ktoś chce, aby została honorowym patronem – tytuł, którego nienawidzi, bo jak można być patronem i nie patronować, a zresztą powinno być honorową matroną, ale to już inna sprawa. Inni chcą, aby utopiła tysiąc dolarów w balu, z którego dochód ma być przeznaczony na fundusz organów zastępczych. Serca, płuca, wątroby, oczy, uszy, nerki, wszystko ma swego rzecznika; niektórzy znani mieszkańcy Toronto zrobią cokolwiek, aby się przebrać i iść na bale kostiumowe. Sama Roz czeka na Stowarzyszenie Jąder. Bal z Jajem. Kiedyś uwielbiała maskarady. Może odzyska humor, jak się przebierze za moszną albo za cystę na jajniku, wysiliłaby się.

Roz ma własną listę. Nadal zajmuje się maltretowanymi kobietami, ofiarami gwałtu, bezdomnymi matkami. Jak wiele współczucia powinna okazać? Nigdy nie wie, a gdzie trzeba zrobić kreskę; zajmuje się jeszcze porzuconymi babciami. Nie chodzi już na oficjalne bale i obiady. Nie może iść sama, a umawianie się z kimś jest zbyt deprymujące. Znależliby się chętni, ale czego mogą chcieć w zamian? Pamięta przygnębiający okres po odejściu Mitcha, kiedy nagle stała się zwierzyną do wzięcia; wszyscy kandydaci na męża oderwali się od majsterkowania i znaleźli z jedną ręką na jej udzie, a jednym okiem na jej koncie bankowym. Sporo drinków, których nie powinna była wypić, sporo płataniny, która wcale jej nie pomogła, i jak tu wydostać ich z sypialni w kolorze pobielających kości, aby dzieci nic rano nie zobaczyły? Dziękuję za kwiaty, myśli, ale nie.

– B'nai Brith? – pyta Boyce. – Stowarzyszenie Mariańskie?

– Nic związanego z religią, Boyce – przypomina Roz. – Znasz zasadę. Bóg jest wystarczająco skomplikowany bez udziału w fundacjach.

O jedenastej w sali zarządu mają zebranie z nową firmą, w którą Roz chce

niecو zainwestować. Boyce przybiera wygląd biznesmena, poważny i nudny, konserwatywny jak cholera. Roz mogłaby wyściskać go na amen, jego własna matka na pewno go docenia. Roz pamięta swoje pierwsze zebranie. Dorastała w przekonaniu, że biznes to coś tajemniczego, coś dla niej niepojętego, coś, co ojciec robił za zamkniętymi drzwiami. Coś, co robili jedynie ojcowie, na co dziewczyny były za tępe. Okazało się, że to tylko banda mężczyzn siedzących w pokoju, mężczyzn marszczących brwi, zastanawiających się i bawiących złotymi piórami, próbujących przechytryć się nawzajem. Siedziała i obserwowała, uważając, aby szczęka nie opadła jej ze zdziwienia. „Co to! To wszystko? Jezu, też potrafie!” Rzeczywiście potrafi, nawet lepiej. Lepiej niż większość. Prawie zawsze.

Kanadyjscy biznesmeni to na ogół mięczaki. Myślą, że jak będą trzymać pieniądze pod poduszką, to piątki skopulują z dziesiątkami i urodzą ćwierćdolarówki. Całe to walenie się w piersi w sprawie wolnego handlu! „Musimy być agresywni”, powtarzali, a teraz skomlą, ssą kciuki i proszą o ulgi podatkowe albo przenoszą interesy za południową granicę. „Agresywnie kanadyjski” – to wewnętrzna sprzeczność, z tego należy się śmiać! Sama Roz uprawia hazard. Nie brawurowy – oparty na informacjach, ale mimo to hazard. Bo jak nie, to gdzie tu zabawa?

Dzisiejsza grupa jest z Lookmakers: tanie kosmetyki, ale wysokiej jakości, bez torturowania króliczków, to się rozumie. Zaczęli gdzieś na uboczu, jak Tupperware, potem rozwinęli się, wylansowali pewien typ aktorki i modelki. Obecnie szaleńczo się rozrastają i potrzebują systemu zbytu, z siecią firmową, o ile to możliwe. Roz uważa, że coś w tym jest. Odrobiła zadanie domowe, a raczej Boyce odrobił: w czasie recesji – nie mylmy z depresją – kobiety używają więcej szminki. Mała nagroda dla siebie, nie za kosztowna, a rozwesela. Roz dobrze o tym wie. Jest bogata, ale nadal myśli jak biedna, to jej przewaga. Nazwa też jej się podoba: „Lookmakers” – Kształtujący wygląd. Dodaje siły, sygnalizuje wysiłek, krok do przodu, zakasanie rękawów. Podjęcie ryzyka.

Lookmakers to dwóch mężczyzn i dwie kobiety po trzydziestce, płaszczą się, aż serce ci pęka, z mnóstwem diagramów, wykresów, próbek i zdjęć. Biedactwa usiadziały sobie tyłki, przygotowując się do tego spotkania, więc chociaż Roz już podjęła decyzję, pozwala im się zaprezentować, a sama siedzi w fotelu i robi w pamięci notatki na temat nowej linii produkcyjnej. Zmęczyło ją przesuwanie pieniędzy po mapie, jest gotowa znowu na coś, na czym można położyć ręce. To może być podniecające! Każe im dać jakieś nowe nazwy, uciec od otępienia, toksyczności i pizmowej ociężałości, o które tyle było hałasu

kilka lat temu. Ma smykałkę.

– Co myślisz, Boyce? – pyta, gdy kwartet pokłonił się i wycofał rakiem, a Boyce kazał im zadzwonić jutro. Nigdy nie podpisywać umowy tego samego dnia – to hasło Roz. Niech ochłoną, to obniża cenę. – Powinniśmy zaryzykować?

– Moje oczy, moje stare, błyszczące oczy są wesole – cytuje Boyce. – Yeats.

– Moje też – mówi Roz. – Kontrolny procent, jak zwykle? – Roz kilkakrotnie sparzyła sobie palce, nie kupuje teraz nic, czego nie może kontrolować.

– Muszę stwierdzić, pani Andrews – oświadcza Boyce z podziwem – że jak prawdziwy znawca chwyta pani ofiarę.

– Kurczę, Boyce – odzywa się Roz – nie rób ze mnie krwiopijcy. To tylko dobry interes.

Roz wraca do gabinetu, przerzuca różowe kartki z notatkami telefonicznymi, tasuje je jak karty: te dla Boyce'a, te dla Suzy, te dla siebie. Bazgrze na nich instrukcje, komentarze. Czuje się dobrze, gotowa na zmiany.

Teraz jest przerwa; ma czas na szybkiego papierosa. Siada w swoim kosztownym fotelu ze skóry, za swoim kosztownym biurkiem, eleganckim, nowoczesnym, ręcznie robionym, już ją nie zadowalającym. Pora zmienić biurko. Chciałaby jakiś antyk z mnóstwem małych, ukrytych szufladek. Ze zdjęcia na biurku spoglądają na nią bliźniaczki, tu miały dziewięć lat, w różowych sukienkach, miętoszą kota, którego już dawno nie ma. Dalej – w czarnych, bardziej oficjalnych strojach, na corocznym balu ojców i córek organizowanym przez szkołę; dziwne wydarzenie, zważywszy ogólnie panujący niedobór ojców. Roz nakłoniła Larry'ego i wymusiła na Boysie, aby był drugim mężczyzną. Według bliźniaczek tańczył świetnie. Obok tej czwórki, w srebrnej oprawie, jest sam Larry w todze absolwenta, taki poważny. Zmartwienie.

Obok niego jest Mitch.

Spada wina, delikatnie niczym wzdęty, wielki, szary spadochron, z pustą uprzężą. Złota obrączka na palcu ciąży jej jak ołów. Powinna wyrzucić to jego zdjęcie w mosiężnej oprawie w stylu *art nouveau*, na którym śmieje się tak beztrzesko, ale z niepewnością w oczach. Zawsze, chociaż nie widziała tego. „Nie moja wina”, mówi do niego. Zenia nadal tu jest, w tym budynku, w tym pokoju; drobne fragmenty jej spalonej i złamanej duszy atakują drewno jak termity, przegryzając się od środka. Roz powinna to miejsce zdezynfekować. Jak się nazywają ci ludzie? Egzorcyci. Tylko ona w nich nie wierzy.

Wiedzioną impulsem szuka w biurku tych trujących akt i dzwoni po Boyce'a. Nigdy mu o tym nie mówiła, a pracuje dla niej dopiero dwa lata; może nie zna tej historii. Chociaż wszyscy musieli słyszeć, na pewno. Całe miasto plotkowało.

– Boyce, szczerze. Co myślisz?

Wręcza mu kolorowe zdjęcie Zeni na błyszczącym papierze, dwadzieścia pięć na dwadzieścia, portret studyjny, ten sam, który wykorzystywali w „Wise Woman World”, kiedy Zenia była redaktorem naczelnym, ten, który sama Roz dała prywatnemu detektywowi, kiedy przechodziła to poniżające śledztwo. Ciemna suknia, pluszowa, z dekoltem oczywiście – jeśli to masz, to popisuj się, nawet jeśli jest sztuczne, długa, biała szyja, ciemne, elektryzujące włosy, lewa brew uniesiona, usta w kolorze morwy o kącikach zadartych w rozwścieżającym, tajemniczym uśmiechu.

Mój własny potwór, myśli Roz. Myślałam, że potrafię ją kontrolować, ale się uwolniła.

Boyce przyjmuje – udaje, że przyjmuje – iż Zenia jest kimś, kogo Roz chce wziąć na modelkę dla Lookmakers. Trzyma zdjęcie między palcem wskazującym a kciukiem, jakby mogło go zarazić, wydyma usta.

– Fotel, na którym siedziała, jak wypolerowany tron, i tak dalej – odpowiada Boyce. – Powiedziałbym, brygada pasa do pończoch. Baty i łańcuchy, przesada. Te włosy wyglądają na perukę. Z całą pewnością nie lata dziewięćdziesiąte, pani Andrews. *Vieux jeu*; nie sądzi pani, że jest nieco za stara jak na nasz docelowy rynek?

Roz mogłaby krzyczeć z ulgą. Boyce się myli, oczywiście; cokolwiek Zenia miała, jakkolwiek był jej urok, przekraczał granice twarzy miesiąca. Roz podoba się jednak to, co powiedział.

– Boyce – mówi do niego – jesteś, kurczę, skarbem.

Boyce uśmiecha się.

– Staram się – odpowiada.

Roz zostawia mercedesa na parkingu przy Queen z nadzieją, że nikt jej nie przedziurawi opon, nie splądruje bagażnika ani nie zadrapie czystego, niedawno wypolerowanego ciemnoniebieskiego lakieru, gdy ona będzie jeść lunch. Prawda, jest jasny dzień, wóz stoi na strzeżonym parkingu, a to przecież nie Nowy Jork. Jest jednak coraz gorzej i nawet kiedy zamyka drzwi samochodu, uświadamia sobie obecność kilku ciemnych postaci na chodniku, zbitych ciasno, ubranych w łachmany, o przekrwionych, wygłodniałych oczach, bacznie ją obserwujących, kalkulujących, czy jest warta, by ją tknąć.

To jest to samo co te serca, oczy, nerki i wątroby, tylko na bardziej podstawowym poziomie. W kieszeni nosi w pogotowiu garść różowych dwudolarówek, więc nie musi nawet zwalniać, aby otworzyć torebkę. Będzie rozdawać na lewo i prawo, przechodząc przez szpaler stąd do „Toxique”. Dawanie będzie ci policzone, tak przynajmniej mawiał jej ojciec. Czy Roz się z tym zgadza? Czy kurczaki mają usta? Dzisiaj dawanie to katorga, ponieważ nie gwarantuje, że nie zadrapią ci samochodu, a poza tym po co? Ponieważ ci, którym dajesz, nienawidzą cię. Nienawidzą cię, ponieważ muszą prosić. Nienawidzą cię, bo ciebie stać na dawanie, albo są zawodowcami i gardzą tobą za to, że im wierzysz, za to, że darzysz ich współczuciem, że jesteś łatwowiernym świrem. Co się stało z miłosiernym Samarytaninem po tym, jak uratował człowieka, który wpadł między złodziei, ściągnął go na skraj drogi, zabrał do domu, nakarmił zupą i położył spać w pokoju dla gości? Biedny i głupi Samarytanin obudził się rano i zastał sejf rozbity, psa zaduszonego, żonę zgwałconą, złoty świecznik ukradziony, na dywanie wielką kupę gówna, ponieważ rany były namalowane, a krew sztuczna. Zmowa.

Roz ma przez oczami obraz Zeni, Zeni stojącej na frontowych stopniach ich domu – jej i Mitcha – po jednym z przyjęć na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Roz była jeszcze podatna na działanie Zeni, ciągle ją promowała, ciągle zapraszała. Zenia w obcisłym czerwonym kostiumie o sterczących ramionach, z falującą baskinką zakietu okalającą zgrabny tyłek; Zenia na wysokich obcasach; z podkreślonymi biodrami, na jednym wspiera dłoń. Była tylko trochę pijana, tak jak Roz. Zenia pocałowała Roz w policzek, ponieważ były takimi przyjaciółkami, takimi kumpelkami i koleżankami, uśmiechnęła się podstępnie do

wrednego Mitcha, którego wredności głupia Roz nie rozpoznała. Odwróciła się, by zejść po schodach, jedną dłoń uniosła w geście dziwnie przypominającym generałów z kronik filmowych, salutujących żołnierzom, i co wtedy powiedziała? „Pieprzyć Trzeci Świat! Jestem tym zmęczona!”

Tyle gwoli przyzwoitości. Tyle dla gorliwej, starej Roz i jej nędznych, nudnych działań charytatywnych, darowizn dla zgwałconych mam i pobitych babć, a kiedyś wielorybów, ofiar głodu i samopomocy wiejskiej. Zaniedbanej, pulchnej mamci Roz, stłamszonej do nudnego, starego sumienia. To była samolubna, swobodna uwaga, śmiała uwaga, wyzwolona – do diabła z winą! To było jak szybka jazda samochodem z otwartym dachem, ocieranie się o zderzaki innych samochodów, wicie się między nimi bez sygnalizowania, z radiem na cały regulator, mając gdzieś sąsiadów, wyrzucając przez okno wstążki, papier pakowy, na pół zjedzone pasztety, szampańskie trufle, rzeczy zużyte jedynie przez patrzeć na nie.

Najgorsze było to, że Roz – chociaż zaszokowana, chociaż mamrotała: „Och, Zenia, nie mówisz tego serio!” – poczuła w sobie bliźniaczy rytm. Jakby echo, pragnienie takiej samej szybkości, luzu, zachłanności. „Cóż, czemu nie? Myślisz, że ruszyliby palcem w Trzecim Świecie, gdyby chodziło o ciebie?” To tak jak w tej reklamie samochodu, jeżeli jej pamięć nie myli: „Wznieć pył albo zjedz go”. Taki wtedy oferowano wybór.

I Roz wzniecała pył, wiele pyłu, złotego pyłu, Zenia też wzniecała dużo pyłu, tylko innego rodzaju. Teraz ona sama jest pyłem, prochem, i Mitch też. Taki smak Roz ma teraz w ustach.

Roz jak na szrudłach przechodzi przez żwir, dociera do chodnika i kieruje się w stronę „Toxique”, idzie tak szybko, jak pozwala jej ciasna spódnica. Gdziekolwiek pojawiają się roztrzęsione ręce, słabe, szepczące głosy, niewyraźne i nieszczęśliwe, jak na granicy snu. Roz wciska zgniecione banknoty w drżące palce, w znoszone rękawiczki, nie patrząc, bo jeżeli czegoś nienawidzą, to twojej ciekawości. Tak czułaby na ich miejscu. Z daleka dostrzega Tony, idącą w jej kierunku równym truchtem kucyka. Roz macha do niej i woła. Tony zatrzymuje się i uśmiecha, Roz czuje ciepłą falę przyjemności. Jaka ulga!

Charis też przynosi ulgę. Siedzi już przy stole, wznosząc dłoń na powitanie. „Cmok, cmok”, robi Roz w każdy policzek i pada na krzesło, szukając w torbie papierosów. Zamierza cieszyć się tym lunchem, ponieważ te dwie kobiety są bezpieczne: ze wszystkich osób, które zna, nie wyłączając dzieci, te dwie osoby niczego od niej nie chcą. Może zsunąć z nóg buty pod stołem, może mówić i

proponować, co chce, śmiać się, ponieważ nie podejmują tutaj żadnych decyzji, niczego się tutaj nie wymaga ani nie zabrania, bo one dwie wiedzą już wszystko. Wiedzą najgorsze. Przy nich, i tylko przy nich, ona nie ma żadnej władzy.

Nadchodzi kelnerka – skąd one biorą te ciuchy? Roz szczerze podziwia ich odwagę i zazdrości, że jej na to nie stać. Rajstopy w gepardzią skórę i srebrne botki! To nie jest ubranie, to kostium, ale kim ci ludzie chcą być? Celebrantami. Tylko czego? Jakiego dziwnego obrzędu? Roz fascynują bywalcy „Toxique”, ale jednocześnie napęniają strachem. Za każdym razem, kiedy idzie do toalety, boi się, że przez pomyłkę otworzy niewłaściwe drzwi i natknie się na jakiś bezbożny obrzęd. Orgię! Ofiary składane z ludzi! Nie, to przesada – ale coś, czego nie powinna wiedzieć, coś, co wpędzi ją w kłopoty. Jakiś okropny film.

To nie jest prawdziwy powód, dla którego przyciąga ją „Toxique”. Tak naprawdę, chociaż bardzo się stara, nie potrafi trzymać rąk z dala od prania. Przemierza pokoje dzieci niczym ryba żerująca przy dnie, wydobywając to tu, to tam brudną skarpetkę, majtki; kiedyś w stłamszonej koszuli Larry’ego znalazła zapalki z etykietą „Toxique”, a po tygodniu jeszcze jedne. Czy to takie nienaturalne chcieć wiedzieć, gdzie twój syn spędza czas? W nocy, oczywiście; na lunch przecież tu nie chodzi. Coś nakazuje jej mieć oko na to miejsce, sprawdzać je co jakiś czas. To daje jej jakby klucz: przynajmniej on gdzieś chodzi, nie rozplywa się w powietrzu. Ale co on tu robi? I z kim?

Może nic i z nikim. Może tylko je, tak jak ona.

À propos jedzenia. Przebiega palcem menu – jest tak głodna, że mogłaby zjeść konia, ale uważa, żeby nie używać takich określeń przy Charis. Wybiera grzankę z grubym plastrem sera gourmet, z ziołami, kminkiem i polskim kiszonym ogórkiem. Solidne, wiejskie jedzenie, a przynajmniej jego naśladownictwo. Polakom powinno się teraz dobrze powodzić, prawdopodobnie eksportują kiszone ogórki za twardą walutę. Składa zamówienie u kelnerki o zmierzwionych włosach – czy może być atrakcyjna dla Larry’ego? Służąca dziewczka? Teraz zabiera się do wydobycia z mózgu Tony informacji o Środkowym Wschodzie. Gdy tylko coś tam się dzieje, wpływa na interesy na całym świecie.

Tony też ją zadawała, bo niezależnie od tego, jak bardzo pesymistycznie nastawiona byłaby Roz do bieżących spraw, Tony jest jeszcze bardziej pesymistyczna. Przy niej Roz czuje się jak naiwny sztubak, jakaż to odświeżająca odmiana! Przez te wszystkie lata ubolewały nad amerykańską prezydenturą, kiwały głowami, kiedy torysi rozrywali kraj, wróżyły z fryzur Margaret Thatcher. Militarystyczna, stalowa *coiffure*, powiedziała Tony. Kiedy

upadła Wall Street, Tony przewidziała fale imigrantów z Bloku Wschodniego i wzrost niechęci do nich na Zachodzie. Roz powiedziała wtedy: „Och, na pewno nie”, ponieważ sama myśl o niechęci do imigrantów bardzo ją niepokoi. „Ich nigdy za wiele”, tak powiedziała gruba ryba z któregoś z kanadyjskich rządów na temat Żydów podczas wojny.

Sprawy są coraz bardziej zagmatwane: na przykład, ilu imigrantów można jeszcze przyjąć? Realnie patrząc, ilu z nich można pomieścić i kim oni są, gdzie pociągnąć kreskę? Sam fakt, że Roz myśli o nich w ten sposób, wskazuje na skalę problemu, ponieważ Roz bardzo dobrze wie, jak to jest być jedną z „onych”. Teraz jednak ona już jest „my”. To różnica. Nie cierpi zachowywać się jak pies ogrodnika, ale musi przyznać, że Tony – chociaż to zniechęcające – miała rację co do pieniędzy. Roz to podziwia. Gdyby tylko Tony potrafiła skierować swą zdolność przewidywania na coś bardziej lukratywnego, na przykład giełdę.

Tony zawsze ma taki chłodny stosunek do wszystkiego. Taki od niechcenia. „Czego się spodziewałaś?”, pyta, robiąc okrągłe, zdziwione oczy. Dziwi ją nadzieja innych ludzi, ich niewinność, ich bzdurne pragnienie, żeby wszystko obróciło się na lepsze.

Charis natomiast, która nie wierzy w śmierć, ale w przemianę, martwi się tymi wszystkimi przewrotami, wojnami, katastrofami, jakimi zajmuje się Tony, ponieważ tylu ludzi zginie. Nie chodzi o samą śmierć, tłumaczy im, ale o rodzaj śmierci. To nie jest dobra śmierć, lecz gwałtowna i okrutna, niekompletna i niszcząca, zło jej towarzyszące będzie całymi latami wisieć w powietrzu jak coś w rodzaju duchowego zanieczyszczenia. Samo myślenie o tym, według Charis, jest trujące.

– To już zostało postanowione. Zostało postanowione, kiedy Saddam przekroczył granicę. Zupełnie jak Rubikon.

Rubikon, Rubikon. Roz wie, że gdzieś już słyszała to słowo. Rzeka, ktoś ją przekroczył. Tony ma całą listę rzek, które jacyś ludzie pokonywali, zmieniając przy tej okazji świat w takim czy innym momencie. Delaware – tę przekroczył Waszyngton. Plemiona germańskie przekroczyły Ren i obaliły Imperium Rzymskie. Ale Rubikon? Roz, jesteś głupia! Juliusz Cezar, odpowiedź za całe dziesięć punktów!

Nagle spada na Roz jak błyskawica – wspomniała nazwa dla szminki! Wielka seria z nazwami rzek, które zostały przekroczone, i to fatalnie; to, co zakazane połączone z odwagą, wyzwaniem, odrobiną karmy. „Rubikon”, jaskrawa jak jagody ostrokrzewu. „Jordan”, głęboka czerwień z odcieniem winnej latorośli.

„Delaware”, wiśniowa z odcieniem błękitu – chociaż samo słowo jest nieco sztywne. „Świętego Wawrzyńca” – gorący róż – nie, nie, absolutnie nie, święci nie przejdą. „Ganges” – płonący pomarańcz. „Zambezi”, soczysty brąz. „Wołga”, wściekła purpura, jedyny kolor, jaki mogły dostać te biedne Rosjanki przez całe dziesięciolecia – Roz widzi teraz dla niego przyszłość, stanie się przebojem retro, elementem kolekcji, jak statuetki Stalina.

Roz dalej prowadzi rozmowę, ale w myślach z zapalem snuje plany. Widzi zdjęcia modelek, jakie jej się podobają: uwodzicielskie, naturalne, a także wyzywające, ze spojrzeniem „spotkaj swoje przeznaczenie”. A co przekroczył Napoleon? Tylko Alpy, żadnych pamiętnych rzek, pech. Może dać w tle kilka fragmentów historycznych malowideł, z kimś, kto trzyma rozwianą na wietrze, postrzępioną flagę, jakieś wzgórze – wzgórze zawsze musi być, nigdy mokzary – dookoła kłębią się dym i płomień. Tak! Dobrze! Będzie się sprzedawać jak ciepłe bułeczki! Potrzebny jest jeszcze jeden, ostatni odcień, aby dopełnić paletę: gorący brąz z płomiennym, tłącym się cieniem. Jaka rzeka pasuje do tego koloru?

Styks. Nic innego.

W tym momencie Roz spostrzega wyraz twarzy Tony. Nie jest to strach, na pewno. To napięta uwaga, skupienie, cichy pomruk. Gdyby Tony miała sierść, zjeżyłaby się, gdyby miała kły, obnażyłaby je. Ten wyraz twarzy jest tak niepodobny do normalnej Tony, że przeraża Roz nie na żarty.

– Tony, co tobie? – pyta.

– Odwróć powoli głowę – mówi Tony. – Nie krzyknij.

O cholera. To ona. Żywa.

Roz nie ma wątpliwości nawet przez chwilę. Jeżeli ktokolwiek mógłby powrócić ze świata zmarłych, jeżeli ktokolwiek zdecydowałby się na to, to jedynie Zenia. Wróciła, w porządku. Jest w mieście, jak w westernie facet w czarnym kapeluszu. Sposób, w jaki przemierza salę, potwierdza jej poczucie powtórnego wejścia, zajmowania terytorium; pogardliwy uśmiezek wykrzywionych ust, świadome kołysanie biodrami, jakby miała u pasa dwa rewolwery o perłowych rękojeściach i czekała tylko na pretekst, by ich użyć. Zapach perfum ciągnie się za nią jak dym z mocnego cygara. A one trzy siedzą tchórzliwie, udając, że nic nie zauważyły, unikając jej spojrzenia; zachowują się jak sklepikarze, którzy nurkują pod ladę, aby nie znaleźć się na linii ognia.

Roz sięga po torebkę i ukradkiem, przez ramię, zerka na Zenię, mierzy ją, gdy tamta falistym ruchem sadowi się na krześle. Zenia jest nadal wspaniała. Chociaż Roz wie, ile w niej zostało sfabrykowane, to jednak nie robi różnicy.

Kiedy się odmieniasz, wszelkie zmiany stają się prawdą; kto wie o tym lepiej niż Roz, która co miesiąc zmienia kolor włosów? Takie rzeczy to nie iluzja, to transformacja. Zenia już nie jest osobką o małych cyckach z wszczepionymi implantami, jest sztuką o wielkich piersiach. To samo dotyczy tego, co zrobiła z nosem. A jeśli Zenia siwieje, to niewidzialnie, musi mieć kolorystę pierwszej klasy. Jesteś taka, jaką cię widzą. Jak wyremontowany budynek. Zenia nie jest już oryginałem. Jest produktem końcowym.

Jednakże Roz potrafi wyobrazić sobie bliźny po szwach, igłach, miejsca, gdzie pracowali doktorzy Frankenstein. Zna te niebezpieczne linie, wzdłuż których Zenia może się rozpaść. Chciałaby wypowiedzieć magiczne zaklęcie – *Shazam!* – które cofnie czas, zerwie koronkę z zębów Zeni, odsłaniając martwe korzenie, stopi ceramiczną politurę, pobieli włosy, pomarszczy wykarmioną aminokwasami, uzupełnioną estrogenem skórę, rozerwie piersi, aż silikonowe balony wystrzelą, przelecą przez salę i rozbiją się na ścianie.

Kim byłyby wtedy Zenia? Człowiekiem, jak wszyscy. To by jej dobrze zrobiło, a raczej Roz, bo wyrównałoby różnice. Teraz Roz zamierza prowadzić wojnę uzbrojona jedynie w kosz pełen brzydkich przymiotników, garść nic nie znaczących kamyków. Co właściwie może zrobić Zeni? Cholera, nie za dużo, ponieważ Zenia nic od niej nie chce. Już nie.

Pośród tych mściwych i fatalistycznych medytacji przychodzi jej na myśl, że Zenia wcale nie siedzi tu po to, aby Roz ją zaatakowała. Może być tu z innego powodu. Może szukać zdobyczy. Ukryć srebra! Czego ona chce, kogo chce dostać? Na myśl, że może to być ona – chociaż dlaczego, w jaki sposób – Roz wzdryga się.

Jak Roz wyszła z „Toxique”? Prawdopodobnie na własnych nogach, ale nie pamięta, jak zabrała torebkę, jak wstawała, śmiało i głupio odwracając się plecami do Zeni, jak wyszła. Została teleportowana, jak w filmie SF z lat pięćdziesiątych, zredukowana do czarno-białego wiru, a potem odtworzona z chmurki pyłu na zewnątrz. Ścisła Tony na do widzenia, potem Charis. Nie całuje ich w policzki. Pocałunki są na pokaz, uścisk jest prawdziwy.

Tony jest taka mała, Charis szczupła, obie drżą. Roz czuje to, jakby przytulała bliźniaczki – najpierw jedną, potem drugą – w pierwszy dzień szkoły. Chce ogarnąć je swymi skrzydłami kwoki, dodać im pewności, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, muszą być tylko odważne; ale one są dorosłe, mądrzejsze od niej na wiele sposobów, wie, że nie uwierzyłyby w ani jedno jej słowo.

Patrzy, jak odchodzą – Tony umyka po niewidzialnej trajektorii, Charis stąpa niezdecydowanie. Obie mądrzejsze od niej, tak. Tony jest błyskotliwa, w pewnych granicach, a Charis ma coś innego, coś, co trudno określić, ale jest niesamowite; czasami aż dreszcze przechodzą, ponieważ wie rzeczy, o których nie może wiedzieć. Żadna z nich nie potrafi znaleźć się na ulicy. Roz ciągle się wydaje, że wejdą między samochody i rozjedzie je jakaś ciężarówka albo że zostaną napadnięte na jej oczach. „Przepraszam panią, to jest napad. Słucham? Co? Co to napad? Czy mogę w czymś pomóc?”

Są zupełnie zagubione na ulicy, a Zenia to prawdziwy ulicznik. Uderza mocno, kopie poniżej pasa, paskudnie; jedyna rada to kopnąć ją pierwszą, okutym butem. Gdyby doszło do walki na noże, Roz będzie musiała polegać tylko na sobie. Nie potrzeba jej historycznej analizy noży w wykonaniu Tony albo pragnienia Charis, by nie omawiać sprawy ostrych sztucców, ponieważ są negatywne. Musi wiedzieć tylko, gdzie jest tętnica szyjna, i zaatakować.

Problem w tym, że Zenia nie ma tętnicy szyjnej. A jeżeli ma, to Roz nigdy nie potrafiła określić, gdzie albo jak się do niej dostać. U dawnej Zeni nie można było odszukać serca, teraz może nawet nie mieć krwi. Czysty lateks płynie w jej żyłach. Albo stopiona stal. Chyba że się zmieniła, ale na to nie wygląda. Tak czy inaczej, to już drugi raz i Roz jest przygotowana i nie taka bezbronna, ponieważ tym razem nie ma Mitcha.

Wszystkie te postanowienia i brawura są dobre, ale kiedy Roz wraca do samochodu, zastaje krótką wiadomość wydrapaną na drzwiach od strony kierowcy. „Bogata suka”. Wiadomość jest wypisana zgrabnymi literami, stosunkowo grzeczna – w Stanach byłyby to „pizda” – normalnie Roz skalkulowałaby tylko koszt i czas naprawy i czy da się odpisać. Ponadto dałaby upust złości, robiąc scenę pracownikowi parkingu. „Kto to zrobił? Jak to, pan nie wie? Co pan, spałeś? Cholera, po kiego wam się płaci?”

Dzisiaj jednak nie jest w nastroju. Otwiera drzwi, sprawdza, czy nikt nie chowa się na tylnym siedzeniu – nie na darmo czytała te wszystkie kryminały o zbrodniach na tle seksualnym – wsiada, zamyka drzwi, blokuje je i wybucha krótkim płaczem w swej zwyczajowej pozycji, z czołem na kierownicy i nową bawełnianą chusteczką w pogotowiu. (Bliźniaczki wprowadziły zakaz używania chusteczek papierowych. Są bezwzględne, nic nie mówią o dodatkowej porcji prasowania dla Marii. Wkrótce Roz nie będzie mogła używać papieru toaletowego, tylko starych podkoszulków. Albo czegoś innego.)

Jej łyzy nie są łzami żałoby ani rozpacz. To łyzy wściekłości. Roz doskonale zna ich smak. W jej wieku złość dla samej złości jest nic niewarta, ponieważ za każdym razem, kiedy zgrzytasz zębami, kilka z nich może się złamać. Osusza więc twarz. Kiedy chusteczka jest przemoczona, kończy rękawem, poprawia szminkę (Rubikon, oto nadchodzę), tusz na rzęsach, odpala silnik i rusza, plując żwirem spod kół. Ma nikłą nadzieję, że otrze się o jakiś zderzak przy wyjeżdżaniu – „Oj! Przepraszam!” Byłby to pewien substytut, coś nieomal tak dobrego jak uduszenie Zeni. Nie ma jednak żadnego samochodu na właściwym miejscu, a strażnik patrzy. Cóż, wystarczy sama myśl.

Wchodzi do biura – „Cześć Nicki, cześć Suzy, jak leci, Boyce, masz coś ważnego, jest jeszcze trochę kawy, nie łączcie telefonów, mówcie, że mam zebranie” – i zamyka drzwi. Siada w skórzanym fotelu i zapala papierosa, w koszyku na korespondencję szuka czekoladki, tej wiedeńskiej, z portretem Mozarta. Jajko Mozarta, jak mówią dzieci. Żuje i połyka, bębni palcami po niezadowolającym biurku. Mitch spogląda na nią, to ją denerwuje. Wstaje i odwraca zdjęcie, kierując jego spojrzenie gdzie indziej. „To ci się nie spodoba”, mówi do niego. Ostatnim razem też tak było, kiedy odkrył, co ona robiła.

Otwiera szufladę z aktami i wyciąga skoroszyt z literą Z, ten sam, w którym było zdjęcie; przewraca kilka stron. Tutaj jest wszystko, wszelkie tajemnice: dni, godziny, miejsca. To ciągle boli.

Dlaczego by nie skorzystać z tych samych detektywów, mniej trzeba będzie wyjaśniać, ona była nadzwyczajna, Harriet, Harriet jakaś tam, Węgierka, ale

zamerykanizowała nazwisko – Harriet Bridges. Mówiła, że musiała zostać detektywem, bo będąc Węgierką i obcując z Węgrami, i tak trzeba się bawić w detektywa. Roz odnajduje numer, podnosi słuchawkę. Musi przedrzeć się przez ochronę – Harriet chyba powodzi się lepiej, skoro ma sekretarkę, albo jest to jedno ze wspólnych biur – Roz przymila się i napiera, w końcu Harriet kończy zebranie i może rozmawiać przez telefon.

– Cześć, Harriet, tu Roz Andrews. Tak, wiem, minęło parę lat. Słuchaj, chcę, abyś coś dla mnie zrobiła. Właściwie to jest ta sama sprawa, mniej więcej. Ta sama kobieta. Wiem, że nie żyje. To znaczy, nie żyła, ale teraz żyje. Widziałam ją! W „Toxique”... Nie mam pojęcia. Ty tam chodzisz!... Na twoim miejscu zaczęłabym od hoteli, ale nie można liczyć, że będzie używała własnego nazwiska. Pamiętasz?... Prześlę ci jej zdjęcie. Przez gońca. Tylko ją znajdź. Sprawdź, o co jej chodzi. Z kim się widuje. Zadzwoń, jak tylko czegoś się dowiesz. Czegokolwiek! Co je na śniadanie. Wiesz, jaka jestem wścibska... Na rachunku napisz: wydatki osobiste. Jesteś kochana. Umówimy się na lunch!

Roz rozłącza się. Powinna czuć się lepiej, ale tak nie jest. Zdenerwowała się. Teraz, kiedy nadała sprawom bieg, nie może doczekać się wyników, bo zanim dowie się, gdzie jest Zenia, ona może być gdziekolwiek. Może teraz stać przed domem Roz, może wspinać się przez okno z workiem na plecach, aby wynieść łup. Jaki łup? Oto pytanie! Roz jest nieomal gotowa wyjść i sama ją śledzić, chodzić po hotelach z drogocennym zdjęciem pod pachą, kłamać, insynuować, dawać łapówki recepcjonistom. Jest niecierpliwa, podenerwowana, chciwa, po jej całej skórze pełza ciekawość.

Może to menopauza, czyż nie byłoby to coś miłego dla odmiany? Może poczuje przyływ energii i *joie de vivre*, o którym tyle mówią. Już na to pora.

A może to rozwścieczone hormony. Może to grzech. Jeden z siedmiu grzechów głównych, a raczej dwa. Zakonnicom zawsze chodziło o lubieżność; Roz ostatnio uważa, że może chciwość jest jej grzechem. Zjawia się też gniew, który ją oślepia i zazdrość, najgorsza, stara znajoma, pod postacią samej Zeni, uśmiechniętej i triumfującej, promieniejącej Wenus – wychodzącej nie z muszli morskiej, ale z kipiącego tygla.

„Spójrzmy na to, Roz, jesteś zazdrosna o Zenię. Zawsze byłaś. Zazdrosna jak diabli. Tak, na Boga, ale co z tego? Judaszu, co mam z tym zrobić? Na kolana! Poniż się! Umartw swą duszę! Wyczyść ubikację!”

Jak długo mam jeszcze żyć, zanim uwolnię się od tych bzdur, myśli Roz. Wyprzedzą duszy. Pojedzie do domu wcześniej, zje coś, zrobi drinka, weźmie kąpiel z tymi śmieciami, które Charis przynosi jej ze swojego sklepu dla świrów.

Mielone liście, suszone kwiaty, egzotyczne korzenie, piznowe zapachy, olejki z węży, kości kretów, wiekowe receptury warzone przez dyplomowane wiedźmy. Sama Roz nie ma nic przeciwko tym staruchom, gdyż w takim tempie sama się taka wkrótce stanie.

To cię zrelaksuje, mówi Charis, chociaż, Roz, musisz tego chcieć! Nie walcz z tym! Poddaj się temu. Oddaj się. Daj się unieść. Wyobraź sobie siebie w ciepłym oceanie.

Za każdym razem, kiedy Roz próbuje to zrobić, zjawiają się rekiny.

Czarna emalia

„Cała historia napisana jest na wspak”. Tony pisze te słowa na wspak. Wybieramy doniosłe wydarzenie i badamy jego przyczyny i skutki, tylko kto decyduje o jego doniosłości? My, a my jesteśmy tutaj, tamto wydarzenie i jego uczestnicy są tam. Dawno ich nie ma, ale jednocześnie są w naszych rękach. Tak jak rzymscy gladiatorzy, zależą od naszych kciuków. Każemy im staczać bitwy jeszcze raz dla naszej nauki i przyjemności, chociaż staczali je kiedyś z zupełnie innych powodów.

A jednak historia nie jest prawdziwym palindromem, myśli Tony. Nie możemy kazać jej biec wstecz i dotrzeć do samego początku; zaginęło zbyt wiele ogniwi. Poza tym wiemy za dużo, znamy zakończenie. Historycy to kwintesencja podglądactwa, przylepiają nosy do okna Czasu. Nigdy się nie znajdują na polu bitwy, nigdy nie będą uczestniczyć w momentach najwyższej egzaltacji albo najgłębszego bólu. Ich odtworzenie jest w najlepszym razie niekształtną figurą z wosku. Kto chciałby być Bogiem? Poznać całą historię, z gwałtownymi sporami, bijatykami, śmiertelnymi zakończeniami, zanim to się nawet zacznie? Zbyt smutne. I zbyt demoralizujące. Dla żołnierza niewiedza w przeddzień bitwy jest tym samym co nadzieja. Chociaż żadna z nich nie jest błogosławieństwem.

Tony odkłada pióro. Takie myśli są jeszcze zbyt mgliste, aby je sformułować dla bieżących celów; za dwa miesiące obiecała wygłosić wykład dla Stowarzyszenia Historiografów Wojskowości. Chce opowiedzieć o klęsce Ottona II, zadanej przez Saracenów 13 czerwca 982 roku, i przytoczyć jej opis, dokonany przez późniejszych kronikarzy, jako moralny przykład. To będzie dobry wykład, dosyć dobry – jej wykłady są zawsze dosyć dobre – ale z biegiem czasu zaczęła czuć się na tych imprezach jak gadający pies. Mądry, bez wątpienia, zdolny, miły, ale mimo wszystko pies. Kiedyś myślała, że jej praca jest przyjmowana albo odrzucana na podstawie jej wartości, teraz zaczęła podejrzewać, że nie chodzi tu o jakość wykładów. Bardziej liczy się jej sukienka. Będą ją poklepywać po głowie, chwalić, podawać wyborne herbatniki dla psów, a potem zwolnią; chłopcy gdzieś na zapleczu zaborą się do istoty sprawy, to znaczy – który z nich zostanie prezesem Towarzystwa w następnej kadencji.

Co za paranoja. Tony odpędza te myśli i idzie napić się wody.

Jest w piwnicy, w podomce, papuciach-szopach; jest środek nocy. Nie mogła zasnąć, a nie chciała przeszkadzać Westowi, pracując w swoim gabinecie na końcu korytarza, po przeciwnej stronie sypialni. Jej komputer wydaje piski; poza tym światło mogłoby go zbudzić. Kiedy bezgłośnie wstawiała z łóżka i na palcach wychodziła z pokoju, on spał jak niewinny i chrapał jak niewinny; łagodnie, spokojnie, aż do szału.

Perfidny West. Niezastąpijony West.

Naprawdę zeszła na dół po to, żeby zajrzeć do książki telefonicznej i sprawdzić hotele, nie chciała, aby West ją na tym przyłapał. Nie chciała, aby się zorientował, że go śledzi, jego i Zenię, że szpera w jego notatkach. Nie chciała go rozczarować albo gorzej – zaalarmować. Właśnie sprawdziła każdy hotel w mieście na A. Sporządziła listę: Alexandra, Annex, Arnold Garden, Arrival, Avenue Park. Mogłaby zadzwonić do nich wszystkich, zapytać o numer pokoju, zmienić głos – chociaż nie musi mówić ani słowa, mogłaby udać zбочeńca ciężko dyszącego do słuchawki – i sprawdzić, czy Zenia tam mieszka.

W sypialni jest jednak telefon, tuż przy łóżku. Co miałyby powstrzymać Westa przed podsłuchiowaniem, gdyby usłyszał drobne brzęknięcie? Może skorzystać z linii Westa, w jego pracowni, ale ona znajduje się dokładnie nad sypialnią. Jak by się wytłumaczyła, gdyby ją tam zaskoczył? Lepiej poczekać. Jeżeli Zenia ma być powstrzymana – Tony nie ma w tej chwili pojęcia, jak tego dokonać – to Westa, w miarę możliwości, nie należy w to mieszać. Trzeba go izolować. Już i tak wiele wycierpiał. Dla takich czułych i wrażliwych istot jak West prawdziwy świat, szczególnie świat kobiet, jest zbyt surowy.

Pomieszczenie, w którym Tony pisze, to salon gier, tak ona i West je nazywają. Jest to duża część piwnicy pomiędzy kotłownią i pralnią, w przeciwieństwie do nich ma dywan na podłodze. West grywa w bilard, który zajmuje sporą powierzchnię; na bilard można kłaść stół do ping-ponga. Na nim właśnie pisze Tony. Tony nie jest specjalnie dobra w bilardzie, rozumie strategię, ale uderza zbyt mocno i brak jej finezji. W tenisie stołowym jest za to wyjątkowa. West odwrotnie – pomimo zadziwiającego małego-pajęczego zasięgu ramion jest niezdamny w szybkiej grze. Czasem Tony daje mu fory i gra prawą ręką – nie tak dobrą jak lewą – ale i tak go pokonuje. Kiedy Tony przegrywa sromotnie kilka razy z rzędu, West proponuje ping-ponga, chociaż nie trzeba zgadywać, że oberwie. Zawsze jest bardzo rozważny, to forma rycerskości.

To miara, jak bardzo Tony może teraz przegrać.

Ping-pong to tylko margines. Prawdziwa gra Tony stoi w narożniku, obok małej lodówki, w której trzymają wodę i piwo dla Westa. Jest to duży stół-makieta, zakupiony na wyprzedaży kilka lat temu. Pokrywa go trójwymiarowa mapa Europy z Morzem Śródziemnym, wykonana z utwardzonej pasty z soli i mąki, z wymodelowanymi pasmami górskimi, z głównymi zbiornikami wodnymi z niebieskiej plasteliny. Tony używa tej mapy ciągle na nowo, dodaje i likwiduje kanały, usuwa bagniska, zmienia linię wybrzeża, buduje i rozbiiera drogi i mosty, miasta i miasteczka, zmienia bieg rzek, w zależności od wymagań sytuacji. Teraz mapa obrazuje wiek dziesiąty: dzień fatalnej bitwy Ottona II, mówiąc ściśle.

Dla zaznaczenia armii i ludności Tony z zasady nie używa szpilek czy chorągiewek. Zamiast nich wykorzystuje przyprawy kuchenne, inną dla każdego plemienia lub grupy etnicznej: goździki to plemiona germańskie, ziarenka czerwonego pieprzu wikingowie, zielonego Saraceni, białego Słowianie. Celtowie to ziarenka kolendry, Anglo-Saksoni nasiona kopru. Wiórki czekoladowe, ziarna kardamonu, cztery rodzaje soczewicy, małe srebrne kulki oznaczają Madziarów, Greków, królestwa północnej Afryki, Egipcjan. Każdy ważniejszy król, wódz, cesarz lub papież to postać z „Monopoly”; obszary pod ich panowaniem, faktycznie lub nominalnie, zaznaczone są plastikowymi słómkami do drinków odpowiednich kolorów, wetkniętymi w kwadratowe gumki do mazania.

Jest to system złożony, ale woli taki od bardziej schematycznych przedstawień lub pokazywania tylko wojska i warowni. W ten sposób może odzwierciedlić mieszanie się i krzyżowanie ludności w wyniku podbojów lub handlu niewolnikami; społeczeństwa nie są homogenicznymi blokami, ale mieszaniną. W Konstantynopolu i Rzymie są białe ziarenka pieprzu, sprzedane w niewolę przez czerwone ziarna, które nimi rządzą. Zielony pieprz wędruje z południa na północ i ze wschodu na zachód, wykorzystując soczewicę. Frankońscy władcy, przedstawieni przez goździki, infiltrowują celtycko-liguryjską kolendrę. Panuje ciągły ruch, wymiana, przesuwanie granic.

Aby lżejsze ziarenka się nie przesuwały, Tony używa trochę lakieru do włosów. Robi to bardzo delikatnie, inaczej mogłyby zostać rozdmuchane. Kiedy chce zmienić rok lub wiek, zdrapuje ludność tę czy tamtą i zaczyna na nowo. Używa pincety, w przeciwnym razie całe palce miałyby pokryte ziarenkami. Historia nie jest sucha, jest lepka, może zabrudzić ci ręce.

Tony przysuwa krzesło do makiety, siada i bacznie się przygląda. Na zachodnim wybrzeżu Włoch, w pobliżu Sorrento, grupa goździków ściga mniejszą grupę

zielonego pieprzu: Teutonowie pochwyć Saracenów, przynajmniej zamierzają. Figurka ludzika z „Monopoly” wśród goździków to Otton, porywczy, błyskotliwy Otton II, germański władca Rzymu. Prze ciągle do przodu, Otton z goździkami, pośród niewzruszonych mórz, pomarszczonych, suchych gór, pocąc się w bezlitosnym słońcu; adrenalina wzmacnia ich odwagę, perspektywa krwi i zdobyczy dodaje skrzydeł, zbliżające się zwycięstwo przyprawia o zawrót głowy. Jak mało wiedzą.

Tony wie więcej. Za hałdami suchej ziemi i kamieni, niewidoczna, czeka w zasadzce wielka siła saraceńskiego pieprzu. Uciekający oddział zielonych ziarenek to jedynie przynęta. To najstarsza sztuczka w tym fachu i Otton dał się na nią nabrać. Wkrótce jego ludzie zostaną zaatakowani z trzech stron, czwartą jest morze. Wszyscy zostaną zabici, a z pewnością większość, bo pozostali zostaną zepchnięci do morza, gdzie utoną, albo odczołgają się na bok i umrą z pragnienia. Niektórzy wpadną do niewoli i zostaną sprzedani jako niewolnicy. Sam Otton ucieknie, unosząc jedynie życie.

„Wracaj, Ottonie”, myśli Tony. Lubi Ottona, to jej faworyt; żal go jej tym bardziej, że rano, zanim wyruszył na tę wyprawę pod złą gwiazdą, pokłócił się z żoną, co może tłumaczyć jego nierozważność. Utrata cierpliwości nie służy wojaczce. „Otton, wracaj!” Otton jej nie słyszy, nie widzi świata z lotu ptaka, tak jak ona. Żeby wysłał zwiadowców, żeby tylko poczekał! Jednakże czekanie też może się skończyć fatalnie, podobnie wycofanie się. Ten, kto walczy i ucieka, może przeżyć, aby walczyć następnego dnia, albo zginąć ugodzony włócznią w plecy.

Już i tak Otton zaszedł zbyt daleko. Już wielka pinceta nadciąga z nieba, a zielony pieprz podnosi się z gorących skał, wyjeżdża z ukrycia i puszcza się w pościg wzdłuż jałowego wybrzeża. Tony czuje się paskudnie, ale cóż może zrobić? Jest bezradna. Jest za późno. Było za późno tysiąc lat temu. Może jedynie pojechać na plażę. Już to zrobiła. Widziała te gorące, suche góry. Zerwała mały, kolczasty kwiatek do swojego zielnika. Kupiła pamiątkę: dwa spodki do sałatek z drewna oliwnego.

W zamyśleniu podnosi jeden z pokonanych goździków Ottona, zanurza w szklance z wodą, żeby spłukać resztki lakieru, i wrzuca sobie do ust. To zły nawyk, to zjadanie armii z mapy; na szczęście ma zapasy, na półce z przyprawami na górze. Jednakże martwi żołnierze też zostaliby zjedzeni, tak czy inaczej, rozebrani, pozbawieni własności. Taka jest wojna, grzeczności idą na bok, stosunek pogrzebów do zgonów jest bardzo niski. Saraceni już kończą z rannymi – łaska w takich okolicznościach (bez sanitariuszy i wody) – i zdzierają z nich zbroje i broń. Żądni łupu wieśniacy czekają na swoją kolejkę. Sępy już

się zebrały.

Dla Ottona jest już za późno, ale co z nią? Gdyby miała jeszcze jedną szansę, jeszcze jeden ruch, nowy początek, z Zenią, czy zachowałaby się inaczej? Nie wie, ponieważ wie zbyt wiele, aby wiedzieć.

Tony pierwsza z nich zaprzyjaźniła się z Zenią, a raczej Tony pierwsza ją wpuściła, ponieważ ludzie tacy jak Zenia nigdy nie mogą przekroczyć twego progu, nigdy nie mogą wejść i wplątać się w twoje życie, jeżeli ich nie zaprosisz. Musi pojawić się rozpoznanie, zaofiarowanie gościnności, zapraszające słowo. Teraz Tony już wie, chociaż wtedy nie była tego świadoma. Zadaje sobie proste pytanie: dlaczego to zrobiła? Co było takiego w niej, w Zeni, że nie tylko skłoniło ją do tego, ale wręcz wymusiło to na niej?

Przecież nie wydrukowała zaproszeń, nie ma wątpliwości. Nie wiedziała, że to robi, ale ignorancja w takich sprawach nie jest obroną. Otworzyła drzwi szeroko i Zenia weszła jak dawno utracony przyjaciel, jak siostra, jak wiatr, a Tony ją powitała.

To było dawno temu, we wczesnych latach sześćdziesiątych, kiedy Tony miała dziewiętnaście lat. Był to okres, którego nie wspomina za szczególną przyjemnością. Okres przed pojawieniem się Zeni z perspektywy czasu wydaje jej się pusty, spopielały, pozbawiony komfortu; chociaż wtedy uważała, że jest jej dobrze.

Dużo się uczyła, jadła i spała, płukała pończochy w umywalce na pierwszym piętrze McClung Hall, wyciskała je w ręczniku i wieszala starannie nad brzęczącym grzejnikiem w swoim pokoju, na wieszaku przywiązany do karnisza. Miała najrozmaitsze, dobrze wydeptane trasy, które pomagały jej przetrwać całe tygodnie, jak myszy pokonać pole; dopóki się ich trzymała, była bezpieczna. Była zawzięta, parła do przodu, z nosem przy ziemi, spowita w ochronną odrętwiałość.

O ile pamięta, był listopad. (Na ścianie miała kalendarz, na którym wykreślała dni, chociaż nie wyczekiwała żadnej szczególnej daty; dawało jej to jednak poczucie posuwania się do przodu.) W McClung Hall mieszkała już trzy lata, od śmierci ojca. Matka umarła wcześniej; znajdowała się obecnie w metalowej urnie w kształcie miniaturowej bomby głębinowej; Tony trzymała ją na półce w szafie, wepchniętą za swetry. Ojciec leżał na cmentarzu, chociaż jego niemiecki pistolet był schowany w pudełku razem ze starymi dekoracjami na choinkę. To nieomal wszystko, co zachowała z domu rodzinnego.

Zamierzała połączyć rodziców – wziąć pewnego dnia łopatę na cmentarz, zakopać matkę obok ojca niczym aluminiową imitację cebulki tulipana – ale powstrzymywała ją podejrzanie, że matka dużo by zrobiła, aby tego uniknąć. W każdym razie nie przeszkadzała jej obecność matki w pokoju, na półce, gdzie miała na nią oko. (Wyznaczyć jej miejsce. Ograniczyć. Unieruchomić.)

Tony miała pokój dla siebie, ponieważ jej potencjalna współlokatorka przedawkowała środek nasenny, pompowano jej żołądek, a potem zniknęła. Ludzie mieli do tego skłonności, czego Tony doświadczyła. Tamta dziewczyna, zanim odeszła, całymi tygodniami leżała w łóżku w ubraniu, czytała tanie powieści i płakała po cichu. Tony tego nienawidziła. Bardziej jej to przeszkadzało niż tabletki nasenne.

Tony miała poczucie, że mieszka samodzielnie, ale oczywiście otaczali ją inni; inne dziewczęta, a może kobiety? McClung Hall nazywano akademikiem dla kobiet, ale one nawzajem nazywały się dziewczynami. „Cześć, dziewczyno”, wołały, wbiegając po schodach. „Nie zgadniecie!”

Tony nie czuła, aby miała wiele wspólnego z tymi dziewczynami. Spędzały wspólnie wieczory – kiedy nie wychodziły na randki – w świetlicy, rozłożone na pomarańczowo-brązowej, przygnębiającej kanapie i trzech syjących próchnem fotelach, w piżamach i podomkach, z wielkimi wałkami na głowach, grając w brydża, paląc, pijąc kawę i analizując swoje randki.

Tony nie wychodziła na randki; nie miała z kim. Nie przeszkadzało jej to; w każdym razie, czuła się szczęśliwsza w towarzystwie ludzi, którzy dawno zmarli. Dzięki temu nie było bolesnej niepewności ani rozczarowania. Nic do stracenia.

Roz należała do dziewcząt ze świetlicy. Miała donośny głos i nazywała Tony Toinette albo – gorzej – Toniczkiem; już wtedy chciała ubierać Tony, jak lalkę. W tamtym okresie Tony jej nie lubiła. Uważała ją za uprzykrzonego, gruboskórnego intruza.

Ogólnie dziewczęta miały Tony za dziwaczkę, ale nie były wobec niej wrogie. Zamiast tego zrobiły sobie z niej maskotkę. Lubiły karmić ją przemyconym jedzeniem, ukrywanym po pokojach – czekoladą, ciasteczkami, chrupkami. (Przechowywanie pożywienia w pokojach było oficjalnie zabronione ze względu na karaluchy i myszy.) Lubiły poczochrąć jej włosy, przytulić. Ludziom z trudem przychodzi trzymać ręce z dala od tego, co małe – takie kociaki, takie maluchy. „Milunia Tony”.

Kiedy przemykała obok nich do swego pokoju, wołały: „Tony! Hej! Tony! Jak leci?” Często Tony opierała się im albo w ogóle ich unikała. Niekiedy szła

do świetlicy, piła ich kawę z fusami i pogryzała piaskowe ciasteczka. Kazały jej pisać swoje imiona, jednocześnie normalnie i na wspak. Tłoczyły się dookoła, podziwiając akt, który dla niej był oczywistą, pośledniejszą i udawaną magią.

Nie tylko Tony potrafiła coś specjalnego. Jedna z nich wydawała dźwięk jak startująca łódź motorowa, kilka innych – w tym Roz – nałogowo malowało ołówkami do brwi i pomadkami twarze na brzuchach i tańczyło, falując skórą tak, że malowane usta otwierały się i zamykały groteskowo; jeszcze inna wykonywała sztuczkę, posługując się szklanką wody, rurką po papierze toaletowym, kijem od miotły, aluminiową formą do pieczenia i jajkiem. Tony uznawała te wyczyny za o wiele bardziej autentyczne niż jej własne. To, co ona wykonywała, nie wymagało żadnych umiejętności, żadnych ćwiczeń. Zupełnie tak samo jakby miała podwójne stawy albo umiała ruszać uszami.

Niekiedy błagały ją, aby śpiewała na wspak; jeżeli naprzykrzały się wystarczająco mocno, a Tony czuła się na siłach, ulegała. Bez tonacji, zadziwiająco szorstkim głosem przeziębionego dziecka z chóru śpiewała:

Gnilrad ym ho,
Gnilrad ym ho,
Gnilrad ym ho,
Enitn (e) melc,
Reverof (e) nog dna tsol er (a) uoy,
Yrros lufdaerd,
Enitn (e) melc.

Żeby pasowało do rytmu, ustaliła, że trzy samogłoski będą nieme, a dźwięk „uo” będzie dyftongiem. Dlaczego nie? Wszystkie języki mają swoje prawa, a to był jej język, więc wszelkie reguły i wyjątki zależały od niej.

Inne dziewczęta uważały tę piosenkę za przekomiczną szczególnie dlatego, że Tony ani razu się nie uśmiechnęła, nie mrugnęła okiem, nie skrzywiła twarzy. Śpiewała prosto. Prawda była taka, że nie uważała jej za wesołą, tej piosenki o kobiecie, która utonęła w nonsensowny sposób, której nikt nie opłakiwał, którą natychmiast zapomniano. Uznawała ją za smutną. *Lost and gone forever*. Przepadła na zawsze. Dlaczego one się śmiały?

Kiedy nie przebywała z dziewczynami, nie myślała o nich – o ich uszczypliwych żartach, grupowym zapachu pizam, żelu do włosów, mokrych ciał i talku, cmoknięciach i szczebiocie na powitanie, pobłażliwych uśmiechach za jej plecami: „śmieszna Tony”. Myślała za to o wojnach.

O wojnach i o bitwach; to nie to samo.

Lubiła odtwarzać ważne bitwy, by sprawdzić, czy teoretycznie mogłaby je wygrać strona pokonana. Studiowała mapy i sprawozdania, dyspozycje żołnierzy, technikę. Wybór innego terenu przeważałby szale, albo inny sposób myślenia, ponieważ myśl też należała do techniki. Mocna wiara, bo Bóg to także oręż wojenny. Inna pogoda, inna pora roku. Szczególne znaczenie miał deszcz, a także śnieg. Takie szczęście.

Nie miała żadnych preferencji, nigdy nie opowiadała się za jedną czy drugą stroną. Bitwy to były zadania, które można było rozwiązać w inny sposób. Niektóre były nie do wygrania, w żaden sposób; inne tak. Prowadziła dziennik bitewny z własnymi alternatywnymi rozstrzygnięciami i wynikami. Wyniki to liczby tych, którzy zginęli. „Zginęli”, tak o nich mówiono, jakby ktoś przez zapomnienie ich zgubił, a potem odnalazł. W rzeczywistości oznaczało to zabitych. Przepadali na zawsze, jak w piosence *Clementine*. A generałom było „strasznie przykro”, jeżeli sami przeżyli.

Była na tyle sprytna, że nie wspominała koleżankom o swych zainteresowaniach. Gdyby się dowiedziały, przepełniłoby to kielich: z dziwnej, choć bystrej, stałaby się naprawdę upośledzona. Chciała zachować prawo do ciasteczek.

W akademiku było jeszcze kilka dziewczyn podobnych do Tony, które przemykały obok brydzystek w szlafrokach i unikały wspólnych posiłków. Te dziewczęta nie trzymały się razem, nawet nie odzywały się do siebie, tylko cześć i kiwnięcie głową. Tony podejrzewała je o sekretne zajęcia, ukryte, śmiechu warte ambicje nie do przyjęcia, takie jak jej.

Jedną z odizolowanych była Charis. Wtedy nie miała na imię Charis, ale po prostu Karen. (Zmieniło się gdzieś w latach sześćdziesiątych, kiedy było wiele nomenklaturowych mutacji.) Charis–Karen była szczupłą dziewczyną; jak „wierzba”, to jedno ze słów, które wtedy przyszło jej do głowy, jak wierzba o falujących gałązkach, o drżących fontannach blond liści. Drugie słowo to „amnezja”.

Charis wiła się. Tony widywała ją czasem w drodze na zajęcia albo z zajęć, jak przechodziła na ukos ulicę, zawsze – jak się wydawało – narażając się na przejechanie. Nosła długie kloszowe spódnice, spod których wyglądała halka; z torebek, a raczej toreb, tkanych, plecionych, wyszywanych, wypadały jej rozmaite przedmioty. Kiedy wkraczała do świetlicy, to tylko po to, by zapytać, czy ktoś nie widział jej drugiej rękawiczki, szalika albo pióra wiecznego. Przeważnie nikt nie widział.

Pewnego wieczoru, kiedy Tony wracała z biblioteki, zobaczyła Charis schodzącą po drabince pożarowej w szczycie budynku. Miała na sobie coś, co wyglądało na koszulę nocną; w każdym razie było długie, białe i wzdęte. Dotarła do dolnego podestu, zawisała przez chwilę na rękach i zeskoczyła z wysokości paru metrów. Zaczęła iść w stronę Tony. Była boso.

Tony uznała, że Charis jest lunatyczką. Nie wiedziała, co robić. Pamiętała, że nie należy budzić lunatyków, chociaż dlaczego? Charis jej nie interesowała, nie zamieniła z nią więcej niż dwa słowa, ale czuła, że powinna iść za nią, by upewnić się, że nie wpadnie pod nadjeżdżający samochód. (Gdyby to się działo teraz, Tony wzięłaby pod uwagę gwałt: młoda kobieta w koszuli nocnej, na ulicy, po ciemku, na przedmieściach Toronto, to bardzo duże ryzyko. Charis mogła być wtedy narażona na takie niebezpieczeństwo, ale w tamtym okresie gwałtu nie było pośród codziennych kategorii Tony. Gwałt kojarzył jej się z plądrowaniem i należał do kategorii historycznych.)

Charis nie zaszła daleko. Przebrnęła przez kilka stert zagrabionych liści klonów i kasztanów na trawniku przed McClung Hall, zawróciła i jeszcze raz przez nie przeszła; Tony czaiła się za nią jak kolekcjoner motyli. Następnie Charis usiadła pod jednym z drzew.

Tony zastanawiała się, jak długo zamierza siedzieć. Robiło się zimno i chciała wejść do środka. Nie mogła jednak zostawić Charis na dworze, na trawniku pod drzewem, i do tego w koszuli nocnej. Usiadła więc pod sąsiednim drzewem. Ziemia nie była sucha. Tony miała nadzieję, że nikt jej tutaj nie zobaczy, ale na szczęście było dość ciemno i miała na sobie szary płaszcz. W przeciwieństwie do Charis, która lekko połyskiwała.

Po chwili w ciemnościach odezwał się głos:

– Nie śpię, ale i tak dziękuję.

Tony zdenerwowała się. Poczowała się, jakby ją nabrano. Nie uznała zachowania Charis – włóczenia się na bosaka w piżamie – za tajemnicze lub intrygujące, raczej za teatralne i dziwaczne. Roz i dziewczyny w świetlicy mogą uchodzić za szorstkie, ale przynajmniej są solidne i nieskomplikowane, są wartościami określonymi. Charis natomiast była przezroczysta, wymykała się, a czasem lepiła, jak mydło albo żelatyna, jak chwytny wąs anemonów. Jeśli ją dotkniesz, coś z niej może do ciebie przyłgnąć. Była zaraźliwa, lepiej ją zostawić w spokoju.

Żadna z dziewczyn z McClung Hall nie miała nic wspólnego z Zenią, a Zenia nigdy nie miałyby nic wspólnego z nimi. Nie zamieszkałyby w żeńskim akademiku nawet pod groźbą pistoletu, jak powiedziała do Tony, gdy pierwszy raz postawiła nogę w tym miejscu. „W tym śmietniku”, jak je nazwała.

(Po co ona przyszła? Pożyczyć coś. Co to było? Tony nie chce pamiętać, ale i tak pamięta: pieniądze. Zeni nigdy nie starczało. Tony czuła się skrępowana, kiedy ją proszono, ale jeszcze bardziej krępowało ją odmawianie. Teraz się wstydzi, że dała tak naiwnie, tak posłusznie, tak służalczo.)

– Akademiki są dla małych ludzi – oświadczyła Zenia, rozglądając się pogardliwie dookoła, patrząc na przepisowy kolor ścian, obskurne fotele w świetlicy, wycinki z gazet poprzyklejane taśmą do drzwi.

– Dobrze – odezwała się Tony ciężko.

Zenia spojrzała z góry na Tony i poprawiła się:

– Mali w przenośni. Nie miałam na myśli ciebie.

Tony ulżyło, ponieważ pogarda Zeni była dziełem sztuki, była niemalże absolutna; jeżeli ktoś był z niej wyłączony, oznaczało to wielki przywilej. Czująś, że dostałaś odroczenie, usprawiedliwienie; czująś wdzięczność. Tak czuła się Tony, drepcząc do swojego pokoju, żeby znaleźć książeczkę czekową i wypisać mały czek. Tak czuła się, podając go. Zenia wzięła czek niedbale, złożyła wpół i wetknęła za rękaw. Obie starały się zachowywać tak, jakby nic się nie stało, jakby nic nie zmieniło właściciela, jakby nikt nic nikomu nie był winien.

Jakże ona musiała mnie za to nienawidzić, myśli Tony.

Tak więc Tony nie spotkała Zeni wśród dziewczyn z McClung Hall. Poznała ją przez kolegę, Westa.

Tony nie była pewna, jak właściwie West stał się jej kolegą. W jakiś sposób zmaterializował się. Zaczęło się od tego, że usiadł obok niej na zajęciach, pożyczył notatki z historii nowożytnej, ponieważ opuścił poprzedni wykład, i nagle stał się częścią jej codzienności.

West był jedyną osobą, z którą mogła rozmawiać o swoich wojennych zainteresowaniach. Jeszcze tego nie zrobiła, ale zmierzała ku temu stopniowo. Na to mogą być potrzebne lata, a on był jej znajomym zaledwie od miesiąca.

Przez pierwsze dwa tygodnie tego okresu mówiła do niego Steward, jak inni, jak jego koledzy, którzy klepali go po plecach, dawali kuksańce w ramię i mówili: „Hej, Stew, co nowego?” Kiedyś natrafił na kilka tajemniczych słów, które napisała na marginesie notatek – „onwóg az oc, zraizdun yrats”; musiała je wyjaśnić. Umiejętność pisania wspak wywarła na nim wrażenie – „To jest coś”, powiedział i poprosił, żeby napisała jego imię od końca. Twierdził, że jego nowe imię o wiele bardziej mu się podoba.

Dziewczyny w akademiku zaczęły nazywać Westa chłopakiem Tony, chociaż wiedziały, że nim nie jest. Drażniły ją celowo.

– Jak twój chłopak? – krzyczała Roz, szczerząc zęby do Tony z wykrzywionej pomarańczowej kanapy, która robiła się jeszcze bardziej krzywa, kiedy siedziała na niej Roz. – Hej, Toniczku! Jak twoje tajemnicze życie? Co słysząc u pana Tyczki? Biedactwo! Ci wysocy zawsze wybierają sobie maluchy!

West i tak był wysoki, ale kiedy siedł przy Tony, wyglądał na jeszcze wyższego. Brakowało mu masywności olbrzyma; był raczej kościsty, lekko zbudowany. Ręce i nogi były jakby tylko na próbę przytwierdzone do tułowia, dłonie i stopy wydawały się większe niż w rzeczywistości, gdyż rękawy i nogawki zawsze miał parę centymetrów za krótkie. Był przystojny na swój kanciasty i wydłużony sposób, jak średniowieczny posąg świętego albo jak zwyczajny, przystojny mężczyzna, który został rozciągnięty niczym guma.

Miał wtedy blond czuprynę, nosił ciemne, pogniecione ubiory – rozciągnięty golf, poplamione dżinsy. W tamtych latach było to niezwykle; większość mężczyzn na uniwersytecie nosiła krawat, a co najmniej marynarkę. Jego ubranie było oznaką człowieka z marginesu, nadawało mu wygląd wygnańca. Kiedy pili kawę w studenckim barze po wykładzie z historii nowożytnej, dziewczyny wpatrywały się w Westa. Następnie spuszczały wzrok i napotykały Tony, z włosami przyciętymi na pazia, w okularach w rogowej oprawie, w spódniczce niby kilt, w tanich mokasynach. Były zaskoczone.

Właściwie Tony z Westem piła tylko kawę, to wszystko. Kiedy pili tę kawę, rozmawiali; chociaż żadne z nich nie było, jak to się mówi, elokwentne. Przeważnie spokojnie milczeli. Czasem pili piwo w rozmaitych ciemnych piwiarniach, gdzie Tony ledwo dotykała podłogi, zlizywała piankę, w zamyśleniu próbując piwo językiem, jak kot. West wypijał resztę piwa i zamawiał dwa następne, najwyżej cztery. Nigdy nie pił więcej, co Tony przyjmowała z ulgą. To dziwne, że wpuszczano Tony do piwiarni mimo jej dziecięcego wyglądu. Była nieletnia. Na pewno myśleli, że nigdy nie ośmieliłaby się postawić nogi w takim miejscu, gdyby naprawdę nie miała skończonych dwudziestu dwu lat.

Tony była przebrana za siebie samą, to jedno z najlepszych przebrań. Gdyby chciała wyglądać na starszą, na nic by się zdało.

West powiedział, że nikt nie robi lepszych notatek z historii niż Tony. Dzięki temu poczuła się pożyteczna, a nawet więcej, niezastąpiona, godna pochwały.

West chodził na historię nowożytną, która wcale nie była nowożytna, po prostu nie była to historia starożytna, która kończyła się upadkiem Rzymu, ponieważ interesowały go ballady i piosenki w stylu folk oraz antyczne instrumenty. Grał na lutni, a przynajmniej tak utrzymywał. Tony nigdy tej lutni nie widziała. Nigdy nie była u niego w pokoju, jeżeli faktycznie mieszkał w pokoju. Nie wiedziała, gdzie mieszka ani co robi wieczorami. Powtarzała sobie, że jej to nie interesuje; przyjaźnili się popołudniami.

Wraz z upływem czasu zaczęła jednak myśleć o reszcie jego życia. Łapała się na tym, że zastanawia się, co jadł na obiad, a nawet na śniadanie. Przyjęła, że mieszka z innymi mężczyznami albo chłopcami, ponieważ opowiedział jej o koleźce, który potrafi zapalić swoje pierdnięcie. Nie opowiedział jej tego żartem, ale jakby z żalem. „Wyobraź sobie, że masz to wyryte na nagrobku”, powiedział. Tony uznała zapalanie pierdnięć za pewien wariant bardziej statecznych sztuczek z jajkami, twarzami malowanymi na brzuchu, jakie robiono w jej akademiku, i doszła do wniosku, że to jest męski akademik. Nie zapytała jednak.

Kiedy West się zjawiał, mówił: „Cześć”. Kiedy zniknął, mówił: „Na razie”. Tony nigdy nie wiedziała, kiedy to może nastąpić.

W ten sposób dotrwali do listopada. Tony i West siedzieli właśnie w piwiarni pod nazwą Montgomery's Inn, która wiązała się z jedną z potyczek powstania 1837 roku w Kanadzie. Zdaniem Tony ta bitwa powinna była się skończyć inaczej, została przegrana przez głupotę i panikę. Tony jak zwykle zlizywała pianę z piwa, kiedy West powiedział coś zaskakującego. Powiedział, że urządza przyjęcie.

Właściwie to powiedział „urządzamy”. Nie użył też słowa „przyjęcie”, ale „impreza”.

„Impreza” w ustach Westa brzmiało dziwnie. W tym słowie była agresja, a West nie należał do osób gwałtownych. Zupełnie jakby kogoś cytował.

– Imprezę? – zapytała niepewnie Tony. – Nie wiem. – Słyszała, jak dziewczęta z akademika opowiadały o imprezach. Odbywały się w męskich klubach i kończyły rzyganiem – głównie mężczyzn, ale czasami także dziewczyn – w klubie albo w łazience McClung Hall.

– Chyba powinnaś przyjść – rzekł West, przyglądając się jej dobrotliwie

niebieskimi oczami. – Wyglądasz blade.

– Taki mam kolor – odparła Tony, broniąc się. Zaskoczyła ją nagle troska o jej zdrowie. To wydawało się zbyt ugrzecznione, chociaż, w przeciwieństwie do niedbałego ubrania, zawsze otwierał jej drzwi. Nie przywykła do takiej troskliwości z jego strony czy strony kogokolwiek innego. To ją zatrzymało, zupełnie tak, jakby jej dotknął.

– Cóż – zaczął West – myślę, że powinnaś więcej wychodzić.

– Wychodzić? – Tony była zaskoczona: co on przez to rozumie?

– No, wiesz – tłumaczył West. – Spotykać się z ludźmi.

Powiedział to nieomal podstępnie, jakby coś ukrywał. Przyszło jej do głowy, że może chce ją umówić z jakimś mężczyzną, wiedziony źle ulokowaną opiekuńczością, tak jak Roz. „Toinette! Chciałabym, żebyś kogoś poznała!”, powiedziała by Roz, a Tony uniknęłaby ciosu, omijając ją. Teraz jednak odpowiedziała:

– Nikogo nie będę tam znać.

– Będiesz znała mnie – odparł West. – A innych możesz poznać.

Tony nie powiedziała, że nie chce więcej poznawać ludzi.

Zabrzmiałoby to dziwnie. Pozwoliła, aby West zapisał adres na narożniku wyrwanym ze skryptu *Narodziny renesansu*. Nie powiedział, że przyjdzie po nią, więc chociaż nie będzie to randka. Tony nie zniosłaby randki, z nikim, a tym bardziej z Westem. Nie zniosłaby podtekstów albo nadziei. Taka nadzieja mogłaby wybić ją z równowagi. Nie chciała się angażować. Z nikim. Koniec. Kropka.

Impreza odbywa się na drugim piętrze wąskiego budynku na przedmieściu, stojącego wśród tanich sklepów i magazynów z przecenionym sprzętem wojskowym, których okna wychodzą na tory kolejowe. Schody są strome; Tony wspina się, biorąc jeden stopień naraz, opiera się o poręcz. Drzwi na górze są otwarte; ze środka wydobywa się hałas i kłęby dymu. Tony zastanawia się, czy zastukać. Postanawia, że nie, bo i tak nikt by jej nie usłyszał. Wchodzi.

Natychmiast tego żałuje, ponieważ pokój pełen jest ludzi, ludzi, którzy – wzięci razem – przerażają ją, a co najmniej sprawiają, że czuje się nieswojo. Większość kobiet ma proste włosy, związane w długi koński ogon jak u baleriny albo zawinięte w skromny koczek. Mają czarne pończochy, czarne spódniczki i bluzki; usta bez szminki; oczy mocno pomalowane. Niektórzy z mężczyzn noszą brody. Ubrani są tak samo jak West – flanelowe koszule, golfy, kurtki dżinsowe – ale brakuje im jego otwartości, jego słodyczy, jego gładkiej twarzy. Są raczej

zamknięci, matowi, naładowani intensywną materią. Przepenia ich, rozsada, emanuje z nich statyczna energia.

Mężczyźni w większości rozmawiają z sobą. Kobiety nie rozmawiają. Opierają się o ścianę albo stoją z rękami założonymi pod piersi, z papierosem w ręku, popiół z papierosa niedbale spada na podłogę. Wyglądają na znudzone albo jakby chciały zaraz wyjść na jakieś inne, lepsze przyjęcie; wpatrują się bez wyrazu w mężczyzn lub patrzą przez nich na wylot, jakby z uwagą szukając kogoś innego, innego mężczyzny, ważniejszego.

Kilka kobiet zerka na Tony i pospiesznie odwraca oczy. Tony ubrana jest jak zawsze, w ciemnozieloną sukienkę ze sztruksu bez rękawów, w białą bluzkę, ma zieloną aksamitną wstążkę we włosach, podkolanówki i brązowe mokasyny. Zostało jej sporo rzeczy z czasów liceum, bo jeszcze ciągle pasują. Uświadamia sobie w tym momencie, że będzie musiała przyzwyczaić się do innych ubrań. Tylko nie wie jak.

Staje na palcach i wpatruje się w płataninę ramion, pleców i głów, biustów pokrytych dzianiną z czarnej wełny i dżinsowych torsów. Westa nigdzie nie widać.

Może to dlatego, że w pokoju jest ciemno; może dlatego go nie widzi. Wtedy zdaje sobie sprawę, że pokój nie tyle jest ciemny, co czarny. Ściany, sufit, a nawet podłogę pokrywa błyszcząca, twarda czarna emalia. Nawet okna zostały zamalowane, nawet klosze lamp. Zamiast elektrycznych żarówek są świeczki powtykane w butelki po chianti. W całym pokoju porozstawiano srebrne puszkki po soku, pozbawione nalepek; stoją w nich białe chryzantemy, które mienią się i błyszczą w świetle świec.

Tony chce wyjść, ale nie chciałaby tego zrobić, nie zobaczywszy się z Westem. Mógłby pomyśleć, że zrezygnowała z zaproszenia, że nie udało jej się przyjść; mógłby pomyśleć, że jest snobką. Poza tym pragnie uspokojenia i wsparcia; przy nim nie będzie taka zagubiona. Idzie go szukać. Rusza korytarzem, który skręca w lewo i kończy się łazienką. Drzwi się otwierają, słychać spuszczaną wodę, wychodzi brodaty mężczyzna. Rzuca Tony rozbiegane spojrzenie i mówi: „O cholera, harcerki”.

Tony czuje się, jakby miała dwa cale wzrostu. Ucieka do łazienki, która będzie jej azylem. Tutaj też wszystko pomalowano na czarno, nawet wannę, umywalkę, lustro. Zamyka drzwi i siada na czarnym sedesie najpierw sprawdziwszy, czy farba wyschła.

Nie jest pewna, czy znalazła się we właściwym miejscu. Może West wcale tutaj nie mieszka. Może dostała zły adres; może to jakaś inna impreza, a może pora nie ta – może przyszła zbyt wcześnie, aby spotkać Westa, albo za późno.

Nie ma sposobu, aby się dowiedzieć, gdyż on przychodzi i odchodzi tak niespodziewanie.

Mogłaby wyjść z łazienki i zapytać kogoś – kogoś z wielkich, zaroiętych mężczyzn, którąś z wyniosłych kobiet. A jeżeli nikt go nie zna? Bezpieczniej będzie zostać tutaj, odtworzyć dla samej siebie bitwę pod Culloden, rozważyć szanse. Przygotowuje teren – pochyłe wzgórze, kamienna ściana ze schludnymi brytyjskimi żołnierzami, za nimi działa w schludnym rzędzie. Obszarpane klany szarżują, wojownicy staczają się w dół z krzykiem, uzbrojeni jedynie w ciężkie, staroświeckie miecze i okrągłe tarcze. Padają, tworząc malownicze, szlachetne sterty. Masakra. Odwaga liczy się tylko wtedy, gdy po obu stronach jest podobna technika. Kochany książę Karolek był idiotą.

Sama bitwa, myśli Tony, jest nie do wygrania. Jedyna nadzieja w uniknięciu bitwy. Odrzucić zasady prowadzenia walki, zapomnieć o konwencjach. Uderzyć w nocy, a potem wtopić się we wzgórze. Przebrać się za wieśniaków. Walka nie fair, ale co jest fair? Nic, o czym się do tej pory uczyła.

Ktoś stuka do drzwi. Tony wstaje, spłukuje czarną muszlę, myje ręce w czarnej umywalce. Nie ma ręcznika, więc wyciera ręce w suknię. Otwiera drzwi. To jedna z tych kobiet balerin.

– Przepraszam – mówi do niej Tony. Kobieta mierzy ją wzrokiem.

Tony wraca do głównego pomieszczenia z zamiarem wyjścia. Bez Westa to nie ma sensu. Na środku pokoju stoi Zenia.

Tony jeszcze nie zna imienia Zeni, ale Zeni chyba nie jest ono potrzebne. Nie jest ubrana na czarno jak pozostali. Wręcz przeciwnie, na biało, ma na sobie coś w rodzaju pasterskiej koszuli sięgającej do pól uda, długie nogi oplatają obcisłe dżinsy. Koszula nie jest cienka, ale przywodzi na myśl bieliznę, może dlatego że jest rozpięta od góry aż do poziomu sutków. W dekolcie, po każdej stronie, widać krągłą część małej, twardej piersi – dwa półokrągłe nawiasy.

Wszyscy pozostali w swych czarnych strojach wtapiają się w tło ścian. Zenia wyróżnia się; twarz, dłonie i dekolt wypływają w ciemnościach, pośród białych chryzantem, jakby oderwane od reszty ciała. Musiała przemyśleć to wcześniej – uświadamia sobie Tony – że będzie świecić po ciemku jak całodobowa stacja benzynowa albo – mówiąc szczerze – jak księżyc.

Tony czuje się wessana, wepchnięta w czarną emalię ścian. To bardzo piękni ludzie wywołują ten efekt, myśli, usuwają innych. W obecności Zeni czuje się więcej niż mała i absurdalna, czuje, że nie istnieje.

Ucieka do kuchni. Też jest czarna, nawet kuchenka, nawet lodówka. W

światło świec farba połyskuje wilgotno.

West stoi oparty o lodówkę. Jest pijany; Tony widzi to od razu, ma spore doświadczenie. Coś się w niej przewraca, obraca i tonie.

– Cześć, Tony – odzywa się West. – Jak się ma mój mały przyjaciel?

West nigdy przedtem nie nazwał Tony małym przyjacielem.

Nigdy nie nazwał jej „małą”. To nadużycie.

– Właściwie to muszę iść – mówi Tony.

– Noc jest młoda – odpowiada. – Napij się piwa. – Otwiera czarną lodówkę, jeszcze białą w środku, i wydobywa dwa „Molson’s Ex.”. Gdzie, kurwa, go wsadziłem? – pyta, klepiąc się po ciele.

Tony nie wie, o czym on mówi ani co robi, a nawet kim właściwie jest. Nie tym, kim był według niej; to na pewno. On na ogół nie przeklina. Tony zaczyna się wycofywać.

– Masz go w kieszeni – mówi ktoś za jej plecami. Tony odwraca się. To ta dziewczyna w białej koszuli. Uśmiecha się do Westa, celuje w niego palcem wskazującym. – Ręce do góry.

West, uśmiechając się, podnosi ręce. Dziewczyna kłeka i przeszukuje mu kieszenie, opierając głowę o jego uda, po długiej chwili – podczas której Tony czuje się, jakby zmuszono ją do podglądania sceny zbyt intymnej, aby to znieść – wyciąga otwieracz. Otwiera obie butelki, z wprawą zrywając kapsle, jedno piwo podaje Tony, drugie pije sama. Tony obserwuje, jak gardło dziewczyny faluje przy przełykaniu. Ona ma długą szyję.

– A ja? – pyta West i dziewczyna podaje mu butelkę.

– Jak ci się podobają nasze kwiaty? – Zenia pyta Tony. – Ukradliśmy je z cmentarza na Mount Hope. Jakaś gruba ryba się przekreśliła. Trochę zmarniały, musieliśmy czekać, aż wszyscy się zwiną. – Tony notuje słowa – ukradliśmy, przekreśliła, zwiną – i czuje, że brak jej śmiałości i stylu.

– To Zenia – mówi West. W jego głosie kryje się zaznaczenie własności oraz szorstkość, co wcale się Tony nie podoba. „Moja”, to chce powiedzieć. Wszystko moje.

Tony teraz rozumie, że źle tłumaczyła sobie to „my”. „My” nie miało nic wspólnego z kolegami z akademika, oznaczało Zenię. Zenia opiera się teraz o Westa jak o latarnię. On oplata ją w tali ramieniem, pod koszulą; twarz do połowy chowa w jej przesiąkniętych dymem włosach.

– Są wspaniałe – odzywa się Tony. Stara się, aby głos brzmiał entuzjastycznie. Wypija niezdarnie łyk piwa z butelki, którą podała jej Zenia, i koncentruje się, aby się nie opryskać. Oczy ją kłują, twarz piecze, w nosie szczypie.

– A to jest Tony – słycać głos Westa. Usta trzyma za uchem Zeni, wygląda więc, jakby to jej włosy mówiły. Tony myśli o ucieczce, przez drzwi kuchenne, pomiędzy nogami w dużym pokoju, po schodach. Przerazona mysz.

– Ach, to jest Tony – mówi Zenia. Wygląda na rozbawioną. – Cześć, Tony. Podobają ci się nasze czarne ściany? Proszę, weź mi z brzucha te zimne ręce – zwraca się do Westa.

– Zimne ręce, ciepłe serce – mruczy West.

– Serce – powtarza Zenia. – Kogo obchodzi twoje serce? To nie jest twój najbardziej pożyteczny organ. – Unosi dół koszuli, sięga po jego wielkie dłonie, wyciąga je i trzyma w swoich, pieści, przez cały czas uśmiechając się do Tony. – To zemsta – mówi. Nie ma czarnych oczu, jak na początku myślała Tony, ale granatowe. – Ta impreza to zemsta. Właściciel nas wyrzuca, więc chcieliśmy pokazać temu gnojowi, żeby nas popamiętał. Będzie musiał malować dwa razy, żeby to pokryć. Według umowy mieliśmy prawo malować, ale nie było napisane na jaki kolor. Widziałas ubikację?

– Tak – odpowiada Tony. – Bardzo śliska. – Nie chciała, aby to zabrzmiało śmiesznie, ale Zenia śmieje się.

– Masz rację. – Zenia zwraca się do Westa. – Tony jest niemożliwa.

Tony nie cierpi, kiedy mówi się o niej w trzeciej osobie. Nigdy tego nie cierpiała. Jej matka też tak mówiła. West rozmawiał o niej z Zenią. Oni dwoje obmawiali ją za plecami, przyklejali jej przymiotniki, jakby była dzieckiem, jakby była kimkolwiek, przedmiotem. Przychodzi jej teraz na myśl, że West zaprosił ją tutaj tylko dlatego, że Zenia mu kazała. Odstawia piwo na czarną kuchenkę; widzi, że butelka jest do połowy opróżniona. Musiała wypić tę drugą połowę. Jak to zrobiła?

– Muszę iść – mówi, ma nadzieję, że z godnością.

Zenia chyba jej nie słyszy. Tak samo West. Spogląda teraz z gęstwiny włosów Zeni; Tony widzi, jak jego oczy błyszczą w blasku świateł.

Ręce i nogi Tony odłączają się od reszty ciała. Dźwięki powolnieją. To piwo. Z zasady nie pije piwa, nie przywykła. Ogarnia ją tęsknota. Pragnie, aby ktoś zanurzył twarz w jej włosach. Pragnie, aby był to West. Tylko że ona nie ma tyłu włosów. Uderzyłby w czaszkę.

Straciła coś, straciła Westa. „Isol. Reverof”. To głupie. Jak można stracić kogoś, kogo naprawdę nigdy się nie miało?

– Więc, Tony – mówi Zenia. Wypowiada „Tony”, jakby to było obce słowo, jakby było w cudzoziemiu. – West twierdzi, że jesteś bystra. Jaki jest twój kierunek?

Tony myśli, że Zenia pyta ją, dokąd zamierza iść po wyjściu stąd. Mogłaby

udawać, że idzie na inne przyjęcie, lepsze, na które Zeni nie zaproszono. Ale w to jej nie uwierzą.

– Chyba wróćę metrem – odpowiada. – Muszę popracować.

– Ona zawsze pracuje – wtrąca West.

– Nie – niecierpliwi się Zenia. – Chodzi mi o to, co w ogóle robisz w życiu? Jaka jest twoja obsesja?

„Obsesja”. Tony nie zna nikogo, kto tak mówi. Tylko przestępcy i wariaci mają obsesje, a jeżeli już się ma jakąś obsesję, to się do tego nie przyznaje. Nie muszę odpowiadać, powtarza sobie. Wyobraża sobie dziewczyny w świetlicy i co one pomyślałyby o obsesji, co by pomyślały o Zeni. Pomyślałyby, że jest pełna obsesji, że to dziwka, skoro tak odpina guziki. Pogardziłyby jej włosami dziwki. Najczęściej Tony uznaje ich osądy względem innych kobiet za zawistne i fałszywe, ale teraz przynoszą jej ulgę.

Powinna uśmiechnąć się, pokazać, że się nudzi i ma dosyć. Powinna powiedzieć: „Moje co?”, zaśmiać się i udać zdziwienie, jakby to pytanie było głupie. Wie, jak to zrobić, widziała i słyszała.

Pytanie nie jest jednak głupie i ona zna odpowiedź.

– Anjow – mówi.

– Co? – pyta Zenia. Koncentrując się na Tony, jakby w końcu ją zainteresowała. Jakby warto dojść do sedna. – Powiedziałaś „anioł”?

Tony wie, że popełniła błąd, przejęzyczyła się. Powiedziała to słowo wspan. Chyba przez alkohol.

– Miałam na myśli wojnę. – Tym razem wypowiada to słowo ostrożnie. – To chcę zrobić z moim życiem. Chcę studiować wojnę. – Nie powinna była tego mówić, nie powinna była mówić o sobie aż tyle, źle to ujęła. Ośmieszyła się.

Zenia śmieje się, ale nie jest to śmiech drwiący, raczej zachwyt. Dotyka ramienia Tony, lekko, jakby bawiła się w przeciąganie liny przy użyciu pajęczyny.

– Napijmy się kawy – proponuje. Tony uśmiecha się.

To właśnie było to, decydujący moment. Rubikon! Kości zostały rzucone, ale kto mógł wtedy o tym wiedzieć? Nie Tony, chociaż pamięta uczucie, jakby traciła grunt pod nogami, jakby porywał ją silny prąd. A co właściwie było tym zaproszeniem? Co dało Zeni przyzwolenie, ukazało jej odsłonięte miejsce w owadzim pancerzu Tony? Które słowo było tym magicznym zaklęciem, „anjow” czy „wojna”? Prawdopodobnie oba razem, ich podwojenie. To dopiero rzuciło urok na Zenię.

A może to tylko przesadna komplikacja, intelektualna pajęczyna, do której Tony ma skłonność, i dobrze o tym wie. Bez wątplenia było to coś o wiele prostszego, coś bardziej oczywistego; zmieszanie Tony, brak obrony w tych okolicznościach, a okoliczności to West. West i fakt, że Tony go kochała. Zenia musiała to wyczuć prędzej od Tony, dowiedziała się, że Tony nie stanowi zagrożenia, dowiedziała się, że Tony też ma coś, z czego można ją oskubać.

Ale co z samą Tony? Co jej oferowała Zenia albo udawała, że oferuje, kiedy stała w czarnej kuchni, uśmiechała się, lekko dotykając palcami ramienia Tony, mieniąc się w blasku świec jak miraż?

Natura nie lubi próżni, myśli Tony. Jakież to niedogodne. W innym razie, my, próżnie, moglibyśmy żyć we względnym bezpieczeństwie.

Teraz Tony nie jest już próżnią. Zupełnie nie. Teraz jest nasycona, teraz tarza się w mnogości, teraz strzeże zamku pełnego skarbów, teraz jest zaangażowana. Teraz musi trwać na posterunku.

Tony przemierza podłogę piwnicy; pióro i notes leżą porzucone na stole do ping-ponga. Myśli o Weście śpiącym na górze, który głęboko wciąga powietrze i wydycha; o Weście, przewracającym się w łóżku i jęczącym, wzdychającym na próżno, którego westchnięcia brzmią jak łamane serce. Wsłuchuje się w krzyki umierających, w wiwaty Saracenów na nagim brzegu, w brzęczenie lodówki, w buczenie pieca, który samoczynnie włącza się i wyłącza, i w głos Zeni.

Głos przeciągły, z lekkim wahaniem, z lekkim obcym akcentem, cieniem seplenienia; niski, soczysty, ale o twardej powierzchni. Jak nadziewana czekolada, miękka, maślana, zwodnicza w środku. Słodka i szkodliwa.

– Co mogłoby cię skłonić do samobójstwa – pyta Zenia.

– Do samobójstwa? – zastanawia się Tony, jakby nigdy o tym nie myślała.

– Nie wiem. Chybabym tego nie zrobiła.

– A gdybyś miała raka? – ciągnie Zenia. – Jeżeli wiedziałabyś, że będziesz powoli umierać, w strasznym bólu? Gdybyś wiedziała, gdzie jest mikrofilm, i druga strona wiedziałaby, że ty wiesz, i chcieliby cię torturować, żeby wydostać informację, a potem i tak by cię zabili? Gdybyś miała cyjanek w zębie, użyłabyś go?

Zenia lubi pytać o takie rzeczy. Zazwyczaj oparte są na dość ekstremalnych scenariuszach: gdybyś była na „Titaniku” i tonęła, czy przepychałabyś się czy stałabyś z tyłu i grzecznie tonęła? Gdybyś nie miała co jeść w łodzi i któryś z pasażerów by umarł, zjadłabyś go? Wydaje się, że własne odpowiedzi ma już zdecydowanie ustalone, chociaż nie zawsze je zdradza.

Pomimo własnych, nic nie ważących trupów w głowie, pomimo wojen prowadzonych na mapach i rozlewu krwi, który kontempluje codziennie, takie pytania szokują Tony. Nie są to problemy abstrakcyjne – na to są zbyt osobiste – i nie mają właściwych rozwiązań. Byłoby jednak błędem taktycznym, gdyby okazała konsternację.

– Hm, nigdy nic nie wiadomo, wiesz? – mówi. – Dopóki to się nie wydarzy.

– Zgoda – odpowiada Zenia. – To w takim razie, co by cię skłoniło do zabicia kogoś?

Tony i Zenia piją kawę, tak jak to robią niemal co trzeci dzień przez ostatni miesiąc, od chwili poznania. Właściwie nie co trzeci dzień, ale co trzeci wieczór; teraz jest jedenasta, pora, kiedy Tony przeważnie idzie spać, ale teraz jest tutaj i nie śpi. Nawet nie chce jej się spać.

Nie siedzą teraz w studenckiej, nudnej kawiarni w kampusie, ale w prawdziwej, niedaleko nowego mieszkania Zeni. Zeni i Westa. „Speluna”, jak określa ją Zenia. Kawiarnia nazywa się „Christie” i jest otwarta przez całą noc. Teraz jest w niej jeszcze trzech mężczyzn, dwóch w trenczach, jeden w wytłuszczonej tweedowej marynarce; trzeźwieją, mówi Zenia; dwie kobiety siedzą na osobności i cicho rozmawiają.

Zenia mówi, że te kobiety to prostytutki. Twierdzi, że zawsze je rozpoznaje. Tony nie wydają się specjalnie atrakcyjnym towarem seksualnym; nie są młode, ostro umalowane, fryzury z lat czterdziestych, włosy sięgają im do ramion, usztywnione lakierem, z przedziałkiem z boku, odsłaniającym skórę. Jedna z nich zdjęła but bez pięty i w przejściu wystawiła stopę w pończosze. Cały lokal, z brudnym linoleum, zepsutą szafą grającą, topornymi, wyszczerbionymi

filiżankami, jest jakby gorszej jakości, panuje w nim ordynarna i tandetna niedbałość, która odrzuca Tony, ale jednocześnie przejmuje głębokim dreszczem.

Coraz później wraca do McClung Hall. Mówi, że pomaga malować dekoracje do przedstawienia: *Trojanki*. Zenia przygotowywała się do roli Heleny, ale została Andromachą.

– Całe to biadolenie – mówi. – Babskie zrządzenie. Nie cierpię tego. – Mówi, że kiedyś chciała być aktorką; teraz już nie. – Ci dyrektorzy, kurwa, myślą, że są Bogiem – opowiada. – Ty jesteś dla nich psim łajnem. A jak się na ciebie ślinią i jak cię oblapiają! – Chce to rzucić.

Dla Tony ślinienie i obłapianie to nowe zjawiska. Nigdy nikt się nie ślinił na jej widok ani jej nie obłapiał. Chciałaby zapytać, jak to wygląda, ale powstrzymuje się.

Czasem obie naprawdę malują dekoracje. Tony nie jest w tym specjalnie dobra – nigdy w życiu niczego nie malowała – ale dostaje farbę i pędzel, ktoś jej pokazuje, gdzie ma malować, więc nakłada po prostu kolory. Farba brudzi jej włosy, twarz, męską koszulę sięgającą do kolan, którą tu dostała. Czuje się ochrzczone.

Przez innych – szczupłe, pełne pogardy statystki, ironicznych mężczyzn w czarnych swetrach – jest prawie akceptowana, co naturalnie jest zasługą Zeni. Z jakiegoś powodu, którego nikt z tych ludzi nie potrafi się domyślić, Zenia i Tony są nierozłączne. Nawet dziewczęta w akademiku to zauważyły. Już nie nazywają Tony Toniczkiem ani nie proponują jej okruchów ciastek, nie proszą o zaśpiewanie *Clementine* wspak. Wycofały się.

Tony nie wie, czy to na skutek braku sympatii czy z szacunku, a może ze strachu, ponieważ Zenia, jak się wydaje, cieszy się wśród nich pewnym respektem. Chociaż żadna nie zna jej osobiście, Zenia należy do ludzi, których się zauważa, których widzą wszyscy, ale nie Tony, ponieważ do tej pory nie patrzyła. Jest tak w dużej mierze z powodu wyglądu Zeni; Zenia to ucieleśnienie pragnień zwyczajnych kobiet; takie chcą być, tak chcą wyglądać; wierzą, że to sprawa powierzchowności. Jest także uważana za błyskotliwą; dostaje najlepsze stopnie, choć się nie wysila, niemal w ogóle nie chodzi na wykłady, więc jak jej się to udaje? Błyskotliwa i przerażająca. Wilcza, feralna, poza nawiasem.

Tony dowiaduje się tego po części od Roz, która pakuje się pewnego ranka do jej pokoju; Tony uczy się, próbując nadrobić czas stracony poprzedniej nocy. Matkująca jej Roz spada z gładaniem i trzepotem skrzydeł. Próbuje rozbawić

małą Tony, wobec której jest opiekuńcza. Tony słucha w milczeniu, oczy wbija w jakiś punkt, uszy zamyka. Nie usłyszy ani jednego słowa przeciw Zeni. „Zazdrosna suka”, myśli. „Akus ansordzaz”.

Teraz nosi też inne rzeczy, ponieważ Zenia zmieniła jej wizerunek. Ma czarne sztruksowe dzinsy i pulower z dużym zawijanym kołnierzem, w którym jej głowa siedzi niczym jajo na gnieździe, do tego gigantyczny zielony szal. Nie w tym rzecz, że nie możesz sobie na to pozwolić, mówi Zenia, ciągnąc ją po sklepach. Paź z aksamitką we włosach zniknął; teraz Tony ma włosy krótko ścięte i potargane; sterczą z nich artystyczne kosmyki. Bywa, że Tony myśli, iż wygląda trochę jak Audrey Hepburn, a czasem – że jak miotła po wstrząsie elektrycznym. Bardziej wyrafinowanie – oceniła Zenia. Nakłoniła także Tony, by zmieniła zwykłe okulary w rogowej oprawie na większe, olbrzymie.

– Ależ to przesada – broniła się Tony. – Brak równowagi.

– Takie właśnie jest piękno – powiedziała Zenia. – Przesadzone. Niezrównoważone. Zwracaj więcej uwagi, a zobaczysz.

Taka sama teoria kryje się za zbyt obszernymi swetrami, szalami wielkimi jak koce; Tony pływa w nich, wygląda na jeszcze drobniejszą.

– Wyglądam w tym jak patyczek – mówi. – Jakbym miała dziesięć lat.

– Szczuplej – odpowiada Zenia. – Młódziej. Niektórym mężczyznom to się podoba.

– To mają źle w głowie – mówi Tony.

– Posłuchaj mnie, Antonia – tłumaczy poważnie Zenia. – Wszyscy mężczyźni mają źle w głowie. Nie wolno ci o tym nigdy zapomnieć.

Podchodzi kelnerka z fałdami tłuszczu pod brodą, w gorsecie, w koślawych butach, z plamą od keczupu na obfitym biuście. Beznamiętnie napełnia filiżanki.

– Ona też – mówi Zenia, kiedy kobieta odwraca się. – prostytutka. W wolnych chwilach.

Tony rzuca spojrzenie na solidny zad, obwisłe ramiona, rzadki kok, rudy jak zdechła wiewiórka.

– Nie! – protestuje. – Kto by chciał?

– Założę się o cokolwiek – ripostuje Zenia. – No, już!

Chodzi jej o to, aby Tony kontynuowała wcześniej rozpoczęty temat, ale Tony zupełnie nie pamięta, na czym skończyła. Przyjaźń z Zenią stała się tak nagle. Czuje się, tak jakby ciągnęła ją na linie mknąca motorówka, fale ją chłostały, a uszy wypełniały brawa, albo jakby zjeżdżała z góry na rowerze bez hamulców, nie trzymając się kierownicy. Nie panuje nad sobą, a jednocześnie jest czujna, jakby najeżona. Wypłynęła na zdradliwe wody. Ale dlaczego? One

tylko rozmawiają.

Nadmiar słów przyprawia Tony o zawrót głowy. Nigdy nie słuchała aż tyle jednej osoby, a także sama tyle nie mówiła, tak nieostrożnie. Wcześniej rzadko pozwalała sobie na samoobnażanie. Komu miała opowiadać? Nie ma pojęcia, co się wyda, kiedy następnym razem otworzy usta.

– No, już – powtarza Zenia, pochylając się nad poplamionym blatem, do połowy opróżnionymi filiżankami, niedopałkami w brązowej metalowej popielniczce. I Tony mówi.

Tony opowiada o swojej matce. Pierwszy raz, unikając ogólników, powiedziała komuś o matce aż tyle. „Nie ma jej, odeszła”, mówi Tony. „Strasznie mi przykro”, mówi ten ktoś. Po co mówić więcej? Kogo to interesuje?

Zenię, jak się okazuje. Ona rozumie, że to bolesny temat dla Tony, ale to jej nie odstrasza, wręcz przeciwnie, zachęca. Napiera, popycha, wydaje wszystkie odpowiednie odgłosy: zdziwienia, zaskoczenia, przerażenia, ulgi, nieustępliwości, i wywraca Tony z prawej strony na lewą, jak skarpetę.

Na to potrzeba czasu, ponieważ Tony nie posiada wyraźnego obrazu matki. Pamięć o niej zbudowana jest z błyszczących kawałków, jak brutalnie zniszczona mozaika lub coś kruchego, co spadło na podłogę. Od czasu do czasu Tony wyciąga te kawałki i układa je ciągle na nowo, chcąc dopasować odpowiednie elementy. (Nie zajmowała się tym zbyt długo. Katastrofa nie jest wystarczająco odległa.)

Zenia może wydobyć z niej jedynie garść strzępów. Po co jej to? Aby Zenia się dowiedziała, a Tony zrozumiała. Jednakże w tym hipnotycznym i obfitym w słowa momencie Tony nie przychodzi nawet do głowy zapytać o to.

Tony została zahartowana wcześniej. Teraz tak to nazywa, ze smutkiem, w piwnicy, o trzeciej nad ranem, nad zwłokami goździkowej armii Ottona II, rozwłóczonymi po makiecie, podczas gdy West śpi na górze snem niesprawiedliwego, a Zenia, niekontrolowana, szaleje gdzieś w mieście. „Zahartować” – tego słowa nauczyła się od Charis; wyjaśniła jej, że robi się to z sadzonkami, aby je wzmocnić, uodpornić na przymrozki i pomóc w przyjęciu się. Nie podlewa się za mocno i wystawia na zimno. To samo przytrafiło się Tony. Była wcześniakiem, co matka lubiała jej powtarzać, więc trzymano ją w szklanej skrzynce. (Czy w głosie matki nie krył się żal, że w końcu ją stamtąd wyjęto?) Tak więc Tony swe pierwsze dni spędziła bez matki. Wraz z upływem czasu sprawy nie miały się jednak lepiej.

Oto przykład:

Kiedy Tony miała pięć lat, matka postanowiła, że weźmie ją na sanki. Tony

wiedziała, co to takiego, ale nigdy przedtem na sankach nie jeździła. Matka miała bardzo nikle wyobrazenie oparte na pocztówkach bożonarodzeniowych. Taki był jednak jej romantyczny, angielski obraz Kanady.

Skąd wzięła sanki? Prawdopodobnie pożyczyła od kogoś z klubu brydżowego. Opatuliła Tony w zimowy kombinezon i zabrała taksówką na górę. Sanki były na tyle małe, że ustawione ukośnie zmieściły się na tylnym siedzeniu, razem z Tony. Matka usiadła na przodzie. Tamtego dnia samochód wziął ojciec Tony, jak zwykle zresztą. To było nawet korzystne, gdyż ulice były oblodzone, a matka Tony – delikatnie mówiąc – była impulsywnym kierowcą.

Kiedy dotarły na miejsce, olbrzymie ciemnoróżowe słońce było już nisko na szarym zimowym niebie; rzucało sinoniebieskie cienie. Góra była wysoka; właściwie było to zbocze parowu, pokryte mocno ubitym, zmarzniętym śniegiem. Tabuny rozkrzyczanych dzieciaków i kilku dorosłych pędziło w dół na sankach albo na dużych kawałkach tektury. Niektórzy wywracali się, padając na siebie. Ci, którzy docierali do dołu, znikali za kępą ciemnych jodeł.

Matka Tony stanęła na szczycie góry, patrząc w dół; trzymała sanki na linie, jakby musiała je powstrzymywać.

– Popatrz – powiedziała. – Ładnie, prawda? – Robiła ustami tak, jak po nałożeniu pomadki, i Tony wiedziała, że ten widok nie zadowala jej w pełni. Była ubrana w płaszcz i kapelusz, nylonowe pończochy, krótkie botki na wysokim obcasie, z futerkiem u góry. Nie miała spodni, kombinezonu narciarskiego albo kurtki i nauszników, tak jak inni dorośli. Tony zrozumiała, że matka chce, aby ona zjechała z górki sama.

Tony nagle zachciało się siusiu. Wiedziała, jakie to będzie trudne z powodu niewygodnego, dwuczęściowego kombinezonu z elastycznymi szelkami i jak bardzo się matka zdenerwuje – nigdzie nie było widać ubikacji – więc nic nie powiedziała oprócz: „Ja nie chcę”. Wiedziała, że jak zjedzie, to się przewróci, wpadnie na coś albo wpadną na nią. Jedno dziecko właśnie prowadzono pod górę, zanosilo się od płaczu, z nosa leciała mu krew.

Matka Tony nie lubiła, kiedy niweczono jej plany. Ludzie powinni się cieszyć, kiedy ona tego chce.

– No, już – powiedziała. – Popchnę cię. Będzie wspaniale!

Tony usiadła na ziemi, co było jej typowym sposobem protestu. Płacz nie działał, nie na jej matkę. Najczęściej kończyło się kłapsem albo potrząśnięciem. Nigdy specjalnie dużo nie płakała.

Matka spojrzała na nią z niesmakiem.

– Pokażę ci, jak! – oświadczyła. Oczy jej błyszczały; zacisnęła zęby. Tak wyglądała, kiedy chciała być dzielna, kiedy nie dawała za wygraną. Zanim

Tony zorientowała się, co się dzieje, matka podniosła sanki i pobiegła z nimi na krawędź zbrocza. Rzuciła je na śnieg, upadła na nie i płasko na brzuchu, z nogami w beżowych pończochach sterczącymi prosto w górę, pomknęła w dół. Niemal natychmiast zwiąło jej kapelusz. Zjeżdżała z zadziwiającą prędkością. Robiła się coraz mniejsza, ginęła w mroku. Tony wstała z trudem. Matka oddalała się od niej, zniknęła, Tony była sama na zimnej górze.

– Nie! Nie! – krzyczała. (Krzyk nie był dla niej typowy; musiała się przestraszyć.) W środku słyszała inny głos, też należący do niej; krzyczał bez strachu, z dziką radością: „Jedź! Jedź!”

Jako dziecko Tony prowadziła dziennik. Zawsze w styczniu na okładce pisała drukowanymi literami nazwisko: TONY FREMONT, a poniżej swoje drugie nazwisko: TNOMERF YNOT.

To drugie nazwisko brzmiało z rosyjska albo z marsjańska, co jej się podobało. Niekiedy stawało się imieniem niewidzialnej bliźniaczki. Kiedy Tony dorosła i dowiedziała się więcej o leworęczności, brała pod uwagę możliwość, że faktycznie mogła być bliźniaczką, leworęczną połową podzielonego jaja, którego druga połowa umarła. Gdy była mała, siostra bliźniaczka była jedynie wymysłem, inkarnacją poczucia, że brakuje jej części samej siebie. Chociaż Tnomerf Ynot była bliźniaczką, to jednak była o wiele wyższa od Tony. Wyższa, silniejsza, śmielsza.

Tony pisała swoje urzędowe nazwisko prawą ręką, a to drugie, wewnętrzne, lewą, chociaż oficjalnie nie wolno jej było lewą ręką pisać ani robić niczego innego, co było ważne. Nikt nie mówił dlaczego. Najlepszym wytłumaczeniem, jakie otrzymała, była przemowa Anthei – jej matki – w której zapewniała, że świat nie został stworzony dla mańkutów. Dodawała także, że Tony lepiej to zrozumie, jak dorośnie, co okazało się jeszcze jednym zapewnieniem Anthei, które się nie spełniło.

Kiedy Tony była młodsza, nauczyciele uderzali ją liniałami w lewą rękę, jakby przyłapano ją na dłubaniu w nosie. Pewien nauczyciel przywiązał jej rękę do boku krzesła. Inne dzieci mogły się z niej naśmiewać, ale tego nie robiły. Nie rozumiały tej logiki, podobnie jak ona.

Dość szybko pozbyto się Tony z tej szkoły. Zazwyczaj miało osiem miesięcy albo więcej, zanim Anthea miała dość szkoły. To prawda, że Tony nie była zbyt dobra w ortografii, nie spełniała wymagań nauczycieli. Mówili, że przestawia litery. Mówili, że ma kłopoty z cyframi. Mówili to Anthei, a Anthea mówiła, że Tony jest utalentowana; wtedy Tony wiedziała, że wkrótce trzeba będzie zmienić szkołę, bo Anthea straci panowanie nad sobą i zacznie obrażać

nauczycieli. „Fujary” to jedno z miłszych słów, jakimi ich określała. Chciała, aby Tony się zmieniła, poprawiła, odwróciła na właściwą stronę; chciała, żeby to stało się w jedną noc.

Tony z łatwością robiła lewą ręką rzeczy, z którymi prawa miałyby trudności. W praworęcznym życiu była niezdarą; pismo stawało się topornymi bazgrołami, ale to było nieistotne. Mimo dobrej pracy lewa ręka była karcona, a prawa nagradzana i zachęcana. To niesprawiedliwe, ale Anthea powtarzała, że takie właśnie jest życie.

Po kryjomu Tony nadal pisała lewą ręką, ale czuła się wtedy winna. Wiedziała, że w jej lewej ręce musi być coś wstydliwego, bo inaczej nie byłaby aż tak poniżana. Mimo to tę rękę kochała bardziej.

Jest listopad, szybko się ściemnia. Wcześniej sypał śnieg, teraz mży. Deszcz spływa lodowatymi strużkami po szybach w salonie; do okien, od zewnątrz, przylgnęło parę brązowych liści podobnych do skórzanych jęzorów.

Tony kłęczy na kanapie z nosem przyciśniętym do szyby, zaparowując okno oddechem. Kiedy plama jest wystarczająco duża, pisze na niej z piskiem dużym palcem. Potem zmazuje słowa. „Awruk”, pisze. To słowo jest tak brzydkie, że nie nadaje się nawet do pamiętnika. „Onwóg”. Pisze te słowa ze strachem, w trwodze, ale też z przesadną ulgą. Te słowa należą do Tnomerf Ynot. Dzięki nim czuje się silna, czuje, że nad czymś ma władzę.

Wydycha powietrze, pisze i zmazuje, wydycha i pisze. Powietrze jest nieświeże, wypełnione suchym zapachem perkalowych zasłon, podobnym do swądu. Przez cały czas pisze i wsłuchuje się w ciszę domu. Przywykła do ciszy; potrafi odróżnić ciszę pełną od puste, tę przed od tej po. To, że panuje cisza, nie znaczy, że nic się nie dzieje.

Tony kłęczy w oknie tak długo, jak ma odwagę. W końcu dostrzega matkę idącą szybko ulicą, kryjącą głowę przed deszczem, z postawionym futrzanym kołnierzem, z twarzą ukrytą pod kapeluszem. Niesie jakąś paczkę.

Prawdopodobnie jest to sukienka, ponieważ stroje przynoszą Anthei ulgę. Kiedy, jak to określa, „czuje bluesa”, idzie na zakupy. Często ciągnęła z sobą Tony do miasta, kiedy nie wiedziała, co z nią zrobić. Tony wyczekiwała przed przebieralnią, oblewając się potem w zimowym płaszczu, podczas gdy Anthea przymierzała coraz to nowe rzeczy, wychodziła bez butów, w samych pończochach, i robiła piruet przed dużym lustrem, wygładzając suknię na biodrach. Anthea nie kupuje ubrań dla Tony; mówi, że mogłaby ubrać ją w worek po ziemniakach, a Tony nie zauważyłaby różnicy. Tony jednak zauważa,

i to dużo. Po prostu nie myśli, że robiłoby to różnicę, gdyby była ubrana w worek czy coś innego. To znaczy, różnicę dla Anthei.

Tony schodzi z kanapy i zaczyna ćwiczyć na pianinie. Granie ma wzmocnić jej prawą rękę, chociaż wszyscy, nie wyłączając Tony, wiedzą, że nie ma talentu i lekcje prowadzą donikąd. Bo jakże inaczej? Tony o mysich łapkach nie może nawet objąć oktawy.

Tony ćwiczy zawzięcie, stara się utrzymać w rytmie tykającego metronomu. Mruży oczy przy czytaniu nut, bo zapomniała włączyć lampę, a także dlatego, że choć o tym nie wie, staje się krótkowidzem. Utwór, który gra, nazywa się *Gavotte*. „Ettovag”. To dobre słowo; później pomyśli nad jego wykorzystaniem. Pianino pachnie olejkiem cytrynowym. Ethel, kobieta, która przychodzi do nich sprzątać, miała nim nie polerować klawiszy, tylko używać wilgotnej szmatki, ale jej to nie obchodzi, więc palce Tony będą pachnieć cytryną jeszcze całymi godzinami. To zapach urzędowy, dorosły, złowieszczy. Pojawia się przed przyjęciami.

Słyszy, jak frontowe drzwi otwierają się i zamykają. Czuje na nogach powiew zimna. Po kilku minutach matka wchodzi do salonu. Tony słyszy szpilki stukające o drewnianą podłogę, potem wyciszone dywanem. Nie przerywa gry, wali w klawisze, chcąc pokazać matce, jaka jest pilna.

– Na dzisiaj chyba wystarczy, co, Tony? – mówi wesoło matka. Tony jest zaskoczona; przeważnie Anthea chce, aby ćwiczyła jak najdłużej. Chce, aby czymś się bezpiecznie zajmowała, gdzieś na boku. Tony przerywa grę i odwraca się do niej. Anthea zdjęła już płaszcz, ale – co dziwne – nie kapelusz ani rękawiczki. Kapelusz ma cętkowaną woalkę, która zakrywa jej oczy i część nosa. Usta poniżej woalki są nieco rozmazane w kącikach, jakby deszcz rozmoczył szminkę. Matka unosi ręce za głowę, by wyjąć szpilkę przytrzymującą kapelusz.

– Jeszcze nawet nie ćwiczyłam pół godziny – mówi Tony. Nadal wierzy, że skrupulatne wykonanie zadanych ćwiczeń zapewni jej matczyną miłość, chociaż w ciemnych zakamarkach swojego ja wie, że tak jeszcze się nie stało i nigdy się nie stanie.

Anthea opuszcza ręce, nie zdjawszy kapelusza.

– Nie myślisz, że należy ci się dzisiaj małe święto? – pyta, uśmiechając się do Tony. W półmroku pokoju jej zęby są bardzo białe.

– Dlaczego? – odzywa się Tony. Nie widzi w tym dniu nic specjalnego.

To nie są jej urodziny.

Anthea siada obok niej na ławeczce przed pianinem i obejmuje ją lewą ręką w skórzanej rękawiczce. Ścisza lekko.

– Moje biedactwo – mówi. Palcami drugiej ręki bierze Tony za podbródek i odwraca ku sobie jej twarz. Skórzana dłoń jest zimna i pozbawiona życia, jak ręka lalki. – Chcę, żebyś to wiedziała – mówi. – Matka naprawdę cię kocha.

Tony chowa się w sobie. Anthea już to kiedyś mówiła. Kiedy to mówi, jej oddech pachnie właśnie tak jak teraz, papierosami i pustymi szklankami stojącymi w kuchni nad ranem po przyjęciu, i w inne poranki też. Szklankami pełnymi wilgotnych niedopałków, rozbitymi szklankami na podłodze.

Nigdy nie mówi: „Naprawdę cię kocham”. Zawsze mówi „matka”, jakby matka była kimś innym.

„Aktam”, myśli Tony. „Ćahcok”. Stuka metronom.

Anthea przygląda jej się z góry, trzymając ją dłońmi w rękawiczkach. W półmroku jej oczy ukryte za woalką są czarne jak smoła, bez dna, usta drżące. Pochyla się i przyciska policzek do policzka Tony. Tony czuje szorstkość woalki i wilgotną, kremową skórę. Wdycha jej zapach, czuje fiołkowe perfumy i zapach pach, wymieszany z zapachem materiału i jeszcze jednym, słonawym, jajecznym, jakby jakiegoś dziwnego majonezu. Nie wie, dlaczego Anthea zachowuje się w taki sposób; to ją krępuje. Normalnie Anthea całuje ją tylko na dobranoc, krótkie dziobnięcie; teraz się trzęsie i Tony przez chwilę myśli – ma nadzieję – że ze śmiechu.

Nagle puszcza Tony, wstaje i podchodzi do okna; staje do niej plecami, odpinając kapelusz już naprawdę. Zdejmuje go i rzuca na kanapę. Rozpuszcza ciemne włosy. Po chwili przykłęka i bacznie się przygląda.

– Kto zrobił te wszystkie smugi? – odzywa się głosem wyższym, bardziej spiętym. Takim głosem mówi, gdy udaje szczęście, gdy jest zła na ojca Tony i chce mu pokazać, że nic ją nie obchodzi. Wie, że okno pomazała Tony. Normalnie byłaby zdenerwowana, zrobiłaby uwagę o tym, ile ją kosztuje płacenie Ethel za czyszczenie okien, ale tym razem śmieje się, bez tchu, jakby biegała.

– Ślady po nosie, zupełnie jak pies. Gupik, jesteś taka zabawna.

„Gupik” to imię z dawnych czasów. Anthea opowiadała, że tak nazywała Tony zaraz po urodzeniu, kiedy trzymano ją w inkubatorze. Anthea przychodziła i oglądała Tony przez szybę, Tony otwierała i zamykała buzię, ale żadnego głosu nie wydawała. Tak przynajmniej utrzymywała Anthea. Imię zachowała, gdyż później, kiedy minęło niebezpieczeństwo i Tony znalazła się w domu, rzadko kiedy płakała; otwierała tylko i zamykała usta. Anthea opowiada o tym, jakby to było śmieszne.

To przezwisko – w cudzysłowie – wypisane jest ołówkiem pod zdjęciami Tony z czasów dzieciństwa w albumie Anthei, oprawionym w białą skórę:

„Gupik” – 18 miesięcy; „Gupik” i ja, „Gupik” z tatą. Po jakimś czasie Anthea musiała chyba przestać robić zdjęcia albo przestała je wklejać, ponieważ są tylko puste strony.

Tony odczuwa nagły przypływ tęsknoty za tym – cokolwiek to było – co istniało między nią a matką w tym albumie zdjęć. Czuje też zdenerwowanie, ponieważ to imię było oszukane. Myślała przez cały czas, że gupik to coś ciepłego i miękkiego, jak kotek, więc zabolą ją, uraziło, kiedy odkryła, że to ryba.

Nie odpowiada więc matce. Siedzi przy pianinie, czekając na następny ruch Anthei.

– Czy on jest? – pyta. Musi znać odpowiedź; ojciec Tony nie zostawiłby jej samej w pustym domu.

– Tak – odpowiada Tony. Ojciec jest w swoim gabinecie w tyle domu. Na pewno słyszał, że Tony nie gra. Jego nie obchodzi, czy Tony ćwiczy, czy nie. Pianino, mówi, to wspaniały pomysł jej matki.

Matka Tony, jak zwykle, przygotowuje kolację. Nie zdejmuje dobrej sukienki noszonej do klubu brydżowego, nakłada jedynie fartuch, najlepszy, biały z falbanami na ramionach. Poprawiła też szminkę; teraz jej usta błyszczą niczym woskowane jabłko. Tony siedzi na taborecie kuchennym, patrząc na matkę, aż Anthea mówi jej, aby przestała się gapić; jak chce pomóc, to niech nakryje do stołu. Potem może iść wykopać ojca. Anthea zawsze tak się wyraża: „wykopać”, jakby był ziemniakiem. Czasem mówi też „wyrwać”.

Tony nie ma szczególnej ochoty pomagać, ale z ulgą przyjmuje bardziej normalne zachowanie matki. Rozstawia talerze, potem widelce, noże i łyżki, lewa prawa prawa, lewa prawa prawa. Idzie do gabinetu ojca, najpierw puka, wchodzi i siada po turecku na podłodze. Zawsze może tu przychodzić, jeżeli tylko będzie zachowywać się cicho.

Ojciec pracuje przy biurku. Lampa z zielonym kloszem jest zapalona, nadaje jego twarzy zielony odcień. Ojciec jest postawnym mężczyzną, ma małe, zgrabne pismo, jakim mogłaby pisać zręczna mysz. Przy jego piśmie litery Tony wyglądają jak pisane przez olbrzyma o trzech palcach. Długi, spiczasty nos ojca mierzy wprost w papiery na biurku. Żółtawoszare włosy ma zaczesane do tyłu; ten nos i włosy sprawiają razem wrażenie, jakby leciał pod wiatr, rzucał się w dół ku papierom. Marszczy brwi, jakby wyczekując uderzenia. Tony niewyraźnie uświadamia sobie, że nie jest szczęśliwy, ale nie spodziewa się po mężczyznach, aby byli szczęśliwi. On nigdy nie narzeka, że brakuje mu szczęścia, w przeciwieństwie do matki.

Żółty ołówek porusza się. Ojciec ma cały słój takich ołówków na biurku, każdy ostro zatemperowany. Czasem prosi Tony, aby je naostrzyła; Tony obraca ołówki, jeden po drugim, w biurowej temperówce przymocowanej do parapetu, czując się, jakby przygotowywała dla niego amunicję. Przerasta ją to, co on robi z tymi ołówkami, ale wie, że jest to czynność najwyższej wagi. To coś ważniejszego – na przykład – od niej.

Ojciec ma na imię Griff, ale ona tak o nim nie myśli, tak jak o matce myśli „Anthea”. On jest właściwie taki jak inni ojcowie, podczas gdy Anthea nie jest taka jak inne matki, chociaż czasami stara się. (Jednakże Griff nie jest jej tatą. Griff nie jest niczym tatą.)

Griff był na wojnie. Anthea mówi, że chociaż mógł być na wojnie, to nie przeszedł przez nią tak jak ona. Dom jej rodziców w Londynie zniszczyła bomba podczas nalotów i oboje rodzice zostali zabici. Wróciła do domu – gdzie ona była? nigdy nie mówi – i zastała wyrwę w ziemi, jedną stojącą ścianę i zwały gruzu; but matki ze stopą w środku.

Griffa to wszystko ominęło. On wszedł w to dopiero w dniu lądowania aliantów. („To” oznaczało niebezpieczeństwo, śmierć, a nie szkolenie, oczekiwanie, wygłupy.) On tylko wyładował, posuwał się do przodu; szedł na łatwiznę, jak mówi Anthea. Po zwycięstwo.

Tony lubi myśleć o nim w ten sposób – że zwyciężył – jakby wygrał wyścig. Zwycięzca. Anthea mówi tak przy innych: „na łatwiznę”, przy ich przyjaciółach, którzy przychodzą na drinka; Tony obserwuje ich, stojąc w drzwiach. Anthea mówi z uniesioną brodą „na łatwiznę”, patrząc Griffowi prosto w oczy, jego twarz czerwienieje.

– Nie chcę o tym rozmawiać – mówi Griff.

– Nigdy nie chce – Anthea udaje rozpacz, wzruszając ramionami. Robi taki sam gest jak Tony, gdy nie chce przygrywać brydzytkom na pianinie.

– W końcu to były tylko dzieci – opowiada Griff. – Dzieci w wojskowych mundurach. Zabijaliśmy dzieci.

– Szcęściar – mówi Anthea. – Dzięki temu musiało ci iść łatwiej.

– Nie szło – odpowiada ojciec Tony. Mierzą się wzrokiem, napięci i czujni jakby nikogo innego nie było w pokoju.

– On wyzwolił pistolet – oznajmia Anthea. – Prawda, kochanie? Ma go w swoim gabinecie. Ciekawe, czy ten pistolet czuje się wyzwolony? – Uśmiecha się pobłaźliwie i odwraca. Zapada cisza.

Oto jak Anthea i Griff poznali się – podczas wojny, kiedy on był w Anglii. Stacjonował w Anglii, mawiała Anthea; Tony wyobraża sobie ich oboje na dworcu, gdy czekają na odjazd pociągu. To byłby dworzec kolejowy zimową porą; mieli na sobie palta, a matka jeszcze kapelusz; ich oddechy zamieniały się w białą parę. Czy całowali się, jak na filmie? To jest niewyraźne. Może jechali razem pociągiem, może nie. Mieli dużo walizek. Zawsze jest dużo walizek w opowiadaniu o rodzicach Tony.

– Byłam wojenną panną młodą – mówi Anthea; uśmiecha się i wzdycha ciężko. Mówi „wojenną panną młodą”, jakby się śmiała – śmiechem minorowym, ponurym. Co chce przez to powiedzieć? Że padła ofiarą oszustwa i teraz o tym wie, teraz to oplakuje? Że ojciec Tony wykorzystał ją w jakiś

sposób? Że była to wina wojny?

Wojenna. „Krwawa panna młoda”, myśli Tony. Niegotowana. Albo jeszcze lepiej: „starta do krwi”, jak jej nadgarstki przez zmarznięte mankiety kombinezonu.

– Byłem wojennym mężem – mówi jej ojciec, a raczej mawiał, kiedy jeszcze potrafił żartować. Mówił też, że poderwał Antheę na tańcach. Anthei to się nie podobało.

– Griff, nie bądź prostacki – mówiła w takich przypadkach.

– Brakowało mężczyzn – dodawał dla wyjaśnienia słuchającym. (Zawsze ktoś przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Rzadko kiedy mówili takie rzeczy, gdy byli sami.) – Musiała chwytać, co się trafiło.

Anthea śmiała się.

– Brakowało przyzwoitych mężczyzn, ale kto kogo łapał? Poza tym, to nie były tańce, tylko dansing.

– Cóż, nie możesz się spodziewać po barbarzyńcach, aby potrafili to rozróżnić.

Co się stało później? Po tańcach? To jest niejasne. Z jakiegoś powodu Anthea postanowiła wyjść za Griffiego. Ojciec Tony często podkreślał, że była to jej decyzja: „Cóż, nikt cię nie zmuszał”. Jednakże matka została w jakiś sposób zmuszona. Została zmuszona, zniewolona, porwana przez tego prostackiego złodzieja, ojca Tony, do zbyt ciasnego, jednopiętrowego domu, w połowie z drewna, w połowie z gliny, domu w nudnej dzielnicy, w tym prowincjonalnym mieście, w tym za dużym, za małym, zbyt zimnym, zbyt gorącym kraju, którego nienawidzi z dziwną, paraliżującą, daremną wściekłością. „Nie mów w taki sposób!”, syczy na Tony. Chodzi jej o akcent. Płaski, jak go określa. Ale czy Tony mogłaby mówić tak jak matka? Jak radio w południe? Śmiałyby się dzieci w szkole.

Tony jest więc obca dla własnej matki, jest także obca dla ojca, ponieważ – chociaż mówi tak samo jak on – nie jest, a powiedział to jasno, chłopcem. Jak obcokrajowiec słucha uważnie i tłumaczy. Jak obcokrajowiec spodziewa się nagłego, wrogiego gestu. Jak obcokrajowiec popełnia błędy.

Tony siedzi na podłodze, patrzy na ojca i myśli o wojnie, która stanowi dla niej tajemnicę, ale która odegrała w jej życiu decydującą rolę. Chciałaby go zapytać o bitwy i czy może popatrzeć na pistolet; wie, że będzie unikał tych pytań, jakby coś go bolało i musiał tej rany bronić. Krwawiącego miejsca. Nie pozwoli jej go dotknąć.

Niekiedy zastanawia się, co robił przed wojną, ale o tym też nie chce rozmawiać. Opowiedział tylko jedną historyjkę. Kiedy był mały, mieszkał na wsi i ojciec zabrał go zimą do lasu. Chciał narąbać drzewa na opał, ale drzewo było zmarznięte do tego stopnia, że siekiera odbiła się i zraniła Griffa w nogę. Ojciec odrzucił siekierę i odszedł, pozostawiając syna samego w lesie. On jednak trafił do domu po śladach: czerwony, biały, czerwony.

Gdyby nie wojna, Griff nie ukończyłby żadnej szkoły. Tak mówi. Nadal mieszkałby na wsi. Gdzie byłaby wtedy Tony?

Ojciec nie przerywa pracy. Pracuje w przedsiębiorstwie ubezpieczeniowym. Ubezpieczenia na życie.

– No, Tony – odzywa się ojciec, nie podnosząc głowy. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Anthea kazała powiedzieć, że kolacja jest prawie gotowa – mówi Tony.

– Prawie gotowa? – powtarza. – Czy rzeczywiście gotowa?

– Nie wiem – odpowiada Tony.

– To lepiej idź i sprawdź – mówi ojciec.

Na kolację są kielbaski, jak niemal zawsze, gdy Anthea wychodzi po południu. Kielbasa, gotowane ziemniaki i zielona fasolka z puszki. Kielbasa jest trochę przypalona, ale ojciec nic nie mówi. Nic też nie mówi, gdy jedzenie jest naprawdę dobre. Anthea powtarza, że Tony i jej ojciec są po jednych pieniądzach. Milczą jak ryby.

Anthea przynosi jedzenie z kuchni i siada na swoim krześle, ciągle w fartuchu. Zazwyczaj go zdejmuje.

– No! – mówi radośnie. – Jak się dzisiaj czujemy?

– Świetnie – odpowiada ojciec.

– To dobrze – mówi matka.

– Wystroiłaś się – zauważa ojciec. – Jakaś okazja?

– Raczej nie, czemu? – odpowiada matka.

Zapada milczenie wypełnione odgłosami jedzenia. Tony spędziła sporą część życia na słuchaniu, jak jedzą jej rodzice. Odgłosy, jakie wydają ich usta, zgrzytanie zębów przy gryzieniu – to dla niej zenujące. Czuje się tak, jakby przez okno w łazience podglądała kogoś, kto się rozbiera. Matka je nerwowo, małymi kęsami; ojciec z namysłem. Oczy wbił w Antheę, jakby była odległym punktem w kosmosie. Ona zmrużyła oczy, jakby celowała.

Nic się nie dzieje, mimo wielkiego wysiłku. Jeszcze nic się nie poruszyło. Tony czuje, jakby przez jej głowę przechodził gruby, elastyczny pas, a każde z nich trzymało jeden koniec: trochę mocniej i strzeli.

- Jak było w klubie? – pyta w końcu ojciec.
- Dobrze – odpowiada matka.
- Wygrałaś?
- Nie. Byłyśmy drugie.
- Kto wygrał?

Matka zastanawia się przez chwilę.

- Rhonda i Bev.
- Rhonda była? – dziwi się ojciec.
- To nie święta Inkwizycja – mówi matka. – Właśnie powiedziałam, że

była.

- To dziwne – kontynuuje ojciec. – Wpadłem na nią w mieście.
- Rhonda wyszła wcześniej – tłumaczy matka. Ostrożnie kładzie widelec na talerzu.
- Tego mi nie powiedziała – mówi ojciec.

Matka odsuwa krzesło i wstaje. Zgniatą papierową chusteczkę i rzuca na nie dokończone kielbaski.

- Nie będę tego komentować przy Tony.

– Komentować czego? – pyta ojciec Tony. Nie przerywa żucia. – Tony, możesz odejść.

– Zostań – poleca Anthea. – Tego, że nazwałeś mnie zakłamaną. – Mówi niskim, drżącym głosem, jakby miała się rozpląkać.

– Ja ciebie nazwałem? – dziwi się ojciec. Jest rozbawiony i ciekawy odpowiedzi.

– Antonia – matka zwraca się do niej ostrzegawczo, jakby Tony zamierzała zrobić coś niedobrego lub niebezpiecznego. – Nie mogłeś poczekać do deseru? Codziennie staram się, aby zjadła porządny posiłek.

- Bardzo dobrze, zwał winę na mnie – odpowiada ojciec.

Na deser jest pudding ryżowy. Zostaje w lodówce, bo Tony nie chce jeść. Nie chce, nie jest głodna. Idzie na górę, do swojej sypialni, i wchodzi do łóżka z flanelową pościelą. Stara się nie słyszeć ani nie wyobrażać sobie tego, co mówią do siebie.

„Bulk”, mruczy do siebie w ciemnościach. Barbarzyńcy galopują przez równiny. Na ich czele jedzie Tnomerf Ynot z rozwianymi na wietrze włosami, z mieczem w dłoniach. „Bulk!” woła, nakłaniając ich do jazdy. To jest okrzyk wojenny, a oni są w szale walki. Niszczą wszystko na swej drodze, tratują uprawy, palą wioski. Płądrują, łupią i rozwalają pianina, zabijają dzieci. Wieczorem rozbijają namioty i jedzą kolację rękami, całe krowy pieczone nad ogniskiem. Wycierają potłuszczone paluchy w skórzane ubrania. Nie mają

żadnych manier.

Tnomerf Ynot pije z czaszki ze srebrnymi uchwytami przymocowanymi w miejscu uszu. Wysoko unosi puchar z czaszki na znak zwycięstwa i ku chwale barbarzyńskich bogów wojny krzyczy „Ettovag!”, horda odpowiada, wiwatując: „Ettovag! Ettovag!”

Rano będzie rozbite szkło.

Tony budzi się nagle w środku nocy. Wstaje z łóżka, szuka po omacku pod nocnym stolikiem papuci w kształcie króliczków i na palcach podchodzi do drzwi. Otwierają się łatwo.

Skrada się korytarzem do pokoju rodziców, ale drzwi są zamknięte i nic nie słychać. Może są w środku, może nie. Prawdopodobnie są. Kiedy była młodsza, martwiła się – a może to był sen? – że wróci ze szkoły i zastanie dziurę w ziemi i ich buty ze stopami.

Idzie dalej, do schodów, schodzi na dół, trzymając się poręczy. Często wstaje w nocy; często robi taki obchód, szukając szkód.

Odnajduje drogę w rozmazanych ciemnościach uspiętego salonu. To tu, to tam przedmioty połyskują w świetle latarni ulicznych: lustro nad kominkiem, dwa porcelanowe psy na półce. Oczy ma szeroko otwarte, bezdźwięcznie stąpa po dywanie.

Światło zapala dopiero w kuchni. Na blacie i na podłodze nie ma nic, nic potłuczonego. Otwiera lodówkę; pudding ryżowy jest w środku, nietknięty, więc nie może nic zjeść tak, aby pozostało niezauważone. Robi sobie chleb z dżemem. Anthea mówi, że kanadyjski chleb to obraza, same trociny i powietrze, ale Tony smakuje. Chleb to tylko jedna z rzeczy, których Anthea nienawidzi – Tony tego nie pojmuje. Dlaczego ten kraj jest zbyt duży lub zbyt mały? Jaki byłby w sam raz? Co jest złego w jej – w czymkolwiek – akcencie? Sprząta dokładnie okruszki i wraca do łóżka.

Kiedy wstaje następnego dnia rano, nie ma okazji zaparzyć herbaty – to jej jedyna możliwość zadośćuczynienia Anthei za to, że nie udaje jej się być Angielką – ponieważ Anthea już jest w kuchni i przyrządza śniadanie. Ma na sobie codzienny fartuch w biało-niebieską kratkę. Smaży coś przy piecu. (Robi to dość sporadycznie. Najczęściej Tony sama przygotowuje sobie śniadanie, a także lunch, który zabiera do szkoły.)

Tony wsuwa się na wyściełane siedzenie za stołem. Ojciec już jest, czyta gazetę. Tony leje zimne mleko na płatki i je lewą ręką, ponieważ nikt nie patrzy. W prawej ręce trzyma pudełko z płatkami blisko oczu. „Otręby”. „Dla

regulacji”, szepcze Tony pod nosem. Oni nigdy nie wyrażają się bezpośrednio: „na zatwardzenie”. „Einezdrawtaz”: o wiele bardziej zadowolające słowo.

Tony zbiera palindromy: potop, kajak, kobyła ma mały bok; woli jednak zwroty, które czytane wspak brzmią inaczej, ukośnie, dziwnie, melodyjnie. Należą do innego świata, gdzie Tony czuje się jak w domu, ponieważ umie mówić tym językiem. „Atrefo antałpez! Zsiedzęczso! Ywohczero owozcńaramop!” Dwóch barbarzyńców stoi na wąskim mostku, rzuca wyzwiska i zachęca wrogów do przejścia...

– Tony, odstaw to – odzywa się ojciec beznamyślnie. – Nie powinnaś czytać przy stole. – Powtarza to codziennie, kiedy sam kończy czytać gazetę.

Zbliża się Anthea z dwoma pełnymi talerzami, grzanka z jajkiem na boczku. Stawia je oficjalnie, niczym w restauracji. Tony przecina swoje jajko i patrzy, jak żółtko wypływa wprost na grzankę. Obserwuje grdykę ojca, jak unosi się i opada, kiedy pije kawę. Wygląda, jakby coś utknęło mu w gardle. „Grdyka ma mały bok”.

Anthea jest dzisiaj radosna, jakby cała pomalowała się lakierem do paznokci. Wyrzuca resztki płatków do kosza na śmieci i śpiewa: „Wrzuć kłopoty do torby i śmiej się, śmiej się, śmieję...”

– Powinnaś występować na scenie – mówi ojciec Tony.

– Powinnam co? – dopytuje się matka. Jej głos jest lekki i bez troski.

Wydawało się, że wszystko było w porządku, nic nie rzucało się w oczy, a jednak, kiedy Tony wraca po południu ze szkoły, matki nie ma. Nie wyszła, ale odeszła. Na łóżku zostawiła dla Tony paczkę i list w kopercie. Gdy Tony zauważy paczkę i list, robi się jej zimno. Jest przerażona, ale nic jej nie dziwi.

List napisany jest ulubionym, brązowym atramentem Anthei na kremowym papierze. Swoim wyszukany charakterem pisma, z ozdobnymi dużymi literami, napisała:

Kochanie, wiesz, że chciałabym zabrać Cię z sobą, ale teraz nie mogę. Kiedy dorośniesz, zrozumiesz, dlaczego. Bądź dobrą dziewczynką i ucz się pilnie. Będę do Ciebie dużo pisać. Twoja matka, która bardzo Cię kocha.

P.S. Zobaczymy się wkrótce!

(Tony zatrzymała ten list i zastanawiała się nad nim później, kiedy dorosła. Nie stanowił adekwatnego wytłumaczenia. Po pierwsze, Tony wcale nie była „kochaniem”. Anthea określała tak jedynie mężczyzn, a niekiedy też kobiety,

kiedy była na którąś z nich zła. Nie chciała zabrać Tony z sobą: gdyby naprawdę chciała, toby zabrała, gdyż na ogół robiła to, co chciała. Nie pisała dużo do Tony, nie kochała jej bardzo i nie zobaczyły się wkrótce. I chociaż Tony dorosła, nie zrozumiała, dlaczego.)

Jednakże w momencie, gdy Tony znajduje list, chce uwierzyć w każde słowo i wysiłkiem woli to jej się udaje. Udaje jej się nawet uwierzyć w więcej, niż jest napisane. Wierzy, że matka po nią przyśle albo wróci. Nie jest pewna, co zrobi.

Otwiera paczkę. To ta sama paczka, którą wczoraj przyniosła Anthea, kiedy w deszczu, wracała z klubu brydżowego. To znaczy, że wszystko zostało zaplanowane wcześniej; zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy wybiegała z domu, trzaskając drzwiami, albo zamykała się w łazience, odkręcała krany i woda wyciekała z wanny, wylewała się pod drzwiami, leciała po schodach, przeciekała przez sufit, aż Griff musiał wzywać straż pożarną, aby wyważyli drzwi. To nie jest napad złego humoru ani wybryk.

W paczce jest pudełko, w pudełku sukienka. Granatowa, z białym kołnierzem marynarskim. Tony nie bardzo wie, co z nią zrobić, więc ją przymierza. Jest o dwa numery za duża. Wygląda jak szlafrok.

Tony siada na podłodze, podciąga kolana i wtula nos w sukienkę. Zaciąga się jej zapachem; ostrym chemicznym zapachem popeliny. Zapachem nowego, zapachem bezradności, zapachem tłumionego żalu.

To wszystko w pewnym sensie jest jej wina. Nie przygotowała tyłu filiżanek herbaty, ile powinna, źle odczytywała sygnały, puściła sznurek, linę, łańcuch, czy cokolwiek, co wiązało matkę z domem, trzymało w miejscu, i jej matka, jak odwiązana kłódź albo balon, pożeglowała w dal. Jest gdzieś tam, unosi ją wiatr. Przepadła.

Tę historię Tony opowiada Zeni, podczas gdy siedzą w kawiarni i, pochylając głowy nad stołem, piją cierpką kawę; jest środek nocy. Gdy opowiada, ta historia wydaje się ponura – okrutniejsza niż wtedy, kiedy faktycznie ją przeżywała. Jest tak może dlatego, że wierzy w nią, teraz tak. Wtedy brak matki wydawał się przejściowy. Teraz wie, że to było na zawsze.

– Więc ona spieprzyła ot tak sobie! Dokąd poszła? – reaguje Zenia z zaciekawieniem.

Tony wzdycha.

– Uciekła z mężczyzną. Agentem ubezpieczeniowym z biura ojca. Miał na imię Perry. Jego żona to ta Rhonda z klubu brydżowego. Pojechali do Kalifornii.

– Dobry wybór – śmieje się Zenia. Zdaniem Tony wcale nie taki dobry. Brak smaku, a także konsekwencji. Skoro Anthea musiała gdzieś jechać, to dlaczego nie pojechała do Anglii, do „domu”, jak zawsze mówiła? Dlaczego do Kalifornii, gdzie chleb przypomina jeszcze bardziej trociny, akcent jest bardziej płaski, gramatyka bardziej nielogiczna niż tutaj?

Tony nie uważa, że to jest zabawne; Zenia dostrzega jej powściągliwość i natychmiast zmienia wyraz twarzy.

– Byłaś wściekła?

– Nie – odpowiada Tony. – Chyba nie. – Bada samą siebie, dotyka różnych powierzchni, sprawdza kieszenie. Nie znajduje nigdzie wściekłości.

– Ja bym była – mówi Zenia. – Oszalałabym.

Tony nie wie, jak by to było oszaleć. Prawdopodobnie zbyt niebezpiecznie. A może przyniosłoby ulgę.

Wtedy nie czuła żadnej wściekłości. Tylko zimny strach, opuszczenie, obawę o to, co zrobi ojciec, co powie, czy ją obwini?

Ojciec nie wrócił jeszcze z pracy. Nikogo więcej w domu nie było, nikogo prócz Ethel, która myła podłogę w kuchni. Anthea prosiła ją, aby zostawała w te popołudnia, kiedy ona sama wychodziła; chciała, żeby ktoś był w domu, gdy Tony wracała ze szkoły.

Ethel była niedostępną kobietą, mocno zbudowaną, że zmarszczkami na

twarży, jakie inni ludzie mają na dłoniach, o suchych włosach przypominających perukę. Miała sześcioro dzieci. Żył tylko czworo, pozostałe zabił dyfteryt; na pytanie, ile ma dzieci, odpowiadała: sześcioro. Anthea opowiadała to niczym dowcip, jakby Ethel nie potrafiła liczyć. Przy pracy Ethel miała w zwyczaju pojękiwać i mówić do siebie; było to coś w rodzaju „Och, nie, och, nie” albo „Psipsipsi”. Tony z reguły nie wchodziła jej w drogę.

Tony poszła do sypialni rodziców i otworzyła szafę matki. Owiał ją silny aromat: na każdym wieszaku, przywiązany wstążką, wisiał satynowy woreczek z lawendą. Większość sukienek i garsonek Anthei nadal tu była, razem z butami ustawionymi pod odpowiednimi strojami. Te ubrania były jak zakładnicy. Anthea nigdy by ich tak nie zostawiła, nie na zawsze. Będzie musiała po nie wrócić, odzyskać je.

Po schodach wchodziła Ethel; Tony usłyszała jej stękanie i mamrotanie. Właśnie dotarła do drzwi sypialni, ciągnąc za sobą odkurzacz. Stała nieruchomo i spojrzała na Tony.

– Twoja matka uciekła – powiedziała. Kiedy zwracała się do kogoś, mówiła normalnym językiem.

Tony posłyszała naganę w głosie Ethel. Uciekają psy, koty, konie, ale nie matki.

Tutaj pamięć Tony rozpada się na to, co chciała, aby się stało, i na to, co faktycznie się stało. Chciała, aby Ethel wzięła ją w pulchne ramiona, pogłaskała po głowie, utuliła i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Ethel, która miała na nogach żyłaki, która pachniała potem i środkiem do czyszczenia, której Tony nawet nie lubiła, która byłaby jednak w stanie zapewnić jej współczucie! Przynajmniej jakieś.

W rzeczywistości nic się nie wydarzyło. Ethel wróciła do sprzątanego, Tony poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi, zdjęła workowatą sukienkę marynarską, złożyła ją i schowała z powrotem do pudełka.

Po pewnym czasie wrócił do domu ojciec Tony i porozmawiał z Ethel w holu. Ethel odeszła, a Tony z ojcem jadła kolację. Składała się z puszek zupy pomidorowej – ojciec podgrzał ją w rondlu – sera cheddar i krakersów, które Tony wyłożyła na talerz. Oboje czuli się zagubieni, jakby w posiłku czegoś brakowało, nie można było tego niczym zastąpić, nawet nie wiedzieli, jak to określić. To, co się wydarzyło, było tak znaczące, takie niewyobrażalne, że nie można było tego ująć w słowa.

Ojciec jadł w milczeniu. Jego ciche siorbanie drażniło skórę Tony. Przyglądał się Tony podejrziwie, jakby coś obmyślając. Tony widziała już taki

wyraz twarzy u komiwojażerów, żebraków na ulicy, innych dzieci, które miały zamiar kłamać bez zmrużenia oka i bezczelnie. Oni oboje wchodzili teraz w konspirację, to kryło się w jego spojrzeniu: będą trzymać sztamę, będą mieć sekrety. Sekrety dotyczące Anthei, oczywiście. I kogo jeszcze? Chociaż Anthea odeszła, nadal tu była, siedziała z nimi przy stole. Była tutaj bardziej niż kiedykolwiek.

Po chwili ojciec odłożył łyżkę, aż stuknęła o talerz.

– Damy sobie radę – powiedział. – Prawda?

Tony nie była przekonana co do tego, ale czuła, że musi przyznać mu rację.

– Tak – odpowiedziała.

„Tomato”, wyszeptała sobie. „Otamot”. Jedno z Wielkich Jezior. Kamienny topór używany w walce przez starożytne plemiona. Jeżeli wypowiadało się słowo wspan, jego znaczenie ulatywało, słowo stawało się puste, gotowe do wypełnienia nowym znaczeniem. „Anthea. Aehtna”. Wymawiane normalnie i wspan brzmiało prawie tak samo.

„I co potem? I co potem?”, chce wiedzieć Zenia, ale Tony jest zagubiona. Jak ma opisać pustkę? Całe pola próżni, które Tony wypełniała czymkolwiek, nauką, datami, faktami, coraz większą ich ilością, wlewała je sobie do głowy, aby uciszyć echo. To, czego jej brakowało przy Anthei, nie było tak okropne jak to, co zapanowało po jej odejściu.

Anthea była mimo swej nieobecności. Unosiła się gdzieś poza zasięgiem, dręczące widmo, niespełnienie, obdarzone przezroczystym ciałem przez tęsknotę Tony. Gdyby bardziej kochała Tony, byłaby tutaj. Albo Tony byłaby gdzie indziej, z nią, gdziekolwiek była.

Anthea pisała, oczywiście. Przysłała pocztówkę z widokiem palm i fal; napisała, że chciałyby, aby Tony była z nią. Przysyłała Tony paczki z ubraniami, które nigdy na nią nie pasowały: kostiumy kąpielowe, spodenki, suknie na upalne lato, zbyt duże albo nawet – po pewnym czasie – zbyt małe. Przysyłała spóźnione kartki na urodziny. Przysyłała zdjęcia, zawsze robione, jak się wydawało, w pełnym słońcu; zdjęcia, na których ubrana była na biało i wyglądała grubiej, niż ją pamiętała Tony, twarz miała opaloną i świecącą, jakby posmarowała się olejkami, z małym wąsem – cieniem rzucanym przez nos. Na niektórych zdjęciach stał przy niej uciekinier i winowajca Perry; obejmował ją w tali; sflaczały mężczyzna z pomarszczonymi kolanami i workami pod oczami, z krzywym, ponurym uśmiechem. Po pewnym czasie Perry’ego nie było już na zdjęciach, pojawił się za to inny mężczyzna, później jeszcze inny. Ramiona na sukniach matki kurczyły się, suknie robiły się dłuższe i obfitsze, dekolty stawały

się mniejsze; przy rękawach pojawiły się hiszpańskie falbany. Napomykano o przyjeździe Tony na ferie wielkanocne, na wakacje, ale nigdy nic z tego nie wyszło.

(Co się tyczy innych ubrań Anthei, tych, które zostawiła w szafie, ojciec kazał Ethel spakować je do kartonów i wydać Armii Zbawienia. Nie ostrzegł Tony. Sprawdziła szafę co kilka dni, po powrocie ze szkoły, i pewnego dnia zastała ją pustą. Tony nic o tym nie powiedziała, ale wiedziała. Anthea już nie miała wrócić.)

Tymczasem lata mijały. W szkole zbadano Tony wzrok i zapisano okulary; była krótkowidzem; nie miała nic przeciw noszeniu okularów. Stanowiły jakby barierę, jednocześnie dobrze widziała teraz tablicę. Na obiad jadała przygotowywane wcześniej przez Ethel potrawy, które stały na blacie gotowe do podgrzania. Jedzenie do szkoły, jak zwykle, robiła sobie sama; robiła też karmelowe budynie z paczki i piekła ciasto, wszystko, aby wywrzeć na ojcu wrażenie, ale bezskutecznie.

Na Gwiazdkę ojciec dawał jej dwadzieścia dolarów i kazał kupić sobie samej prezenty. Robiła mu herbatę, której on nie pił. Często nie było go w domu. Kiedyś pojawiła się dziewczyna, sekretarka z firmy ojca. Nosiła podzwaniające bransoletki, pachniała fiołkami i ciepłą gumą. Nadskakiwała Tony, mówiła, że jest milutka, i chciała zabierać ją na zakupy albo do kina. „Babskie sprawy”, tak to nazywała. „Nie zabieramy starego Griffa! Będziemy przyjaciółkami”. Tony jej nie cierpiał.

Kiedy sprawa z dziewczyną się skończyła, Griff zaczął pić jeszcze więcej. Przychodził do pokoju Tony i patrzył na nią, podczas gdy odrabiała lekcje, jakby chciał jej coś powiedzieć. Tymczasem ona już dorosła, uodporniła się i nic od niego nie oczekiwała. Przestała uważać, że jest za niego odpowiedzialna; uznała go po prostu za irytujący przerywnik. Był o wiele mniej interesujący niż techniki obłąnnicze Juliusza Cezara, które studiowała po łacinie. Męczyło ją cierpienie ojca. Było zbyt monotonne, pozbawione słów, pozbawione siły, takie samo jak jej.

Raz czy dwa, kiedy wypił więcej niż zazwyczaj, gonił ją po całym domu, potykając się i krzycząc, wywracając meble. Kiedy indziej stawał się czuły; chciał głaskać jej włosy, przytulać, jakby była małym dzieckiem, chociaż kiedy była mała, nigdy tego nie robił. Tony wchodziła wtedy pod stół w jadalni. Była o wiele mniejsza od niego i do tego sprawna. Najgorsze w tych epizodach było to, że następnego dnia zdawał się nic z tego nie pamiętać.

Tony zaczęła go unikać, jak tylko było to możliwe. Przez cały wieczór bacznie obserwowała stopień jego upicia – orientowała się w znacznej mierze

po zapachu, po sztucznej uprzejmości – i planowała drogi ucieczki: do łazienki, przez kuchnię, do sypialni. Najważniejsze to nie dać się zapędzić w pułapkę. Drzwi w jej sypialni miały zamek, ale Tony barykadowała je dodatkowo biurkiem; najpierw wyjmowała wszystkie szuflady, a gdy biurko stało na miejscu, wkładała je z powrotem, inaczej byłoby dla niej zbyt ciężkie. Siadała plecami do drzwi i czytała, starając się zagłuszyć odgłos naciskanej klamki i niewyraźny, urywany głos, sapiący za drzwiami: „Chcę tylko z tobą porozmawiać! To wszystko! Chcę...”

Kiedyś zrobiła doświadczenie. Wylała cały alkohol w domu, więc kiedy ojciec wrócił, nie miał co pić – ciągle zmieniał pracę, ciągle szukał nowej – potłukł wszystkie kieliszki, wszystkie szklanki o ścianę w kuchni, rano było dużo potłuczonego szkła. Tony z zainteresowaniem zauważyła, że te oznaki chaosu już nie napawały jej lękiem. Myślała kiedyś, że to Anthea tłucze szkło w tej rodzinie; może kiedyś tak było. Przez tydzień musieli pić sok pomarańczowy z filiżanek, aż Ethel kupiła nowe szklanki.

Kiedy Tony dostała pierwszą miesiączkę, to właśnie Ethel nią się zajęła. To Ethel wyjaśniła, że plamy z krwi zejść łatwiej, jeżeli namoczy się je w zimnej wodzie. Znała się na wszelkich plamach. „To tylko przekleństwo”, mówiła i Tony się to podobało. To było przekleństwo, ale „tylko” przekleństwo. Ból i rozpacz tak naprawdę nie miały wielkiego znaczenia. Można je było zignorować.

Matka Tony utopiła się. W nocy wyskoczyła z jachtu gdzieś u wybrzeży Kalifornii i nie wypłynęła. Musiała stracić orientację pod wodą, wynurzyła się w złym miejscu, uderzyła głową o dno łodzi i straciła przytomność. Taką wersję zdarzenia podał Roger, mężczyzna, z którym wtedy żyła. Rogerowi było bardzo przykro, tak jak jest przykro, gdy zgubi się klucze od samochodu albo stłucze ulubiony talerz. Mówił, jakby chciał kupić coś w zamian, tylko nie wiedział co. Mówił, jakby był pijany.

Telefon odebrała Tony, ponieważ ani ojca, ani Ethel nie było w domu. Roger najwyraźniej nie wiedział, kim ona jest.

- Jestem jej córką – powiedziała.
- Co? – spytał Roger. – Ona nie miała żadnej córki.
- W co była ubrana? – zapytała Tony.
- Co? – zdziwił się Roger.
- Miała na sobie strój kąpielowy czy sukienkę?
- Co za idiotyczne pytanie – zniecierpliwiał się Roger. Krzyczał; była to międzymiastowa.

Tony nie rozumiała, dlaczego się złości. Chciała tylko zrekonstruować wydarzenia. Czy Anthea wyskoczyła z łodzi w stroju kąpielowym, aby popływać nocą, czy wyskoczyła w długiej, krępującej nogi sukni, w przypiływie złości? Tak jak trzaskała drzwiami? To drugie wydawało się bardziej prawdopodobne. A może Roger ją zepchnął. To też było niewykluczone. Tony nie interesowała zemsta ani nawet sprawiedliwość, jedynie dokładne odtworzenie wypadków.

Pomimo braku precyzji, to właśnie Roger załatwił kremację i odesłał prochy w metalowej urnie. Tony uważała, że powinna się odbyć jakaś ceremonia, ale kto by wziął w niej udział poza nią samą?

Niedługo po odesłaniu urna zniknęła. Znalazła ją kilka lat później, po śmierci ojca, kiedy razem z Ethel robiła porządki. Była w piwnicy, wetknięta między rakiety do tenisa. Dodało to pewnego smaczku; na wielu zdjęciach matka była w sukience do tenisa.

Po śmierci matki Tony na własne żądanie poszła do szkoły z internatem. Chciała wydostać się z domu, który nie był dla niej domem rodzinnym, w którym ojciec czał się, pił i gonił ją, odchrząkując, jakby chciał rozpocząć rozmowę. Nie chciała słyszeć tego, co ma do powiedzenia. Wiedziała, że będą to jakieś przeprosiny, błaganie o zrozumienie, coś ckliwego, albo oskarżenie: gdyby nie Tony, nigdy by się nie ożenił z jej matką, a gdyby nie on, Tony nigdy by się nie urodziła. Tony była katastrofą jego życia. To dla Tony poświęcił... właściwie co? Nawet on sam nie wiedział. Mimo wszystko, czy nie była mu czegoś winna?

Składając kawałki w całość, sprawdzając daty, wyciągając wnioski z wcześniejszych, przypadkowych uwag, Tony zaczęła podejrzewać coś takiego: cięża, pośpieszny wojenny ślub. Jej matka była wojenną panną młodą, jej ojciec był wojennym mężem, ona była wojennym dzieckiem. Była wypadkiem. To co? Nie chciała o tym słyszeć.

Cokolwiek chciał jej powiedzieć, zostało nie wypowiedziane. Znalazła go Ethel. Leżał na podłodze w swoim nadal schludnym gabinecie, z zaostrzonymi ołówkami ułożonymi równo na biurku. Napisał w liście, że czekał tylko, aż Tony zda maturę. Tego popołudnia przyszedł nawet na uroczystość zakończenia, siedział w auli razem z innymi rodzicami; dał Tony złoty zegarek. Pocałował ją w policzek – „Poradzisz sobie”, powiedział. Następnie poszedł do domu i strzelił sobie w głowę z pistoletu, który dał mu wolność. Z lugera, teraz Tony już wie, gdyż odziedziczyła tę broń. Najpierw rozłożył gazety, miał na uwadze dywan.

Ethel powiedziała, że taki właśnie był: rozważny, dżentelmen. Ona płakała

na pogrzebie, w przeciwieństwie do Tony, i mówiła do siebie w czasie modlitwy. Tony myślała najpierw, że było to „Psipsi”, ale faktycznie mówiła „Proszęproszę”. Może zawsze to wypowiadała. Może wcale nie płakała z powodu Griffa, ale swoich dwojga zmarłych dzieci, a może ogólnie, nad życiem. Tony rozważała wszelkie możliwości, miała otwarty umysł.

Ubezpieczenie Griffa nie przydało się, oczywiście. Nie uwzględniało samobójstwa. Tony dostała jednak pieniądze za dom, po spłaceniu hipoteki, i pieniądze pozostałe po matce, które dostała w spadku, oraz wszystko, co było w banku. Może właśnie to miał ojciec na myśli, kiedy mówił, że sobie poradzi.

To wszystko, mówi Tony do Zeni. I rzeczywiście, o ile jej wiadomo. Nie myśli wiele o rodzicach. Nie ma koszmarów sennych, w których zjawiałyby się ojciec z odstrzeloną głową i chciał coś powiedzieć, albo matka, ciągnąca za sobą mokrą spódnicę, z włosami oplatającymi jej twarz jak słone wodorosty. Studiowanie historii uodporniło ją na gwałtowną śmierć; ma dobry pancerz.

– Ciągłe masz te prochy? – pyta Zenia. – Prochy matki?

– Na półce ze swetrami – odpowiada Tony.

– Jesteś makabrycznym stworzeniem – stwierdza Zenia ze śmiechem.

Tony odbiera to jako komplement; tak samo powiedziała, kiedy Tony jej pokazała zeszyty z liczbami ludzi poległych w bitwach.

– Co jeszcze masz? Pistolet? – Teraz robi się poważna. – Powinnaś natychmiast pozbyć się tych prochów! Przynoszą pecha, ściągają na ciebie zło.

To coś nowego u Zeni; jest przesądna. Tony nie podejrzewała tego, jej wysoka ocena Zeni spada o jeden punkt.

– To tylko zwykłe, stare prochy – mówi.

– Wiesz, że to nieprawda – upiera się Zenia. – Wiesz o tym. Zatrzymasz je, a ona będzie miała nad tobą władzę.

Następnego wieczoru, o zmierzchu, obie udają się promem na Wyspę. Jest grudzień, wieje ostry wiatr, ale jezioro nie jest jeszcze skute lodem, więc prom kursuje. W połowie drogi Tony rzuca przez rufę urnę z prochami matki do zmaczonej wody. Sama by tego nie zrobiła; robi to tylko, by zadowolić Zenię.

– Spoczywaj w pokoju – mówi Zenia. W jej głosie nie ma przekonania. Co gorsza, metalowa urna nie tonie. Unosi się na powierzchni, podskakuje na falach. Tony uświadamia sobie, że powinna była ją otworzyć i wyrzucić zawartość. Gdyby miała karabin, mogłaby zrobić w niej parę dziur. Gdyby umiała strzelać.

Grudzień robi się coraz bardziej posępny, ulice obrastają w świąteczne świecidełka. Orkiestra dęta Armii Zbawienia odgrywa hymny, podzwania dzwonekami, potrząsa pojemnikiem z pieniędzmi, samotność nadciąga jak tuman śniegu. Dziewczęta w McClung Hall szykują się do wyjazdu do rodzin, do domów, do ciepłych domowych domów, Tony zostaje. Tak było przedtem, ale teraz jest lepiej, teraz nie ma tego poczucia zimna ciężącego w żołądku, ponieważ jest Zenia z jej szyderstwami dodającymi otuchy. „Gwiazdka jest jak dziwka” mówi Zenia. „Pieprzyć Gwiazdkę, jest tak burżuazyjna”. Tony znowu czuje się dobrze i opowiada Zeni o kontrowersjach co do daty narodzin Chrystusa, w Średniowieczu, i jak dorośli ludzie chcieli się z tego powodu zabijać, z powodu dokładnego określenia nastania „Pokoju na Ziemi, chwwały ludziom dobrej woli”, i Zenia śmieje się.

– Masz w głowie bibliotekę – mówi. – Zjedzmy coś, ja zrobię. – Tony siedzi zadowolona przy stole w kuchni Zeni, obserwując, jak ona odmierza, łączy i miesza.

Gdzie jest West w takich momentach? Tony zrezygnowała z niego, bo jakże miałyby współzawodniczyć z Zenią? Nawet gdyby mogła, nie pomyślałaby o tym. Takie zachowanie byłoby niehonorowe; Zenia jest jej przyjaciółką. Tony nie przywykła do posiadania przyjaciół.

A może jest inaczej, może między nimi nie ma miejsca dla Westa. Są zbyt sobie bliskie.

Tak więc są Zenia i Tony, są Zenia i West, ale nie ma już Westa i Tony.

Niekiedy są we troje. Tony idzie z Zenią i Westem do ich nowego mieszkania, do którego się wprowadzili po wymalowaniu poprzedniego na czarno. To nowe miejsce nie jest nowe, ale odrapane, tanie i rozpada się; znajduje się nad sklepem, we wschodniej części ulicy Queen. Ma podłużny salon z jednym oknem, drgającym, gdy przejeżdżają tramwaje, zbyt wielką kuchnię z podartą pomarańczową tapetą, drewnianym stołem, którego niebieska farba już popękała, i czterema przypadkowo dobranymi krzesłami. Jest też sypialnia, gdzie Zenia i West śpią razem na materacu rozłożonym na podłodze.

Zenia przygotowuje dla nich jajecznicę i mocną, zachwycającą kawę. West

przygrywa im na lutni; rzeczywiście ma taki instrument. Siedzi na poduszce na podłodze, nogi zgięte w kolanach sterczą jak u pasikonika; zręcznie przebiera palcami i śpiewa stare ballady.

Wielka głębina wody przed nami.
Jak ją przefrunę, jak ją przepłynę?
Zbuduj mi łódź, a ja zabiorę
W daleką podróż moją dziewczynę.

Tak śpiewa West.

– Jest też irlandzka wersja – dodaje. – Z przewoźnikiem.

W rzeczywistości śpiewa dla Zeni, nie dla Tony. Bardzo kocha Zenię; Zenia powiedziała o tym Tony i to jest oczywiste. Zenia na pewno musi czuć to samo do Westa, ponieważ chwali go, wysławia, pieści oczyma. Przy kawie opowiada Tony, że jest bardzo delikatnym mężczyzną, uważnym, nie jak inni, śliniące się chamy. On ceni ją z właściwych powodów. Czci! Zenia ma szczęście, że znalazła takiego kochanego chłopca. Oczywiście, jest też wspaniały w łóżku.

W łóżku, myśli Tony. Co to znaczy? Musi się chwilę zastanowić. Nigdy jeszcze nie znajdowała się w obecności zakochanych ludzi. Czuje się jak zbłąkane dziecko, zmarznęte, w łachmanach, z nosem wlepionym w oświetlone okno. W okno sklepu z zabawkami, w okno ciastkarni z przepyszными ciastkami, udekorowanymi tortami. Bieda nie pozwala jej wejść. Te rzeczy są dla innych, nie dla niej.

Wydaje się, że Zenia jest tego świadoma – samotności Tony, jej daremnych pragnień – i stara się to łagodzić. Jest bardzo rozważna. Odwraca uwagę, działa, opowiada wesoło o innych sprawach. Przepisach, fryzurach, zmarszczkach, odmianie; nie na darmo żyje z dnia na dzień, ma cały zapas pożytecznych sztuczek. Na przykład, tajemnicą jajecznicy jest świeża trybulka i szczypiorek – na parapecie Zenia ma kilka doniczek z ziołami – odrobina wody, nie za duży ogień; tajemnicą kawy jest młynek, drewniany, z rączką i zaczarowaną szufladką.

Zenia jest pełna sekretów. Śmieje się, przypadkowo rzuca sekretami to tu, to tam, jej zęby połyskują bielą. Sypie sekretami z rękawa, wyciąga je zza siebie, rozwija niczym bele rzadkich materiałów, pokazuje je, macha niczym cygańskimi wstążkami, trzepocze jak proporcem, układa z nich poplątany stos. Kiedy jest w pokoju, któż patrzyłby na coś innego?

Tony i West patrzą na siebie – tylko przez chwilę – kiedy Zenia jest

odwrócona plecami. Patrzą smutno, trochę ze wstydem. Oboje są w niewoli. Wiedzą, że już nie mogą pić razem piwa po południu w spokoju. Teraz to Zenia pożycza od Tony notatki z historii współczesnej. West, oczywiście, też z nich korzysta, ale tylko z drugiej ręki.

Kiedyś Tony zapomniała poinformować akademik o późniejszym powrocie i zasiedziała się u Zeni. Skończyło się na tym, że spędziła noc na podłodze w salonie, zawinięta w koc, leżąc na trzech płaszczach, Zeni, Westa i swoim. Rano, bardzo wcześnie, West odprowadził ją do McClung Hall i podsadził na dolny podest schodów przeciwpożarowych, sama nie zdołałaby się wspiąć.

Pozostanie na całą noc poza akademikiem było śmiałym wyczynem, ale Tony nie chce tego robić powtórnie. Po pierwsze, to było zbyt poniżające – wracać z Westem tramwajem, metrem i nie wiedzieć, jak się do niego odezwać, być podsadzoną i podrzuconą na schody jak paczka. Po drugie, spanie pod drzwiami ich sypialni też ją unieszczęśliwiało.

Zresztą i tak nie spała. Nie mogła, z powodu odgłosów. Gardłowe, nieznanne, głębokie, zwierzęce, pierwotne, błotniste, gorące i wodne dźwięki dochodzące spod ziemi.

– Twoja matka była chyba romantyczką – mówi niespodziewanie Zenia. Wyrabia ciasto na *langues de chat*; Tony siedzi przy stole i przepisuje dla Zeni notatki z historii, Zeni jak zwykle brakuje czasu. – Moim zdaniem szukała idealnego mężczyzny.

– Chyba nie – odpowiada Tony. Jest nieco zdziwiona; myślała, że akta jej matki są już zamknięte.

– Wygląda na to, że kochała zabawę – mówi Zenia. – Kochała życie.

Tony nie bardzo rozumie, dlaczego Zenia chce usprawiedliwić jej matkę. Ona sama tego nie uczyniła, teraz to sobie uświadamia.

– Lubiała przyjęcia – rzuca krótko.

– Założy się, że chciała usunąć ciężę, tylko jej nie wyszło – mówi radośnie Zenia. – Zanim wyszła za twojego ojca. Założy się, że nalała gorącej wody do wanny i wypiła sporo dżinu. Tak właśnie wtedy się robiło.

To ciemniejsza strona matki, niż Tony kiedykolwiek brała pod uwagę.

– Oj, nie – mamrocze. – Nie zrobiłaby tego! – Chociaż to może być prawda. Może dlatego Tony jest taka mała. Żadne z rodziców nie było szczególnie niskie i drobne. Może dżin wpłynął na jej wzrost. Czy w takim razie nie byłaby też idiotką?

Zenia wypełnia płytkie foremki i wsuwa je do pieca.

– Wojna to dziwny czas – mówi. – Wszyscy pieprzyli się ze wszystkimi,

korzystali z wolności! Mężczyźni myśleli, że wkrótce zginą, kobiety też. Ludzie nie potrafili przyzwyczać się na nowo do normalności, po tym wszystkim.

Wojny to specjalność Tony. Wie to wszystko, dużo o tym czytała. Plagi wywierały taki sam wpływ: panika, przymus, histeryczne pożądanie. Jednakże odniesienie tego do rodziców wydaje jej się niesłuszne. Oni powinni być z tego wyłączeni. (Gwiazdka po odejściu matki, ojciec stoi jak sparaliżowany pośrodku pokoju, z bombkami w rękę, przed nie ubraną choinką, nie wie, co robić. Ona wchodzi na drabinę, delikatnie biorąc od niego ozdoby. „Ja powieszę!” Inaczej on by je porozbijał. Rzuciłby nimi o ścianę. Niekiedy tak właśnie zastygał, w połowie zwykłej czynności, jakby ośleplł albo stracił pamięć, albo nagle odzyskał. Żył jednocześnie w dwóch strumieniach czasu: wiesział ozdoby na choince i strzelał do dzieci wroga. Nic więc dziwnego, myśli Tony. Mimo nasilającego się pijaństwa, rozbicia, coraz bardziej gwałtownych i przerażających ostatnich lat, ona mu mniej więcej przebaczyła. Gdyby Anthea nie uciekła, czy skończyłby w taki sposób, na podłodze, z krwią wsiąkającą w poranną gazetę? Chyba nie.)

– Ona mnie opuściła – mówi Tony.

– Moja własna matka mnie sprzedała – wzdycha Zenia.

– Sprzedała cię? – pyta Tony.

– No, oddawała mnie – wyjaśnia Zenia. – Za pieniądze. Musiałyśmy jeść. Byłyśmy uciekinierkami. Przed wojną udało jej się dotrzeć do Polski, ale wiedziała, co się zbliża. W jakiś sposób wydostała się, łapówki czy coś w tym rodzaju, fałszywe paszporty, a może poszła do strażników pociągu, kto wie? W każdym razie dotarła do Paryża; tam właśnie dorastałam. Wtedy ludzie jedli śmieci, jedli koty! Co miała robić? Nie mogła dostać pracy. Bóg wie, nic nie umiała robić! Musiała jakoś zdobyć pieniądze.

– Oddawała ciebie? Komu? – pyta Tony.

– Mężczyznom – odpowiada Zenia. – Och, nie, nie na ulicy! Nie komukolwiek! Starym generałom i takim tam. Była Rosjanką. Zdaje się, że rodzina kiedyś miała pieniądze, w Rosji za cara. Mówiła, że jest jakąś tam hrabiną, chociaż, Bóg wie, rosyjskich hrabianek było na pęczki. W Paryżu mieszkało sporo carskich Rosjan; byli tam już od rewolucji. Lubiała powtarzać, że jest przyzwyczajona do dobrych rzeczy, chociaż nie wiem, kiedy niby to miała się przyzwyczać.

Tony tego nie wiedziała – że matka Zeni była Rosjanką. Znała jedynie historię Zeni z ostatnich lat; jej tło. Życie na uniwersytecie, życie z Westem i z mężczyzną przed nim, i jeszcze jednym wcześniejszym. Chamy, obaj, w skórzanych kurtkach; pili i bili ją.

Przygląda się wydatnym kościom policzkowym Zeni; słowiańskie, przypuszcza. Poza tym jej lekki akcent, postawa pogardliwej wyższości, odrobina przesądu. Rosjanie lubią ikony i tak dalej. To wszystko ma sens.

– Oddawała cię? – pyta. – A ile miałaś wtedy lat?

– Kto wie? – mówi Zenia. – To musiało się zacząć, kiedy miałam pięć, sześć lat, może wcześniej. Naprawdę nie pamiętam. Nie pamiętam takiej chwili, żeby jakiś mężczyzna nie wsadzał mi ręki do majtek.

Tony otwiera usta.

– Pięć? – powtarza. Jest przerażona. Jednocześnie podziwia jej szczerość. Wydaje się, że Zeni nic nie żenuje. W przeciwieństwie do Tony, nie jest pruderyjna.

Zenia śmieje się.

– Och, z początku to nie rzucało się w oczy – opowiada. – Wszystko odbywało się bardzo grzecznie! Przychodzili, siadali na kanapie – Boże, jaka ona była dumna z tej kanapy, przykrywała ją jedwabnym szalem haftowanym w róże – kazała mi usiąść obok tego miłego pana i po chwili wychodziła z pokoju. Na początku to nie był prawdziwy seks. Tylko dotykanie. Wsadzanie palców. Duży numer zachowała, aż – jak to określiła – dorosnę. Jak miałam jedenaście, dwanaście lat... Chyba nieźle na nim zarobiła, chociaż nie wszyscy byli tak obrzydliwie bogaci. Podupadła szlachta ciułająca grosze, z małym majątkiem na boku albo prowadząca pokątne interesy. Wszyscy działali na czarnym rynku, wszyscy coś kręcili, żyli w ukryciu, rozumiesz? Jak szczury. Na tę okazję kupiła mi nową sukienkę, chyba też na czarnym rynku. Debiut odbyłam na dywanie w bawialni – nigdy nie pozwalała im używać łóżka. To był major Popow, nie uwierzysz, zupełnie jak z Dostojewskiego, z nosem uczernionym tabaką. Nawet nie zdjął spodni, tak mu się śpieszyło. Cały czas wpatrywałam się w róże wyhaftowane na tym kurewskim szalu. Ból ofiarowałam Bogu. Nie grzeszyłam dla przyjemności! Byłam wtedy bardzo religijna, oczywiście należałam do Kościoła prawosławnego. Nadal mają najlepsze kościoły, nie sądzisz? Mam nadzieję, że nieźle wzięła od tego Popowa. Niektórzy faceci oddadzą wiele obiadów za dziewicę.

Zenia opowiada tę historię jak najzwyklejszą plotkę, Tony słucha jak porażona. Nigdy o czymś takim nie słyszała. Inaczej: słyszała, a raczej czytała w książkach. Takie dziwnie skomplikowane, europejskie rzeczy nie przytrafiają się prawdziwym ludziom albo ludziom, których ona może spotkać. Ale skąd ona ma wiedzieć? To wszystko może dzieje się właśnie wokół niej, ale ona tego nie widzi, bo nie wie, gdzie patrzeć. Zenia wie. Zenia jest starsza od Tony, nie tyle wiekiem, ile doświadczeniem. Przy Zeni Tony jest nic nie

wiedzącym dzieckiem, jak jajko.

– Musiałaś jej nienawidzić – mówi Tony.

– Och, nie – odpowiada poważnie Zenia. – Dopiero później. Była dla mnie bardzo miła! Kiedy byłam mała, przygotowywała mi coś specjalnego do jedzenia. Nigdy nie podnosiła głosu. Była piękna, miała długi ciemny warkocz zapleciony dookoła głowy, jakby aureolę, i ogromne, wypełnione smutkiem oczy. Sypiałam z nią w wielkim białym łóżku, w puchach. Kochałam ją i podziwiałam, zrobiłabym dla niej wszystko! Nie chciałam, aby była taka smutna. Dzięki temu to jej uchodziło.

– Okropne – mówi Tony.

– Cóż, kogo to obchodzi? W każdym razie, to nie byłam tylko ja. Siebie, zdaje się, też oddawała. Była jakby łutem szczęścia dla mężczyzn, którym się nie powiodło. Byli to tylko Rosjanie, nie niżsi rangą od majora. Pomagała zaspokajać im ich pretensje, a oni jej. Seks nie wychodził jej jednak specjalnie dobrze, może dlatego, że go nie lubiła. Wolała cierpieć. Mężczyzn było sporo. Często chorowała. Kaszłała, jak na filmie! Krew na chusteczce. Coraz bardziej było czuć jej oddech, używała dużo perfum, kiedy było ją stać. To była chyba gruźlica i to ją zabiło. Co za teatralna śmierć!

– Miałaś szczęście, że się nie zaraziłaś – mówi Tony. To wszystko wydaje się takie starodawne. Dzisiaj z pewnością nikt nie choruje na gruźlicę. Ta choroba zniknęła, jak ospa.

– Tak, prawda? – odpowiada Zenia. – Tylko zanim się przekręciła, mnie już dawno nie było. Kiedy dorosłam, przestałam ją kochać. Ja pracowałam, a ona trzymała pieniądze, to raczej nie było sprawiedliwe! Poza tym nie mogłam znieść jej kasłania i płaczu po nocy. Była taka bezradna. Chyba nawet głupia też, nie miała wtedy nikogo, żadnego faceta, tylko mnie. Ale albo ona, albo ja. Musiałam wybierać.

– A twój ojciec? – pyta Tony.

– Jaki ojciec? – Zenia śmieje się.

– Musiałaś mieć ojca – dodaje Tony.

– Lepiej – mówi Zenia. – Miałam trzech! Matka podawała kilka wersji – boczna linia greckiej rodziny królewskiej, generał polskiej kawalerii, Anglik z dobrej rodziny. Miała jego fotografię, tylko jednego mężczyzny, ale trzy opowiadania. Historia o nim zmieniała się w zależności od tego, jak się czuła; chociaż w każdej z nich ginął na wojnie. Szarżując na koniu na niemieckie czołgi, za linią francuską na spadochronie, zastrzelony z karabinu maszynowego w pałacu. Kiedy było ją na to stać, stawiała przed zdjęciem jedną różę; czasem zapalała świecę. Bóg wie, czyje to było zdjęcie tak naprawdę! Młody

mężczyzna w kurtce, z plecakiem, nieco rozmazany, ogląda się przez ramię; nawet nie jest w mundurze. Przedwojenne. Może je kupiła. Osobiście uważam, że została zgwałcona przez bandę żołnierzy albo coś w tym rodzaju, ale nie chciała mi powiedzieć. Takie wyjawienie – że mój ojciec był kimś takim – byłoby dla mnie nie do zniesienia. Ale to i tak by wyszło na jaw, prawda? Kobieta bez pieniędzy, uciekająca z jednego miejsca na drugie, samotnie, bez opieki. Takie kobiety stanowiły łatwy łup! A może miała kochanka faszystę, jakiegoś zbira. Kto to wie? Ona potrafiła kłamać, więc nigdy się nie dowiedziałam. W każdym razie, teraz już nie żyje.

Historyjka Tony nagle mocno zbladła. Przy opowieści Zeni wydaje się niczym więcej niż mało ważnym incydentem, szarym, podmiejskim; stateczną, parafialną anegdotą; przypiskiem. Tymczasem życie Zeni błyszczący – nie, bije mocnym blaskiem pośród silnych, choć niepewnych światła wielkich i złowrogich światowych wydarzeń. (Carscy Rosjanie!)

Do tej pory Tony widziała Zenię jako zupełnie odmienną od siebie, teraz dostrzega podobieństwa, bo czyż obie nie są sierotami? Obie pozbawione matki, obie dzieci wojny, samodzielnie torujące sobie drogę przez świat, brnące naprzód, z koszykiem w ręku, z koszykiem z marną chudobą tego świata – swoim własnym mózgiem, bo na czym innym mogą tak naprawdę polegać? Tony bardzo podziwia Zenię, nie tylko za opanowanie. Na przykład teraz – inne kobiety rozplakałyby się, a Zenia uśmiecha się – uśmiecha się do Tony, może z odrobiną drwiny, którą Tony tłumaczy jako podziwu godną dzielność, stalową odwagę w obliczu przeciwności losu. Zenia przeszła horror, przeszła zwycięsko. Tony wyobraża ją sobie na koniu, w rozwianej szacie, z uniesionym mieczem; albo jako ptaka, srebrnego, czarodziejskiego, wzlatującego triumfalnie, bez uszczerbku, z popiołów płonącej i łupionej Europy.

– W byciu sierotą jest pewna rzecz – mówi Zenia z namysłem. Z doskonałego nosa wylatują dwie smugi dymu. – Nie musisz spełniać niczyich oczekiwań. – Wypija fusy po kawie, gasi papierosa. – Możesz być, kim chcesz.

Tony spogląda na nią, patrzy w niebieskoczarne oczy i widzi własne odbicie: taka chciałaby być. „Tnomerf Ynot”. To jej odwrotność.

Czego może Tony odmówić w takich okolicznościach? Niemal niczego.

Z pewnością nie pieniędzy. Zenia musi jeść – Zenia i West, oczywiście – a jak ma to zrobić, jeżeli Tony, wyposażona w bogactwa zmarłych, nie pożyczycy Zeni dwudziestu, pięćdziesięciu, stu dolarów od czasu do czasu? A jak Zenia ma oddać, skoro sprawy mają się tak, jak się mają? Ma jakieś stypendium, coś na ten temat mówiła, ale nie starcza na wszystko. W dalekiej przeszłości zebrała i po części dzięki temu przewędrowała Europę – dotarła aż za ocean; jednakże – jak opowiada Tony, która przeciera oczy ze zdziwienia – woli raczej oskubać pijaczka przy forsie, to o wiele szybsze i czystsze. Do niedawna zarabiała dodatkową gotówkę, pracując jako kelnerka i sprząając łazienki w podrzędnych hotelach – ceną cnoty jest harówka – ale była wtedy zbyt zmęczona, aby się uczyć.

Zresztą i tak jest zmęczona. Miłość to sprawa, miłosne gniazdko wymaga opieki, a kto gotuje, pierze i sprząta u Zeni? Nie West, biedny aniołek; typowy mężczyzna, ma kłopoty nawet z ugotowaniem jajka albo zaparzeniem herbaty. (Ach, myśli Tony, ja bym mu robiła herbatę! Tęskni do takich prostych domowych obowiązków, by je ofiarować Westowi. Jednak prawie natychmiast poddaje to własnej cenzurze. Nawet zagotowanie wody na herbatę dla Westa byłoby niczym zdrada wobec Zeni.)

Poza tym, zaznacza Zenia, przeciwstawianie się porządkowi społecznemu też kosztuje: wolność nie jest wolna od opłat, trzeba za nią płacić. Pierwsza linia frontu wyzwolenia dostaje kule. Zenia i West płacą więcej za tę szczurzą norę, ponieważ gospodarz, ten hipokryta o brudnych myślach, zaczął podejrzewać, że nie są małżeństwem. Toronto jest takie purytańskie!

Jakże więc Tony ma odmówić, kiedy Zenia zjawia się u niej pewnego wieczoru ze łzami w oczach, bez pracy semestralnej z historii współczesnej, nie mając czasu do stracenia? „Jak obleję ten kurs – mówi – będę musiała porzucić studia, wrócić na ulicę. Cholera, ty tego nie wiesz, Tony, ty po prostu nie wiesz, co to znaczy! To piekło, to takie ponizające; nie mogę do tego wrócić!”

Tony zdumiewają jej łzy. Myślała, że Zenia jest pozbawiona zdolności do płaczu, nawet bardziej niż ona sama. Teraz widzi nie tylko łzy, lecz potok łez

spływający po dziwnie zneruchomiałej twarzy Zeni, zawsze wyglądającej na umalowaną, chociaż nie jest. Innym kobietom tusz dawno by się rozmażał; ale to nie tusz, to prawdziwe rzęsy Zeni.

Kończy się tym, że Tony pisze dwie prace semestralne, jedną dla siebie, drugą dla Zeni. Robi to nie bez zdenerwowania; wie, że to ryzykowne. Przekracza pewną granicę, granicę, którą szanuje, ale Zenia dokonuje buntu za Tony, więc Tony powinna napisać za nią tę pracę. Takie równanie Tony przeprowadza gdzieś poza słowami. Tony będzie prawą ręką Zeni, ponieważ Zenia z całą pewnością jest lewą ręką Tony.

Żadna z prac nie dotyczy bitew. Profesor historii współczesnej, łysy, zezowaty doktor Welch ze skórzanymi łatami na łokciach marynarki, bardziej interesuje się ekonomią niż rozlewem krwi i jasno wyjawiał to Tony, która proponowała jako temat niekontrolowaną grabież Konstantynopola przez krzyżowców; poza tym, jego zdaniem, wojna nie jest odpowiednim tematem dla dziewcząt. Tak więc obie prace są o pieniądzech. Praca Zeni opisuje handel słowiańskimi niewolnikami z Cesarstwem Bizantyjskim – Tony wybrała ten temat ze względu na rosyjskich przodków Zeni – a Tony – monopol na handel jedwabiem w Bizancjum w dziesiątym wieku.

Tony interesuje się Bizancjum. Wielu ludzi zmarło tam w niemiły sposób, większość z błahych przyczyn; można było zostać rozerwanym na kawałki za nieodpowiedni strój albo wypatroszonym za uśmiech. Dwudziestu dziewięciu cesarzy bizantyjskich zostało zamordowanych przez rywali. Ulubioną metodą było osłepianie, do tego ćwiartowanie wraz z powolnym morzeniem głodem.

Gdyby profesor nie był taki kapryśny, Tony wybrałaby zamordowanie bizantyjskiego cesarza Nicefora Fokasa przez jego piękną żonę, cesarzową Teofano. Teofano zaczęła jako konkubina i cierpliwie pięła się na szczyt. Kiedy jej autokratyczny małżonek zestarzał się i zbrzydł, kazała go zabić. Mało tego, pomagała przy tym. Pierwszego grudnia 969 roku nakłoniła go, aby nie zamykał na klucz drzwi do sypialni, obiecując, bez wątpienia, usługi erotyczne, i w środku nocy weszła do komnaty z młodszym, przystojniejszym kochankiem Janem Tsimiscesem – który później każe ją uwięzić w klasztorze – oraz bandą zaciężnych. Obudzili Nicefora – spał na skórze pantery, miła w dotyku – i Jan Tsimisces roztrzaskał mu głowę uderzeniem miecza. Jan śmiał się.

Skąd my to wiemy, myśli Tony. Kto to opisał? Czy Teofano również się śmiała? Zastanawia się, dlaczego go obudzili. Co ich skłoniło – sadyzm czy zemsta. Według wszelkich źródeł Nicefor był tyranem: dumnym, kapryśnym, okrutnym. Tony wyobraża sobie Teofano w drodze na miejsce zbrodni, w fioletowym płaszczu zarzuconym na ramiona i złotych sandałach. Ciemne

włosy wirują wokół głowy; pobladła twarz błyszczy w świetle pochodni. Idzie pierwsza, szybko, ponieważ najważniejszym czynnikiem w spisku jest zaskoczenie. Za nią ciągną mężczyźni z mieczami.

Teofano uśmiecha się, Tony nie uważa tego uśmiechu za złowrogi, ale raczej za radosny: uśmiech dziecka, które chce podejść do kogoś od tyłu i zasłonić mu oczy. „Zgadnij kto to?”

W tej historii występuje element czystej psoty. Perwersyjnej radości. Wyuzdania samego w sobie. Czymże jest tak naprawdę zasadzka, jeśli nie militarnym żartem? Ukryć się, a potem nagle wyskoczyć z okrzykiem: Niespodzianka! Żaden z historyków nigdy o tym nie wspomina, o tym elemencie trzpiotowatej zabawy w chowanego. Oni chcą, aby przeszłość była poważna. Śmiertelnie poważna. Tony rozmyśla nad tym zdaniem: jeżeli śmierć jest poważna, to życie jest frywolne? Tak ujęliby to aforyści.

Może Teofano obudziła Nicefora, gdyż chciała, aby przed śmiercią docenił jej spryt. Chciała, aby przejrzał, jaka była dwulicowa, jak bardzo mylił się co do niej. Chciała, aby zrozumiał żart.

Obie prace napisane są na takim poziomie, jak Tony zazwyczaj pisze; jednakże praca o monopolu jedwabnym jest lepsza. Zenia dostaje jednak bardzo dobry, a Tony tylko bardzo dobry z minusem. Jak się wydaje, powszechna opinia o błyskotliwości Zeni wpłynęła nawet na profesora Welcha. Tak ocenia Tony. Czy ma coś przeciwko temu? Nieszczególnie, ale zauważa to.

Jednocześnie czuje wyrzuty sumienia. Do tej pory zawsze pilnie przestrzegała uczelnianego kodeksu. Nigdy nie pożyczła od nikogo notatek, chociaż innym pozwala korzystać ze swoich; jej notatki są nieskazitelne. Jest świadoma, że napisanie za kogoś pracy semestralnej to oszustwo, ale nie robi tego dla żadnej korzyści. Jej motywy są jak najlepsze: jakże mogłaby odmówić przyjaciółce? Jak mogłaby skazać Zenię na seksualne zniewolenie? Ona taka nie jest. Mimo to odczuwa niepokój sumienia, więc może sprawiedliwości stało się zadość, gdy dostała piątkę z minusem. Jeśli to ma być jedyna kara, to uszło jej płazem.

Tony napisała obie prace w marcu, kiedy topniał śnieg, słońce grzało, przebiśniegi przebijały się przez błoto, stare gazety i gnijące liście, ludzie w zimowych paltach robili się niespokojni. Zenia też się niepokoiła. Już nie piła kawy z Tony na Queen East. Już nie rozmawiały tak zawzięcie w porze, którą Tony uważała za noc. Po części było tak dlatego, że Tony nie miała czasu, bo zbliżały się egzaminy końcowe i musiała sama popracować nad swoim

geniuszem, a po części chyba dlatego, że Zenia dowiedziała się o Tony wszystkim, co chciała wiedzieć.

Tony była daleka od prawdy: nadal była ciekawa, nadal zafascynowana, ciągle pragnęła szczegółów. Kiedy jednak zadawała pytania, odpowiedzi Zeni – chociaż wystarczająco szczerze – były krótkie, jej wzrok błędził gdzie indziej. Taki sam stosunek, uprzejmy, choć roztargniony, miała do Westa. Chociaż nadal dotykała go, gdy tylko wchodził do pokoju, chociaż nadal obdarowywała go komplementami, pochwałami, nie koncentrowała się na nim. Myślała o czymś zupełnie innym.

W piątek, na początku kwietnia, do pokoju Tony w środku nocy wdrapuje się przez okno Zenia. Tony nie widzi, jak ona wchodzi, ponieważ śpi. Nagle jednak otwiera oczy i siada w łóżku. Widzi kobietę stojącą w ciemnościach na środku sypialni, jej głowa zaznacza się na tle żółtoszarawego owalu okna. W chwili przebudzenia Tony myśli, że to matka. Anthei nie tak łatwo byłoby się pozbyć, przychodzi jej do głowy: wciśnięta w urnę, wyrzucona do jeziora, zapomniana. Wróciła, aby się zemścić. Tylko za co? A może przyszła, o wiele za późno, po Tony, aby ją nareszcie zabrać na dno błękitnego morza, gdzie Tony wcale nie ma ochoty iść? Jak by wyglądała, gdyby Tony nagle zapaliła światło? Tak jak zawsze czy jak rozmazana akwarela?

Tony robi się zimno. „Gdzie są moje ubrania?” To zamierza powiedzieć Anthea, te słowa mają paść z jej nie istniejących ust. Ma na myśli własne ciało, to, które zostało spalone, to, które zostało zatopione. Co Tony ma odpowiedzieć? „Przepraszam, przepraszam”.

To wszystko odbywa się bez słów. Tony doświadcza złożonej fali rozpoznania i strachu, szoku i jego braku: zjawisko, które zawsze się pojawia, kiedy spełniają się niewypowiedziane pragnienia. Łapie oddech, zakrywając usta rękami.

– Cześć – mówi spokojnie Zenia. – To ja.

Zapada cisza, Tony dochodzi nieco do siebie.

– Jak tu się dostałaś? – pyta, jej serce znów jest niesłyszalne.

– Przez okno – odpowiada Zenia. – Weszłam po schodach przeciwpożarowych.

– Ależ to za wysoko – dziwi się Tony. Zenia jest wysoka, ale nie na tyle, by dosięgnąć podestu. Czy West jest na dole? Czy on ją podsadził? Tony chce już włączyć lampkę przy łóżku, ale rezygnuje. Nie wolno jej nikogo przyjmować w pokoju o tej porze, a wykładowcy i plotkarki przemierzają korytarze, chcąc wywąchać papierosy albo nielegalny seks.

– Wdrapałam się na drzewo i skoczyłam z gałęzi – wyjaśnia Zenia. – Każdy by dał radę. Powinnaś założyć jakiś zamek w oknie. – Siada po turecku na podłodze.

– Coś się stało? – pyta Tony. Musiało; nawet Zenia nie wchodziłaby po drzewie do czyjegoś pokoju w środku nocy jedynie z powodu zwykłej zachcianki.

– Nie mogłam zasnąć – odpowiada. Obie mówią niemal szeptem. – Musiałam z tobą porozmawiać. Bardzo mi przykro z powodu tego biedaczyny, profesora Welcha.

– Co? – pyta Tony. Nic nie rozumie.

– Oszukałyśmy go. Myślę, że powinniśmy powiedzieć mu prawdę. W końcu to było oszustwo – mówi w zamyśleniu Zenia. Ma na myśli pracę semestralną, nad którą Tony spędziła tyle czasu i która kosztowała ją tyle troski. W samej pracy nie było żadnego oszustwa; jedynie w nazwisku na pierwszej stronie, w nazwisku Zeni.

Zenia chce teraz wszystko powiedzieć, a tu chodzi o życie Tony. Przed Zenią otwierają się rozległe widoki na przyszłość – dziennikarstwo, finanse, wymieniano nawet politykę – ale nigdy nie było mowy o pracy wykładowcy na uniwersytecie, co dla Tony jest jedyną drogą. To jej powołanie; bez niego będzie bezużyteczna jak odcięta dłoń. Co innego mogłaby robić? Gdzie mogłaby się podziąć ze swoją wiedzą bajarki, nadmiarem szczegółów, dziwnymi odłamkami i strzępami, jakie gromadzi, gdzie mogłaby to wymienić na uczciwy zarobek? „Uczciwy”: o to chodzi. Pozbawiona intelektualnej uczciwości, dobrej opinii, integralności, zostanie wygnana. Pozbawi ją tego Zenia.

– Zrobiłam to, aby ci pomóc! – mówi Tony, świadoma jednocześnie, że jej własne motywy nie poruszają władzy. (Przez chwilę myśli, że mogłaby po prostu zaprzeczyć napisaniu tej pracy. Zenia ma jednak oryginał napisany pochyłym pismem Tony. Naturalnie, Zenia musiała go przepisać.)

– Wiem – odpowiada Zenia. – Ale mimo to. Może rano będę myślała inaczej. Jestem tylko przygnębiona, zła na siebie. Czasami czuję się jak gówno, chciałabym skoczyć z mostu, rozumiesz? Czuję się, jakby tu nie było dla mnie miejsca, jakbym nie była wystarczająco dobra. Także dla Westa. On jest taki przesadnie czysty. Nieraz myślę, że go pobrudzę albo złamię, czy coś w tym rodzaju. Wiesz, co jest najgorsze? Że czasami tego chcę. Kiedy jestem... rozumiesz. W stresie.

A zatem nie tylko życie Tony jest zagrożone, ale także Westa. Z tego, co widziała, z jego ślepego oddania, Tony jest przekonana, że Zenia rzeczywiście mogłaby dokonać spustoszenia. Jedno pogardliwe machnięcie ręką mogłoby

zrobić z niego plamę na chodniku. W jaki sposób Zenia zdobyła taką władzę, a Tony tego nie zauważyła? Jeżeli chodzi o Westa, to jednak zauważyła, lecz ufała, że Zenia użyje tej władzy dobrze. Ufała Zeni. Teraz ona i West są w niebezpieczeństwie, teraz musi ratować ich oboje.

– W stresie? – pyta słabym głosem.

– Och, chodzi o pieniądze. Tony, ty tego nie poznałaś, nigdy nie musiałaś się tym martwić. Kurwa, zalegamy z czynszem od kilku miesięcy, a gospodarz, kurwa, straszy, że nas wywali. Mówi, że zadzwoni na uczelnię i narobi smrodu. Nie ma sensu kłopotać tym Westa – takie z niego dziecko, wszystkie sprawy praktyczne zostawia mnie. Gdybym mu powiedziała, ile jesteśmy winni, poszedłby sprzedać lutnię, bez dwóch zdań. No bo co innego on ma? Zrobiłby dla mnie wszystko, chociaż to i tak kropla w morzu, biedny baranek, ale lubi takie gesty poświęcenia. Nie wiem, co zrobić. To taki ciężar, Tony. Jestem taka przygnębiona. Kurwa mać!

Tony dała Zeni pieniądze na czynsz już kilkakrotnie i dobrze wie, co powiedziała Zenia, gdyby jej o tym wspomniała. „Ależ, Tony, musieliśmy jeść! Ty nie wiesz, co to znaczy być głodnym. Nie rozumiesz! Ty zupełnie nie wiesz, co to znaczy nie mieć pieniędzy!”

– Ile? – pyta zimnym, oficjalnym głosem. Ładny szantaż. Została zapędzona w ślepy zaułek.

– Tysiąc dolarów postawiłoby nas na nogi – gładko recytuje Zenia. Tysiąc dolarów to bardzo dużo pieniędzy. Zrobi pustkę w skarbonce Tony. Poza tym to prawdopodobnie więcej, niż trzeba zapłacić za mieszkanie. Zenia jednak nie błaga, nie prosi. Doskonale zna reakcję Tony.

Tony wstaje z łóżka w piżamie polo w białe myszki w strojach kłowna, którą przysłała jej matka z Kalifornii, kiedy miała czternaście lat – jej nocna garderoba nie została wymieniona na dorosłą, bo któż miał ją w niej oglądać, i właśnie tego żałuje po tamtej nocy, tego, że Zenia dobrze przyjrzała się jej absurdalnej piżamie – i podchodzi do biurka, zapala na krótko lampę, wypisuje czek.

– Proszę – mówi, wciskając go Zeni.

– Tony, jesteś w dechę – mówi Zenia. – Oddam ci później! – Obie dobrze wiedzą, że to nieprawda.

Zenia wychodzi przez okno, Tony wraca do łóżka. W dechę: twarda, kanciasta, potencjalne narzędzie zbrodni. Deską można by roztrzaskać parę czaszek. Na pewno Zenia przyjdzie jeszcze po pieniądze, potem jeszcze raz. Tony zyskała jedynie czas.

Dwa dni później do McClung Hall przychodzi West i odnajduje Tony. Pyta ją, czy nie widziała Zeni. Zenia zniknęła. Nie ma jej w mieszkaniu, na uniwersytecie, prawdopodobnie nie ma jej w całym mieście, ponieważ nikt – ani brodaci mężczyźni z teatru, ani szczupłe kobiety o twarzach baletnic i gibkich figurach, ani policja, kiedy West decyduje się w końcu tam zadzwonić – nie wie, gdzie ona jest. Nikt nie widział, jak odchodziła. Jej po prostu nie ma.

Razem z nią zniknęło podarowane przez Tony tysiąc dolarów, plus wkład wspólnego z Westem konta – bądź co bądź dwieście dolarów. Byłoby więcej, ale Zenia wyjęła wcześniej trochę pod pretekstem, że ich dobra przyjaciółka Tony, wcale nie taka bogata, jak myśleli, poprosiła ją o pożyczkę na krótko, a wstydziła się mówić przy Weście. Zniknęła także lutnia Westa, którą kilka tygodni później odnajduje Tony dzięki skrupulatnym i pilnym poszukiwaniom po antykwariatach; natychmiast ją odkupuje. Sama zanosí do mieszkania i podaje Westowi jak lizaka, na pocieszenie. Nie wywiera na nim jednak prawie żadnego wrażenia; West siedzi na środku podłogi, na wytartej poduszce, wpatruje się w ścianę i pije piwo.

Zenia zostawiła Westowi list. Miała tyle rozwagi albo... tyle wyrachowania, jak uważa Tony, na nowo przyjrawszy się zawilościom duszy Zeni. „Mój Kochany, nie jestem Ciebie warta. Kiedyś mi wybaczysz. Będę Cię kochać aż do śmierci. Kochająca Zenia”. Tony, która kiedyś otrzymała podobny list, wie, że takie wyznania są nic nie warte. Wie, że taki list można zawiesić sobie na szyi jak ołowiany medalik, ciężką pamiątkę, która będzie ciążyć przez lata. Rozumie także, że West musi wierzyć zapewnieniom Zeni. Potrzebuje ich niczym wody albo powietrza. Będzie wolał uwierzyć, że Zenia porzuciła go na skutek źle pojętej szlachetności, niż myśleć, że zrobiła go w konia. Kobiety potrafią ogłupiać mężczyzn, myśli świeżo wyprowadzona z błędu Tony, nawet jeżeli nie są głupcami, od czego trzeba zacząć.

Rozpacz Westa jest namacalna. Otacza go niczym chmura komarów, jest jak cięcie na nadgarstku, który podsuwa Tony (bez słów, bez ruchu) do zabandażowania. Gdyby mogła wybierać, nie zdecydowałaby się na rolę pielęgniarki i pocieszycielki, zważywszy na to, jak źle poszło jej z ojcem. Teraz jednak nie ma mu nic innego do zaofiarowania, robi więc Westowi herbatę,

ściąga z poduszki i – nie wiedząc, co robić – zabiera na spacer, jak psa lub inwalidę. Razem kluczą po parkach, razem przechodzą ulice, trzymając się za ręce niczym dzieci w lesie. Razem lamentują w milczeniu.

West jest pogrążony w żałobie, ale Tony też. Oboje stracili Zenię, chociaż Tony jakby pełniej. West nadal wierzy w Zenię, którą utracił; myśli, że gdyby wróciła, pozwoliła sobie wybaczyć, dała się pocieszyć i zatroszczyć o siebie, wszystko byłoby tak jak dawniej. Tony wie lepiej. Wie, że osoba, którą utraciła, wcale nie istniała. Jeszcze nie kwestionuje opowieści Zeni, jej historii. Traktuje ją jako wytłumaczenie: czego można się spodziewać po kimś z takim trudnym dzieciństwem? Kwestionuje natomiast dobrą wolę Zeni. Zenia tylko ją wykorzystywała, a ona pozwalała się wykorzystywać; została przeszukana, ogołocona jak kieszeń. Nie ma jednak czasu żałować siebie, ponieważ jest zbyt zajęta żałowaniem Westa.

Dłoń Westa spoczywa biernie w dłoni Tony, jakby był niewidomy: idzie tam, gdzie prowadzi go Tony, pozbawiony własnej woli, obojętne mu, dokąd się go prowadzi. Przepaść czy bezpieczna przystań, wszystko jedno. Od czasu do czasu budzi się, patrzy dookoła zdezorientowany. „Jak się tu znaleźliśmy?“, pyta, czułe serce Tony ściska się z bólu.

Najbardziej niepokoi ją to, że West pije – wprawdzie nadal tylko piwo, ale za to dużo, o wiele więcej niż kiedyś. Prawdę mówiąc, chyba nigdy nie jest zupełnie trzeźwy. Nieobecność Zeni jest jak ścieżka, ścieżka, którą Tony rozpoznaje, ponieważ już ją kiedyś widziała. Prowadzi w dół i kończy się nagle kwadratem gazety splamionej krwią, West idzie nią, potykając się jak we śnie. Ona nie ma siły go zatrzymać ani obudzić. Jakim partnerem może być chuda, niezdarna Tony o głowie twardej jak kość, w za dużych okularach, ze swoimi spacerami po parku, kubkami herbaty, wobec pamięci o zjawiskowej Zeni, jaką West nosi w sercu albo zamiast serca?

Tony zamartwia się nim. Nie może spać. Pod oczami pojawiają się sińce, skóra robi się jak papier. Egzaminami końcowe pisze w szaleńczym transie, bez typowego dla siebie chłodnego racjonalizmu i przywoływania zapasów nagromadzonej wiedzy, o których nawet nie wiedziała.

West nie przychodzi na egzamin, z wyjątkiem historii współczesnej. Wciąga go wir.

W korytarzu akademika mijają ją Roz, zauważa jej okropny wygląd.

– Hej, Tone – mówi. (Wróciła do zdrobnienia, od kiedy Zenia uciekła, o czym, oczywiście, wie. Poczta pantoflowa ma tu wiele kanałów. Tony bez Zeni nie wywołuje już dreszczyku emocji, znów można ją traktować z pobłażaniem.)

– Hej, Tone, jak leci? Na świętą krowę, wyglądasz okropnie. – Kładzie wielką, ciepłą dłoń na sterczącym, ptasim ramieniu Tony. – Nie może być aż tak źle. Co się stało?

Z kim innym ma Tony porozmawiać? Nie może rozmawiać z Westem o nim samym, a Zeni nie ma. Kiedyś nie rozmawiałaaby z nikim, ale od czasu spotkań w kawiarni zaczęła doceniać wyznania. Idą więc do przeładowanego pokoju Roz, siadają na łóżku pokrytym poduszkami i Tony wyrzuca wszystko z siebie.

Nie mówi Roz o oszukanej pracy semestralnej ani o tysiącu dolarów. One właściwie nie należą do historii. Historia dotyczy Westa. Zenia zniknęła z duszą Westa wetkniętą do torby zarzuconej na ramię, bez duszy West umrze. Zabije się, i co wtedy Tony zrobi? Jak będzie żyć z samą sobą?

Nie ujmuje jednak swojej opowieści w taki sposób. Opisuje gołe fakty, to są fakty. Nie dramatyzuje. Jest tylko obiektywna.

– Słuchaj, kochana – mówi Roz, kiedy Tony kończy. – Wiem, że go lubisz, to znaczy, on wygląda na dość miłego chłopaka, ale czy jest tego wart?

Jest, odpowiada Tony. Jest, na pewno, ale ona nie ma nadziei. (Skurczy się w sobie i zblednie, jak w balladach. Opuszczają go siły, uschnie z tęsknoty. Potem strzeli sobie w głowę.)

– Wygląda na to, że zachowuje się jak wariat! Zenia to latawica, wszyscy o tym wiedzą. Parę lat temu przeszła przez połowę klubów – więcej niż połowę! Pewno nie słyszałaś wiersza o niej: „Gdy nie staje kuśka, niech naprawi ją Zeniuśka!” Powinien się obudzić, nie? – mówi Roz, która dopiero spotka miłość, która jeszcze nie poznała Mitcha. Tymczasem poznała, co to seks, uważa go za nowe cudowne lekarstwo; poza tym zawsze miała problemy z utrzymaniem tajemnicy. Teraz zniża głos. – Powinnaś wziąć go do łóżka – radzi, kiwając mądrze głową. Podoba jej się rola mądrej kobiety, pocieszającej zmartwionych. To pomaga samemu uniknąć zmartwień.

– Ja? – dziwi się Tony. Dziewczęta z McClung Hall, chociaż bez końca opowiadają o swoich chłopakach, nigdy dokładnie nie mówią, co z nimi faktycznie robią. Jeżeli spiąją z nimi, to nic o tym nie wspominają. Do tej pory jedyną znaną Tony osobą, otwartą na seks była Zenia.

– A kto inny? – odpowiada Roz. – Musisz sprawić, aby poczuł, że ktoś go pragnie. Spraw, żeby coś go w życiu zainteresowało.

– Oj, chyba nie potrafię – powątpiewa Tony. Myśl o pójściu do łóżka z kimkolwiek jest przerażająca. Gdyby ten ktoś przez przypadek położył się na niej? Zmiażdżyłby ją. Poza tym sama myśl o oddaniu komuś takiej władzy nad sobą sprawia, że się wzdryga, nie wspominając już o niechęci do bycia obłapianą i obślinianą. Zenia była szczerą co do seksu, ale nic nie mówiła o jego

atrakcyjności.

Jednakże, rozmyślając o tym, Tony musi przyznać, że gdyby miała kogoś znieść w łóżku, to tą osobą byłby West. Na spacerach trzyma go za rękę, to jest przyjemne. Przy szczegółach Tony poddaje się. Jak zaciągnie go do łóżka? Do którego? Przecież nie do jej wąskiego w McClung Hall – to nie ulega wątpliwości, zbyt wiele oczu tu na nią patrzy; nie można nawet zjeść w pokoju herbatników, żeby ktoś tego nie odkrył – i z pewnością nie do tego samego, w którym sypiał z Zenią. To by dopiero było! Poza tym, nie wie, jak takie rzeczy się robi. Teoretycznie; tak, wie, co gdzie wchodzi, ale w praktyce? Jedną z trudności jest rozmowa; co miałyby mówić? Nawet gdyby udało jej się wmanewrować Westa w konkretne miejsce, co wtedy? Jest za mała, a West za duży. Rozerwie ją na strzępy.

Kocha Westa. To jest dla niej jasne. A czyż nie chodzi tutaj o uratowanie mu życia? Tak. Potrzeba więc bohaterstwa i poświęcenia.

Tony zagryza zęby i wychodzi, aby uwieść Westa. Jest tak nieporadna, jak się spodziewała. Przyniosła parę świeczek do mieszkania Westa i próbuje przygotować kolację przy świecach; jej działania w kuchni jeszcze bardziej go przygnębiają, bo Zenia gotowała wspaniale i była pełna inwencji; na dodatek Tony przypała zapiekankę z tuńczyka. Zabiera go do kina na tani i głupi horror – wampiry obnażają kły, gumowe głowy staczają się po schodach; ma za to okazję ścisnąć w ciemnościach jego dłoń. Cokolwiek robi, West bierze to za zwykłe okazanie przyjaźni, tak wydaje się Tony. Ku swojej rozpaczy, i – częściowo – uldze, uznaje ją za lojalnego kumpla. To wszystko.

Jest czerwiec, zrobiło się bardzo ciepło. Zajęcia na uniwersytecie skończyły się, ale Tony, jak zwykle, zapisała się na kurs wakacyjny, więc nie będzie musiała opuszczać pokoju w akademiku. Pewnego popołudnia idzie do mieszkania Westa, aby pozmywać stos zapleśniałych naczyń i zabrać go na spacer; zastaje go śpiącego w łóżku. Jego powieki są wypukłe i czyste, jak u świętych na grobowcach; jedną rękę ma za głowę. Wdycha i wydycha powietrze; Tony jest taka wdzięczna, że West nadal, jak na razie, żyje. Jego włosy – nie ścinane od tygodni – są potargane. Gdy tak leży, wygląda smutno, jest opuszczony, bezradny; Tony siada przy nim delikatnie, pochyla się ostrożnie i całuje w czoło.

West nie otwiera oczu, ale otacza ją ramionami.

– Jesteś taka ciepła – szepcze w jej włosy. – Jesteś dla mnie taka dobra.

Nikt wcześniej nie nazwał Tony ciepłą i dobrą. Żaden mężczyzna nigdy nie otoczył jej ramieniem. Jeszcze nie zdążyła się do tego przyzwyczaić, a West zaczyna ją całować. Całuje po całej twarzy. Oczy ma ciągle zamknięte.

– Nie odchodź – szepcze. – Nie ruszaj się.

Tony i tak nie może się ruszyć, ponieważ jest sparaliżowana oczekiwaniem. Przeraza ją własny brak odwagi, a także wielkość ciała Westa teraz, kiedy jest blisko. Widzi pojedyncze włosy na jego brodzie! Zazwyczaj były dla niej za wysoko. Wygląda to tak, jakby przyglądała się mrówkom na głazie, który za chwilę spadnie i ją zmiążdży. Czuje się boleśnie zagrożona.

West działa jednak stopniowo. Zdejmuje jej okulary, rozpina jeden guzik po drugim, jego palce są przy tym jakby ospałe. Później naciąga na nią szorstki koc i wygładza ją, jakby była aksamitną poduszką; chociaż rzeczywiście bolało, jak opisują w książkach, nie było tak, jakby rozszarpały cię dzikie bestie, zważywszy ten cały charkot, jak to było z Zenią; to było raczej jak wpadanie do rzeki, ponieważ ludzie mówią o Weście, że jest jak wielka szklanka wody, a Tony chce się pić, jest wysuszona, błędziła po pustyni przez te wszystkie lata, aż w końcu ktoś naprawdę jej potrzebuje, odkryła wreszcie to, co zawsze chciała wiedzieć: w środku jest większa niż na zewnątrz.

W ten sposób Tony, dumna z siebie, przepełniona radością dawania, wyciąga Westa z pola ostrzału i zabiera za linię frontu, opatruje mu rany i przywraca do zdrowia. Był złamany, ale z biegiem czasu okrzepł. Chociaż nie tak doskonale. Tony jest świadoma tej blizny, która przyjmuje formę umiarkowanego niepokoju: West jest przekonany, że zawiódł Zenię. Myśli, że trafiła gdzieś na śmietnik świata, aby walczyć o przetrwanie (bez skutku), tylko dlatego że on nie był wystarczająco zdolny, wystarczająco dowcipny, albo po prostu jej nie wystarczał. Sądzi, że Zenia potrzebuje jego opieki, Tony musi swoje wątpliwości pozostawić dla siebie. Nieobecni są największymi rywalami. Zeni nie ma tutaj i nie może się bronić, z tego powodu Tony nie może jej zaatakować. Szlachetność wraz z mądrością wiązą jej ręce.

Jesienią West wraca na uniwersytet, na zajęcia, które mu przepadły. Tony chodzi na kurs podyplomowy. Wynajmują małe mieszkanie, jedzą wspólne śniadanka i wspólnie spędzają słodkie noce, Tony jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Czas mija. Oboje dostają pierwszy tytuł naukowy i oboje otrzymują stanowisko asystenta. Po pewnym czasie biorą ślub w ratuszu; przyjęcie weselne jest małe i intelektualne w tonie, chociaż jest na nim Roz, też męzatka. Tłumaczy, że jej mąż Mitch nie mógł przyjść, wyjechał w delegację. Mocno obejmuje Tony i daje w prezencie srebrny aparat telefoniczny. Kiedy wychodzi (wcześniej), koledzy Tony (historycy) i Westa (muzycy) pytają, unosząc ironicznie brwi, kto to do diabła był. Jej obecność dodała Tony otuchy. Chociaż

małżeństwo jej rodziców okazało się katastrofą, sama instytucja musi być możliwa, a nawet normalna, skoro Roz też w to wchodzi.

West i Tony przeprowadzają się do większego mieszkania. West kupuje szpinet, do kompletu z lutnią. Ma teraz garnitur, kilka krawatów i okulary. Tony kupuje młynek do kawy i patelnię, do tego książkę *Radość gotowania*, z której wyszukuje ezoteryczne przepisy. Robi tort orzechowy; kupuje naczynie do fondue z długimi widelcami oraz szpikulce do szaszłyków.

Upływa czas. Tony zastanawia się nad posiadaniem dzieci, ale nie porusza tego tematu, bo West nigdy o tym nie wspominał. Teraz organizuje się marsze pokoju i dziwne nasiadówki na uniwersytecie. West przynosi do domu marihuanę i palą razem; boją się hałasów na ulicy, więc dalej tego nie robią.

Ich miłość jest łagodna i dyskretna. Gdyby miała być rośliną, byłaby paprocią, jasnozieloną, pierzastą, delikatną; gdyby instrumentem, to fletem, a jeśli obrazem, to lilią wodną Moneta, w pastelach, z wodnymi głębiami, refleksami, światłocieniami. „Jesteś moim najlepszym przyjacielem”, mówi West do Tony, odgarniając jej włosy z czoła. „Jestem tobie wiele winien”. Tony wzrusza jego wdzięczność; jest zbyt młoda, żeby coś w tym podejrzewać.

Nigdy nie wspominają o Zeni; Tony – ponieważ uważa, że to zdenerwowałoby Westa; West – bo myśli, że to zdenerwowałoby Tony. Zenia jednakże nie odchodzi. Unosi się w powietrzu, robi się coraz bardziej przezroczysta, ale nadal tu jest, niczym błękitna mgiełka dymu po zgaszeniu papierosa. Tony ją wyczuwa.

Pewnego wieczoru Zenia zjawia się przy ich drzwiach. Puka jak każdy i Tony otwiera, myśląc, że to harcerki sprzedające ciastka albo świadkowie Jehowy. Kiedy widzi Zenię, nie wie, co powiedzieć. Trzyma rożen z kawałkami baraniny, pomidora i zielonej papryki; przez chwilę wyobraża sobie, że wbija ostrze w Zenię, tam gdzie powinno być serce, ale nie robi tego. Stoi jedynie z otwartymi ustami, Zenia uśmiecha się do niej i mówi:

– Tony, kochana, tak trudno było cię znaleźć! – Śmieje się, ukazując białe zęby. Jest teraz szczuplejsza, a nawet bardziej wyrafinowana. Ma na sobie czarną spódniczkę mini, czarny szal z dżetami i długimi jedwabnymi frędzlami, siatkowe pończochy, sznurowane botki do kolan na wysokim obcasie.

– Wejź – mówi Tony, poruszając szpikulcem. Krew z mięsa ścieka na podłogę.

– Kto to? – woła West z salonu, gdzie gra Purcella na szpinecie. Lubi grać, kiedy Tony gotuje; to jeden z ich małych rytuałów.

„Nikt, chce odpowiedzieć Tony. Ktoś pomylił adres. Poszli sobie”. Chce

rzucić się z rękami na Zenię, odepchnąć ją i zatrzaskać drzwi, ale Zenia już przekroczyła próg.

– West! Mój Boże! – mówi, wkraczając do pokoju i wyciągając do niego ramiona. – Jak długo się nie widzieliśmy!

West nie może uwierzyć. Jego oczy za szklami bez oprawek to zaskoczone oczy dziecka, które się oparzyło, zadziwione oczy podróżnika międzygwiazdowego. Nie wstaje, nie rusza się. Zenia ujmuje w dłonie jego twarz zwróconą ku górze i całuje go dwa razy w policzki i trzeci raz w czoło. Frędzle szala pieszcza go, jego usta są na poziomie jej piersi.

– Jak dobrze zobaczyć starych przyjaciół – mówi Zenia, wypuszczając powietrze.

W jakiś sposób zostaje na obiedzie, bo kim są Tony i West, by żywić urazę, a zresztą z jakiego powodu? Czyż to nie ucieczka Zeni sprawiła, że są razem? I czyż nie są zadziwiająco szczęśliwi? Zenia mówi im, że tak. Są jak para dzieciaków, mówi, dzieciaków na długim pikniku, budujących zamki z piasku na plaży. Tacy kochani! Mówi, że patrzy na nich z rozkoszą. Później wzdycha, co znaczy, że życie nie traktowało jej tak dobrze jak ich. Ale cóż, nie miała takiej przewagi jak oni. Żyła na krawędzi, tam gdzie jest ciemno i niebezpiecznie i gdzie panuje niedostatek. Musiała sobie radzić.

Gdzie była? Cóż, w Europie, odpowiada, podkreślając wyższą, głębszą kulturę, i w Stanach, gdzie do gry wchodzi teraz wielu, i na Środkowym Wschodzie. (Falistym ruchem dłoni przywołuje pustynie, palmy daktylowe, mistyczną wiedzę i lepsze szaszłyki, niż kiedykolwiek byłyby w stanie zrobić Tony w swoim małym kanadyjskim piecyku.) Nie wyjawia, co tam robiła. To i owo, mówi. Śmieje się i przyznaje, że ma trudności z koncentracją.

O pieniądzach, z którymi uciekła, przezornie nic nie wspomina, a Tony uważa, że poruszanie tego tematu byłoby drobnomieszczańskie. Za to Zenia mówi – „Och, ta twoja wspaniała lutnia, zawsze ją uwielbiałam” – jakby nie pamiętała, że ukradła mu ten instrument. West wydaje się też o tym nie pamiętać. Na prośbę Zeni gra kilka starych pieśni, chociaż już nie wykonuje muzyki folk, jak twierdzi. Obecnie zajmuje się interkulturowym studium śpiewów polifonicznych.

„Nie pamięta, nie pamięta”. Czy nikt prócz Tony nie pamięta? Widocznie nie, a raczej West nie pamięta, natomiast pamięć Zeni jest wybiórcza. Robi aluzje, napomknienia, przybiera smutną minę: żałuje, to chce powiedzieć, ale poświęciła własne szczęście dla Westa. On potrzebuje domu i ciepła rodzinnego, a nie wiecznego, nieczułego obiężyświata jak Zenia; z Tony jest taka mała, zapracowana żonka – czyż nie tego właśnie mu trzeba? West jest na

swoim miejscu: jak roślina doniczkowa we właściwym oknie, tylko patrzeć, jak zakwitnie!

– Wy dwoje jesteście szczęśliwi – szepcze Zenia do Tony, z żalem w głosie. West nasłuchuje, jakby też to miał na myśli.

– Gdzie się zatrzymałaś? – pyta spokojnie Tony, co ma znaczyć, kiedy wychodzisz.

– Oj, no wiesz – wzrusza ramionami Zenia. – Tu i tam. Żyję z dnia na dzień, a raczej od głodu do uczt. Jak za dawnych czasów, pamiętasz, West? Pamiętasz nasze ucztę? – Je wiedeńską czekoladę z pudełka, które przyniósł do domu West jako niespodziankę dla Tony. Często przynosi jej smakołyki, małe zadośćuczynienia za to, czego nie może jej dać. Zenia zlizuje czekoladę z każdego palca po kolei, przyglądając się Westowi spoza rzęs. – Wyborne – mówi głębokim głosem.

Tony nie może uwierzyć, że West nie widzi tego wszystkiego, nie widzi tego omamiania i prestidigitatorstwa, ale faktycznie nie widzi. Ma bielmo na oczach: dla niego tym bielmem jest nieszczęście Zeni albo jej ciało. Mężczyźni, myśli Tony z goryczą (nową dla siebie), nie potrafią rozróżnić pewnych spraw.

Kilka dni później West wraca do domu później niż zwykle.

– Zabrałem Zenię na piwo – wyjaśnia Tony. Wygląda na mężczyznę, który jest nadzwyczaj szczerzy, chociaż kusi go, aby nie być. – Ona przechodzi teraz ciężki okres. Jest bardzo wrażliwą osobą. Martwię się o nią poważnie.

„Wrażliwa?” Skąd West wziął to słowo? Tony uważa, że Zenia jest tak wrażliwa jak blok cementu, ale nie mówi tego. Mówi coś innego, równie złego.

– Zdaje się, że chce pieniędzy.

West wygląda na urażonego.

– Dlaczego jej nie lubisz? – pyta. – Byłyście takimi dobrymi przyjaciółkami. Ona to zauważyła, wiesz? Martwi się tym.

– Z powodu tego, co ci zrobiła – odpowiada obrażona Tony. – Dlatego jej nie lubię!

West jest zaskoczony.

– Co ona mi zrobiła? – pyta. On naprawdę nie wie.

Po niedługim czasie – około dwóch tygodni – Zenia odzyskuje Westa w taki sam sposób, jak odzyskuje się jakąkolwiek własność, na przykład walizkę pozostawioną w pociągu. Zenia po prostu bierze Westa pod ramię i odchodzi z nim. Naturalnie, dla niego to tak nie wygląda, tylko dla Tony. Dla Westa jest to misja ratownicza, a kimże jest Tony, by odmawiać temu atrakcyjności?

– Bardzo cię podziwiam – mówi do Tony. – Zawsze będziesz moim najlepszym przyjacielem, ale Zenia mnie potrzebuje.

– Do czego? – pyta Tony cicho i wyraźnie.

– Ma tendencje samobójcze – odpowiada West. – Ty jesteś silna, Tony. Zawsze byłaś silna.

– Zenia jest silna jak byk – stwierdza Tony.

– To tylko poza – sprzeciwia się West. – Zawsze o tym wiedziałem. Ona ma głębokie rany. – „Głębokie rany”, myśli Tony. Te słowa mogą należeć wyłącznie do Zeni. West został zahipnotyzowany: to mówi Zenia, z wnętrza jego głowy. – Ona upadnie całkowicie, jeżeli czegoś nie zrobię – kontynuuje West.

„Czegoś”, to znaczy, że West musi zamieszkać z Zenią. Według Westa, to przywróci Zeni choć trochę utraconej pewności siebie. Tony chciałaby wybuchnąć ironicznym śmiechem, ale jak ma to zrobić? West przygląda się jej bacznie, pragnąc, by zrozumiała i wybaczyła mu, pobłogosławiła, jakby nadal panował nad własnym umysłem. Naprawdę stał się zombi.

Siedzą przy kuchennym stole, on trzyma Tony za rękę. Tony wycofuje je i wstaje. Idzie do swojego gabinetu, zamyka drzwi i zanurza się w bitwę pod Waterloo. Po jej zakończeniu zwycięscy żołnierze świętowali, pili całą noc, piekli na ogniu mięso zaszlachtowanych koni, ułożone na metalowych napierśnikach poległych, a ranni leżeli w ciemnościach, jęcząc i krzycząc. Zwycięstwo upaja i czyni otepiałym na cierpienia innych.

Jak świetnie to rozegrała, myśli Tony, jak całkowicie nas zaskoczyła. W wojnie płci, która zupełnie nie przypomina prawdziwej wojny, ale raczej niezrozumiałą bijatykę, podczas której ludzie zmieniają sprzymierzeńców, kiedy tylko zechcą, Zenia była podwójnym agentem. A właściwie nawet nie, bo nie pracowała dla żadnej ze stron. Była tylko po swojej stronie. Możliwe, że jej błazeństwa – Tony jest już na tyle poważna, by uważać je za błazeństwa – były spowodowane niczym innym, jak tylko kaprysem, jej bizantyjskim pojmowaniem przyjemności. Może kłamała i torturowała dla samej zabawy.

Jednakże w pewnym stopniu Tony podziwia Zenię. Pomimo sprzeciwu, trwogi, udręki, jakiej doświadczyła, jakaś częśćka Tony chciała Zenię pocieszyć, nawet zachęcić. Zamienić w sage. Wziąć udział w jej odwadze, pogardzie wobec nieomal wszystkiego, drapieźności i bezprawiu. Było tak jak wtedy, kiedy jej matka zniknęła, jadąc na sankach. „Nie! Nie! Jedź! Jedź!”

Zrozumiała to później. W momencie ucieczki Westa była jak spustoszona. („Spustoszyć”, czasownik, zniszczyć, obrócić w ruinę; termin dość częsty w literaturze wojennej, myśli Tony w piwnicy, przyglądając się piaskowej makiecie i niedobitkom armii Ottona oraz zjadając następny goździk.) Postanowiła nie płakać, postanowiła nie krzyczeć. Wsłuchiwała się w kroki Westa, kiedy chodził po mieszkaniu na palcach, jakby był w szpitalu. Gdy usłyszała, że zamknął za sobą drzwi, rzuciła się i zaryglowała je podwójnie, założyła łańcuch. Poszła do łazienki i zamknęła się w środku. Zdjęła obrączkę (prostą, złotą, bez diamentów) z zamiarem wrzucenia jej do ubikacji, ale położyła ją na półce obok środka dezynfekującego. Osunęła się na podłogę. American Standard – głosił napis na ubikacji. „Dradnats Nacirema”. Bułgarski olejek do ciała.

Po chwili wyszła z łazienki, ponieważ dzwonił telefon. Stała, przyglądała się srebrnemu ślubnemu podarunkowi; ciągle dzwonił. Podniosła słuchawkę i opuściła. Nie chciała z nikim rozmawiać. Poszła do kuchni, ale nie chciała nic jeść.

Kilka godzin później bezwiednie natrafiła na pudełko ze starymi ozdobami choinkowymi, w którym trzymała także niemiecki pistolet ojca. Były nawet kule w metalowej puszcze po tabletkach od kaszlu. Nigdy w życiu nie strzelała, ale

znała teorię.

„Potrzebujesz snu”, powiedziała do siebie. Nie potrafiła znieść myśli o spaniu w swoim zbeczeszczonym łóżku, więc w końcu położyła się w salonie pod szpinetem. Przychodziło jej do głowy, żeby go zniszczyć jakimś narzędziem – tasakiem? – ale postanowiła, że poczeka z tym do rana.

Było południe, kiedy się obudziła. Ktoś walił do drzwi. Chyba West, wrócił, bo czegoś zapomniał. (Z szuflady zniknęła bielizna, starannie poukładane skarpety, prane i składane troskliwie przez Tony. Zabrał walizkę.) Tony podeszła do drzwi.

– Odejdź – powiedziała.

– Kochana, to ja – odezwała się Roz po drugiej stronie. – Otwórz, skarbie, muszę iść do kibla, zaraz zasikam całą podłogę.

Tony nie chciała wpuścić Roz, ponieważ nie chciała wpuścić nikogo, ale nie mogła odmówić przyjaciółce w potrzebie urologicznej. Tak więc zdjęła łańcuch, otworzyła oba zamki i do środka wtoczyła się Roz w pierwszej ciąży.

– Tego mi było potrzeba – powiedziała gniewnie. – Większej tuszy. Hej! Jem za pięciu! – Tony nie zaśmiała się. Roz spojrzała Tony w oczy; objęła ją pulchnymi ramionami. – Och, kochana – rzekła i dodała z nowo odkrytą wiedzą, osobistą i polityczną: – Mężczyźni to świnie!

Tony poczuła ukłucie gniewu. West nie jest świnia. Nawet nie wyglądał jak świnia. Może ostryga. „To nie jest wina Westa, chciała powiedzieć. To jej wina. Kochałam go, ale on nigdy naprawdę mnie nie kochał. Jak by mógł? Przez cały czas był okupowanym terytorium”. Nie mogła jednak tego powiedzieć, bo nie była w stanie wydobyć głosu. Nie mogła oddychać, mogła jedynie wciągać powietrze. Wciągała, wciągała, aż w końcu wydała z siebie dźwięk, zawodzenie, długie i przeciągłe, jak odległa syrena. Wybuchnęła płaczem. „Wybuchnęła”, jak papierowa torba pełna wody. Nie wybuchnęłaby w taki sposób, gdyby nie nagromadziły się w niej łzy, gdyby nie było olbrzymiego i niewyczuwalnego ciśnienia za oczami. Łzy polały się po policzkach; oblizła usta, poczuła sól. W średniowieczu uważano, że płakać nie potrafią ludzie pozbawieni duszy. W takim razie ona miała duszę, ale co to za pociecha.

– Wróci – przekonywała Roz. – Wiem, że wróci. Po co byłby jej potrzebny? Uszczknie z niego kawałek, a potem wyrzuci. – Kołysała Tony w tył i w przód, w tył i w przód; Tony nigdy nie otrzymała tyle od matki.

Roz przeprowadziła się do Tony; pozostała, dopóki Tony nie zaczęła normalnie funkcjonować. Roz miała gospodynię, Mitch znowu wyjechał, więc nie musiała być we własnym domu. Zadzwoiła na uniwersytet, żeby odwołać zajęcia

Tony, tłumacząc ją chorym gardłem. Zamówiła jedzenie i nakarmiła Tony rosołem z puszki, budyniem karmelowym, kanapkami z masłem orzechowym, bananami i sokiem grejpfrutowym: jak dziecko. Kazała jej często brać kąpiel, puszczała uspokajającą muzykę i opowiadała żarty. Chciała przenieść Tony do swej rezydencji w Rosedale, ale Tony nie chciała opuszczać mieszkania nawet na sekundę. A gdyby wrócił West? Nie wiedziała, co by się stało, gdyby wrócił, ale wiedziała, że musi tu być. Potrzebowała możliwości wyboru: albo zatrzaska mu drzwi przed nosem, albo rzuci się w ramiona. Nie chciała jednak wybierać. Chciała zrobić obie te rzeczy.

– Dzwonił do ciebie, prawda? – zapytała Tony po kilku dniach, kiedy czuła się mniej paskudnie.

– Tak – przyznała Roz. – Wiesz, co powiedział? Że martwi się o ciebie. Miłe.

Tony nie uważała tego za miłe. Myślała, że Zenia go do tego nakłoniła. Przykładając nóż.

Roz namówiła Tony, aby sprzedała mieszkanie i kupiła dom.

– Ceny są teraz wspaniałe! Masz spłatę – zrealizuj parę obligacji. Pomyśl o tym jak o inwestycji. W każdym razie powinnaś się stąd wyprowadzić. Komu są potrzebne złe wspomnienia? – Znalazła dla Tony dobrego pośrednika, wozila ją od domu do domu, wspinała się, zdyszana, po schodach, sprawdzając piec, instalacje. – Weź to... to dobry interes – szepnęła do Tony. – Zaczynj nisko, zobaczysz, co powiedzą! Parę napraw i będzie wyśmienity! Twój gabinet będzie w wieży, wywal tę sztuczną boazerię, zerwij linoleum – pod spodem jest klon, sprawdziłam. To ukryty skarb, zaufaj mi. Jak tylko wyprowadzisz się ze starego mieszkania, wszystko obróci się na lepsze. – Więcej miała radości z kupowania tego domu niż Tony. Znalazła dla niej przyzwoitego wykonawcę, podyktowała kolory farby. Nawet będąc w najlepszej formie, Tony nie byłaby w stanie samodzielnie tego wszystkiego załatwić.

Kiedy Tony się przeprowadziła, rzeczywiście, zaczęło dziać się lepiej. Lubiła ten dom, chociaż nie z powodów, które pochwalała Roz. Roz chciała, aby nowy dom stał się dla Tony ośrodkiem nowego, otwartego życia, jakie sobie dla Tony wyobrażała; Tony jednak mieszkała w nim nieomal jak w klasztorze, klasztorze dla jednej osoby. Nie należała do świata dorosłych, do świata olbrzymów. Zamknęła się w nowym domu jak zakonnica i wychodziła jedynie na zakupy.

Wychodziła, oczywiście, również do pracy. Pracowała dużo. Na uczelni i w domu; nocami i w niedziele. Koledzy spoglądali na nią litościwie; ponieważ plotki rozprzestrzeniają się po uniwersytetach niczym grypa, wszyscy wiedzieli

o Weście. Jej to jednak nie obchodziło. Zarzuciła regularne posiłki; żyła serem i krakersami. Zleciła centrali odbieranie telefonów, aby jej nie przeszkadzano, gdy myślała. Nie otwierała nikomu drzwi. Nikt do nich nie dzwonił.

Tony w swoim pokoju w wieży pracuje do późna w nocy. Chce uniknąć łóżka, spania, a szczególnie snów. Miewa powtarzający się sen; ma uczucie, że ten sen czeka na nią od dawna, aż ona w niego wejdzie, wejdzie na nowo; a może czeka, aby to on w nią wszedł.

W tym śnie znajduje się pod wodą. Na jawie Tony nie pływa. Nigdy nie lubiła się zanurzać, marznąć i być mokra. Ufa, co najwyżej, wannie, a z zasady woli prysznic. We śnie jednak pływa bez wysiłku, w wodzie zielonej jak liście migoczące w promieniach słońca. Z ust nie wylatują bąbelki; nie jest świadoma oddychania. Pod nią umykają ławice kolorowych ryb, czmychają jak ptaki.

Nagle znajduje się na krawędzi, nad przepaścią. Leci w dół, jakby zjeżdżała ze zbocza, zsuwa się ukośnie w coraz większą ciemność. Ryby są większe i niebezpieczniejsze, jaśniejsze – fosforyzujące. Zapalają się i gasną, błyskają jak neony, połyskują ich zęby i oczy – błękitne jak płomień gazu, żółte jak siarka, czerwone jak rozżarzone węgle. Uświadamia sobie, że nie znajduje się w morzu, ale, zminiaturyzowana, we własnym mózgu. Oto jej neutrony, trzask elektryczności, gdy dotyka ich myślą. Patrzy z zainteresowaniem na jarzące się ryby: obserwuje elektrochemiczny proces własnego snu!

W takim razie czym jest na tym przyćmionym poziomie biały piasek? To nie zwój nerwowy. Ktoś od niej odchodzi. Pływie szybciej, ale to na nic, coś przytrzyma ją w miejscu; jest złotą rybką w akwarium, uderzającą o szybę. „Ezswaz an”, słyszy. Język wspak ze snu. Otwiera usta, by zawołać, ale nie ma powietrza, które niosłoby dźwięk, wlewa się woda. Budzi się, dławiąc i dusząc, ze ściśniętym gardłem, z twarzą zlaną łzami.

Kiedy zaczyna płakać, nie może przestać. Za dnia, w świetle lampy, kiedy może pracować, potrafi ten płacz ukryć i zamknąć, ale sen jest fatalny. Fatalny i nieunikniony.

Zdejmuje okulary i przeciera oczy. Z ulicy jej pokój musi wyglądać jak latarnia, jak światło dla podróżnych. Ciepły, radosny i bezpieczny. Wieże wykorzystuje się również w inny sposób. Mogłaby wylać z lewego okna wrzący olej, śmiertelnie razić kogokolwiek stojącego przy drzwiach frontowych.

Kogoś takiego jak West lub Zenia, Zenia i West. Za dużo o nich myśli, o nich i o ich splecionych ciałach. Lepsze byłoby działanie. Zastanawia się nad

pójściem do ich mieszkania (wie, gdzie mieszkają, nietrudno było się dowiedzieć, West widnieje w wykazie telefonów na uczelni) i zmierzeniem się z Zenią. Ale co miałyby powiedzieć? „Oddaj go?” Zenia by ją wyśmiała. „On jest wolny, powiedziałyby, dorosły, może robić, co chce” – lub coś w tym rodzaju. A gdyby miała zjawić się na progu Zeni, zawodzić, błagać i prosić, czyż nie tego chciałyby Zenia?

Przypomina sobie jedną z wcześniejszych rozmów z Zenią, na początku, kiedy jeszcze piły razem kawę u Christie, a Zenia była jej przyjaciółką.

– Czego oczekujesz od innych ludzi – pytała Zenia. – Miłości, szacunku czy strachu?

– Szacunku – odparła Tony. – Nie. Miłości.

– Ja nie – powiedziała Zenia. – Ja wybrałabym strach.

– Dlaczego? – zapytała Tony.

– Jest skuteczny – odpowiedziała Zenia. – To jedyna rzecz, która działa.

Tony pamięta, że ta odpowiedź wywarła na niej wrażenie. Zenia nie ze strachu jednak ukradła Westa. To nie był pokaz siły. Wręcz przeciwnie, był to pokaz słabości. Ostateczny oręż.

Zawsze mogła sięgnąć po broń.

Dłużej niż rok West nie odezwał się ani słowem; nie było żadnych napomnień – na przykład – o prawnikach czy rozwodzie, a nawet żadnych roszczeń co do szpinetu lub lutni, które Tony uwięziła w salonie. Tony wiedziała, dlaczego West milczy. Czuł się paskudnie po tym, co zrobił, a raczej po tym, co jemu zrobiono. Czuł się zawstydzony.

Po pewnym czasie zaczął przysyłać nieśmiałe wiadomości przez biuro usług centrali telefonicznej, proponując wspólne wypicie piwa. Tony nie odpowiadała nie dlatego, że była na niego zła – nie byłaby zła na niego, gdyby wpadł pod ciężarówkę, a uwiedzenie przez Zenię traktowała podobnie – ale dlatego że nie wyobrażała sobie ich wspólnej rozmowy. „Jak się masz?”, „Świetnie” – nie wystarczyłoby. Dlatego kiedy wreszcie pojawił się pod jej drzwiami, pod drzwiami jej nowego domu, drzwiami jej klasztoru, po prostu patrzyła na niego.

– Wpuścisz mnie? – zapytał West. Tony od razu wiedziała, że między Zenią a Westem wszystko skończone. Widziała to po odcieniu jego skóry, lekko zielonkawoszarym, oraz zwieszonych ramionach i opuszczonych kącikach ust. Został zwolniony, wyrzucony, wydalony. Dostało mu się.

Wyglądał tak żałośnie, był taki rozdarty – jak zdjęty z krzyża, jakby wszystkie kości miał odłączone jedna od drugiej, a została tylko anatomiczna galareta – więc oczywiście wpuściła. Do swojego domu, do swojej kuchni,

gdzie zrobiła mu coś ciepłego do picia, i natychmiast do swojego łóżka, gdzie wczepił się w nią, drżący. Nie było w tym nic z seksu, był to uścisk tonącego. Tony jednak nie musiała się obawiać, że pociągnie ją za sobą. Czuła się, jeżeli w ogóle coś czuła, dziwnie sucha; dziwnie oddalona od niego. Mógł tonąć, ale tym razem ona stała na plaży. Gorzej; z lornetką.

Znowu zaczęła gotować obiady, jajka na śniadanie. Pamiętała, jak trzeba się o niego troszczyć, jak przywrócić mu kształt, więc robiła to na nowo. Tym razem jednak bez iluzji. Nadal go kochała, ale nie wierzyła, by kiedykolwiek mógł odwzajemnić się taką samą miłością. Jakżeby mógł po tym, co przeszedł? Czy człowiek z jedną nogą może stepować?

Nie mogła mu też zaufać. Mógł wydostać się z depresji, mówić jej, jaka jest dla niego dobra, przynosić na kolację smakołyki, powrócić do starych zwyczajów, gdyby jednak Zenia wróciła skądkolwiek, dokąd odeszła – teraz chyba nawet West nie wiedział dokąd – wszystkie te czułe odruchy nic by nie znaczyły. On był jedynie pożyczką. Zenia była jego nałogiem; wystarczy jeden haust i West znowu odejdzie. Będzie jak pies wezwany ultradźwiękowym gwizdkiem, niesłyszalnym dla ludzkich uszu. Pobiegnie do niej.

Tony nigdy nie wspominała Zeni; mówienie o niej byłoby przywoływaniem. Kiedy Zenia umarła, kiedy wyleciała w powietrze, a potem została bezpiecznie zamknięta w urnie i złożona pod morwą, Tony nie musiała już bać się dzwonka u drzwi. Zenia nie stanowiła już zagrożenia, nie w postaci cielesnej. Była przypiskiem u dołu strony. Była historią.

Teraz Zenia wróciła i pragnie krwi. Nie krwi Westa; West jest jedynie instrumentem. Krew, którą Zenia chce pić, należy do Tony, ponieważ jej nienawidzi, zawsze jej nienawidziła. Tony widziała tę nienawiść w jej oczach dzisiaj w „Toxique”. Nie ma racjonalnego wytłumaczenia dla takiej nienawiści, ale to nie dziwi Tony. Zna ją od dawna. To złość jej nie narodzonej bliźniaczki.

Tak przynajmniej uważa Tony, usuwając resztki armii Ottona II za pomocą szczypiec i ustawiając Saracenów na nowo zdobytym terytorium. Flaga islamu powiewa nad pokrytymi trupami plażami Italii, podczas gdy sam Otton ucieka przez morze. Jego klęska zachęci słowiańskich Wendów do nowych grabieży i plądrowania Niemiec; zachęci do powstań, rebelii, powrotu do starych kanibalskich bożków. Przemoc, odwet, chaos. Otton traci panowanie.

Jak mógł wygrać tę bitwę? Trudno powiedzieć. Unikając nieostrożności? Wabiąc najpierw wroga, by ocenić jego siły? Siła i przebiegłość są konieczne, ale jedna bez drugiej nic nie znaczy.

Sama Tony, pozbawiona siły, będzie musiała polegać na przebiegłości. Aby

pokonać Zenię, będzie musiała stać się Zenią choć w takim stopniu, by przewidzieć jej następny ruch. Gdyby wiedziała, czego Zenia chce, zadanie byłoby łatwiejsze.

Tony gasi światło w piwnicy i wchodzi po schodach do kuchni, gdzie nalewa sobie szklankę wody z pojemnika ze źródlaną wodą, podrzuconego jej przez Charis. (Tak samo pełna zanieczyszczeń jak wszystko inne, dobrze wie, ale przynajmniej nie ma w niej chloru. „Eau de basen pływacki”, tak Roz nazywa wodę w kranach Toronto.) Otwiera tylne drzwi i wymyka się na dwór, do ogrodu suchych ostów, pni i zaniedbanych krzewów, do ogrodu myszy. Często gośćmi są tu też szopy; wiewiórki robią w gałęziach niedbałe gniazda. Kiedyś mieli tutaj skunksa; polował na pędraki, turlał resztki torfu, jakie zostały w ogrodzie. Kiedy indziej była wiewiórka ziemna, cudownie ocalała pomimo grasującej w sąsiedztwie zgrai kotów.

To odświeża Tony, kiedy może od czasu do czasu wymknąć się w nocy. Lubi nie spać, gdy inni pogrążeni są we śnie. Lubi zajmować ciemną przestrzeń. Może zobaczy rzeczy, których inni ludzie zobaczyć nie mogą, może będzie świadkiem nocnych zająć, zdobędzie cenne doświadczenie. Jako dziecko też tak myślała, chodząc po domu na palcach, słuchając pod drzwiami. Wtedy też to się nie sprawdzało.

Z tego punktu obserwacyjnego ma nowy widok na własny dom: widok na skradający się oddział wroga. Zastanawia się, jak by wyglądał dom, gdyby ona sama lub ktoś inny go wysadził. Pracownia, sypialnia, kuchnia, hol zawieszony w ognistym powietrzu. Faktycznie jej dom nie stanowi dla niej żadnej ochrony. Domy są zbyt kruche.

Zapala się światło w kuchni, otwierają się drzwi. To West, oświetlona od tyłu tyczkowata postać o niewyraźnej twarzy.

– Tony? – woła niespokojnie. – Jesteś tam?

Tony delektuje się nieco jego niepokojem. Prawdę mówiąc, uwielbia go, ale nie istnieje coś takiego, jak jednorodny powód. Czeką przez chwilę, nasłuchuje, w zachwaszczonym ogrodzie, w blasku księżyca, stapia się z połyskującymi srebrno cieniami drzew. Czy jest niewidzialna? Spodnie piżamy Westa są za krótkie, tak samo rękawy; sprawiają, że wygląda na zaniedbanego, trochę jak Frankenstein. Jednakże kto mógł dbać o niego – przez te wszystkie lata oprócz dopasowywania piżam – lepiej niż Tony? Gdyby robiła to niechętnie, słusznie mogłaby czuć żal. Czy stąd właśnie bierze się żal? „Oddałam ci najlepsze lata mojego życia!” Za podarunek nie oczekuje się jednak zapłaty. Zresztą komu innemu miałyby oddać te lata?

– Jestem tutaj – odzywa się, West wychodzi na zewnątrz po stopniach werandy. Ma kapcie na nogach, zauważa to z ulgą, ale nie włożył szlafroka.

– Nie było cię – mówi West, pochylając się nad nią i przyglądając się jej. – Nie mogłem spać.

– Ja też nie – odpowiada Tony. – Poszłam popracować, a potem zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Myślę, że nie powinnaś spacerować tu nocą – mówi West. – To niebezpieczne.

– To nie spacer – odpowiada rozbawiona. – To nasz ogród.

– Mogą być jacyś bandyci – tłumaczy.

Tony bierze go pod rękę. Pod cienkim materiałem, pod mięśniami, w środku ręki czuje, że formuje się inna ręka: ręka starego człowieka. W świetle księżyca jego oczy połyskują mleczną bielą. Błękitne oczy, jak kiedyś czytała, nie są pierwotnym kolorem ludzkich oczu; prawdopodobnie wykształciły się na skutek mutacji i dlatego są bardziej podatne na kataraktę. Nagle w jej głowie powstaje obraz Westa dziesięć lat starszego i niewidomego, z czułością prowadzi go za rękę. Tresuje psa przewodnika, przygotowuje taśmotekę z nagranyimi książkami, kolekcję elektronicznych szumów. Cóż by bez niej poczęła?

– Chodź do domu – mówi Tony. – Przeziębisz się.

– Coś się stało? – pyta West.

– Nic a nic – kłamie gładko. – Zrobię nam gorące mleko.

– Dobrze. Możemy dodać trochę rumu. Popatrz na księżyc! Ktoś tam grał w golfa, na górze.

Jest taki zwyczajny, taki wypieszczony, tak dobrze jej znany, jak zapach własnej ręki, jak smak własnych palców. Chciałaby zawiesić na nim tabliczkę, metalową – jak na butelce z trunkiem – albo plastikową – jak na zjeździe naukowym: „Antawyrp ćsonsałw”. Przytula go, stając na palcach, obejmuje rękami, jak tylko potrafi. Nie jest w stanie objąć go całego.

Jak długo może go chronić? Jak długo, nim Zenia spadnie na nich, z obnażonymi siekaczami i rozczapierzonymi pazurami, z upiornymi włosami, domagając się tego, co jej się słusznie należy?

Noce łascy

Charis podąża za Zenią i mężczyzną, który nie jest Billym. Idzie ulicą Queen, w pewnej odległości, wymijając przechodniów, czasem na nich wpadając. Wpada na nich, ponieważ czuje, że jeżeli spuści oczy z Zeni, nawet na ułamek sekundy, Zenia zniknie – nie jak bańka mydlana, ale jak postać z filmu rysunkowego dla dzieci, zamieni się w wiązkę kropek i kresek, aby przenieść się w inne miejsce. Gdyby człowiek wiedział wystarczająco dużo o materii, mógłby przenikać ściany, a może Zenia właśnie to wie; jednakże wszelką wiedzę tego rodzaju musiała zdobyć w złowieszczy sposób: krew koguta i jedzenie żywych zwierząt, zbieranie ludzkich paznokci u nóg, wbijanie szpilek, sprawianie komuś bólu.

Zenia musi czuć na karku spojrzenie Charis o intensywności i mocy lasera, ponieważ w pewnym momencie odwraca się i patrzy; Charis umyka za latarnię, nieomal rozbijając sobie głowę. Kiedy dochodzi do siebie po jasnoczerwonym uczuciu w głowie („To nie boli, to kolor”) i nabiera odwagi, by spojrzeć, Zenia i mężczyzna zatrzymują się i rozmawiają.

Charis przybliżyła się, lawirując; zostawia za sobą wrogie spojrzenia i mrukiwe komentarze, uśmiecha się lekko do tych, którzy z postrzępionymi rękawami, wyciągniętymi dłońmi i twarzami opuchniętymi od jedzenia dużych ilości rafinowanego cukru, proszą ją o pieniądze na posiłek. Charis nie ma drobnych, bo zostawiła napiwek w „Kafay Nwar”; w ogóle nie ma za dużo pieniędzy, ale i tak więcej niż miało jej zostać po lunchu, ponieważ Roz obliczała rachunek, a jej kalkulacje zawsze kończą się tak samo: Charis płaci mniej, niż – jak sama podejrzewa – powinna. W każdym razie Charis nie uznaje dawania pieniędzy żebrakom; uważa, że pieniądze, jak słodycze, szkodzą ludziom. Dałaby im trochę marchewki z własnego ogrodu, gdyby mogła.

Udaje się jej dotrzeć do dobrego punktu obserwacyjnego za stoiskiem z hot-dogami, z jaskrawożółtym parasolem; przyczaja się tam mimo odrażającego zapachu (świńskie wnętrzności!) i niedozwolonych puszek z oranżadą (sama chemia!), ustawionych rzędem obok musztardy i sosu (czysta sól!). Sprzedawca pyta, na co miałaby dzisiaj ochotę, ale ona go nie słyszy; jest zbyt pochłonięta Zenią. Mężczyzna towarzyszący Zeni odwraca się ku Charis. Charis podskakuje jak oparzona, rozpoznaje go: to Larry, syn Roz.

Charis zawsze jest zaskoczona, kiedy widzi, jak dzieci Roz wyrosły, mimo że

sama patrzyła, jak dorastają. Trudno jednak uwierzyć, że są dorosłe. Tak samo jest wtedy, gdy Charis wchodzi do pokoju Augusty, spodziewając się, że zastanie ją na podłodze, bawiącą się w dom z Barbie – tej lalki Charis nie pochwałała, ale była zbyt słaba, aby jej zabronić – tymczasem jej córka siedzi w fotelu, ubrana w kostium, szpilki, i maluje paznokcie. „Och, August!, chce powiedzieć, gdzie się tak poprzebierałaś?” Ona jednak ubiera się tak na co dzień. Naprawdę można się załamać, widząc własną córkę chodzącą w rzeczach, które mogłyby należeć do twojej matki.

Oto Larry, w dżinsach i zamszowej kurtce, pochyla głowę ku Zeni, jedną rękę oparł jej na ramieniu.

Mały Larry! Poważny, mały Larry, który wydymał usteczka i marszczył brewki, gdy siostry zaśmiewały się, szczypały go po rękach i chwaliły się smarkami zwisającymi im z nosa. Charis zawsze była niespokojna o Larry’ego, a raczej o jego sztywność. Zawsze wierzyła, że dobry masażyście może uczynić cuda. Jednakże Larry musiał się znacznie wyluzować, skoro chodzi na lunch do „Toxique”.

Tylko co on robi z Zenią? Co robi z Zenią w tej chwili? Pochyla głowę, Zenia wysuwa twarz niczym mackę, całują się! Przynajmniej tak to wygląda.

– Miła pani, chce pani hot-doga czy nie? – pyta sprzedawca.

– Co? – dziwi się Charis.

– Co za głupia baba, spływaj – mówi sprzedawca – Wracaj do śmietnika. Straszysz klientów.

Gdyby Roz była na miejscu Charis, odpowiedziałaby: „Jakich klientów?” Ale gdyby teraz była tu Roz, byłaby w głębokim szoku. Zenia i Larry! Ona jest dwa razy od niego starsza!, myśli w Charis ta jej częśćka, która się ostała z czasów, gdy wiek w stosunkach damsko-męskich miał znaczenie. Obecna Charis podpowiada jej, aby nie wydawała sądów. Dlaczego kobiety nie miałyby robić tego, co mężczyźni robią od wieków, to znaczy okradać kołyski. Nie chodzi o wiek. Nie chodzi o wiek Zeni, ale o samą Zenię. Larry równie dobrze mógłby pić płyn do czyszczenia zlewozmywaków.

Podczas gdy Charis ma tak niedobre myśli, Zenia schodzi na bok i znika w taksówce. Larry wsiada za nią – więc nie był to pocałunek na pożegnanie – i taksówkę wciąga sznur pojazdów. Charis dygocze. Co powinna teraz zrobić? Impuls każe jej zadzwonić do Roz – Roz! Roz! Na pomoc! Przyjdź szybko! – ale to by nic nie pomogło, ponieważ nie wie, dokąd jedzie Zenia z Larrym; nawet gdyby wiedziała, to co? Co miałyby zrobić Roz? Wpaść do ich pokoju w hotelu i krzyknąć: „Puść mojego syna!” Larry ma dwadzieścia dwa lata, jest dorosły. Sam podejmuje decyzje.

Charis zauważyła inną taksówkę i wbiega na jezdnię, wymachując rękami. Samochód staje tuż przed nią z piskiem opon. Charis obiega go dookoła, otwiera drzwi i pakuje się do środka.

– Dziękuję – dyszy do kierowcy.

– Niech się pani cieszy, że żyje – odpowiada kierowca, którego akcentu Charis nie potrafi zidentyfikować. – Co mogę dla pani zrobić?

– Niech pan jedzie za tamtą taksówką – mówi Charis.

– Jaką taksówką? – pyta kierowca. Tak to się kończy; co gorsza, Charis uważa, że powinna mu zapłacić trzy dolary, ponieważ wsiadła do taksówki, ma jednak przy sobie tylko banknot pięciodolarowy i dziesięciocentówkę, a kierowca nie ma wydać. Charis nie chce prosić sprzedawcy hot-dogów, zwłaszcza po tym, jak ją nazwał, więc kończy się na tym, że kierowca mówi: Czas to pieniądz, proszę pani, niech mi pani zrobi przysługę i zapomni o tym wszystkim. – Wszędzie dookoła pojawiają się złe wibracje.

Na szczęście Queen Street znów jest rozkopana i taksówka Zeni grzęźnie w korku. Charis, podbiegając trochę, znajduje inną, tylko dwa samochody za Zenią, rzuca się do środka i obie taksówki powoli przedzierają się przez centrum miasta. Zenia i Larry wysiadają przy Arnold Garden Hotel, Charis też. Widzi, że odzwierny w liberii kłania się im, widzi, jak Larry chwytą Zenię za łokieć, widzi, jak przechodzą przez mosiężno-szklane drzwi. Ona sama nigdy przez takie drzwi nie przechodziła. Zawsze, gdy widzi markizę, czuje się onieśmielona.

Kiedy stara się pomyśleć, co robić dalej, goniec na rowerze zaczyna na nią krzyczeć bez powodu: „O Jezus, uważaj pani, cholera!” To znak: na dzisiaj wystarczy.

Idzie na przystań, jakby pchana wiatrem. Przebywanie w mieście jest takie dokuczliwe, jak taniec na papierze ściernym, jak piasek, którym wiatr dmucha w twarz. Chociaż sama nie wie dlaczego, nie lubi, kiedy mówi się do niej „pani”, nawet bardziej niż kiedy ją nazywają „głupią babą”. Dlaczego się tak obraża na to słowo? („Słuchaj, odzywa się rozbawiony i lekko pogardliwy głos Shanity, jeżeli tylko tak ludzie cię nazywają!”)

Czuje się zbита z tropu, niedorzeczna i trochę przestraszona. Co ma zrobić z tym, czego się dowiedziała? Co ma robić dalej? Nasłuchuje, ale jej ciało nic nie podpowiada, chociaż to właśnie ono wciągnęło ją w to podstępne pragnienie kofeiny, uderzeniem adrenaliny, swoją megalomanią. Czasami – i teraz właśnie jest taka pora – posiadanie ciała jest uciążliwe. Chociaż traktuje swoje ciało z zainteresowaniem i rozwagą, zwraca uwagę na jego zachcianki, wciera w nie

olejki i balsamy, karmi je wybranymi składnikami odżywczymi, to ono nie zawsze jej się odpląca. W tym momencie, na przykład, bolą ją plecy, a gdzieś poniżej pępka zbiera się zimna, ciemna kałuża, złowieszcza kałuża brązowozielonego septycznego kwasu. Ciało może jest domem dla duszy i ścieżką dla ducha, ale jest też perwersją, głupim uporem, złośliwym zakażeniem świata materialnego. Posiadanie ciała, przebywanie w nim, jest jak przywiązanie do chorego kota.

Stoi na promie, opiera się o barierkę; odwraca się obserwując, jak kilwater wznosi się i opada w wiecznie zatrutym jeziorze, ukazuje się i znika za jednym razem. Światło połyskuje na powierzchni wody, już nie białe, ale żółknące; zbliża się wieczór, odchodzi słońce; dzień odchodzi tam, dokąd odeszły wszystkie inne dni, i jak każdy z nich, coś z sobą zabiera. Ona nigdy nie dostanie z powrotem żadnego z tych dni, nawet tych, które powinna była dostać, dni z Billym. To Zenia uciekła z tymi dniami. Ona je odebrała Charis i Charis nie może sobie nawet popatrzeć na nie z czułością. To tak, jakby Zenia zakradła się do jej domu, pod jej nieobecność, i wyrwała zdjęcia z albumu, z albumu, którego Charis nie posiada, chyba że w głowie. Wyrwała i zagarnęła. Zenia ukradła jej przeszłość i przyszłość. Czy nie mogła trochę poczekać? Choćby miesiąc, tydzień, tylko trochę?

W świecie ducha (do którego właśnie weszła, ponieważ prom, z usypiającym motorem i łagodnym falowaniem, ma na nią taki wpływ) astralne ciało Charis pada na kolana, wznosząc błagalnie ręce ku astralnemu ciału Zeni, które płonie czerwono, czerwoną koroną płomieni dookoła jej głowy, płomieni podobnych do ostro zakończonych liści albo staromodnych obsadek do pióra, pustych w środku. „Więcej czasu, więcej czasu, błaga Charis. Oddaj, co zabrałaś!”

Zenia odwraca się.

Historia Charis i Zeni zaczęła się w środę pierwszego tygodnia listopada, w pierwszym roku lat siedemdziesiątych. „Siedemdziesiąt”. Obie części tej liczby Charis uważa za ważne, siedem i zero. Zero zawsze oznacza początek, a zarazem koniec czegoś, ponieważ jest omegą – okrągłym, skończonym O, wejściem lub wyjściem z tunelu, końcem, który jest także początkiem, bo chociaż tamten rok był początkiem końca Billy’ego, był również rokiem, w którym zaczęła istnieć jej córka August. Siódemka jest liczbą pierwszą, złożoną z czwórki i trójki albo dwóch trójek i jedynki – co Charis woli, gdyż trójki są wdzięcznymi piramidami, a także liczbami Bogini, czwórki natomiast, to zaledwie kwadraty, jak pudełka.

Wie, że to była środa, ponieważ w środy jeździła do miasta zarobić trochę pieniędzy, ucząc jogi. Podobnie było też w piątki, tylko że wtedy zostawała jeszcze dłużej, by na ochotnika pomóc w Furrows Food Co-op. Wie, że był to listopad, ponieważ listopad jest jedenastym miesiącem, miesiącem zmarłych, a także miesiącem regeneracji. Znak zodiaku Skorpion, pod wpływem Marsa, kolor – głęboka czerwień. Seks, śmierć i wojna. Synchronizacja.

Dzień zaczyna się mgłą. Charis widzi mgłę, gdy wstaje z łóżka, a raczej podnosi się, ponieważ łóżko to materac na podłodze. Podchodzi do okna, aby wyrzeć. Do szyby przyklejona jest miniaturowa, przezroczysta tęcza, ale to nie Charis ją tam umieściła; pozostała po poprzednich lokatorach, grupie hippisów-niedobitków, którzy poza tym na wyblakłej tapecie w kwiaty rysowali pisakiem obrazki nagich, kopulujących ludzi i kotów w aureoli, grali Doorsów i Janis Joplin na cały regulator w środku nocy, a na podwórku zostawili sterty ludzkiego gówna. W końcu – po głośnej narkomańskiej imprezie, w czasie której jeden z nich podpalił plastikowy puf, mając wrażenie, że to drapieżna purchawka – właściciel przy pomocy sąsiadów wyrzucił ich z domu. Właściciel – starszy człowiek, mieszkający na drugim końcu ulicy – z radością powitał Charis i Billy’ego, ponieważ było ich tylko dwoje i nie mieli wzmacniaczy, a także dlatego, że Charis chciała zagospodarować ogród, co oznaczało, że są przyzwoitym stadłem. Sąsiedzi byli tak wdzięczni za tę odmianę, że nawet nie mówili o kurczakach, których hodowla jest, być może, niezgodna z prawem,

ale na Wyspie żadne surowe prawo nie stanowi normy, wystarczy popatrzeć, ile jest dobudówek postawionych bez zgody władz. Na szczęście Charis i Billy mają narożnikową działkę, więc sąsiedzi są tylko z jednej strony.

Charis zamalowała nagusów i koty, zakopała ludzkie gówna w kompoście, mówiąc sobie, że postępuje właściwie, ponieważ Chińczycy też tak kiedyś robili w Chinach, a wszyscy uważali ich za najlepszych na świecie ogrodników organicznych. Od gówna przez jedzenie do gówna, wszystko należy do cyklu.

Wprowadzili się do domu późną wiosną, od samego początku Charis wiedziała, że dobrze postępuje. Kocha ten dom, a nawet więcej, kocha Wyspę. Jest przepełniona rozedrganym, wszechobecnym, wilgotnym życiem; Charis czuje, że wszystko – nawet woda, nawet kamienie – żyje i ma świadomość i ona przy tym też. Niekiedy rano, tuż przed świtem, wychodzi i spaceruje ulicami, które właściwie nie są prawdziwymi ulicami, ale raczej wybrukowanymi ścieżkami rowerowymi; mijają rozwalające się lub otoczone świerkami niegdysiejsze wiejskie chaty ze stertami drewna pod ścianami, hamakami i rabatami. Kiedy indziej kładzie się na trawie, nawet mokrej. Billy też lubi Wyspę, przynajmniej tak mówi, ale nie do tego stopnia co ona.

Z ziemi i krzewów unosi się mgła, opada ze starej jabłoni za domem. Jeszcze wisi na niej kilka brązowych, pomarszczonych przez mróz jabłek, które na poskręcanych gałęziach wyglądają jak nadpalone bombki choinkowe. Jabłka, których Charis nie zdążyła przerobić na galaretkę, leżą na ziemi i fermentują pod jabłonią. Podziobały je kurczaki; Charis poznaje to po tym, jak się zataczają; są tak pijane, że z trudem wchodzą po rampie do kurnika. Bill zachwyca się tymi pijanymi kurami.

Szerokie, pomalowane deski podłogi pod bosymi stopami są zimne; Charis wtula głowę w ramiona pokryte gęsią skórką, trzęsie się trochę. Nie widzi stąd jeziora, zamazuje je mgła. Stara się dostrzec piękno we mgle – wszystko stworzone przez naturę powinno być piękne – ale udaje jej się tylko połowicznie. Mgła jest piękna, to prawda, jest jak cielesne światło, ale jednocześnie złowroga: we mgle nie widzisz, co się zbliża.

Zostawia Billy'ego śpiącego na materacu, pod rozpiętym śpiworem, wkłada haftowane indiańskie kapcie i naciąga na bawełnianą koszulę nocną jedną z grubych bluz Billy'ego. Koszula jest uszyta na modłę wiktoriańską; kupiła ją w sklepie z używaną odzieżą przy Kensington Market. Byłoby taniej szyć takie koszule, więc kupiła wzór i materiał na dwie, ale coś się popsło w maszynie do szycia – starym modelu z pedałem, który dostała za parę lekcji jogi – i żadnej na razie nie uszyła. Ma zamiar sprawić sobie też warsztat tkacki.

Wychodzi na palcach z łazienki, mija wąski korytarz i schodzi na dół. Kiedy przeprowadziła się tu z Billym, sześć miesięcy temu, na deskach leżało kilka warstw zużytego linoleum. Charis zdarła linoleum, powyciągała gwoździe, które je przytrzymały, zdrapała plamy ciemnego kleju i pomalowała deski w holu na niebiesko. Gdy była w połowie schodów, farba się skończyła; nie dokupiła jeszcze farby, więc dolne stopnie noszą ślady po starej wykładzinie. Nie przeszkadzają jej te ślady; są jak sygnały pozostawione przez poprzednich mieszkańców, sprzed wielu lat. Zostawiła je nietknięte. To tak, jakby pozostawić w ogrodzie dziką kępę. Wie, że dzieli tę przestrzeń z innymi istnieniami, nawet jeżeli nie można ich zobaczyć czy usłyszeć, to wystarczy, by okazać im przyjazne nastawienie albo szacunek. Chodzi jej o szacunek, ponieważ nie chce się z nimi zbyt spoufalać. Chce, aby i oni ją szanowali.

Idzie do kuchni, gdzie panuje przejmujące zimno. W domu jest piec, obok bojlera do wody, w wilgotnej przybudówce z klepiskiem – w piwnicy, jak mówi Charis; trzyma tam korzenie, marchew i buraki, zakopane w skrzynce z piaskiem, tak jak robiła jej babcia – ale nie działa zbyt dobrze. Wydmuchuje tylko letnie powietrze przez rząd szczelin w podłodze i wzbija kurz; w każdym razie wydaje się, że to strata pieniędzy, a poza tym oszustwo, gdy włącza się piec, zanim to jest absolutnie konieczne. Powinno się wykorzystywać to, co daje nam natura, więc Charis zbiera chrust spod drzew rosnących na Wyspie i używa kawałków desek pozostałych po budowie kurnika; odłamała też uschniętą gałąź z jabłoni.

Kłęczy przed żeliwnym piecem w kuchni; to jeden z przedmiotów, który sprawił, że zdecydowała się na ten dom – piec na drewno, odstraszący innych chętnych, zwolenników kuchenek elektrycznych; poza tym dzięki niemu czynsz był niski. Z początku dość trudno było dojść do tego, jak działa; piec miewa swoje nastroje i czasem wyrzuca wielkie kłęby dymu albo całkowicie wygasa, mimo że jest pełen drewna. Trzeba mu schlebiać. Charis wybiera wczorajszy popiół do rondla, który trzyma w pobliżu – później posypie nimi hałdę kompostu, a resztę przesieje dla znajomego garncarza na glazurę – i wpycha do środka trochę zgniecionych gazet, drewno na podpałkę oraz dwie szczapy. Gdy zaczynają się palić, przykuca przed otwartymi drzwiczkami, ogrzewa dłonie i podziwia płomień. Drewno z jabłoni płonie niebiesko.

Po kilku minutach, gdy sztywnieją jej kolana, Charis wstaje, podchodzi do blatu kuchennego i włącza elektryczny czajnik. Choć w domu nie ma ogrzewania na prąd, jest podstawowa instalacja, światło w każdym pokoju i kilka gniazdek w ścianie, ale nie można włączyć jednocześnie czajnika i reszty, nie wysadzając korków. Mogłaby poczekać, aż zagotuje się woda w żelaznym

czajniku na piecu, ale to trwałoby godzinami; musi się napić porannych ziółek natychmiast. Pamięta czasy na uniwersytecie, kiedy piła kawę, dawno temu, w którymś z poprzednich wcieleń; mieszkała wtedy w McClung Hall. Pamięta niewyraźne sensacje w głowie, pragnienie następnej filiżanki. To był nałóg, jak przypuszcza. Ciało tak łatwo można sprowadzić na manowce. Dobrze, że przynajmniej nigdy nie paliła.

Charis siedzi przy kuchennym stole – nie okrągłym, dębowym, takim, jaki chciałaby mieć, ale przy tymczasowym, sztucznym, niemoralnym stole z lat pięćdziesiątych, z chromowanymi nogami i czarnymi zakrętami wtopionymi w laminowany blat – i pije herbatę ziołową, starając się skupić na czekającym ją dniu. Utrudnia to mgła; kiedy nie widzi słońca, mimo zegarka nie potrafi określić godziny.

Musi podjąć najważniejszą decyzję: kto pierwszy zje śniadanie, ona czy kurczaki? Jeżeli ona, to kurczaki będą musiały czekać, a ona będzie czuć się winna. Jeżeli kurczaki, ona będzie przez chwilę głodna, ale przynajmniej, karmiąc je, będzie mogła myśleć o śniadaniu, które ją czeka. Poza tym kurczaki ufają jej. Prawdopodobnie zastanawiają się, gdzie ona teraz jest, właśnie w tej chwili. Martwią się. Czują żal. Jak może je zawieść?

Codziennie rano przechodzi podobną próbę sił. Codziennie rano kurczaki wygrywiają. Kończy herbatę i napełnia wiadro przy zlewie, podchodzi do drzwi kuchennych, obok których wisi kombinezon roboczy Billy'ego. Nakłada go, wpychając do nogawek nocną koszulę – mogłaby pójść na górę i ubrać się, ale obudziłaby Billy'ego, a jemu potrzebny jest sen z powodu stresu, jaki właśnie przeżywa – zrzuca kaptcie i wsuwa bose stopy w gumki Billy'ego. Nie jest to najprzyjemniejsze uczucie: guma jest chłodna i wilgotna od starego potu. Czasem wkłada do kaloszy grube skarpety, ale one gdzieś się zapodziały; nawet ze skarpetami w środku kalosze byłyby jednak zimne i o wiele dla niej za duże. Mogłaby kupić kalosze dla siebie, ale to pogwałciłoby przyjęty porządek, według którego to Billy karmi kury. Bierze wiadro z wodą i kołysząc się na boki, wychodzi na podwórko.

Mgła jest mniej przerażająca, kiedy człowiek w niej się znajdzie. We mgle Charis ma wrażenie, że jest w stanie przejść przez ścianę. Mokra trawa ociera się o jej nogi. Powietrze pachnie gnijącymi liśćmi, wilgotnym drewnem, mokrą kapustą (jeszcze ich parę zostało w ogrodzie). To jesienny zapach powolnego spalania. Charis zaciąga się nim, zaciąga się też amoniakiem i wonią ciepłego pierza kurczaków. Z kurnika dochodzi ich monotonne, jakby medytacyjne, zamyślane, pogruchiwanie przez sen, co oznacza, że są spokojne. Teraz, gdy ją słyszą, zaczynają gdakać w podnieceniu.

Charis odryglowuje drucianą bramkę prowadzącą na wybieg. Na początku chciała, aby kury biegały swobodnie, całkowicie bez ograniczeń, ale pojawił się kocio-psi problem; także sąsiedzi – chociaż z zasady tolerancyjni względem kur – nie za bardzo cenili sobie, gdy jakaś zbląkana kura rozdrapywała im rabatę kwiatową. Kurczakom nie podoba się ogrodzenie i próbują się wydostać, więc Charis zawsze zamyka za sobą bramkę, zanim otworzy kurnik.

Billy sam zbudował kurnik. Pracował bez koszuli, słońce padało mu na plecy, gdy walił młotkiem w gwoździe. Dobrze mu to zrobiło, dało poczucie dokonania czegoś. Domek nieco się przechyla, ale spełnia swą funkcję. Ma małe drzwiczki dla kur, z rampą do wchodzenia, i drzwi dla ludzi. Charis otwiera małe drzwiczki; kury tłoczą się, gdcząc i stąpając dumnie, mrużąc ślepią od słońca. Charis wchodzi dużymi drzwiami, otwiera metalowy pojemnik, w którym trzyma karmę, i puszką po kawie odmierza ziarno. Wynosi je na zewnątrz i rozsypuje. Woli karmić je na dworze. W książce przeczytała, że należy zostawiać starą słomę i odchody na podłodze w kurniku, gdyż ciepło powstające w wyniku rozkładu utrzyma się do zimy; Charis nie uważa jednak, aby jedzenie spożywane w takich warunkach mogło być zdrowe. Cykl natury jest ważny, ale nie należy mieszać jego różnych elementów.

Kurczaki gdczą nad wyraz aktywnie, tłoczą się u jej nóg, skaczą, trzepoczą skrzydłami, przepychają się i dziobią nawzajem, wznosząc przy tym gniewne pienia. Kiedy już się uspokoiły i zaczęły jeść, Charis przynosi pojemnik i napełnia go wodą z wiadra.

Przygląda się, jak jedzą. Przepelniają ją radością, radością, która nie ma żadnej racjonalnej przyczyny, ponieważ wie – widziała, a także pamięta – jak bardzo łakome są kurczaki, jak samolubne i nieczułe, jak okrutne dla siebie nawzajem, jak grupowo atakują kogoś spośród siebie. Nie są też łagodnymi wegetarianami – można wywołać prawdziwą wojnę, wrzucając parę końcówek hot-dogów albo resztki bekonu. Jeżeli chodzi o koguta, z okiem szalonego proroka i nienawistną postawą fanatyka, grzebieniem i dzwoneczkami, którymi się pyszni jak genitaliami, to jest wyniosłym autokratą i atakuje jej kalosze, kiedy myśli, że ona nic nie widzi.

Charis to nie obchodzi; kurom wybacza wszystko. Podziwia je! Podziwia je od chwili, gdy tu zamieszkały; przyjechały w workach po paszy, z których wysypały się, machając skrzydełkami jak anioły. Uważa, że są nadprzyrodzone. Bo są.

Wraca do kurnika, aby przeszukać siano w skrzynkach z nadzieją na znalezienie jajek. W czerwcu kury niosły się niesamowicie, znosiły po dwa jajka dziennie, wielkie, mleczne owale z podwójnymi lub nawet potrójnymi żółtkami,

ale teraz, kiedy słońce jest coraz niżej, pogorszyło się. Pióra i dzwonki matowieją; kilka kur linieje. Charis znajduje jedno jajko, wsuwa je do kieszonki na piersi. Zrobi Billy'emu śniadanie.

W kuchni zdejmuje buty; nie ściąga kombinezonu, ponieważ jest zimno. Wsuwa do pieca następny kawałek drewna, rozgrzewa ręce. Czy powinna sama zjeść śniadanie czy poczekać na Billy'ego? Czy w ogóle powinna go budzić? Czasem Billy wścieka się, kiedy go budzi, a czasem wścieka się, kiedy tego nie robi. Dzisiaj Charis jedzie do miasta, więc jeżeli zbudzi go teraz, zdąży go nakarmić, zanim odpłynie prom. W ten sposób Billy nie prześni całego rana i nie obwini jej o to później.

Wchodzi ostrożnie po schodach. Gdy znajduje się przy drzwiach, zatrzymuje się na chwilę i patrzy. Lubi patrzeć na Billy'ego, tak jak lubi patrzeć na kury. Billy też jest piękny; tak jak kury są esencją kurowatości, tak Billy jest esencją Billowatości. Podobnie jak kury, jest teraz w gorszej formie, niż gdy go spotkała. To także może mieć związek z kątem padania słońca.

Billy leży na materacu, śpiwór podciągnął pod samą szyję. Lewa ręka zasłania mu oczy; już znika z niej opalenizna, choć nadal jest ciemna i obrosnięta krótkimi, złotymi włoskami, jak miód pokryty pyłkiem. Krótka żółta broda połyskuje w białym pokoju w świetle dziwnie zmienionym przez mgłę – heraldyczna broda świętego, rycerza na starym obrazie albo postaci na znaczku. Charis uwielbia przyglądać się Billy'emu w takich momentach, kiedy jest cicho i kiedy Billy się nie porusza. Łatwiej jej wtedy utrzymać jego obraz.

Billy wyczuwa chyba jej wzrok niczym snop światła z latarki. Odsuwa rękę z oczu. Oczy otwierają się same, takie niebieskie! Jak niezapominajki, jak góry na horyzoncie, na pocztówce, jak gruby lód. Uśmiecha się do niej, odsłaniając zęby wikinga.

– Która godzina? – pyta.

– Nie wiem – odpowiada Charis.

– Masz chyba zegarek? – mówi. Jakże ma wytłumaczyć mu mgłę albo to, że nie może teraz spojrzeć na zegarek, bo patrzy na niego? Patrzenie nie jest przypadkową czynnością. Pochłania całą jej uwagę.

Billy wzdycha, z poirytowania albo pożądania, trudno powiedzieć.

– Chodź tutaj – mówi do niej.

Więc to pożądanie. Charis podchodzi do materaca, siada obok Billy'ego, wygląda mu włosy na czole, włosy tak żółte, że wyglądają jak pomalowane. Zawsze się dziwi, że kolor nie zostaje jej na skórze. Chociaż jej włosy też są jasne, mają inny odcień, błądy i wybielony, wyglądają jak księżyc przy słońcu.

Włosy Billy'ego promieniają wewnętrznym blaskiem.

- Powiedziałem tutaj – mówi Billy. Ściąga ją na siebie, skupia się na jej ustach, otacza złotymi ramionami, ściska mocno.
- Jajko! – przypomina sobie Charis. Jajko pęka.

Taki wtedy był Billy. Zawsze się do niej dobiegał. Rano, po południu, w nocy – bez znaczenia. Może to przez nerwowość albo nudę, bo przecież nie miał specjalnie czym wypełniać czasu; a może było to wywołane napięciem, że przebywa tu nielegalnie. Czekał na nią na przystani, szli razem do domu, a potem chwycił, zanim jeszcze zdążyła odstawić torby z jedzeniem, przyciskał do blatu kuchennego, podciągał długą zwiewną spódnicę. Jego niecierpliwność zdumiewała ją. „Boże, jak ja cię kocham, Boże, jak cię kocham”, powtarzał w takich przypadkach. Czasem sprawiał jej ból – dawał klapsa albo szczypał. Czasem i tak bolało, ale skoro nic o tym nie mówiła, to skąd miał wiedzieć?

Co ona sama odczuwała? Trudno ustalić. Może gdyby było mniej czystego seksu – gdyby nie czuła się jak trampolina, po której ciągle ktoś skacze – nauczyłyby się czerpać z tego więcej radości, w odpowiednim czasie. Gdyby mogła się odprężyć. Tymczasem ona jakby wychodziła z ciała, odsuwała ducha na bok, wypełniała się inną esencją – jabłkiem, śliwką – dopóki on nie skończył, po czym bezpiecznie wracała do własnego ciała. Lubiała, jak ją potem trzymał, lubiała, jak ją głaskał i całował, mówił, że jest ładna. Niekiedy Billy to robił. Bywało, że płakała; Billy uważał to za normalne. Jej łzy nie miały związku z Billym; on jej nie zasmucał, tylko uszczęśliwiał! Powiedziała mu to, był zadowolony i więcej nie pytał. Rozmawiali o innych sprawach, o tym nigdy.

Tylko jak to miało wyglądać? Jak miało być normalnie? Nie miała pojęcia. Czasami palili maryhę – nie za dużo, bo nie było ich stać; kiedy ją mieli, pochodziła od kogoś z kolegów Billy’ego – i w tych momentach jakby domyślała się czegoś, dostawała jakiś znak, delikatne drżenie. Jednakże to się prawie nie liczyło, bo skórę miała jak z gumy, jakby włożyła gumowy kombinezon z metalową siatką, Billy miał dłonie jak postacie z komiksów, niczym nadmuchane rękawiczki; zajmowała się wtedy jego uchem albo kędziorami złotych włosów na piersi; czymkolwiek jej ciało było zajęte, jej to nie obchodziło. Któryś z przyjaciół Billy’ego powiedział, że nie ma sensu tracić dla niej dobrego haszu, ponieważ ona i tak jest zaprawiona przez cały czas. Charis nie uważała tego za sprawiedliwe, chociaż było prawdą, że być na haju nie miało dla niej takiego znaczenia jak dla innych.

Billy oczywiście nie był pierwszym mężczyzną, z którym spała. Spała z

kilkoma, ponieważ tak trzeba było, nie chciała, aby uważano ją za sztywną czy samolubną. Mieszkała nawet z jednym, ale to nie przetrwało. Skończyło się na tym, że nazwał ją oziębłą suką, jakby to ona w jakiś sposób go okaleczyła; to ją zaskoczyło. Czy nie była wystarczająco czuła, czy nie kiwała głową, kiedy do niej mówił, czy nie gotowała obiadów, czy nie kładła się ulegle, kiedy tylko chciał, czy nie prała potem pościeli, czy nie usługiwała mu? Nie była osobą, która nie potrafi dawać.

W Billym było dobre to, że ta jej nienormalność – wiedziała, że to nienormalne, bo słyszała rozmowy innych kobiet – nie przeszkadzała mu. Właściwie to on nawet się tego spodziewał. Uważał, że takie właśnie są kobiety: bez popędu, bez potrzeb. Nie wypytywał jej o to, nie naprzykrzał się; nie próbował jej naprawić tak, jak chcieli inni – majstrując przy niej, jakby była kosiarką do trawy. Kochał ją taką, jaka była. Nic nie mówiąc, przyjmował, tak jak ona, że to, co czuje, nie ma żadnego znaczenia. Oboje zgadzali się co do tego. Oboje chcieli jednej rzeczy – aby Billy był szczęśliwy.

Charis leży pod śpiworem, opiera się na łokciu, lekko dotyka twarzy Billy’ego. On ma oczy zamknięte i może na nowo zasypia. Może któregoś z takich dni będzie miała dziecko, dziecko Billy’ego; będzie podobne do niego. Już o tym myślała wcześniej – stanie się to „ot tak”, bez żadnych planów i podejmowania decyzji; wtedy on zostanie z nią, będą dalej mogli tutaj mieszkać, tak jak teraz, już na zawsze. W domu jest nawet mały pokój, który mogłaby przeznaczyć dla dziecka. Teraz jest tam pełno rzeczy – niektóre Billy’ego, ale większość Charis, bo mimo pragnienia, aby nie ograniczały jej rzeczy, ma ich sporo w kartonach. Można jednak to wszystko posprzątać; wtedy wstawi tam kołyskę albo kosz na brudną bieliznę, tylko nie kojec, nic, co ma pręty.

Przesuwa palce po czole Billy’ego, po nosie, lekko uśmiechniętych ustach; on nie wie o tym, ale jej dotyk jest nie tylko czuły, nie tylko współczujący, ale zaborczy. Chociaż Billy nie jest więźniem, jest w pewnym sensie jeńcem wojennym. To wojna go tu sprowadziła, to przez wojnę tutaj się ukrywa, przez wojnę nie rusza się stąd. Charis nie może znieść myśli, że on jest więźniem, jej więźniem, ponieważ jego istnienie tutaj zależy w pełni od niej. On należy do niej, ona może robić z nim, co chce, jakby był przybyszem z obcej planety uwięzionym na Ziemi, w tej świątyni sztucznego, międzyplanetarnego powietrza, czyli w jej domu. Gdyby poprosiła, żeby odszedł, co by się z nim stało? Zostałby ujęty, deportowany z powrotem tam, gdzie powietrze jest cięższe. Implodowałby.

Równie dobrze może pochodzić z innej planety, ponieważ jest ze Stanów;

mało tego, z niewyraźnej i ezoterycznej części Stanów, tak tajemniczej dla Charis jak ciemna strona księżyca. Kentucky? Maryland? Virginia? Mieszkał w tych wszystkich miejscach, ale co znaczą te słowa? Dla Charis nic, tylko tyle, że są na granicy z Południem, a temu słowu też brakuje spełnienia. Charis ma pewne wyobrażenia związane z Południem – wiejskie rezydencje, pnącza i, dawno temu, segregacja rasowa – widziała filmy, w tamtym życiu, zanim stała się Charis, ale Billy najwyraźniej nie mieszkał w takiej rezydencji ani nikogo nie segregował. Wręcz przeciwnie, jego ojca nieomal wygnano z miasta (którego?) za – jak to Billy nazywa – „liberalność”. Nie ma to związku z solidnymi, ortodoksyjnymi, uprzejmymi i niezastąpionymi liberałami z plakatów wyborczych w Toronto, pojawiających się z zadziwiającą monotonią.

Stany Zjednoczone są tuż za jeziorem. W słoneczne dni można je nieomal zobaczyć – jakby linia, jakby mgła. Charis nawet już tam była, na jednodniowej wycieczce z liceum, nad wodospadem Niagara, ale ta część nie wyglądała wcale inaczej; nie jak te strony, skąd pochodzi Billy, gdzie musi być dziwnie. Dziwnie i niebezpiecznie – to jest pewne – i może właśnie dlatego lepiej. Mówi się, że to, co się tam dzieje, ma znaczenie na świecie, nie jak to, co się dzieje tutaj.

Charis dotyka palcami Billy’ego, syci nim wzrok, ponieważ on jest tutaj, w jej łóżku, w jej rękach, jej własna mitologiczna postać, rzadka jak jednorożec, jej własny pojmany uciekinier przed poborem, częśćka tysiąca artykułów w gazetach, ukryty potajemnie w jej domu; umowę o wynajęcie tego domu musiała podpisać sama, ponieważ nikt nie może znać nazwiska Billy’ego ani wiedzieć, gdzie jest. Niektórzy z uchylających się przed wojskiem mają wizy, ale pozostali, tacy jak Billy, nie. Jak już znajdziesz się w tym kraju, nie możesz dostać wizy, musisz wracać przez granicę i tam złożyć podanie, a wtedy z całą pewnością cię złapią.

Billy wszystko wytłumaczył, także to, że policja konna nie jest już taka sama jak w czasach dzieciństwa Charis; to nie malowniczy mężczyźni na koniach, w czerwonych uniformach, wyprostowani i prawdziwi, którzy zawsze dosięgną ściganego. Są podstępni i zdradzieccy, pozostają w zмовie z rządem USA i jeżeli położą na Billym łapę, jest już martwy, ponieważ – nigdy jej nie wolno o tym nikomu powiedzieć, nawet jego przyjaciele tutaj o tym nie wiedzą – ucieczka przed poborem to nie wszystko, co zrobił. Co jeszcze zrobił? Wysadził różne rzeczy. Także kilku ludzi, ale przypadkowo. Dlatego ściga go policja kanadyjska.

Jeśli będzie miał szczęście, czeka go proces o ekstradycję – wtedy może mieć szansę. Jeśli mu szczęście nie dopisze, dadzą cynk CIA i Billy zniknie

pewnej ciemnej nocy; przemycą go przez granicę, może jeziorem w szybkiej łodzi – tak jak Kanadyjczycy szmuglowali wódkę w czasach prohibicji; wywiozą go szybko i po cichu, wrzucą do więzienia i to będzie jego koniec. Ktoś mu poderżnie gardło pod przyszcicem za to, że uciekł przed wojskiem. Tak to się dzieje.

Kiedy Billy mówi takie rzeczy, mocno trzyma się Charis, a ona przytula go i mówi: „Nie pozwolę im”, chociaż wie, że nie ma tyle siły, aby ich powstrzymać. Wypowiedzenie tych słów działa jednak uspokajająco na nich oboje. I tak w to nie wierzy – w ten apokaliptyczny scenariusz Billy’ego. Takie rzeczy mogą się zdarzać w Stanach – wszystko może się zdarzyć w kraju, gdzie policja tłumi manifestacje, strzela do ludzi, a współczynnik przestępczości jest bardzo wysoki – ale nie tutaj. Nie na Wyspie, gdzie rośnie tyle drzew, gdzie ludzie nie zamykają domów na klucz, kiedy wychodzą. Nie w tym kraju, bezbarwnym i dobrze jej znanym, nijakim i bez dramatów. Nie w jej domu, gdzie kury gładzą łagodnie na podwórku. Żadna krzywda nie stanie się jej ani Billy’emu, gdyż doglądają ich kury, pierzaste stróżujące duszki. Kury przynoszą szczęście.

Zapewnia więc – „Zatrzymam cię tu, przy sobie” – chociaż wie, że Billy nie jest skory do podróżowania. Charis podejrzewa coś gorszego: że jest dla niego tylko przystankiem, tymczasowym schronieniem, jak narzeczone żołnierzy wysyłanych za granicę. Może on jeszcze tego nie wie, ale ona nie jest jego prawdziwym życiem, tak jak on jej.

To sprawia ból.

– Dobrze – odzywa się Charis, uciekając pospiesznie myślą, ponieważ ból jest iluzją i trzeba go przechytrzyć. – Może zjemy śniadanie?

– Jesteś piękna – mówi Billy. – Boczek, co? Mamy jakąś kawę? – Billy pija prawdziwą kawę, z kofeiną. Śmieje się z ziółek Charis i nie jada żadnych sałatek, nawet z warzyw, które Charis sama wyhodowała. „Dobre dla królików” – tak to określa. „Nadaje się tylko dla małych króliczków i kobiet.”
Li’l.

– Byłoby jajko – mówi Charis z wyrzutem. Billy śmieje się. (Kombinezon z kieszenią wypełnioną rozgniecionym jajkiem leży oczywiście na podłodze. Charis wypierze go później. Tylko nie w gorącej wodzie, bo jajko się zetnie. Będzie musiała wywrócić kieszeń na zewnątrz.)

– Nie można zrobić omletu, nie rozbijając paru jajek – żartuje Billy. „Nie można”. Charis powtarza po cichu, smakując dźwięki. Rozkoszuje się nimi, odkłada na później. Chciałaby, żeby miał na imię Billy Joe albo Billy Bob, podwójnie, jak na Południu, jak na filmach. Obejmuje go.

– Billy, jesteś taki... – mówi. Chce powiedzieć „młody”, ponieważ jest młody, jest o siedem lat młodszy od niej, ale Bill nie lubi, jak mu się o tym przypomina; pomyślałby, że chce być ważniejsza od niego. Mogłaby też powiedzieć „niewinny”, co uznałby za jeszcze większą obrazę, pomyślałby, że to uwaga co do jego seksualnego niedoświadczenia.

W istocie Charis ma na myśli to, że jest dziewiczy, że ma nie zadrapaną powierzchnię. Pomimo cierpień, przez które przeszedł i przez które jeszcze przechodzi, jest w nim coś, co błyszczy, coś błyszczącego i nowego, albo coś nieprzeniknionego. Ona sama daje się przeniknąć; wchodzi w nią ostre krawędzie, łatwo robią się siniaki, jej wewnętrzna skóra jest nabrzmiąta, miękka. Jest cała pokryta drobnymi czułkami, jak mrówka: czułki falują, badają powietrze, dotykają i zwijają się, ostrzegają. Billy nie ma takich czulek. Nie potrzebuje ich. Gdy coś w niego uderzy, odbija się natychmiast – Billy oddala od siebie to coś albo złości się. Jest to pewna twardość, która istnieje obok smutku, melancholii czy poczucia winy, których doświadcza w tym samym czasie.

Może jest tak, że jego własny smutek, melancholia i poczucie winy należą wyłącznie do niego i dlatego są dla niego ważne. Są zamknięte w środku. Nic innego nie przedostaje się do wnętrza. Charis natomiast jest jak siatka; wszystko przez nią przelatuje.

– Jestem... jaki? – pyta uśmiechnięty Billy. *Ah'm*. Charis też się do niego uśmiecha.

– Taki... no, wiesz – mówi.

Ściśle mówiąc, Charis nie spotkała Billy'ego. Został jej przydzielony w Furrows Food Co-op, gdzie znała wiele osób, chociaż niezbyt dobrze. Wciągnęła ją w to pewna kobieta, Berenice. Berenice działała w ruchu na rzecz pokoju, ponadto jeszcze w jakimś kościele, gdzie opiekowali się uciekinierami przed służbą wojskową; umieszczali ich w różnych domach, zupełnie jak angielskie dzieci przewożone przez ocean podczas wojny. Charis przyszła do pracy właśnie w dniu, kiedy Berenice mniej więcej poumieszczała wszystkich zbiegów; został jej tylko Billy i jeszcze jeden chłopak (Berenice nazywała ich „chłopakami”), więc Charis zaproponowała, że przetrzyma ich przez kilka nocy na zapleczu sklepu przy Queen Street, jednego na kanapie z popękkanymi sprężynami, a drugiego na podłodze, dopóki nie znajdą dla nich innego miejsca; Berenice miała dostarczyć śpiwory, bo Charis nie miała zapasowych.

Charis nie robiła tego z pobudek politycznych; nie wierzyła w politykę, w angażowanie się w sprawy, które wywołują tak negatywne emocje. Nie

pochwalała wojen, nawet myślenia o nich. Nie rozumiała ani nie chciała zrozumieć wojny w Wietnamie, chociaż co nieco przedostawało się do jej głowy mimo przedsięwziętych środków ostrożności: to było zawarte w cząsteczkach powietrza. Charis nie oglądała tego w telewizji, nawet nie miała telewizora. Nie czytała też gazet, gdyż były takie przygnębiające, a i tak nie mogła nic poradzić na tę całą niedolę. Tak więc powód, dla którego przyjechała Billy'ego, nie miał z tym nic wspólnego. Zrobiła to z czystego poczucia gościnności. Czuła się zobowiązana, by być miłą dla obcych, szczególnie dla tych, którym szczęście nie dopisało. Poza tym dziwne byłoby, gdyby jedyna w spółdzielni odmówiła pomocy.

Tak właśnie się zaczęło. Po kilku dniach ten drugi chłopak wyprowadził się, a Billy został; po następnych kilku dniach uświadomiła sobie, że oczekuje od niej pójścia z nim do łóżka. On nie naciskał; na początku był nieśmiały, miał zahamowania, był zdezorientowany, niepewny siebie. Myślał, że po tej stronie granicy będzie mniej więcej tak samo, tylko bezpieczniej, a kiedy okazało się, że wcale tak nie jest, był zmieszany i zły. Uświadomił sobie, że dokonał czegoś monumentalnego, czegoś, czego nie mógł cofnąć, że skazał się na wygnanie, może na zawsze. Utrudnił życie swojej rodzinie – pomogli mu podjąć decyzję co do wojska, i – jak to określał – „czepiali się”. Ponadto porzucił swój kraj, co ma o wiele większe znaczenie dla niego niż dla Charis, ponieważ w szkołach Billy'ego zaczynało się dzień z ręką na sercu, salutując fladze, a nie modlitwą do Boga jak w szkołach Charis. Dla Billy'ego kraj był swego rodzaju Bogiem, co Charis uznaje za bałwochwalstwo, a nawet barbarzyństwo. Oczywiście, tradycyjnego Boga, srogiego, z białą brodą, z ofiarami z baranków, z aniołami śmierci, też uważa za barbarzyństwo. To wszystko jest poza nią. Jej Bóg jest owalny.

Poza tym Billy martwił się o swoich przyjaciół, chłopaków, z którymi chodził do szkoły, którzy z nim nie uciekli; może właśnie w tej chwili płynęli przez morze, ginęli od bomb *guerrillas* na spieczonej słońcem drodze, a może strzelano do nich na polach ryżowych. Czuł, że ich zdradził. Wiedział, że wojna to zło i że dokonał słusznego wyboru, ale mimo to czuł się tchórzem. Tęsknił za domem. Bardzo często chciał wracać.

O tym właśnie opowiadał Charis, fragmentami, gdy go coś nachodziło. Mówił, że nie oczekuje od niej zrozumienia, ale ona rozumiała, choć trochę. Rozumiała jego emocje, które zalewały ją jak woda, chaotycznie, niebieskie jak melancholia, jak wielka fala łez. Był taki zagubiony, taki zraniony, jakże miała mu odmówić cokolwiek, byle tylko go pocieszyć?

Od tego czasu jest inaczej, od kiedy przeprowadzili się na Wyspę, do tego domu. Billy nadal jest nerwowy, ale nie tak bardzo. Wydaje się, że zapuścił korzenie. Ma też przyjaciół, całą siatkę wygnańców takich jak on. Spotykają się regularnie na stałym lądzie; Billy jeździ tam kilka razy w tygodniu. Pomagają nowo przybyłym, znajdują lokum i ukrywają. Charis musiała przetrzymać jeszcze jednego, krótko, na kanapie w salonie – już na innej kanapie, także używanej, ale z lepszymi sprężynami. Charis odkryła, że mieszkanie z kimś prowadzi do prawdziwych mebli, chociaż właśnie tego, prawdziwych mebli, jeszcze parę lat temu zdecydowanie nie chciała.

Czasami uciekinierzy zbierają się w jej domu, piją piwo, rozmawiają i palą marychę, ale starają się, by te imprezy przebiegały cicho – z pewnością policja nie jest im potrzebna. Przyplływają promem razem ze swoimi dziewczynami o włosach jak druty, o wiele młodszymi od Charis, dziewczynami, które kąpią się w jej łazience i zużywają jej nieliczne ręczniki, zostawiają na staromodnej wannie na szponiastych nogach swoje pierścionki. Brud jest iluzją, to tylko jeden ze sposobów myślenia o materii, i Charis wie, że nie powinna się nim przejmować. Jednakże jeśli musi zajmować się iluzją brudu, to wołałaby, aby to był jej własny brud, a nie tych dziewczyn o pustych oczach. Ci mężczyźni, a raczej chłopcy, mówią o swoich dziewczynach „moja stara”, chociaż one są przeciwieństwem starości, więc Charis nie martwi się, że Billy również tak ją nazywa.

Grupa Billy’ego zawsze coś planuje. Uważają, że coś powinni zrobić, wziąć udział w jakiejś akcji, ale jakiej? Doszli do tego, że sporządzili listę imion wszystkich członków grupy; imiona są fałszywe. Charis – zerknąwszy na kopię listy Billy’ego, chociaż nie powinna – była zaskoczona odkryciem, że niektóre z tych imion są żeńskie: Edith, Ethel, Emma. Podczas imprez, kiedy przynosi zimne piwo z małej lodówki, kiedy wyklada chrupki i orzechy do misek, kiedy szuka szamponu dla jakiejś z dziewczyn, kiedy siedzi na podłodze obok Billy’ego, zaciągając się czymś skretem, uśmiechając się i wpatrując w przestrzeń, dowiaduje się, podsłuchuje i wie, że Billy to Edith lub odwrotnie. Dostał to imię po Edith Cavell, jakiejś osobie z przeszłości. Są też numery telefonów; niektóre nabazgrano na ścianie przy telefonie, ale Billy zapewnia ją,

że to bezpieczne, że to tylko miejsca, gdzie można zostawić wiadomość. Planują poza tym wydawać pisemko, chociaż już istnieje kilka gazet dla uciekających przed wojskiem. Wielu innych facetów dostało się tutaj przed Billym i jego nowymi przyjaciółmi.

Charis nie jest pewna, czy te partyzanckie metody, ukrywanie się, szyfry, pseudonimy są naprawdę konieczne. To wygląda na dziecianną zabawę, zajmowanie się czymś daje jednak Billy'emu więcej energii i cel w życiu. Częściej wychodzi, nie jest uwięziony. W dni, kiedy Charis jest przekonana, że niebezpieczeństwo nie jest prawdziwe, cieszy się tym, ale kiedy wierzy w nie, zaczyna się martwić. Za każdym razem, gdy Billy wsiada na prom i płynie na stały ląd, gdzieś w środku Charis budzi się panika. Billy jest jak linoskoczek, który kroczy niedbale, z zawiązanymi oczami, po sznurze do białiny, rozciągniętym między dwoma trzydziestopiętrowymi budynkami, i myśli, że znajduje się blisko ziemi. Wierzy, że jego akcje, słowa, gazetka mogą zmienić bieg rzeczy, mogą zmienić świat.

Charis wie, że na świecie żadna zmiana nie jest możliwa, żadna zmiana na lepsze. Wydarzenia są złudne, są częścią cyklu; dać się im złapać to tak, jakby zostać wciągniętym przez wir. Ale co Billy wie o nieubłaganej złośliwości fizycznego wszechświata? Jest zbyt młody.

Charis czuje, że samodzielnie może jedynie zmienić własne ciało, a poprzez nie ducha. Pragnie uwolnić własnego ducha, pozbyć się ciężaru ukrytego gdzieś głęboko w środku, rdzenia zgubnego skarbu, który zakopała dawno temu i od tamtej pory nie odkrywała; chce uczynić swe ciało lżejszym, jeszcze lżejszym, uwolnić je, by nieomal mogło się unosić. Wie, że to możliwe. Udziela lekcji jogi, ponieważ dzięki nim opłaca czynsz, telefon i żywność, którą dostaje w spółdzielni po hurtowej cenie. Udziela ich także dlatego, że chce pomagać ludziom, kobietom właściwie, ponieważ większość osób pobierających lekcje to kobiety. One też muszą mieć ukryte w sobie ciężkie metale, one też muszą pragnąć lekkości. Jej lekcje nie zapewniają jednak utraty wagi – mówi im to na samym początku, bez ogródek.

Charis ubiera się i przyrządza Billy'emu boczek, grzanek i kawę, następnie pakuje trykot i rajstopy do peruwiańskiej torby i biega po domu, wydobywając drobne pieniądze z rozmaitych miejsc, w których je ukryła na czarną godzinę, taką jak teraz, kiedy zupełnie nie ma gotówki. Mgła już się podniosła i słabe listopadowe słońce przesącza się przez szarą wiszącą masę, więc Charis może znowu zaufać zegarkowi, nie spóźni się na prom. Rzadko kiedy spóźnia się na przystań, chyba że przez Billy'ego i jego spontaniczne, wszechogarniające

impulsy. Co może mu wtedy powiedzieć? „Muszę pracować, bo nie będziemy mieli co jeść?” To nie jest dobre: Billy przyjmuje to jako krytykę swojej osoby, ponieważ nie ma pracy, i chowa się w sobie. Woli wierzyć, że Charis jest jak lilia polna, nigdy się nie męczy, ani nigdy się nie spieszy, że boczek i kawa po prostu pochodzą od niej, jak liście od drzewa.

Lekcje jogi odbywają się w mieszkaniu nad spółdzielnią, a właściwie w pomieszczeniu, które kiedyś było mieszkaniem. Dwa pokoje zostały zamienione na biura, jedno dla spółdzielni, drugie dla małego czasopisma poetyckiego „Kiełkowanie ziemi”, a wielki frontowy pokój przeznaczono na spotkania i zajęcia, na przykład jogi. Charis uczy jednorazowo co najwyżej dziesięć osób; większa liczba przeciążyłaby jej obwody, zakłóciła koncentrację. Uczestnicy przynoszą własne ręczniki i maty, przeważnie pod ubraniami mają odpowiednie stroje do ćwiczeń, więc nie muszą się przebierać. Charis zjawia się przed innymi, przebiera w łazience i rozkłada własną matę, którą trzyma w szafce w biurze spółdzielni. Ze starych desek w podłodze mogą wystawać drzazgi i wbić się, jeżeli nie będzie uważać.

Jej pierwszym zadaniem jest zneutralizowanie otoczenia. Wyblakłej tapety w fioletową kratkę, ciemniejszych kwadratów na tapecie, pozostałych po obrazach, stęchłego zapachu starego domu i zwilgotniałej, poplamionej moczem wykładziny na schodach, resztek lunchu w koszach na śmieci, których nikt nigdy nie opróżnia. Hałasy z zewnątrz muszą odejść; głosy z ulicy i z dołu zdecydowaną ręką wymazuje z głowy, jak z tablicy. Kładzie się na plecach, ze zgiętymi kolanami, z rękami luźno za głową, i koncentruje na oddechu; przygotowuje się, skupia. Oddech musi wejść do środka, a następnie głęboko w dół, aż do splotu słonecznego. Ukradkowe, popędliwe i trywialne myśli trzeba odegnać. Ja musi być transcendentne. Osobowość musi zostać uwolniona. Musi się unosić.

Pierwsze zajęcia przebiegają jak zwykle. Charis wie, że ma do tego dobry głos, niski i pewny siebie, dobre tempo. „Szanuj kręgosłup” – szepcze. „Czcij słońce”. Przez słońce rozumie wnętrze ciała. Używa głosu, a także rąk, dotknięcie tutaj, dotknięcie tam, ustawia ciała we właściwych pozycjach. Każdą kobietę traktuje indywidualnie, mówi szeptem, aby nie zwracać na siebie uwagi, nie żenować ich i nie przerywać koncentracji innym. Pokój wypełnia się odgłosami oddechów – jakby nadmorskich fal – i zapachem napiętych mięśni. Charis czuje, jak wypływa z niej energia, i przedostaje się do ciał innych. Nie rusza się nadmiernie – nikt by tego nie uznał za wysiłek – ale pod koniec półtoragodzinnych zajęć jest wyczerpana.

Charis ma godzinę przerwy, dla odzyskania sił. W barze na dole pije sok pomarańczowo-marchwiowy, by wprowadzić do organizmu trochę żywych enzymów, i pomaga w ułożeniu cen suszonej fasoli; przychodzi pora na następne zajęcia. Charis nie zwraca specjalnej uwagi na to, kto przychodzi na którą godzinę; odlicza do dziesięciu i zapamiętuje tylko kolory trykotów, w trakcie zajęć zwraca uwagę na ciała, szczególnie na kręgosłup i jego złe ustawienie; twarze nie są dla niej ważne, bo twarz to indywidualizm, czyli to, co Charis chce tym kobietom pomóc przekroczyć. Poza tym, pierwsze ćwiczenia wykonywane są na podłodze, z zamkniętymi oczami, więc mijają sporo czasu, zanim Charis uświadamia sobie, że w grupie jest nowa osoba, ktoś, kogo nigdy przedtem nie widziała: ciemnowłosa kobieta w trykocie koloru indygo, śliwkowych rajstopach, a do tego – co dziwne w taki pochmurny dzień – w słonecznych okularach.

Kobieta jest wysoka i chuda jak brzytwa, tak chuda, że Charis przez trykot widzi jej żebra, każde z osobna mocno wysklepione, jakby wyrzeźbione, a pod nimi ciemne linie. Kolana i łokcie sterczą jak węzły na linie; figury, które wykonuje, nie są płynne, ale raczej geometryczne, klatki wykonane z drucianych wieszaków. Skórę ma białą niczym miąższ grzyba, wokół niej migocze ciemno fosforyzujące światło, jakby wokół obślizgłego, zepsutego mięsa. Widząc to, Charis rozpoznaje chorobę. Tej kobiecie potrzeba czegoś więcej niż zajęć jogi. Uderzeniowej dawki witaminy C, porcji słońca na początek, ale i to nie poruszyłyby tego, co w niej złe.

To, co w niej złe, to częściowo nastawienie duszy: objawiają to ciemne okulary, symbolizujące barierę broniącą wglądu do środka. Dlatego tuż przed medytacją lotosu Charis podchodzi do niej i mówi szeptem:

– Czy zechciałabyś zdjąć okulary? Na pewno przeszkadzają.

W odpowiedzi kobieta zsuwa szkła i Charis przeżywa szok. Lewe oko jest podbite. Czarnoniebieskie, zamknięte do połowy. Drugie oko patrzy na nią boleśnie, mokro, prosząco.

– Och – wzdycha Charis. – Przepraszam. – Wykrzywia z bólu twarz; odczuwa uderzenie na własnym ciele, na własnym oku.

Kobieta uśmiecha się; udręczony uśmiech na wymęczzonej i pokaleczonej twarzy.

– Ty jesteś Karen? – szepcze.

Charis nie wie, jak wyjaśnić, że jest nią i nie jest jednocześnie. Jest byłą Karen.

- Tak – odpowiada i bacznie się przygląda, bo jak ta kobieta ją rozpoznała?
- Jestem Zenia – mówi kobieta. I jest nią.

Charis i Zenia siedzą przy jednym z małych stolików w pijalni soków na dole.

– Co byś poradziła? – pyta Zenia. – To wszystko jest dla mnie takie nowe.

Charis, ujęta tym odwołaniem się do jej wiedzy, zamawia dla niej sok z papai i pomarańczy, z odrobiną cytryny oraz drożdży piwnych. Zenia ma cały czas okulary, ale Charis jej za to nie obwinia. Trudno jednak rozmawiać z kimś, kogo oczu nie widać.

Oczywiście, pamięta Zenię. Wszyscy w McClung Hall znali Zenię; nawet Charis, która przeszła przez studenckie lata jak przez dworzec lotniczy. Naukę potraktowała tymczasowo, odeszła po trzech latach, nie uzyskując dyplomu; to, czego chciała się nauczyć, nie figurowało w spisie zajęć. A może nie była na to gotowa. Charis wierzy, że kiedy jesteś gotów czegoś się nauczyć, to zjawi się właściwy nauczyciel, a raczej zostanie tobie przysłany. Jak dotąd w jej przypadku to na ogół się sprawdzało, a jedynym powodem, dla którego niczego się teraz nie uczy, jest to, że zajmuje się ustawicznie Bilym.

Chociaż może w pewnym sensie Billy jest nauczycielem. Jeszcze dokładnie nie określiła, czego ma się od niego nauczyć. Może, jak kochać? Jak kochać mężczyznę. Ale ona już go naprawdę kocha, więc co dalej?

Zenia popija sok, kierując dwa ciemne owale okularów w stronę Charis. Charis nie wie, co jej powiedzieć. Na studiach właściwie nie знаła Zeni, nigdy z nią nie rozmawiała – Zenia była starsza, daleko w przodzie przed Charis, trzymała się z tymi artystami, intelektualistami. Charis pamięta ją, piękną i pewną siebie, jak spacerowała po kampusie ze swoim chłopakiem Stewem, a później też z małą Tony. Jeśli chodzi o Tony, to Charis pamięta, jak Tony pewnej nocy poszła za nią, kiedy Charis wyszła posiedzieć pod drzewem na trawniku przed McClung Hall. Tony prawdopodobnie myślała, że Charis jest lunaticzką; oznaczało to pewną intuicję, ponieważ Charis rzeczywiście kiedyś chodziła we śnie, ale nie w tamtym momencie.

Ten uczynek Tony odsłonił jej dobre serce; wartość o wiele ważniejszą dla Charis niż akademickie postępy Tony, z których była znana. Zenia również była znana, ale ze względu na inne sprawy – przede wszystkim znano ją z tego, że żyła otwarcie ze Stewem w czasach, kiedy tak się nie robiło. Aż tyle się zmieniło. Teraz ludzi po ślubie uważa się za niemoralnych. „Komórkowce”, tak ich nazywają, od podstawowej komórki społecznej, albo „radioaktywni”, od rodziny nuklearnej; jakże daleki to odskok od „nie ma jak w domu”, według Charis – bardziej właściwego.

Zenia też się zmieniła. Nie jest już tylko szczupłą, jest chora, mało że chora, jest zastraszona, pobita, pokonana. Garbi się, jakby ze strachu, jej palce to niezgrabne pazury, kąciki ust opadają. Wydaje się, jakby ta poprzednia Zenia,

ładna Zenia, Zenia o rzucającym się w oczy ciele, została spalona, i pozostały same kości.

Charis nie lubi zadawać pytań – nie lubi wkraczać jak intruz w osobowość innych – ale Zeni tak bardzo brakuje energii, że nieprawdopodobne jest, by sama z siebie coś powiedziała. Charis wybiera coś niewścibskiego.

– Co sprowadziło cię na moje zajęcia? – pyta.

– Dowiedziałam się od przyjaciółki – wyjaśnia Zenia. Każde słowo przychodzi jej z trudem. – Myślałam, że mogą pomóc.

– Pomóc? – pyta Charis.

– Na raka – odpowiada Zenia.

– Na raka – powtarza Charis. Już nawet nie pyta, bo czyż nie widziała sama? Nie pomyliła się co do tej białości, chorobliwego błysku. Zachwianie duszy.

Zenia uśmiecha się chytrze.

– Raz go pokonałam – mówi – ale wrócił.

Teraz Charis coś sobie przypomina: czy Zenia nagle nie zniknęła pod koniec roku? To był drugi rok Charis w McClung Hall – wtedy to było; Zenia zniknęła bez wyjaśnień, rozplynęła się jak we mgle. Dziewczeta ciągle rozmawiały o tym przy śniadaniu, Charis przysłuchiwała się z rzadka, kiedy zadała sobie trud słuchania albo jedzenia śniadania. Nie miały wiele jedzenia odpowiedniego dla niej, co najwyżej otręby. Krążyły plotki, że Zenia uciekła z innym mężczyzną, zaprzeczając mieszkanie Stewa i kradnąc jego pieniądze. Dopiero teraz Charis odkrywa prawdę: to był rak. Zenia odeszła, nic nikomu nie mówiąc, ponieważ nie chciała wzbudzać sensacji. Odeszła, aby się leczyć, a do tego trzeba być samym, trzeba być wolną. Charis to rozumie.

– Jak tego dokonałeś, wtedy, za pierwszym razem? – pyta Charis.

– Co zrobiłam? – nieco ostro odpowiada pytaniem Zenia.

– Pokonałeś go – mówi Charis. – Raka.

– Zrobili mi operację – tłumaczy Zenia. – Wycięli... usunęli macicę, nigdy nie będę mogła mieć dzieci. Ale to nic nie pomogło, więc pojechałam w góry, zupełnie sama. Przestałam jeść mięso, skończyłam z alkoholem. Musiałam się tylko skoncentrować, skupić na wyzdrowieniu.

To wydaje się Charis jak najbardziej słuszne. Góry, niejedzenie mięsa.

– A teraz? – pyta.

– Myślałam, że jest mi lepiej – odpowiada Zenia. Zniżyła głos do chropowatego szeptu. – Myślałam, że jestem wystarczająco silna, więc wróciłam. Zamieszkałam ze Stewem... z Westem. Pozwoliłam, żeby wciągnął mnie w nasze stare życie, rozumiesz, on dużo pije... i rak wrócił. On tego nie

może znieść, naprawdę nie może! Wielu ludzi nie potrafi przebywać w pobliżu chorego, boją się choroby. – Charis kiwa głową; wie o tym, wie o tym bardzo dobrze, tę wiedzę ma w komórkach. – On po prostu zaprzecza temu, że za mną jest źle – kontynuuje Zenia. – Próbuje mnie zmuszać do jedzenia... dużych ilości steków i masła, samych zwierzęcych tłuszczów. Zbiera mi się od nich na wymioty, nie mogę, po prostu nie mogę.

– Och – wzdycha Charis. To okropna historia, do tego prawdziwa. Tak niewielu ludzi wie coś o tłuszczach zwierzęcych. Nie, gorzej – tak niewielu ludzi wie o czymkolwiek. – To okropne – mówi, co jest jedynie bladym odbiciem tego, co odczuwa. Jest zmartwiona, bliska łez, a przede wszystkim bezradna.

– Wtedy on się wścieka – mówi dalej Zenia. – Jest na mnie zły, a ja czuję się taka słaba... West nie cierpi, kiedy płaczę, wścieka się jeszcze bardziej. To on zrobił. – Wskazuje oko. – Tak się wstydzę, czuję się, jakby to była moja wina...

Charis stara się przypomnieć sobie Stewa, a raczej Westa, który zmienił imię tak nagle, zupełnie jak ona. Widzi wysokiego mężczyznę, zamkniętego w sobie, łagodnego jak żyrafa. Nie wyobraża sobie, aby mógł kogokolwiek uderzyć, a tym bardziej Zenię; ludzie miewają jednak złudne oblicza, szczególnie mężczyźni. Potrafią dobrze grać. Potrafią cię przekonać, że są bez zarzutu, że to oni mają rację, a nie ty. Potrafią oszukać każdego, a z ciebie zrobić kłamcę. Bez wątplenia West do takich należy. Wzbiera w niej pogarda, to początek gniewu. Gniew jest dla niej niezdrowy, odsuwa go więc od siebie.

– Mówi, że jeśli naprawdę mam raka, to powinnam poddać się następnej operacji albo chemioterapii – opowiada Zenia. – Ale ja wiem, że mogłabym się znowu sama wyleczyć, gdyby tylko... – milknie. – Chyba już więcej nie mogę tego wypić. – Odsuwa od siebie szklankę z sokiem. – Dziękuję... byłaś naprawdę miła. – Wyciąga rękę ponad stołem i dotyka dłoni Charis. Jej szczupłe, białe palce wyglądają na zimne, ale są gorące, gorące jak węgle. Odsuwa krzesło, bierze płaszcz i torebkę i odchodzi pospiesznie, nieomal się potykając. Głowę ma pochyloną, włosy spadają jej na twarz jak woalka. Charis jest przekonana, że Zenia płacze.

Charis chce się zerwać, pobiec za nią i przyprowadzić z powrotem. To pragnienie jest bardzo silne, niczym pięść na karku. Chce posadzić Zenię na krześle, położyć na niej obie dłonie i skupić całą energię, energię światła, wyleczyć ją tu, na miejscu. Wie jednak, że nie potrafi tego zrobić, i nie rusza się.

W piątek Zenia nie przychodzi na jogę. Charis jest zaniepokojona. Może upadła, może West znowu ją uderzył, i to nie raz. Może jest w szpitalu z licznymi obrażeniami. Charis wraca promem na Wyspę, martwi się przez całą drogę. Czuje się nieswojo: mogła przecież coś zrobić, coś powiedzieć, coś lepszego od tego, co zrobiła. Szklanka soku nie wystarczyła.

Tego wieczoru znowu powraca mgła, a z nią zimna mżawka. Charis rozpala ogień w piecu i włącza piec, Billy chce, żeby wcześniej poszła do łóżka. Myje zęby w zimnej łazience na parterze, kiedy słyszy stukanie do drzwi kuchennych. Myśli, że to ktoś z grupy Billy'ego z jakimś uciekinierem, którego trzeba będzie przemocować na kanapie. Musi przyznać, że jest nimi trochę znużona, i to z jednego powodu – nigdy nie pomagają przy zmywaniu naczyń.

To jednak nie uciekinier. To Zenia. Jej twarz w obramowaniu okna w drzwiach przypomina zdjęcie zanurzone w wodzie. Przemoczone włosy oblepiają twarz; szczęka zębami, nie ma okularów, oko, teraz fioletowe, wzbudza politowanie. Na ustach ma świeżą ranę.

Drzwi otwierają się jakby same. Na progu stoi Zenia, lekko się zataczając.

– Wyrzucił mnie – mówi szeptem. – Nie chcę ci przeszkadzać... Tylko nie wiedziałam, dokąd iść.

Charis w milczeniu wyciąga ramiona, Zenia pada prosto w nie.

Jest bezsłoneczne popołudnie. Charis jest w ogrodzie; obserwują ją kury, zerkając łakomie przez sześciokąty drucianego ogrodzenia, trzy kapusty wpatrują się w nią jak zielone główki goblinów, które wyszły na powierzchnię. Ogród w listopadzie ma wynędzniały, żalosny wygląd: zwiedłe nagietki, nasturcje o pożółkłych liściach, kikuty brokułów, niedojrzałe pomidory ścięte przez mróz i rozmiękle, ze srebrnymi ścieżkami pozostawionymi przez wędrujące ślimaki.

Charis nie przeszkadza ten roślinny galimatias. To wszystko fermentuje, użyźnia. Bierze łopate, wbija w ziemię, naciska prawą stopą w kaloszu Billy'ego i mocniej zagłębia. Wyciąga łopate, postępując. Przerzuca ziemię. Robaki uciekają z powrotem do swoich tuneli, zwija się biały pędrak. Charis chwyta go i bez skrpułów wrzuca na wybieg trajkoczącym kurom. Wszelkie życie jest uświęcone, ale kury są bardziej święte niż pędraki.

Kury podniecają się, tłoczą, znieważają nawzajem i gonią tę, która przejęła pędraka. Kiedyś Charis myślała, że byłoby dobrą lekcją duchową przestać karmić kury tym, czego sama nie je, z czasem doszła jednak do wniosku, że to nie miałyby sensu. Na przykład, kury potrzebują rozdrobnionych skoruppek, rozgniecionych kości, aby znosić jajka, a Charis nie.

Teraz jest nieodpowiednia pora na kopanie ogrodu. Powinna poczekać do wiosny, kiedy pojawiają się nowe chwasty; wtedy będzie musiała to zrobić jeszcze raz. Jednakże tylko dzięki tej pracy może pobyc chwilę sama – ani Zenia, ani Billy nie chcą z nią wychodzić. Każde z nich chce być z nią sam na sam, z dała od drugiego. Kiedy próbuje iść na spacer, chcąc być sama przez krótki czas, rzucają się do drzwi – Zenia skrycie, okrężnie; Billy jawnie, hałaśliwie. To jej bardzo przeszkadza. Na szczęście, żadne z nich nie ma szczególnej ochoty pomagać jej w kopaniu ogrodu. Billy nie lubi babrać się w błocie, jak mówi: po co tyle pracować, skoro są z tego tylko warzywa, Zenia, oczywiście, nie jest w formie. Czasami udaje się Zeni wyjść na krótki spacer, do jeziora i z powrotem, ale nawet to ją wyczerpuje.

Zenia jest z nimi już od tygodnia; w nocy śpi na kanapie, w dzień na niej odpoczywa. Wieczór, kiedy się zjawiała, był nieomal jak święto – Charis przygotowała dla niej gorącą kąpiel, dała jedną ze swoich białych, bawełnianych

nocnych koszul, powiesiła jej mokre rzeczy obok pieca, aby wyschły, a po kąpieli, gdy już włożyła koszulę, Charis otuliła ją kocem i posadziła na krześle obok pieca, uczesała jej włosy i dała gorącego mleka z miodem. Wykonanie tych czynności sprawiło Charis radość; poczuła, że jest kompetentna, miłosierna, pełna dobrej woli i dobrej energii. Sprawilo jej radość, że może przekazać tę energię komuś, kto tak jawnie jej potrzebuje, komuś takiemu jak Zenia. Jednakże zanim ulokowała Zenię na kanapie i sama poszła na górę do łóżka, odczuła złość Billy'ego, był na nią zły od samego początku. Wyraził się jasno, że nie chce widzieć Zeni w domu.

– Co ona tutaj robi? – zapytał szeptem pierwszej nocy.

– To tylko na trochę – odpowiedziała Charis, także szeptem, ponieważ nie chciała, aby Zenia ich usłyszała i poczuła się nie chciana. – Tylu już mieliśmy ludzi na tej kanapie. Co za różnica.

– Zasadnicza – powiedział Billy. – Oni nie mają dokąd pójść.

– Ona też nie – odparła Charis. Jednocześnie pomyślała, że różnica polega na tym, iż tamci są przyjaciółmi Billy'ego, a Zenia jest jej przyjaciółką, no, raczej jej odpowiedzialnością.

Tak było, zanim Billy zobaczył Zenię, zanim odezwał się do niej choć słowem. Następnego dnia rano burknął gburowato „Dobry” przy jajecznicy (nie z domowych jajek, niestety, bo kury przestały się nieść) i przy grzance z galaretką jabłkową, które Charis podała im obojgu. Billy prawie nie spojrział na Zenię, skuloną, jeszcze w koszuli Charis, otuloną kocem, popijającą słabą herbatę. Gdyby spojrział, myślała Charis, zmiękłby, ponieważ Zenia tak żałośnie wyglądała. Oko nadal miała sine i opuchnięte, na dłoniach można było policzyć niebieskie żyły.

– Wyrzucić ją stąd – powiedział Billy, kiedy Zenia poszła do łazienki. – Po prostu wyrzucić.

– Ciii – uspokajała go Charis. – Usłyszysz cię!

– Co my w końcu o niej wiemy? – buntował się Billy.

– Ona ma raka – mówiła Charis, jakby tylko tyle trzeba było o niej wiedzieć.

– W takim razie powinna być w szpitalu – odrzekł Billy.

– Ona im nie wierzy – tłumaczyła Charis, bo sama też nie wierzyła.

– Gówno – skwitował Billy.

Ta uwaga uderzyła Charis nie tylko jako niemilościwa i okrutna, ale i jako świętokradzka.

– Ma podbite oko – mruknęła. Oko było żywym dowodem czegoś, bezradności Zeni albo jej dobroci, a może jej statusu.

- Ja jej tego nie zrobiłem – złościł się Billy. – Niech się objada gdzie indziej. Charis nie umiała nawet powiedzieć, że to, kto jada w tym domu, zależy od niej, bo ona hoduje warzywa albo kupuje jedzenie.
- On mnie nie lubi, co? – pytała Zenia, kiedy Billy nie słyszał. Jej głos drżał, oczy napełniały się łzami. – Lepiej będzie, jak odejdę...
- Ależ lubi cię! Ma taki sposób bycia – pocieszała Charis. – Zostań tutaj!

Minęło sporo czasu, zanim Charis zrozumiała, dlaczego Billy był taki wrogi Zeni. Na początku myślała, że boi się jej – boi się, że go wyda, doniesie na niego, poinformuje niewłaściwych ludzi albo po prostu przypadkiem powie coś przy kimś, coś niedyskretnego. „Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami” – takiego powiedzenia używało się podczas wojny, tej starej wojny; widniało nawet na afiszach, a ciotka Viola przytaczała je jako żart pod koniec lat czterdziestych. Charis wyjaśniła więc Zeni, jak zagrożony czuje się Billy, jak trudno mu się żyje. Opowiedziała nawet Zeni wszystko o bombach, o wysadzaniu, o tym, że Billy’ego może zabrać policja. Zenia obiecała nikomu nie powtarzać. Mówiła, że doskonale rozumie.

- Będę uważać, z ręką na sercu – przyrzekła. – Ale, Karen... przepraszam, Charis... jak wmieszałaś się w to wszystko?
- Wmieszałam? – powtórzyła Charis.
- Z tymi uciekinierami – rzekła Zenia. – Rewolucjonistami. Nigdy nie zauważyłam, żebyś udzielała się politycznie na studiach. Choć w tej zbieraninie nie było żadnych rewolucjonistów.

Charis nigdy nie przyszło do głowy, żeby Zenia kiedykolwiek zwracała na nią uwagę, zwłaszcza wtedy, w tych zatartych już, półzapomnianych uniwersyteckich czasach, kiedy jeszcze była Karen. Charis nie uczestniczyła w niczym, nie wyróżniała się. Trzymała się na uboczu, w cieniu, ale okazało się, że Zenia zauważyła ją, uznała za wartą zauważenia, to ją ujęło. Zenia musiała być osobą bardziej wrażliwą, niż uważali ludzie.

- Nie udzielam się – wyjaśniła Charis. – Ani nie udzielałam. Zupełnie.
- Jak ja – przyznała Zenia. – Byłam zdecydowanie antyburżuazyjna, wtedy! Należałam do prawdziwej bohemy, włóczyłam się wszędzie. – Zmarszczyła lekko brwi i zaśmiała się. – Czemu nie, organizowali lepsze imprezy!
- Cóż – powiedziała Charis. – Nie jestem w nic wmieszana. Nic z tych spraw nie rozumiem. Po prostu mieszkam z Billym, to wszystko.
- Taka dziewczyna gangstera – podsumowała Zenia, która czuła się odrobinę lepiej. Jak na listopad, dzień był ciepły, więc Charis zdecydowała, że

Zenia może wyjść. Poszły nad jezioro popatrzeć na mewy; Zenia przeszła całą drogę, ani razu nie korzystając z ramienia Charis. Charis zaproponowała, że kupi jej nowe okulary przeciwsłoneczne – stare okulary Zenia zostawiła tej nocy, kiedy uciekła – ale właściwie już ich nie potrzebowała: oko zrobiło się żółtawoniebieskie, jak sprana plama po atramencie.

– Co? – zapytała Charis.

– Cholera – powiedziała Zenia z uśmiechem. – Jeżeli mieszkanie z kimś nie jest mieszaniem się, to nie wiem, czym jest. – Charis jednak nie obchodzi, jak ludzie określają różne rzeczy. Mimo to słuchała Zeni, obserwowała jej uśmiech.

Teraz Zenia uśmiecha się częściej. Charis czuje, jakby ten uśmiech był wyłącznie jej dziełem, dziełem Charis i pracy, jaką włożyła: napoje owocowe, sok z własnej kapusty z ogrodu, zmielonej dokładnie i przetartej przez sito, specjalne kąpiele przez nią przygotowywane, łagodne odprężające ćwiczenia jogi, ostrożnie dawkowane spacerzy na świeżym powietrzu. Wszystkie te pozytywne energie jednoczą się przeciw komórkom rakowym, dobrzy żołnierze przeciw złym, światło przeciw ciemności. Charis sama prowadzi codziennie medytacje, w imieniu Zeni, by uwidocznić dokładnie taki sam rezultat. I to jest skuteczne, naprawdę! Zenia ma więcej kolorów, więcej siły. Choć nadal jest słaba i bardzo szczupła, robi wyraźne postępy.

Wie o tym i jest wdzięczna.

– Tyle dla mnie robisz – mówi do Charis niemal codziennie. – Nie zasługuję na to. Przecież jestem zupełnie obca, wcale mnie nie znasz.

– Wszystko w porządku – odpowiada niezdarnie Charis. Rumieni się trochę, kiedy Zenia mówi takie rzeczy. Nie przywykła, aby ludzie jej dziękowali za to, co robi; jest przekonana, że to niekonieczne. Jednocześnie jednak to uczucie jest bardzo przyjemne. Boli ją to, że Billy nie okazuje choć odrobiny wdzięczności za to, co dla niego zrobiła. Zamiast tego dąsa się na nią i nie je boczku. Chce, aby robiła dwa śniadania – osobno dla Zeni i osobno dla niego – żeby nie musiał siedzieć rano z Zenią przy tym samym stole.

– Zbiera mi się na wymioty, gdy widzę, jak ona się do ciebie przyssała – powiedział wczoraj. Charis wie teraz, dlaczego on mówi takie rzeczy. Jest zazdrosny. Boi się, że Zenia stanie między nimi, że w jakiś sposób skupi na sobie całą uwagę Charis. To dziecinne z jego strony. Przede wszystkim on nie jest śmiertelnie chory i powinien już wiedzieć, że Charis go kocha. Charis dotyka jego ręki.

– Ona nie będzie tu na zawsze – tłumaczy. – Tylko dopóki nie poczuje się lepiej. Dopóki nie znajdzie jakiegoś miejsca dla siebie.

– Pomogę jej szukać – mówi Billy. Charis opowiedziała mu, że West podbił jej oko, ale Billy nie zareagował współczująco. – Podbiję jej drugie – tak właśnie powiedział. – Szast-prast, dziękuję pani, cała przyjemność po mojej stronie.

– Nie jest to zbyt pacyfistyczne z twojej strony – zarzuciła mu Charis.

– Nigdy nie mówiłem, że jestem cholernym pacyfistą – oburzył się Billy. – Tylko dlatego, że jedna wojna jest zła, nie znaczy, że wszystkie są złe!

– Charis! – Zenia zawołała niespokojnie z dużego pokoju. – Czy radio jest włączone? Słyszałam jakieś głosy. Właśnie się zdrzemnęłam.

– Nie mogę nawet splunąć we własnym domu, cholera – syczy Billy.

W takich momentach Charis wychodzi kopać do ogrodu.

Wbija łopatę, unosi, przewraca ziemię, przerywa, aby poszukać pędraków. Rozlega się za nią głos Zeni.

– Jesteś taka silna – mówi tęsknie Zenia. – Ja kiedyś też byłam silna. Unosiłam trzy walizki.

– I znowu będziesz – odpowiada Charis najserdeczniej jak może. – Wiem to na pewno!

– Może – wzdycha Zenia cichym, smutnym głosem. – Brakuje mi tylu zwykłych, codziennych rzeczy. Rozumiesz?

Charis nagle czuje się winna temu, że kopie własny ogród, a raczej że powinna czuć się winna. Tak samo jest przy innych czynnościach: szorowaniu podłogi, pieczeniu chleba. Zenia podziwia, jak Charis wykonuje te rzeczy, ale w tym zachwycie jest melancholia. Niekiedy Charis wyczuwa, że jej własne, zdrowe, harmonijne ciało jest wyrzutem wobec słabego ciała Zeni, że Zenia ma jej to za złe.

– Nakarmimy kury, dobrze? – proponuje. Karmieniu kur Zenia potrafi sprostać. Charis przynosi karmę w puszcze po kawie, Zenia rozsypuje ją, garść po garści. Uwielbia kury, tak mówi. Są takie pełne życia! Są ucieleśnieniem siły witalnej, prawda?

Charis robi się nerwowa podczas takich rozmów. Są zbyt abstrakcyjne, zbyt uniwersyteckie. Kury nie są ucieleśnieniem niczego innego, tylko kurowatości. To, co konkretne, jest abstrakcyjne. Tylko jak wytłumaczyć to Zeni?

– Zrobię sałatkę – mówi zamiast tego.

– Sałatkę Siły Witalnej – uzupełnia Zenia i śmieje się. Po raz pierwszy Charis nie jest zadowolona, słysząc jej śmiech, nie wita go tak jak powinna. Jest w tym coś, czego nie rozumie. Jak dowcip, w którym nie wie, o co chodzi.

Salatka składa się z rodzyneków i tartej marchwi, doprawionej cytryną i miodem. Marchew jest domowa, ze skrzynki z wilgotnym piaskiem z piwnicy-przybudówki; już zaczęła wypuszczać białe wąsy, co znaczy, że żyje. Charis i Zenia jedzą sałatkę, fasolę i gotowane ziemniaki, jedzą same, ponieważ Billy, jak mówi, musi wyjść tego wieczoru. Ma zebranie.

– Często ma te zebrania – mruczy Zenia, gdy Billy nakłada kurtkę. Przestała starać się być dla niego miła, jako że nie uzyskiwała pozytywnych rezultatów. Teraz zaczęła mówić o nim w trzeciej osobie, nawet kiedy stoi obok. To tworzy koło, koło języka, wewnątrz którego znajdują się Zenia i Charis, a na zewnątrz Billy. Charis nie chce, żeby ona tak robiła; z drugiej strony Billy powinien obwiniać o to tylko siebie.

Billy rzuca jej pogardliwe spojrzenie.

– Przynajmniej nie siedzę na tyłku, jak niektórzy – mówi ze złością. On też rozmawia jedynie z Charis.

– Bądź ostrożny – prosi Charis. Ma na myśli podróż do miasta, ale Billy traktuje to jako wymówkę.

– Baw się dobrze z twoją chorą przyjaciółką – mówi niegrzecznie. Zenia śmieje się do siebie, lekko, gorzko. Drzwi zatrząskują się za nim, aż drżą szyby w oknach.

– Chyba powinnam się wynieść – oświadcza Zenia, kiedy jedzą mus jabłkowy, zrobiony przez Charis wczesną jesienią.

– Ale gdzie byś mieszkała? – pyta Charis, zmieszana.

– Och, coś bym znalazła – odpowiada Zenia.

– Ale nie masz pieniędzy! – mówi Charis.

– Mogłabym znaleźć jakąś pracę – tłumaczy Zenia. – W tym jestem dobra. Zawsze gdzieś mogę komuś lizać dupę, wiem, jak zdobyć pracę. – Kaszle, kryjąc twarz w dłoniach o patykowatych palcach. – Przepraszam – mówi. Pije mały łyk wody, jak kura.

– Och, nie – sprzeciwia się Charis. – Tego nie możesz zrobić! Jeszcze nie wyzdrowiałas! Ale wkrótce będziesz zdrowa, zobaczysz – dodaje, ponieważ nie chce, by jej słowa zabrzmiały negatywnie. Wzmacniać należy zdrowie, nie chorobę.

Zenia lekko się uśmiecha.

– Może – mówi. – Ale Karen, naprawdę... nie martw się o mnie. To nie twój problem.

– Charis – poprawia ją Charis. Zenia ma kłopoty z zapamiętaniem jej prawdziwego imienia.

A właśnie, że tak, to jest jej problem, ponieważ wzięła go na siebie.

Wtedy Zenia mówi coś jeszcze gorszego.

– To nie chodzi tylko o to, że on mnie nienawidzi – mówi. Wsuwa język i zlizuje sok jabłkowy z czubka łyżeczki. – Prawda jest taka, że nie może utrzymać ręk z dala ode mnie.

– West? – pyta Charis. Po plecach przebiega jej zimny dreszcz.

Zenia uśmiecha się.

– Nie – wyjaśnia. – Myślę o Billym. Na pewno to zauważyłaś.

Charis czuje, jak jej twarz tężeje z przerażenia. Nic nie zauważyła. Tylko dlaczego? Teraz, kiedy Zenia jej powiedziała, wszystko staje się jasne – ta energia, która emanuje z opuszków palców Billy’ego i włosów, gdy tylko Zenia jest w pobliżu. Emanacja energii seksualnej. Jak u kotów.

– Co masz na myśli? – pyta.

– Chce zaciągnąć mnie do łóżka – tłumaczy Zenia. W jej głosie pobrzmiwa żal. – Chce mnie zerznąć.

– Kocha cię? – pyta Charis. Jej całe ciało stało się luźne, jakby wszystkie kości zniknęły. Czuje strach. Billy mnie kocha, protestuje bezgłośnie. – Billy mnie kocha – mówi zdławionym głosem. – Tak twierdzi. – Sama sobie wydaje się skamlącym dzieckiem. Kiedy Billy mówił to ostatni raz?

– Oj, to nie miłość – łagodnie oponuje Zenia. – Nie to, co czuje do mnie. To nienawiść. Czasami mężczyznom trudno to rozróżnić. Ale ty wiedziałaś o tym, co?

– O czym mówisz? – szepcze Charis.

Zenia wybuchła śmiechem.

– No, już, nie jesteś dzieckiem. On kocha twoją pupę. Albo jakąś inną część ciała, skąd mam wiedzieć? W każdym razie, nie twoją duszę, nie ciebie. Gdybyś mu nie dała, to sam by sobie wziął. Obserwuję go, to łakomy skurwiel, oni wszyscy w głębi serca to gwałciciele. Ty jesteś niewinna, Karen. Uwierz mi, jest tylko jedna rzecz, której mężczyzna chce od kobiety, i to jest seks. Ile za to od nich wyciągniesz, to bardzo ważna sprawa.

– Nie mów tak – przerywa jej Charis. Czuje, jak coś w niej pęka, przewraca się, wielki, opalizujący balon, rozdarty i poszarzały niczym przebite płuco. Co zostanie, jeżeli odbierze się miłość? Jedyne brutalność, jedynie wstyd, zaciekłość, ból. Co wtedy będzie z jej podarunkami, ogrodem, kurczakami, jajkami? Wszystkimi aktami troskliwej opieki? Trzęsie się cała, odczuwa mdłości.

– Jestem tylko realistką, to wszystko – odzywa się Zenia. – Jedynym powodem, dla którego chce wetknąć we mnie swojego fiuta, jest to, że nie może. Nie martw się, zapomni o wszystkim, jak wyjadę. Oni mają krótką

pamięć. Dlatego chcę odejść, Karen... ze względu na ciebie. – Ciągłe jest uśmiechnięta. Patrzy na Charis, jej twarz, poza słabym światłem żarówki, znajduje się w ciemności, tylko oczy połyskują czerwono jak światła samochodu. To spojrzenie przenika Charis coraz głębiej. To zrezygnowane spojrzenie. Zenia zaakceptowała własną śmierć.

– Ale ty umrzesz – mówi Charis. Nie może na to pozwolić. – Nie poddawaj się! – Zaczyna płakać. Chwyta Zenię za rękę, albo Zenia chwyta ją, i obie trzymają się mocno ponad stołem z brudnymi naczyniami.

W nocy Charis leży i nie śpi. Billy wrócił długo po tym, jak się położyła, ale nie sięgnął po nią. Odwrócił się i odgrodził. Zasnął. Teraz często tak się zdarza. Wygląda, jakby się pokłócili. Charis wie, że jest jeszcze inny powód: on jej nie chce. Chce Zeni.

Jednakże Billy pragnie Zeni jedynie ciałem. Dlatego jest dla niej taki niegrzeczny – ciało oddzieliło się od ducha. Dlatego jest taki chłodny wobec Charis: jego ciało chce, aby Charis zeszła z drogi, aby mógł chwycić Zenię, pchnąć ją na blat w kuchni, pościć wbrew jej woli, mimo jej choroby. Może on sam nie wie, że tego właśnie pragnie, ale tak jest.

Zerwał się wiatr. Charis wsłuchuje się w szum nagich gałęzi, w pluskanie zimnych fal o brzeg. Ktoś zbliża się do niej poprzez jezioro, ona stoi w postrzępionej koszuli nocnej, z rozwianymi, bezbarwnymi włosami. Charis zamyka oczy, starając się skupić na tym obrazie, starając się zobaczyć, kto to jest. W swojej głowie widzi blask księżyca za przemykającymi chmurami. Nagle niebo rozjaśnia się i Charis widzi twarz.

To Karen, wygnana Karen. Pokonała długą drogę. Teraz zbliża się, z zastraszoną, bezsilną twarzą, jaką Charis przywykła dawniej oglądać w lustrze i jaką zastąpiła swoją własną twarzą; nadciąga do jej domu, gnana wiatrem poprzez ciemność, niczym wypędzony duch, zbliża się do jej domu, do miejsca, w którym czuje się bezpiecznie; domaga się wejścia w nią, powrotu do niej, podzielenia się jej ciałem raz jeszcze.

Charis to nie Karen. Nie była Karen przez dłuższy czas i nie chce nią być znowu. Odpycha ją z całej siły, spycha do wody, ale tym razem Karen nie zanurza się. Unosi się na powierzchni, coraz bliżej i bliżej, otwiera usta. Chce przemówić.

Karen urodziła się niewłaściwym rodzicom. Jak mawiała babcia Karen, tak mogło się stać, a Charis w to wierzy. Tacy ludzie muszą długo szukać, aby odnaleźć i rozpoznać swych właściwych rodziców, albo muszą przejść przez życie bez nich.

Karen miała siedem lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyła swoją babkę. W tym dniu była ubrana w bawełnianą sukienkę z fałdą z przodu i z szarfą. Na końcach białych warkoczyków, zaplecionych tak mocno, że czuła się, jakby miała skośne oczy, zawiązane były kokardy. Matka nakrochmalila sukienkę, więc była sztywna i trochę klejąca z powodu parnego, czerwcowego upału. Pojechały pociągiem; kiedy Karen wstała z pluszowego siedzenia, musiały odkleić sukienkę od nóg. Bolało, ale wiedziała, że lepiej nic nie mówić.

Matka miała na sobie płócienny komplet w kolorze kości słoniowej; sukienkę bez rękawów i żakiet z krótkim rękawem. Do tego dobrała kolorystycznie słomkowy kapelusz, białą torbę, buty i parę białych bawełnianych rękawiczek, które trzymała w ręku.

– Myślę, że się ucieszysz – powtarzała nerwowo do Karen. – W pewnym sensie jesteś bardzo podobna do swojej babci.

To było dla Karen coś nowego, ponieważ przez długi czas jej matka i babka w ogóle z sobą nie rozmawiały. Podśluchała, że matka uciekła z farmy, mając zaledwie szesnaście lat. Ciężko pracowała i zaoszczędziła tyle, że mogła pójść do szkoły i zostać nauczycielką. Zrobiła to, aby wydostać się spod ręki matki, tej starej wariatki. Nawet końmi by jej nie zaciągnęli na tę stertę gnoju, przynajmniej tak mówiła.

A jednak jechały teraz na farmę, której matka Karen tak bardzo nienawidziła, z letnimi rzeczami dla Karen ułożonymi starannie w walizce i torbą podrózną matki obok – na półce ponad głowami. Mijały pola uprawne, osamotnione domy, szare, zapadające się obory, stada krów. Matka Karen nie cierpiała krów. W jednej ze swych opowieści mówiła o wstawaniu zimą przed wschodem słońca i wychodzeniu do krów w zadymce śnieżnej. „Tobie krowy się spodobają” – powiedziała teraz przesłodzonym głosem, jakim mówiła w szkole w drugich klasach. Sprawdziła szminkę w lusterku puderniczki i uśmiechnęła się do Karen, by sprawdzić, jak to przyjmuje. Karen też się

niepewnie uśmiechnęła. Przywykła do uśmiechania się, nawet kiedy nie miała na to ochoty. We wrześniu pójdzie do drugiej klasy; miała nadzieję, że nie do swojej matki.

To nie był jej pierwszy pobyt poza domem. Poprzednio wysyłano ją do ciotki Violi, starszej siostry matki. Czasem zostawała tylko na noc, ponieważ matka gdzieś wychodziła, czasem na całe tygodnie, zwłaszcza latem. Jej matka potrzebowała latem długiego odpoczynku ze względu na nerwy. „Cóż, kto miałby przy tym wszystkim nerwy?” – mawiała ciotka Vi, jakby matka Karen nie mogła czegoś innego się spodziewać. Mówiła to do wujka Verna, ale zerkąła na Karen, jakby to właśnie ona przyczyniała się do tych nerwów. Oczywiście, nie wszystko było winą Karen, ponieważ starała się robić to, co jej kazano; niekiedy popełniała jednak błędy. Były jeszcze inne sprawy, jak chodzenie we śnie, ale na to nic nie mogła poradzić. Przyczyną nerwów była wojna. Ojciec Karen zginął na wojnie, zanim Karen się urodziła. Zostawił żonę, aby sama wychowywała Karen, co uznawano za bardzo trudne, niemal niemożliwe. Było coś jeszcze, co miało związek ze ślubem matki, a właściwie z jego brakiem. To czy ojciec i matka faktycznie byli małżeństwem, było jedną ze spraw, które trapiły Karen, chociaż matka nazywała siebie panią i nosiła obrączkę. Nie było żadnych zdjęć ze ślubu, ale podczas wojny takie sprawy załatwiano inaczej; wszyscy tak mówili. W głosie ciotki Vi było coś, co niepokoiło Karen: była kimś, kogo trzeba było się wstydzić, o kim mówiło się wymijająco. Nie była bękartem, ale nosiła jego piętno.

Karen nie tęskniła za zmarłym ojcem, bo jak można tęsknić za kimś, kogo się nie znało? Matka mówiła jednak, że powinna tęsknić. W domu było jego zdjęcie w ramce – był na nim sam w mundurze, bez matki, jego wydłużona twarz nadawała mu wygląd kogoś, kto już nie żyje. Zdjęcie znikало z półki nad kominkiem i powracało w zależności od stanu zdrowia matki. Kiedy miała ochotę na nie patrzeć, stało nad kominkiem, w przeciwnym razie – nie. Karen wykorzystywała zdjęcie ojca jako swego rodzaju prognozę pogody. Kiedy znikало, wiedziała, że będą kłopoty i starała się nie wchodzić matce w drogę, pod nogi, we włosy (droga, nogi, włosy, jak ona mogła być jednocześnie w tych wszystkich miejscach?). Jednakże nie zawsze jej się to udawało albo udawało nie dość dobrze. Matka oskarżała ją wtedy o marzenia na jawie, o to, że jej nie pomaga, nie przejmuje się, nie dba o nikogo, tylko o siebie, jej głos brzmiał coraz wyżej, dochodził niebezpiecznie, jak słupek rtęci w termometrze, do czerwonej kreski.

Karen starała się pomagać, przejmować się. Chciałaby się przejmować, tylko że nie wiedziała, czym.

Poza tym było tyle rzeczy, które musiała obserwować z powodu kolorów, i tyle innych zjawisk, w które musiała się wsłuchiwać. Na całe godziny przed burzą, kiedy niebo było jeszcze bezwietrzne i błękitne, wyczuwała szept odległej błyskawicy, przebiegający po ramionach. Słyszała telefon, zanim zadzwonił; słyszała ból, gromadzący się w rękach matki, wzbierający jak woda przed tamą, gotowy rozlać się – stała wtedy przerażona na środku pokoju, wbijała wzrok w jakieś miejsce i wyglądała – jak mówiła matka – jak idiotka. „Głupia!” Może była głupia, bo czasem nie rozumiała, co się do niej mówi... Nie słyszała słów, słuchała tego, co było obok nich; słuchała za to twarzy i tego, co było poza nimi. W nocy budziła się, stojąc przy drzwiach i trzymając kłamkę, dziwiło ją, jak się tu dostała.

„Dlaczego to robisz? Dlaczego?” – powtarzała matka, potrząsając nią, Karen nie umiała odpowiedzieć. „Mój Boże, co za idiotka z ciebie! Nie wiesz, co mogło ci się tam stać?” Karen nie wiedziała, a matka krzyczała: „Ja cię nauczę! Mała suko!” Biła Karen po nogach butem, łopatką albo kijem od miotły, cokolwiek było pod ręką; z jej ciała wylewało się wtedy gęste, czerwone światło, jego część przechodziła na Karen, która wiała się i krzyczała.

– Gdyby żył twój ojciec, on by to robił, cholera, wtedy bardziej by bolało, możesz mi wierzyć! – Bicie Karen było jedyną czynnością, jaką matka przeznaczała dla ojca, Karen po cichu cieszyła się, że go nie ma.

Zazwyczaj matka Karen nie używała takich słów jak „Bóg” czy „suka”, nie przeklinała; zdarzało się to tylko wtedy, gdy zbliżała się do pola nerwów. Karen bardzo płakała, kiedy matka ją biła, nie dlatego jednak że bolało, ale dlatego że chciała pokazać, jak jej przykro, chociaż zupełnie nie wiedziała, dlaczego. Poza tym, jeżeli nie płakała, matka tak długo ją biła, aż wybuchała płaczem. „Ty uparta dziewczyno!” Jednakże Karen musiała przestać płakać we właściwym momencie, bo inaczej matka biłaby ją za to, że płacze. „Przestań płakać! Natychmiast!” Czasem Karen nie mogła przestać i jej matka też; to były najgorsze momenty. Matka nic na to nie mogła poradzić. To przez jej nerwy.

Potem matka padała na kolana i obejmowała ciało Karen, ścisła ją tak, że Karen ledwo mogła oddychać. Matka płakała i powtarzała: „Przepraszam, kocham cię, nie wiem, co we mnie wstąpiło, przepraszam!” Karen starała się powstrzymać płacz, próbowała się uśmiechnąć, ponieważ matka ją kochała. Jeżeli ktoś cię kocha, wszystko jest w porządku. Matka Karen codziennie spryskiwała się perfumami „Tabu”; panicznie bała się brzydko pachnieć. W czasie tego lania w pokoju roznosił się zapach ciepłego „Tabu”.

Ciotka Karen, Vi, nie bardzo lubiła Karen, ale przynajmniej jej nie dotykała, w

jej domu nie było źle. Karen spała w pokoju gościnnym, gdzie na zasłonach były wielkie, niepokojące róże, pomarańczowe i różowe, wielkie jak kalafiory. Trzymała się na uboczu, tak jak tylko potrafiła. Bez proszenia pomagała przy zmywaniu, układała złożone chusteczki w górnej szufladzie biurka, a skarpetki parami, i nie brudziła się.

– To dosyć miłe dziecko, ale to nie wszystko – mówiła ciotka Vi przez telefon. – Jest taka nijaka. Cóż, nakarmię ją, opiorę, to nie problem. W każdym razie to tylko chrześcijańska przysługa i nie dlatego, że nie mamy własnych dzieci. Nie mam nic przeciwko temu, naprawdę.

Wujek Vern posuwał się dalej.

– Gdzie jest moja dziewczynka? – wykrzykiwał. Chciał, aby Karen siadała mu na kolanie, drapał ją w głowę, zbliżał twarz do jej twarzy, śmiał się do niej, laskotał pod pachami. Karen tego nie lubiła, ale śmiała się nerwowo, ponieważ wiedziała, że on tego chce. – Fajnie się bawimy, co? – powtarzał niesforne, ale sam w to nie wierzył, był tylko przekonany, że właśnie tak powinien się wobec niej zachowywać.

– Nie czepiaj się jej – mówiła chłodno ciotka Vi.

Wujek Vern miał skórę białą na wierzchu, ale czerwoną pod spodem. W niedzielne popołudnia, kiedy ciotka Vi szła do kościoła, kosił trawnik w krótkich spodenkach i robił się jeszcze bardziej czerwony, chociaż światło wokół jego ciała było przyćmione i błotnisto zielonobrazowe. Rano, kiedy Karen jeszcze leżała w łóżku, słyszała, jak stęka i pojękuje w łazience. Przykrywała wtedy uszy poduszką.

– Chodziła we śnie, ale nie za dużo – relacjonowała ciotka Vi przez telefon. – Wszystkie drzwi zamykam na klucz, nie może się wydostać. Nie wiem, o co Gloria robi tyle szumu. Oczywiście, nerwy ma jak postronki. Jak została... no, sama z dzieckiem, w taki sposób... poczuwam się do pomocy. W końcu jestem jej siostrą. – Mówiąc to, ściszyła głos, jakby to była tajemnica.

Ciotka i wujek nie mieszkali w mieszkaniu, tak jak jej matka, lecz w domu na przedmieściu, w nowym domu, gdzie wszystkie podłogi wyłożone były dywanami. Wujek Vern pracował w firmie sprzedającej wyposażenie domów. Panowało duże zapotrzebowanie na wyposażenie wnętrz, ponieważ wojna dopiero co się skończyła, toteż wujkowi dobrze się powodziło. Właśnie teraz wujek Vern i ciotka Vi wyjechali na wakacje, na Hawaje. Dlatego Karen nie mogła zostać z nimi i musiała pojechać do babci.

Musiała, gdyż jej matka potrzebowała odpoczynku. Bardzo potrzebowała; Karen wiedziała, jak bardzo. Kiedy odklejała od ud nakrochmaloną sukienkę, oderwała też trochę skóry, ponieważ zeszłego wieczoru matka użyła łopatkę do

naleśników, ale nie płaską stroną; użyła ostrego brzegu i pojawiła się krew.

Babcia przyjechała po nie na stację zniszczoną, niebieską półciężarówką.

– Jak się masz, Gloria – przywitała matkę Karen, podając jej rękę, jakby były nieznajomymi. Babcia miała duże, opalone dłonie i taką samą twarz, na głowie przerzedzone, szaro-białe gniazdko. Jak Karen po chwili się zorientowała, były to jej włosy. Miała na sobie kombinezon, wcale nie czysty. – A to jest mała Karen. – Pochyliła nagle wielką, pomarszczoną twarz z orlim nosem i jasniebieskimi oczami pod krzaczastymi brwiami. Ukazały się też jej zęby, duże, nienaturalnie duże, i tak białe, że nieomal świecące. Uśmiechała się. – Nie mam zamiaru ciebie zjeść – powiedziała do Karen. – Nie dzisiaj. Jesteś za chuda, i tak... będę musiała cię podtuczyć.

– Och, mam – odezwała się z wyrzutem matka Karen, mówiła słodkim głosem dla klas drugich. – Ona nie wie, że ty żartujesz.

– To lepiej niech się dowie szybko – odparła babcia. – Po części to prawda. Jest za chuda. Gdybym miała taką jałówkę, można by powiedzieć, że ją głodzę.

Na siedzeniu ciężarówki, na brudnym pledzie leżał biało-czarny owczarek szkocki.

– Glennie, do tyłu! – zawołała babcia, pies nadstawił uszu, pomachał ogonem, wyskoczył z szoferki i po tylnym zderzaku wdrapał się na platformę. – Do środka – powiedziała babcia, chwytając Karen, jakby była workiem, i wrzucając na siedzenie. – Zrób miejsce dla mamy. – Karen posunęła się; zabolalo, przez ranę na nogach. Matka Karen spojrzała z wahaniem na psią sierść. – Wsiadaj, Gloria – rzekła oschle babcia. – Jest tak samo brudno, jak zawsze.

Jechała szybko, gwizdząc przy tym niemelodyjnie, z łokciem wystawionym przez okno. Obydwa okna były otwarte i kurz wpadał do środka, ale mimo to w kabinie czuć było starym psem. Matka Karen zdjęła biały kapelusz i częściowo wysunęła głowę na zewnątrz. Karen, ściśniętej między kobietami, zrobiło się niedobrze, próbowała sobie wyobrazić, że jest psem, ponieważ wtedy mogłaby uznać ten zapach za miły.

– Do domu, znowu do domu – podśpiewywała radośnie babcia. Skręciła raptownie na wyboisty podjazd i Karen zobaczyła w zachwaszczonej trawie przed domem wielki szkielet, chyba dinozaura. To coś było rdzawoczerwone, miało ostre kręgi i liczne kości sterczące do góry. Chciała zapytać, co to takiego, ale jeszcze bała się babci. Ciężarówka zatrzymała się; wokół panował zgiełk, rozlegało się szczekanie, syczenie, gdakanie i chrząkanie. Babcia

krzyczała. – Uciekać, sio, sio, dzieciarnia!

Karen nie mogła wyrzeć, więc popatrzyła na matkę. Matka siedziała wyprostowana, z kapeluszem na kolanach, oczy miała mocno zamknięte, miała białe rękawiczki.

W oknie samochodu pojawiła się twarz babci.

– Och, nie, na miłość boską, Gloria, to tylko gęsi – powiedziała, szarpiąc za drzwiczki.

– Te gęsi to mordercy – rzekła matka Karen, ale wygramoliła się z ciężarówki. Karen pomyślała, że matka nie powinna była wkładać białych butów, ponieważ podwórko przed domem to nie trawnik, tylko błoto, w niektórych miejscach wyschłe, w innych nie, i wszędzie walają się kupy różnych zwierząt. Teraz były już dwa psy, biało-czarny collie i drugi, większy, brązowo-biały; właśnie zaganiały stado gęsi do stodoły, szczekając i machając gęstymi ogonami. Dookoła bzyczało mnóstwo much.

– Pewno, mogą dziobnąć – przyznała babcia Karen. – Trzeba się im tylko przeciwstawić! Pokazać siłę woli! – Sięgnęła po Karen, która powiedziała, że sama wysiądzie. – O, tak właśnie trzeba – pochwaliła babka. Matka Karen poszła przodem, w jednej ręce niosła torbę, a drugą wymachiwała, by odgonić muchy. Na wysokich obcasach ostrożnie wybierała drogę pośród kup. Babcia wykorzystała okazję, by powiedzieć: – Twoja matka zawsze miała słabą głowę. Histeryczka. Mam nadzieję, że ty taka nie jesteś.

– Co to jest? – zapytała Karen. Nabrała nieco odwagi, ponieważ zrozumiała, że tego się od niej oczekuje.

– A co? – spytała babcia. O jej nogę opierała się średniej wielkości świnia. Okropnym ryjem obwąchiwała skarpetki Karen, ryjem wilgotnym i delikatnym jak oko, mokrym jak usta. – To tu? To Pinky. Świnka.

– Nie – odparła Karen. Wiedziała, że to świnia, widziała na obrazkach. – To duże, przed domem.

– Stary kultywator – odpowiedziała babcia. Karen zaczęła się zastanawiać, co to jest kultywator. – No, chodź! – Babcia ruszyła w stronę drzwi z walizką Karen pod pachą, a Karen potruchtała za nią. Z oddali dochodziło szczekanie i gdakanie. Świnka doszła za nimi aż do drzwi, a za chwilę, ku zdziwieniu Karen, weszła do środka. Prosiak umiał otworzyć ryjem drzwi z siatki.

Znalazły się w kuchni, w której nie było sterty śmieci, jak wyobrażała sobie Karen. Stał tu owalny stół przykryty ceratą – jasnozieloną w truskawki – z dużym imbrykiem na środku i kilkoma brudnymi talerzami. Wokół niego znajdowało się kilka krzeseł pomalowanych na zielono. Był również piecyk na drewno i zapadnięta, aksamitna sofa, zarzucona gazetami. Na podłodze również

leżały gazety, a na nich pognieciona narzuta.

Matka Karen siedziała na bujanym fotelu przy oknie, wyglądała na wyczerpaną. Płócienna garsonka była bardzo pognieciona. Zdjęła już buty, wachlowała się kapeluszem. Kiedy do kuchni weszła świnka, wydała z siebie słaby krzyk.

– W porządku, jest przyzwyczajona do domu – uspokajała babcia.

– Są granice – powiedziała matka Karen; głos miała napięty, wściekły.

– Jest czystsza od wielu ludzi – mówiła babcia. – Nawet mądrzejsza. W każdym razie, to jest mój dom. W swoim możesz robić, co chcesz. Nie prosiłam, abyś tu przyjeżdżała, i nie poproszę, abyś wyjechała, ale kiedy tu jesteś, musisz przyjąć sprawy takimi, jakimi są.

Podrapała prosiaka za uszami i klepnęła w zad; świnka chrząknęła cicho, zerknęła na nią, odeszła i padła na narzutę. Matka Karen wybuchnęła płaczem, wstała z trudem z bujaka i w samych pończochach ruszyła do drzwi, przyciskając zmięte rękawiczki do oczu. Babcia zaśmiała się.

– Już dobrze, Gloria! – zawołała. – Pinky nie umie chodzić po schodach.

– Dlaczego nie? – odezwała się Karen. Mówiła nieomal szeptem. Nigdy nie słyszała, żeby ktokolwiek mówił do jej matki w taki sposób.

– Ma za krótkie nogi – wyjaśniła babcia. – A teraz możesz zdjąć tę sukienkę, jak masz jakieś inne ubranie, i pomóc mi myć ziemniaki. – Westchnęła. – Powinnam była mieć synów.

Karen otworzyła walizkę i wyjęła długie bawełniane spodnie. Przebrała się w nie w pomieszczeniu, które babcia nazywała tylną werandą. Nie chciała wkładać krótkich spodenek ze względu na pokaleczone nogi. To była tajemnica między nią i matką. Nie miała nikomu mówić ani o miotle, ani o łopacie do naleśników, bo mogłyby z tego wyniknąć kłopoty, tak jak wtedy, gdy matka uderzyła w twarz chłopca z drugiej klasy i nieomal straciła pracę, a co by wtedy jadły?

– Później pokażę ci twój pokój, kiedy Gloria przestanie się mazać – powiedziała babcia. Karen pomogła jej myć ziemniaki. Zrobiły to w mniejszej kuchni, przyległej do tej dużej, gdzie znajdował się elektryczny piecyk, i blaszany zlew z kranem z zimną wodą. Razem z nimi weszła świnka, chrząkała przymilnie, ale ją odegnano. – Nie teraz, Pinky – rzekła babcia. – Nie może jeść za dużo surowych ziemniaków, to jej szkodzi, chociaż bardzo jej smakują. Lubi też sobie popić; ale to też jej szkodzi. Większość zwierzaków lubi sobie popić, jak ma okazję.

Na obiad były gotowane ziemniaki i potrawka z kurczaka. Karen wcale nie była mocno głodna. Ukradkiem dawała jedzenie prosiakowi i dwu psom pod

stołem. Babcia zauważyła to, ale nie sprzeciwiła się, więc Karen wiedziała, że to nic złego.

Matka zeszła na obiad, nadal była w płóciennym kostiumie; umyła twarz, na nowo wymalowała usta, zastygłe w ponurym grymasie. Karen знаła tę minę: oznaczała, że skończy z tym, „bo inaczej”. Bo inaczej co? Bo inaczej sprawy nie potoczą się tak dobrze dla Karen.

– Mamo, są tu jakieś serwetki? – zapytała matka Karen. Wykrzywiła usta w uśmiechu, jakby ktoś podciągnął jej kąciki ust.

– Co takiego? – zapytała babcia.

– Chusteczki – wyjaśniła matka.

– Gloria paniusia, wytrzymaj usta rękawem – odparła babka.

Matka Karen zmarszczyła nos do Karen.

– Widzisz tu jakieś rękawy? – zapytała. Nie miała na sobie żakietu, więc ramiona były odsłonięte. Znalazła nowy sposób: postanowiła traktować babcie na wesoło.

Babka dostrzegła jej minę i zmarszczyła brwi.

– Są w kredensie, w szufladzie. Te same co zawsze – powiedziała. – Nie jestem dzikuską, ale to nie jest proszony obiad. Jak ktoś chce, to może sobie wziąć.

Na deser był mus jabłkowy, po nim mocna herbata z mlekiem. Babcia podała Karen filiżankę, ale matka zaoponowała:

– Och, mamo, ona nie pije herbaty.

– Teraz pije – odpowiedziała babcia.

Karen pomyślała, że zacznie się kłótnia, ale babcia dodała:

– Skoro zostawiasz ją u mnie, to znaczy, że zostawiasz ją u mnie. Oczywiście, zawsze ją możesz zabrać. – Matka Karen ucichła, zaciskając usta.

Kiedy babka Karen skończyła jeść, wrzuciła kości z talerzy z powrotem do garnka i postawiła talerze na podłodze. Zwierzęta stłoczyły się wokół nich, liżąc i siorbiąc.

– Nie z naczyń – odezwała się nieśmiało matka Karen.

– Mniej mają zarazków na językach niż ludzie – odparła babka.

– Jesteś wariatką, wiesz o tym? – Głos matki załamał się. – Powinni cię zamknąć! – Przycisnęła rękę do ust i wybiegła na dwór. Babcia obserwowała jej ruchy, następnie wzruszyła ramionami i zajęła się na powrót picciem herbaty.

– Jest czystość w środku i czystość na zewnątrz – powiedziała. – Czystość w środku jest lepsza, ale Gloria nigdy nie potrafiła tego odróżnić.

Karen nie wiedziała, co robić. Pomyślała o żołądku ze śliną zwierzęcą, z psimi i świńskimi zarazkami w środku, ale – co dziwne – nie zrobiło jej się

niedobrze.

Kiedy Karen poszła później na górę, usłyszała płacz matki, odgłos dobrze jej znany. Weszła ostrożnie do sypialni, skąd dochodził płacz. Matka siedziała na brzegu łóżka i wyglądała na bardziej rozbitą niż kiedykolwiek.

– Ona nigdy nie była jak prawdziwa matka – szlochała. – Nigdy!

Mocno przycisnęła Karen i płakała w jej włosy. Karen zastanawiała się, o co jej chodzi.

Matka Karen wyjechała następnego dnia przed śniadaniem. Mówiła, że musi wrócić do miasta, bo ma zamówioną wizytę u lekarza. Babka odwiozła ją na stację. Karen też pojechała, aby się pożegnać. Miała na sobie długie spodnie z powodu ran, które znowu bolały. Przez całą drogę matka przytulała ją jedną ręką.

Babka, zanim ruszyła, wypuściła gęsi.

– To są gęsi stróżujące – powiedziała. – One i Cully pilnują wszystkiego. Jeśli ktoś będzie próbował się tu dostać, Cully go przewróci, a one wydziobią mu oczy. Cully, zostań! Glenn, chodź. – Prowadziła tak szybko jak poprzednio, jadąc środkiem drogi, tym razem jednak nie gwizdała.

Kiedy przyszedł czas na pożegnanie na dworcu, matka pocałowała Karen w policzek i przycisnęła mocno; powiedziała, że ją kocha i żeby była grzeczną dziewczynką. Babci nie pocałowała. Nawet się z nią nie pożegnała. Karen obserwowała twarz babci: była zamknięta mocno jak skrzynia.

Karen chciała poczekać, aż pociąg odjedzie, babcia zgodziła się. Matka pomachała jej z okna, białe rękawiczki trzepotały jak chorągiewki. To był ostatni raz, kiedy widziała swoją prawdziwą matkę, która potrafiła się jeszcze uśmiechać i machać; jednakże wtedy Karen nie była tego świadoma.

Karen z babką wróciły na farmę i zjadły śniadanie, owsiankę z brązowym cukrem i gęstą śmietaną. Po wyjeździe matki Karen babka nie była taka rozmowna.

Karen spoglądała na babkę ponad stołem. Przyglądała się dokładnie. Babka była starsza, niż Karen myślała poprzedniego dnia; szyję miała bardziej kościstą, powieki bardziej pomarszczone. Dookoła głowy promieniowało słabe, bladoniebieskie światło. Karen już się domyśliła, że babka ma sztuczne zęby.

Po śniadaniu babcia Karen pyta ją: – Jesteś chora?

– Nie – odpowiada Karen. Nogi ją jeszcze bolą, ale to nie choroba, to nic, bo tak mówi jej matka. Karen nie chce leżeć w łóżku, chce wyjść na dwór. Chce zobaczyć kurczaki.

Babcia spogląda na nią surowo, ale mówi tylko:

– Nie chcesz włożyć krótkich spodenek? Dzisiaj będzie prażyć. – Karen znowu odmawia. Idą pozbierać jajka. Psom i śwince nie wolno iść razem z nimi, ponieważ psy próbowałyby zaganiać kury, a świnia lubi jajka. Zwierzęta leżą w trójkę na podłodze w kuchni; psy powoli stukają ogonami, świnka spogląda z namysłem. Babka bierze koszyk ze ścierką do naczyń w środku, aby powkładać do niego jajka.

Niebo jest jasne, jasnoniebieskie jak pięść wciśnięta w oko, plama gorącego koloru; wysokie, przejmujące głosy cykad wpadają wprost do głowy Karen jak druty. Końcówki włosów babci chwytają promienie słońca i płoną niczym ognista wełna. Idą ścieżką zarośniętą po bokach wysokim zielskiem, ostami i pełną marchwią, które pachną głębiej i bardziej zielono niż wszystko, co Karen wąchała do tej pory; mieszają się ze słodkawymi, gryzącymi zapachami ze stodoły, tak że sama Karen nie wie, czy to dobry, czy zły zapach, a może ta woń jest tylko tak silna i bogata, że Karen czuje się stłamszona.

Kurnik stoi blisko ogrodzenia z drucianej siatki, które otacza cały ogród. W ogrodzie są rzędy ziemniaków i sałaty, trójnogi z tyczek, po których wspina się fasola, w jej czerwonych kwiatkach brzęczą pszczoły.

– Ziemniaki, sałata, fasola – mówi babcia do Karen, a może do samej siebie. – Kury – mówi, kiedy dochodzą do kurnika.

Są dwie rasy kur: białe z czerwonymi dzwoneczkami i rdzawobrazowe. Drapią i gdaczą, przyglądają się uważnie Karen oczami żółtymi jak u jaszczurki, najpierw jednym, potem drugim. Od ich piór odbijają się iskry wielokolorowego światła, jak rosa. Karen nie może oderwać wzroku, aż babcia łapie ją za rękę i mówi:

– Tutaj nie ma żadnych jajek.

W kurniku jest ciemno, czuć stęchliznę. Babcia przeszukuje po omacku skrzynki wypełnione sianem, wsuwa rękę pod dwie kury, które jeszcze nie

wyszły, i wkłada jajka do koszyka. Wręcza Karen jedno jajko, aby je niosła dla siebie. Ze środka wydobywa się delikatna poświata. Jest trochę wilgotne, oblepione nieco kurzem łajnem i skrawkami słomy. Jest jeszcze ciepłe. Karen czuje, jak pulsują rany na udach, czuje ciepło płynące z jajka wprost do jej głowy. Jajko jest takie miękkie w jej dłoniach, niczym bijące serce w gumowej osłonce. Jajko rośnie, pęcznieje; kiedy obie wracają przez ogród, przez blask słońca, przez pszczele wibracje, jajko robi się tak wielkie i gorące, że Karen musi je upuścić.

Potem Karen leżała w łóżku, na brzuchu. Babcia obmywała jej nogi.

– Nie byłam dla niej odpowiednią matką – mówiła babka. – Ani ona dla mnie odpowiednią córką. A teraz patrzeć tylko. Ale nic nie można na to poradzić. – Położyła na nogach Karen swoje wielkie, gruzłowate dłonie; na początku bardziej zabolęło, ale potem robiło się Karen cieplej, coraz cieplej, potem chłodno, aż w końcu zasnęła.

Przebudziła się na dworze. Było ciemno, świeciła tylko połowa księżycy; w jego blasku widziała pnie drzew i cienie rzucane przez konary. Najpierw przestraszyła się, bo nie wiedziała, gdzie jest ani jak się tu znalazła. Roznosił się mocny, słodki zapach, migotały kwiaty – trojeść, jak się później dowiedziała – trzepotały ćmy, całując ją białymi płatkami skrzydeł. Gdzieś w pobliżu płynęła woda.

Usłyszała oddech. Poczwała w dłoni mokry nos, coś się o nią otarło. Były z nią oba psy, jeden po każdej stronie. Czy szczekały, kiedy wychodziła z domu? Nie wiedziała, nie słyszała ich. Przestała się jednak martwić, one znają drogę do domu. Stała długo, wdychając powietrze, zapach drzew, psów, nocnych kwiatów i wody, ponieważ to było najlepsze, tego właśnie chciała, być na dworze sama w nocy. Już nie była chora.

W końcu psy delikatnie zaczęły ją popychać, obróciły ją i skierowały ku ciemnej bryle domu. Nigdzie nie paliło się światło. Pomyślała, że uda jej się wejść na górę niepostrzeżenie. Nie chciała, aby nią potrząsano i mówiono, że jest nic niewarta, albo żeby ją bito. Gdy dotarła do domu, zobaczyła babcię w długiej, jasnej koszuli nocnej, z pierzastymi włosami w świetle księżycy. Stała w otwartych drzwiach, nic nie mówiła. Skinęła tylko na Karen, która weszła do środka.

Czuła, że jest mile widziana w tym domu, że to inny dom w nocy, jakby pierwszy raz do niego weszła. Dowiedziała się teraz, że jej babka też chodzi we śnie i że także widzi w ciemnościach.

Rano Karen przebiegła dłońmi po tylnej stronie ud. Nic nie bolało. Wyczuła

jedynie, zamiast grubych szram, cieniuteńkie kreski, jak włosy, jak pęknięcia na lustrze.

Pokój, w którym spała Karen, był najmniejszy w całym domu. Kiedyś należał do jej matki. Łóżko było wąskie, drewniane wezglowie miało podrapaną ciemną politurę. Na łóżku leżała biała narzuta, która wyglądała jak tysiące pozszywanych razem gąsienic. W pokoju stała też komoda pomalowana na niebiesko i proste drewniane krzesło w tym samym kolorze. Szuflady komody wyłożono starymi gazetami; Karen powkładała do nich swoje rzeczy. Wypłowiałe zasłony miały wzór w niezapominajki. Rano przedzierało się przez nie słońce, ukazując kurz na meblach. Był też pleciony, wytarty dywan i ciemna szafa wciśnięta w narożnik.

Karen wiedziała, jak bardzo matka nienawidziła tego pokoju; nienawidziła całego domu. Karen nie czuła takiej nienawiści, chociaż były tu pewne rzeczy, które uważała za dziwne. W dużej sypialni, gdzie sypiała babka, w szafie stał rząd męskich butów. Nie było ubikacji, tylko wychodek z drewnianą skrzynią na wapno i łopatką, którą wsypywało się wapno przez dziurę. Był też salon z ciemnymi zasłonami, kolekcją indiańskich grotów znalezionych w polu i stosami starych gazet na podłodze. Na ścianie wisiała w ramce fotografia dziadka Karen, bardzo stara, z czasów, zanim zmiażdżył go traktor.

– Nie wychował się z traktorami – opowiadała babcia. – Tylko z końmi. To cholerstwo przewaliło się na niego. Twoja matka widziała, jak to się stało. Miała wtedy tylko dziesięć lat. Może właśnie w tym momencie pomieszało jej się w głowie. Powiedział, że to była jego wina, bo grzebał w diabelskich wynalazkach. Żył jeszcze tydzień, ale nic nie mogłam poradzić. Na kości nic nie mogę zrobić. – Mówiła to bardziej do siebie niż do Karen, tak jak wiele innych rzeczy.

Traktor stał jeszcze w szopie. Babcia jeździła nim, zanim się zestarzała. Teraz pola uprawiał Ron Sloane z sąsiedztwa i używał własnego traktora, własnych maszyn. W drugim tygodniu pobytu Karen jednej z kur zachciało się wysiadywać jajka i uwiła sobie gniazdo na siedzeniu traktora zamiast w skrzyni. Karen znalazła ją, jak siedziała na dwudziestu trzech jajkach.

– Kury tak robią – wyjaśniała babcia. – Wiedzą, że wybieramy im jaja, więc wymykają się. Inne kury podrzuciły jej własne jajka, oszczędzając sobie pracy. Leniuchy.

Tę kurę trzeba było przenieść z powrotem do kurnika ze względu na łasice.

– Przychodzą w nocy – mówiła babcia. – Wgryzają się kurze w szyję i wysysają krew.

Łasice były tak cienkie, że potrafiły przedostać się przez najmniejszą szczelinę. Karen wyobrażała sobie te długie, cienkie zwierzęta jako węże, zimne i milczące, prześlizgujące się przez każdą ścianę, z otwartymi paszczami i ostrymi kłami w pogotowiu, z błyszczącymi zawistnie ślepiami.

Pewnego wieczoru, po zmierzchu, babka posłała Karen z latarnią do kurnika, a sama została na zewnątrz; szukała szczelin w deskach, tam, gdzie było widać światło. Jedna łasica w kurniku, mówiła, i wystarczy.

– One nie zabijają, aby jeść – powiedziała. – Zabijają dla przyjemności.

Karen przyglądała się fotografii dziadka. Nigdy nie potrafiła wiele powiedzieć na podstawie fotografii; postacie były po prostu płaskie, zrobione z biało-czarnego papieru, nie promieniowało z nich żadne światło. Dziadek miał brodę i wyraźne brwi, ubrany był w czarny garnitur i kapelusz; nie uśmiechał się. Babcia powiedziała, że był menonitą, zanim ożenił się z nią i zerwał z nimi. Karen zupełnie tego nie rozumiała, ponieważ nie wiedziała, kim są menonici. Babcia wyjaśniła, że to pewne wyznanie. Nie używali niczego nowoczesnego, trzymali się razem, byli dobrymi rolnikami. Farmę menonity zawsze można było rozpoznać, gdyż uprawiali rolę do samego brzegu pola. Poza tym, nie popierali wojny. Nie walczyli.

– W czasie wojny nie są lubiani – powiedziała. – Są wśród nich tacy, którzy do tej pory ze mną nie rozmawiają z jego powodu.

– Ja też nie uznaję wojny – wyznała szczerze Karen. Właśnie tak postanowiła. To wojna wpędziła matkę w nerwy.

– Cóż, wiem, że Jezus nakazywał nadstawić drugi policzek, ale Bóg powiedział: oko za oko – odparła babka. – Jak ktoś zacznie zabijać twoją rodzinę, to powinnaś walczyć. Tak uważam.

– Można przenieść się gdzie indziej – powiedziała Karen.

– Tak postępowali menonici – odparła babka. – Ale co będzie, jak zabraknie miejsca? Tu jest problem. Odpowiedz mi na to, mówię do niego! – Babcia często mówiła tak, jakby dziadek nadal żył. „Lubi dobrą pieczeń na obiad” albo „On nigdy nie chodzi na skróty”. Karen zaczęła się zastanawiać, czy dziadek rzeczywiście jeszcze żyje, w pewnym sensie. Jeżeli tak, to musi być w dużym salonie.

Może właśnie dlatego nigdy nie korzystały z dużego pokoju, lecz jedynie z mniejszego w głębi domu. Przesiadwały w nim; babcia robiła na drutach, kwadrat po kwadracie, słuchały radia, przeważnie wiadomości i prognozy pogody. Babcia lubiła wiedzieć, czy będzie padać, chociaż mówiła, że deszcz czuje w kościach. Każdego popołudnia zasypiała na kanapie, zawinięta w jeden ze zrobionych na drutach pledów, ze sztucznymi zębami w szklance wody i

dwoma psami i świnką na straży. Rano była rześka i radosna; gwizdała, rozmawiała z Karen i mówiła jej, co ma robić, ponieważ wszystko można było zrobić dobrze albo źle. Jednakże po południu, po obiedzie, opadała z sił, zaczynała ziewać i mówiła, że usiądzie na chwilę.

Karen nie lubiła, gdy babcia spała w dzień. Jedyne tej pory dnia się bała. Poza tym była zajęta, umiała pomagać. Wyrwała chwasty w ogrodzie, zbierała jajka, najpierw z babcią, potem sama. Wycierała naczynia, karmiła psy. Kiedy jednak babka spała, Karen nawet nie wychodziła na dwór, ponieważ nie chciała za bardzo się oddalać. Zostawała w kuchni. Niekiedy przeglądała stare gazety. Wyszukiwała komiksy z weekendowych wydań i studiowała je: kiedy przyłożyła oko bardzo blisko papieru, twarze rozplływały się w małe, kolorowe kropki. Czasem siadała w kuchni przy stole i rysowała kikutem ołówka na skrawkach papieru. Na początku próbowała pisać listy do matki. Znała drukowane litery, nauczyła się w szkole. „Kochana Mamo, jak się masz? Kocham Cię. Karen.” Szła potem do skrzynki pocztowej przy drodze, wkładała do niej list i unosiła czerwoną, metalową chorągiewkę. Ani jeden list nie przyszedł w odpowiedzi.

Dlatego zamiast pisać listy, siedziała i rysowała albo i nie. Nasłuchiwała. Babka chrapała, czasami mamrotała przez sen. Bzyczały muchy, krowy muczały gdzieś daleko, gęsi gęgały, przejechał samochód zwirową drogą biegnącą przed farmą.

Dochodziły też inne dźwięki. Z kranu kapiała woda do zlewu, jakieś kroki w dużym salonie, skrzywienie, co to? Fotel bujany, kanapa? Siedziała nieruchomo, zimna mimo popołudniowego upału, włoski na jej rękach unosiły się; czekała i nasłuchiwała, czy kroki się przybliżą.

W niedzielę babka wkładała suknię, ale nie szła do kościoła – nie tak jak ciotka Vi, która w niedzielę szła do kościoła dwukrotnie. Babka brała wielką rodzinną Biblię i stawiała ją na kuchennym stole. Zamykała oczy, wtykała szpilkę między kartki i otwierała na stronie zaznaczonej szpilką.

– Teraz ty – mówiła do Karen i Karen brała szpilkę, zamykała oczy i trzymała dłoń tak długo, aż poczuła, że coś ją ściska. Wtedy babcia czytała ten urywek, w który wbiła się szpilka.

– „Jeżeli któryś z ludzi pośród was wyda się mądry na tym świecie, niech stanie się głupcem, a wtedy zobaczy, że był mądry – czytała. – Bowiem mądrość tego świata jest głupotą w obliczu Pana”. No, to wiem, co to może znaczyć. – I kiwała głową.

Czasami jednak bywała zaskoczona:

– „Psy poźrą Jezabel pod murami Jezreel!” – czytała. Zupełnie nie wiem, co

to ma być. Pewno za mądre. – W każdą niedzielę czytała tylko jeden wers. Po przeczytaniu zamykała Biblię i zanosila do dużego salonu, przebierała się w kombinezon i szła na dwór do swych obowiązków.

Karen kłęczy w ogrodzie. Zbiera fasolę do koszyka, żółtą fasolę. Zbiera powoli, jedną fasolkę na raz. Babka potrafi zbierać obiema rękami, nawet nie patrząc, tak samo jak przy robieniu na drutach, ale Karen musi patrzeć, aby najpierw wyszukać wzrokiem fasolkę, a następnie ją zerwać. Słońce jest białogorące; Karen ma na sobie krótkie spodenki i koszulkę bez rękawów oraz słomiany kapelusz, który każe jej nosić babcia, aby nie dostała porażenia słonecznego. Kiedy tak kuca, niemal zupełnie jej nie widać, ponieważ fasola rośnie bardzo wysoko. Słoneczniki przyglądają się jej wielkimi, brązowymi oczami, ich żółte, ostre płatki są jak suchy ogień.

Powietrze drży jak celofan, czysty arkusz rozłożony płasko nad polem; szeleści od pasikoników. Dobra pogoda na sianokosy. Dwa pola dalej pracuje Ron Sloane, dobiega stamtąd warkot traktora i stukot kosiarki. Nagle zapada cisza. Karen dochodzi do końca rzędu fasoli. Wyciąga marchewkę, oczyszcza ją z ziemi palcami, ociera o nogę i wgryza się w nią. Wie, że powinna najpierw umyć marchewkę, ale lubi smak ziemi.

Rozlega się odgłos silnika. Podjazdem zbliża się ciemnozielona ciężarówka. Jedzie szybko, zjeżdżając to na jedną, to na drugą stronę żwirowej drogi. Karen zna ten samochód; to ciężarówka Rona Sloane'a.

Dlaczego nie jest na polu, po co tu przyjeżdża? Prawie nikt ich nie odwiedza. Babcia nie ma zdania na temat sąsiadów. Mówi, że wymyślają głupoty i plotkują; gapią się na nią, kiedy przechodzi ulicą, gdy jest na zakupach w mieście. Karen widziała, jak to wygląda.

Ciężarówka zatrzymuje się gwałtownie; gęsi biegną, psy szczekają. Otwierają się drzwi szoferki, wypada z niej Ron Sloane. Zatacza się, przytrzymując rękę. Opalona twarz wygląda jak brązowa, papierowa torba, uszła z niej cała różowość i czerwień.

– Gdzie ona? – zwraca się do Karen. Pachnie potem i strachem. Ma podarty rękaw, ramię ocieka krwią. Teraz Karen widzi, że leci krew. Zranienie, niebezpieczeństwo wychodzące z ramienia gwałtownymi falami jaskrawej czerwieni. Karen chce krzyknąć, ale nie może, nie może się ruszyć. Wzywa babkę wewnętrznym głosem, i babka wychodzi zza domu; niesie wiadro, gdy spostrzeża krew, upuszcza je.

– Wielki Boże – mówi. – Ron.

Ron Sloane obraca ku niej twarz, jego spojrzenie pełne jest bezsilnej,

niewysłowionej prośby.

– Cholerna kosiarka – mówi tylko.

Babka Karen podbiega do niego.

– Dzieciarnia, dzieciarnia! – woła do gęsi i psów. – Cully, uciekaj! – Zwierzęta pierzchają z gdakaniem i szczekaniem. – Będzie dobrze – uspokaja Rona. Wyciąga rękę i dotyka go, dotyka jego ramienia i mówi coś. Karen widzi światło, które wydobywa się niebieską poświatą z dłoni babci, potem znika i krew przestaje płynąć. – Już, ale musisz jechać do szpitala. Ja mogę tylko zatrzymać krew. Zawiozę cię, sam nie jesteś w stanie prowadzić. To była żyła, znowu się zacznie za pół godziny. Przynieś mokrą ścierkę – zwraca się do Karen. – Ręcznik. Zimna woda.

Karen siedzi z tyłu ciężarówki babci, razem z Glennie. Teraz zawsze siada z tyłu, jeśli może. Powietrze wiruje dookoła niej, włosy opadają jej falami na twarz, drzewa zlewają się niewyraźnie po bokach, jest tak, jakby leciała. Jadą do szpitala oddalonego o dwadzieścia mil, do tego samego miasta gdzie jest dworzec. Ron wysiada, musi jednak zaraz usiąść i mocno pochylić głowę, babcia otacza go ramieniem i razem kuśtykają do szpitala. Karen i Glennie czekają w ciężarówce.

Po chwili wraca babcia. Mówi, że Ron zostanie w szpitalu, aby go zszyli; wszystko będzie dobrze. Wracają, żeby powiedzieć pani Sloane, co się stało Ronowi i żeby się nie martwiła. Siedzą w kuchni u pani Sloane. Babcia pije herbatę, Karen lemoniadę. Pani Sloane płacze i dziękuje, ale babcia nie odpowiada „proszę bardzo”, tylko kiwa głową nieco oschle i mówi:

– Proszę mi nie dziękować, to nie ja robię.

Pani Sloane ma czternastoletnią córkę o jasnych włosach, jaśniejszych nawet od włosów Karen, różowych oczach i cerze pozbawionej koloru. Dziewczyna przynosi talerz z kupnymi ciasteczkami i wpatruje się w babcię Karen tak mocno, jakby jej różowe oczy miały wypaść. Pani Sloane nie lubi babci Karen, chociaż częstuje ją herbatą. Jej córka o białych włosach też jej nie lubi. Boją się jej. Strach jest dookoła ich postaci – małe, szare, lodowate dreszcze, jak wiatr wiejący nad stawem. One się boją, a Karen nie, a raczej nie tak bardzo. Też chciałyby dotykać krwi, chciałyby umieć ją zatrzymać.

Wieczorami, kiedy jest chłodniej, Karen i babcia chodzą na cmentarz. Oddalony jest o niecałą milę. Przy takich okazjach babcia wkłada suknię, ale Karen nie musi.

Zawsze idą pieszo, nigdy nie jadą ciężarówką. Idą zwirową drogą, wzdłuż pól i rowów, chwastów pokrytych kurzem, Karen trzyma babcię za rękę.

Tylko wtedy to robi. Trzyma ją teraz w nowy sposób, wyczuwając mocne żyły, guzowate kości i luźną skórę; odbiera je nie jako stare, ale jako kolor. Jasnoniebieski. To dłoń posiadająca moc.

Cmentarz jest mały. Kościół obok też jest mały i pusty. Ludzie, którzy korzystali z niego, zbudowali nowy, większy, tuż przy głównej szosie.

– Tutaj schowaliśmy kobiety i dzieci, gdy przyszedł fenianie – opowiada babka. – Właśnie w tym kościele.

– Co to są fenianie? – pyta Karen. Słyszała podobne słowo w radiu, ale kojarzy jej się ze środkiem na przeczyszczenie.

– Hołota ze Stanów – odpowiada babcia. – Irlandczycy. Chcieli wojny. Oczy mieli jednak większe od żołądków. – Opowiada o tym tak, jakby zdarzyło się wczoraj, w rzeczywistości było to dawno temu. Ponad siedemdziesiąt lat.

– My nie jesteście Irlandczykami – mówi Karen.

– Bynajmniej – potwierdza babka. – Chociaż twoja prababcia była. – Ona sama jest po części Szkotką, więc Karen też. Po części Szkotką, po części Angielką, po części menonitką i jeszcze tym, kim był jej ojciec. Według babki najlepiej być Szkotem.

Cmentarz jest zachwaszczony, ale ludzie nadal tu przychodzą; niektóre groby są dobrze utrzymane. Babka wie, gdzie kto jest pochowany i dlaczego: zderzenie na skrzyżowaniu, cztery trupy, pijani; mężczyzna, który wypalił do siebie ze strzelby, wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie chciał powiedzieć, bo wtedy uznano by to za samobójstwo, a samobójstwo to hańba. Kobieta i dziecko, grób dziecka jest mniejszy, jak łódeczko, następna hańba, bo dziecko nie miało prawdziwego ojca. Babka mówi, że wszyscy ojcowie są prawdziwi, chociaż niektórzy są nie w porządku. Na nagrobkach widnieją głowy aniołów, urny z płaczącymi wierzbami, kamienne baranki i kamienne kwiaty; prawdziwe kwiaty też są, więdną w słoikach po dżemie. Leżą tutaj matka i ojciec babci oraz jej dwaj bracia. Babcia prowadzi Karen, by na nich popatrzyła. Nie mówi „ich groby”, lecz „oni”. Przede wszystkim chce, by Karen zobaczyła swojego dziadka. Jego nazwisko oraz dwie daty – kiedy się urodził i kiedy zmarł – są wyryte na nagrobku.

– Może powinnam była posłać go z powrotem do menonitów – mówi. – Może chciał być wśród swoich. Tylko że oni chyba go nie przyjęli. W każdym razie najlepiej jest mu tutaj ze mną.

Nazwisko babci wyryte pod jego nazwiskiem, ale miejsce na datę po prawej stronie jest puste.

– Musiałam zrobić to zawczasu – wyjaśnia. – Potem nie będzie tu nikogo, aby o to zadbać. Gloria i Vi najchętniej wrzuciłyby mnie do rowu, żeby

zaoszczędzić pieniędzy. Czekają, aż umrę, żeby sprzedać farmę. Albo przeniosą mnie do miasta, do jakiejś dziury w ziemi. To im zrobiłam kawał, kupiłam własny nagrobek. Jestem przygotowana, niech się dzieje, co chce.

– Nie chcę, żebyś umierała – mówi Karen. Naprawdę nie chce. Babcia to dla niej oaza bezpieczeństwa, chociaż trudna, a może właśnie dlatego. Nic się nie zmienia, nic nie jest płynne. Ona się zmienia.

Babka podnosi brodę.

– Nie mam zamiaru umierać – oświadcza. – Tylko ciało umiera. – Spogląda uważnie na Karen; wydaje się nieomal wściekła. Jej włosy na głowie wyglądają jak osty po rozrzuceniu nasion.

Czy Karen kochała babcie? – zastanawia się Charis w połowie drogi na Wyspę, siedząc w tyle promu i zatapiając się we wspomnieniach o sobie. Czasami tak, czasami nie. Miłość to zbyt proste słowo dla określenia takiej mieszanki ostrych i miękkich kolorów, dławiących smaków i szorstkich krawędzi. „Jest więcej sposobów na zabicie kota” – mawiała jej babka, a Karen wzdrygała się, bo wyobrażała sobie, że faktycznie babka obdziera kota ze skóry. Babka wychodziła o świcie z karabinem, dwudziestką dwójką, i strzelała do świstaków, także do królików, a potem robiła z nich potrawkę. Zabijała kury, kiedy były zbyt stare na niesienie jajek albo kiedy miała ochotę na kurczaka. Ucinała im głowy siekierą na drewnianym pniaku; biegały nieme po podwórku z fontanną krwi tryskającą z szyi i szarym dymem życia unoszącym się z ich ciał; tęcza światła wokół nich bledła i w końcu znikła. Babka skubała je, patroszyła, opalała włoski nad świeczką; kiedy były już ugotowane, wyjmowała obojczyki i suszyła na parapecie. Miała ich już pięć. Karen chciała złamać jeden z nich, ale babcia zapytała:

– Masz jakieś życzenie? – Karen nie mogła nic wymyślić. – Zostaw je, jak będziesz naprawdę potrzebowała – powiedziała babcia.

Karen zadaje teraz więcej pytań; robi więcej rzeczy. Babcia mówi, że hartuje się. Kiedy sama idzie do kurnika, odgania śmiało kury, jeżeli syczą na nią i chcą ją dziobnąć; kiedy kogut atakuje jej nagie nogi, kopie go. Czasem bierze z sobą kij, aby go przegonić.

– Z niego jest stary, podstępny diabeł – mówi babcia. – Nie daj się mu, tylko uderz go porządnie. Będzie cię za to szanował.

Pewnego ranka, gdy jedzą boczek na śniadanie, babcia oświadcza:

– To jest Pinky.

– Pinky? – dziwi się Karen. Pinky leży na pledzie, tak jak zwykle podczas

posiłków, mruży powieki ze szczecinią rzęs i ma nadzieję na resztki. – Pinky jest przecież tutaj!

– To jest zeszłoroczna Pinky – wyjaśnia babcia. – Co roku jest nowa. – Patrzy na Karen ponad stołem. Ma chytrą minę; czeka, jak Karen to przyjmie.

Karen nie wie, co zrobić. Mogłaby zacząć płakać, zerwać się od stołu i pobiec do siebie na górę, tak jak zachowałyby się jej matka i na co ona sama ma ochotę. Odkłada jednak widelec, wyjmując z ust gumki, zżuty kawałek boczku i delikatnie odkłada go na talerz. W tym momencie i w tym miejscu skończyła z boczkiem. Na zawsze.

– No, na miłość boską – mówi babcia nie bez cienia pogardy, jakby Karen czemuś nie sprostała. – To tylko świnię. Są miłe w młodości, inteligentne, ale jak im pozwolę żyć, to zrobią się za duże. Gdy dorastają, robią się dzikie, przebiegłe, zjadłyby cię, same by się pozjadały. Połknęłyby cię od razu, na sam widok!

Karen myśli o Pinky, jak biega po podwórku bez głowy, jak uchodzi z niej szary dym życia, tęcza światła kurczy się i niknie. Cokolwiek by o babci powiedzieć, jest morderczynią. Nic dziwnego, że inni ludzie się jej boją.

Był pierwszy poniedziałek września, Święto Pracy w Ameryce. Tego dnia matka Karen miała przyjechać pociągiem i zabrać ją z powrotem do miasta. Karen już spakowała walizkę. Płakała na wąskim łóżku, pod kordonkową narzutą, pod poduszką. Nie chciała opuszczać babci, ale z drugiej strony chciała zobaczyć matkę, której już dokładnie nie pamiętała – jedynie jej sukienkę i zapach „Tabu”, i jeszcze jeden z tonów jej głosu, słodki głos dla klas drugich.

Matka nie przyjechała. Był tylko telefon od ciotki Vi; babka Karen powiedziała, że są pewne trudności i że Karen zostanie trochę dłużej.

– Możesz mi pomóc zbierać pomidory – powiedziała. Karen pomogła przy pomidorach, umyła je w kuchni; babka sparzyła pomidory, obrała ze skórki i ugotowała w słoikach.

Rozpoczął się rok szkolny, ale nadal nic się nie działo.

– Nie ma sensu, abyś tutaj zaczynała szkołę – oświadczyła babcia. – Zaczнеш, a potem wyjedziesz. – Karen nie miała nic przeciwko temu. Nie bardzo lubiła szkołę, trudno jej było zwracać uwagę na tyle osób jednocześnie. To było jak słuchanie radia, gdy nadciąga burza: prawie nic nie słyszała.

Babka przyniosła z salonu Biblię i położyła ją na stole w kuchni.

– „Zobaczmy, rzeczy ślepiec” – powiedziała. Zamknęła oczy i wetknęła szpilkę między kartki. – Psalm osiemdziesiąty ósmy. Już go miałam. „Odsunąłeś ode mnie przyjaciół i towarzyszy: domownikami moimi stały się ciemności”. Święta prawda; to znaczy, że powinnam się przygotować do odejścia, sama, już wkrótce. A teraz ty.

Karen ujęła szpilkę, zamknęła oczy, jej dłoń podążyła za silnym prądem ciągnącym ją ku dołowi.

– Ach – rzekła babka, mrużąc oczy. – Znowu Jezabel. Apokalipsa, drugi rozdział, wiersz dwudziesty, „...ale mam przeciw tobie to, że pozwalasz działać niewieście Jezabel, która nazywa siebie prorokinią, a naucza i zwodzi moje sługi, by uprawiali rozpustę i spożywali ofiary składane bożkom”. To dziwne, jak dla małej dziewczynki. – Babka uśmiechnęła się do Karen; był to uśmiech wyschniętego jabłka. – Chyba żyjesz ponad swój wiek. – Karen nie zrozumiała, o co babci chodzi.

W końcu przyjechała po nią ciotka Vi, nie matka. Nawet nie zatrzymała się w domu babci, tylko w hotelu w mieście, dokąd babka zawiozła Karen. Tym razem Karen nie siedziała na platformie ciężarówki, ale na przednim siedzeniu, usłanym psią sierścią; ubrana była w tę samą sukienkę, w której przyjechała, wyglądała przez okno i nic nie mówiła. Babcia cicho pogwizdywała.

Ciotka wcale nie była ucieszona widokiem Karen, ale udawała radość. Dziobnęła Karen w policzek.

– Ależ ty urosłaś! – powiedziała. Zabrzmiało to jak oskarżenie. – Masz jej walizkę? – zapytała babcię.

– Viola, tylko trochę się zestarzałam – odparła babka. – Nie na tyle, by zapomnieć o walizce. Proszę – powiedziała łagodnie do Karen. – Włożyłam do niej kurzy obojczyk na szczęście. – Przykucnęła i objęła ją kościstymi ramionami. Karen poczuła jej mocne ciało, solidne jak dom, a potem babci już nie było.

Karen siedziała w pociągu obok ciotki, która nieustannie narzekała.

– Będziemy musieli zapisać cię do szkoły, natychmiast – mówiła. – Straciłaś już prawie cały miesiąc! Mój Boże, ale ty jesteś brązowa, jak jagoda!

– Gdzie mama? – zapytała Karen. Nie знаła żadnych brązowych jagód.

Ciotka Vi skrzywiła się i odwróciła twarz.

– Mama nie czuje się zbyt dobrze – odparła.

Kiedy Karen przyjechała do domu ciotki, zamieszkała w tym samym pokoju co zwykle, z zasłonami w pomarańczowo-różowe kwiaty; natychmiast otworzyła walizkę. Był w niej kurzy obojczyk zawinięty w woskowany papier, spięty gumką ze słoika z zapasowymi gumkami, który stał przy zlewku u babci. Karen wyjęła kość. Pachniała kwaśno, ale woń była pełna i bogata, jak ręka brudna od ziemi. Ukryła ją w fałdzie firany. Wiedziała, że jak ciotka Vi ją znajdzie, to wyrzuci.

Matka Karen znajduje się w nowym, niskim budynku, który przypomina szkołę. Wujek Vern i ciocia Vi wiozą Karen w odwiedziny. Siedzą w poczekalni na twardych krzesłach, pokrytych szorstkim materiałem. Karen jest przestraszona, ponieważ wujek i ciocia są tacy poważni; poważni, a jednocześnie podekscytowani. Są jak ludzie, którzy wysiadają z samochodu, aby przyjrzeć się wypadkowi na drodze. Coś jest niedobre, złe, a mimo to oni pragną w tym uczestniczyć, cokolwiek by to było. Karen nie chce tego, wolałaby wrócić natychmiast, cofnąć się w czasie i wrócić na wieś, ale otwierają się drzwi i wychodzi mama. Porusza się powoli, dotykając wyciągniętą ręką mebli, jakby szukała drogi. „Lunaticzka”, myśli Karen. Przedtem jej matka miała smukłe

palce, zadbane paznokcie. Była dumna ze swych dłoni. Teraz są opuchnięte i niezgrabne, na serdecznym palcu nie ma obrączki. Ma na sobie szarą podomkę i kapcie, których Karen nigdy przedtem nie widziała; nigdy przedtem nie widziała też twarzy swej matki.

Nie tej twarzy. Jest to płaska twarz, ze słabym połyskiem, jak śnięta ryba na biało emaliowanej tacy w oknie sklepu rybnego. Zanikające światło, srebrnawe, niczym łuska. Matka obraca twarz do Karen; jest bez wyrazu, jak talerz. Porcelanowe oczy. Nagle te oczy obejmują Karen, mała, blada dziewczynka siedząca na krześle, dziewczynka, której własna matka nigdy nie widziała. Karen podnosi do ust obie dłonie i wciąga powietrze, odwrotność krzyku.

– Gloria, jak się czujesz? – odzywa się wujek Vern.

Głowa matki obraca się do niego, ociężała głowa, powolna. Włosy ma zaczesane do tyłu, upięte. Matka Karen zawsze zakręcała sobie włosy na wałkach, kiedy je rozpuszczała, układały się w fale. Teraz włosy są proste, jakby zaśniedziałe, jakby przechowywane były w szafie. Karen przypomina się piwnica babci, pachnąca ziemią, z rzędami zapraw w słojach, z jagodami za szkłem pokrytym kurzem.

– Dobrze – po minucie odpowiada matka.

– Nie zniosę tego – mówi ciotka. Przykłada chusteczkę do oczu. Bardziej stanowczym głosem dodaje: – Karen, nie pocałujesz mamy?

Pytania ciotki Vi są jak rozkazy. Karen ześlizguje się z krzesła i podchodzi do tej kobiety. Nie obejmuje jej rękami, nie dotyka jej. Pochyliła się wpół i przykłada usta do policzka tej kobiety. Nawet nie naciska, jej usta zatapiają się w policzku zimnym jak guma. Myśli o Pinky bez głowy, jak wywraca się na podwórku i zamienia w szynkę. Matka ma cerę niczym porcja mięsa. Karen robi się niedobrze.

Matka biernie przyjmuje pocałunek. Karen cofa się o krok. Teraz nie ma czerwonej poświaty wokół matki, jedynie lekkie fiołkowo-brązowe migotanie.

W drodze do domu Karen siedzi między ciotką a wujkiem, nie na tylnym siedzeniu, jak zazwyczaj. Ciotka ociera oczy, wujek pyta Karen, czy chce loda. Karen dziękuje, a on poklepuje ją po kolanie.

– Tak paskudnie się czułam, to moja siostrzyczka, ale musiałam to zrobić – mówi ciotka Vi przez telefon. – To już trzeci raz, więc co mogłam robić? Nie wiem, skąd je wzięła! Na szczęście pusta butelka leżała obok, więc mogliśmy powiedzieć lekarzowi, co zażyła. Cud, że przyszliśmy na czas. Coś było w jej głosie, domyśliłam się; już kiedyś to słyszałam! Jak tam się dostaliśmy, leżała cała zimna. Całymi tygodniami jeszcze miała posiniaczone usta; musieli je na siłę otwierać, żeby włożyć wąż, a dzisiaj... takiej jej nie znałaś. Nie wiem... to

chyba od terapii wstrząsowej. Jak to nie poskutkuje, będą musieli zrobić operację. – Słowo „operacja” wypowiedziała takim poważnym głosem, jakim się modli, jakby to było święte słowo. Ona tego chce, tej operacji, Karen wie o tym. Jak jej matka będzie miała operację, to część tej świętości spadnie na ciotkę Vi.

Karen poszła do szkoły, gdzie mało się odzywała i nie miała przyjaciół. Nie drażniono się z nią, była raczej ignorowana. Stawała się niewidzialna, wiedziała, jak to robić; to tak, jak wciągnąć powietrze. Kiedy patrzyła na nią nauczycielka, spojrzenie przechodziło przez Karen na tego, kto siedział za nią. W ten sposób Karen nie musiała wcale przebywać w klasie. Jej dłonie robiły to, czego wymagano: długie rzędy liter a i b, schludne słupki cyfr. Za schludność dostawała dodatkowe punkty. Jej papierowy płatek śniegu i tulipan znalazły się pośród dziesięciu przypiętych do korkowej tablicy.

Co tydzień, co dwa, później co trzy tygodnie jeździła z ciotką i wujkiem odwiedzić mamę. Matka przebywa teraz w innym szpitalu.

– Twoja mama jest bardzo chora – powiedziała ciotka, ale Karen nie trzeba było tego mówić. Widziała, jak choroba rozprzestrzenia się na matczynej skórze niczym włosy na rękach, zupełnie bez kontroli, niczym nitki błyskawic, tylko bardzo małe i powolne, niczym szara pleśń powlekająca chleb. Kiedy ta pajęcza sieć przeniknie na wskroś jej matkę, wtedy umrze. Nikt jej nie mógł powstrzymać, ponieważ ona tego chciała.

Karen pomyślała o użyciu kurzego obojczyka, ale wiedziała, że to na nic się nie zda. Aby życzenie się spełniło, trzeba było naprawdę tego pragnąć, a ona nie chciała, by ta kobieta żyła. Gdyby mogła mieć matkę taką, jaka była przedtem, za dobrych czasów, tak. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Z tej matki niewiele pozostało. Karen trzymała więc obojczyk ukryty w zasłonie, sprawdzając od czasu do czasu, czy jeszcze tam jest.

Karen przesiadywała w swoim pokoju. Czasem lekko uderzała głową w ścianę, żeby nie myśleć. Często patrzyła przez okno. Patrzyła także przez okno w szkole, patrzyła na niebo. Myślała o lecie. Może w przyszłe wakacje ciotka i wujek wyjadą, a ona będzie mogła wrócić na wieś do babci, będzie zbierać jajka i żółtą fasolę na słońcu.

Na ósme urodziny Karen dostaje tort. Upiekła go ciotka Vi, ozdobiła różami z cukru, które kupiła w sklepie, i ośmioma świeczkami. Pyta Karen, czy chce zaprosić jakąś koleżankę, ale Karen mówi, że nie. Urodzinowy obiad jedzą zatem sami, w trójkę, „Panie, pobłogosław te dary, które spożywać mamy,

amen”; jedzą kanapki z pastą z tuńczyka i jajka, masło orzechowe, galaretkę.

– Prawda, że ładnie? – mówi ciotka Vi.

Potem jedzą lody – neapolitanki – w trzech kolorach, białym, różowym i brązowym. Na końcu jest tort. Ciotka zapala świece, każe Karen je zdmuchnąć i pomyśleć życzenie, ale Karen tylko siedzi i patrzy na płomyczki.

– Ona chyba nigdy przedtem nie jadła tortu – mówi ciotka do wujka.

– Biedactwo – użala się nad nią wujek i mierzwi jej włosy. Często to robi, Karen tego nie lubi. Dłonie wujka Verna mają ciężki poblask, gęsty jak galareta, lepki, brązowozielony. Czasem Karen sprawdza w lustrze, czy to nie przeszło na jej głowę.

– Pomyśl jakieś życzenie – zachęca szczerze wujek. – Pomyśl o rowerze!

– Musisz zamknąć oczy – dodaje ciotka.

Karen zamyka oczy, by ich zadowolić, ale nic nie widzi poza błękitnym niebem; otwiera oczy i posłusznie zdmuchuje świece. Ciotka i wujek klaszczą w dłonie. Wujek Vern mówi:

– No i co powiesz! Popatrz, co my tu mamy! – Wyprowadza z kuchni nowy rowerek, jasnoczerwony. Ozdobiony jest różowymi wstążkami, do kierownicy ma przywiązany balonik. – Jak ci się podoba? – pyta ochoczo wujek.

Zapada zmrok; przez otwarte okno wpada zapach koszonej trawy, chrząszcze tłuką się o siatkę. Karen spogląda na rower, na połyskujące szprychy, łańcuch, dwa czarne koła, i wie, że jej matka nie żyje.

Matka umarła dopiero po trzech tygodniach, ale to bez znaczenia, ponieważ niekiedy (myśli Charis) czas nakłada się tak, jak zakłada się brzeg materiału; kiedy wbije się szpilkę w dowolnym miejscu, powstają dwie dziurki, jedna na drugiej – tak samo jest z przewidywaniem przyszłości. Nie ma w tym nic tajemniczego, jak w wirze tworzącym się za łodzią albo w harmonii w muzyce, gdzie dwie melodie brzmią jednocześnie. Pamięć jest takim samym zachodzeniem na siebie, takim samym spleceniem, tylko wstecz.

A może to nałożenie nie odbywa się w czasie, ale w umyśle osoby patrzącej? W każdym razie Karen patrzy na rower i widzi śmierć matki, upada z płaczem na podłogę. Ciotka i wujek są zaskoczeni, gniewają się, mówią, że jest szczęśliwym dzieckiem, szczęśliwą i niewdzięczną dziewczynką, ale ona nie potrafi tego wytłumaczyć.

Odbył się pogrzeb, ale przyszło niewiele osób. Paru nauczycieli ze starej szkoły matki, kilka przyjaciółek ciotki Vi. Babcia nie przyjechała, ale Karen to nie

zdziwiło – babka nie pasowała do miasta. Istniał jeszcze jeden powód: „wylew”, powiedziała ciotka Vi, i „dom starców”, tonem, który miał wzbudzać u ludzi sympatię wobec niej, jednak dla Karen te słowa nic nie znaczyły i nie chciała ich słyszeć, więc wyganiała je z myśli. Miała na sobie granatową sukienkę, kolor najbardziej zbliżony do czarnego, jaki udało się ciotce zdobyć w tak krótkim czasie, chociaż – mówiła przez telefon – powinna się była tego spodziewać. Karen nie wolno było podejść do matki leżącej w trumnie, gdyż ciotka twierdziła, że to zbyt szokujące dla tak małego dziecka, ona jednak wiedziała, jak to będzie wyglądać. Tak jak za życia, tylko bardziej.

Wujek i ciotka wyremontowali część piwnicy. Położyli tynki na cementowe ściany, linoleum i gruby dywan na podłogę. Urządzili salonik. Jest bar ze stolkami barowymi, warcaby dla Karen i telewizor. To jest ich drugi telewizor; pierwszy trzymają w salonie na górze. Karen lubi oglądać telewizję w piwnicy, gdzie nikomu nie wchodzi w drogę. W rzeczywistości nie zwraca uwagi na to, co dzieje się na ekranie, ale może być sama, w środku własnej głowy, nikt jej nie pyta, co robi.

Jest wrzesień, lecz na zewnątrz, na górze, nadal jest sucho i gorąco. Karen siedzi na dywanie w piwnicy, gdzie jest chłodniej, na bosaka, w szortach i koszulce bez rękawów. Ogląda *Kukła, Fran i Ollie* w telewizji. Kukła, Fran i Ollie to kukielki, a raczej dwoje z nich. Ponad jej głową ciotka zawzięcie stuka butami, chodząc po kuchni. Karen oplata rękami kolana i kołysze się lekko. Po chwili wstaje i idzie do kranu przy barze nalać sobie szklankę wody, wrzuca kostkę lodu z małej lodówki i siada znowu na podłodze.

Z góry schodzi wujek Vern. Kosił trawnik. Jest bardziej czerwony niż zwykle, otacza go zapach potu, tak jak krople wody mokrego psa, który się z nich otrząsa. Podchodzi do baru i wyciąga piwo, zdejmuje kapsel, wypija połowę, wyciera twarz ręcznikiem przy zlewie. Siada na kanapie. Można na niej spać, jeżeli są goście, gdyż w pokoju gościnnym mieszka Karen. Jej pokój nadal nazywają „pokojem gościnnym”. Jednakże gości nie miewają.

Karen wstaje. Zamierza iść na górę, ponieważ wie, co się zaraz stanie, nie jest jednak dość szybka.

– No, chodź – odzywa się wujek i poklepuje wielkie, włochate kolano. Karen podchodzi niechętnie. Wujek lubi, kiedy Karen siada mu na kolanie. Uważa, że zachowuje się po ojcowsku. – Jesteś teraz naszą małą dziewczynką – mówi czule, ale tak naprawdę nie lubi jej. Karen wie o tym. Wie, że nie zadowala go, ponieważ nie odzywa się do niego, nie przytula się, nie uśmiecha. Nie lubi jego zapachu. Zapachu i tego zielonobrazowego światła.

Siada wujkowi na kolanie, a on podciąga ją wyżej i obejmuje czerwonym ramieniem. Drugą ręką gładzi ją po nodze. Często to robi, przywykła już, tym razem jednak wujek przesuwa rękę wyżej, między nogi. Kukła, Fran i Ollie dalej rozmawiają sztucznymi głosami; Kukła jest czymś w rodzaju smoka. Karen wierci się, starając się uciec przed wielkimi palcami, które weszły już pod jej spodenki, ale ręka zaciska się na jej brzuchu i wujek Vern mówi do jej ucha:

– Nie ruszaj się! – Nie jest radosny, żartobliwy, jak zazwyczaj; jest zły. Trzyma ją teraz obiema rękami i całą nią pociera o siebie, w tę i z powrotem, jakby była ręcznikiem; Karen czuje na uchu jego lepki oddech. – Lubisz swojego wujaszka, co? – szepcze wściekły.

– Hej, wy tam! – Ciotka Vi woła radośnie z góry. – Kolacja! Są kolby kukurydzy!

– Zaraz idziemy! – Wujek Vern odkrzykuje chrapliwie, jakby słowa wydobywały się z niego kopniakiem w żołądek. Wpycha palec w Karen i jęczy przy tym, jakby go dźgnięto sztyletem. Jeszcze przez chwilę przytrzymuje Karen: wycieka z niego energia, potrzebny mu opatrunek. Wreszcie ją puszcza. – Uciekaj na górę – mówi. Próbuje mówić innym głosem, głosem wujka, ale nie odzyskał go jeszcze; jego głos jest pusty. – Powiedz cioci, że zaraz przyjdę. – Karen ogląda się do tyłu, chce sprawdzić, czy spodenki zrobiły się zielonobrazowe, ale nie; są tylko mokre. Wujek wyciera się papierowym ręcznikiem.

Wujek Vern czai się, czyha w ukryciu. Karen unika go, ale nie może tego robić przez cały czas. Dziwne, że wujek nigdy jej nie szuka, kiedy ciotki nie ma w domu. Może lubi niebezpieczeństwo, a może wie, że jeśli ciotka będzie w pobliżu, Karen nie odważy się odezwać. Niejasne jest, skąd on to wie ani dlaczego tak jest, ale to prawda. Lęk Karen przed tym, że ciotka Vi się dowie, jest większy niż lęk przed palcami-parówkami wujka Verna.

Wkrótce jeden palec już mu nie wystarcza. Stawia Karen przed sobą tak, aby nic nie widziała, przytrzymuje z obu stron wielkimi kolanami i wkłada rękę pod szkolną spódniczkę z kontrafałdą; zsuwa jej majtki i od tyłu, między jej nogi, wpycha coś twardego albo używa dwóch, trzech palców. To boli, ale Karen wie, że ludzie, którzy się kochają, potrafią sprawiać ból, więc stara się mocno wierzyć, że on ją kocha. Mówi, że kocha.

– Twój wujaszek kocha cię – mówi, pocierając twarzą o jej twarz.

Kiedy później jedzą obiad, wujek śmieje się częściej, mówi głośniej, opowiada kawały, całuje ciotkę w policzek. Przynosi im obu prezenty:

bombonierki dla ciotki, wypchane zwierzęta dla Karen.

– Jesteś jak nasza rodzona córka – oświadcza Vern. Ciotka Vi uśmiecha się niewyraźnie. Nikt nie powie, że nie postępują właściwie.

Karen traci apetyt: wysiłek, by nie myśleć o wujku, kiedy jest i kiedy go nie ma, odbiera jej siły. Robi się chudsza i bledsza. Ciotka Vi mówi o niej przez telefon:

– To na skutek utraty matki należy do milczków, widać, że ciągle to odczuwa. Jest po prostu osowiała. Nie spodziewałam się, że to potrwa tak długo. Ma prawie dziesięć lat!

Ciotka zabiera Karen do lekarza, by sprawdzić, czy nie ma anemii. Okazuje się, że nie.

– Powiedz mi, o co chodzi – mówi ciotka. – Lepiej będzie, jak o tym porozmawiamy. Mnie możesz powiedzieć! – Przybiera poważną, wyczekującą minę; spodziewa się, że usłyszy o matce Karen. Nalega.

– Nie lubię, jak wujek Vern mnie dotyka – wydobywa w końcu z siebie Karen.

Twarz ciotki wydłuża się, tężeje.

– Dotyka ciebie? – powtarza ciotka podejrzliwie. – Co rozumiesz przez dotyka?

– Dotyka – brnie dalej Karen. – Tam na dole. – Pokazuje palcem. Już wie, że źle postąpiła, niewybaczalnie. Do tej pory ciotka Vi starała się ją tolerować, nawet udawać, że ją lubi. Teraz już nie.

Usta ciotki robią się białe, oczy błyskają niebezpiecznie. Karen spuszcza wzrok, aby nie patrzeć.

– Jesteś zupełnie jak twoja matka – cedzi słowa ciotka. – Kłamczucha. Nie zdziwiłabym się, gdybyś też zwariowała tak jak ona. Bóg wie, że to dziedziczne! I nie mów nigdy więcej takich niedobrych rzeczy o twoim wujku! On kocha cię jak własną córkę! Chcesz go zniszczyć? – Wybucho płaczem. – Módl się do Boga o wybaczenie! – Jej twarz znowu się zmienia. Wyciera oczy, uśmiecha się. – Zapomnijmy, że w ogóle o tym mówiłaś, kochanie – mówi ciotka. – Obie zapomnijmy. Wiem, że ci ciężko. Nigdy nie miałaś ojca.

Co można zrobić po tym wszystkim? Nic. Zupełnie nic. Wujek wie, że Karen powiedziała. Dla ciotki Vi jest miłszy niż zwykle. Jest nawet miły dla Karen przy innych ludziach, ale na smutno, jakby jej wybaczał. Kiedy ciotka nie patrzy, przygląda się Karen ponad stołem, jego oczy triumfalnie błyszczą w twarzy podobnej do surowej wołowiny. „Nie wygrasz tej walki”, mówi do niej. Karen słyszy te słowa wyraźnie, jakby je wypowiedział głośno. Na razie unika jej, nie

chodzi za nią po domu, nie czeka. Swędzą go dłonie, żeby się do niej dobrać, ale już bez szeptyanych próśb. Teraz nie będzie pytał, czy go lubi, teraz jest taki, jaka kiedyś była jej matka, zanim zaczynała krzyczeć i sięgać po miotłę. Ta złowieszcza cisza, ta delikatność.

Karen śpi z głową pod poduszką, ponieważ nie chce ani widzieć, ani słyszeć; znowu chodzi we śnie więcej niż zwykle. Budzi się w salonie, gdy próbuje wyjść przez okno, albo w kuchni, targając za kłamkę. Ciotka Vi zamyka wszystkie drzwi.

Karen siedzi wyprostowana w łóżku, przyciskając do piersi poduszkę. Serce bije jej z przerażenia. W jej ciemnej sypialni stoi mężczyzna. To wujek Vern, przez chwilę widziała jego twarz w świetle padającym z holu, zanim bezgłośnie zamknęła drzwi. Wujek ma otwarte oczy, ale chodzi we śnie, jak lunatyk. Ma na sobie piżamę w paski; patrzy szklistym wzrokiem. „Nie budź nigdy osoby, która chodzi we śnie, mówiła babcia. Przerwiesz jej wędrownkę”.

Wujek po cichu podchodzi do łóżka Karen. Wraz z nim pojawia się zapach starego potu i zjeżdżonego mięsa. Klęka i całe łóżko wznosi się niczym łądz, napiera, Karen pada na plecy.

– Ty mały draniu – szepcze cicho. – Mały, przebiegły draniu. – Mówi przez sen.

Przewraca się na Karen, lepką dłonią zakrywa jej usta i rozdziera ją na pół. Rozdziera ją na pół w samym środku, aż jej skóra pęka jak sucha powłoka kokonu. Charis wylatuje ze środka. Jej nowe ciało jest lekkie jak piórko, jak powietrze. Nie ma w nim w ogóle bólu. Leci do okna i za zasłonę; zostaje tam, patrzy przez materiał, przez wzór w różowe i pomarańczowe kwiaty. Widzi małą, pobladłą dziewczynkę o wykrzywionej, zalanej łzami twarzy, mokrym nosie i oczach, jakby się topiła: dziewczynka łapie powietrze, zanurza się, znowu łapie. Leży na niej ciemny kształt, osacza ją jak zwierzę, które pożera inne zwierzę. Jej całe ciało – bo Charis widzi przez różne rzeczy, przez pościel, przez ciało aż do kości – jej ciało zrobione jest z czegoś śliskiego i żółtego, jak tłuszcz w patroszonej kurze. Charis przygląda się ze zdumieniem, jak mężczyzna pojękuje, jak dziecko wywija się i rzuca, jakby zawieszona za szyję na haczyku. Charis nie wie, że jest Charis, oczywiście. Jeszcze nie ma imienia.

Mężczyzna siada, trzymając się za serce, teraz sam łapie oddech.

– Już – sapie, jakby dokonał czegoś, jakiegoś wyczynu. – Zamknij się teraz, nic ci nie zrobiłem. Milcz! Nie otwieraj twojej małej, wstrętnej gęby, bo cię zabiję! – Jęczy, tak jak zawsze robi to rano w łazience. – O Boże, nie wiem, co we mnie wstąpiło!

Dziewczynka przetacza się na bok. Charis obserwuje, jak pochyła się i

wymiotuje na podłogę, na stopy mężczyzny. Charis wie, dlaczego: zielonobrazowe światło jest teraz wewnątrz jej ciała, gęste i lepkie, jak gęsie odchody. Wyszło z wujka Verna i weszło w Karen, ona musi to wydalić.

Otwierają się drzwi. Staje w nich ciotka Vi w nocnej koszuli.

– O co chodzi? Co się dzieje?

– Usłyszałem ją – tłumaczy wujek. – Wołała... chyba ma katar żołądka.

– Na miłość boską – mówi ciotka. – Nie masz rozumu? Trzeba ją było zabrać do łazienki. Przyniosę ścierkę. Karen, będziesz jeszcze to robić?

Karen nie ma głosu, ponieważ Charis zabrała jej wszystkie słowa. Karen otwiera usta i wciąga w siebie Charis, która zostaje jakby wessana do ich wspólnego gardła.

– Tak – odpowiada.

Za trzecim razem Karen wie, że jest osaczona. Może jedynie rozdzielić się na dwoje, może jedynie zamienić się w Charis, uciec z własnego ciała i obserwować Karen pozbawioną słów, zapłakaną, rzucającą się. Będzie musiała postępować tak już zawsze, ponieważ ciotka Vi jej nie usłyszy bez względu na to, co powie. Chciałaby wziąć siekiere i odrąbać wujkowi głowę, ciotce też, jak kurczakom. Przyglądałaby się, jak unosi się z nich obłok szarego dymu życia. Wie jednak, że nigdy nie potrafiłaby zabić. Nie jest wystarczająco twarda.

Wyjmuje z zakładki zasłony kurzy obojczyk, zamyka oczy i chwytą kość za oba rozwidlenia. Ciągnie. Jej pragnieniem jest babcia. Babcia teraz jest daleko, tak jak opowieść, którą kiedyś słyszała. Nie może uwierzyć, że kiedyś mieszkała na tej farmie ani nawet, że takie miejsce istnieje. Pragnie tego i kiedy otwiera oczy, jej babka jest tu, wchodzi do pokoju przez zamknięte drzwi, ubrana w kombinezon, marszczy brwi i jednocześnie się uśmiecha. Babka podchodzi do niej, Karen wyczuwa na skórze chłodny powiew. Babcia wyciąga guzowate dłonie i dotyka jej, skórę ma jakby posypaną piaskiem. Czuć zapach mleczy i ziemi ogrodowej. Babcia idzie dalej. Oczy ma jasnyniebieskie, ociera policzek o twarz Karen, zimne ziarna suchego ryżu. Zamienia się w kropki jak oglądana z bliska twarz w komiksie, za chwilę staje się wirem powietrza i znika.

Część jej siły pozostaje jednak tutaj, w dłoniach Karen. Jej moc uzdrawiania, jej moc zabijania. Za mało, by wydobyć Karen z pułapki, ale dosyć, by utrzymać ją przy życiu. Patrzy na dłonie i widzi niebieski ślad.

Pozostaje jej czekać. Musi trwać jak kamień, aż nadejdzie czas. Więc czeka. Gdy tylko wujek dotyka jej, rozpada się na dwoje i czeka na resztę

czasu.

Jej babcia nie żyje, czy też nie żyje w tym życiu, chociaż Karen widziała ją i wie, że tak naprawdę nie ma śmierci. Biblia przychodzi w dużym kartonie, zaadresowanym do Karen. Karen chowa ją do walizki pod łóżkiem, gotowej, by ją zabrać, gdy będzie mogła odejść. Babka zostawiła jej farmę. Ponieważ Karen nie jest jeszcze pełnoletnia, nie może jej przejąć ani nawet tam pojechać, chociaż bardzo by chciała. Wujek Vern i ciotka Vi są jej opiekunami. Oni panują.

Kiedy rosną jej piersi i włosy pod pachami, na nogach i między nimi, kiedy dostaje pierwszy okres, wujek zostawia ją w spokoju. Powstaje między nimi przestrzeń, ale nie próżnia. Jest wypełniona, przezroczyta, gęstsza od powietrza. Wujek Vern teraz boi się jej, boi się tego, co może zrobić lub powiedzieć, boi się tego, co ona pamięta, boi się osądu, może dlatego że jej oczy nie są już bojaźliwe, puste lub proszące. Jej oczy to kamienie. Kiedy patrzy na niego kamiennym wzrokiem, wydaje się, jakby poprzez zebra sięgała po jego serce i ścisnęła je, aż przestanie bić. Wujek mówi, że choruje na serce, bierze tabletki, ale oboje wiedzą, że ona to sprawia. Za każdym razem, kiedy Karen patrzy na wujka, czuje nienawiść i mdłości. Czuje obrzydzenie do niego, a także do własnego ciała, gdyż ciągle jest w nim jego brud. Musi pomyśleć, jak oczyścić swoje wnętrze.

Kiedy odczuwa to wszystko, musi sobie z tym poradzić. Musi, bo inaczej te uczucia ją zniszczą. Rozdziela się na dwoje i zostaje z tą chłodniejszą, czystsza częścią. Teraz już ma imię dla tej części: Charis. To nowe imię podpowiedziała jej Biblia: Charis to miłość bliźniego. „Największą cnotą jest miłość”. Miłość ważniejsza jest od wiary i nadziei. Tego nowego imienia używa tylko dla samej siebie. Wszyscy inni nadal nazywają ją Karen.

Charis jest pogodniejsza od Karen, ponieważ całe zło pozostało z małą Karen. Jest grzeczna w stosunku do ciotki, ale daleka. Pewnego dnia, kiedy ma już osiemnaście lat, pyta ich oboje, co zrobili z pieniędzmi babci. Wujek mówi, że zainwestował je dla niej, dostanie je, jak skończy dwadzieścia jeden lat; na razie ich część można przeznaczyć na jej naukę. Ciotka zachowuje się tak, jakby dokonywali wspaniałomyślnego czynu, jakby pieniądze należały do nich i dzielili się nimi z Karen. Jej wyjazd na uniwersytet i przeprowadzkę do McClung Hall przyjmują jednak z wielką ulgą. Ciotkę Vi denerwuje jej kamienne spojrzenie. Wujek Vern nie wie, co Karen pamięta. Ma nadzieję, że zapomniała o wszystkim, ale nie jest tego pewien.

Ona, a raczej Karen, pamięta wszystko, ale Karen jest schowana. Charis przypomina sobie tylko wtedy, gdy wyciąga Karen z walizki pod łóżkiem. Nie

robi tego często. Karen nadal jest mała, Charis dorosłeje.

Charis skończyła dwadzieścia jeden lat, ale nic nie mówiono o pieniądzach babki. Nie obchodziło jej to. Nie wzięłyby od nich pieniędzy, bo chociaż należały do niej, przeszły przez ich ręce, zabrudziły się. Poza tym musiałyby o nie walczyć.

Walczyć nie chciała. Chciała za to gdzieś wyjechać i gdy tylko poczuła się gotowa, zniknęła z pola widzenia. Z pola ich widzenia. Nie było to trudne, wiedziała, że nikt nie będzie jej szukał. Rzuciła studia – i tak oblewała egzaminy z poszczególnych przedmiotów, bo nie potrafiły skupić jej uwagi – zaczęła podróżować. Jeździła autostopem i autobusami. Pracowała jako kelnerka, pracowała w biurze. Przez jakiś czas żyła w komunie na Zachodnim Wybrzeżu, później na wspólnej farmie w Saskatchewan. Robiła różne rzeczy.

Pewnego dnia pojechała na farmę babci; chciała ją zobaczyć. To już nie była farma, została podzielona. Charis starała się tym nie przejmować, gdyż tak naprawdę nic nigdy nie ginie; farma babci nadal istniała w niej, nadal do niej należała, ponieważ miejsca należą do ludzi, którzy je kochają.

Kiedy miała dwadzieścia sześć lat, porzuciła stare imię. Wielu ludzi zmieniało wtedy imiona, ponieważ imiona to nie tylko nalepki, ale także pojemniki. „Karen” było szarą skórzaną torbą. Charis pozbiierała wszystko, czego nie chciała, i wcisnęła w to imię, w tę skórzaną torbę, i mocno zawiązała. Wyrzuciła tyle starych ran i trucizn, ile zdołała. Zatrzymała tylko to, co lubiła lub czego potrzebowała.

Tego wszystkiego dokonała w swojej głowie, gdyż wydarzenia w głowie są równie realne jak gdziekolwiek indziej. Nadal w głowie poszła na brzeg jeziora Ontario i zatopiła torbę.

Taki był koniec Karen. Karen już nie było. Jednakże w rzeczywistości jezioro znajdowało się wewnątrz Charis, więc Karen też w niej była. Bardzo głęboko.

Aż do tej pory, w jej domu na Wyspie, aż do tej wietrznej nocy z szumiącymi gałęziami. Karen wraca, Charis nie potrafi powstrzymać jej przed powrotem. Zdarła przegniłą skórę i wynurzyła się, przeszła przez ścianę w sypialni i stoi teraz w pokoju. Nie jest już dziewięcioletnią dziewczynką. Urosła, zrobiła się wysoka, szczupła i wiotka, jak roślina w piwnicy pozbawiona światła. Nie ma już jasnych włosów, ale ciemne. Ma też ciemne oczodoły, ciemne sińce. Nie wygląda już jak Karen, wygląda jak Zenia.

Podchodzi do Charis i pochyla się, zlewa się z nią i jest teraz w jej ciele. Przynosi z sobą stary wstyd, który Charis odczuwa jako ciepło.

Charis musiała coś powiedzieć, wydobyć jakiś głos, gdyż Billy obudził się. Obrócił się na bok, przyciąga ją do siebie, całuje, zatapia się w niej ze swą dawną zapalczewością. „To nie ja”, chce mu powiedzieć Charis, ponieważ nie panuje już nad własnym ciałem. Zawładnęła nim ta druga kobieta, ale Charis nie ucieka z ciała, nie obserwuje siebie spoza zasłony. Ona też jest w tym ciele, czuje wszystko. Czuje, jak ciało porusza się, reaguje. Czuje, jak rozkosz przebiega przez nią jak elektryczność, jarząc się setką kolorów, płonąc jak ogon pawia. Zapomina o Karen, zapomina o sobie. Wszystko w niej połączyło się na nowo.

– Hejże, teraz było inaczej – mówi Billy. Całuje jej oczy, usta; ona leży w jego ramionach, sztywna jak ktoś chory; nie może się ruszyć. „To nie byłam ja”, myśli, ale właściwie byłam, po części. Trudne jest to, co czuje: wina, ulga, żal, niechęć, ponieważ Billy ma moc dokonania tego. Także odraza, ponieważ żyła przez tyle lat, nic o tym nie wiedząc.

Głęboko w jej wnętrzu, w najdalszej głębi jej ciała porusza się coś nowego.

(Tej nocy została poczęta ich córka. Charis jest tego pewna. Zawsze wiedziała, kim był ojciec. Nie było żadnej innej możliwości. Ale kto był matką? Czy ona i Karen we wspólnym ciele? A może także Zenia?)

Nad ranem czuje się bardziej sobą, Charis. Nie wie, dokąd poszła Karen, nie z powrotem na dno jeziora, nie czuje tego. Prawdopodobnie Karen ukrywa się

gdzieś wewnątrz ich wspólnego ciała. Kiedy jednak zamyka oczy i zaczyna szukać okiem umysłu w sobie, nie może jej znaleźć, chociaż jest ciemna plama, cień, coś, czego nie może dojrzeć. Kiedy kocha się z Billym, nie myśli o tym, że jest Karen czy Charis. Myśli, że jest Zenią.

– Obiecuj, że ona zaraz odejdzie – prosi Billy. Teraz nie jest już zły. Upiera się, nalega, jest nieomal zdesperowany.

– Niedługo odejdzie – odpowiada Charis, jakby zapewniała dziecko. Pod pewnym względem kocha teraz Billy'ego bardziej, ale pod innym – mniej. Kiedy wkrada się pożądanie, pożądanie ciała, przeszkadza to czystemu oddaniu się. Ona pożąda teraz ciała Billy'ego dla niego samego, nie jako manifestacji jego istoty. Zamiast po prostu służyć mu, chce czegoś w zamian. Może to źle; sama nie wie.

Leżą w łóżku, jest rano, ona głaszcze go po twarzy. – Już, już – śpiewa łagodnie, by go uspokoić. Nie myśli teraz, że jego ciało pragnie Zeni. Jakże mógłby chcieć Zeni, skoro Charis jego pragnie?

Jest połowa grudnia. Ziemia zamarzła, liście opadły z drzew, wiatr jest coraz silniejszy. Tego wieczoru wieje znad jeziora, napierając na drzewa i krzewy, rwąc folię, którą Charis założyła na okna, by powstrzymać przeciągi. Dom nie ma podwójnych okien, gospodarz nie planuje ich założenia, bo, jego zdaniem, wszystkie domy na Wyspie pójdą pod spychacz, więc po co wydawać pieniądze? Nie ma też żadnego ocieplenia.

Charis zaczyna dostrzegać niedogodności mieszkania tutaj. Dwa domy przy ich ulicy już opustoszały; okna zabito deskami. Zastanawia się, czy wystarczy im drewna na opał, kiedy przyjdzie prawdziwa zima. W spółdzielni jest człowiek, który sprzedałby trochę drewna za lekcje jogi, ale drewno jest ciężkie, więc jak przetransportuje je na Wyspę?

Będzie im też potrzebna zimowa odzież. Dzisiaj Billy jest w mieście, na kolejnym spotkaniu. Charis wyobraża go sobie, jak stoi na przystani i czeka na ostatni prom, trzęsąc się z zimna w cienkiej kurtce. Powinna mu coś zrobić na drutach. Pójdzie niedługo do sklepu Opieki i wybierze jakieś używane płaszcze.

Jeden dla Billy'ego, jeden dla siebie i jeden również dla Zeni, ponieważ Zenia ma tylko to, co na sobie. Boi się wrócić do mieszkania Westa po resztę rzeczy, przynajmniej tak mówi. Boi się, że West ją zabije. Ma obsesyjną osobowość – łagodny na zewnątrz, ale czasami wpada w szał i myśli o jej śmierci doprowadza go do szaleństwa. Jeżeli ma ją stracić, jeżeli ona ma umrzeć, to on sam chce kontrolować jej śmierć. Wielu mężczyzn tak się

zachowuje, mówi Zenia, wpatrując się w przeszłość z zadumą i z lekkim uśmiechem. Miłość doprowadza ich do szaleństwa.

Kiedyś Charis nie zrozumiałaby takiego stwierdzenia. Teraz rozumie.

Charis jest przekonana, że zaszła w ciążę. Nie miała okresu, ale to nie wszystko: jej ciało zrobiło się inne; nie jest już zwarte i sprężyste, ale gąbczaste, płynne, nasączone. Ma inną energię, ciemnopomarańczoworóżową, jak wnętrze hibiskusa. Nie powiedziała jeszcze Billy'emu, ponieważ nie jest pewna, jak on to przyjmie.

Zeni też nie powiedziała: z jednej przyczyny, nie chce jej zranić. Zenia nie może mieć dzieci z powodu usunięcia macicy, a Charis nie chce pysnić się czy chwalić. Poza tym Zenia zajmuje teraz mały pokój na górze, ten, w którym Charis trzyma wszystkie swoje kartony. Przenieśli tam Zenię, ponieważ Billy narzekał na brak swobody w salonie. Ten mały pokój Charis chce przeznaczyć dla dziecka, kiedy Zenia odejdzie. Jak mogłaby powiedzieć Zeni, że jest w ciąży, niemal nie wyrzucając jej na ulicę?

Tego nie mogłaby zrobić, jeszcze nie; chociaż gdy Zenia wspomina o wyprowadzeniu się, Charis nie mówi już, aby przestała w ogóle o tym myśleć. Jest rozdarta; chce, aby Zenia odeszła, ale nie chce, aby umarła. Nie mają z sobą zbyt wiele wspólnego; teraz, kiedy część Zeni jest w niej, ta jedyna część, która jest jej potrzebna, wolałaby raczej nie mieć całej Zeni w pobliżu. Zenia pochłania sporo czasu, a także – chociaż Charis nie lubi o tym myśleć – pewną sumę pieniędzy. Charis nie ma dosyć pieniędzy dla ich trójki.

Zenia wygląda dużo lepiej, ale to może być złudne. Zdarza się, że zje porządny posiłek, a potem biegnie do łazienki i wszystko zwraca. Wczoraj, po rozmowie na temat jej wyprowadzenia się – kiedy powiedziała, że jest pewna, iż guzy zmniejszają się i że już z tego wychodzi – Charis weszła do łazienki i zobaczyła muszlę klozetową pełną krwi. Gdyby to była inna kobieta, pomyślałaby, że ma okres i zapomniała spuścić wodę, ale Zenia nie może mieć okresu. Powiedziała to jasno.

Charis zatroszczyła się i spytała o krew; Zenia zbagatelizowała sprawę. To tylko krwotok, powiedziała. Tak samo jak z nosa. Drobnostka. Charis podziwia jej odwagę, ale kogo ona zamierza oszukać? Chyba samą siebie. Nie oszuka Charis. Niekiedy Charis zastanawia się, czy nie powinna zasugerować jej szpitala. Charis nie znosi szpitali. Uważa je za miejsca, w których się umiera, ponieważ jej matka umarła w szpitalu. Sama planuje, że dziecko urodzi w domu.

Charis i Zenia siedzą przy stole w kuchni. Kończą kolację: pieczone ziemniaki, suszoną dynię, sałatkę z kapusty. Kapusta jest z rynku, ponieważ własna kapusta Charis już się skończyła. Zrobiła z niej sok i wlała w Zenię: zielona transfuzja.

– Wyglądasz dzisiaj lepiej, nabierasz siły – mówi Charis z nadzieją.

– Jestem silna jak wół – odpowiada Zenia. Kładzie głowę na stole, po chwili podnosi ją z trudem. – Naprawdę.

– Zaparzę ci żeń-szeń – proponuje Charis.

– Dziękuję. Więc gdzie on dzisiaj jest?

– Billy? – pyta Charis. – Chyba na jakimś zebraniu.

– Nigdy się nie martwisz?

– Czym?

– Że to nie jest zebranie – tłumaczy Zenia.

Charis śmieje się. Ostatnio jest trochę bardziej pewna siebie.

– Myślisz, że jakaś dziewczyna. Nie. W każdym razie to by mi nie przeszkadzało. – Wierzy w to. Billy może robić, co chce z innymi kobietami, ponieważ to by się nie liczyło.

Billy zaczął rozmawiać z Zenią. Teraz pozdrawia ją rano; kiedy wchodzi do pokoju, a Zenia już jest, kłania się i pomrukuje. To, co nazywa u siebie południowymi manierami, walczy z jego awersją do Zeni; maniery wygrywiają. Wczoraj zaoferował jej nawet zaciągnięcie się skrętem, którego palił. Zenia potrząsnęła jednak głową i Billy poczuł się odrącony. Na tym się skończyło. Charis chciałaby prosić Zenię, aby nie przejmowała się Billym, aby wychodziła mu naprzeciw, ale po tym, jak się zachowywał, nie może o to prosić.

Za plecami Zeni Billy jest jeszcze bardziej szorstki niż kiedyś.

– Kaktus mi tu wyrośnie, jak ona ma raka – powiedział dwa dni temu.

– Billy! – oburzyła się Charis. – Ona miała operację! Ma wielką bliznę!

– Widziałaś?

Charis nie widziała. Dlaczego miałyby widzieć? Dlaczego miałyby prosić kogoś o pokazanie rany po operacji? Takich rzeczy się nie robi.

– Chcesz się założyć? – zaproponował Billy. – Pięć dolarów, że nie ma.

– Nie – sprzeciwiła się Charis. – Jak można dowieść takiej rzeczy? – Nagle wyobraża sobie, jak Billy wbiega do pokoju Zeni i zrywa jej koszulę nocną. Tego z pewnością nie chce.

– O czym myślisz? – pyta Zenia.

– Co? – pyta Charis. Myśli o bliznie Zeni.

– Billy jest już duży – mówi Zenia. – Nie powinnaś się o niego tak

niepokoić. Sam zatroszczy się o siebie.

– Myślałam o zimie – wyjaśnia Charis. – Jak ją przetrwamy.

– Nie jak, tylko czy – poprawia ją Zenia. – Och, przepraszam, to chorobliwe.

Zenia najczęściej idzie spać wcześniej, ponieważ Charis ją do tego nakłania, czasem siedzi jednak do późna. Charis rozpala potężny ogień w piecu, siadają w kuchni i rozmawiają. Czasami słuchają muzyki, czasami grają w karty.

– Umieć wróżyć z kart – mówi Zenia pewnego wieczoru. – Chodź, powróżę ci.

Charis nie jest do tego przekonana. Nie sądzi, że poznanie przyszłości to dobry pomysł, gdyż i tak nic nie można zmienić, po co więc cierpieć dwukrotnie?

– Tylko dla zabawy – namawia ją Zenia. Każe Charis przetasować talię trzy razy i przełożyć od siebie, żeby nieszczęście nie poszło w jej stronę, następnie rozkłada karty w rzędach po trzy, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Przygląda się im, dodaje jeszcze jeden rząd kart, po ukosie.

– Ktoś nowy pojawi się w twoim życiu – mówi. Och, myśli Charis, to na pewno dziecko. – A ktoś inny odejdzie. Wiąże się z tym woda, przekroczenie wody. – To Zenia, myśli Charis. Poczucie się lepiej, wkrótce odejdzie, a ktokolwiek stąd odchodzi, musi pokonać wodę.

– Coś o Billym? – pyta.

– Jest walet – mówi Zenia. – Walet pik. To może być on. Przykryty królową karo.

– Czy to pieniądze? – pyta Charis.

– Tak – odpowiada Zenia – ale to karta przykryta. Coś złego wynika z tych pieniędzy. Może zajmie się narkotykami czy coś w tym rodzaju.

– Nie Billy – zaprzecza Charis. – Jest na to za mądry. – Prawdę mówiąc, ma już dosyć wróżenia. – Gdzie się tego nauczyłaś? – pyta.

– Moja matka była rumuńską Cyganką – mówi Zenia niedbale. – Mówiła, że to dziedziczne.

– To prawda – potwierdza Charis. Zgadza się z tym: zna takie talenty, choćby jej własna babka. Czarne włosy Zeni, ciemne oczy i wiara w przeznaczenie – to pasuje do cygańskiego rodowodu.

– Ukamienowano ją podczas wojny – mówi Zenia.

– To straszne! – wykrzykuje Charis. Nic dziwnego, że Zenia ma raka – to przeszłość, która w niej zalega, to dręczące ciężkie metale przeszłości, z których nigdy siebie nie oczyściła.

– Czy zrobili to Niemcy? – Ukamienowanie wydaje jej się gorsze od rozstrzelania. Powolniejsze, bardziej bolesne, raniące, ale nie bardzo niemieckie. Kiedy myśli o Niemcach, przychodzą jej do głowy nożyczki i białe, emaliowane stoły. Kiedy myśli o kamienowaniu, kojarzy je z pyłem, muchami, wielbładami, palmami, jak w Starym Testamencie.

– Nie, banda wieśniaków – odpowiada Zenia. – W Rumunii. Uważali, że ma złe spojrzenie, że rzuca czar na ich krowy. Nie chcieli marnować kul, więc użyli kamieni. Kamieni i pałek. Cyganie nie byli wtedy tam lubiani, dzisiaj też nie są. Ona wiedziała, że tak się stanie, była jasnowiedzem. Noc wcześniej oddała mnie przyjaciółce z sąsiedniej wioski. To mnie uratowało.

– Musisz pewnie mówić trochę po rumuńsku – mówi Charis. Gdyby wiedziała o tym wszystkim, leczyłaby Zenię w jakiś inny sposób, nie jogą i kapustą. Spróbowałaby wizualizacji, i to nie tylko w sprawie raka, ale i Rumunów. Może klucz do choroby Zeni ukryty jest w innym języku.

– Stłumiłam go w sobie – przyznaje Zenia. – Ty też tak byś zrobiła. Poszłam popatrzeć na matkę, kiedy z nią skończyli. Zostawili ją leżącą w śniegu. Wielka sterta gnijącego mięsa.

Charis wzdryga się. Ten obraz przyprawia o mdłości. To wyjaśnia, dlaczego Zenia tak często wymiotuje... jeżeli to właśnie ma w głowie? Musi wyrzucić z siebie takie trujące obrazy.

– Skąd był twój ojciec? – pyta, aby odciągnąć Zenię od martwej matki.

– Był Finem – mówi Zenia. – Stąd mam takie kości policzkowe.

Charis ma mgliste pojęcie o tym, gdzie jest Finlandia. Są tam drzewa i ludzie z butami ze skór, i renifery, i sauny.

– Aha. A jak się znalazł w Rumunii?

– Nie był w Rumunii – wyjaśnia Zenia. – Oboje byli komunistami przed wojną. Spotkali się na kongresie młodzieży w Leningradzie. Zginął później w Finlandii, walcząc z Rosjanami w wojnie zimowej. Ironia, prawda? Myślał, że jest po ich stronie, ale to oni go zabili.

– Mój ojciec też zginął na wojnie – mówi Charis. Cieszy się, że coś ich łączy.

– Chyba wielu ludzi zginęło – odpowiada Zenia wymijająco. – Ale to należy do historii. – Składa karty i rozpoczyna na nowo. – Ooo! Królowa pik.

– Czy to jeszcze dla mnie? – pyta Charis.

– Nie – odpowiada Zenia. – Te są dla mnie. – Teraz nie patrzy na karty, ale na sufit, ma półprzymknięte oczy. – Królowa pik to pech. Niektórzy mówią, że to karta śmierci. – Długie czarne włosy opadają jej na twarz jak welon.

– Och, nie. – Charis jest zbita z tropu. – Chyba nie powinnyśmy tego robić.

To zbyt negatywne.

– Dobrze – zgadza się Zenia, jakby było jej obojętne, co robi. – Chyba pójdę spać.

Charis słucha, jak wchodzi po schodach, ciągnąc nogę za nogą.

Zima nie ustępowała. Dawała im się we znaki. Kąpiel była arktycznym przedsięwzięciem, karmienie kur polarną ekspedycją, łączącą się z brnięciem przez śnieg i walką ze wściekłym wiatrem wiejącym od jeziora. Samym kurom było dobrze w kurniku, który zbudował Billy. Siano i odchody zapewniały im ciepło.

Charis żałowała, że pod ich domem nie ma warstwy siana. Przypięła do ścian stare koce, zatkała widoczne szczeliny zmiętymi gazetami. Na szczęście mieli dosyć drewna; Charis udało się zdobyć tanio trochę drewna od osoby, która zrezygnowała z Wyspy i przeniosła się na stały ląd. Drewno nie było porąbane, więc Billy porąbał większość siekierą na dworze, kiedy były cieplejsze dni; lubił to zajęcie. W domu nadal jednak było zimno, chyba że Charis podsyciła ogień aż do granic bezpieczeństwa. Powietrze w środku robiło się wtedy parne i pachniało jak podgrzane mysie gniazdo. Pod podłogą żyły prawdziwe myszy, sprowadził je tam mróz. Wychodziły w nocy i sprzątały okruszynki, pozostawiając na stole odchody. Zenia zgarniała je na podłogę, marszcząc nos.

Już nie mówiło się o jej odejściu. Co rano składała Charis sprawozdanie ze stanu zdrowia: lepiej, gorzej. Jednego dnia czuła się na tyle dobrze, by wyjść na spacer, drugiego mówiła Charis, że włosy jej wypadają. Nie wyrażała już nadziei, wydawała się nie uczestniczyć już we własnym ciele. Brała to, co oferowała jej Charis – sok marchwiowy, herbaty ziołowe, ale przyjmowała to biernie, bez większego zainteresowania. Zgadzała się na zabiegi Charis, ale nie uważała, że jej pomogą. Miewała okresy depresji, wtedy kładła się na kanapie zawinięta w koc, albo opierała się o stół.

– Jestem okropna – mówiła do Charis drżącym głosem – niewarta tego całego kłopotu.

– Oj, nie mów tak – uspokajała ją Charis. – Wszyscy tak się czasem czujemy. To z powodu tego cienia w środku. Pomyśl o tym, co jest w tobie najlepsze. – Zenia nagradzała ją wtedy nikłym uśmiechem.

– A jeżeli nic we mnie nie ma? – pytała słabym głosem.

Zenia i Billy zachowywali wobec siebie dystans. Wzajemne oskarżenia powierzała Charis; wyraźnie im się to podobało. Lubili narzekać na siebie,

rozkoszując się wymawianiem swych imion, posmakiem oskarżenia, smakiem zła. Charis chciałaby ostrzec Billy'ego, aby nie był tak surowy wobec Zeni: mogłaby donieść na niego, że podkładał bomby. Charis nie może jednak powiedzieć o tym Billy'emu, nie przyznając się jednocześnie, że zawiodła jego zaufanie. Byłby na nią wściekły.

Charis nie chciała wściekłości. Pragnęła jedynie pozytywnych emocji, ponieważ wszelkie inne odczucia szkodziłyby jej dziecku. Pragnęła spędzać czas otoczona tylko tym, co dawało jej spokój: bielą śniegu, nim zbrudziły ją sadze miasta; blaskiem sopli w tygodniu, kiedy burza śnieżna zerwała druty telefoniczne. Sama spacerowała po Wyspie, uważając na zamarzniętych ścieżkach. Brzuch robił się teraz twardszy i okrąglejszy, piersi pęczniały. Wiedziała, że większość energii jej białego światła była skierowana na dziecko, nie na Zenię ani na Billy'ego. Dziecko reagowało, czuła to. Nasłuchiwało w jej wnętrzu, było czujne, obserwowało to światło jak kwiat.

Charis miała nadzieję, że ci dwoje nie czują się odtrąceni, ale niewiele mogła poradzić. Tylko tyle posiadała energii i coraz bardziej sama jej potrzebowała. Stawała się osobą bardziej bezlitosną, twardszą. W dłoniach coraz silniej wyczuwała zaciętość swej babki. To dziecko w niej stawało się nie narodzoną Karen; jeżeli Charis będzie się nią teraz opiekować, da jej większą szansę. Tym razem urodzi się właściwej matce.

Dużo rozmyślała nad urządzeniem małego pokoju, pokoju dziecinnego. Pomaluje go na biało, później, kiedy będzie miała pieniądze, kiedy Zenia odejdzie. Latem, kiedy będzie gorąco, Billy zbuduje saunę na podwórku obok kurnika. W następną zimę będą mogli mocno się w niej wygrzać, a potem wyjść na dwór i tarzać się w śniegu. To byłby najlepszy sposób na wykorzystanie śniegu, lepszy niż siedzenie w domu i narzekanie, tak jak robi Zenia, a także Billy.

W kwietniu, kiedy stopniał śnieg, kiedy w brązowej ziemi zaczęły kiełkować trzy cebulki żonkili, kiedy kury znowu biegały na dworze i drapały ziemię, Charis powiedziała Billy'emu i Zeni o dziecku. Musiała. Wkrótce byłoby i tak widać; poza tym niedługo zajdą pewne zmiany. Nie będzie w stanie prowadzić zajęć jogi, więc pieniądze będą musiały pochodzić skądinąd. Billy będzie musiał znaleźć jakąś pracę. Nie miał odpowiednich papierów, ale pracę można było zdobyć, niektórzy z jego kolegów-uciekierów pracowali. Billy będzie musiał ruszyć głową. Gdyby nie dziecko, Charis nigdy by tak nie pomyślała.

Zenia także w końcu będzie musiała odejść. Charis była dla niej nauczycielką, ale jeżeli Zenia nie potrafiła skorzystać z tego, co dała jej Charis,

to jej zmartwienie.

„Dosyć to dosyć, odezwał się głos babki w jej głowie. Najpierw to, co trzeba. Krew nie woda.”

Mówi o tym każdemu z osobna, najpierw Zeni. Jedzą obiad – pieczoną fasolę z puszki i mrożony groszek. Charis ostatnio nie przejmuje się organicznym jedzeniem, brak jej czasu. Billy znowu jest w mieście.

– Będę miała dziecko – oznajmia Charis przy brzoskwiniach z puszki.

Zenia nie jest zasmucona, jak obawiała się Charis. Nie składa też żadnych zjadliwych gratulacji ani nie występuje z serdecznymi, kobiecymi objęciami. Jest za to pogardliwa.

– No to spieprzyłaś sprawę!

– Co masz na myśli? – pyta Charis.

– Jak sądzisz, czy Billy chce mieć dziecko? – mówi Zenia.

Charis zapiera dech. Wie, że żyła w przekonaniu, iż każdy powita to dziecko z taką samą radością jak ona. Wie też, że nie brała Billy’ego pod uwagę. Kiedyś faktycznie próbowała sobie wyobrazić, jak to jest być mężczyzną, być Billym, i mieć dziecko, ale nie potrafiła. Później nie starała się przewidzieć jego reakcji.

– Oczywiście, że chce – usiłuje przekonać samą siebie.

– Jeszcze mu nie powiedziałaś, co? – stwierdza Zenia. To nie jest pytanie.

– Skąd wiesz? – pyta Charis. Skąd ona wie? Dlaczego one walczą z sobą?

– Poczekaj, aż się dowie – mówi ponuro Zenia. – Ten dom zrobi się cholernie ciasny z wrzeszczącym dzieciakiem. Mogłaś poczekać, aż umrę.

Charis jest zaskoczona jej brutalnością i samolubstwem, zaskoczona i zła. Znajduje jednak słowa, które brzmią nieomal uspokajająco.

– Teraz już nic na to nie mogę poradzić.

– Na pewno możesz – mówi Zenia protekcjonalnie. – Możesz zrobić skrobankę.

Charis wstaje.

– Nie chcę – oświadcza. Jest bliska łez; kiedy wchodzi na górę – po raz pierwszy nie sprzątając naczyń – rzeczywiście płacze. Wypłakuje się w śpiwór, zraniona i urażona. Dzieje się coś złego, a ona nawet nie wie co.

Kiedy Billy wraca do domu, Charis nadal leży na śpiworze, przy zgaszonym świetle, w ubraniu.

– Hej, o co chodzi? – pyta Billy. – Co się dzieje? – Całuje jej twarz.

Charis unosi się, obejmuje go ramionami.

– Nie zauważyłeś? – mówi przez łzy.

- Czego nie zauważyłem? – pyta Billy.
- Jestem w ciąży! – odpowiada Charis. – Będziemy mieli dziecko! – Mówi to z wyrzutem; nie o to jej chodziło. Chce, aby cieszył się razem z nią.
- Cholera jasna – rzuca w odpowiedzi Billy. Opuszcza bezwolnie ramiona.
- Jezu Chryste. Kiedy?
- W sierpniu – mówi Charis, czekając na jego radość. Billy się nie cieszy. Traktuje to jak wielką katastrofę, jak śmierć, nie narodziny.
- Cholera – powtarza znowu. – Co zrobimy?

W środku nocy Charis budzi się na dworze. Stoi w ogrodzie. Chodziła we śnie. Jest ubrana tylko w koszulę, stopy ma bosa; między palce nóg weszły jej liście i błoto. Wyczuwa skunksa gdzieś daleko; skunksy przebiegają przez drogę, ale skąd tutaj skunksy? To jest Wyspa. A może one potrafią pływać?

Teraz jest już w pełni przebudzona. Na jej dłoni odbija się inna dłoń; to babka próbuje coś powiedzieć, próbuje do niej dotrzeć. To ostrzeżenie.

– Kto to? – odzywa się. – Kto tu jest?

Wie, że w ogrodzie znajduje się ktoś jeszcze, ciemny kształt opiera się o ścianę przy kuchennym oknie. Widzi ognik. To nie skunksa wyczuła, ale dym z papierosa.

– Zenia, to ty? – pyta.

– Nie mogłam zasnąć – mówi Zenia. – Więc jak to przyjmuje nasz tata?

– Zenia, nie powinnaś palić. – Charis zapomniała, że jest na nią zła. – To niedobre dla komórek.

– Mam je w dupie – oświadcza Zenia. – One też mnie mają w dupie, więc mogę przez chwilę cieszyć się czymś, póki jeszcze czas. – Jej głos dochodzi z ciemności, leniwy, sardoniczny. – Muszę ci powiedzieć, że źle mi się robi od twojej dobroci i poświęcenia. Byłabyś o wiele szczęśliwsza, gdybyś pilnowała własnego nosa.

– Chciałam ci pomóc – mówi płacząco Charis.

– Zrób mi przysługę – mówi Zenia. – Pomóż komuś innemu.

Charis nie może tego zrozumieć. Co ją tutaj sprowadziło, żeby tego słuchać? Odwraca się i wchodzi do środka, idzie na górę po omacku. Nie zapala światła.

Następnego dnia Billy wypływa wczesnym promem. Charis pracuje gorączkowo w ogrodzie, kopiąc w wiosennym kompoście, stara się oczyścić umysł. Zenia zostaje w łóżku.

Billy wraca po zmierzchu kompletnie pijany. Bywał pijany wcześniej, ale nigdy do takiego stopnia. Charis jest w kuchni, zmywa naczynia z kilku dni.

Czuje się ociężała, zablokowana; ma w głowie coś, co nie chce zniknąć. Chociaż mocno stara się patrzeć, nie widzi nic pod powierzchnią rzeczy. Zablokowała się, odcięła; nawet ogród nie chce jej dzisiaj wpuścić. Ziemia straciła swój blask, jest tylko błotem, kury są rozdrażnione i skołtunione, jak stare pióra do odkurzania.

Kiedy wchodzi Billy, Charis obraca się, by na niego spojrzeć, ale nic nie mówi. Następnie odwraca się od niego z powrotem do naczyni.

Słyszy, że Billy wpada na stół, przewraca krzesło. Nagle czuje jego dłonie na ramionach. Obraca ją. Charis ma nadzieję, że chce ją pocałować, powiedzieć, że się namyślił, że wszystko jest cudowne, ale on zaczyna nią potrząsać. Powoli, do tyłu i do przodu.

– Ty... jesteś... cholernie... głupia – mówi w rytm potrząsania. – Cholernie głupia! – Jego głos jest niemal czuły.

– Billy, nie rób tego – prosi Charis.

– Dlaczego nie? – pyta. – Dlaczego nie, do diabła? Mogę robić, co chcę. Ty jesteś za głupia, żeby cokolwiek zauważyć. – Jedną ręką puszcza jej ramię i wymierza policzek. – Obudź się! – Uderza ją ponownie, mocniej.

– Billy, przestań! – Charis stara się być stanowcza i łagodna, stara się nie płakać.

– Nikt... nie... będzie... mi.. mówił, co mam robić. – Cofa się o krok i unosi nogę, uderza ją kolaniem w brzuch. Jest zbyt pijany, aby trafić, ale boli ją.

– Zabijesz je! – krzyczy teraz. – Zabijesz nasze dziecko!

Billy kładzie głowę na jej ramieniu i chrapliwie płacze, jakby ten płacz dławił go, jakby wyrwał z siebie ten szloch.

– Mówiłem ci – bełkocze. – Mówiłem ci, a ty nie słuchałaś.

– Co mówiłeś? – pyta Charis, gładząc go po złotych włosach.

– Nie ma żadnych blizn – odpowiada. – Nic. Zupełnie żadnych blizn.

Charis nie rozumie, o czym on mówi.

– No, już – uspokaja go. – Idziemy spać. – Idą na górę, Charis kołysze go w ramionach. Oboje zasypiają.

Rano Charis wstaje jak zawsze, aby nakarmić kury. Billy nie śpi; zostaje pod śpiworem, żeby nie zmarznąć, patrzy, jak Charis się ubiera. Przed zejściem na dół podchodzi do niego i całuje go w czoło. Chce, aby coś powiedział, ale on nic nie mówi.

Najpierw rozpala w piecu, potem wypełnia wiadro przy zlewie. Słyszy, jak Billy porusza się na górce; Zenia także, co jest niezwykle. Może się pakuje, może odejdzie. Charis naprawdę tego chce. Zenia nie może tu dłużej zostać,

wywołuje zbyt duże zawirowania powietrza.

Charis wychodzi na dwór i otwiera bramkę, przez którą kury wychodzą na wybieg. Nie słyszy dzisiaj ich porannego szelestu, nie słyszy gdańskich przez sen. Śpiochy! Otwiera drzwi, ale żadna kura nie wychodzi. Zaskoczona Charis idzie do dużych drzwi i wchodzi do środka.

Wszystkie kury są martwe, leżą w skrzynkach, dwie są na podłodze. Wszędzie jest pełno krwi, na słomie, na skrzynkach. Podnosi jedną z kur: ma podcięte gardło.

Stoi, zaszokowana i przerażona, próbuje wziąć się w garść. W głowie jej się mąci, przed oczami wirują czerwone strzępy. Jej piękne kurczaki! To musiały być łasica. Co innego? Ale czy łasica nie wypłaby całej krwi? Może któryś z sąsiadów, nie ktoś z bliska, ale jakiś dalszy. Kto ich do tego stopnia nienawidzi? Kurczaków albo jej i Billy'ego. Czuje się osaczona.

– Billy! – woła, ale on nie może jej słyszeć, jest w środku. Idzie niepewnie w stronę domu; myśli, że zemdleje. Dociera do kuchni i woła. Musiał zasnąć. Ciężko wchodzi po schodach.

Billy'ego nie ma. Nie ma go w pokoju; zagląda do pokoju Zeni, tam też go nie ma. Dlaczego miałby tam być?

Zeni także nie ma. Oboje zniknęli. Nie ma ich w domu.

Charis biegnie, biegnie dysząc, w stronę promu. Teraz wie. W końcu to się stało: Billy został uprowadzony. Kiedy dobiega do przystani, prom trąbi, odpływa powoli. Na promie jest Billy z dwoma obcymi mężczyznami, stoją bardzo blisko niego, dwaj mężczyźni w płaszczach, tak zawsze mieli wyglądać. Obok Billy'ego jest Zenia. Musiała powiedzieć, musiała go wydać.

Billy nie macha do niej. Nie chce, aby ci dwaj mężczyźni dowiedzieli się, że Charis ma z nim coś wspólnego. Stara się ją chronić.

Idzie powoli w kierunku domu, wchodzi powoli do środka. Przeszukuje cały dom, od dołu do góry, szuka listu, ale nie ma nic. W zlewku znajduje nóż do chleba z krwią na ostrzu.

To Zenia. To Zenia wymordowała kury.

Może Billy nie został porwany. Może uciekł. Uciekł z Zenią. To miał na myśli, mówiąc, że nie ma żadnych blizn; Zenia nie ma żadnych blizn. Wie, ponieważ patrzył na nią. Patrzył na ciało Zeni, całe ciało, przy świetle. Wie wszystko, co o ciele można wiedzieć. Był wewnątrz.

Charis siedzi przy stole, uderzając w niego lekko głową, chce pozbyć się tej myśli. To nie pomaga. Jeżeli nie ma blizn, to nie ma raka. Zenia nie ma raka, tak jak mówił Billy. Jeśli to prawda, to co robiła Charis przez ostatnie sześć miesięcy? Była głupia, to wszystko. Idiotka. Tak bardzo głupia, że aż dziw, że w

ogóle ma mózg.

Była zdradzana. Jak długo, ile razy? On próbował jej powiedzieć. Chciał, żeby Zenia odeszła, potem było już za późno.

Martwe kury i nóż do chleba to wiadomość. „Podetnij sobie żyły”. Słyszysz głos, głos z przeszłości, coś więcej niż głos. „Jesteś taka głupia, nie wygrasz tej walki.” Nie w tym życiu. Tego życia i tak ma już dosyć, może czas na następne. Zenia zabrała tę część, której potrzebuje, aby żyć. Jest głupią, skończoną idiotką. Całe zło, jakie jej się przytrafiło, to kara, nauczka. Nauczka, że równie dobrze może już zrezygnować.

To wszystko mówi Karen. Karen wróciła, Karen panuje nad ich ciałem. Karen jest na nią zła, Karen jest rozgoryczona, Karen jest pełna odrazy, Karen chce ich śmierci. Chce zabić ich ciało. Już trzyma nóż w ręku, przesuwając go w stronę ich wspólnego ramienia. Jeżeli to robi, dziecko też umrze, ale na to Charis się nie zgadza. Przywołuje wszystkie swoje siły, całe wewnętrzne światło niosące uzdrowienie, ostre, niebieskie światło jej babci, bierze je w dłonie. Mocuje się bezgłośnie z Karen o władzę nad nożem. Gdy go zdobywa, odpycha Karen od siebie najmocniej jak może, odpycha z powrotem w cień. Potem wyrzuca nóż przez drzwi.

Czeka, aż wróci Billy. Wie, że nie wróci, ale mimo to czeka. Siedzi w kuchni przy stole, nakazując ciało, by się nie ruszało. Czeka cały wieczór. Wreszcie idzie spać.

Następnego dnia nie jest już tak spokojna. Jest oszalała. Najgorzej jest nie wiedzieć. Może źle osądziła Billy'ego, może nie uciekł z Zenią. Może jest w więzieniu, ktoś podrzyna mu gardło pod prysznicem. Może nie żyje.

Dzwoni pod wszystkie numery nabazgrane na ścianie przy telefonie. Pyta, zostawia wiadomość. Nikt z jego przyjaciół nic nie słyszał albo nie przyznaje się. Kto jeszcze mógłby wiedzieć, gdzie on jest, dokąd mógł pójść? On albo Zenia, a może oboje razem. Kto jeszcze zna Zenię?

Przychodzi jej do głowy tylko jedna osoba: West. Mieszkał z Zenią, zanim zjawiła się na progu domu Charis z podbitym okiem. Charis patrzy na to podbite oko pod innym kątem. Mógł istnieć poważny powód, by je podbić.

West wykłada na uniwersytecie, Zenia jej powiedziała. Uczy muzyki czy czegoś w tym rodzaju. Zastanawia się, czy on mówi o sobie West czy Stewart. Zapyta o oba imiona. Poszukiwanie jego domowego numeru nie zabiera jej dużo czasu.

Wykręca numer, odbiera kobieta. Charis wyjaśnia, że szuka Zeni.

– Zeni? – dziwi się kobieta. – A kto, u diabła, chciałby jej szukać?

– Z kim rozmawiam? – pyta Charis.

– Tony Fremont.

– Tony – mówi Charis. Ktoś znajomy, mniej więcej. Nie zastanawiała się, dlaczego akurat Tony odbiera telefon w domu Westa. Bierze głęboki oddech. – Pamiętasz, jak próbowałam mi pomóc na trawniku przed McClung Hall, ale ja niczego nie potrzebowałam?

– Tak – przyznaje ostrożnie Tony.

– Teraz potrzebuję.

– Pomocy z Zenią? – pyta Tony.

– Tak jakby.

Tony mówi, że przyjdzie.

Tony dostaje się promem na Wyspę. Siedzi przy kuchennym stole Charis, pije miętową herbatę. Słucha całej historii, kiwając głową od czasu do czasu, usta ma lekko otwarte. Zadaje kilka pytań, ale w nic nie powątpiewa. Kiedy Charis mówi jej, jaka była głupia, Tony przyznaje, że nie bardziej głupia niż ona sama.

– Zenia była bardzo dobra w tym, co robiła – tak to ujmuje.

– Ale mnie tak było jej żal! – szlocha Charis. Łzy ciekną jej po twarzy; nie potrafi ich powstrzymać. Tony podaje jej zmiętą papierową chusteczkę.

– Mnie też – mówi. – Ona jest w tym ekspertem.

Wyjaśnia, że West nie mógł uderzyć Zeni w oko nie tylko dlatego, że nigdy nikogo by nie uderzył, ale przede wszystkim dlatego, że w tym czasie nie mieszkał z Zenią. Nie mieszkał z nią od ponad półtora roku. Mieszkał z Tony.

– Biorę jednak pod uwagę, że mógł to zrobić, idąc ulicą – mówi. – To na pewno byłoby kuszące. Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdybym przypadkiem wpadła na Zenię. Może oblałabym ją benzyną i podpaliła.

Jeśli chodzi o Billy’ego, zdaniem Tony Charis nie powinna tracić czasu na szukanie. Po pierwsze, dlatego że nigdy go nie znajdzie; po drugie, co robi, jeśli go znajdzie? Jeżeli został zabrany przez policję, nie będzie w stanie go uratować, jest już prawdopodobnie w jakiejś betonowej celi w Wirginii. Jeśli będzie chciał się z nią skontaktować, zrobi to. Oni zezwalają na listy. Jeżeli nie został zabrany, tylko Zenia położyła na nim łapę, to nie zechce się widzieć z Charis. Będzie czuł się winny.

Tony wie, Tony już przez to wszystko przeszła: Billy został jak gdyby opętany czarem. Zenia niedługo jednak będzie się cieszyć Billym. Jest zbyt małym łupem i – niech Charis wybaczy Tony te słowa – był zbyt łatwy. Tony dużo myślała o Zeni i doszła do wniosku, że Zenia lubi zmiany. Lubi włamywać się i wchodzić, lubi brać rzeczy, które nie należą do niej. Billy, jak West, był tylko celem ćwiczebnym. U Zeni na ścianie wisi prawdopodobnie rząd kutasów, jak wypchane głowy zwierząt.

– Zostaw go w spokoju, a wróci, machając ogonem – radzi Tony. – Jeśli nadal będzie miał ogon, gdy Zenia z nim skończy.

Charis jest zaskoczona spokojem, z jakim Tony wyraża wrogość. To może nie być dla niej dobre, ale niezaprzeczalnie przynosi ulgę.

– A jak nie wróci? – pyta Charis, nadal pociągając nosem. Tony znajduje dla niej pod zlewem papierowy ręcznik. Tony wzrusza ramionami.

– To nie wróci. Są inne rzeczy do zrobienia.

– Ale dlaczego wymordowała wszystkie kury? – pyta Charis. W żaden sposób nie może tego pojąć. Kurczaki były takie ładne, niewinne, nie miały nic wspólnego z porwaniem Billy’ego.

– Bo to jest Zenia – odpowiada Tony. – Nie dręcz się motywami. Attyła, wódz Hunów, nie miał motywów. Miał tylko apetyty. Ona je zabiła. To mówi samo za siebie.

– Może dlatego że jej matkę ukamienowali Rumuni za to, że była Cyganką – zastanawia się Charis.

– Co? – dziwi się Tony. – Nie! Była Rosjanką na wygnaniu! Zmarła w Paryżu na gruźlicę!

Nagle Tony wybucha śmiechem. Śmieje się bez końca.

– O co chodzi? – pyta Charis.

Tony robi Charis filiżankę herbaty, każe jej wygodnie usiąść. Musi teraz dbać o zdrowie, mówi Tony, ponieważ jest matką. Otula Charis kocem i kładzie na kanapie. Charis jest senna, ma poczucie, że ktoś się o nią troszczy i przejął sprawę w swoje ręce.

Tony wychodzi z kilkoma plastikowymi workami na śmieci – Charis wie, plastik jest zły, ale nie znalazła alternatywy – i zbiera martwe kury. Zamiata kurnik. Napełnia wiadro wodą i robi, co może, z krwią.

– Jest wąż – mówi sennie Charis.

– Chyba większość już zrobiłam – oświadcza Tony. – A co robił nóż do chleba w ogrodzie?

Charis opowiada o próbie podcięcia sobie żył, Tony nie gani jej. Mówi tylko, że nóż do chleba nie jest najlepszym rozwiązaniem, myje go i odkłada na miejsce.

Gdy Charis już odpoczęła, Tony sadza ją przy stole. Ma przed sobą czystą kartkę i długopis.

– A teraz pomyśl, czego potrzebujesz – mówi. – Wszystko, co konieczne.

Charis zastanawia się. Potrzebuje trochę białej farby do pokoju dziecinnego; powinna założyć izolację w domu, ponieważ po lecie przyjdzie zima. Potrzebuje kilku luźnych sukienek. Jednakże nie stać jej na nic. Gdy żywiła Billy’ego i Zenię, nie mogła zaoszczędzić. Może będzie musiała prosić o zasiłek.

– Pieniądze – mówi powoli. Nie chce tego mówić. Nie chce, aby Tony

pomyślała, że zebrze.

– Dobrze. A teraz zastanówmy się, w jaki sposób możesz je zdobyć.

Przy pomocy swojej przyjaciółki Roz, którą Charis mgliście pamięta z McClung Hall, Tony znajduje prawnika dla Charis; prawnik szuka wujka Verna. Wujek żyje, ciotka Viola już zmarła. Nadal mieszka w tym samym domu z salonikiem w piwnicy. Charis nie musi się z nim spotkać – robi to za nią prawnik i zdaje relację Tony. Charis nie musi opowiadać całej historii o wujku Vernie, ponieważ prawnik potrzebuje tylko tego, co jest zapisane w testamentach jej matki i babki. To, co się stało, jest całkowicie jasne: wujek zagarnął pieniądze ze sprzedaży farmy, pieniądze Charis, i zainwestował je we własnym interesie. Twierdzi, że próbował odnaleźć Charis, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, ale nie mógł.

Charis nie dostaje tyle pieniędzy, ile powinna – nie dostaje procentu, pewną część kapitału zużył wujek, dostaje jednak więcej, niż miała kiedykolwiek. Otrzymuje też lizusowski list od wujka Verna, w którym pisze, że chciałby ją zobaczyć, ponieważ zawsze była dla niego jak córka. Chyba musiał się zestarzeć. Charis pali list w piecu.

– Zastanawiam się, czy moje życie byłoby lepsze, gdybym miała prawdziwego ojca – zwraca się do Tony.

– Ja miałam – odpowiada Tony. – To dość dwuznacznie błogosławieństwo.

Roz inwestuje dla Charis część pieniędzy. Nie przyniosą zbyt wiele, ale pomogą. Część tego, co zostało, Charis przeznaczna na wykupienie domu – właściciel chce się go pozbyć, uważa, że miasto może go w każdej chwili zburzyć; z radością zgadza się na niską cenę. Po wykupieniu domu Charis przeprowadza remont, nie generalny, ale wystarczający.

Na Wyspę przyjeżdża Roz, gdyż uwielbia odnawiać domy, przynajmniej tak mówi. Jest jeszcze większa, niż Charis pamięta; głos ma donośniejszy, ma wokół siebie poświatę koloru jasnej cytryny, którą Charis widzi nawet bez specjalnego przyglądania się.

– Och, jest świetny – mówi Roz – zupełnie jak domek dla lalek! Ale kochanie, potrzebny tu jest inny stół! – Następnego dnia zjawia się inny stół. Jest okrągły i dębowy, dokładnie taki, jakiego pragnie Charis. Charis dochodzi do wniosku, że – mimo wszelkich pozorów – Roz jest subtelną osobą.

Wyprawką dla dziecka zajmuje się Roz, ponieważ Tony nie lubi zakupów, poza

tym nie wiedziałyby, co kupić. Charis też nie. Roz sama miała dziecko, więc wszystko wie, nawet, ile trzeba pieluszek. Mówi Charis, ile wszystko kosztuje, aby Charis mogła jej oddać; Charis dziwił tak niskie ceny.

– Słodziutka, jestem ekspertem w polowaniu na okazje – mówi Roz. – A teraz potrzebne ci „wesole jabłuszko”. To te plastikowe jabłka do kąpielii... namawiam cię serdecznie!

Charis, kiedyś taka wysoka i szczupła, zrobiła się wysoka i gruba. Ostatnie dwa tygodnie ciąży Tony spędza w domu Charis. Stać ją na to, jak mówi, ponieważ ma teraz letnie wakacje. Pomaga Charis w ćwiczeniach oddechowych, oblicza czas na swoim zegarku z wielkimi cyframi, ściskając dłoń Charis w swojej małej dłoni, takiej dziwnej, jak u wiewiórki. Charis nie może uwierzyć, że będzie miała dziecko, a raczej nie może uwierzyć, że niedługo dziecko z niej wyjdzie. Wie, że ono jest tam w środku, nieustannie przemawia do niego. Wkrótce sama usłyszy jego głos.

Obiecuje mu, że nigdy nie dotknie go w złości. Nigdy go nie uderzy, nawet przypadkowo. I prawie nigdy tego nie robi.

Ostatecznie Charis idzie do szpitala, ponieważ Tony i Roz postanawiają, że tak będzie lepiej; gdyby nastąpiły komplikacje, Charis musiałaby płynąć na łód motorówką policyjną, a to nie byłoby właściwe. August rodzi się ze złotą aureolą, taką jaką ma Jezus na bożonarodzeniowych kartkach. Nikt inny poza Charis jej nie widzi. Trzyma August w ramionach i przysięga, że będzie dla niej jak najlepsza.

Teraz, gdy August jest na świecie zewnętrznym, Charis czuje się bardziej zakotwiczona. Zakotwiczona, albo raczej spętana. Już nie pędzi z wiatrem; całą uwagę skupia na „teraz”. Została wepchnięta z powrotem we własne mleczne ciało, w ocieężałość piersi, we własne pole grawitacji. Leży pod jabłonią na kocu rozłożonym na trawie, w dusznym powietrzu, w słońcu przesączającym się poprzez liście; śpiewa dla August. Karen jest daleko, to dobrze: na Karen nie można by polegać przy małych dzieciach.

Tony i Roz zostają matkami chrzestnymi. Oczywiście, nie oficjalnie, ponieważ nie ma na świecie Kościoła, który zaakceptowałby to, co robi Charis. Sama odprawia ceremonię, posługując się Biblią babci i mocnym, okrągłym kamieniem, który znalazła na plaży, woskową świecę i źródlaną wodą z butelki; Tony i Roz obiecują opiekować się August i chronić jej ducha. Charis cieszy się, że może dać August takie dwie matki chrzestne o mocnych głowach. Nie pozwolą jej na słabość, nauczą ją walczyć o siebie – tego Charis sama nie potrafiłaby jej dać, jest tego pewna.

Oczywiście, jest jeszcze obecna trzecia matka chrzestna – ciemna matka, która przynosi niedobre dary. Cień Zeni pada na kołyskę. Charis modli się, by potrafiła emanować światło, które odpędzi ten cień.

August rośnie, Charis troszczy się o nią, cieszy się nią, ponieważ August jest szczęśliwa, szczęśliwsza od Charis, kiedy była Karen. Czuje, że ły jej życia wyschły, ale nie do końca, nigdy nie do końca. W nocy bierze kąpiele, z lawendą i wodą różaną. Wyobraża sobie wtedy, jak wszelkie negatywne emocje wypływają z jej ciała do wody, a kiedy wyciąga korek, są zabierane przez wir. Czuje przymus, aby tę czynność często powtarzać. Trzyma się z dala od mężczyzn, gdyż mężczyźni i seks to zbyt trudne dla niej; mężczyźni są zbyt uwikłani we wściekłość, wstyd, nienawiść i utratę, z posmakiem wymiocin i zapachem zjełzłego mięsa, ze złotymi włoskami na nieobecnych ramionach Billy’ego i z głodem.

Woli być sama z August. Aureola August jest żółta jak żonkile, mocna i wyraźna. Już w wieku pięciu lat ma swoje zdanie. Charis cieszy się z tego, cieszy się, że August nie jest spod znaku Ryb, tak jak ona. August ma mało elektrycznych czulek, mało przeczuć; nie wie nawet, kiedy będzie padać. Takie rzeczy to prawdziwe dary, ale są pozbawione ujemnych stron. Charis stawia August horoskop, zapisuje go w jednym z notesów, fiołkowym: znak – Lew, kamień – diament, metal – złoto, władca – Słońce.

Przez cały ten czas nie ma wiadomości od Billy’ego. Charis postanawia powiedzieć August – kiedy będzie odpowiednio duża – że jej ojciec zginął, walcząc dzielnie w Wietnamie. Podobnie i jej powiedziano, może to dobre. Nie potrafi stworzyć sobie obrazu Billy’ego w mundurze, ale powód jest prosty – nigdy nie miał munduru. Jedyne jego zdjęcie, jakie ma, zrobił któryś z jego kolegów. Jest na nim ubrany w krótkie spodenki i T-shirt, trzyma piwo; budował wtedy kurnik. Wygląda na zmęczonego, czubek jego głowy jest obcięty. Charis nie uważa, by takie zdjęcie nadawało się do umieszczenia w ramce.

Prom dobija do przystani, Charis schodzi po opuszczonym trapie i wdycha czyste powietrze Wyspy. Sucha trawa jak piszczałki; glina jak wiolonczeła. Wróciła, nareszcie w domu, w kruchym, ale pewnym domu, który nadal stoi, w domu z bujnymi kwiatami, w domu z popękkanymi ścianami, w domu z chłodnym, białym, spokojnym łóżkiem.

Jej dom, nie ich; nie Billy’ego i Zeni, chociaż właśnie w nim to wszystko się

wydarzyło. Może to nie był dobry pomysł, by tutaj pozostać. Dokonała egzorcyzmów, okadziła dom tatarakiem, oczyściła wszystkie pokoje, a narodziny August były egzorcyzmem samym w sobie. Nigdy jednak, bez względu na to, jak bardzo się starała, nie potrafiła pozbyć się Billy'ego, ponieważ jego historia była niedokończona; wraz z Billym pojawiała się Zenia. Byli z sobą złączeni.

Musi zobaczyć się z Zenią, ponieważ musi poznać koniec. Musi się jej w końcu pozbyć. Nie powie o tym ani Tony, ani Roz, bo będą ją od tego odwozili. Tony powie, trzymaj się z dala od strefy ognia. Roz powie, po co wtykać głowę do miksera?

Jednakże Charis musi zobaczyć się z Zenią i wkrótce to zrobi, skoro już wie, gdzie Zenia jest. Wejdzie do Arnold Garden Hotel, pojedzie windą na górę i zastuka do drzwi. Czuje, że ma dosyć sił. August jest już dorosła. Obojętnie jaka okaże się prawda o Billym, jest wystarczająco dorosła, by nie poczuła się zraniona.

A zatem Charis spotka się z Zenią i tym razem nie da się poniżyć, nie da się ugłaskać, nie wycofa się; stawi czoło i będzie walczyć. Zenia, morderczyni kur, chłęcząca niewinną krew. Zenia, która sprzedała Billy'ego za trzydzieści srebrników. Zenia, której dusza to ćma.

Zdejmuje z półki Biblię babci i kładzie na dębowym stole. Bierze szpilkę, zamyka oczy, czeka na ściągającą siłę.

Druga Księga Królewska, rozdział dziewiąty, wiersz trzydziesty piąty, czyta: „Wyszli, aby ją pogrzebać, lecz znaleźli po niej tylko czaszkę, nogi i dłonie”.

To Jezabel zrzucona z wieży, Jezabel pożarta przez psy. „Znowu”, myśli Charis. Przed oczami spada ciemny kształt.

Zbójcka narzeczona

Roz przemierza biuro, chodzi tam i z powrotem, pali, je paczkę stęchłych paluszków serowych, które wepchnęła do szuflady w zeszłym tygodniu, a potem o nich zapomniała. Czeka. Pali, je, czeka, takie jest jej życie. Na co czeka? Nie może się spodziewać odpowiedzi zbyt szybko. Węgierka Harriet, prywatny detektyw, jest dobra, ale na pewno minie wiele dni, zanim wywącha Zenię. Z pewnością Zenia nie ukrywa się w jakimś rzucającym się w oczy miejscu, przynajmniej tak każdy by pomyślał. A może ona się nie ukrywa, może pozostaje na widoku. Oto Roz na czworakach szuka pod łóżkiem, wśród unoszącego się kurzu i wysuszonych ciał owadów, które zawsze się zbierają mimo odkurzacza – szczytu techniki, a Zenia przez cały ten czas stoi na środku pokoju. „Dostajesz to, co widzisz, mówi do Roz. Tylko ty tego nie widziałaś”. Ona lubi dokuczać w ten sposób.

Roz zatrzymuje się przy oknie. Naturalnie, jej biuro mieści się w narożniku, na ostatnim piętrze. Prezesa przedsiębiorstw w Toronto mają prawo do narożnych gabinetów na ostatniej kondygnacji, nawet tacy mało ważni prezesa jak Roz. To jest wpisane w status; w tym mieście nie ma niczego wyższego na totemowym palu niż pokój z widokiem, nawet jeżeli ten widok to nic innego jak nieczynne dźwigi, rusztowania, autostrada z samochodami wielkości robaków oraz pajęczyna torów kolejowych. Jednakże ktokolwiek wchodzi do gabinetu Roz, natychmiast otrzymuje informację. „Okażmy jej nieco szacunku! Uwaga!” Władczyni wszystkich poddanych.

Jak cholera. Nie ma już żadnych władców. Wszystko wymknęło się spod kontroli.

Stąd Roz widzi jezioro, przystań jachtową budowaną na cyplu usypanym ze śmieci, zajęтым przez termity; widzi Wyspę, gdzie Charis ma swój rozpadający się domek, takie mysie gniazdko; z drugiego okna widzi wieżę CN – najwyższy na świecie piorunochron, obok niej stadion SkyDome: to nos i oko, marchew i cebula, członek i jajnik, każdy może wybrać, co chce. Dobrze, że Roz w to nie zainwestowała; krążą plotki, że inwestorzy co nieco stracili. Jeżeli stanie w narożniku obu okien i spojrzy na północ, zobaczy uniwersytet pośród drzew, złotych o tej porze roku. Za uniwersytetem skrywa się nibygotycki dom Tony z czerwonej cegły, doskonały dla Tony, z wieżyczką. Może się tam zamknąć i

sądzić, że jest bezpieczna.

Roz zastanawia się, co one dwie teraz robią. Czy przemierzają pokój tak jak ona, czy denerwują się? Widziane z góry utworzyłyby trójkąt, z Roz na wierzchołku. Mogłyby sobie przekazywać sygnały latarkami, jak Nancy Drew, dziewczyna-detektyw. Oczywiście, zawsze jest telefon.

Roz sięga po słuchawkę, wybiera numer, odkłada. Co one jej powiedzą? Nie wiedzą nic więcej o Zeni niż ona sama. Prawdopodobnie nawet mniej.

Roz ma wilgotne dłonie, ma też wilgotno pod pachami. Jej ciało pachnie jak zardzewiałe gwoździe. Czy to wybuch gniewu, czy jedynie stara, powracająca złość? „Jest tylko zazdrosna”, tak mówią ludzie, jakby zazdrość była czymś pomniejszym. Zazdrość jest najgorsza, jest najgorszym z uczuć – niespójna, pomyłona i wstydliva, a jednocześnie obłudna, skoncentrowana i twarda jak szkło, zupełnie jak widok przez teleskop. Uczucie pełnej koncentracji, ale i zupełnej bezsilności. Może właśnie dlatego doprowadza do tylu morderstw: zabójstwo jest aktem najwyższej kontroli.

Roz myśli o martwej Zeni. O jej prawdziwym ciele, martwym. Martwym i rozpadającym się.

Niezbyt to satysfakcjonujące, ponieważ gdyby Zenia była martwa, nie wiedziałaby o tym. Lepiej wyobrażać sobie ją jako brzydką. Roz bierze twarz Zeni, rozciąga ją, jakby była z kitu. Policzki, podwójny podbródek, wieczny grymas złości, kilka poczerniałych zębów, jak wiedźma na dziecięcych rysunkach, albo i gorzej.

„Lustro, lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?”

„To zależy, odpowiada lustro, uroda jest powierzchowna”.

„Masz rację, mówi Roz, mimo to wezmę trochę. A teraz odpowiedz na moje pytanie”.

„Jesteś świetna, mówi lustro. Ciepła i serdeczna. Nie powinnaś mieć trudności w znalezieniu innego mężczyzny”.

„Nie chcę innego, odpowiada Roz, starając się nie płakać. Chcę Mitcha”.

„Przepraszam, rzecze zwierciadło. Tego nie da się zrobić”.

Zawsze kończy się tak samo.

Roz wydmuchuje nos, bierze zakiet i torebkę, zamyka drzwi gabinetu na klucz. Boyce pracuje po godzinach, chwala jego kolorowym skarpetkom; pod drzwiami widać światło. Zastanawia się, czy powinna zastukać i zaprosić go na drinka, czemu on – ze względów politycznych – nie odmówiłby. Zabrałaby go do baru „King Eddie” i zanudziła na śmierć.

Lepiej nie. Pójdzie do domu i zanudzi dzieci. Wyobraża sobie siebie, jak

biegnie Bay Street, ubrana jedynie w pomarańczowy szlafrok, i garściami rozrzuca pieniądze z jutowej torby. Pozbywa się majątku. Uwalnia się od brudnego lukru. Potem przyłączy się do jakiejś sekty. Zostanie zakonnica. Mniszką. Siostrą. Będzie żywić się suszoną fasolą. Będzie wprawiać w zakłopotanie wszystkich, nawet bardziej niż teraz. Ale czy będą tam elektryczne szczoteczki do zębów? Czy żeby być świętą, trzeba mieć kamień nazębny?

Bliźniaczki oglądają telewizję w dużym pokoju, urządzonym w stylu Nouveau Pueblo – piasek, szaflwia, ochra i prawdziwe kaktusy mającące przy oknie, pomarszczone jak psianki, umierające z nadmiaru wody. Roz musi porozmawiać o tym z Marią. Gdy tylko Maria widzi roślinę, podlewa ją albo jeszcze odkurza. Roz przyłapała kiedyś Marię, jak czyściła kaktusy odkurzaczem, co na pewno nie wyszło im na dobre.

– Cześć, mamó – mówi Erin.

– Cześć, mamó – powtarza Paula. Żadna z nich nie patrzy na nią. Zmieniają programy, pstrykając pilotem w tę i z powrotem.

– Głupie! – krzyczy Erin. – I-dio-ty-czne! Patrz na tego świrka!

– Mózgoglut! – mówi Paula. – *C'est con, ça!* Hej... moja kolej!

– Cześć, dzieciaki – mówi Roz. Zrzuca ciasne buty i pada na fotel, matowofioletowy, w kolorze nowomeksykańskich skał tuż po zachodzie słońca, przynajmniej tak mówił dekorator. Roz nie wiedziała. Chciałaby, żeby Boyce był tutaj; zrobiłby jej drinka. Nawet by nie zrobił: nalałby. Czystej, bez niczego, na to ma ochotę, ale nagle robi się zbyt zmęczona, żeby sobie samej nalać. – Co oglądacie? – pyta swoje piękne dzieci.

– Mamó, nikt już nie ogląda telewizji – mówi Paula.

– Szukamy reklam szamponów – wyjaśnia Erin. – Chcemy pozbyć się łupieżu.

Paula przyciąga włosy do oka jak modelka.

– Czy cierpisz na dokuczliwy łupież w... kroczu? – udaje idiotyczny głos z reklamy. Obie uważają to za rozpustnie śmieszne, ale jednocześnie obserwują ją, niespokojnie zerkają spod oka, szukając oznak kryzysu.

– Gdzie wasz brat? – pyta Roz zmęczonym głosem.

– Moja kolej – odzywa się Erin, chwytając pilota.

– Wszedł – odpowiada Paula. – Chyba.

– Na planecie X – dodaje Erin.

– Tańcuje i romansuje – mówią razem i chichoczą.

Gdyby tylko się uspokoiły, wypożyczyły jakiś ładny film, Roz zrobiłaby

popcorn, polala topionym masłem i posiedziała w ciepłej domowej atmosferze. Tak to kiedyś bywało. Ich ulubionym filmem była *Mary Poppins*, kiedyś, za czasów ich flanelowych koszulek nocnych. Teraz trafiły właśnie na kanał muzyczny; jakiś mężczyzna w podartym podkoszulku podskakuje, wierci chudymi biodrami i wytyka język, co według niego jest seksowne; Roz nie ma już na to siły, nawet z wyłączonym dźwiękiem, wstaje więc i idzie na górę w pończochach. Wkłada szlafrok, przydeptane pantofle domowe i kuśtyka do kuchni, gdzie w lodówce znajduje do połowy zjedzony bochenek nanaimo. Kładzie go na talerz – nie może zdziczyć, będzie używać widelca – dodaje trochę osobno zawiniętego sera „Od wesolej krowy”, który kupiła w trójkącikach na śniadanie dla dzieci, kilka „Pikli Tomka”, staropolska receptura, sok zachowaj na kaca. Nie ma sensu prosić dzieci, aby przyłączyły się do obiadu. Powiedzą, że jadły, obojętnie czy to prawda, czy nie. Tak zaopatrzona Roz wędruje po domu, od pokoju do pokoju, zagryzając ogórkiem i przypominając sobie kolory. Pionierski błękit, myśli. Tego mi trzeba. Wrócić do korzeni. Do zarośniętych, podejrzanych i poplątanych korzeni. Gorszych od korzeni Mitcha. Niedotykalnych jak wiele innych. Mitch miał ustalone korzenie.

Po jakimś czasie zauważa, że trzyma pusty talerz, zastanawia się, dlaczego nic na nim nie ma. Stoi w piwnicy, w starej części, której nigdy nie remontowała; w części magazynowej, z betonową posadzką i pajęczynami. W jednym z narożników są jeszcze resztki kolekcji win Mitcha – nie tych najlepszych, tamte zabrał z sobą, kiedy dał drapaka. Prawdopodobnie wypił je z Zenią. Roz nie tknęła ani jednej butelki z tego, co zostało, nie może. Nie potrafi też ich wyrzucić.

Niektóre z książek Mitcha także tu trafiły; jego stare skrypty prawnicze, powieści Josepha Conrada, podręczniki żeglarskie. Biedactwo, tak kochał łodzie. Myślał, że jest żeglarzem z krwi i kości, ale za każdym razem, kiedy żeglowali, coś się psuło. Jakaś część silnika, jakiś kawałek drewna, zabij ją, ale nigdy nie przyzwyczała się, aby mówić „dziób” i „rufa”, zamiast „przód” i „tył”. Widzi teraz siebie na jednej z tych łodzi, chyba na pierwszej, „Rosalind”, nazwanej tak na jej cześć; z nosa schodzi jej skóra, ma piegi na plecach, stoi w czapce Mitcha przekrzywionej na bakier i macha jakimś kluczem – „Ten, kochanie?” Dryfują w stronę brzegu – gdzie? Jezioro Górne? – Mitch pochyla się nad silnikiem, przeklinając pod nosem. Czy mieli dobrą zabawę? Nie. Wolałaby jednak być tam niż tutaj.

Odwraca się plecami do rzeczy Mitcha, nie chce na nie patrzeć. Są takie żalodne. Na dole jest też trochę starych rzeczy bliźniaczek i Larry’ego: rękawica do baseballu, gry planszowe – „Admirałowie”, „Strategia”,

„Kamikadze” – wcisnięte mu przez Tony, która myślała, że tego rodzaju gry powinien lubić. Książki dla dzieci, czule uratowane przez Roz w nadziei, że kiedyś będzie miała wnuki i będzie im czytać. „Wiesz kochanie, to bajka twojej mamusi, kiedy była małą dziewczynką”. (Albo „tatusia”. Roz z trudem wyobraża sobie Larry’ego jako ojca, chociaż ma taką nadzieję.)

Larry przeważnie siedział milczący i ponury, kiedy mu czytała. Jego ulubione książki były o pociągach i kończyły się szczęśliwie; lubił też książki z morałem na temat współpracy różnych zwierząt. Pan Niedźwiedź pomaga Panu Bobrowi zbudować tamę. Larry nie komentował zbyt wiele. Za to przy bliźniaczkach ledwo mogła wtrącić jakieś słowo. Walczyły z nią o władanie nad opowieścią – „Zmień zakończenie, mammo! Niech wróca! To mi się nie podoba!” Chciały, by *Piotruś Pan* skończył się, zanim Wendy dorosnie, chciały, aby Mateusz z *Ani z Zielonego Wzgórza* żył wiecznie.

Roz pamięta okres, kiedy miały, ile? cztery, pięć, sześć, siedem lat? Trochę to trwało. Postanowiły, że wszystkie postacie z każdej historii będą rodzaju żeńskiego. Miś Puchatek był dziewczynką, Prosiaczek też, Królik, Piotruś też. Jeżeli Roz pomyliła się i powiedziała „on”, poprawiały ją: „Ona! Ona!” Ich wszystkie pluszowe zwierzątka były rodzaju żeńskiego. Roz nadal nie wie, dlaczego. Kiedy je zapytała, obrzuciły ją pogardliwym spojrzeniem. „Nie rozumiesz?”, zdawały się mówić.

Martwiła się, że te ich przekonania były reakcją na Mitcha, jego częstą nieobecność, były pewną próbą zaprzeczenia jego istnienia. A może był to tylko brak penisów u pluszowych zwierząt? Może właśnie to. W każdym razie wyrosły z tego.

Roz siada w piwnicy na podłodze, w pomarańczowym szlafroku, nie przeszkadza jej cementowy pył, rybiki i pajęczyny. Na chybił trafił wyciąga książki z półek. „Pauli i Erin od cioci Tony”. Tu na okładce jest ciemny las, ciemny, wilczy las, gdzie błądzą zagubione dzieci, przemykają lisy i wszystko może się zdarzyć; jest też wieżyczka zamku, wystająca ponad wierzchołkami drzew. *Trzy świnki* – czyta. Pierwszy mały prosiaczek zbudował dom ze słomy. „Zbudowała świnka”, krzyczą dziecięce głosiki w jej głowie. Wielki Zły Wilk wpadł przez komin wprost w kociołek z wrzącą wodą i sparzył sobie futro. „Wilczyca”! To dziwne, jaką różnicę wywołuje zmiana końcówki.

W pewnym momencie bliźniaczki postanowiły, że to nie wilk powinien wpadać do kotła z wrzącą wodą, lecz jedna z małych świnek, ponieważ były głupie. Kiedy Roz zaproponowała, że może świnki i wilk powinny zaprzyjaźnić się i zapomnieć o ukropie, bliźniaczki były pełne pogardy. Ktoś musiał się ugotować.

Roz dziwiło wtedy, jak dzieci mogą pragnąć krwi. Nie Larry, jemu nie podobały się bardziej okrutne bajki, miewał po nich koszmary. Nie sięgał po książki, które przynosiła Tony – autentyczne baśnie w oryginalnych wersjach, z żadnym słowem nie zmienionym, wszystkie wydziobane oczy, gotowane ciała, wieszane trupy i gwoździe rozgrzane do czerwoności pozostały nie tknięte. Tony mówiła, że dzięki temu są bliższe życiu.

– *Zbójcecki narzeczony* – czyta Tony, dawno temu, po obu jej bokach siedzą bliźniaczki. Piękna panna młoda, poszukiwanie męża, pojawienie się pięknego i przystojnego nieznajomego, który zwabia niewinne dziewczęta do swojej warowni w lesie, a potem siecze na kawałki i zjada. – Pewnego dnia zjawił się zalotnik. Był..

– Ona! Ona! – podnosi się wrzawa bliźniaczek.

– Dobrze, Tony, zobaczymy, czy uda ci się z tego wybrnąć – mówi Roz, stając w drzwiach.

– Możemy zmienić to na *Zbójcecką narzeczoną* – proponuje Tony. – Będzie pasować?

Bliźniaczki rozważają ten pomysł i zgadzają się. Lubią stroje ślubne, przebierają w nie swoje lalki Barbie. Potem zrzucają panny młode ze schodów albo topią w wannie.

– W takim razie – pyta Tony – kogo chcecie, aby mordowała? Mężczyzn czy kobiety? A może szerszy wybór?

Bliźniaczki pozostają wierne zasadom, ani drgną; głosują za kobietami w każdej roli.

Tony nigdy nie przemawiała do dzieci z góry. Nie tuliła ich, nie szczypała w policzki, nie mówiła im, jakie są kochane. Mówiła do nich jak do miniaturowych dorosłych. W zamian za to dziewczynki akceptowały ją jako jedną z nich. Dopuszczały ją do swoich tajemnic, rozmaitych spisków, podstępów, do tego, czym nigdy nie podzieliłyby się z Roz. Wkładały buty Tony i maszerowały w nich po domu, jeden but dla każdej z siostr; miały wtedy sześć, siedem lat. Były tymi butami oczarowane – dorosłe buty, które na nie pasowały!

„Zbójcecka narzeczona”, myśli Roz. Cóż, czemu nie? Niech oblubieńcom oberwie się chociaż raz. Zbójcecka narzeczona czyhająca w swym dworze w ciemnym lesie, polująca na niewinnych, wabiąca młodych do złowieszczego kotła. Jak Zenia.

Nie. To zbyt melodramatyczne jak na Zenię, która była w końcu – która jest – nikim więcej niż dziwką z wyższych sfer. To raczej „kurewka napalona”, ona i te jej nadmuchiwanie cycki.

Roz znowu płacze. Cóż oplakuje w swej dobrej wierze? Tak bardzo się

starala, starała się być dobra i zapobiegliwa, robić to, co najlepsze. Tony i bliźniaczki miały rację: obojętnie, co robisz, ktoś zawsze się ugotuje.

Historia Roz i Zeni zaczęła się pewnego pogodnego, majowego dnia 1983 roku, kiedy świeciło słońce, śpiewały ptaki i Roz czuła się wyśmienicie.

Prawdę mówiąc, nie całkiem wyśmienicie, raczej jak torba: pod oczami, pod pachami. Czuła się jednak lepiej niż wtedy, kiedy przekroczyła czterdziestkę. Czterdzieste urodziny były naprawdę przygnębiające, Roz rozpaczła, pofarbowała włosy na czarno – tragiczny błąd. Od tamtej pory zdołała dojść z sobą do ładu, jej włosy odzyskały kolor kasztana.

Historia Roz i Zeni zaczęła się również jakiś czas wcześniej – w głowie Zeni, ale Roz nie miała o tym pojęcia.

Prawdę mówiąc, miała pojęcie, ale mgliste. Nie było to chyba pojęcie, ale biały dymek bez żadnego napisu w środku. Miała wrażenie, że coś się stanie. Myślała, że wie co, ale nie wiedziała kto. Mówiła sobie, że jej to nie obchodzi, że jest ponad tym, dopóki to nie oznacza rozdzielenia, dopóki nie robi zamieszania, dopóki ona wychodzi z tego cało. Niektórym mężczyznom potrzebne były takie małe eskapady. Dzięki nim utrzymywali równowagę. Jako nałóg było to lepsze od alkoholu czy golfa, rzeczy Mitcha – „rzeczy”, tak to nazywała, aby odróżnić od ludzi – nigdy długo nie trwały.

A zatem był pogodny, majowy dzień. To było prawdą.

Roz budzi się z pierwszym brzaskiem. Często tak robi: budzi się, siada ostrożnie i przygląda się śpiącemu Mitchowi. To jedna z nielicznych okazji, kiedy może na niego popatrzeć, a on jej na tym nie przyłapie, nie przesyje jej nieprzeniknionym, błękitnym spojrzeniem. Nie lubi, kiedy ktoś badawczo mu się przygląda: to zbyt bliskie oceny, która jest zbyt bliska osądu. Jeżeli ma być osądzony, to chce to zrobić sam.

Mitch śpi na plecach, z szeroko rozrzuconymi nogami, z rozłożonymi rękami, jakby chciał zająć jak najwięcej miejsca. Postawa królewska, Roz wyczytała to kiedyś w jakimś czasopiśmie, w jednym z psychoanalitycznych artykułów, które utrzymują, że można powiedzieć wszystko na podstawie tego, jak zawiązujesz buty. Rzymski nos sterczy do góry, niewielki drugi podbródek i zgrubienie wokół zuchwy zanika w tej pozycji. Wokół oczu ma białe kreski, zmarszczki w miejscach, gdzie się opalił; niektóre z włosów pojawiających się rano na brodzie

są siwe.

„Wyróżnianie się”, myśli Roz. Wyróżnia się jak cholera. Może powinien wyjść za kogoś brzydkiego. Za jakiegoś faceta paskudnego jak ropucha, który nigdy nie mógłby uwierzyć w swoje szczęście, który doceniałby dźwięczące pieniędzmi cechy jej charakteru, który czciłby jej mały paluszek. Zamiast tego musiała wybrać sobie kogoś, kto się wyróżnia. Mitch powinien był sobie wziąć zimną blondynkę z zabójczymi oczami i podwójnym sznurem prawdziwych pereł, zarzuconym na szyję jako łąpówka, z kieszonką na książeczkę czekową pod lewą piersią. Taka kobieta byłaby dla niego odpowiednia. Nie przejmowałaby się takimi bzdurami, jak robi to Roz.

Roz zasypia ponownie, śni jej się ojciec stojący na czarnej górze, górze węgla czy czegoś spalonego, słyszy budzik Mitcha, znowu go słyszy, budzi się w końcu. Miejsce obok niej jest puste. Wstaje z łóżka, z łóżka یدie królewskiego, z mosiężnym wezglowiem w stylu secesyjnym, z pościelą w kolorze malinowym; stąpa po oberżynowym dywanie w sypialni o lososiovych ścianach, z beczenną toaletką i lustrem z lat dwudziestych, egipska podróbka, naciąga na siebie satynową, kremową podomkę i bezgłownie, bosu, wkracza do łazienki. Jakże uwielbia tę łazienkę! Jest tu wszystko: kabina prysznicowa, *jacuzzi*, bidet, podgrzewane miejsce na ręczniki, umywalki osobne dla niego i dla niej, aby nie mieszały się włosy z jej głowy z zarostem Mitcha. Mogłaby zamieszkać w tej łazience! Kilka rodzin z południowo-wschodniej Azji też chętnie by tak zrobiło, myśli pośepnie. Odezwało się w niej poczucie winy.

Mitch już tu jest, bierze prysznic. Jego różowa sylwetka majaczy niewyraźnie przez parę i piaskowe szkło. Kiedyś – ile lat temu? – Roz zakradłaby się do niego pod prysznic, namydliła go całego, otarła się o jego śliskie ciało i ściągnęła na posadzkę; kiedyś, kiedy jego skóra była jędrna, bez żadnych worków, wypukłości, i jej skóra także; kiedy smakował jak orzechy laskowe i pachniał smakowicie pieczenia; teraz Roz nie robi już takich rzeczy, teraz niechętnie pozwala się oglądać przy świetle.

W każdym razie, jeżeli to, co podejrzewa, jest prawdą, to wystawianie siebie na pokaz byłoby nie na miejscu. W kosmologii Mitcha Roz reprezentuje posiadanie, stałość, cnoty domowe, ognisko, dom, długotrwałe korzystanie. Matka jego dzieci. Legowisko. Natomiast z każdym innym ciałem, które może obecnie zajmować pole jego widzenia, będą związane inne rzeczowniki: przygoda, młodość, wolność, nieznanne, seks bez ograniczeń. Kiedy wahadło wychyli się w drugą stronę, powrotną, kiedy to drugie ciało zacznie oznaczać komplikacje, decyzje, żądania, dąsy, histerie, wówczas znowu przyjdzie pora na Roz. Taka jest zawsze kolej rzeczy.

Intuicja nie należy do mocnych stron Roz, ma jednak pewne domniemania co do początków ataków Mitcha. Uważa je za ataki, tak jak atak malarii, lecz także za ataki innej natury, bo czyż Mitch nie jest drapieżką, czy nie wykorzystuje biednych kobiet, które bez wątpienia są coraz młodsze, podczas gdy Mitch jest coraz starszy, czyż nie jest to jak atak niedźwiedzia, rekina, czy te kobiety nie stają się jego ofiarami? Sądząc po zapłakanych telefonach, z którymi Roz musiała się uporać, po ramionach, które poklepywała w obłudny, matczyzny, uspokajający sposób, tak właśnie jest.

To zadziwiające, jak Mitch potrafi skreślać te kobiety, zatapiać w nich zęby, wypływać; Roz musi sprzątać bałagan. Mitch wystrzela lędźwie i wymazuje te kobiety jak tablicę, nie pamięta nawet ich imion. To Roz je pamięta. Ich imiona i całą resztę.

Początki podbojów Mitcha nigdy nie rzucają się w oczy. Nigdy dla zamydlenia oczu nie mówi czegoś w rodzaju: „Pracuję do późna w biurze”. Kiedy tak mówi, naprawdę pracuje. Delikatnej zmianie ulegają za to jego niektóre zwyczaje. Wzrasta liczba konferencji, w których uczestniczy, liczba branych pryszniców (w czasie ilu z nich gwizdże), ilość wody po goleniu oraz miejsca, w których się nią spryskuje – krocze można przyjąć za pewnik; takie rzeczy Roz dokładnie obserwuje, przygląda się pobłaźliwie i miło, ale wewnątrz jeży się jak szczotka do mycia butelek. Mitch staje prościej, bardziej wciąga brzuch; przyłapuje go na tym, jak przygląda się sobie, swojemu profilowi, w lustrach w holu, w wystawach sklepowych, mruży oczy jak lew przed atakiem.

Zwraca na nią większą uwagę, jest miły; jest bardziej czujny, sprawdza, czy na niego patrzy. Całuje ją ukradkiem w kark, w opuszki palców – małe pocałunki w holdzie, małe pocałunki z prośbą o wybaczenie, ale nic, co mogłoby zamienić się w grę wstępną, ponieważ w łóżku staje się pasywny, odwraca się plecami, tłumaczy blahymi dolegliwościami, przyjmuje pozycję scyzoryka, chowając się przed jej pieszczącymi palcami. Jego kutas jest zaprzysięgłym monogamistą; pewny znak najprawdziwszego romantyka z książek Roz. Nie istnieje dla niego żadna cyniczna poligamia! Pragnie tylko jeszcze jednej kobiety, tylko jeszcze jednej, ponieważ mężczyzna powinien ciągle walczyć o nowe zdobycze; Mitch boi się umierać – gdyby kiedykolwiek miał zrobić pauzę i ujrzeć siebie jako męża Roz, wyłącznie Roz, poślubionego jej na zawsze, w jednej chwili wypadłyby mu wszystkie włosy, twarz pomarszczyłaby się jak u tysięcletniej mumii, serce przestałoby bić. Przynajmniej tak to sobie Roz tłumaczy.

Pyta go, czy widuje się z kimś.

Mówi, że nie. Mówi, że jest tylko zmęczony. Żyje w ogromnym stresie, mówi Mitch, naprawdę ogromnym; aby to udowodnić, wstaje w środku nocy i idzie do swojego gabinetu, zamyka drzwi i pracuje aż do świtu. Czasami słyhać jego mruczący głos: dyktuje listy, przynajmniej tak twierdzi, kiedy nie proszony występuje z wyjaśnieniami przy śniadaniu.

Tak to się toczy, dopóki Mitch nie zmęczy się kimkolwiek, z kim się widuje. Staje się wtedy rozmyślnie niedbały, zostawia tropy. Zapalki z restauracji, w której nigdy nie był z Roz, nie znany numer z innego miasta na rachunku telefonicznym. Roz wie, że w tym momencie powinna poruszyć z nim tę sprawę. Powinna stawić mu czoło, wściec się, krzyczeć, oskarżać, tarzać się po ziemi, pytać, czy nadal ją kocha, czy dzieci cokolwiek dla niego znaczą. Powinna zachowywać się tak, jak za pierwszym razem (drugim, piątym), aby mógł powiedzieć tej drugiej kobiecie – kobiecie ze zmarszczkami znużenia wokół oczu, której wydarto kawałki miłości – że zawsze będzie ją kochał, ale nie może zostawić dzieci. Będzie też mógł powiedzieć Roz – wspaniałomyślnie, z bohaterką miną poświęcenia – że jest najważniejszą kobietą w jego życiu, bez względu na to, jak podle i głupio się czasem zachowuje, że tamtą kobietę rzucił dla niej, więc czy ona mogłaby mu nie wybaczyć? Inne kobiety to zwykle przygody, to będzie chciał powiedzieć: wraca tylko do niej. Potem zanurzy się w nią jak w ciepłą kąpiel, jak w miękką koldrę, wyczerpie się i zapadnie w małżeńskie odrętwienie. Aż do następnego razu.

Z czasem Roz zaczęła jednak odmawiać swego ruchu. Nauczyła się trzymać głębę na kłódkę. Ignoruje rachunki za telefon i zapalki firmowe, a po nocnych rozmowach pyta go słodko, czy nie za bardzo się przepracowuje. W czasie jego wyjazdów na konferencje znajduje sobie inne zajęcia. Chodzi na zebrania, uczęszcza do teatru, czyta kryminały, poutykane w łóżku razem z kremem na noc. Ma przyjaciółki, ma interesy do prowadzenia; jej czas pochłaniają sprawy inne niż on. Robi się roztargniona: zapomina wysłać jego koszule do prania, kiedy Mitch z nią rozmawia, pyta: „Co powiedziałaś, kochanie?” Kupuje sobie nowe sukienki, nowe perfumy, uśmiecha się do swego odbicia w lustrze, kiedy on nie powinien patrzeć, ale patrzy, i Mitch zaczyna się pocić.

Roz wie, dlaczego: jego mały cukiereczek pokazuje pazury, mówi mu, że nie rozumie, co się z nim dzieje, narzeka, marudzi o zobowiązaniach i rozwodzie, to właśnie powinien teraz zrobić, w końcu obiecywał. Wokół niego zacieśnia się sieć i nikt go nie ratuje. Zostaje wyrzucony z pędzących sań, rzucony wilkom, hordom rozwydrzonych dzierlatek gryzących go w pięty.

Zdesperowany ucieka się do coraz śmielszych posunięć. Zostawia osobiste

listy w widocznych miejscach – listy kobiet do niego i, co gorsza, jego listy do kobiet, a właściwie ich kopie! Roz czyta i wścieka się, chodzi na salę gimnastyczną, aby się z tym uporać, potem zjada ciastka czekoladowe, odkłada listy tam, gdzie je znalazła, i nic o nich nie mówi. Mitch zapowiada osobne wakacje – może popłynie w krótki rejs dookoła Zatoki Jerzego, sam, potrzeba mu czasu na oddech – a Roz wyobraża sobie jakąś wulgarną dziwkę rozłożoną na pokładzie „Rosalind II” i niszczy w myślach ten obraz; mówi mu, że to wspaniały pomysł, ponieważ każde z nich będzie miało trochę więcej swobody.

Bóg jedynie wie, jak mocno gryzie się w język. Czeką do ostatniej chwili, aż naprawdę będzie musiał uciekać, bo inaczej złapie go, jak pieprzy swoją ostatnią zdobycz w malinowym łóżku Roz, aby zwrócić jej uwagę. Dopiero wtedy wyciągnie do niego pomocną dłoń, dopiero wtedy wyciągnie go z przepaści, dopiero wtedy wpadnie w tak wyczekiwany szal. Wtedy łzy Mitcha nie będą łzami pokuty, lecz łzami ulgi.

Czy Roz po cichu cieszy się z tego? Na początku nie. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, czuła się wydrażona, rozbita, pogardzona i zdradzona, zgnieciona spychaczami. Czuła się bezwartościowa, bezużyteczna, bezpłciowa. Myślała, że umrze. Z czasem wciągnęła się, zasmakowała w tym. To coś takiego jak prowadzenie negocjacji albo gra w pokera. Zawsze była w tym dobra. Trzeba wiedzieć, kiedy wejść w grę, kiedy blefować, kiedy spasować. Tak więc trochę cieszy się z tego. Trudno nie cieszyć się czymś, w czym jest się dobrym.

Tylko czy jej zadowolenie wychodzi na dobre? Wręcz przeciwnie. Jej zadowolenie sprawia, że wszystko jest źle. Każda stara zakonnica może to potwierdzić; niektóre zakonnice mówiły o tym Roz, kiedyś, we wcześniejszym okresie jej życia. Gdyby potrafiła ścierpieć ataki Mitcha jak męczennica, płacząc i bicząc się – gdyby pozwoliła, aby spadły na nią, bez jej uczestnictwa, bez wchodzenia w znowę, bez kłamstw i zatajeń, bez uśmiechów i zabaw z Mitchem jak z przerośniętym karpem – jakże byłoby to dobrze. Cierpiałyby dla miłości, cierpiała biernie, zamiast walczyć. Walczyć o siebie, o wyobrażenie tego, kim jest. W prawdziwej miłości należy zapomnieć o sobie, w każdym razie w przypadku kobiet, tak mówiły siostry. „Ja” powinno być wyszorowane jak podłoga: na kolanach, ostrą drucianą szczotką, żeby nic z niego nie zostało.

Roz tego nie potrafi. Nie umie pozbawić się swojego „ja”, nigdy nie umiała. Jednakże jej sposób jest lepszy. Jest trudniejszy dla Mitcha, ale łatwiejszy dla niej. Musiała po części zrezygnować z miłości, z bezgranicznej niegdyś miłości do Mitcha. Nie można trzeźwo myśleć, kiedy toniesz w miłości. Za bardzo się miotasz, krzyczysz i zużywasz.

Majowe słońce wpada przez okno, Mitch gwizdże *It Ain't Me, Babe*; Roz pospiesznie czyści zęby, aby Mitch nie zobaczył, jak to robi. Zdaniem Roz, nic nie osłabia pożądania tak bardzo, jak czyszczenie zębów: szeroko otwarte usta i manewrująca w nich nitka. Zawsze miała dobre zęby, to jedna z jej zalet. Dopiero ostatnio zaczęła myśleć, że może nie zawsze będą tam, gdzie są teraz, to znaczy w jej ustach.

Mitch wychodzi z kabiny, staje za nią i obejmuje ją; przyciska się do niej, odgarnia nosem włosy i całuje w kark. Gdyby nie kochali się w nocy, uznałaby ten pocałunek za rozstrzygający: na pewno zbyt grzeczny, by był niewinny! Jednakże w fazie wstępnej nigdy nic nie wiadomo.

– Dobry prysznic, kochanie? – pyta. Mitch wydaje taki dźwięk jak zawsze, kiedy uważa, że Roz zadała pytanie tak bez znaczenia, że nie wymaga odpowiedzi; nie uświadamia sobie, że jej słowa nie były pytaniem, ale odwróconym życzeniem: „Mam nadzieję, że prysznic był dobry, a teraz możesz ponarzekać na cokolwiek, co ci dolega fizycznie, a ja mogę zaoferować współczucie”.

– Myślałem, że moglibyśmy zjeść lunch – mówi Mitch. Roz zwraca uwagę na to sformułowanie: nie „Czy chciałabyś zjeść lunch?” albo „Zapraszam cię na lunch”. Nie ma miejsca na „tak” albo „nie” z jej strony, nie ma miejsca na odrzucenie propozycji; Mitch jest niczym, jeżeli nie rozkazuje. Jednocześnie jednak serce jej się ściska, ponieważ nieczęsto dostaje od niego takie zaproszenia. Patrzy na jego twarz w lustrze, uśmiecha się do niej. Jego odbicia w lustrze zawsze ją dekoncentrują. Jest przechylony na bok, nie przywykła do oglądania go w taki sposób; wygląda, jakby został odwrócony na drugą stronę. Cóż, nikt nie jest symetryczny.

Tłumi w sobie pragnienie, by powiedzieć: „Judaszu, jak to się stało, że nagle zaczynam się liczyć? Czy piekło zamarzło?” Zamiast tego mówi:

– Kochanie, to by było wspaniale! Wyśmienicie!

Roz siedzi na taborecie, przerobionym z wiktoriańskiej komódki, i patrzy, jak Mitch się goli. Uwielbia obserwować, jak to robi! Ta wzburzona, biała piana, zupełnie jak broda jakiegoś jaskiniowca; wykrzywia twarz, żeby zgolić dokładnie zarost. Roz musi przyznać, że nie tylko się wyróżnia, ale nadal jest przystojny, chociaż skóra robi mu się bardziej czerwona i błękitne oczy bledną. „Nieregularnie przystojny”, tak mogłaby to ująć reklama ubrań męskich, chociaż dotyczyłaby baraniego kozucha. Baraniego kozucha, skórzanych rękawiczek, cięłej teczki: to właśnie styl Mitcha. Posiada wiele przedmiotów w dobrym guście, z kosztownej skóry. Jeszcze nie łysieje, chwala Panu, chociaż Roz nie miałaby nic przeciwko temu; ma nadzieję, że kiedy zacznie łysieć, nie

da sobie przeszczepić włosów spod pach na czubek głowy. Włosy na skroniach zaczynają mu się lekko srebrzyć. Roz sprawdza, czy nie ma gdzieś brązowych plam, podobnie postępuje z samochodem.

Tak naprawdę, to czeka na wodę po goleniu. Którą wybierze i gdzie jej użyje? Ach! Nic specjalnie uwodzicielskiego, jakaś woda, którą dostał z Anglii, wrzosowa albo coś podobnego. Wersja na ulicę. Nic poniżej szyi. Roz oddycha z ulgą.

Naprawdę go kocha. Nadal go kocha. Nie potrafi iść na całość, tylko tyle.

Może gdzieś w środku kocha go zbyt mocno. Może jej nadmierna miłość odpycha go.

Kiedy Mitch wychodzi z łazienki, Roz kontynuuje własne przygotowania, kremy, płyny i perfumy, których Mitch nigdy nie może zobaczyć. Ich miejsce jest za kulisami, jak w teatrze. Roz zbiera perfumy, jak inni zbierają znaczki, nie przepuści żadnej nowości na rynku. Ma ich trzy rzędy, trzy rzędy zgrabnych buteleczek, podzielonych na trzy kategorie, które nazwała: Kompozycja Kwiatowa, Dyrektorskie Przedsięwzięcie i Ostry Petting. Dzisiaj, by uczcić lunch z Mitchem, wybiera „Shalimar” ze zbioru Ostry Petting; jest zbyt duszący jak na środek dnia, więc tłumi go czymś z Kompozycji Kwiatowej. Następnie, ubrana i wymalowana, lecz nadal w domowych pantoflach, niosąc w ręku szpilki, schodzi do kuchni, by wykonać matczyne obowiązki. Mitch, co jest oczywiste, już wyszedł. Ma naradę ze śniadaniem.

– Cześć, dzieciaki – mówi Roz. Oto one, cała trójka, chwalić ich łakome, przekarmione serduszka. Połykają chrupki ryżowe z brązowym cukrem i bananami. Dogląda ich Dolores, która pochodzi z Filipin; Roz ma nadzieję, że zaczyna dochodzić do siebie po szoku kulturowym. – Cześć, Dolores.

Dolores wywołuje u Roz niepokój i wątpliwości – czy Dolores powinna tutaj być? Czy zachodnia cywilizacja jej nie zepsuje? Czy Roz płaci jej wystarczająco? Czy Dolores skrycie nienawidzi ich wszystkich? Czy jest szczęśliwa, a jeżeli nie, czy to wina Roz? Roz długo rozmyślała, czy powinni mieć stałą gosposię, mieszkającą z nimi. Jeśli nie będą mieli, nie będzie miał kto zrobić dzieciom lunchu, kurować w nagłych chorobach i radzić sobie w ostatniej chwili, pozostanie wtedy tylko Roz, a Roz ma za dużo zajęć; nie mogłaby poświęcać Mitchowi wystarczająco dużo uwagi i Mitch byłby niezadowolony.

Roz robi rundę dookoła stołu, rozdając cmoknięcia. Larry ma czternaście lat, prawie piętnaście, i czuje się zakłopotany, ale dzielnie to znosi. Bliźniaczki oddają jej pocałunek, krótko, młecznie.

– Mamo – mówi Erin – pachniesz jak odświeżacz powietrza.

Wspaniale! Jak trafnie! Rozgląda się po kuchni wykończonej ciepłą boazerią, z blatami przypominającymi ludy w sklepach mięsnych, na których spoczywają trzy śniadania do szkoły w kolorowych pudełkach, niebieskie dla Erin, zielone dla Pauli, czarne dla Larry’ego. Roz zapala się w środku, promieniuje! Właśnie dlatego przechodzi przez to wszystko, przez całe to piekło z Mitchem, dla takich poranków jak ten, aby mogła wejść do kuchni i powiedzieć: „Cześć, dzieciaki”, podczas gdy one dalej pałaszują śniadanie, jakby jej nie było. Rozwija swe niewidzialne skrzydła, ciepłe, opierzone, anielskie skrzydła, kurze i trzepoczące, niedocenione i niezbędne, zwija je z powrotem. Chce, aby dzieci były bezpieczne; jest pewna, że czują się bezpiecznie. Wiedzą, że to bezpieczny dom, wiedzą, że ona tu jest, solidnie osadzona, dwiema stopami na ziemi, i Mitch też jest, mniej więcej, na swój sposób. Wiedzą, że wszystko jest w porządku, więc mogą robić to, co robią; nie muszą się martwić.

Może tym razem myli się co do Mitcha. Może nic się nie dzieje. Może w końcu się uspokoił.

Lunch jest w restauracji pod nazwą Nereidy. To mały lokal, na nowo urządzonej w domu przy Queen East, przed którym stoi ogromny posąg dobrze zbudowanego mężczyzny bez ubrania. Roz nigdy wcześniej tu nie była, ale Mitch tak; poznaje to po tym, jak wita go kelnerka, po tym, jak rozgląda się rozbawionym i władczyim wzrokiem. Wie także, dlaczego mu się tu podoba: cały lokal udekorowany jest malowidłami, za które dwadzieścia lat temu można by było zostać aresztowanym: przedstawiają nagie kobiety. Nagie kobiety i nagie syreny z ogromnymi, posągowymi piersiami: ani jeden cycek tutaj nie obwisa. Przedstawiają właściwie nagich ludzi, ponieważ nagim kobietom nie brakuje towarzystwa nagich mężczyzn. Roz podchodzi do stołu i jej spojrzenie pada wprost na kutasa; odwraca wzrok.

– Gdzie my jesteśmy? – szepcze rozpalona z ciekawości i radośnie przerażona, także z czystej przyjemności, że Mitch zabrał ją na lunch. – Czy ja widzę to, co mi się wydaje, że widzę? To znaczy, czy to jest sexshop czy coś w tym rodzaju?

Mitch tłumii śmiech, ponieważ lubi trochę szokować Roz, lubi pokazywać, że jest ponad jej uprzedzenia. (Nie dlatego, że ona jest świętoszką, ale są sprawy osobiste i publiczne, a ta jest publiczna. Publicznie osobista!) Wyjaśnia, że jest to restauracja serwująca dary morza, z kuchnią śródziemnomorską, jego zdaniem jedna z najlepszych w mieście; właściciel jest malarzem i niektóre z tych obrazów są jego dziełem, a niektóre jego przyjaciół, najwyraźniej dzielających owe zainteresowania. Czołowe miejsce zajmuje Wenus, ponieważ była przecież boginią morza. Motyw rybny tłumaczy syreny. Roz zaczyna rozumieć, że nie są to zwyczajni nadzy ludzie, ale nagie postacie mitologiczne. Z tym może sobie poradzić, przerabiała to na studiach. Proteusz dmuchający w konchę albo nakazujący w nią dmuchać.

– Aha – odzywa się Roz niby naiwnym głosem. – Więc to jest sztuka przez duże S! Czy dzięki temu jest legalna? – Mitch znowu się śmieje, niespokojnie, pyta, czy nie mogłaby mówić nieco ciszej, ponieważ chyba nie chciałyby zranić czyichś uczuć.

Gdyby ktoś inny kazał jej ściszyć głos, wiedziałyby, co robić: krzyczeć głośniej. Mitch zawsze potrafił sprawić, że czuła się, jakby wzięła się nie

wiadomo skąd, zawinięta w szal, wycierająca nos w rękaw, i dobrze, że ten rękaw miała w tej sytuacji. A skąd miała się wziąć? Wiele było miejsc w jej przeszłości, o ile pamięta. Wszystkich jej przodków skądś wyrzucano za to, że byli zbyt biedni, politycznie niepewni, mieli zły profil, akcent albo kolor włosów.

Jej ojciec przybył tutaj całkiem niedawno, chociaż na tyle dawno, że rząd kanadyjski nie zakazał jeszcze wjazdu Żydom, co obowiązywało w latach trzydziestych i podczas wojny. Jej ojciec nie był czystym Żydem. „Dlaczego jest się Żydem tylko ze strony matki?”, zapytała kiedyś Tony. „Ponieważ tak wiele żydowskich kobiet zostało zgwałconych przez Kozaków i kogo tam jeszcze, że nigdy nie było wiadomo, kim był ojciec”. Jej ojciec był jednak wystarczająco czystym Żydem dla Hitlera, który nawet bardziej nienawidził mieszzańców.

Rodzina jej matki przybyła tu dużo wcześniej. Sto pięćdziesiąt lat temu wygnał ich głód wywołany brakiem ziemi, do którego doprowadziła wojna, wygnał zarówno Irlandczyków, jak i Szkotów. Była to jedna z tych rodzin, które wyjechały z piątką dzieci, a przybyły bez żadnego dziecka. Ojciec umarł w Montrealu na cholera, a matka wyszła ponownie za mąż – jak mogła najszybciej – za Irlandczyka, któremu zmarła żona, więc potrzebował nowej. Wtedy mężczyźni potrzebowali żon do takich przedsięwzięć. Wyruszyli w półdzikie ostępy, żeby nakładano na nich zbyt duże podatki, żeby mieć następne dzieci, żeby sadzić ziemniaki, ścinać drzewa nie znanymi im narzędziami, bo ile drzew zostało w Irlandii? Często się zdarzało, że obcinali sobie nogi. Tony, która bardziej niż Roz interesuje się takimi szczegółami, pokazała kiedyś Roz stare zdjęcie. Byli na nim mężczyźni stojący w metalowych baliach, by chronić nogi przed własnymi siekierami. Kiepska komedia dla angielskiej klasy średniej, która została w domu, żyjąc z ich pracy. Głupi Irlandczycy! Z Irlandczyków zawsze można było się trochę pośmiać.

Oczywiście, oni wszyscy przyplnęli trzecią klasą, podczas gdy przodkowie Mitcha – chociaż nie stworzeni przez Boga ze świętej gliny Toronto, musieli się jakoś tutaj dostać – z całą pewnością mieli kabinę. Oznacza to, że podczas podróży przez ocean wymiotowali do porcelanowej miski, a nie innym ludziom na nogi.

Wielkie coś, ale Roz i tak czuje się ponizona. Otwiera menu ozdobione syrenimi festonami, czyta i prosi Mitcha o poradę, jakby sama nie wiedziała, co zjeść. „Roz, mówi do siebie, ale ty jesteś naiwna”.

Pamięta pierwszy raz, kiedy wyszła z Mitchem. Była stara, miała prawie dwadzieścia dwa lata, szło jej już z górki. Wiele dziewczyn z liceum i ze studiów

powychodziło już za mąż, więc dlaczego ona nie? To pytanie zadawały coraz bardziej zawiedzione oczy matki.

Roz przeżyła już miłość, a raczej przygodę miłosną, potem następną. Nie czuła się bardzo winna z ich powodu. Zakonnice wpoili jej, czym jest seks i grzech, ale Roz nie była już katoliczką. Była nią kiedyś, chociaż według jej matki katolikiem zostaje się na całe życie. Miała więc pewne wyrzuty sumienia po tym, jak minęło pierwsze poczucie zadowolenia z popełnionego występku. Co dziwne, te skrupuły nie tyle dotyczyły seksu, co prezerwatyw – przedmiotów, które trzeba było kupować spod lady, nie dlatego jednak, że ona to robiła, to było zadanie mężczyzny. Prezerwatywy wydawały jej się na wskroś złe. Były także na wskroś zabawne, jak gumowe rękawiczki z jednym tylko palcem; za każdym razem, kiedy widziała prezerwatywę, musiała walczyć z sobą, żeby nie wybuchnąć śmiechem. To było okropne, gdyż mężczyzna mógł pomyśleć, że śmieje się z niego, z jego kutasa, z jego wielkości, a to byłoby fatalne.

Sam seks był jednak wspaniały. Była w tym dobra, chociaż żaden z tych mężczyzn nie był dla niej ideałem od szyi w górę. Jeden miał wielkie odstające uszy, drugi był o dwa cale niższy, a ona nie wyobrażała sobie, że mogłaby przechodzić całe życie na płaskich obcasach. Chciała mieć dzieci, ale nie karłowate z uszami jak od dzbanka.

Żadnego z nich nie traktowała poważnie. Oni też jej nie traktowali serio, może dlatego, że dość często przybierała maskę kłowna. Potrzebowała tej rozradowanej, roztargnionej twarzy, ona, stara panna, ciągle mieszkająca z rodzicami, pracująca w firmie ojca. „Będziesz moją prawą ręką”, powtarzał. To miał być komplement, żeby jej nie było przykro, że nie jest synem. Roz nie chciała być synem. W ogóle nie chciała być mężczyzną, prawą ręką czy kim innym. Być jednym z nich to duży wysiłek, jak zauważyła, to udawanie dostojeństwa. Nigdy by jej się nie udało z jej głupawą frywolnością, gdyby była mężczyzną. Ale... gdyby była mężczyzną, nie byłoby to jej potrzebne.

Jej zadania w firmie były dość proste; kretyn mógłby im sprostać. W zasadzie była wybitnym gońcem. Jej ojciec był przekonany, że każdy, nawet córka szefa, powinien zaczynać od dołu i piąć się w górę. W ten sposób zapoznawał się z funkcjonowaniem firmy, szczebel po szczeblu. Jeżeli coś było nie w porządku u sekretarek, jeżeli coś nie pasowało w księgowości, mogło się przenieść na całość; ty musisz umieć samodzielnie wykonywać wszystkie te prace, aby wiedzieć, czy inni robią źle czy dobrze. Przez wszystkie lata ta lekcja była dla Roz bardzo przydatna.

Uczyła się dużo. Obserwowała styl ojca. Niegodziwy, ale skuteczny,

delikatny, ale twardy, wrzaskliwy, ale w gruncie rzeczy śmiertelnie poważny. Czekał na swój moment, niczym kot na trawniku, i uderzał. Lubił robić interesy, dobijać targu. „Interes, targ”, lubił te słowa. Lubił ryzyko, lubił chodzić po krawędzi. W jego kieszeni znikwały całe kwartały domów, a potem jak zaczarowane pojawiały się zamienione w biurowce. Jeżeli dało się coś wyremontować, jeżeli coś było warte zachowania – robił to. W przeciwnym razie przyjeżdżały buldożery, na przekór grupkom protestujących z fryzurami afro, którzy maszerowali dookoła z przybitymi do uchwytów grabi tablicami z napisem: „Ratujmy naszą dzielnicę”.

Roz miała własne pomysły. Wiedziała, że mogłaby być w tym dobra, gdyby on rzucił jej linę, ale nie zrobił tego; musiała pracować, poświęcać swój czas.

A co z jej miłosnym życiem? Nie było nikogo. Nikogo odpowiedniego. Nikogo bliskiego. Nikogo, kto nie byłby idiotą albo nie chciał jej pieniędzy – czynnik, o którym musiała pamiętać – jej przyszłych pieniędzy, gdyż wtedy dostawała jedynie pensję, jak każdy inny, i to bardzo mizerną. Ojciec był przekonany, że trzeba wiedzieć, jak bardzo mizerna jest mizerna pensja, żeby można było sobie wyobrazić, na czym polegają negocjacje płacowe. Uważał, że trzeba znać cenę ziemniaków. Roz wówczas jej nie znała, gdyż mieszkała ciągle w domu, żyła ze swej mizernej pensji. Szukała kawalerki, pokoju z ciasną kuchenką wydzieloną w którymś rogu, z widokiem na łazienkę sąsiada, co za okropność! Jaka jest cena wolności? Wyższa niż to, co wtedy miała. Wolą raczej zostać tu, gdzie była – w mieszkaniu po służących nad garażem rodziców na trzy samochody – i wydawać nędzną pensję na nowe ciuchy i rachunki za własny telefon.

Chciała pojechać samodzielnie do Europy, ale ojciec nie pozwalał. Mówił, że to zbyt niebezpieczne. „Nie musisz wiedzieć, co się tam dzieje”, odpowiadał. Chciał trzymać ją bezpiecznie za ścianą swych pieniędzy.

Mitch był wtedy początkującym prawnikiem, pracował w firmie, która przygotowywała umowy jej ojca. Pierwszy raz zobaczyła go, gdy przechodził przez sekretariat, gdzie Roz ślęczała niewolniczo nad pracą. Ubrany był w garnitur, niósł aktówkę, szedł ostatni w nieomal codziennym pochodzie urzędników, ciągnącym się za jej ojcem jak ogon. Zatrzymali się przy biurku Roz; ceremonia powitania – ojciec Roz zawsze przedstawiał wszystkich wszystkim. Mitch uściśnął rękę Roz i ręka Roz uściśnęła jego rękę. Spojrzała na niego i pomyślała: są brzydcy i są wspaniali, są też średni, ten jest wspaniały. Po chwili pomyślała: możesz sobie pomarzyć, mała. Śliń się w poduszkę. To nie dla ciebie.

Ale niech to cholera, jeżeli do niej nie zadzwoni! Nie trzeba być Einsteinem, żeby zdobyć numer. Będzie musiał jednak trochę pomyśleć, ponieważ Roz podała się do książki telefonicznej jako Rosie O'Grady, zmęczyły ją bowiem nienawistne telefony pod adresem ojca. Wielkie napisy wokół burzonych domów nie ułatwiały życia: „Firma budowlana Grunwald”, litery wielkie na pół metra; równie dobrze mogłaby chodzić z czerwonym X namalowanym na czole. „Tutaj płuć”, to by było to samo, co podać prawdziwe nazwisko w książce telefonicznej.

Nagle jednak usłyszała przez telefon głos Mitcha, chłodny, ale przekonywający, jakby chciał sprzedać jej ubezpieczenia na życie; przypomniał, gdzie się poznali, jakby trzeba było jej przypominać. Był tak sztywny na początku, że chciała do niego krzyknąć: „Hej, nie jestem twoją babcią! Wymij ten kij, który połknąłeś!” Wspaniały czy nie, zanudzał strasznie, jak nieruchawy dupek z dobrej rodziny, dla którego najlepszą rozrywką jest partia brydża ze starymi teściami albo niedzielny spacer po cmentarzu. Dojście do sedna zajęło mu więcej czasu niż Roz, gdyby to ona wyszła z inicjatywą; w końcu dobrnęła jednak do zaproszenia jej na kolację, a potem do kina. No, Bogu niech będą dzięki, pomyślała Roz. Cuda nadal się zdarzają.

Kiedy przygotowywała się do wyjścia, radość stopniowo się ulatniała. Chciała się unosić, fruwać, a czuła się coraz cięższa, siedząc przy toalecie i zwilżając skronie, szyję i nadgarstki perfumami „Arpège”. Jednocześnie zastanawiała się, jakie włożyć kolczyki, by jej twarz nie była zbyt okrągła. Co prawda, miała dołeczki, ale takie jak w kolanach, raczej fałdy. Była dziewczyną o grubych kościach, kościstą (słowa jej matki), z kręgosłupem (ojca), o pełnej, dojrzałej figurze (sklepy z odzieżą). Bóstwem nigdy nie będzie. „Dobry Boże, zmniejsz mi stopy, a zrobię wszystko dla ciebie. Szóstka byłaby dobra, a przy okazji zamień mnie w blondynkę”.

Problem polegał na tym, że Mitch był po prostu zbyt przystojny. Ramiona, niebieskie oczy, budowa – wyglądał jak gwiazda z magazynu filmowego, zbyt piękny, żeby był prawdziwy. Roz bała się tego – nikogo o takim wyglądzie nie powinno się wpuszczać między ludzi, mógłby spowodować wypadki drogowe – bała się jego aromatu dobrych obyczajów, jego wyprostowanej sylwetki, sztywnej jak zamrożony filet rybny. Nie pozwoliłaby sobie iść z nim i żartować, wygłupiać się. Obawiała się, że coś jej zostało między zębami.

Poza tym tak bardzo drżałaby z pragnienia – precz z poządlivością przez duże P, najlepszym z grzechów głównych – że nie mogłaby spokojnie usiedzieć. Zazwyczaj nie brakowało jej opanowania, ale Mitch wyglądał, jakby znajdował się na pierwszym miejscu w katalogu piękności. Ludzie będą się odwracać,

wodzić za nimi oczami, będą się zastanawiać, co taki przystojniak robi z finalistką konkursu Miss Polonia Buraczana. Ogólnie rzecz biorąc, zapowiadał się iście czyścicowy wieczór. „Boże, przeprowadź mnie przez to, a wyszoruję dla ciebie milion klozetów! Ale chyba nie jesteś zainteresowany, bo kto w niebie robi kupę?”

Zaczęło się dokładnie tak koszmarnie, jak Roz przewidywała. Mitch przyniósł kwiaty, niezbyt wiele, ale zawsze. Jak można być tak staroświeckim, nie wiedziała, co z tym cholerstwem zrobić, więc zabrała je do kuchni – może miała włożyć je do wazonu, czy co? Dlaczego nie wybrał czekoladek? W kuchni była matka, siedziała posępnie nad filiżanką herbaty, w szlafroku, z metalowymi wałkami i siatką na głowie – miała wyjść później na jakiś bankiet z ojcem Roz, chodziło o interesy. Matka nienawidziła takich okazji, przyglądała się Roz ponuro, co zdarzało się od czasu, kiedy zrobili się bogaci i przenieśli się do domu na Dunvegan, wielkiego jak stodoła, tuż obok Upper Canada College, dokąd wysyłano męskie latorośle takie jak Mitch i gdzie prano im mózgi oraz wzmacniano kręgosłupy, aby ich miednice nigdy więcej się nie poruszały. „Wychodzisz?”, odezwała się matka takim głosem, jakby zapytała: „Umierasz?”

Roz zostawiła Mitcha w przepastnym salonie, stał na półakrowym dywanie, otoczony trzema ciężarówkami mebli w niepokalanie złym guście matki; kosztowały krocie, wyglądały jak przysłane pocztą z katalogu mebli dla przedsiębiorstw pogrzebowych, w dodatku każda powierzchnia pokryta była serwetką, co jeszcze pogarszało ich wygląd. Matka była fetyszystką serwetkową, w młodości jej tego pozbawiono. A co by się stało, gdyby Mitch poszedł za nią do kuchni i zastał tam matkę Roz, która obrzuciłaby go przenikliwym spojrzeniem, mającym określić przynależność religijną i możliwości finansowe, w takiej kolejności? Tak więc Roz wrzuciła kwiaty do zlewu, zajmie się nimi później, pocałowała matkę w krem wzmacniający, odrobinę zbyt późno, i nieomal porwała Mitcha z domu, zanim ojciec mógłby wejść w drogę i poddać go tym samym torturom, co wszystkich chłopaków Roz, jeżeli mógł ich przechwycić – dokąd idą, co będą robić, kiedy wrócą, to już za późno – a potem opowiedzieć tajemne, etniczne przypowieści o życiu. „Z dwóch kalek nie będzie jednego tancerza”, mawiał o nich, spoglądając spod wszystkowiedzących, krzaczastych brwi; i co te biedne głuptychy miały sobie pomyśleć? „Papo, po co to powiedziałeś?”, wyrzucała mu później. I jeszcze to: musiała nazywać go papą, nie reagował bowiem na „tato”. „Więc?, odpowiadał wtedy, uśmiechając się do niej, to prawda czy nie?”

Kiedy udało im się znaleźć za drzwiami, okazało się, że Mitch nie ma

samochodu, więc po co była ta etykieta? Czy miała zaoferować swój? Nie mogła pozwolić, żeby mężczyzna jej snów jechał autobusem, a także by ona sama nim jechała. Jaki był sens pięcia się w górę, jeżeli i tak trzeba było jeździć autobusami? Były granice! Miała już zaproponować taksówkę, kiedy nagle, przyszło jej do głowy, że on może nie mieć pieniędzy.

Ostatecznie pojechali samochodem Roz, małym czerwonym austinem, prezentem urodzinowym, Roz wolałaby jaguara, ale ojciec powiedział, że to by ją popsuło. Mitch nie protestował zbyt, kiedy Roz wylewnie wciskała mu kluczyki, żeby on prowadził, ponieważ mężczyzna wożony przez kobietę mógłby się poczuć zdegradowany. W kobiecych magazynach czytała o wszelkich sposobach, którymi nieświadomie można się przyczynić do degradacji mężczyzny, to straszne, jak oni łatwo się kurczą, i chociaż zazwyczaj wolała sama prowadzić swój samochód, nie chciała odstraszyć Mitcha. Dzięki temu mogła swobodnie usiąść i podziwiać jego profil. Mitch prowadził dobrze – zdecydowanie, agresywnie, chociaż bez wdzięku; to jej się podobało. Ona prowadziła szybko, zajeżdżała drogę, trąbiła; obserwując Mitcha, przekonała się, że istnieją łagodniejsze sposoby, by dostać się tam, gdzie się chce.

Kolację zjedli w małej quasi-francuskiej restauracji, obitej w środku czerwonym pluszem, jak burdel z przełomu wieku, serwującej niezbyt dobre jedzenie. Roz zamówiła zupę cebulową, co było błędem z powodu ciągnącego się sera, który za każdym razem zwisał z łyżki. Robiła, co mogła, ale czuła, że nie zdała egzaminu z wdzięku. Mitch jakby tego nie zauważał; opowiadał o swojej firmie prawniczej.

On mnie nie lubi, myślała, to fiasko, wypiła więc jeszcze jeden kieliszek białego wina i wtedy przyszło jej do głowy, do diabła, że opowie mu dowcip o dziewczynie, która opowiadała koleżance, że latem została zgwałcona, a potem, przez całe lato, były już same gwałty. Mitch uśmiechnął się lekko, przymrużył oczy niczym kot głaskany za uszami; może pomimo tej postawy ołowianego żołnierzyka miał w środku ze dwa hormony, może ta sztywna fasada była jedynie fasadą, a jeśli tak, to będzie wdzięczna na wieki; nagle poczuła na kolanie jego dłoń. To był koniec jej samokontroli; pomyślała, że roztopi się jak lody na czerwonym pluszowym krześle.

Po kolacji rzeczywiście pojechali w kierunku kina, ale skończyli, całując się w samochodzie Roz; później znaleźli się w trzypokojowym mieszkaniu Mitcha, które dzielił z dwoma studentami prawa; tak się dobrze złożyło, że gdzieś teraz wyszli. „Czy on to zaplanował?”, pomyślała Roz w popłochu, bo tak naprawdę, kto tu kogo uwodził? Zaczęła mocować się z pasem do pończoch, wpiętych uporawszy się wraz z Mitchem z górną częścią garderoby – żadna dama nie

powinna nigdy chodzić bez pasa, pouczała ją matka i czasopisma, powinna panować nad szpetnie trzęsącymi się pośladkami, bo inaczej mężczyźni pomyślą, że jest łatwą kobietą z obwisłą pupą, chociaż to cholerstwo było skonstruowane jak pułapka na szczury, żeliwny elastyl, zupełnie jakby chciała się uwolnić od potrójnego zwoju gumy. Mitch wziął ją w ramiona, zajrzał głęboko w oczy i powiedział, że bardzo ją szanuje.

– Nie chcę tylko się z tobą kochać – powiedział. – Chcę się z tobą ożenić.
– Roz już miała zaprotestować, że te dwa pojęcia się nie wykluczają, ale to mogłoby być nieskromne, przynajmniej w oczach Mitcha; poza tym opanowała ją zbyt wielka radość, może strach, bo czyż nie były to oświadczyzny?

– Co? – spytała.

Powtórzył część dotyczącą małżeństwa.

– Ale je ciebie ledwo znam – wydobyła z siebie Roz.

– Poznasz mnie lepiej – rzekł spokojnie Mitch. Co do tego miał rację.

W ten sposób sprawy się potoczyły: mierne kolacje, ostry petting, opóźniona rozkosz. Gdyby Roz umiała skończyć z tym, wyrzucić Mitcha ze swego organizmu, może nie wyszłaby za niego. Nieprawda: wyszłaby, ponieważ po pierwszym wieczorze zakochała się po uszy i „nie” nie wchodziło w rachubę. Fakt, że zamieniał ją w rozrzuśioną galaretę, kiedy wychodzili na randkę, kiedy chwycił jej ręce, gdy próbowała rozpiąć mu spodnie, dawał poczucie pewnego zawieszenia, a raczej frustracji, a także podłego ponizenia. Czuła się jak wielka, rozwiązała zdzira, czuła się jak szczeniak, któremu wymierzono gazetą klapsa za wspinanie się panu na nogę.

Kiedy nadszedł czas – nie w kościele, nie w synagodze – zważywszy na mieszanekę religijną, lecz w jednej z sal bankietowych Park Plaza Hotel – Roz myślała, że nie będzie w stanie przejść całej długości sali. Myślała, że nastąpi jakiś niepojęty wypadek. Mitch nigdy by jej nie wybaczył, gdyby zrobiła mu taki numer przy ludziach albo chociaż cmoknęła go głośno na zakończenie. Zdążył już jasno powiedzieć, że są tacy, którzy rzucają, i tacy, którzy są porzucani, tacy, którzy całują, i tacy, którzy są całowani, on był tym pierwszym, ona drugim.

Stereotypowe role płci, myśli teraz Roz, nauczywszy się co nieco przez ten czas. Chytry gnojek. Ukrywał coś przede mną, wykorzystał mnie. Wiedział dokładnie, co robi. Prawdopodobnie miał jakąś przystawkę ukrytą gdzieś w sekretariacie, żeby mu członek nie odpadł, ale udało mu się, ożenił się ze mną. Dostał obrączkę. Roz teraz wie, że chodziło o pieniądze. Jej ojciec podejrzewał to już wtedy.

– Ile on zarabia? – wypytywał Roz.

– Papo, nie w tym rzecz! – krzyczała Roz w przypiływie antymaterializmu. Czyż Mitch nie był złotym dzieckiem? Czy nie musiało mu się dobrze powieść? Czy nie miał wznieść się w swej firmie prawniczej jak bańka mydlana?

– Chodzi mi tylko o to, czy muszę mu pomóc – mówił ojciec. Do Mitcha powiedział: – Z dwóch kalek nie będzie tancerza. – Łypnął przy tym spod brwi.

– Słucham? – zapytał Mitch grzecznie, zbyt grzecznie; taka grzeczność graniczyła z łaskawością, a to oznaczało, że Mitch chciał patrzeć z góry na rodziców Roz, na emigranckie obciążenie ojca, na czynszową kamienicę matki, pachnącą gotowanymi ziemniakami i zarzuconą serwetkami. Roz to nowe pieniądze, Mitch stare – oczywiście, gdyby je miał. Jego ojciec nie żył, zmarł jakoś zbyt wcześnie i w zbyt niejasnych okolicznościach, aby można było być całkowicie spokojnym. Skąd Roz miała wiedzieć, że roztrwonił fortunę rodzinną z jakąś wojenną wdową, z którą uciekł, a po wszystkim skoczył z mostu? Nie umiała czytać w myślach, a Mitch jej nie powiedział, nie mówił całymi latami. Nie zrobiła tego jego złośliwa matka, która żyła jeszcze, ale (myśli Roz w piwnicy) równie dobrze mogłaby nie żyć. Roz nigdy jej nie wybaczyła tych delikatnych, uszczypliwych uwag po ślubie, żeby stonowała swoją garderobę i należycie nakrywała do stołu.

– Papo, ja nie jestem kaleką! – powiedziała później Roz do ojca. – Naprawdę, to takie obraźliwe!

– Z kaleki i niekaleki też nie będzie tancerza – odparł ojciec.

Co on chciał mi powiedzieć, myśli Roz z tej odległości czasowej. Co on widział, jaką rysę czy pęknięcie, ukryty defekt?

Wtedy jednak Roz nie słuchała, zakrywała uszy rękami, nie chciała słyszeć. Ojciec spojrział na nią poważnie i przeciągle:

– Wiesz, co robisz?

Roz myślała, że wie, a właściwie nie obchodziło jej, czy wie, czy nie, ponieważ to było właśnie TO, w końcu wzniosła się, unosiła w obłokach, lekka jak piórko pomimo mocnych kości. Matka była po jej stronie, ponieważ Roz miała już prawie dwadzieścia trzy lata i w jej przypadku jakkolwiek ślub był lepszy niż żaden; jednakże kiedy się okazało, że małżeństwo jest pewne, zrobiła się krytyczna wobec pewnych dobrych manier Mitcha – „paniczyk i bawidamek; myśli, że jest nie wiadomo kim” – i dała do zrozumienia, że wolałaby katolika niż anglikanina. Ponieważ jednak sama nie wyszła za rzymskiego katolika, nie miała przekonywających argumentów.

Mitch nie ożenił się z Roz wyłącznie dla pieniędzy. Jest tego pewna. Pamięta

miesiąc miodowy w Meksyku, cukrowe czaszki na targowisku w Dniu Zmarłych, kwiaty, kolory; była pijana ze szczęścia, miała poczucie czegoś nowego, poczucie ulgi z powodu tego, czego dokonała – nie była już potencjalną starą panną, tylko mężatką, kobietą zamężną; pamięta gorące noce, okno otwarte na morze, rozwiane zasłony, wiatr dotykający jej skóry jak muślin i ciemny kształt Mitcha ponad sobą, napięty, bez twarzy. Kiedy jest się zakochanym, wszystko staje się inne, to już nie była gra; stawka była większa. Płakała ze szczęścia i Mitch też to musiał odczuwać; nie można udawać tak wielkiej namiętności całkowicie, prawda?

A zatem nie były to wyłącznie pieniądze. Mogłaby jednak ująć to w taki sposób – bez pieniędzy nie ożeniłby się z nią. Może właśnie one trzymają go przy niej, w domu. Roz ma nadzieję, że nie tylko one.

Mitch unosi kieliszek wina i mówi: „Za nas”, następnie sięga przez stół, ujmując jej lewą dłoń, tę z pierścionkiem, skromnym, ponieważ wtedy tylko na taki było go stać, a odmówił jakiegokolwiek wsparcia ze strony jej ojca na zakup większego, uśmiecha się do niej i mówi: „Nie jest źle, co? Całkiem dobrze nam razem”, i Roz wie, że Mitch pociesza siebie za ukrywane rozczarowania, za czas, który mknie naprzód, za światy, których już nie będzie mógł podbić, za fakt, że są tysiące młodych kobiet do wzięcia, miliony, coraz więcej z każdą minutą, i bez względu na to, jak bardzo by się starał, nigdy nie wejdzie w nie wszystkie, gdyż sztuka jest długotrwała, a życie krótkie, w oddali majaczy śmiertelność.

Tak, jest im razem całkiem dobrze. Czasami. Jeszcze. Więc ona uśmiecha się do niego, oddaje uścisk dłoni i myśli, że są szczęśliwi na swój sposób. Są. Są szczęśliwi po swojemu, zważywszy na to, kim są. Chociaż gdyby byli innymi ludźmi, mogliby być szczęśliwsi.

Dziewczyna, śliczna dziewczyna, śliczna dziewczyna w sukience z dekoltem przynosi paterę z martwymi rybami, z których wybiera Mitch. Zamawia „przysmak dnia”. Roz – makaron w sepji, ponieważ nigdy czegoś takiego nie jadła, brzmi to zaskakująco. Spaghetti w tuszu. Najpierw podają sałatkę; w tym czasie Roz uważa za stosowne zapytać, w miarę ostrożnie, czy Mitch chce przedyskutować coś konkretnego. Poprzednio podczas wspólnych obiadów zawsze pojawiał się jakiś temat związany z interesami, z coraz większymi wpływami Mitcha, jakie zdobywa w zarządzie „WiseWomanWorld”, w którym pełni funkcję prezesa.

Mitch zaprzecza, poczuł jedynie, że ostatnio mało ją widuje, ją samą, bez

dzieci, a Roz, jak zawsze chciwa na resztki, połyka to. Wybaczy mu, zapomni. W każdym razie wybaczy, ponieważ nie panuje się nad tym, co można lub czego nie można zapomnieć. Może Mitch przechodził menopauzę przez te wszystkie lata; ale dwadzieścia osiem lat to chyba trochę za wcześnie.

Pojawia się sałatka na wielkim talerzu, przyniesiona przez jeszcze jedną piękność o długich włosach i z dekoltem; Roz zastanawia się, czy kelnerki zostały specjalnie dobrane do malowideł. Przy takiej liczbie sutków dookoła, Roz ma uczucie, jakby obserwowały ją miriady obcych oczu. Różowych. Przychodzi jej do głowy przypadek kobiety o płaskich piersiach, oskarżającej restaurację o dyskryminację z powodu nieprzyjęcia jej do pracy, albo jeszcze lepiej, mężczyzny o płaskich piersiach. Chciałaby być muchą na ścianie.

Kelnerka nachyla się, ukazując głęboki dekolt, i nakłada sałatkę. Prostuje się i uśmiecha, gdy Roz próbuje.

– Świetne – chwali Roz, mając na myśli jedzenie.

– Absolutnie – mówi Mitch, uśmiechając się do kelnerki. O Boże, myśli Roz. On zaczyna flirtować z kelnerkami. Co ona o nim pomyśli? Stary pierdziel? A kiedy naprawdę zrobi się z niego stary pierdziel?

Mitch zawsze flirtował z kelnerkami, na swój powściągliwy sposób. To tak samo, jak powiedzieć, że dziewięćdziesięcioletnia tancerka kankana zawsze tańczyła kankana. Skąd wiedzieć, kiedy przestać?

Po sałatce zjawia się główne danie. Tym razem podchodzi inna dziewczyna, a raczej inna kobieta: nieco starsza, ale z zachwycającą burzą włosów i zadziwiająco wielkimi cyckami, w dodatku niezwykle szczupła w talii, co budzi zazdrość Roz. Patrzy więc na nią badawczo i wie, że kiedyś już ją widziała; dużo wcześniej, w poprzednim życiu.

– Zenia! – wykrzykuje Roz, zanim może nad sobą zapanować.

– Słucham? – odzywa się kobieta. Spogląda na Roz, uśmiecha się i mówi: – Roz? Roz Grunwald? To ty? Nie wyglądasz jak na zdjęciach!

Roz chciałaby zdecydowanie zaprzeczyć. Przede wszystkim nie powinna była się odzywać, powinna była upuścić torebkę na podłogę i schylić się po nią, zrobić cokolwiek, żeby pozostać poza zasięgiem wzroku Zeni. Na co komu zle spojrzenie?

Szok na widok Zeni pracującej jako kelnerka – „podająca” – w „Nereidach” przewyższa jednak wszystko.

– Co, do diaska, tutaj robisz? – wyrzuca z siebie Roz.

– Badania – odpowiada Zenia. – Jestem dziennikarką, pracowałam na własny rachunek, głównie w Anglii, ale chciałam wrócić, żeby zobaczyć... jak

tu jest. Podpisałam więc umowę o artykuł na temat wykorzystywania seksualnego w miejscu pracy.

Zenia musiała się zmienić, myśli Roz, skoro pisze o tych sprawach. Nawet wygląd jej się zmienił. Z początku nie potrafi tego określić, ale teraz już wie. Cycki. I jeszcze nos. Te pierwsze napęczniały, ten drugi się skurczył. Zenia miała nos taki jak Roz.

– Naprawdę? – pyta Roz, która interesuje się tym zawodowo. – Dla kogo?

– „Saturday Night” – odpowiada Zenia. – To ma być głównie w formie wywiadu, ale pomyślałam, że dobrze będzie przyjrzeć się miejscu. – Uśmiecha się bardziej do Roz niż do Mitcha. – W zeszłym tygodniu byłam w fabryce, a jeszcze wcześniej spędziłam tydzień w szpitalu. Nie uwierzysz, ile pielęgniarek atakowanych jest przez pacjentów! Nie chodzi tylko o obmacywanie – oni rzucają przedmiotami, basenami i tak dalej, to ryzyko zawodowe. Nie pozwalali mi wykonywać normalnych obowiązków pielęgniarki, jakbym była przedmiotem.

Mitch zaczyna się irtować, że pozostaje z boku, więc Roz przedstawia go Zeni. Nie chce powiedzieć „stara przyjaciółka”, więc decyduje się na: „Byłyśmy w tej samej szkole”. Nie byłyśmy, jak to się mówi, kumpelkami, myśli Roz. Wtedy ledwo знаła Zenię, jedynie jako przedmiot plotek. Niesamowitych, sensacyjnych plotek.

Mitch nic nie robi, aby pomóc Roz w prowadzeniu rozmowy. Mruczy coś i wpatruje się w talerz. Widocznie czuje się, jakby mu przerwano.

– Rozmawialiśmy o ryzyku zawodowym – mówi Roz, osłaniając go. – Czy nazwał cię ktoś „dupcią” i uszczypnął w tyłek?

– Ta sama stara Roz – śmieje się Zenia. – Zawsze była duszą towarzystwa – mówi do Mitcha.

Podczas gdy Roz zastanawia się, w jakim towarzystwie była z Zenią – w żadnym, o ile pamięta, ale wtedy więcej piła i może zapomniała – Zenia kładzie jej rękę na ramieniu. Jej głos zmienia się, staje się niższy, poważniejszy.

– Wiesz, Roz – mówi – zawsze chciałam ci to powiedzieć, ale nigdy nie potrafiłam.

– Co takiego? – pyta Roz.

– Twój ojciec.

– O, rany! – Roz obawia się jakiejś draki, o której nigdy nie wiedziała, jakiegoś ukrytego skandalu. Ojciec był starym, chytrym lisem. – Cóż on takiego zrobił?

– Uratował mi życie – oznajmia Zenia. – Podczas wojny.

– Uratował ci życie? – dziwi się Roz. – Podczas wojny? – Zaraz, zaraz...

kiedy Zenia się urodziła? Roz waha się, nie chce w to wierzyć, ale zawsze na to czekała – na naocznego świadka, kogoś zorientowanego, ale bezstronnego, kto zapewniłby ją, że ojciec był – jak krążyły plotki – bohaterem albo półbohaterem, w każdym razie kimś więcej niż podejrzanym handlarzem. Słyszała opowiadania innych, na przykład wujów, ale obydwu im nie można było specjalnie wierzyć, więc nigdy nie była całkowicie pewna.

Teraz wreszcie jest posłaniec z wiadomościami z dalekiego kraju, kraju wojny. Tylko dlaczego tym posłańcem musi być Zenia? Roz martwi się, że Zenia ma te wieści, a ona nie. Ma poczucie, jakby ojciec zostawił coś w testamencie, jakiś skarb, zupełnie obcemu człowiekowi, jakimś szumowinie z baru, a nie własnej córce. Czy nie wiedział, jak bardzo chciała wiedzieć?

Może nic w tym nie ma. A z drugiej strony, jeżeli jest? Warto przynajmniej posłuchać, to warte małego ryzyka.

– To długa historia – mówi Zenia. – Chciałabym ci o tym opowiedzieć, jak znajdziesz czas. To znaczy, jeżeli zechcesz posłuchać. – Uśmiecha się, kiwa głową do Mitcha i odchodzi. Porusza się pewnie, nonszalancko, jakby wiedziała, że tej oferty Roz nie może odrzucić.

Ojciec Roz, Wielki Nieznany. Wielki dla innych, nieznany dla Roz. Właściwie trzeba by powiedzieć – myśli Roz, siedząc w pomarańczowym szlafroku w piwnicy, kończąc kruszynki po bochenku nanaimo, łączywie wylizując talerz – że on miał dziewięć wcieleń, ona sama świadoma była jedynie trzech lub czterech z nich. Nigdy nie było wiadomo, kiedy mógł się pojawić ktoś będący poprzednim wcieleniem.

Kiedyś Roz nie była Roz. Była Rosalind, a na drugie imię miała Agnes, po świętej Agnes, a także po matce, ale nie powiedziała o tym dziewczętom w szkole, gdyż nie chciała, aby mówiły do niej Aggie, tak jak za plecami nazywali jej matkę lokatorzy. Nikt nie śmiał nazwać jej matki Aggie otwarcie. Za bardzo ją szanowali. Dla nich była panią Greenwood.

Tak więc Roz była Rosalind Greenwood, a nie Roz Grunwald, i mieszkała z matką w domu przy Huron Street. Matka utrzymywała się z wynajmowania pokoi. Dom był wysoki i wąski, zbudowany z czerwonej cegły, z krzywą werandą od frontu, którą ojciec zamierzał naprawić, może kiedyś. Ojciec wyjechał na wojnę. Nie było go, jak tylko Roz sięga pamięcią.

Roz pamięta wojnę, ale niezbyt dobrze. Pamięta alarmy przeciwlotnicze, jeszcze zanim poszła do szkoły, ponieważ matka kazała jej wczłogiwać się pod łóżko, a tam był pajak. Matka zbierała smalec i konserwy, Roz nie wiedziała, co żołnierze będą robić z tym wszystkim; później, w szkole, wszyscy dawali po pięć centów na Czerwony Krzyż, na sieroty. Sieroty stały na stertach gruzu, miały podarte ubrania i wielkie, pozbawione radości oczy, proszące oczy, oskarżające oczy, ponieważ ich rodzice zginęli od bomb. Zdjęcia sierot pokazywała w pierwszej klasie siostra Mary Paul i Roz płakała, ponieważ było ich jej żal; siostry kazały jej się opanować, ale nie mogła zjeść obiadu, więc kazały jej go skończyć także z powodu sierot; poprosiła wtedy o dokładkę, bo skoro zjedzenie jednego obiadu miało pomóc sierotom, to zjedzenie dwóch pomogłoby jeszcze bardziej, chociaż nie była pewna, w jaki sposób. Może Bóg potrafił załatwiać takie sprawy. Może to widzialne, prawdziwe jedzenie, które jadła Roz, zamieniało się w niewidzialne, duchowe pożywienie i leciało w powietrzu wprost do sierot, jak Komunia święta, jak Hostia, która wyglądała jak

okrągly wafel, a w rzeczywistości była Jezusem. W każdym razie Roz bardzo chciała pomóc.

Gdzieś tam w oddali, za stertami gruzu, niewidoczny pośród ciemnych drzew, był jej ojciec. Roz miała nadzieję, że część zjedanego przez nią pożywienia ominie sieroty i dotrze do niego. Tak właśnie myślała Roz, kiedy była w pierwszej klasie.

Jednakże wojna się skończyła, więc gdzie teraz był ojciec? „W drodze”, odpowiadała matka. Przy stole kuchennym zawsze stało trzecie krzesło, przygotowane dla niego. Roz nie mogła się doczekać.

Ponieważ ojca nie było, matka zajmowała się domem sama. To ją wykańczało, tak mówiła do Roz nieomal codziennie. Roz to widziała: matka robiła się żylasta, jakby pozbawiono ją miękkich części, jakby kości zbliżały się do skóry. Miała pociągłą twarz, brązowe włosy poprzytyskane szarymi pasmami, zaczesane do tyłu i upięte spinkami, nosiła fartuch. Nie mówiła wiele, a kiedy się odezwała, były to małe, gęste zlepki słów. „Gadanie nic tu nie pomoże”, mawiała. „Zaszyj dziurkę, póki mała. Krew nie woda. Nie urodzenie stanowi o szlachetności. Wszędzie dobrze, w domu najlepiej. Czas to pieniądz. Małe dzieci wszystko słyszą”. Mówiła, że Roz jest gadułą, że ma długi język.

Miała wielkie dłonie, z powiększonymi knykami, czerwone od prania. „Patrz na moje ręce”, zwykła mówić, jakby jej dłonie stanowiły jakiś dowód. Zazwyczaj oznaczało to, że Roz miała więcej pomagać. „Twoja matka jest święta”, mówiła mała panna Hines, która mieszkała na drugim piętrze. Skoro jednak matka Roz była świętą, Roz nie bardzo miała ochotę także nią zostać.

Jak ojciec wróci, też będzie pomagał. Jeżeli Roz będzie greczna, ojciec wróci szybciej, ponieważ Pan Bóg będzie z niej zadowolony i odpowie na jej modlitwy. Nie zawsze o tym pamiętała. Kiedy to się zdarzało, kiedy grzeszyła, bała się; widziała ojca w łodzi, przemierzającego ocean, i wielką falę zmywającą go z pokładu albo uderzający w niego piorun, co miało być dla niej karą Bożą. Wtedy musiała się modlić dwa razy mocniej, aż do niedzieli, kiedy mogła iść do spowiedzi. Modliła się na kolanach, przy łóżku, z oczu płynęły jej łzy. Jeżeli zgrzeszyła bardzo mocno, czyściła także klozet, nawet jeśli był czysty. Bóg lubił dobrze wyczyszczone klozety.

Roz zastanawiała się, jaki będzie ojciec. Prawie zupełnie go nie pamiętała; na zdjęciu, które matka trzymała na wypolerowanym, zakazanym, ciemnym biurku, był jakiś mężczyzna, wielki mężczyzna w czarnym płaszczu, którego twarz Roz ledwo odróżniała, ponieważ znajdowała się w cieniu. Ta fotografia nie miała nic z magii, jaką Roz przypisywała ojcu. On był ważny, robił ważne,

tajemnicze rzeczy, o których nie można było mówić; rzeczy związane z wojną, chociaż wojna już się skończyła.

- Nadstawia karku – mówiła matka.
- Jak? – pytała Roz.
- Jedz kolację – odpowiadała matka. – W Europie dzieci głodują.

To, co robił, było tak ważne, że nie miał wiele czasu na pisanie listów, chociaż od czasu do czasu przychodziły listy z odległych miejsc: z Francji, Hiszpanii, Szwajcarii, Argentyny. Matka czytała te listy po cichu, mieniąc się różowo na twarzy. Roz zachowywała znaczki.

Matka głównie zajmowała się sprzątaniami. „To jest czysty, godny szacunku dom”, zwykła mówić po tym, jak zwymyślała lokatorów za to, że zrobili coś złe, nabałaganili na korytarzu albo nie wytarli łazienki. Szorowała schody, odkurzała chodnik na korytarzu pierwszego piętra, myła i woskowała linoleum we frontowym przedsionku, to samo robiła z podłogą w kuchni. Baterie w łazience czyściła środkiem „Old Dutch”, klozety „Sani-Flush”, okna „Windexem”, firany prała w „Sunlight Soap”, ręcznie na tarce, chociaż pościel i ręczniki prała w wirówce, która stała w szopie przylegającej do kuchni; ręczników i pościeli było dużo z powodu lokatorów. Odkurzała dwa razy na tydzień; do wszystkich odpływów wlewała specjalny środek czyszczący, bo inaczej zapchałyby się od włosów lokatorów. Te włosy stały się jej obsesją; postępowała tak, jakby lokatorzy wyrwali je sobie z głowy garściami i wpychali do odpływów celowo. Czasami do zlewu na piętrze wtykała szydełko i wyciągała kłęb obślizgłych, pokrytych mydłem, gnijących włosów. „Widzisz? Lepią się od zarazków”, mówiła do Roz.

Oczekiwała, że Roz pomoże jej w tym nie kończącym się sprzątaniami. „Zdzieram sobie ręce do kości”, mówiła. „Dla ciebie. Popatrz na moje ręce”. Nie pomagało, kiedy Roz tłumaczyła, że ubikacja na piętrze jej nie obchodzi, ponieważ z niej nie korzysta. Matka Roz chciała, aby dom był schludny na przyjazd ojca, a ponieważ nie wiedziały, kiedy to nastąpi, musiał być schludny przez cały czas.

Lokatorów było troje. Matka Roz zajmowała pokój od frontu na pierwszym piętrze, a Roz jeden z dwóch pokoiów na drugim – na poddaszu, jak mówiła matka. Mała panna Hines mieszkała w drugim pokoju na poddaszu. Miała wełniane bambosze i płaszcz kąpielowy z grubym wzorem, który wkładała, gdy schodziła na dół, aby wziąć kąpiel, gdyż łazienka na drugim piętrze miała tylko ubikację i zlew. Panna Hines nie była młoda. Pracowała w sklepie

obuwniczym, w nocy słuchała po cichu radia – muzyki tanecznej – i czytała sporo tanich kryminałów. „Nie ma nic lepszego niż dobre morderstwo”, mówiła do Roz. Te książki przynosiły jej ulgę. Czytała je w łóżku, a także w wannie; Roz znajdowała je otwarte, kartkami do podłogi, lekko wilgotne. Zanosila je z powrotem na górę do panny Hines, przyglądając się okładkom: dwory, chmury burzowe i błyskawice, mężczyźni w filcowych kapeluszach naciągniętych na czoło, trupy z nożami w plecach, młode kobiety z dużymi piersiami, w koszulach nocnych, namalowane w dziwnych kolorach, ciemne i ponure, błyszcząca krew, gęsta jak melasa rozlana na podłodze.

Jeżeli panna Hines nie było u siebie w pokoju, Roz zaglądała do jej szafy na ubrania, ale panna Hines nie miała zbyt wielu ubrań; a te, które miała, były granatowe, brązowe i szare. Panna Hines była katoliczką, ale miała tylko jeden święty obrazek: Matkę Bożą z Dzieciątkiem Jezus na kolanach i Janem Chrzcicielem ubranym w futro, gdyż później miał żyć na pustyni. Matka Boża zawsze wyglądała smutno na obrazkach, z wyjątkiem tych, na których była z małym Jezusem. Jedyne dzieci ją rozweselały. Jezus, tak jak Roz, był jedynakiem; przydałaby mu się siostra. Roz zamierzała mieć w przyszłości i chłopca, i dziewczynkę.

Na parterze znajdowała się jedna sypialnia, która kiedyś pełniła funkcję jadalni. Mieszkał tam pan Carruthers. Emeryt. Był na wojnie, ale na innej. Został ranny w nogę i chodził o lasce, jeszcze tkwiły mu w nodze jakieś kule. „Widzisz tę nogę?”, pytał Roz. „Pełna odłamków. Jak skończy się żelazo, mogą wydobywać z tej nogi”. To był jego jedyny żart. Czytał dużo gazet. Gdy wychodził, szedł do Legionu odwiedzić przyjaciół. Bywało, że wracał zalany w pestkę, jak mawiała matka Roz. Tego mu nie mogła zabronić, ale zabraniała mu picia w pokoju.

Lokatorom nie wolno było w pokojach ani jeść, ani pić niczego, poza wodą. Nie wolno im było używać kuchenek elektrycznych, ponieważ mogliby spalić dom. Poza tym, nie wolno im było palić. Pan Carruthers jednak palił. Otwierał okno i wydmuchiwał dym na zewnątrz, a niedopałki spłukiwał w klozecie. Roz wiedziała o tym, ale nie doniosła na niego. Trochę się go bała, jego nabrzmiałej twarzy, szarego wąsa jak szczotka, ciężko stukających butów i oddechu, który czuć było piwem, tego jednak też nie powiedziała, bo donoszenie na kogoś było paskudne, dziewczynki, które to robiły w szkole, były nie lubiane.

Czy pan Carruthers był protestantem, czy katolikiem? Roz nie wiedziała. Według jej matki, u mężczyzny religia nie miała dużego znaczenia. Chyba że był księdzem, oczywiście. Wtedy to miało znaczenie.

Panna Hines i pan Carruthers mieszkali tu, jak tylko Roz sięga pamięcią, natomiast trzecia osoba, pani Morley, wprowadziła się niedawno. Mieszkała w drugiej sypialni na pierwszym piętrze, naprzeciw sypialni matki. Pani Morley mówiła, że ma trzydzieści lat. Miała obwisłe piersi, makijaż w kolorze naleśnika, czarne rzęsy i rude włosy. Pracowała w sklepie kosmetycznym Eaton's i sprzedawała Elizabeth Arden. Malowała paznokcie i była rozwiedziona. Rozwód to grzech, tak utrzymywały zakonnice.

Roz była zafascynowana panią Morley. Pozwalała zwabiać się do pokoju pani Morley, gdzie dostawała od niej próbki wody kolońskiej i Blue Grass oraz tonik do rąk; pani Morley pokazywała jej, jak zakręcać włosy, i opowiadała, jakim draniem był pan Morley. „Kochanie, jak on mnie oszukał, mówiła. Żeby nie doczekała jutra”. Nazywała Roz „kochanie” albo „słodziotka”, czego matka Roz nigdy nie robiła. „Chciałabym mieć małą dziewczynkę, mówiła. Taką jak ty”. Roz uśmiechała się z radości.

Pani Morley miała lustro ze srebrną rączką, z różami i jej inicjałami wygrawerowanymi na odwrocie: G.M. Na imię miała Gladys. Pan Morley podarował jej to lustro na pierwszą rocznicę ślubu. „Nie zrobił tego szczerze”, mówiła pani Morley, wyskubując sobie brwi. Robiła to szczypczykami; chwyciła pojedynczy włos i szybko wyrwała. Nie mogła się wtedy powstrzymać, by nie kichnąć. Wyrwała sobie niemal wszystkie włosy, pozostawiła jedynie cieniutką linię w kształcie półksiężyca. Wyglądała przez to na zdziwioną albo nie dowierającą. Roz przyglądała się swoim brwiom w lustrze. Doszła do wniosku, że są zbyt ciemne i krzaczaste. Była jednak za młoda, aby je skubać.

Pani Morley nadal nosiła obrączkę i pierścionek zaręczynowy, chociaż niekiedy je zdejmowała i odkładała do pudełka z biżuterią. „Powinnam je po prostu sprzedać, powtarzała, ale sama nie wiem. Czasem nadal czuję się jego żoną, pomimo wszystko, rozumiesz? Człowiek potrzebuje czegoś na stałe”. W niektóre soboty wychodziła na randki z mężczyznami, którzy dzwonili do drzwi frontowych i byli wpuszczani przez zrzędczącą matkę Roz; stali potem w przedsiönku i czekali na panią Morley, ponieważ nie było dla nich innego miejsca.

Oczywiście, matka Roz nie zapraszała ich, aby usiedli u niej w kuchni. Nie pochwalała ich ani pani Morley, ale czasem pozwalała Roz iść z nią do kina. Pani Morley lubiła filmy, w których kobiety wyrzekały się szczęścia dla dobra innych ludzi albo były kochane, a potem porzucane. Oglądała te filmy z upodobaniem, jadła prażoną kukurydzę i ocierała łzy. „Ale ze mnie beksa”, mówiła do Roz. Roz nie rozumiała, dlaczego akcja tych filmów toczyła się w

taki sposób; wolałaby oglądać *Robin Hooda* albo *Abbotta i Costello*. Matka uważała jednak, że powinna chodzić do kina z kimś dorosłym. Różne rzeczy mogłyby się wydarzyć w migotliwych ciemnościach kina, pachnących słodyczami; mężczyźni mogliby wykorzystać przewagę. To była jedyna rzecz, co do której pani Morley i matka Roz zgadzały się: co do wykorzystywania przewagi przez mężczyzn.

Pod nieobecność pani Morley Roz przeglądała pudełko z jej biżuterią. Uważała, aby niczego nie ruszyć z miejsca. Sprawiało jej to przyjemność nie tylko dlatego, że przedmioty były ładne – to nie były prawdziwe klejnoty, większość z nich była sztuczna, kryształ górski i szkło – ale dlatego że było w tym coś ekscytującego. Chociaż broszki były dokładnie takie same zarówno wtedy, gdy pani Morley była w domu, jak i gdy jej nie było, to jednak pod jej nieobecność wydawały się inne – bardziej nęcące, tajemnicze. Roz zaglądała również do szafy: pani Morley miała wiele kolorowych sukienek i butów na wysokim obcasie, pasujących do nich kolorem. Kiedy Roz czuła się śmielsza niż zazwyczaj, wkładała buty i paradowała w nich koślawo przed lustrem w drzwiach szafy. Najbardziej podobała jej się para butów z błyszczącymi klamrami, wyglądały jak zrobione z diamentów. Roz uważała, że to szczyt elegancji.

Czasem natrafiała na stertę brudnej bielizny w kącie szafy, po prostu rzuconą, nawet nie schowaną do worka na pranie: staniki, pończochy, satynowe halki. Te rzeczy pani Morley prała ręcznie w umywalce w łazience i układała na grzejniku w swoim pokoju, aby wyschły. Najpierw jednak powinna je była podnieść z podłogi w łazience, ponieważ musiała to robić Roz. Oczywiście, pani Morley była protestantką, więc czego się można było spodziewać? Matka Roz wolałaby wynajmować pokoje wyłącznie katolikom, miłym, czystym, dobrze wychowanym katolickim damom, takim jak panna Hines, ale darowanemu koniowi... w takich czasach brało się, co los przyniósł.

Roz miała okrągłą twarz, ciemne, proste włosy i grzywkę, jak na swój wiek była duża. Chodziła do szkoły Odkupienia i Ducha Świętego; kiedyś to były dwie szkoły, teraz pozostały jedynie dwie nazwy. Zakonnice w czarno-białych habitach uczyły ją czytać i pisać, śpiewać i modlić się; robiły to za pomocą białej kredy, czarnej tablicy i uderzeń liniałem po rękach, jeżeli ktoś był nieposłuszny.

Katolicy to coś najlepszego, ponieważ po śmierci idą do nieba. Jej matka też była katoliczką, ale do kościoła nie chodziła. Zabierała tam Roz i popychała ją w stronę drzwi, ale sama nie wchodziła. Z wyrazu jej twarzy Roz wiedziała, że

lepiej nie pytać dlaczego.

Niektóre dzieciaki z jej ulicy były protestantami albo Żydami; kimkolwiek byłeś, inni gonili cię w drodze ze szkoły do domu, chociaż czasami chłopcy grali razem w baseball. Chłopcy gonili dziewczynki; religia nie miała wtedy znaczenia. Było też paru Chińczyków i byli także przesiedleńcy.

Dzieci przesiedleńców miały najgorzej. W szkole Roz była taka dziewczynka, ledwo mówiła po angielsku. Inne dziewczynki szeptały na jej temat w jej obecności, mówiły brzydkie rzeczy, a kiedy ona pytała: „Co?“, wybuchały śmiechem.

Przesiedleńcy pochodzili ze Wschodu, zza oceanu, znaleźli się tu na skutek wojny. Matka Roz mówiła, że powinni się z tego cieszyć. Dorośli przesiedleńcy nosili dziwne ubrania, nijakie i postrzępione, mieli obcy akcent i ponure, spłoszone, zmieszane spojrzenie, jakby nie wiedzieli, gdzie są ani co się wokół dzieje. Dzieci krzyczały za nimi na ulicy: „Przesiedleńcy! Przesiedleńcy! Wracajcie do domu!” Niektórzy starsi chłopcy wołali: „Przesiedleńcy – pomyleńcy!”

Przesiedleńcy nie rozumieli, ale wiedzieli, że się na nich krzyczy. Przyspieszali kroku, garbili się, stawiali kołnierze płaszczy albo odwracali się i patrzyli. Roz przyłączała się do krzyczących dzieci, jeżeli nie znajdowała się w pobliżu domu. Matka nie lubiła, kiedy biegała po ulicach jak obszarpaniec i krzyczała jak chuligan. Później Roz wstydziła się za to, że przezywała tych ludzi, ale trudno było się oprzeć, kiedy wszyscy to robili.

Niekiedy samą Roz też przezywano przesiedleńcem z powodu jej ciemnej skóry, ale to było tylko zwykłe wyzwisko, jak „głupia” albo – o wiele gorsze – „syf”; nie oznaczało, że tym właśnie jest. Gdyby Roz udało się te dzieciaki złapać i gdyby nie były większe od niej, zrobiłaby im pokrzywkę. Chwytało się kogoś za ramię obiema rękami i skręcało, jak przy wykręcaniu prania. To mocno piekło i zostawiało czerwony ślad. Mogłaby też kopnąć albo zwymyślać w odwet za to. Ma temperament, mówiły zakonnice.

Mimo że Roz nie była przesiedleńcem, było w niej coś, co ją oddzielało od innych, niewidzialna bariera, lekka, jakby nie istniejąca, jak powierzchnia wody, ale jednak silna. Roz nie wiedziała, co to jest, ale odczuwała to. Nie była taka jak inni, była wśród nich, ale nie była jedną z nich, napierała więc i pchała się, aby dostać się do środka.

Do szkoły Roz chodziła w granatowej tunice i białej bluzce. Na tunice miała wyhaftowanego gołębia. Ten gołąb to Duch Święty. W kaplicy był jego obraz: nadlatywał z nieba z rozpostartymi skrzydłami ponad głową Świętej Dziewicy,

wznoszącej ku niemu oczy; matka zawsze zakazywała Roz przewracać oczami, bo mogły jej tak zostać, podobnie było z zezowaniem. Był jeszcze drugi obraz: uczniowie i Apostołowie otrzymujący Ducha Świętego w Zielone Świątki; wokół gołębia był czerwony ogień.

To gołąb sprawił, że Matka Boska zaszła w ciążę, ale każdy wie, że mężczyźni nie mogą mieć dzieci, więc uczniowie i Apostołowie nie zachodzili w ciążę, lecz tylko mówili językami i przepowiadali. Roz nie wiedziała, co to znaczy mówić językami. Nie wiedziała też siostra Koncepcja, ponieważ Roz zapytała ją, a siostra powiedziała, żeby nie była impertynencka.

Obraz przedstawiający zesłanie Ducha Świętego znajdował się w długim korytarzu szkoły, z trzeszczącą, drewnianą podłogą i zapachem dobroci, zapachem przesyconym śliskim woskiem do podłóg, pyłącym tynkiem i kadzidłem z kaplicy. Zapach ten sprawiał, że w żołądku Roz zbierał się strach i poczucie winy, za każdym razem, kiedy go wyczuła, ponieważ Bóg widział wszystkie twoje uczynki i znał także myśli; przeważnie gniewał się z ich powodu. Wydawało się, że był zły przez większość czasu jak siostra Koncepcja.

Bóg jednak to także Jezus, który został przybity do krzyża. Kto go przybił? Rzymscy żołnierze w zbrojach. Oto oni, cała trójka, patrzą hardo i żartują, podczas gdy Maryja w niebieskich szatach i Maria Magdalena płaczą w tle.

W rzeczywistości nie była to wina rzymskich żołnierzy, oni spełniali jedynie swoje obowiązki. Faktycznie była to wina Żydów. Jedną z modlitw w kaplicy odmawiano za nawrócenie Żydów; nawrócenie oznaczało, że przejdą na katolicyzm i wtedy ich wina zostanie im wybaczona. Tymczasem Bóg nadal był na nich zły i ciągle spotykały ich kary. Tak mówiła siostra Koncepcja.

Sprawy były jednak bardziej skomplikowane, myślała Roz, ponieważ Jezus sam celowo przygotował swoje ukrzyżowanie. To była ofiara, a ofiara polegała na tym, że oddawało się własne życie, aby zbawić innych. Roz nie była pewna, dlaczego dać się ukrzyżować miało być taką przysługą dla innych, widocznie jednak było. Skoro więc Jezus dokonał tego celowo, dlaczego obwiniano Żydów? Czy nie pomagali mu w tym? To pytanie siostra Koncepcja pozostawiała bez odpowiedzi, chociaż siostra Cecylia, która była ładniejsza i ogólnie rzecz biorąc miłsza dla Roz, spróbowała odpowiedzieć: zły uczynek pozostawał złym, powiedziała, nawet jeżeli skutek był dobry. Było wiele złych uczynków, które skończyły się dobrze, ponieważ Bóg był tajemnicą, co znaczyło, że przemieniał wszystko dookoła, ale ludzie nie panowali nad tym, panowali jedynie nad własnymi sercami. Liczyło się to, co każdy miał w sercu.

Roz wiedziała, jak wygląda serce. Widziała wiele serc na obrazkach, przede

wszystkim serce Jezusa, wewnątrz jego otwartej piersi. Te serca zupełnie nie przypominały serc malowanych na laurkach; były podobne do krowich serc u rzeźnika, brązowoczerwone, zakrwawione, jak guma. Serce Jezusa promieniowało, ponieważ było święte. Święte rzeczy promieniowały z zasady.

Każdy ludzki grzech był jeszcze jednym gwoździem wbijanym w krzyż. Tak mówiły zakonnice, szczególnie w okresie Wielkanocy. Roz nie tyle przejmowała się Jezusem, gdyż wiedziała, że to dobrze się dla niego skończy, ile dwoma łotrami. Jeden z nich uwierzył od razu, że Jezus jest Bogiem, więc będzie siedział w niebie po prawicy Jezusa. Ale co się stanie z drugim? Roz skrycie sympatyzowała z nim. Musiało go boleć prawie tak samo jak Jezusa i pierwszego łotra, ale to nie była ofiara, ponieważ nie zrobił tego dobrowolnie. Gorzej było wisieć na krzyżu, jeżeli się tego nie chciało. Poza tym, co on takiego ukradł? Może coś małego, nic nie wiadomo.

Roz czuła, że należy mu się także miejsce w niebie. Wiedziała coś o porządku: Bóg pośrodku, Jezus po jego prawicy, dobry łotr po prawicy Jezusa. Prawica to prawa ręka i nią zawsze trzeba było robić znak krzyża, nawet jeśli się było mańkutom. A kto siedział po lewej stronie Boga? Ktoś musiał, ponieważ Bóg także miał lewą rękę, tak jak i prawą, a nic, co boskie, nie mogło być złe, ponieważ Bóg był doskonały, Roz nie wyobrażała sobie, aby to miejsce mogło pozostać puste. Więc mógł tam siedzieć zły łotr, mógł ucztować z innymi. (A gdzie była Maryja Dziewica w tym wszystkim? Czy to był długi stół z Bogiem na jednym końcu, a Maryją na drugim? Roz wiedziała, że lepiej nie pytać. Wiedziała, że zostanie nazwana grzeszną i bezbożną. Chciałaby jednak wiedzieć.)

Czasami, kiedy Roz zadawała pytania, zakonnice spoglądały na nią z uśmiechem albo patrzyły po sobie, wydymały usta i potrząsały głowami. Siostra Koncepcja mówiła: „Czego możesz się spodziewać?” Siostra Cecylia poświęcała dodatkowy czas, aby modlić się z Roz, kiedy Roz była niegrzeczna i musiała zostać za karę w szkole po lekcjach. „W niebie jest więcej radości z jednej odnalezionej owieczki”, odpowiadała siostrze Koncepcji.

Roz wyobrażała sobie owce w niebie. Byłyby przed oknem, naturalnie. To dobrze, że się o nich dowiedziała. To znaczyło, że koty i psy też mają szansę. Ona nie będzie mogła mieć zwierząt, na pewno, sprawiałaby matce zbyt wiele kłopotu; i tak miała pełne ręce roboty.

Roz wraca późno ze szkoły. Idzie sama w blednym świetle dnia; prószy rzadki śnieg, podobny do małych, białych płatków mydła. Niewiele go jest, ale Roz ma nadzieję, że utrzyma się do Bożego Narodzenia.

Wraca późno, ponieważ miała próbę jasełek, w których jest archaniołem. Chciała być Maryją Panną, ale została aniołem, ponieważ jest wysoka, poza tym pamięta całą rolę. Ma biały kostium z błyszczącą aureolą zrobioną z wieszaka, skrzydła ze sztywnej białej tektury z namalowanymi złotymi piórami przyczepiono paskami do pleców.

Dzisiaj po raz pierwszy zrobili próbę z kostiumami. Roz musi być ostrożna, kiedy chodzi, bo inaczej skrzydła się zsuwają, musi też trzymać głowę wysoko i patrzeć prosto z powodu aureoli. Najpierw Roz podchodzi do pasterzy strzegących swych trzód w nocy, nad pasterzami wisi gwiazda betlejemaska ze złotka; unosi prawą rękę, podczas gdy oni patrzą na nią ze strachem, i mówi: „Nie bójcie się, albowiem przynoszę dobrą nowinę dla was i dla wszystkich ludzi”. Następnie mówi, aby poszli zobaczyć dziecię leżące w żłobie, zawinięte w pieluszki, i dodaje: „Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”. Wyciągniętą ręką wskazuje na żłóbek po drugiej stronie sceny, podczas gdy chór szkolny śpiewa.

Roz współczuje dziewczętom, które grają pasterzy, ponieważ są ubrane w brudne stroje, brody mają przyczepione drutami, jak okulary. Tych samych bród używa się co roku, więc są brudne. Jeszcze bardziej żal jej małych dzieci, które grają owieczki. Te stroje pewnie były kiedyś białe, ale teraz są szare; w dodatku musi im być bardzo gorąco.

Żłóbek ma z przodu niebieskie firanki. Pasterze muszą stać przed nim, aż chór skończy śpiewać; tymczasem Roz obchodzi go dookoła, staje na stopniu i wyciąga przed siebie obie ręce. Po jej prawej ręce jest Anna Maria Roy, po lewej Eileen Shea. Obie dmą w trąbki, chociaż tak naprawdę tylko udają. Muszą stać tak przez cały czas, podczas gdy dwoje małych dzieci ze skrzydełkami cherubinów rozsuwa zasłonę, ukazując głupią Julię Warden z włoskami blond i różanymi usteczkami, tępym, wymuszonym uśmiechem, ubraną jak Maryja, z aureolą większą od Roz, z małym Jezusem z porcelany. Za nią stoi święty Józef, opiera się na lasce na tle sterty siana. Z jednej strony

klęczą pasterze, z drugiej nadchodzą Mędrcy w błyszczących szatach i turbanach; jedna z dziewczynek ma poczerwioną twarz, ponieważ jeden z Mędrców był Murzynem; Mędrcy klękają i chór śpiewa: „Chwała na wysokości”, główna kurtyna opada i Roz może opuścić ręce; to prawdziwa ulga, ponieważ to naprawdę boli, gdy trzyma je tak długo w powietrzu.

Po dzisiejszej próbie siostra Cecylia powiedziała, że Roz spisała się bardzo dobrze. W całym przedstawieniu tylko Roz ma tekst do mówienia i ważne było, aby powiedzieć go wyraźnie, ładnie i głośno. Grała wyśmienicie, przysłuży się tym szkole. Roz ucieszyła się, ponieważ po raz pierwszy jej głos nie sprawiał kłopotów – najczęściej siostry zwracały się do niej publicznie, kiedy zbyt głośno się zachowywała. Kiedy dziewczęta zdejmowały kostiumy, Julia Warden powiedziała:

- To głupio, żeby anioł miał czarne włosy.
- Nie czarne, tylko brązowe – odpowiedziała Roz.
- Czarne – upierała się Julia Warden. – Poza tym nie jesteś prawdziwą katoliczką, tak mówi moja mama. – Roz kazała jej się zamknąć albo jej pokaże. Wtedy Julia Warden zapytała: – To gdzie jest twój ojciec? Moja mama mówi, że to przesiedlenie.

Roz chwyciła Julię za rękę i zrobiła jej pokrzywkę, aż Julia krzyknęła. Na to przybiegła, szeleszcząc habitem, siostra Cecylia i spytała, co to za bałagan. Julia Warden wszystko wygadała, a siostra Cecylia powiedziała Roz, że to nie jest w duchu Bożego Narodzenia i że nie powinna dokuczać mniejszym dziewczynkom. Dodała, że miała szczęście, że nie ma tu siostry Koncepcji, bo dostałaby lanie.

- Rosalind Greenwood, ty się nie chcesz poprawić – powiedziała smutno.

W drodze do domu Roz zastanawia się, co zrobi jutro Julii Warden, żeby dać jej nauczkę. Rozmyślając, dochodzi do ostatniej przecznicy, gdzie dostrzegają ją dwaj protestanccy chłopcy i zaczynają gonić chodnikiem, wykrzykując przy tym: „Papież śmierdzi!” Niemalże przed domem łapią ją i nacierają jej twarz śniegiem, Roz kopie ich po nogach. Puszczają ją, krzycząc z prawdziwego albo udawanego bólu: „Auu, auu, kopnęła mnie”. Roz zbiera ośnieżone książki i przebiega pozostałą drogę do domu, jeszcze nie płacząc, wspina się po schodach na ganek. „Nie wolno wam wejść na teren mojej własności!”, krzyczy. Kula śnieżna przelatuje obok ze świstem. Gdyby jej matka tu była, przegoniłaby tych chłopaków. „Łobuzy!”, wołałaby, a oni by uciekli. Czasami da Roz klapsa, ale nigdy nie pozwoli obcemu tknąć jej choćby palcem.

Oczywiście, poza zakonnicami.

Roz otrzepuje śnieg – nie wolno jej wnosić śniegu do domu – i wchodzi do środka. Idzie korytarzem do kuchni. Przy stole siedzą dwaj mężczyźni. Ubrani są jak przesiedleńcy, ale nie w łachmany, tylko w nowe rzeczy, a jednak to ubrania przesiedleńców, Roz poznaje po fasonie. Na stole stoi butelka – Roz od razu wie, że w środku jest wódka, widziała takie butelki na chodnikach – przed każdym z mężczyzn stoi kieliszek. Matki nie ma w kuchni.

– Gdzie mama? – pyta.

– Wyszła po jedzenie – odpowiada jeden z nich. – Nie miała nic w domu.

– Jesteśmy twoimi nowymi wujkami. Wujek George i wujek Joe – odzywa się drugi mężczyzna.

– Ja nie mam żadnych wujków – odpowiada Roz.

– Teraz już masz – mówi wujek George. Obydwaj wybuchają śmiechem. Śmieją się głośno, dziwnie. Mówią jak przesiedleńcy, ale jest coś jeszcze w ich głosach, jakiś inny akcent. Coś takiego jak w kinie.

– Siadaj – zaprasza wujek George, jakby to był jego dom, jakby Roz była psem. Roz nie pojmuje tej sytuacji – nigdy przedtem w tej kuchni nie było dwóch mężczyzn – ale siada.

Wujek George to ten większy; ma wyższe czoło i lekko falujące włosy, gładko zaczesane do tyłu. Roz wyczuwa słodki zapach brylantyny, jak w kinie. Mężczyzna pali brązowe cygareto w czarnej cygarnicze.

– Heban – mówi do Roz. – Wiesz, co to heban? Takie drzewo.

– Ona wie – odzywa się wujek Joe. – To bystra dziewczynka. – Wujek Joe jest mniejszy, ma zgarbione plecy i długie dłonie, włosy ciemne, nieomal czarne, i duże, ciemne oczy. Brakuje mu z boku jednego zęba. Widzi, że Roz to zauważyła, więc mówi: – Miałem kiedyś złoty ząb w tym miejscu. Trzymam go w kieszeni. – Rzeczywiście. Wyciąga małe, drewniane pudełeczko pomalowane na czerwono, w małe zielone kwiatki. Otwiera je, w środku jest złoty ząb.

– Dlaczego? – pyta Roz.

– Kto by chciał trzymać w buzi złoty ząb, ludziom przychodzą wtedy różne pomysły do głowy – odpowiada wujek Joe.

Wchodzi matka. Przynosi dwie brązowe, papierowe torby z jedzeniem, które stawia na blacie kuchennym. Jest zarumieniona i wygląda na zadowoloną. Nie mówi zupełnie nic o wódce, nic o dymie.

– To są przyjaciele twojego ojca – wyjaśnia. – Byli razem na wojnie. Ojciec wraca, zaraz tu będzie. – Matka znowu wybiega; musi iść do rzeźnika, mówi, ponieważ to jest okazja. Okazje wymagają mięsa.

- Co robiliście na wojnie? – pyta Roz, bo chce dowiedzieć się więcej.
- Kradliśmy konie – odpowiada wujek George. Obaj mężczyźni śmieją się i patrzą po sobie.
- Byliśmy najlepszymi koniokradaami – dodaje wujek Joe. – Nie. Twój ojciec był najlepszy. Potrafił ukraść konia...
- Potrafił ukraść konia człowiekowi spod tyłka – opowiada wujek George.
- Umiał kłamać...
- Kłamał jak sam Pan Bóg.
- Ugryź się w język! Bóg nie kłamie.
- Masz rację, Bóg nic nie mówi. Ale twój ojciec, nawet powieka mu nie drgnęła. Potrafił przejść przez granicę, jakby jej wcale nie było – mówi wujek Joe.
- Co to jest granica? – pyta Roz.
- Granica to linia na mapie – wyjaśnia wujek Joe.
- Na granicy robi się niebezpiecznie – dodaje wujek George. – Tam potrzebny jest paszport.
- Paszport. Widzisz? – mówi wujek Joe i pokazuje Roz swój paszport ze zdjęciem. Następnie pokazuje jeszcze jeden paszport, z takim samym zdjęciem, ale z innym nazwiskiem. Ma trzy paszporty. Rozkłada je w wachlarz jak karty. Wujek George ma cztery.
- Człowiek z jednym paszportem to jak człowiek z jedną ręką – stwierdza poważnie.
- Twój ojciec ma więcej paszportów niż ktokolwiek. Jest najlepszy, jak mówiłem. – Wznoszą kieliszki i piją za zdrowie ojca Roz.

Matka przygotowuje kurczaka z duszonymi ziemniakami i sosem, i z gotowaną marchwią. Jest radosna bardziej niż kiedykolwiek, namawia wujków, aby się częstowali. A może się nie cieszy, może się denerwuje. Ciągłe patrzy na zegarek. Roz także się denerwuje: kiedy zjawi się ojciec?

- Jak przyjdzie, to będzie – mówią wujkowie.

Ojciec wraca w środku nocy. Matka budzi ją i szepcze: „Ojciec wrócił”, jakby za coś przepraszała, zabiera Roz na dół w koszuli nocnej. On tam jest, siedzi przy stole, na trzecim krześle, które było przeznaczone dla niego. Siedzi wygodnie i wypełnia przestrzeń, jakby zawsze tu był. Jest duży jak beczka, ma brodę i głowę jak niedźwiedź. Uśmiecha się i wyciąga przed siebie rękę. „Chodź, pocałuj papę!”

- Roz ogłada się dookoła: kim jest ten papa? To znaczy, że on tak nazwał

siebie. Julia Warden mówiła prawdę: jej ojciec jest przesiedleńcem. Poznaje to po jego mowie.

Życie Roz zostało podzielone na dwoje. Z jednej strony jest Roz i matka, dom, zakonnice i inne dziewczęta w szkole. Ta część wydaje się należeć już do przeszłości, chociaż nadal trwa. To ta część, gdzie są głównie kobiety, kobiety posiadające władzę, władzę nad Roz, bo chociaż Bóg i Jezus są mężczyznami, to jej matka i zakonnice mają ostatnie słowo, oczywiście nie licząc księży, ale to tylko w niedziele. Z drugiej strony jest ojciec, wypełniający kuchnię ogromnym ciałem, donośnym głosem, wielowarstwowym zapachem, wypełniający cały dom, wypełniający całe pole widzenia matki, tak że Roz zostaje zepchnięta na bok, ponieważ matka, taka nieugięta, ugina się. Ustępuje. Teraz mówi: „Zapytaj ojca”. Milcząco spogląda na ojca, rozmydlonym, krowim wzrokiem, tak jak Matka Boska patrzy na Dzieciątko Jezus albo na Ducha Świętego na obrazkach. Gotuje dla niego, stawia przed nim talerz, jakby to była jakaś ofiara.

Nie ubył jej teraz pracy, a raczej przybyło, ponieważ są trzy talerze zamiast dwóch, ojciec nigdy nie musi sprzątać. „Pomóż matce, zwraca się do Roz. W tej rodzinie pomagamy sobie wzajemnie”, ale Roz nie widzi, aby on pomagał. Przyłapuje ich w kuchni, jak się przytulają i całują, dwa dni po jego powrocie; wielkie, niedźwiedzie ręce ojca wokół chudej, kanciastej matki. Przepęnia ją odraza do matki za to, że jest taka miękka, a także smutek, zazdrość i wściekłość z powodu tego, że ją odepchnęła.

Aby ukarać matkę za tę zdradę, Roz odwraca się od niej.

Zwraca się do wujków, jeżeli akurat są, a także, i przede wszystkim, do ojca. „Usiądź papie na kolanach”, mówi ojciec, a ona siada i z tego bezpiecznego miejsca przygląda się matce, pracującej ciężko jak zawsze, zgarbionej nad zlewem, klęczącej przed piecem, zdrapującej resztki z kości na zupę, wycierającej podłogę. „Przydaj się na coś”, mówi ostro matka; kiedyś Roz posłuchałaby, ale teraz ojciec trzyma ją mocno. „Nie widziałem jej tak długo”, mówi. Matka zaciska usta i milczy, a Roz napawa się triumfem i myśli, że dobrze jej tak.

Jednakże kiedy ojca nie ma w domu, musi pracować tak samo jak zawsze. Musi szorować i polerować. Jeżeli nie pracuje, matka nazywa ją zepsutym ladaco. „A kto tobie usługiwał w zeszłym roku?”, szydzi. „Popatrz na moje ręce”.

Wujkowie wprowadzają się. Przedtem co wieczór jadali obiad, teraz wprowadzają się do ich domu. Mieszkają w piwnicy. Mają tam dwa łóżka,

wojskowe prycze z demobilu, a także dwa wojskowe śpiwory.

– Dopóki nie staną na nogi – mówi ojciec. – Dopóki nie złapią wiatru w żagle.

– Jakie żagle? – denerwuje się matka Roz. – Kaktus mi tu wyrośnie, zanim ich łódź wypłynie. – Mówi to jednak z pobłażaniem, gotuje dla nich, namawia, aby się częstowali, pierze ich pościel, nie wspomina ani słowa o paleniu, ani o picciu, jakie odbywa się w piwnicy, wraz z głośnym śmiechem niosącym się w górę po schodach. Wujkowie też nie muszą pomagać w sprzątaniu. Kiedy Roz pyta dlaczego, matka jedynie odpowiada, że uratowali ojcu życie na wojnie.

– Ratowaliśmy sobie życie nawzajem – mówi wujek George. – Ja uratowałem Joe, Joe uratował twojego ojca, twój ojciec uratował mnie.

– Nigdy nas nie złapali – dodaje wujek Joe. – Ani razu.

– *Dummkopf*, jakby nas złapali, toby nas tu nie było – mówi wujek George.

Lokatorzy wymykają się z uścisku Aggie, ponieważ nie istnieją już takie same zasady dla wszystkich. Nie sprzyja im fakt, że wujkowie nie płacą czynszu, ani to, że trzaskają drzwiami, gdy pośpiesznie wychodzą, czy wracają. Muszą robić różne rzeczy w różnych miejscach. Nienazwanych miejscach, nieokreślone rzeczy. Spotykają się z przyjaciółmi z Nowego Jorku, ze Szwajcarii, z Londynu, z Niemiec. Mieszkali w Nowym Jorku, w Londynie, a także w Paryżu i jeszcze gdzieś. Z nostalgią wspominają bary, hotele i tory wyścigowe w najrozmaitszych miastach.

Panna Hines skarży się na hałas: czy muszą krzyczeć na siebie, na dodatek w obcych językach? Pani Morley natomiast żartuje z nimi, czasami przyłącza się do picia, kiedy ojciec Roz jest w domu i wszyscy są w kuchni. Drobi nogami w szpilkach, schodząc z góry, podzwania bransoletkami, mówi, że nie gardzi kropelką od czasu do czasu.

– Pewnie, że może się napić – mówi wujek Joe.

– To ci lala – mówi wujek George.

– Co to jest lala? – pyta Roz.

– Są damy, kobiety i lale – tłumaczy wujek George. – Twoja matka to dama, a ta, to lala.

Pan Carruthers wie o popijawach w piwnicy, a także w kuchni. Czuje dym. Nadal nie wolno mu pić ani palić u siebie w pokoju, ale coraz częściej łamie ten zakaz, częściej, niż robił to do tej pory. Pewnego wieczoru zatrzymuje Roz na korytarzu.

– Ci mężczyźni to Żydzi – szepcze. Powietrze wypełniają opary piwa. –

My poświęciliśmy życie dla tego kraju, a oni oddają go Żydom!

Roz jest jak porażona. Biegnie poszukać wujków, pyta ich bez ogródek. Jeżeli rzeczywiście są Żydami, może zająć się ich nawróceniem i zaskoczyć siostrę Koncepcję.

– Ja? Ja jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych – mówi ze śmiechem wujek George. – Dostałem paszport na dowód tego. Joe... on jest Żydem.

– Jestem Węgrem, a on Polakiem – odpowiada wujek Joe. – Jestem Jugosłowianinem, a on Holendrem. Według tego drugiego paszportu jestem Hiszpanem. Twój ojciec jest w połowie Niemcem, w połowie Żydem.

Roz przeżywa szok. Czuje rozczarowanie – żadnych duchowych sukcesów nie odniesie, ponieważ nigdy w żaden sposób nie zmieni ojca, teraz to rozumie; ma również poczucie winy: a jeżeli siostry się dowiedzą? Gorzej, jeżeli wiedziały przez cały czas i nic jej nie powiedziały. Wyobraża sobie złośliwą radość na twarzy Julii Warden, szeptania za jej plecami.

Roz musi wyglądać na zmartwioną, ponieważ wujek George mówi:

– Lepiej być Żydem niż mordercą. Oni tam zamordowali sześć milionów ludzi.

– Pięć – wtrąca wujek Joe. – Reszta to byli inni. Cyganie i homo.

– Pięć czy sześć, kto to zliczy?

– Sześć czego? – dopytuje się Roz.

– Żydów – odpowiada wujek George. – Spalili ich w piecach, układali w stosy. Mała Rozzi, lepiej, żebyś nie wiedziała. Gdyby dostali cię w swoje ręce, tam, wtedy, zrobiliby z ciebie abażur.

Nie wyjaśnia jej, że użyliby jedynie skóry. Roz wyobraża sobie całe ciało zamienione w abażur, z żarówką w środku i światłem padającym przez jej oczy, nos, uszy i usta. Musi wyglądać na przerażoną, ponieważ wujek Joe mówi:

– Nie strasz dziecka. To wszystko już się skończyło.

– Dlaczego? – pyta Roz. – Dlaczego oni to zrobili? – Żaden z nich nie odpowiada.

– Wszystko ma swój kres – kończy ponuro wujek George.

Roz czuje się, jakby ktoś ją okłamywał. Nie co do jej ojca, ale co do wojny, Boga. Głodujące sieroty były dosyć przerażające, ale to nie wszystko. Co jeszcze się działo, z piecami, stertami ciał, abażurami, i dlaczego Bóg na to pozwalał?

Nie chce więcej o tym wszystkim myśleć, bo to jest zbyt smutne i niezrozumiałe. Zaczyna czytać kryminały. Pożycza je od panny Hines i czyta w nocy przy świetle latarni ulicznej, wpadającym przez okno na poddaszu.

Podobają jej się meble i stroje postaci w tych powieściach, lokajów i pokojówek. Najbardziej jednak podoba jej się to, że każda śmierć ma swoją przyczynę, że jest tylko jeden morderca, a na końcu wszystko się wyjaśnia.

Morderca zostaje schwytany.

Roz wraca do domu ze szkoły z przecuciem, że coś się stanie. Coś się dzieje, nie jest pewna co, ale wie, że coś się wydarzy.

W zeszłym tygodniu matka powiedziała przy śniadaniu: „Pani Morley została wyrzucona z pracy”. Co to znaczyło? Straciła pracę, ale Roz przez chwilę wyobrażała sobie panią Morley wyrzuconą na ulicę, leżącą pod kościołem, jak dawny męczennik. Nie chciała oczywiście, aby pani Morley tak skończyła. Lubiła ją, a także jej ekwipunek – próbki kremu do twarzy, sztuczną biżuterię, a najbardziej jej buty.

Od tego czasu pani Morley wałęsa się po domu w różowym, satynowym, pikowanym szlafroku. Ma nabrzmiałe powieki, twarz pozbawioną makijażu. Tak typowe dla niej podzwanianie naszyjników i bransoletek ucichło. Nie wolno jej jeść w pokoju, ale i tak to robi. Pan Carruthers przynosi jej jedzenie w papierowych torbach; w jej koszu na śmieci są okruszynki chleba i ogryzki jabłek. Chociaż matka Roz musi o tym wiedzieć, nie stuka do drzwi pokoju pani Morley, by wydać rozkazy, które tak bardzo lubi. Czasem w papierowych torbach znajdują się małe płaskie butelki, które nie pojawiają się w koszu na śmieci. Późnym popołudniem, nadal w podomce, schodzi do kuchni na krótką, drażliwą rozmowę z matką Roz. Pyta, co ma robić. Matka Roz wydyma wargi i mówi, że nie wie.

Te rozmowy dotyczą pieniędzy. Bez pracy pani Morley nie będzie w stanie płacić czynszu. Roz współczuje jej, ale jednocześnie przestaje ją lubić, ponieważ pani Morley zrobiła się płaczliwa, a Roz tym gardzi. Jeżeli dziewczynki w szkole popłakują, inne dzieci popychają je albo biją, a zakonnice stawiają do kąta.

– Powinna wziąć się w garść – mówi matka Roz do ojca przy kolacji. Kiedyś Roz byłaby partnerem w takich rozmowach, teraz jest tylko brzdącem z wielkimi uszami.

– Miej serce, Aggie – łagodzi ojciec Roz. Nikt inny nigdy otwarcie nie nazywa jej matki Aggie.

– Dobrze jest mieć serce – odpowiada matka – tylko to cię nie nakarmi.

Przecież mają co jeść. Jest gulasz, ziemniaki z sosem, gotowana kapusta. Roz to je.

Nie dosyć, że pani Morley straciła pracę, to jeszcze panna Hines przeziębiła się i leży.

– Modlić się tylko trzeba, żeby nie dostała zapalenia płuc – mówi matka. – Wtedy będziemy mieć dwie bezużyteczne kobiety na karku.

Roz idzie do pokoju pani Morley. Pani Morley leży w łóżku, je kanapkę. Chowa ją pod kołdrę, ale uśmiecha się, gdy widzi, że to tylko Roz.

– Kochanie, zawsze powinnaś pukać, zanim wejdiesz do apartamentu damy – mówi.

– Mam pomysł – zaczyna Roz. – Powinna pani sprzedać swoje buty. – Roz ma na myśli te z czerwonej satyny, z błyszczącymi klamrami. Muszą być bardzo drogie.

Uśmiech pani Morley blednie i znika.

– Oj, kochanie, gdybym tylko mogła.

Kiedy Roz skręca w swoją ulicę, zauważa coś dziwnego. Trawnik przed domem jest pokryty śniegiem, tak jak inne trawniki, ale jednocześnie zarzucony kolorowymi przedmiotami. Zbliża się i widzi, co to jest: sukienki pani Morley, pończochy pani Morley, torebki pani Morley, staniki i majtki pani Morley. Buty pani Morley. Wokół nich migocze blade światło.

Roz wchodzi do domu, idzie do kuchni. Matka z pobladłą twarzą siedzi sztywno wyprostowana przy stole. Oczy ma nieruchome jak kamienie. Przed nią stoi nie tknięta filiżanka herbaty. Panna Hines siedzi na krześle Roz, nerwowo poklepując matkę po ręce. Na obu policzkach ma różowe plamy. Wygląda na zdenerwowaną, ale także dumną.

– Twoja matka przeżyła szok – mówi do Roz. – Chcesz mleka?

– Co robią rzeczy pani Morley na trawniku? – pyta Roz.

– Co ja mogłam poradzić? – odpowiada pytaniem panna Hines, nie mówiąc do nikogo konkretnego. – Po prostu ich zobaczyłam. Nawet nie zamknęli za sobą drzwi.

– Gdzie ona jest? – pyta Roz. – Gdzie jest pani Morley? – Pani Morley musiała wynieść się, nie płacąc czynszu. „Dać drapaka”, tak powiedziała jej matka. Lokatorzy uciekali już w taki sposób, zostawiając cały swój majątek, ale nigdy nie na trawniku.

– Nie pokaże się nigdy w tym domu – odzywa się matka.

– Czy mogę dostać jej buty? – pyta Roz. Przykro jej, że już nie zobaczy się z panią Morley, ale nie ma sensu, aby buty się zmarnowały.

– Nie ruszaj jej brudów – zakazuje matka. – Nie dotykaj ich nawet palcem! Jeżeli te śmieci nie znikną do jutra, spalę je w piecu! To plugastwo, tak jak ona.

Ta kurwa!

Panna Hines wygląda na zaskoczoną takim ostrym językiem.

– Będę się za nią modlić – mówi.

– Ja nie – mówi matka Roz.

Roz nie wiąże tych spraw z ojcem, dopóki ojciec nie pojawia się w porze obiadu. Fakt, że przychodzi na czas, jest znaczący; przeważnie się spóźnia. Wobec matki jest ostrożny, spokojny, ale nie obejmuje jej ani nie całuje. Po raz pierwszy od czasu powrotu wydaje się jej bać.

– Oto czynsz – mówi, kładąc na stole mały stosik pieniędzy.

– Nie myśl, że możesz mnie przekupić – odpowiada matka. – Ty i ta dziwka! Nie kupisz milczenia! Nie dotknę ani jednego parszywego centa.

– To nie są jej pieniądze – broni się ojciec Roz. – Wygrałem je w pokera.

– Jak mogłeś? – pyta matka. – Po tym wszystkim, czego się dla ciebie wyrzekłam? Patrz na moje ręce!

– Ona płakała – tłumaczy się ojciec Roz, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Płakała! – powtarza pogardliwie matka Roz, jakby ona sama nigdy nie dopuściła się czegoś tak poniżającego. – Krokodylimi łzami! To modliszka!

– Żal mi jej było – mówi ojciec. – Rzuciła się na mnie. Co mogłem zrobić?

Matka odwraca się do niego plecami. Pochyliła się nad kuchnią i nakłada gulasz, głośno uderzając łyżką o brzeg garnka; w czasie obiadu nie odzywa się. Wpierw ojciec ledwo dotyka jedzenia – Roz zna to uczucie, niepokój i wina; matka rzuca mu spojrzenie przepełnione odrazą i wskazuje na jego talerz, co oznacza, że jeżeli nie zje tego, co ona mu przez całe życie gotuje, to będzie w jeszcze gorszej sytuacji. Kiedy matka odwrócona jest plecami, ojciec uśmiecha się lekko do Roz i puszcza oko. Wtedy Roz rozumie, że to wszystko – jego niedola, przygnębienie – to gra, albo po części gra, i że naprawdę nic mu nie jest.

Pieniądze zostają na stole. Roz łypie na nie okiem; nigdy nie widziała tylu pieniędzy naraz. Chciałaby zapytać, czy może je wziąć, gdyż żadne z nich ich nie chce, ale kiedy zmywa naczynia – „Pomóż matce”, mówi ojciec – pieniądze znikają. Są w kieszeni któregoś z nich, ale którego? Podejrzewa, że u matki – w kieszeni fartucha, ponieważ po kilku dniach matka mięknie, odzywa się częściej i życie wraca do normalności.

Jednakże pani Morley nigdy więcej się nie pokazała. Ani ona, ani jej rzeczy. Roz tęskni za nią; brakuje jej pieszczotliwych epitetów i toniku do rąk, ale wie, że lepiej o tym nie wspominać.

– Jak powiedziałem, lala – mówi wujek George. – Twój ojciec ma silne słabości.

– Lepiej powinien był zamknąć drzwi – dodaje wujek Joe.

Kilka lat później, już jako nastolatka, mająca grono koleżanek, Roz składa to w całość: pani Morley była kochanką ojca. Czytała o kochankach w kryminałach. „Kochanka”, wołała to słowo od innych: „zdzira”, „kurwa”, „lafirynda”. Z tymi słowami nie kojarzyło się nic innego, jak rozłożone nogi, luźne, sflaczałe uda – słabe nogi, nogi, które nic nie robiły, tylko leżały, nogi na sprzedaż – i zapachy, przypadkowe kopulowanie, numery z seksem. „Kochanka” natomiast sugerowała pewne wyrafinowanie, kosztowną garderobę, dobrze umeblowany apartament, a także władzę, spryt i urodę, warte tego by je zdobyć.

Pani Morley nie posiadała apartamentu ani wyrafinowania, uroda pozostawała sprawą gustu, ale miała za to ubrania, a Roz chciała znaleźć dla ojca jakieś wytłumaczenie; nie wybrałby starej lafiryndy. Chciała być z niego dumna. Wiedziała, że matka ma rację, że była cnotliwa, że zapracowywała się, że zdarła rękę do kości, że nie zyskała za to wdzięczności. Ta niewdzięczność była udziałem Roz. Może jej ojciec był draniem, ale takim, którego podziwiała.

Pani Morley nie była jedyną kochanką. Były inne przez te wszystkie lata: miłe, sentymentalne kobiety o miękkich ciałach, leniwe, lubiące alkohol i melodramaty w kinie. W późniejszym życiu Roz domyślała się ich obecności, zauważając wesołość ojca i jego częste nieobecności. Nieraz nawet widywała je w mieście, jak wisiały na ramieniu jej starzejącego się, ale ciągle niepoprawnego ojca. Jednakże te kobiety przychodziły i odchodziły, a matka trwała.

Jaki był układ między matką i ojcem? Czy się kochali? Mieli, oczywiście, swoją historię. Spotkali się na samym początku wojny. Czy zbił ją z nóg? Niezupełnie. Już wtedy miała kamienicę, odziedziczoną po swojej matce, która wynajmowała pokoje od czasu śmierci ojca w wieku dwudziestu pięciu lat na paraliż (matka Roz miała wtedy tylko dwa lata).

Matka Roz była starsza od ojca. Musiała już chyba być starą panną, kiedy go spotkała; już była małomówna, zgorzkniała, sztywna.

Wracała do domu, niosąc torbę z zakupami; musiała przechodzić obok knajpy. Był późny wieczór, czas zamykania, pijaków wyrzucano na ulicę, aby zdążyli na obiad do domu, przynajmniej taka była teoria. Normalnie matka Roz przeszłaby na drugą stronę ulicy, aby ominąć knajpę, ale zauważyła toczącą się bójkę. Czterech na jednego. „Zbiry”, tak ich nazywała, tym jednym był ojciec Roz. Ryczał jak niedźwiedź, ale jeden ze zbirów zaszedł go od tyłu i uderzył w głowę butelką, a kiedy ojciec upadł, zaczęli go wszyscy kopać.

Na ulicy byli ludzie, ale tylko stali i patrzyli. Matka Roz pomyślała, że zabiją leżącego. Na ogół była milczącą kobietą, ale niezbyt bojaźliwą, nie w tamtych czasach. Przywykła mówić mężczyznom, co o nich myśli, nauczyła się tego przy lokatorach, którzy czasem chcieli ją wykorzystać. Najczęściej jednak pilnowała własnego nosa i nie wtrącała się do spraw innych; przeważnie omijała bójkę w barach i odwracała głowę w drugą stronę, ale ten dzień był inny. Nie mogła tak stać i przyglądać się, jak zabijają człowieka. Krzyknęła (dla Roz był to najciekawszy moment – jej małowówna matka krzyczała na cały głos, i to w miejscu publicznym), a w końcu wepchnęła się między nich, rzuciła torbę z zakupami, aż rozsypały się jabłka i marchew; kiedy zjawił się policjant, bandyci uciekli.

Matka Roz pozbiierała owoce i warzywa. Była dosyć roztrzęsiona, ale nie chciała stracić zakupów. Pomogła ojcu Roz wstać z chodnika. „Cały był zalany krwią”, mówiła. „Wyglądał, jakby przywłókł go kot”. Jej dom znajdował się niedaleko; jako wierna chrześcijanka, znająca przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, poczuła, że musi go zabrać i opatrzyć, przynajmniej tyle.

Roz wyobraża sobie, jak to musiało być. Kogo stać na wdzięczność? (Chociaż wdzięczność to skomplikowane uczucie, przekonała się o tym.) A jednak, jaka kobieta oprze się uratowanemu przez siebie mężczyźnie? W bandażach jest coś erotycznego, no i oczywiście trzeba było zdjąć ubranie: kurtkę, koszulę, podkoszulek. A co potem? Matka wpadła w trans prania. A gdzie ten biedak miał spędzić noc? Był właśnie w drodze do wojska, tak powiedział (choć faktycznie nigdy do niego nie dotarł, nieoficjalnie); był daleko od domu – gdzie był jego dom? W Winnipeg... i pieniądze mu przepadły. Te zbiry zabrały.

Dla jej matki, która spędziła młodość, opiekując się schorowaną matką, która nigdy nie widziała mężczyzny bez koszuli, musiała to być najbardziej romantyczna rzecz, jaka jej się przytrafiła w życiu. Jedyna. Dla ojca natomiast był to tylko epizod. Czy był? Może zakochał się w niej, w tej milczącej kobiecie, która przyszła mu z pomocą krzykiem. Może zakochał się w jej domu, odrobinę. Może chodziło mu o schronienie. W wersji ojca zawsze występował jej krzyk, dla którego miał duży podziw. W wersji matki – krew.

Cokolwiek to było, skończyło się ślubem, chociaż nie był to ślub katolicki. Znaczyło to, że w oczach Kościoła nie byli małżeństwem. Dla ojca Roz matka wpędziła się w nieprzerwany stan grzechu. Nic dziwnego, że Roz czuła się, jakby była jej coś winna.

„Och”, myśli Roz, siedząc w piwnicy w pomarańczowym szlafroku. „Boże, ty

stary kpiarzu, ale ty sobie żartujesz z ludzi. Zmieniasz zasady. Wydajesz sprzeczne polecenia – zbawiaj ludzi, pomagaj ludziom, kochaj ludzi, ale ich nie dotykaj”. Bóg potrafi słuchać. Nie przerywa. Może dlatego Roz lubi do niego mówić.

Wkrótce po eksmisji pani Morley znika także pan Carruthers. Zostawia bałagan w pokoju, zabiera jedynie walizkę i nie płaci czynszu za ostatni miesiąc. Do jego pokoju wprowadza się wujek George, a do pokoju pani Morley wujek Joe. Następnie przychodzi panna Hines z wypowiedzeniem, ponieważ ten dom nie jest już szanowany.

– Skąd weźmiemy pieniądze? – pyta matka Roz.

– Nie martw się, Aggie – mówi ojciec. Pieniądze jakoś się zjawiają, nie za wiele, ale zawsze, i to zjawiają się znikąd, ponieważ ani ojciec, ani wujkowie nie mają pracy. Chodzą za to na wyścigi. Czasami zabierają z sobą Roz, w soboty, kiedy nie idzie do szkoły, i stawiają dla niej dolara na konia. Matka Roz nigdy nie chodzi na wyścigi, nie chodzą też – dochodzi Roz do wniosku, rozejrzawszy się wokół – inne matki. Te kobiety na wyścigach to lale.

Wieczorami wujowie siedzą przy stole w pokoju wujka George’a, piją, palą i grają w pokera. Jeśli matki nie ma w domu, ojciec niekiedy przyłącza się do nich. Roz kręci się dookoła, zaglądając im przez ręce, aż w końcu uczą ją grać.

– Nie zdradzaj, co myślisz – pouczają. – Nie pokazuj kart. Musisz wiedzieć, kiedy się poddać.

Kiedy już zna grę, pokazują jej, jak grać na pieniądze. Najpierw są to tylko sztony, ale pewnego dnia wujek George daje jej pięć dolarów.

– To twoja pula – mówi. – Nigdy nie zakładaj się o więcej, niż masz w puli.
– To zasada, której sam nie przestrzega.

Roz nabiera wprawy. Uczy się czekać; liczy, ile piją, obserwuje, ile ubywa w butelce. Wtedy robi ruch.

– Ta mała dama jest zabójcza – mówi wujek George z podziwem. Roz przepełnia radość.

Pomaga jej to, że gra na serio, podczas gdy wujkowie i ojciec nie, nie za bardzo. Grają, jakby spodziewali się telefonu. Grają dla zabicia czasu.

Niespodziewanie pojawiły się duże pieniądze. „Wygrałem na wyścigach”, powiedział ojciec, ale Roz wiedziała, że to nie może być prawda, ponieważ było ich za dużo. Starczyło na obiad w restauracji dla nich wszystkich, dla matki także, z lodami na deser. Matka ubrała się w najlepszą suknię, nową; była jasnozielona, z białą kryzą, ponieważ na to pieniędzy też starczyło. Starczyło na

samochód; był to niebieski dodge. Chłopcy z ulicy stali przez pół godziny przed domem Roz i gapili się na niego, Roz w milczeniu przyglądała im się z ganku. Jej triumf był tak całkowity, że nie musiała z nich kpić.

Skąd wzięły się te pieniądze? Znikąd. To było jak czary; ojciec zakręcił ręką i prośbę – pojawiły się. „Chwyciliśmy wiatr w żagle”, powiedział ojciec. Wujowie też trochę dostali. Pieniądze były dla ich trójki, mówił ojciec. Równy podział, ponieważ statek należał do nich wszystkich.

Roz wiedziała, że nie był to prawdziwy statek. Jednakże potrafiła go sobie wyobrazić, starodawny galeon, żaglowiec ze skarbami, ze złotymi żaglami połyskującymi w słońcu, z chorągiewkami powiewającymi na masztach. Albo coś w tym rodzaju. Coś wzniosłego.

Rodzice sprzedali dom czynszowy i przenieśli się na północ – daleko od uliczek z wąskimi, starymi domami, gdzie wszyscy się znali na wylot, z małymi trawnikami od ulicy – do ogromnego domu z półokrągłym podjazdem i garażem na trzy samochody. Roz zrozumiała, że stali się bogaci, ale matka zakazała jej używać tego słowa. „Jest nam dobrze” – tak to określała.

Wydawało się jednak, że nie było jej dobrze. Wręcz przeciwnie, bała się. Bała się tego domu, bała się kobiety do sprzątanania, co do której upierał się ojciec, bała się nowych mebli, które sama kupiła – „Bierz najlepsze”, powiedział ojciec – bała się nowych ubrań. Chodziła po domu w starej podomce i kapciach, z pokoju do pokoju, jakby czegoś szukała, jakby się zagubiła. Lepiej, o wiele lepiej, było jej w starej dzielnicy, gdzie wszystko miało właściwe wymiary, gdzie wiedziała, jak się poruszać.

Mówiła, że nie ma z kim porozmawiać, ale czy wcześniej z kimkolwiek rozmawiała? Z Roz, z ojcem Roz, z wujkami. Teraz wujkowie mieli własne domy. A lokatorzy? Już nie było lokatorów, na których mogłaby narzekać, którym mogłaby rozkazywać. Kiedy zjawiali się ludzie z przesyłką, spoglądali na nią i pytali o panią domu. Musiała jednak udawać, że jest szczęśliwa, z powodu ojca Roz. „Na to właśnie czekaliśmy”, mówił ojciec.

Roz też ma nowe rzeczy i nowe nazwisko. Nie jest już Rosalind Greenwood, tylko Roz Grunwald. To było i jest jej prawdziwe nazwisko – wyjaśniają rodzice.

- To dlaczego tak się nie nazywałam wcześniej? – pyta.
- Była wojna – mówią. – To nazwisko było zbyt żydowskie, niebezpieczne.
- A teraz jest bezpieczne? – pyta.

Niezupełnie. Różne rzeczy są bezpieczne tu, gdzie teraz mieszka, i z tego

samego względu różne rzeczy są niebezpieczne.

Roz idzie do nowej szkoły. Jest już w średniej szkole, więc chodzi do Forest Hill Collegiate Institute. Nie jest już katoliczką: odrzuciła to wszystko – nie bez skrupułów, nie bez oporu – aby zostać Żydówką. Skoro podziały są tak wyraźne, to woli być po tej stronie. Dużo o tym czyta, ponieważ chce to zrobić właściwie; prosi ojca, aby kupił dwa komplety naczyń, i przestaje jeść boczek. Ojciec kupuje garnki, aby jej dogodzić, ale matka nie chce oddzielić naczyń do mięsa i do mleka; jeżeli Roz porusza ten temat, patrzy na nią z urazą. Ojciec też nie pójdzie z nią do synagogi. „Nigdy nie byłem religijny” – mówi. „Zawsze powtarzałem... czyj jest Bóg? Gdyby nie było religii, nie byłoby tych wszystkich kłopotów”.

W nowej szkole Roz jest dużo żydowskich dzieci; właściwie tutaj należy być Żydem. Jednakże Roz, tak jak przedtem nie była prawdziwą katoliczką, tak tutaj nie jest prawdziwą Żydówką. Jest osobliwością, hybrydą, dziwną połówką człowieka. Jej ubranie, chociaż drogie, jest trochę nieodpowiednie. Akcent też nie jest odpowiedni, tak samo jej entuzjazm i umiejętności: pokrzywka, kopanie koleżanek w łydki i sprytna gra w pokera nie zaskarbiają jej względów u nikogo. W dodatku jest zbyt duża, zbyt głośna, zbyt niezgrabna, za bardzo pragnie się podobać. Nie ma ogłady, nie ma manier, nie ma klasy.

Czuje się jak w obcym kraju. Jest emigrantką, przesiedleńcem. Ojciec nabrał wiatru w żagle, ale ona wypadła za burzę. A może to co innego: może to pieniądze. Roz ma dużo pieniędzy, ale one muszą się zestarzeć, jak dobre wino albo ser. Teraz są zbyt błyszczące, wyzywające i bezwstydne.

Ojciec wysłał ją na żydowski obóz letni, ponieważ dochodzi do wniosku, że jest to odpowiednie dla dzieci tutaj, w tym kraju, w tym mieście, w tej dzielnicy, tego lata. Chce, aby Roz była szczęśliwa, chce, aby się dopasowała. Między tymi dwiema sprawami stawia znak równości. Jednakże na obozie Roz jest jeszcze większym intruzem, nieproszonym gościem: nigdy nie grała w tenisa, nigdy nie jeździła konno, nie zna żadnych tańców z Izraela ani smutnych, molowych pieśni w jidysz. Wypadła z żaglówki w lodowatą, niebieską wodę Zatoki Świętego Jerzego, ponieważ nigdy przedtem nie żeglowała. Kiedy próbuje jeździć na nartach wodnych, tchórzy w ostatniej chwili przed uruchomieniem silnika i wpada do wody jak kamień. Kiedy pierwszy raz wkłada strój kąpielowy – nie dlatego że umie pływać, jej podstawowy styl to rozpaczliwa młocka – uświadamia sobie, że należy golić się pod pachami. Kto miał jej o tym powiedzieć? Nie matka, która o ciele w ogóle nie rozmawia. Sama nigdy w

życiu nie była za miastem. Inne dzieciaki zachowują się, jakby urodziły się z wiosłem i od małego sypiały w śmierdzących namiotach, ale Roz nie potrafi przywyknąć do pcheł.

Siedzi przy śniadaniu w długim drewnianym baraku, słuchając w milczeniu, jak inne dziewczyny do znudzenia narzekają na matki. Roz też chciała ponarzekać na swoją matkę, ale doszła do wniosku, że jej narzekania są bez znaczenia, skoro jej matka nie jest Żydówką. Kiedy zaczyna opowiadać swoje historie z kamienicy czynszowej o szorowaniu toalet, dziewczyny przewracają oczami, ziewają delikatnie, jak małe kotki, i powracają do swoich matek. Zakładają, że Roz nic nie może o tym wiedzieć. Nie może tego zrozumieć.

Po południu dziewczyny kręcą sobie włosy i malują paznokcie. Po tańcach ludowych, śpiewach i pieczonych korzeniach prawoślazu, po bikiniarskich zabawach przebierańców, różni chłopcy odprowadzają je do domków; idą wśród aromatycznych, bolesnych ciemności, pośród zapachu igliwia sosnowego, przy pohukiwaniu sów i brzęczeniu komarów, przy blasku latarek, migających jak robaczki świętojańskie, wśród rozmarzonych szeptów. Żaden z chłopaków nie podchodzi, by pozartować z Roz, żaden nie staje obok niej, opierając się łokciem przy jej głowie o drzewo. Cóż, niewielu jest na tyle wysokich, by to zrobić, a zresztą, kto chciałby być widziany z pół-Żydówką o hipopotamich biodrach, na dodatek udającą błazna? Roz zostaje więc, żeby pomóc przy sprzątanii. Bóg wie, że jest w tym ekspertem.

Podczas prac ręcznych, w czym Roz jest raczej kiepska – jej gliniane popielniczki wyglądają jak krowie placki, a jej pas utkany na prymitywnym indiańskim krośnie jak kot wplatany we włóczkę – mówi, że musi wyjść do łazienki, i zbacza do kuchni, żeby przekąsić coś przed obiadem. Zaprzyjaźniła się z cukiernikiem, staruszką, który jednym ruchem potrafi zrobić na cieście cały rząd kaczuszek. Pokazuje Roz, jak to się robi oraz jak zrobić różę z kremu wraz z łodygą i listkiem. „Róża bez liścia jest jak kobieta bez honoru”, mówi do niej, kłaniając się wytwornie, po staroświecku, po europejsku. Podaje jej szprycę, żeby spróbowała. Pozwala jej wylizać miskę, mówi, że będzie z niej prawdziwa kobieta, nie sama skóra i kości, jak niektóre tutaj; widzi, że docenia dobre jedzenie. Cukiernik ma akcent jak jej wujkowie, oraz wyblakły niebieski numer na ręce. Pozostałość po wojnie, ale Roz o to nie pyta, ponieważ nikt tutaj o wojnie nie rozmawia, jeszcze nie. Wojna nie jest tematem.

Roz widzi, że nigdy nie będzie ładniejsza, bardziej urocza, szczuplejsza, bardziej seksowna ani nie będzie tak łatwo wpadać w zachwyty jak te dziewczyny. Postanawia za to być inteligentniejsza, zabawniejsza i bogatsza; kiedy jej się to uda, mogą pocałować ją gdzieś. Zaczyna robić miny, ucieka się

do starych zwyczajów z Huron Street, żeby zwrócić uwagę. Wkrótce zdobywa sobie miejsce w grupie – jest żartownisiem, a także parodystą. Podchwytuje ich akcenty, intonację, słownictwo; łączy różne warstwy języka, przykleja je jeden na drugim jak plakaty na płócie, zakrywające gołe deski. Jeśli chodzi o ubranie, dodatki, można to przestudiować.

Roz przebrnęła przez szkołę średnią, która nie była szczególną radością. Dużo później odkryła – na zjeździe klasy, któremu nie mogła się oprzeć z chęci pokazania się we wspaniałym kostiumie – że większość dziewcząt ze szkoły była tak samo nieszczęśliwa jak ona. Nie mogły uwierzyć, że źle się czuła w szkole. „Ty byłaś taka radosna”.

Po szkole średniej Roz poszła na uniwersytet. Wybrała sztuki piękne i archeologię, co ojciec uważał za niepraktyczne, ale później, w firmie remontowej, okazało się to przydatne; nigdy nie wiadomo, jaki szczegół z przeszłości można wykorzystać. Załatwiła sobie mieszkanie w akademiku, chociaż, jak podkreślała matka, miała znakomity dom, gdzie mogła mieszkać. Pragnęła jednak wydostać się z domu; zmusiła nawet ojca, aby ją poparł, grożąc ucieczką do Europy albo na jakiś inny uniwersytet, odległy o tysiące mil. Wybrała McClung Hall ze względu na nieokreśloną przynależność społeczną. W tym czasie porzuciła już nadwyżkę żydostwa, podobnie jak nadwyżkę katolicyzmu. Przynajmniej tak uważała. Chciała podróżować bez obciążeń, a najlepiej jej było w torbie z różnościami.

W dniu otrzymania dyplomu ojciec zabrał ją na ucztę razem z matką i coraz bardziej zmęczonymi wujkami. Poszli do cudacznej restauracji, gdzie menu było po francusku, a angielskie tłumaczenie napisane było małym drukiem pod spodem. Na deser były lody o przeróżnych francuskich smakach: *cassis*, *fraise*, *citron*, *pistache*. „Francuskiego paszportu nigdy nie miałem, powiedział wujek Joe. Wezmę te pastisze”.

To byłem ja, myśli Roz. Byłam pastiszem.

Wiele lat później, gdy Roz była już mężatką, gdy jej matka zmarła – powoli i nie godząc się z tym, jako że śmierć była nieprzyzwoita (lekarze mężczyźni zaglądali tobie w ciało, co było nieomal grzechem) – i gdy zmarł jej ojciec w bolesnych, nagłych atakach, niczym szarpiący pociąg, i gdy po tym wszystkim Roz została sierotą, dowiedziała się o pieniądzach. Nie o tych późniejszych, o tych wiedziała, ale o pierwszych pieniądzach. O korzeniach, o sadzonce, o początku.

Pojechała do szpitala odwiedzić wujka George’a, ponieważ on też umierał. Nie miał własnego pokoju ani nawet dwuosobowego; leżał na sali. Żadnemu z wujków się nie powiodło. Skończyli w domach czynszowych. Po roztrwonieniu własnych pieniędzy, roztrwonili też trochę majątku jej ojca. Uprawiali hazard, zapożyczali się, a raczej nazywali to pożyczkami, bo każdy wiedział, że nigdy nie oddadzą. Jej ojciec nigdy jednak nie mówił nie, nigdy nie odmawiał ich prośbom.

– To prostata – powiedział jej przez telefon wujek Joe. – Lepiej, żebyś o tym nie wspominała. – Roz nie wspominała więc, ponieważ wujkowie także mieli swoją przyzwoitość. Wzięła kwiaty i wazon, bo w szpitalach nigdy nie mają wazonów; przywołała radosny uśmiech i wesoły, energiczny nastrój, który prysnął, gdy tylko zobaczyła, jak okropnie wygląda wujek George. Skurczył się, wysechł. Jego głowa zamieniła się w czaszkę. Roz usiadła obok, oplakując go w duchu. Mężczyzna w sąsiednim łóżku chrapał przez sen.

– Ten tu nigdzie nie idzie – powiedział wujek, jakby miał swoje plany.

– Chcesz pokój dla siebie? – zapytała Roz. Z łatwością mogła mu to załatwić.

– Nie – odpowiedział wujek. – Lubię towarzystwo. Lubię ludzi dookoła, wiesz? A zresztą, to sporo kosztuje. Nigdy nie miałem talentu.

– Talentu do czego?

– Nie jak twój ojciec – mówił wujek George. – Mógł zacząć dzień z dolarem, a zakończyć z pięcioma. Ja zawsze tego dolara stawiałem na konia. Potrafiłem żyć tylko w lepszych czasach.

– Skąd on to miał? – zapytała Roz. Wujek spojrzał na nią suchymi, żółtymi oczami.

- Co miał? – spytał niewinnie, chytrze.
- Pierwszego dolara – odparła Roz. – Co wasza trójka tak naprawdę robiła na wojnie?
- Tego nie musisz wiedzieć – rzekł wujek.
- Muszę – upierała się Roz. – On już nie żyje. Teraz możesz mi powiedzieć, już mnie nie zranisz.
- Tak... To było dawno temu – westchnął wujek George.
- To ja pytam – powiedziała Roz, gdyż słyszała jak wujkowie używali między sobą tego zwrotu i zawsze ze skutkiem.
- Twój ojciec był pośrednikiem – rzekł wujek. – Pośredniczył w załatwianiu różnych rzeczy. Przed wojną, na wojnie i także po wojnie.
- W czym pośredniczył? – pytała Roz. Wiedziała, że nie handlował zepsutymi lodówkami.
- Prawdę mówiąc, był oszustem – powiedział powoli wujek. – Nie zrozum mnie źle, był także bohaterem, a gdyby nie był oszustem, nie zostałby bohaterem. Tak to było.
- Oszustem?
- Wszyscy byliśmy oszustami – tłumaczył cierpliwie wujek George. – Wszyscy oszukiwali. Kradli najrozmaitsze rzeczy, nie uwierzyłabyś... obrazy, złoto, coś, co można ukryć i później sprzedać. Widzieli, jak to się robi. Na koniec brali wszystko. Zawsze jak jest wojna, ludzie kradną, co mogą. Tym właśnie jest wojna – kradzieżą. Dlaczego mieliśmy być inni? Joe zbierał informacje, ja byłem kierowcą, a twój ojciec planował. Planował, kiedy mamy działać, komu ufać. Bez niego, nic. Tak więc, zdobywaliśmy to dla nich – nielegalnie; chyba nie muszę ci mówić, jakie wtedy mieli przepisy, ale my dawaliśmy łapówki strażnikom, wszyscy brali. Ukrywaliśmy to gdzieś bezpiecznie aż do końca wojny. Ale skąd oni wiedzieli, co to było, skąd wiedzieli, gdzie chowamy? Część tych rzeczy zatrzymaliśmy dla siebie. Zabieraliśmy je w różne miejsca. Niektórzy z nich też ginęli, więc zabieraliśmy im.
- To właśnie robił? – pytała Roz. – Pomagał hitlerowcom?
- To było niebezpieczne – odparł z wyrzutem wujek George, jakby niebezpieczeństwo usprawiedliwiało wszystko. – Czasami robiliśmy rzeczy, których nam nie kazano. Zabieraliśmy Żydów. Musieliśmy uważać, trzymać się zasad. Pozwalali nam to robić, bo gdyby nas złapano, to oni też płaciliby głową. Twój ojciec nigdy nie przeciągał struny. Wiedział, kiedy robiło się zbyt niebezpiecznie. Wiedział, kiedy przestać.
- Dziękuję, że mi powiedziałeś.

– Nie dziękuj – rzekł wujek. – Jak ci mówiłem, on był bohaterem, tylko niektórzy tego nie rozumieli. – Wujek zmęczył się, zamknął oczy. Powieki miał delikatne i pomarszczone jak mokra krepa. Uniósł dwa wysuszone palce, dając jej znak do odejścia.

Roz szła szpitalnym labiryntem wykafelkowanym na biało. Szła do domu, chciała się napić wódki. Jaki wniosek miała z tego wyciągnąć, z tej nowej, wątpliwej wiedzy? Że jej pieniądze są brudne, czy że wszystkie takie są? To nie jej wina, ona była dzieckiem, ona tego nie zrobiła. Nie stworzyła świata. Ciągłe jednak wyobraża sobie ręce, kościste ręce sięgające spod ziemi, chwytające ją za kostki, domagające się tego, co do nich należy. Ile lat mają te ręce? Dwadzieścia, trzydzieści czy tysiąc, dwa tysiące? Kto wie, gdzie były te pieniądze? „Myj ręce, jak ich dotykasz, mawiała matka. Pełno na nich zarazków”.

Mitchowi jednak o tym nie powiedziała. Nigdy nie powiedziała. To byłby punkt dla niego. I tak uważał się za lepszego, on i ta jego wyższość oparta na starych pieniądzach, roszczenie sobie prawa do skrupułów. Odcinanie kuponów tak, przemykanie Żydów nie. O to Roz mogłaby się założyć. Szydził potajemnie z jej pieniędzy, chociaż, jak widziała, nie miał nic przeciw ich wydawaniu. Jednakże stare pieniądze także czerpały korzyści z ludzkiej rozpacz, bo rozpacz, ciało i krew są piętrem. Skąd, do diaska, według takich ludzi jak Mitch, przychodziły te wszystkie dywidendy? A te udziały w złocie południowoafrykańskim, do których ją tak namawiał? W każdej rozmowie, jaką prowadzili, była zawsze trzecia strona: jej pieniądze; siedziały między nimi na kanapie niczym jakiś karzeł albo słabo odczuwające warzywo.

Niekiedy czuła, że są jej częścią, częścią jej ciała, jak garb na plecach. Roz była rozdarta między chęć odcięcia się od nich a chęć ich pomnażania, bo czyż nie dawały jej ochrony? A może to była jedna i ta sama chęć? Jak mawiał jej ojciec, nie możesz dać, jeśli wpierv nie dostaniesz.

Roz dostawała do lewej ręki, a prawą oddawała, a może było odwrotnie? Najpierw dawała na służbę zdrowia, na serce – ze względu na ojca, na raka – ze względu na matkę. Dawała na World Hunger, dawała na United Way, dawała na Czerwony Krzyż. Tak było w latach sześćdziesiątych. Kiedy na początku lat siedemdziesiątych wybuchł nagle ruch wyzwolenia kobiet, Roz została w to wciągnięta jak kurz do odkurzacza. Była widoczna, oto dlaczego. Jej twarz była znana, a niewiele było takich kobiet, oczywiście poza gwiazdami filmowymi i królową Anglii. Była jednak gotowa przyjąć tę wiadomość, gdyż już dwukrotnie została ogłoszona przez Mitcha i jego „rzeczy”. Pierwszy raz...

pierwszy raz to odkryła, kiedy była w ciąży z Larrym; nie mógł posunąć się dalej.

Roz uwielbiała terapię grupową, uwielbiała wolność słowa. To było tak, jakby spotkała siostry, których nigdy nie miała, jakby miała wielką rodzinę, z którą po raz pierwszy znalazła coś wspólnego, jakby pozwolono jej wejść do tych wszystkich kręgów i grup, do których przedtem miała zakaz wstępu. To już nie było sznurowanie usteczek, wychwalanie się mężusiami, owijanie w bawełnę! Mogłaś mówić, co chciałaś!

Uwielbiała siedzieć w kręgu, chociaż po pewnym czasie zauważyła, że ten krąg nie jest wcale taki okrągły. Jedna z kobiet opowiadała o swoim problemie, przyznawała się do bólu, następna robiła to samo, wreszcie przychodziła kolej na Roz i oczy wszystkich pokrywało szkliwo niewiary, ktoś zmieniał temat.

Co to było? Dlaczego ból Roz był drugiego gatunku? Minęło trochę czasu, zanim zrozumiała – to były jej pieniądze. One myślały, że ktoś z takimi pieniędzmi jak Roz z całą pewnością nie może cierpieć. Przypomniała sobie stare powiedzenie swoich wujów: „Serce mi się wykrwawi”. Zawsze wypowiedano je z najwyższym sarkazmem o kimś, komu dopisało szczęście, to znaczy o kimś, kto się wzbogacił. Roz miała się wykrwawiać, ale nikt nie mógł się jej odwzajemnić.

Istniał jednak taki obszar, w którym pożądaną była Roz. Był to ruch tak chorobliwie pozbawiony gotówki, że Roz była nieomal niezbędna. Było więc całkiem naturalne, że zgłoszono się właśnie do niej, kiedy pismo „WiseWomanWorld” miało zbankrutować, gdyż nie potrafiło przyciągnąć wielkich, błyszczących reklam szminki i wódki. Było wówczas czymś więcej niż czasopismem, było przyjacielem; przyjacielem, łączącym w sobie wzniosłe ideały i nadzieję, dzielącym się także brudnymi tajemnicami. Prawdą o masturbacji! Prawdą o pragnieniu, aby rozbić dzieciom głowę o ścianę! Co robić, kiedy facet w metrze ociera się o ciebie od tyłu, kiedy szef goni cię wkółko biurka, albo kiedy na dzień przed miesiączką bierze cię ochota połknąć wszystkie tabletki z szafki! „WiseWomanWorld” było dla niej wszystkimi przegapionymi sprawami, jakie działy się za jej plecami; musiała, oczywiście, to pismo uratować.

Chcieli, aby magazyn pozostał spółdzielnią, tak jak do tej pory. Chcieli, aby Roz dała im pieniądze i kropka, i to bez odpisu podatkowego, ponieważ to byłoby zbyt polityczne. Nie chcieli też niedużej sumy, bo co by to dało. Mały zastrzyk nie miał żadnego sensu. Zbyt mało pieniędzy to tak samo jak nic, równie dobrze mogłaby je spuścić w klozecie.

„Nigdy nie inwestuję w coś, czego nie mogę kontrolować, powiedziała im.

Musicie wydać akcje. Ja kupię większość”. Rozzłościła się na nią za te słowa, ale Roz dodała: „Jak złamiecie nogę, to idźcie do lekarza. Jak macie kłopoty z pieniędzmi, to przychodźcie do mnie. Spróbowaliście już na swój sposób i nie wyszło wam. Mówiąc szczerze, w waszych księgach panuje bałagan, wiem coś o tym. Chcecie, żebym to naprawiła, czy nie?” Wiedziała, że pismo jeszcze straci pieniądze, ale w takim przypadku chciała wziąć na siebie tę stratę.

Nie spodobało im się także, kiedy Roz wprowadziła Mitcha do zarządu, a do towarzystwa dodała mu kilku kumpiów prawników, ale to był jedyny sposób. Jeżeli chcieli jej pomocy, musieli sobie uświadomić, jakie są warunki jej życia: gdyby Mitch nie mógł w tym uczestniczyć, działałby na szkodę. Jej życie prywatne zamieniłoby się w labirynt pełen zasadzek, jeszcze gorszy niż do tej pory. „To tylko trzy zebrania na rok, tłumaczyła im. To cena, jaką płacicie”. Jeśli chodzi o ceny w historii, ta nie była wcale wysoka.

– Zaprosiłam Zenię na drinka – mówi Roz do Mitcha. Jeżeli mu nie powie, to z całą pewnością zaskoczy je obie, a potem będzie nadąsany, ponieważ nie wzięły go pod uwagę. To, że Roz jest kobietą posiadającą władzę, nie znaczy, że nie musi postępować z Mitchem delikatnie. Musi postępować tym bardziej delikatnie, musi pomniejszać siebie, udawać, że jest mniejsza niż w rzeczywistości, przeproszać za sukcesy, ponieważ wszystko, co robi, jest znakomite.

– Jaką Zenię? – pyta Mitch.

– No, wiesz, wpadliśmy na nią w tej restauracji – odpowiada Roz. Cieszy się, że Mitch nie pamięta.

– Ach, tak – mówi Mitch. – Jest inna niż większość twoich przyjaciółek.

Mitch nie przepada za jej przyjaciółmi. Uważa je za bandę nienawidzących mężczyzn feministek o owłosionych nogach, paradujących z biczami, ponieważ w pewnym momencie, na początku jego obecności w zarządzie „WiseWomanWorld”, rzeczywiście takie były. Na próżno Roz tłumaczy mu, że wtedy wszystkie takie były, bo dostosowywały się do mody – stąd te kombinezony. Roz sama nigdy ich nie nosiła, bo wyglądałaby jak kierowca ciężarówki. Kobiety w redakcji znosiły Mitcha tylko i wyłącznie ze względu na Roz. Nie pozwalały, aby mówił im, jak być dobrą feministką, chociaż Mitch bardzo się starał. Było tak może dlatego, że zalecał im wykorzystywać dowcip i urok, gdyż inaczej mężczyźni będą się ich bać. One nie były jednak w nastroju, aby czarować, nie jego, nie wtedy. Tamten okres musiał spowodować w nim uraz, chociaż on sam nie podarował sobie kilku prób zaczepki.

Roz pamięta przyjęcie, jakie wydała, aby uczcić przekształcenie

„WiseWomanWorld”, kiedy to Mitch siedział obok Almy, redaktorki naczelnej, i popełnił błąd, próbując przebiec dłonią po jej nodze, jednocześnie prowadząc zbyt ożywioną, teoretyczną dyskusję z Edith, redaktorką artystyczną. Biedny baranek, sądził, że Roz się nie domyśla. Wystarczyło jedno spojrzenie na ułożenie jego ręki... i na twarz zaczerwienioną, pokrytą potem, jakby podduszoną na wolnym ogniu, oraz na ściągnięte brwi Almy, zaciśnięte usta mówiły Roz wszystko. Roz przyglądała się ze wściekłym zainteresowaniem, jak Alma walczy z dylematem: znieść to, ponieważ Mitch jest mężem Roz, a ona nie chce stracić posady – na co Mitch liczył już w przeszłości z innymi – czy zwrócić mu uwagę. Zwyciężyła zasada, a także wściekłość, i Alma odezwała się do niego ostro, chociaż ściszym głosem:

– Nie jestem fiutem.

– Słucham? – zareagował Mitch z rezerwą, grzecznie, jak gdyby nigdy nic, trzymając rękę nadal pod stołem. Biedactwo, jeszcze sobie nie uświadomił, że kobiety rzeczywiście się zmieniły. Ongiś Alma czułaby się winna, że zwraca na siebie uwagę, ale teraz już nie.

– Weź, do diabła, tę cholerną łapę z mojej nogi, bo dziobnę cię widelcem – zasyczała Alma.

Roz zaczęła kaszleć, aby zagłuszyć to, co słyszała; ręka Mitcha wystrzeliła na powierzchnię jak oparzona. Po tym wieczorze zaczął traktować Almę z troską i żalem, jakby była zagubioną duszą, narkomanem albo kimś w tym rodzaju. „Szkoda tej dziewczyny, mówił ze smutkiem. Ma takie możliwości, ale jednocześnie problem z nastawieniem. Byłaby dość ładna, gdyby nie to groźne spojrzenie”. Sugerował, że może jest lesbijką; nie doszedł jeszcze do tego, że to już nie jest obraza. Roz odczekała przyzwoity okres i sprawiła, że Alma dostała podwyżkę.

W ten właśnie sposób Mitch postrzega koleżanki Roz: uważa je za groźne, a ostatnio: za podstarzałe. Nie potrafi oprzeć się uwagom na temat ich obwisłych twarzy, jakby jemu to nie groziło, chociaż to prawda, że mężczyznom uchodzi starszy wygląd. Prawdopodobnie to zemsta: Mitch podejrzewa Roz i jej przyjaciółki o obgadywanie go za plecami, o analizowanie go, znajdowanie na niego lekarstw, jakby był dolegliwością żołądkową. Zgoda, kiedyś tak było, Roz myślała wtedy, że może go jeszcze zmienić, a jej przyjaciółki myślały, że ona sama może się zmienić. Wtedy on był tematem. „Zostaw go, mówiły. Wywal goja na zbity pysk! Stać cię na to! Po co z nim mieszkasz?”

Roz miała jednak swoje powody, między innymi dzieci. Poza tym nadal była eks-katoliczką, więc niepokoił ją rozwód. Poza tym nie chciała przyznać się przed samą sobą, że popełniła błąd. Poza tym nadal była w Mitchu zakochana.

Tak więc po jakimś czasie przestała rozmawiać na jego temat z przyjaciółkami, bo co jeszcze pozostawało do powiedzenia? To była ślepa uliczka i przeżuwanie rozwiązań, na które nigdy się nie zdecyduje, wywoływało w niej poczucie winy.

Po pewnym czasie jej przyjaciółki przestały nosić kombinezony, porzuciły redakcję i poprzebierały się w szyte na miarę garsonki gwarantujące sukces zawodowy, przestały interesować się Mitchem, zamiast tego zaczęły rozmawiać o stresach, Roz natomiast obwiniała się o inne rzeczy, takie jak bycie bardziej energiczną od nich. Mitch dalej mówił „Czy jesz lunch z tą wyfiokowaną staruszką nienawidzącą mężczyzn?”, gdy tylko pojawiała się któraś z przyjaciółek z tamtego okresu. Wiedział, że to ją drażni.

Trochę bardziej toleruje Charis i Tony, może dlatego że Roz zna je tak długo i że są matkami chrzestnymi bliźniaczek. Uważa jednak Tony za dziwaczkę, a Charis za świrniętą. W taki sposób je neutralizuje. O ile wiadomo Roz, nigdy nie dobiegał się do żadnej z nich. Prawdopodobnie nie zalicza ich do kategorii kobiet, ale do jakiejś innej, niejasno określonej – do gnomów pozbawionych płci.

Roz dzwoni do Tony, do jej gabinetu na Wydziale Historycznym.

– Nie uwierzysz – zaczyna.

Następuje przerwa, podczas której Tony próbuje odgadnąć, w co nie uwierzy.

– Chyba nie – odpowiada.

– Zenia wróciła – obwieszcza Roz.

– Rozmawiałaś z nią? – pyta Tony po krótkiej przerwie.

– Wpadłam na nią w restauracji – odpowiada Roz.

– Na Zenię nigdy się nie wpada – mówi Tony. – Uważaj, radzę ci. O co jej chodzi? Musi coś być.

– Chyba się zmieniła – odpowiada Roz. – Jest inna niż kiedyś.

– Lew nie zmienia się w baranka – upomina Tony. – W jaki sposób inna?

– Oj, Tony, jesteś taką pesymistką! – mówi Roz. – Wydała się... no, miłsza. Bardziej ludzka. Jest teraz dziennikarką, pisze o sprawach kobiecych. Poza tym – Roz ścisza głos – ma większe cycki.

– Cycki chyba nie mogą urosnąć – powątpiewa Tony, gdyż kiedyś się tym interesowała.

– Prawdopodobnie nie urosły – mówi Roz. – Teraz robi się sztuczne. Założę się, że dała sobie wszczepić.

– To by mnie nie zdziwiło – odpowiada Tony. – Zwiększa siłę rażenia. Ale cycki czy nie cycki, uważaj na tyły.

– Właśnie zaprosiłam ją na drinka – przyznaje się Roz. – Musiałam,

naprawdę. Ona знаła mojego ojca w czasie wojny. – Nie może się spodziewać, żeby Tony rozumiała wszystko, co łączy się z tym faktem.

Później nikt nie mógł powiedzieć, że Roz nie została ostrzeżona. Nikt też tego nie powiedział, ponieważ Tony nie należała do nieznosnych, życzliwych przyjaciół i nigdy nie przypominała Roz o tym, że ją przestrzegała. Wszłaś w to z otwartymi ślepiami, zwymyślała potem samą siebie. Kretynko! Co ci kazało?

Teraz wie, co to było. Pycha, najgorszy z siedmiu grzechów głównych; grzech Lucyfera, źródło wszystkich innych. Próżność, brawura, fałszywa odwaga. Musiała uważać siebie za poskramiacza lwów, toreadora, jeśli chciała wygrać tam, gdzie obie jej przyjaciółki przegrały. Dlaczego nie? Wiedziała więcej od nich, ponieważ znała ich historie. Była ostrzeżona, a więc uzbrojona. Była też zbyt pewna siebie. Chyba myślała, że będzie miała broń i pomysły. Myślała, że poradzi sobie z Zenią. Kiedyś miała taki sam stosunek do Mitcha; teraz sobie przypomina.

To nie znaczy, że w tym czasie odczuwała w sobie tę pychę. Zupełnie nie. Tak bywa z grzechami – potrafią się przebierać, znajdują różne oblicza, tak że nie można ich rozpoznać. Nie pomyślała nawet, że jest pyszna, jedynie gościnna. Zenia chciała podziękować z powodu ojca Roz, byłoby bardzo źle, gdyby Roz jej tego odmówiła.

Był jeszcze inny rodzaj pychy. Chciała być dumna ze swego ojca. Ze swego grzesznego ojca, przebiegłego ojca, oszusta, pośrednika. Zdradzała fragmenty jego wojennej historii podczas wywiadów, Roz – kobieta sukcesu, „Jak pani zaczęła, jak godzi pani swe obowiązki, jak dba pani o siebie, jakie miejsce zajmuje pani mąż, jak radzi sobie pani z domem”; kiedy jednak opowiadała o ojcu bohaterze, niosącym ratunek, wiedziała, że dodaje mu trochę, że rzuca na niego dobre światło, przypina mu pośmiertne medale. On sam odmawiał rozmów na ten temat, na temat ciemnej strony swego życia. „Po co ci to wiedzieć?, mówił. To się skończyło. Ktoś mógłby się poczuć zraniony”. Czekając na Zenię, denerwowała się bardziej niż zwykle tym, czego może się dowiedzieć.

Kiedy w końcu Zenia przychodzi na drinka – nie spieszyła się – jest piątek i Roz jest skonana, ponieważ tydzień w biurze był paskudny, przeciążenie obwodu razy dziesięć, a do tego bliźniaczki wybrały sobie ten dzień na strzyżenie włosów – chcą być punkami, chociaż mają dopiero siedem lat. Roz chciała pochwalić się nimi przed Zenią, ale teraz wyglądają, jakby miały ciężki przypadek świerzbu, i nie okazują najmniejszej skruchy. Roz jednak nie uważa, że powinna się złościć, ponieważ dziewczętom nie należy sugerować, że liczy się tylko ładny wygląd oraz że opinie innych ludzi na temat ich ciała są ważniejsze od ich własnych poglądów.

Tak więc, po pierwszym okrzyku zdziwienia i przerażenia, stara się zachowywać tak, jakby wszystko było normalnie, bo właściwie jest, chociaż język ma jak kolek, gdyż mocno się ugryzła, tłumiąc w sobie wielką chęć odesłania dziewczynek na górę, żeby wzięły kąpiel i bawiły się w swoim pokoju. Kiedy w drzwiach staje Zenia – w szokujących butach z jaszczurczej skóry, przynajmniej za trzysta dolców, na tak wysokich obcasach, że jej nogi są długie na miłę, w cyklamenowo-czarnej garsonce z surowego jedwabiu, lekko wciętej w tali, z obcisłą spódniczką kończącą się wysoko ponad kolanami – Roz jest oburzona powrotem spódniczek mini, bo co masz zrobić, jak masz grube uda; dobrze pamięta te spódniczki z poprzedniej epoki, z lat sześćdziesiątych, gdy trzeba było siedzieć z nogami sklejonymi razem, bo wszystko byłoby na widoku, to niewymowne, punkt centralny, wstydliva i haniebna plama, bezcenny skarb, zaproszenie mężczyzn do spoglądania, do lubieżnych podszczypywań i spojrzeń, do ślinienia się, do gwałtu i rabowania, jak zakonnice zawsze ostrzegały; bliźniaczki także się pojawiają, ubrane w wyrzucone przez Roz halki ze skrzyni ze strojami do przebierania. Biegają po holu z elektryczną golarką Mitcha, goniąc kota, gdyż chcą go zamienić w punkrockową maskotkę, chociaż Roz już im mówiła, że golarki w żadnym przypadku nie wolno ruszać, bo jak Mitch znajdzie kocią sierść, to będą miały poważne kłopoty; i tak jest źle, jak Roz nie może znaleźć własnej maszynki i korzysta z golarki Mitcha, a potem niedokładnie wypłucze włoski. Bliźniaczki wcale nie zwracają na nią uwagi, ponieważ zakładają, że ona je obroni, skłamię, zasłoni swoim ciałem przed kulami, i mają rację, robi tak.

– To twoje? Wpadły pod kosiarkę? – mówi na ich widok Zenia. To samo mogłaby powiedzieć, a przynajmniej pomyśleć Roz; nie wie, czy ma się śmiać, czy płakać.

Śmieje się; drinki piją na werandzie, której Roz nie chce nazywać oranżerią, chociaż zawsze marzyła o oranżerii z miniaturowymi drzewkami pomarańczowymi albo orchideami, takimi jak w angielskich kryminałach, tych z planem angielskiego dworu i iksem w miejscu, gdzie znaleziono ciało, dość często właśnie w oranżerii. Mimo że pomieszczenie jest szklane i ma wiktoriańską kopułę ze szkła, jest zbyt małe, by mogło uchodzić za prawdziwą oranżerię; samo słowo zaś jest zbyt napuszone, by mogła je wypowiedzieć matka Roz, której szyderczy głos czasami rozbrzmiewa w jej głowie. Jest tu jednak mnóstwo roślin, są to rośliny o niezbyt długim życiu, bo kto tak naprawdę jest za nie odpowiedzialny? Mitch mówi, że nie ma czasu, choć to właśnie on zamówił całe to zielsko; Roz nie ma ręki do kwiatów, najwyżej do wyschniętych, brązowych turzyc. To nie znaczy, że nie chce, aby te rośliny żyły. Nawet je lubi, chociaż nie umie odróżnić begonii od rododendrona. Mogliby to jednak robić zawodowcy: serwis ogrodnicy. Przychodzą, patrzą, podlewają, wyrzucają obumarłe rośliny, przywożą świeże.

Ma taki serwis w biurze, więc dlaczego nie tutaj? Mitch mówi, że nie chce, aby jeszcze więcej obcych kręciło się po domu – cierpi na kompleks dekoratora – ale możliwe, że podoba mu się Roz w fartuszku, z konewką, tak samo jak podoba mu się Roz z patelnią, w fartuszku i z piórami do odkurzania, chociaż Roz w gotowaniu nie potrafi wyjść poza to, co przyniesie w papierowej torbie, a pióra do odkurzania napawają ją lękiem, gdyż w dzieciństwie zmuszano ją do sprzątania. Stałym elementem pozostaje fartuszek, gwarancja, że Roz będzie w domu, kiedy tylko Mitch zechce wrócić.

Może też istnieć inny program, inny odcień winy, jaki powinna odczuwać Roz, i faktycznie odczuwa, z powodu usychających roślin: otóż, Mitch chciał mieć basen zamiast werandy. Chciał zanurzyć się w chlorowaną, oczyszczającą kąpiel i odkazić włosy na piersi, pozabijać grzybicę na stopach, w kroczu, niesmak w ustach, czego mógł się nabawić, podrywając przejrzałe zdziury. Roz oświadczyła jednak, że basen na wolnym powietrzu w Kanadzie to kpiny, dwa miesiące skwarne i dziesięć takich, że tyłek odpada ci od mrozu; nie zgodziła się też na kryty basen, bo znała ludzi, którzy je mieli – w ich domach czuć było rafinerię ropy w upalny dzień, poza tym skomplikowana maszyna psułaby się często, a Roz byłaby odpowiedzialna za naprawy. Najgorsze w basenach jest to, że są zbyt blisko przyrody. Ciągnie do nich wszystko z dworu: mrówki, ćmy i cała reszta, jak w jeziorze na obozie letnim. Pluskałaby się w

wodzie, a tu nagle pojawia się robal na wysokości jej nosa. Pływanie, według Roz, to przede wszystkim narażanie zdrowia.

Zenia śmieje się i zgadza z Roz w zupełności, więc Roz mówi dalej, ponieważ denerwuje się, widząc znowu Zenię po tylu latach. Pamięta jej reputację, aurę zielonej trucizny wokół Zeni, niewidzialny żar, dotknij jej, a oparzysz się; pamięta historię, opowiadania Tony i Charis. Musi więc zachowywać się ostrożnie, nic dziwnego, że się denerwuje, a kiedy się denerwuje, wtedy mówi. Mówi i je, a także pije. Zenia bierze oliwkę i żuje ją z wdziękiem, Roz pożera wszystkie, dopełnia martini Zeni, sobie nalewa następne, proponuje papierosa, a słowa wylewają się z niej jak atrament z kałamarnicy. Kamuflaż. Z ulgą przyjmuje, że Zenia pali. Byłoby nie do zniesienia, gdyby była szczupłą, dobrze ubrana, bez zmarszczek, zniewalająca, a na dodatek nie paliła.

– A więc – mówi Roz, kiedy zrobiła z siebie głupią na tyle, że może uważać pierwsze lody za przełamane – mój ojciec. – Przecież tego Zenia chce, to jest cel jej wizyty, prawda?

– Tak – odpowiada Zenia. Pochyla się do przodu, odstawia szklanekę, z namysłem opiera brodę na rękę, lekko przy tym marszcząc brwi. – Byłam wtedy, oczywiście, dzieckiem, więc sama nie pamiętam tego okresu, ale moja ciotka opowiadała o twoim ojcu, zanim umarła. O tym, jak nas wydostał. Myślę, że gdyby nie on, byłabym teraz kupką popiołu. To było w Berlinie. Tam mieszkali moi rodzice, w dobrej dzielnicy, w szanowanym domu, w jednej z tych starych berlińskich kamienic z mozaiką w głównym holu, z szerokimi schodami z drewnianą balustradą, ze służbówką i dodatkowym balkonem do wieszania prania wychodzącym na podwórze. Wiem, ponieważ widziałam, wróciłam tam. Byłam tam pod koniec lat siedemdziesiątych, miałam zlecenie z Berlina – nocne życie, dla jakiegoś magazynu turystycznego, wiesz, rzeczy tego rodzaju, jak seks-kabarety, kluby ze striptizem, telefony na stolikach. Wzięłam więc wolne popołudnie i znalazłam to miejsce. Miałam adres ze starych papierów ciotki. Budynki dookoła były nowsze, zostały odbudowane po bombardowaniach, cała dzielnica była prawie zrównana z ziemią; to zadziwiające, ale ten jedyny stary budynek ocalał. Zadzwoniłam i ktoś otworzył drzwi. Weszłam do środka, poszłam na górę, tak jak moi rodzice musieli wchodzić setki razy. Dotykałam tej samej balustrady, skręcałam tym samym korytarzem. Zapukałam do drzwi, a kiedy się otworzyły powiedziałam, że moi krewni kiedyś tutaj mieszkali, więc chciałam się rozejrzeć – mówię trochę po niemiecku, dzięki ciotce, chociaż akcent mam staroświecki – i ludzie mnie wpuścili. To było młode małżeństwo z

małym dzieckiem, bardzo mili, ale nie mogłam długo zostać. Naprawdę nie potrafiłam tego znieść, tych pokoi, światła wpadającego przez okna... To były te same pomieszczenia, to samo światło. Chyba po raz pierwszy rodzice stali się dla mnie realni. Wszystko stało się prawdziwe. Przedtem to była tylko koszmarna opowieść.

Zenia przerywa opowiadanie. Ludzie często tak robią, kiedy dochodzą do najtrudniejszego punktu, Roz o tym wie.

– Koszmarna opowieść – zachęca Zenię.

– Tak – kontynuuje Zenia. – Wojna już trwała. Brakowało wszystkiego. Ciotka nigdy nie wyszła za męża, po pierwszej wojnie nie pozostało wielu mężczyzn i dużo kobiet nie miało mężów, więc ona traktowała nas jak własną rodzinę i robiła dla nas różne rzeczy. Matkowała nam – tak to określała. Tak więc tego dnia ciotka szła do mieszkania moich rodziców; niosła chleb, który sama upiekła. Weszła po schodach jak zwykle – była winda, wyglądała jak żelazna klatka, widziałam, ale nie działała. Miała właśnie zapukać, gdy drzwi po drugiej stronie korytarza otworzyły się i mieszkająca tam kobieta chwyciła ciotkę za rękę i wciągnęła do siebie. „Niech pani tam nie wchodzi, nawet nie próbuje, powiedziała. Zabrali ich”. „Zabrali? Dokąd?”, zdziwiła się ciotka. Nie zapytała kto, o to nie musiała pytać. „Lepiej nie wiedzieć”, odparła kobieta. „Lepiej nie”. Ja też znajdowałam się w mieszkaniu sąsiadki, ponieważ matka zobaczyła, że przyjechali, widziała przez okno, obserwowała, jak idą ulicą, wchodzą w bramę, słyszała, jak idą po schodach. Domyśliła się, dokąd zmierzają, i wybiegła ze mną zawiniętą w szal służbowym wejściem na balkon od podwórza – balkony łączyły się z sobą – zastukała pięścią do kuchennych drzwi sąsiadki i kobieta wzięła mnie. To działo się tak szybko, że nie wiedziałam, co robi, prawdopodobnie gdyby miała czas do namysłu, nigdy nie zrobiłaby czegoś tak niebezpiecznego. Była zwyczajną kobietą, posłuszną i tak dalej, ale przypuszczam, że jak ktoś wpycha ci w rękę niemowlę, nie możesz tak po prostu wycofać się i pozwolić, żeby upadło na ziemię. Tylko ja ocalałam, innych zabrali. Miałam starszego brata i starszą siostrę też. Byłam sporo młodsza, byłam późnym dzieckiem. Mam ich zdjęcie; ciotka zabrała je z sobą. Patrz... – Zenia otwiera torebkę, wyjmuje z niej portfel i pokazuje zdjęcie. Kwadratowe, z szeroką białą ramką, postacie są małe i wyblakłe: rodzina, ojciec, matka, dwoje małych dzieci i jeszcze jedna starsza kobieta z boku. Ciotka, domyśla się Roz. Dzieci mają włosy blond.

Roz zaskakuje ich współczesny wygląd: kobiety mają spódnice do kolan, jak w późnych latach dwudziestych, trzydziestych?, eleganckie kapelusze, makijaż, prawdziwa moda retro z jakiegoś aktualnego magazynu mody. Jedyne ubrania

dzieci oraz ich fryzury są staromodne. Garnitur, krawat, krótkie włosy chłopca; wymyślna sukienka i loczki dziewczynki. Uśmiechają się trochę sztucznie, ale wtedy taka była moda. Są to uśmiechy odświętne. Okazja musiała być specjalna: wakacje, święto religijne, czyjeś urodziny.

– To było przed wojną – mówi Zenia. – Zanim zaczęło robić się źle. Ja nigdy nie należałam do tego świata. Urodziłam się po wybuchu wojny, byłam wojennym dzieckiem. W każdym razie zostało mi tylko to zdjęcie. Tylko to po nich pozostało. Ciotka szukała po wojnie i nic. – Zenia wkłada ostrożnie zdjęcie do portfela.

– A co z ciotką? – pyta Roz. – Dlaczego jej też nie zabrali?

– Nie była Żydówką – wyjaśnia Zenia. – Była siostrą mojego ojca. Mój ojciec też nie był Żydem, ale po Ustawach Norymberskich traktowano go jak Żyda, ponieważ ożenił się z Żydówką. Cholera, nawet moja matka nie była Żydówką! Nie w kategoriach religijnych. Była katoliczką, jeżeli chodzi o ścisłość. Jednakże dwoje z czworga jej dziadków było Żydami, więc sklasyfikowano ją jako *mischling*, pierwszy stopień. Mieszaniec. Wiedziałaś, że przyznawano im stopnie?

– Tak – mówi Roz. Więc Zenia jest mieszzańcem, tak jak ona sama!

– Niektórzy z tych *mischlings* przetrwali dłużej niż prawdziwi Żydzi – opowiada Zenia. – Moi rodzice, na przykład. Chyba wiedzieli, że w końcu do tego dojdzie. Uważali się za dobrych Niemców. Nie kontaktowali się ze społecznością żydowską, więc nawet nie słyszeli o krążących pogłoskach, a jeśli, to nie wierzyli w nie.

– A twoja ciotka? – pyta Roz. – Dlaczego ona z tego wyszła? Skoro nie była Żydówką, czy nie była bezpieczna? – Gdyby się nad tym zastanowić, to „bezpieczna” jest w tym kontekście niemądrym słowem.

– Z mojego powodu – odpowiada Zenia. – Prędzej czy później doszliby do tego, że rodzice mieli troje dzieci, a nie dwoje. Któryś z sąsiadów ciotki mógłby mnie usłyszeć albo zobaczyć i wtedy wydałby nas. Dziecko w domu niezamężnej kobiety, która do tej pory żadnego dziecka nie miała. Ludzie sporo zarobili na denuncjacji, jak wiesz. To sprawia, że czują moralną wyższość. Boże, jak ja nienawidzę tego przekonania o swojej prawości! Ludzi poklepujących się po plecach za morderstwo. Tak więc ciotka zaczęła szukać sposobu wydostania mnie i znalazła się w zupełnie innym świecie... w podziemiu, na czarnym rynku. Zawsze żyła na powierzchni, ale musiała wejść w ten świat, żeby mnie ochronić. W każdym miejscu na tym świecie tętni życie; trzeba tylko zrobić kilka kroków w bok i proszę, jest inny świat, tuż obok tego prawdziwego, który ludzie uważają za normalny. Pamiętasz lata

pięćdziesiąte, szukanie miejsc, gdzie robią skrobanki? Wystarczyły trzy telefony. Oczywiście pod warunkiem, że mogłaś zapłacić. Przekazywano cię jak po sznurku komuś, kto znał kogoś. Tak samo było wtedy w Niemczech z paszportami; należało jedynie uważać, kogo się prosi. Ciotka potrzebowała fałszywych dokumentów, że ja jestem jej córką i że jej mąż zginął we Francji. No i dostała je, ale nie wytrzymałyby dokładniejszych oględzin. Wystarczy spojrzeć na mnie! Na Aryjkę nie wyglądam. Brat i siostra mieli włosy blond, ojciec miał jasne, matka też. U mnie musiało pojawić się jakieś uwstecznienie. Ciotka wiedziała, że musi mnie jakoś stamtąd wydostać i to natychmiast. Gdyby ją złapano, zostałaby oskarżona o zdradę, ponieważ pomagała mi. Ależ zdrada! Chryste, miałam tylko sześć miesięcy!

Roz nie wie, co powiedzieć. „Biedactwo”, tak przeważnie kwituje niepowodzenia w pracy, osobisty kryzys albo romantyczną katastrofę, opowiedziane przez którąś z przyjaciółek, ale tutaj to nie bardzo pasuje.

– To okropne – mówi.

– Nie współczuj mi – odpowiada Zenia. – Zupełnie nie byłam wtedy tego świadoma. Nie wiedziałam, co się dzieje, więc to mnie nie bolało, chociaż na pewno zauważyłam, że coś się zmieniło, że matki już przy mnie nie ma. W każdym razie, moja ciotka skontaktowała się z twoim ojcem, a raczej z przyjaciółmi twego ojca, przez człowieka, który załatwił jej papiery – ten człowiek znał kogoś, kto znał z kolei kogoś innego; kiedy ją sprawdzili i zdarli trochę pieniędzy, przekazali ją dalej. Wszędzie czarny rynek działa w ten sposób. Spróbuj kupić narkotyki, jest dokładnie tak samo: sprawdzają cię i przekazują dalej. Na szczęście ciotka miała trochę pieniędzy, a jej rozpacz musiała być przekonująca. Jak powiedziałam, nigdy nie wyszła za mąż, więc ja stałam się dla niej wszystkim; ryzykowała dla mnie życie. Robiła to też dla swego brata. Nie wiedziała wtedy, że go zabili. Myślała, że wróci. Gdyby wrócił, a ona by zawiodła, co by mu powiedziała? Tak więc, twój ojciec wraz z kolegami wydostał ją poprzez Danię, a potem Szwecję. Powiedzieli jej, że to względnie łatwe. Nie miała obcego akcentu, wyglądała na zwyczajną Niemkę. Ciotka była dla mnie jak matka. Wychowała mnie, starała się jak mogła, ale nie była szczęśliwa. Wojna ją zniszczyła, zrujnowała. Straciła brata i jego rodzinę, a do tego doszło poczucie winy, że nie potrafiła temu w żaden sposób przeciwdziałać, że w jakimś sensie brała w tym udział. Dużo opowiadała o twoim ojcu... o tym, jakim był bohaterem. To przywracało jej wiarę. Przywykłam myśleć, że twój ojciec był moim ojcem i że pewnego dnia wróci po mnie i przeprowadzę się do jego domu. Nie wiedziałam nawet, gdzie mieszka.

Roz jest bliska łez. Pamięta ojca, starego drania; cieszy ją wiadomość, że jego podejrzane talenty służyły komuś, ponieważ nadal woli jego niż matkę; z radością przyjmuje pochlebną opinię o nim, szansę na dobre myślenie. Dwa kieliszki martini nie pomagają jej wziąć się w garść. Ona sama miała szczęście – troje dzieci, mąż, pieniądze, praca, dom. Jakże życie jest niesprawiedliwe! Gdzie był Bóg, kiedy to wszystko się działo w splugawionej Europie – niesprawiedliwość, brutalność, cierpienie? Na jakimś zebraniu, tam był. Nie odbierał telefonu. Wina wylewa się z jej oczu razem ze łzami. Chciałaby dać coś Zeni, jakąś drobnostkę, żeby wyrównać jej zaniedbanie przez Boga, ale co byłoby odpowiednie?

Nagle słyszy cichy głos, dochodzący z tyłu głowy, głos czysty jak woda z lodowca. To głos doświadczenia. To głos Tony. „Zenia kłamie”, mówi.

– Pamiętasz Tony? – wyrzuca z siebie Roz, nie potrafi się powstrzymać. – Tony Fremont z McClung Hall? – Jak może być taka głupia, taka „popieprzona”, żeby wątpić w historię Zeni, nawet we własnych myślach? Na taki temat nikt by nie kłamał. To by było zbyt podłe, zbyt cyniczne, zbyt świętokradzkie!

– Och, tak – śmieje się Zenia. – To było milion lat temu! Tony ze straszną kolekcją wojenną! Zdaje się, że napisała parę książek. Zawsze była z niej bystra mała.

„Bystra mała”. W porównaniu z tym określeniem Roz czuje się wielka i tępa. Brnie jednak naprzód.

– Tony opowiadała mi, że jesteś Rosjanką z carskiej Rosji – mówi. – Że byłaś nastoletnią prostytutką w Paryżu. Charis mówiła, że twoja matka była Cyganką, i że została ukamienowana przez rumuńskich wieśniaków.

– Charis? – pyta Zenia.

– Kiedyś miała na imię Karen – tłumaczy Roz. – Mieszkałaś u niej na Wyspie. Powiedziałaś jej, że masz raka – dodaje, napierając nieublaganie.

Zenia spogląda w okno, popija łyk martini.

– Tak, Charis – powtarza. – Chyba mówiłam straszne... Nie zawsze mówiłam prawdę, jak byłam młodsza. Chyba byłam niezrównoważona emocjonalnie. Po śmierci ciotki było mi ciężko. Ona nic nie miała, żadnych pieniędzy; mieszkaliśmy nad sklepami. Kiedy ona odeszła, nie miałam nikogo, kto by mi pomógł. To było w Waterloo, w latach pięćdziesiątych. Ani czasy, ani miejsce nie było dobre dla niedostosowanych sierot. Część tego, co powiedziałam Tony, było prawdą, rzeczywiście pracowałam jako dziwka. Nie chciałam być Żydówką, nie chciałam, aby cokolwiek mnie z tym wszystkim wiązało. Chyba uciekałam od przeszłości. Tamto było wtedy, to jest teraz.

Nawet dałam sobie zrobić nos, jak wyjechałam do Anglii i dostałam pracę w czasopiśmie, stać mnie było na to. Zdaje się, że wstydziłam się. Kiedy tobie przytrafiają się takie rzeczy, czujesz się bardziej zawstydzona, niż gdybyś robiła je sama innym ludziom. Myślisz, że może na nie zasługiwałaś albo że powinnaś być silniejsza... powinnaś obronić się czy coś w tym rodzaju. Czujesz się... pobita. Postanowiłam więc wymyślić dla siebie inną przeszłość... lepiej było być Rosjanką. Zaprzeczenie, tak można by to określić. Kiedyś żyłam z Rosjaninem, jak miałam szesnaście lat, więc coś o nich wiedziałam. Przy Karen – Charis – musiałam mieć jakieś załamanie nerwowe. Potrzebowałam matki; mój psychoanalityk mówi, że to dlatego, iż odebrano mi moją własną matkę. Nie powinnam była mówić o raku, bo go nie miałam, ale byłam chora w inny sposób. Karen działała dla mnie cuda. To nie było dobre... to było okropne opowiadać te wszystkie historie. Winna jestem im obu przeprosiny. Jednakże chyba nie umiałabym powiedzieć im prawdy, tego, co naprawdę mi się przytrafiło. Nie zrozumiałyby.

Zenia zatapia w Roz przeciągłe spojrzenie ciemnych oczu. Roz jest poruszona. Ona, Roz – właśnie ona – została wybrana, żeby zrozumieć, i rozumie.

– Po wyjeździe z Kanady – kontynuuje Zenia – było jeszcze gorzej. Miałam wspaniałe pomysły, ale nikt ich ze mną nie dzielił. Mój wygląd w tym nie pomagał, rozumiesz? Mężczyźni nie traktują cię jak człowieka, oni widzą jedynie ciało i dlatego ty też widzisz tylko to. Traktujesz ciało jak narzędzie, jak instrument. Boże, ależ jestem zmęczona mężczyznami! Tak łatwo ich rozbawić. Żeby zwrócić ich uwagę, wystarczy się rozebrać. Po pewnym czasie potrzeba ci większych wyzwania, rozumiesz? Przez jakiś rok pracowałam jako striptizerka – wtedy dałam sobie zrobić piersi, zapłacił za nie mężczyzna, z którym mieszkałam – i nabrałam pewnych złych nawyków. Wpierw kokaina, potem heroina. Aż dziw, że jeszcze żyję. Może chciałam umrzeć ze względu na rodzinę. Ktoś by pomyślał, że skoro ich nie znałam, to nie powinno boleć. Ale to tak, jakby się urodzić bez nogi. Jest straszliwa pustka. Minęło sporo czasu, ale w końcu doszłam z sobą do ładu. Pracowałam nad tym. Przez lata chodziłam na terapię. Było ciężko, ale teraz wiem, kim jestem.

Roz jest pod wrażeniem. Zenia nie uchylila się, nie wykręciła, nie umknęła. Przyznała się, wyznała prawdę, wypowiedziała się. To dowodzi – czego? Prawdomówności? Dobrej woli? Dojrzałości? Cechy godnej podziwu. Zakonnice wysoko ceniły spowiedź, tak bardzo, że Roz kiedyś przyznała się do podłożenia w szatni psiej kupy, mimo że tego nie zrobiła. Po spowiedzi nie

odpuszczały jednak kary – mimo wszystko dostała lanie, ale lepiej o niej myślały, przynajmniej tak mówiły.

Poza tym Zenia bywała w świecie. W wielkim świecie, większym niż Toronto; w głębokim świecie, głębszym niż ta mała sadzawka, w której Roz jest jak wielka żaba pod ochroną. Zenia sprawia, że Roz czuje się nie tyle bezpieczna, co swobodna. Jej bitwy nie miały takiego znaczenia.

– Dobrze ci poszło – mówi Roz. – To znaczy... to dopiero historia! Wspaniały materiał! – Myśli o magazynie, ponieważ takie właśnie historie lubią zamieszczać: inspirujące, zakończone powodzeniem. Historie o pokonywaniu przeszkód i strachu, o przeciwstawianiu się sobie i stawaniu się kimś, tak jak w tej historii sprzed dwóch miesięcy o kobiecie, która całkowicie zwalczyła bulimię. Roz z trudem opiera się opowieściom o zbłąkanej owieczce, która sprawia w niebie największą radość. Ciotka też byłaby materiałem na artykuł: „WiseWomanWorld” docenia prawdziwe bohaterki, zwyczajne kobiety, które były niezwykle odważne.

Ku jej zdziwieniu, a także przerażeniu, Zenia płacze. Wielkie łzy spływają jej z oczu, otwartych i utkwionych w Roz.

– Tak – odzywa się Zenia. – To chyba sprowadza się tylko do tego. Do opowieści. To tylko materiał, coś, co można wykorzystać.

Roz, na miłość boską, masz niewyparzoną głębę, myśli Roz. Miss Taktu 1983.

– Kochana, nie to miałam na myśli.

– Nie – przyznaje Zenia. – Wiem. Nikt nie ma. Jestem rozbita. Tak długo byłam na krawędzi; musiałam sama sobie radzić. Z mężczyznami nie mogę o tym rozmawiać, oni chcą ode mnie jednego, już dłużej nie stać mnie na takie kompromisy. Ty masz to wszystko, masz dom, męża, dzieci. Jesteście rodziną, masz grunt pod stopami. Ja nigdy tego nie zaznałam, nigdy do tego nie pasowałam. Żyłam na walizkach przez całe życie; nawet teraz żyję z dnia na dzień, taki jest los wolnego dziennikarza. Kończy mi się energia, rozumiesz? Nie mam żadnego oparcia, nic stałego!

Jakże błędnie Roz oceniła Zenię! Teraz widzi ją w nowym świetle. To światło jest posępne, jak w samotny deszczowy dzień; pośrodku walczy Zenia osaczona przez mężczyzn, targana wichrami przeznaczenia. Nie jest tym, kim się wydaje, piękną kobietą, która odniosła sukces. Jest samotnym, zbłąkanym rozbitkiem; słabnie w drodze, upada. Roz otwiera serce, rozpościera skrzydła, tekturowe, anielskie skrzydła, niewidzialne skrzydła gołębiczy, ciepłe skrzydła dające schronienie, i otacza nimi Zenię.

– Nie martw się – mówi uspokajającym głosem. – Wymyślimy coś.

Mitch mija Zenię w korytarzu, kiedy ona wychodzi, a on wraca. Zenia kiwa jedynie głową najkrócej i najchłodniej, jak może.

– Twoja stara przyjaciółka jest najwyraźniej wrogo usposobiona – mówi Mitch do Roz.

– Nie sądzę – odpowiada Roz. – Jest po prostu zmęczona.

Nie chce dzielić się z Mitchem przerażającą opowieścią o życiu Zeni. Ta historia została opowiedziana tylko dla niej, wyłącznie dla jej uszu, przez jedną emigrantkę drugiej emigrantce. Tylko Roz może ją zrozumieć. Nie Mitch, bo co on wie o byciu emigrantem?

– Zmęczona? – pyta Mitch. – Nie wyglądała na zbyt zmęczoną.

– Zmęczona mężczyznami, którzy się na nią rzucają – wyjaśnia Roz.

– Nie wierzę – mówi Mitch. – W każdym razie ja się na nią nie rzucałem, ale założę się, że nie miałyby nic przeciwko temu. To awanturnica, wygląda na taką.

– Poetka, pieśniarka, awanturnica – mówi lekko Roz. Mitch jest autorytetem, potrafi powiedzieć, co myśli kobieta, po kształcie jej pupy. – Dlaczego nie nazwać jej po prostu awanturnikiem? – droczy się Roz, wie, że feministyczne gry słowne doprowadzają go do wściekłości. Jednocześnie sama uważa się za awanturnika, przynajmniej w pewnych dziedzinach życia – finansowych. Kiedyś używano określenia „dzentelmen awanturnik”.

– To nie to samo – odpowiada Mitch. – Awanturnicy żyją z tego, co im rozum powie.

– A awanturnice? – pyta Roz.

– Z tego, co cycki – odpowiada Mitch.

– Punkt – śmieje się Roz. Zwiódł ją.

A jednak on jest w błędzie, myśli Roz, wspominając. W przypadku Zeni pracuje także rozum.

Taki był początek końca jej małżeństwa, chociaż wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy. A może to był koniec końca? Kto wie? Ten koniec musiał długo nadchodzić. Te rzeczy nie dzieją się nagle.

Od Mitcha nie mogłaby się jednak tego dowiedzieć. Kochał się z nią tamtej

nocy z takim zapalem, jak nigdy dotąd. Nie z rozpasaną zmysłowością, nie z pańskim przetaczaniem się jak mors: to był atak i pochwylenie. Nie chciał, aby cokolwiek dawała, to on chciał brać. Roz spostrzegła, że gryzie ją, i była z tego raczej zadowolona. Nie wiedziała, że nadal jest tak pociągająca.

Tydzień później umawia się na wczesną kolację w „Scaramouche” z Zenią i obecną redaktorką naczelną „WiseWomanWorld”, która ma na imię BethAnne. Pochłaniają sałatki radicchio, egzotyczne, podsmażane warzywa, wymyślne makarony i przechodzą do omawiania pracy Zeni i zbioru jej artykułów. Najpierw mówią o artykułach napisanych dla awangardowego magazynu mody w Anglii. Tę pracę Zenia rzuciła, ponieważ czuła się zbyt związana, a poza tym chciała pisać o sprawach bardziej dotyczących polityki. Libia, Mozambik, Bejrut, obozy palestyńskie, Berlin, Irlandia Północna, Kolumbia, Bangladesz, Salwador – Zenia była w większości punktów zapalnych, jakie pamięta Roz, i w kilku, których nie pamięta. Zenia częściej słuchaczki incydentami, kamieniami i kulami, które ze świstem przelatywały jej nad głową, aparatami fotograficznymi roztrzaskanymi przez policję, ucieczkami w jeepach. Wymienia nazwy hoteli.

Wiele artykułów ukazało się pod innymi nazwiskami, męskimi, ponieważ, jak mówi Zenia, materiał był kontrowersyjny, nawet zapalny, a ona nie chciała w środku nocy otworzyć drzwi jakiemuś wściekłemu Arabowi, irlandzkiemu płatnemu mordercy, Izraelczykowi albo królowi narkotyków.

– Nie chciałam, aby do tego doszło – mówi Zenia. – To główny powód, dla którego wróciłam do Kanady. Ten kraj to dla mnie bezpieczna przystań, rozumiecie? Tam wszystko robiło się dla mnie zbyt interesujące. Kanada jest taka... łagodna.

Roz i BethAnne wymieniają spojrzenia. Obie są do głębi przejęte. Dziennikarz polityczny przybywający z ognisk zapalnych na świecie wpada im prosto w ręce, do tego kobieta! Oczywiście, muszą się nią zaopiekować. Czemu służą bezpieczne przystanie? Nie uchodzi uwagi Roz, że przeciwieństwem tego, co „interesujące” nie jest „łagodne”, ale „nudne”. Jednakże w dzisiejszych czasach „nudne” też ma coś do zaferowania. Może powinni eksportować trochę tego, co nudne. Lepsze to, niż dać sobie odstrzelić głowę.

– Bardzo byśmy chciały, abyś napisała coś dla nas – proponuje BethAnne.

– Prawdę mówiąc – odpowiada Zenia – jestem teraz pusta, jeżeli chodzi o pisanie, ale mam lepszy pomysł. – Jej lepszy pomysł to pomoc w dziale reklamy. – Przejrzałam magazyn i zauważyłam, że nie macie zbyt wielu reklam

– mówi. – Musicie tracić pieniądze, dużo pieniędzy.

– Absolutnie – zgadza się Roz, która wie dokładnie, ile pieniędzy tracą, bo to są jej pieniądze.

– Myślę, że mogłabym podwoić liczbę ogłoszeń, no, powiedzmy w dwa miesiące – oznajmia Zenia. – Mam doświadczenie.

Dotrzymuje słowa. Roz nie jest do końca pewna, jak to się stało, ale Zenia wkrótce uczestniczy w zebraniach redakcji, a kiedy BethAnne odchodzi, by urodzić następne dziecko, i pozostawia puste miejsce, stanowisko zostaje zaproponowane Zeni, bo kto inny – bądźmy szczerzy – jest tak kompetentny? Być może to sama Roz doprowadziła do tego, bardzo prawdopodobne. Zachowała się wtedy jak naiwniak, który sam strzela sobie w nogę; część jej planu uratowania biednej Zeni. Woli nie pamiętać szczegółów.

Zenia pozuje do zdjęcia, uroczy portret w sukience z dekoltem na stronie redaktora naczelnego. Kobiety obliczają, ile ona ma lat, i zastanawiają się, jak udaje jej się utrzymać tak dobry wygląd. Krew krąży szybciej.

Teraz Zenia często chodzi na przyjęcia. Dlaczego nie? Jest swobodna, ma wpływy, ma – jak mawiają mężczyźni w radzie – jaja. Ostra jak brzytwa, bystra, a do tego ta figura, zawsze muszą o tym wspomnieć, przez co Roz wraca do domu wściekła na swoją cerę porowatą jak skórka grejpfruta, a potem wyrzuca sobie, że robi takie okropne porównania.

Niektóre przyjęcia, na które chodzi Zenia, wydawane są przez Roz. Roz nadzoruje serwowanie zestawów kolacyjnych i przekąsek z faszerowanych pieczarek, wita przyjaciółki uściskami i pocałunkami w powietrzu i obserwuje Zenię, jak rozmawia z zebranymi. Robi to poważnie, dokładnie. Najwyraźniej wie instynktownie, ile czasu każda z osób jest warta. Część swych drogocennych chwil spędza z Roz. Ściąga ją na stronę i szepcze, Roz też w odpowiedzi odszeptuje. Gdyby ktoś je obserwował, pomyślałby, że konspirują.

– Jesteś w tym naprawdę dobra – mówi Roz do Zeni. – Ja zawsze kończę, wysłuchując godzinami jakichś opowiadań o pechu, a ty nigdy nie dajesz się wciągnąć w pułapkę.

– Wszystkie lisy podkopują się pod tylnymi drzwiami. Lubię wiedzieć, gdzie jest wyjście – odpowiada Zenia z uśmiechem. Roz przypomina sobie, jak Zenia ledwo uniknęła śmierci, i robi się jej Zeni żal. Zenia zawsze przychodzi sama i wychodzi sama. To smutne.

Mitch także rozmawia z gośćmi. Co dziwne, nie zwraca uwagi na tych, z którymi rozmawia akurat Zenia. Normalnie flirtowałby z kimkolwiek, nawet z

chartem afgańskim, gdyby nie było innych ofert. Lubi, kiedy jego urok odbija się w oczach kobiet i wraca do niego; przechodzi od jednej do drugiej, jakby one były krzakami, a on psem. Jednakże Zenię omija, a kiedy ona patrzy, zwraca dodatkowo uwagę na Roz. Dotyka jej, kiedy to tylko możliwe. „Podpierał się”, myśli Roz później.

Roz staje się coraz bardziej niespokojna. Sprawy przybrały taki obrót, że jest w tym coś niewłaściwego, ale co to może być? Postanowiła pomóc Zeni i, jak widać, pomogła; Zenia jest z całą pewnością wdzięczna i sprawuje się dobrze. Raz na tydzień jedzą razem lunch, aby wszystko omówić; Zenia może wtedy poprosić Roz o radę, ponieważ Roz zajmuje się magazynem o wiele dłużej niż Zenia. Roz odgania swoją reakcję, uznając ją za zwyczajną zawiść. Zwykle, gdy coś ją dręczyło, coś nieokreślonego, rozmawiała z Tony albo Charis. Teraz nie może tego zrobić, bo przyjaźni się z Zenią, a one mogłyby tego nie zrozumieć. Mogłyby nie zrozumieć, jak Roz może przyjaźnić się z kimś, kto – taka jest prawda – jest ich wrogiem. Mogłyby potraktować to jako zdradę.

– Dużo nad tym myślałam – mówi Zenia na następnym zebraniu zarządu. – Nadal tracimy pieniądze, pomimo nowych reklam. Wydaje się, że nie potrafimy przyciągnąć tych, co mają pieniądze – firm perfumeryjnych, kosmetycznych, domów mody. Mówiąc szczerze, uważam, że powinniśmy zmienić nazwę. Idea, na jakiej się opieramy, jest z lat siedemdziesiątych. Teraz mamy lata osiemdziesiąte... dawno już porzuciliśmy tamte stare założenia.

– Zmienić nazwę? – pyta Roz, czule wspominając pierwszy zespół. Co się stało z tymi kobietami? Dokąd odeszły? Dlaczego straciła z nimi kontakt? Skąd wzięły się te wszystkie dyrektorskie garnitury?

– Tak – potwierdza Zenia. – Dokonałam małej analizy. Lepiej poszłoby nam z „WomanWorld” albo po prostu „Woman”.

Dla Roz jest oczywiste, co zostaje odrzucone. Mądrość, po pierwsze, a także świat. Ale jak ma przeciwstawić się „Woman”, nie sugerując, że w byciu kobietą jest coś złego?

Tak więc Zenia zmienia nazwę i wkrótce sam magazyn także się zmienia. Zmienia się tak bardzo, że Roz z trudem go rozpoznaje. Zniknęły sukcesy kobiet dojrzałych, opowiadania o walce z seksizmem i propagowaniem nagiego ciała. Zniknęły drastyczne artykuły o zdrowiu. Teraz są kilkustronicowe rozkładówki o modzie wiosennej, nowych dietach, pielęgnowaniu włosów i kremach przeciw zmarszczkom, quizy o mężczyźnie w twoim życiu i o tym, czy dobrze sobie radzisz w swoich związkach. Czy te sprawy są nieważne? Roz

byłaby daleka od powiedzenia „nie”, ale z pewnością czegoś tu brakuje.

Już nie spotyka się z Zenią na lunchu raz w tygodniu; Zenia jest teraz zbyt zajęta. Pracuje jak mrówka, a ma jeszcze wiele narzędzi tortur w pogotowiu. Na następnym zebraniu zarządu Roz napiera na nią w związku ze zmianą zawartości.

– Nie taki był pierwotny zamysł – mówi.

– Większość kobiet nie chce czytać o sukcesach innych – tłumaczy Zenia, łagodnie się uśmiechając. – Odczuwają wtedy bardziej własne niepowodzenia.

Roz zaczyna się denerwować – to z pewnością atak na nią – ale panuje nad sobą.

– W takim razie, o czym chcą czytać?

– Nie mówię o intelektualistkach – wyjaśnia Zenia. – Mówię o przeciętnej kobiecie, przeciętnej kobiecie kupującej czasopismo. Według demografów chcą czytać o tym, jak wyglądać. Och, no i oczywiście o seksie. Seks z właściwymi akcesoriami.

– Jakie są właściwe akcesoria? – pyta grzecznie Roz. Myśli, że się udławi.

– Mężczyźni – odpowiada Zenia. Mężczyźni z zarządu śmieją się, nie wyłączając Mitcha. Tyle, jeśli chodzi o Roz. Wyobraża sobie Zenię w czarnych, koronkowych rękawiczkach, jak zdmuchuje dym ze swego sześciostrzałowego rewolweru i wsuwa go z powrotem do futerału.

Roz posiada większość udziałów. Mogłaby pociągnąć za sznurki, dokonać przetasowań i wyrzucić Zenię. Jednakże nie może tego zrobić, nie zasługując sobie na miano mściwej suki.

Prawda jest taka, że teraz zarabiają pieniądze, nareszcie, a pieniądze mówią same za siebie.

Pewnego dnia Mitch odchodzi. Po prostu odchodzi, znika, jakby ktoś strzelił palcami, w okamgnieniu. Żadnych wstępów, żadnych sugestii, żadnych podrzuczonych listów, nic z tego, co zwykle. Jednakże spoglądając wstecz, Roz uświadamia sobie, że musiał odejść już jakiś czas temu.

Dokąd odszedł? Odszedł, żeby żyć z Zenią. Całe zaloty, cały romans odbył się pod nosem Roz, a ona nic nie zauważyła. To musiało trwać od miesięcy.

Jednak nie, to nie tak. Mitch mówi jej – wydaje się chcieć jej powiedzieć – że to wszystko stało się nagle, niespodziewanie dla niego. Pewnego wieczoru Zenia przyszła do jego biura po pracy, aby skonsultować jakieś finanse i wtedy...

– Nie chcę tego słuchać – mówi Roz, której znane są przyjemności opowiadania. Nie zamierza dać mu satysfakcji.

- Chcę tylko, żebyś zrozumiała – prosi Mitch.
- Dlaczego? – pyta Roz. – Dlaczego to takie ważne? Kogo to, do cholery, obchodzi, czy ja rozumiem czy nie?
- Mnie – odpowiada Mitch. – Bo ciągle ciebie kocham. Kocham was obie. To jest dla mnie naprawdę trudne.
- Wypchaj się – mówi Roz.

Mitch przyszedł do domu pod nieobecność Roz. Przyszedł ukradkiem, ponieważ nie mógł spojrzeć jej w twarz. Przyszedł i odszedł, bezgłośnie jak złodziej, zabrał rzeczy: garnitury z szafy z lustrem w sypialni, stroje żeglarskie, najlepsze butelki wina, obrazy. Roz wróci z pracy i zastanie tę pustkę, te przejmujące, bolące przestrzenie, które kiedyś wypełniały rzeczy Mitcha. Coś jednak zostawił: płaszcz, kurtkę puchową, parę książek, stare buty, pudła z tym i owym w piwnicy. Co to miało oznaczać? Że ma dwa umysły? Że jeszcze jedną nogą tkwi w tym domu? Roz nieomal chciała, żeby zabrał wszystko od razu, wymiół do czysta. Z drugiej strony, tam gdzie były buty, była nadzieja. Nadzieja była najgorsza. Czy mogła żyć własnym życiem dopóki miała nadzieję? Do tego właśnie nieustannie namawiano kobiety w podobnej sytuacji.

Mitch nie zabrał niczego, co nie było jego własnością. Nie wziął niczego, co Roz kupiła do domu, aby wspólnie z tego korzystali. Roz zdziwiło, w jak małym stopniu uczestniczył w tych zakupach, jak rzadko pomagał jej w dokonaniu wyboru albo – spojrzmy na to z innej strony – jak mały był jego udział. Tylko... jak on mógł jej pomóc? Ona zawsze go ubiegała; widziała potrzebę albo miała pragnienie i spełniała je natychmiast machnięciem magicznej książeczki czekowej. Może z czasem miał tego dosyć, jej hojności, szczodrości, stosów pereł, jej wylewności. Proście, a będzie wam dane. Cholera, Mitch nawet nie prosił! Mógł tylko leżeć na trawniku z otwartymi ustami, podczas gdy Roz wspinała się na drzewo i strząsała złote jabłka.

Może na tym polegał chwyt Zeni. Może zaprezentowała się jako wolne miejsce, głód, pusta miska żebracza. Może przyjęła postawę na klęczkach, z rękami wyciągniętymi po jałmużnę. Może Mitch szukał okazji, by sypanąć pieniędzmi, okazji, której Roz nigdy mu nie stwarzała. Może zmęczyło go branie, pobłażanie mu, bycie ratowanym; może sam chciał spróbować dawać i ratować. Od pięknej kobiety na kolanach jeszcze lepsza jest wdzięczna i piękna kobieta na kolanach. Ale czy Roz nie była wystarczająco wdzięczna?

Widocznie nie.

Roz upada nisko. Poddaje się dręczącej ją żądzy brudu i wynajmuje

prywatnego detektywa, kobietę imieniem Harriet; Harriet jest Węgierką, dowiedziała się o niej dawno temu od wujka Joe, który miał jakieś powiązania z Węgrami.

- Chcę tylko wiedzieć, o co im chodzi – mówi do Harriet.
- To znaczy? – pyta Harriet.
- Gdzie mieszkają, co robią – wyjaśnia Roz. – Czy ona jest prawdziwa.
- Prawdziwa? – dziwi się Harriet.
- Skąd pochodzi – mówi Roz.

Harriet dowiaduje się dosyć dużo. Wystarczy, by wprawić Roz w jeszcze większe przygnębienie. Zenia i Mitch mieszkają w apartamencie z widokiem na przystań, gdzie Mitch cumuje łódź. Mogą wypływać na krótkie rejsy, domyśla się Roz, chociaż nie wyobraża sobie, jak Zenia temu podoła – przemoczona, z połamanymi paznokciami. Chociaż to i tak nie tyle, ile wytrzymała Roz. Co jeszcze robią? Wychodzą do restauracji, zostają w domu. Zenia robi zakupy. Co jeszcze?

Odpowiedź na pytanie, czy Zenia jest prawdziwa czy nie, jest trudniejsza. Wydaje się, że Zenia w ogóle się nie urodziła, przynajmniej nie pod tym imieniem; ale czy to można wiedzieć, skoro tak duża część Berlina poszła z dymem? Dochodzenie w Waterloo nic nie przynosi. Nie chodziła tam do szkoły, w każdym razie nie pod obecnym nazwiskiem. Czy rzeczywiście jest Żydówką? To pozostaje zagadką, mówi Harriet.

- A co ze zdjęciem? – pyta Roz. – Jej rodzina?
- Och, Roz – odpowiada Harriet. – Zdjęć można mieć na pęczki. Kto ci powiedział, że ci ludzie na zdjęciu to jej rodzina?
- Wiedziała o moim ojcu – mówi Roz. Nie chce rezygnować.
- Ja też – przekonuje Harriet. – Oj, Roz, wspominasz o tym w każdym wywiadzie, jakiego udzielasz. Cóż ona takiego o nim powiedziała, czego nie mogłaby wymyślić dwunastolatka z bujną wyobraźnią?
- Masz rację – wzdycha Roz. – Ale podała tyle szczegółów.
- Ona jest bardzo dobra – przyznaje Harriet.

Londyn jest bardziej owocny: Zenia rzeczywiście pracowała tam dla pewnego czasopisma; okazuje się, że napisała część artykułów, które podała jako swoje, ale na pewno nie wszystkie. Te o modzie – tak, te o polityce – nie. Artykuły podpisane męskimi nazwiskami faktycznie zostały napisane przez mężczyzn, chociaż trzech z pięciu autorów nie żyje. Na krótko pojawiła się w kronice towarzyskiej, jej nazwisko złączono z ministrem; użyto określenia „dobra przyjaciółka”, a nawet sugerowano małżeństwo, do którego nie doszło. Potem wybuchł skandal, kiedy wyszło na jaw, że Zenia jednocześnie widywała

się z sowieckim attaché kulturalnym. „Widywała się” to eufemizm. Posypała się lawina nazwisk polityków i nastąpiło typowe dla angielskich brukowców polowanie na lisa i pranie brudów. Po tym incydencie Zenia zniknęła.

- Czy naprawdę była w tych krajach? – pyta Roz.
- Ile pieniędzy chcesz wydać? – pyta Harriet.

To, że Roz wie o słabościach „fasady” Zeni, niczego jej nie ułatwia. Jest w martwym punkcie. Jeśli powie Mitchowi o tych wszystkich kłamstwach, zabrzmi to, jakby przemawiała przez nią zazdrość.

To jest zazdrość. Roz jest zazdrosna do tego stopnia, że nie potrafi normalnie myśleć. Jednej nocy płacze z wściekłości, następnej z żalu. Porusza się w czerwonych oparach złości, w szarej mgłę smutku; nienawidzi siebie za obie te rzeczy. Obwinia siebie o swój upór, chęć do walki, ale kto właściwie jest jej wrogiem? Nie może walczyć z Mitchem, ponieważ chce, aby wrócił. Może gdyby powstrzymała ogień na wystarczająco długo, wszystko samo by się wypaliło. Mitch ugasi się ze skwierczeniem jak grill na deszczu, wróci do domu, jak kiedyś, prosząc ją, aby wypłatała go z Zeni, prosząc o ratunek. Roz to zrobi, chociaż tym razem nie będzie to łatwe. Mitch coś pogwałcił, pewien niepisany kontrakt, pewną formę zaufania. Nigdy przedtem nie wyprowadzał się z domu. Tamte kobiety były dla niego grą, ale Zenia to poważna sprawa.

Jest jeszcze inny scenariusz: Zenia uwolni się od Mitcha. Wyrzuci go przez okno, jak to zrobiła już z wieloma. Mitch dostanie to, co mu się należało. Roz zostanie pomszczona.

Oficjalnie Roz pozostaje uśmiechnięta, uśmiecha się, pokazując wszystkie zęby. Bolać od tego mięśnie twarzy. Pragnie zachować godność, śmiało stawić czoło. To nie jest jednak łatwe, kiedy jej pierś jest rozdarta i wszyscy mogą zobaczyć jej serce, które płonie i ocieka krwią.

Nie może spodziewać się współczucia od przyjaciółek, od tych, które namawiały ją, by rzuciła Mitcha. Teraz rozumie, co miały na myśli: „Rzuc go, zanim on rzuci ciebie!”

Ona jednak nie słuchała. Zamiast tego nadal grała rolę asystentki nożownika w błyszczącym kostiumie; stała nieruchomo w rozkroku, z rozłożonymi rękami, z uśmiechem, podczas gdy noże z dudnieniem wbijały się w ścianę, obrysowując jej ciało. „Drgnij, a jesteś martwa”. Nieuniknione było, że któregoś dnia, przypadkiem albo celowo, zostanie trafiona.

Dzwoni Tony, Charis też. Słyszy troskę w ich głosach: wiedzą coś, słyszały, ale ona je oddała, trzyma na odległość ręki. Jeden dotyk ich współczucia, a będzie skończona.

Mijają trzy miesiące. Roz wyprostowuje się, ściąga usta, zaciska szczęki tak mocno, że pewnie zetrze zęby do korzeni, farbuję włosy na kasztanowo, kupuje nowy kostium, włoski, skórzany, w ostrym odcieniu cynobru. Ma kilka przygód z mężczyznami. Tarza się z nimi kapryśnie, na pół świadomie, jakby jej sypialnia była na podsłuchu; sama wie, że to gra z jej strony. Ma nadzieję, że wieści o jej lekkomyślnej niewierności dotrą do Mitcha i przyprawią go o spazmy, ale wszelkie spazmy odbywają się w zaciszu jego domu, jeżeli to gniazdo żmii, w którym mieszka, można tak nazwać. W najgorszym przypadku wcale nie dostaje spazmów. Może cieszy się, że jakiś nieszczęśnik wreszcie go od niej uwolni.

Dzwoni Harriet: myśli, że może Roz chciałaby wiedzieć, że Zenia widuje się z innym mężczyzną, wieczorami, kiedy nie ma Mitcha.

– Z jakim innym mężczyzną? – pyta Roz. Adrenalina pulsuje jej w głowie.

– Powiedzmy, że nosi czarną skózaną kurtkę i jeździ harleyem, był dwukrotnie aresztowany, lecz bez wyroku. Brak świadków gotowych zeznawać.

– Aresztowany za co? – pyta Roz.

– Handel kokainą.

Roz prosi o pisemny raport, wrzuca do koperty i anonimowo wysyła do Mitcha, czeka; w pewien poniedziałek, tuż przed przerwą obiadową, dzwoni do niej Harriet.

– Poleciała samolotem – składa sprawozdanie Harriet. – Trzy wielkie walizy.

– Dokąd? – pyta Roz. Czuje dreszcze na całym ciele. – Czy Mitch był z nią?

– Nie – odpowiada Harriet. – Do Londynu.

– Może spotka się z nią tam później – sugeruje Roz. No, no, myśli.

– Nie sędzę – mówi Harriet – Ona nie wyglądała na to.

– A jak wyglądała? – pyta Roz.

– Czarne okulary – relacjonuje Harriet. – Szal na szyi. Założę się, że miała podbite oko i że próbował ją udusić. On albo ktoś inny. Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, powiedziałabym, że ucieka.

– On pojedzie za nią – mówi Roz, która nie chce wzbudzać nadziei. – Jest opętany.

Kiedy tego wieczoru Roz wchodzi do swojego domu, do swojego salonu z fiołkowo-różowymi dywanami z subtelnymi zielonymi akcentami – powrót lat czterdziestych z elementami postmodernistycznymi – Mitch siedzi w swoim

ulubionym fotelu, jakby nigdy się z niego nie ruszał.

Przynajmniej to, siedzi w ulubionym fotelu, ale co do ruszania się, to nie. Był daleko. Gdzieś na jakiejś małej, odległej planecie w obcej galaktyce. Wygląda, jakby unosił się gdzieś w kosmosie, gdzie jest zimno i pusto, gdzie są dziwne stwory z mackami, wygląda, jakby ledwo udało mu się dotrzeć na Ziemię. Drętwe spojrzenie, jakby dostał w głowę obuchem. Pobity, popchnięty twarzą na mur, wciśnięty do bagażnika, rzucony nago na kamienną drogę – nawet nie widział, kto to zrobił.

W Roz budzi się radość, ale tłumi ją.

– Mitch – odzywa się Roz łagodnym głosem. – Kochany, co się stało?

– Odeszła – mówi Mitch.

– Kto? – pyta Roz, bo chociaż nie będzie się domagała mięsa, nie w tych okolicznościach, to pragnie odrobiny krwi, jednej, dwóch kropli, gdyż jest spragniona.

– Wiesz kto – odpowiada Mitch zdławionym głosem. Czy to smutek czy wściekłość? Roz nie wie.

– Zrobię ci drinka – proponuje. Nalewa jemu i sobie i siada naprzeciw Mitcha w takim samym fotelu; to ich zwyczajowe pozycje w czasie rozmów w stylu „wyduś to z siebie”. On wyjaśnia, ją boli; on udaje, że żałuje, ona udaje, że mu wierzy. Patrzą na siebie, dwoje szulerów, dwoje pokerzystów.

– Dokąd pojechała? – zaczyna rozmowę Roz, chociaż zna odpowiedź, ale chce wiedzieć, czy i on też. Jeżeli nie wie, ona mu nie powie. Sam może sobie wynająć detektywa.

– Zabrała ubrania – mówi Mitch, może jęczy. Kładzie dłoń na głowie, jakby go bolała, a więc nie wie.

Roz nie wie, co ma zrobić. Współczuć własnemu mężowi, ponieważ kobieta, którą kocha, kocha zamiast niej, dała drapaką? Pocieszać go? Całować? Tak, właśnie tak, dobrze. O mało co tego nie robi – Mitch wygląda na rozbitego – ale wycofuje się. Niech czeka.

Mitch spogląda na nią. Roz zagryza język. Wreszcie Mitch przerywa ciszę.

– Jest coś jeszcze.

Zenia, jak się okazało, sfałszowała parę czeków na bieżącym koncie „Woman”. Uciekła ze wszystkim, co można było wyciągnąć bez pokrycia. Ile? Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, mieć albo nie mieć, ale w czekach, każdy po tysiąc dolarów. Realizowała je w różnych bankach. Zna system.

Roz oblicza: stać ją na to, zniknięcie Zeni za tę cenę jest tanie.

– Czym nazwiskiem się podpisywała? – pyta. Wie, kto jest odpowiedzialny za takie małe czeki – Zenia osobiście i ktokolwiek z zarządu.

– Moim – przyznaje Mitch.

Cóż jest kryształowo czyste? Zenia to zimna i wyrachowana suka. Nigdy nie kochała Mitcha. Chciała jedynie zaznać przyjemności zwycięstwa, odebrać go Roz. To jest jasne dla Roz, ale wydaje się, że nie dla Mitcha.

– Ona ma jakieś kłopoty – mówi Mitch. – Powiniennem jej poszukać. – On chyba myśli o handlarzu kokainą.

– Oj, oszczędź mi tego – prosi Roz. Nie przyjmuje tego do wiadomości.

– Nie proszę cię, żebyś cokolwiek robiła – mówi Mitch, jakby Roz była zbyt przebiegła, by podać pomocną dłoń. – Wiem, skąd się wzięła ta koperta.

– Nie pojedziesz za nią – oświadcza Roz. – To znaczy, czy ty nie rozumiesz, co się stało? Ona otarła się o ciebie kolcami. Zrobiła z ciebie wariata. Okłamała cię, oszukała i okradła, a następnie skreśliła. Uwierz mi, w jej życiu nie ma miejsca na wykorzystanych facetów.

Mitch rzuca jej intensywnie nienawistne spojrzenie. To zbyt wiele prawdy dla niego. Nie przywykł do tego, żeby go traktowano jak śmieć, żeby go zdradzano, ponieważ nigdy do tej pory to mu się nie zdarzyło. Może, myśli Roz, powinnam dać mu nauczkę.

– Nic nie rozumiesz – mówi Mitch. Roz jednak rozumie. Rozumie, że bez względu na to, co się działo przed tym wszystkim, nigdy nie było dla Mitcha nikogo ważniejszego od niej, a teraz jest.

Dzwoni Harriet: Mitch poleciał w środę w nocy do Londynu.

Serce Roz twardnieje. Przestaje płonąć i krwawić. Wyrwa w piersi zamyka się. Czuje tam niewidzialną dłoń, która naciska jak bandaż, zamyka jej ciało. To wszystko, myśli Roz. Nareszcie koniec. Kupuje pięć kryminałów, bierze tydzień wolnego, wyjeżdża na Florydę i leży na słońcu zapłakana.

Mitch wraca. Wraca z polowania. Wraca w połowie lutego. Najpierw jednak zadzwonił, zarezerwował sobie okienko w czasie jak każdy klient czy petent. Zjawia się w kozuchu na progu domu Roz, wygląda jak pusty worek. W rękę trzyma żaloszny bukiet kwiatów.

Roz ma ochotę go kopnąć – czy on sobie myśli, że ona jest taka łatwa? – ale jest zaszokowana jego wyglądem. Jest wymięty jak pijaczyna na ławce w parku, skóra poszarzała mu w podróży, oczy ma podkrążone. Stracił na wadze, ciało ma luźne, jego twarz zaczęła się zapadać jak starcowi bez sztucznej szczęki, wygląda jak dynia w kilka dni po Halloween, z wypaloną świeczką w środku. To zmiękczenie, to zapadnięcie się do środka ku wilgotnej pastce.

Roz czuje, że powinna stać w drzwiach, tworzyć barierę między zimnym powietrzem z dworu, które on przynosi, a ciepłem jej własnego domu, odgrodzić go, zatrzymać na zewnątrz. Trzeba ochronić dzieci przed tymi resztkami, tym słabym echem, tym cieniem ich prawdziwego ojca z oczami jak dziury w zlewie, z uśmiechem jak zmięta gazeta. Jednakże jest mu winna chociaż wysłuchanie. Bez słowa bierze od niego kwiaty – róże, czerwone, to drwina; nie łądzi się – on nie czuje namiętności, przynajmniej nie do niej. Wpuszcza go.

– Chcę wrócić – oświadcza Mitch, rozglądając się po wysokim, szerokim salonie, obszernym terytorium, które kiedyś z nią dzielił. Nie: „Pozwolisz mi wrócić?” Nie: „Chcę ciebie znowu”. To nie ma związku z Roz, nie wspomina o niej. Domaga się przestrzeni, rewiru. Jest w wielkim błędzie. Myśli, że ma prawa.

– Nie znalazłeś jej, co? – pyta Roz. Podaje mu drinka, którego dla niego naląła jak za dawnych czasów: czystą szkocką whisky, bez lodu. Kiedyś to lubił, dawno, dawno temu; teraz ona to pije, o wiele więcej niż powinna. Gest podania mu szklanki sprawia, że mięknie: to ich stary obyczaj. Tęsknota za nim chwyta ją za gardło. Walczy, by się nie udławić. Mitch ma nowy krawat, nie znany jej, w okropne pastelowe tulipany. Są na nim odciski palców Zeni, jak niewidzialne oparzenia.

– Nie – odpowiada Mitch. Nie patrzy na nią.

– A gdybyś znalazł – pyta Roz, twardeciejac i zapalając sobie papierosa (nie poprosi go o to, takie nadszkakujące gesty są już poza nimi, nie chce, żeby rzucił

się do niej z zapalniczką) – to co byś zrobił? Stuknąłbyś ją na kwaśne jabłko, napuścił na nią prawników czy może dał dużego buziaka?

Mitch patrzy w jej kierunku. Nie potrafi spojrzeć jej w oczy. Jest tak, jakby była częściowo niewidzialna, jak niewyraźna plama.

– Nie wiem – odpowiada.

– Przynajmniej szczerze – mówi Roz. – Cieszę się, że mnie nie okłamujesz. – Stara się mówić miękko, aby uniknąć gorzkiego tonu. On jej nie okłamuje, on jej nic nie robi. Jeżeli chodzi o niego, to ona nie istnieje; równie dobrze mogłoby jej tu nie być. Cokolwiek on robi, robi to dla siebie. Roz nigdy w życiu nie czuła się taka nie istniejąca. – A więc czego chcesz? – Może go o to spytać, może również dowiedzieć się, czego od niej żąda.

Mitch potrząsa głową – tego też nie wie. Nawet nie pije tego, co mu nałala, jakby niczego nie mógł od niej przyjąć. To znaczy, że ona nic mu nie może dać.

– Może jak się z tym uporasz, dopuścisz mnie do tego – mówi Roz.

Teraz wreszcie Mitch spogląda na nią. Bóg wie, kogo widzi. Anioła zemsty, silaczkę z nagim ramieniem dzierżącym miecz – kiedy tak na nią patrzy, to nie może być Roz, czuła i pierzasta. Jego oczy są przerażające, ponieważ są przerażone. Boi się jej nie na żarty, jej, kogoś lub czegoś, Roz nie może znieść tego widoku. Cokolwiek działo się przez te wszystkie lata, bawił się z nią w kotka i myszkę, ona wściekała się na niego i płakała, ale zawsze wiedziała, że on nie straci fasonu. Teraz jednak pojawiło się w nim pęknięcie, jak w szkle; odrobina ciepła i rozprysnie się na kawałki. Ale dlaczego Roz miałyby to sprzątać?

– Pozwól mi tylko tu zostać – prosi Mitch. – Pozwól zostać mi w tym domu. Mogłbym spać na dole. Nie będę ci przeszkadzać.

On prosi, ale Roz słyszy to z pewnego oddalenia. W tej chwili ten pomysł jest dla niej nie do zniesienia: Mitch na podłodze, w śpiworze, jak koleżanki bliźniaczek po prywatkach, skazane na tymczasowość, skazane na dojrzewanie. Mitch z zakazem wstępu do jej sypialni albo, co gorsza, nie chcący tam wejść. To właśnie to – odrzuca ją, odrzuca jej duże, chętne, niezgrabne, gorące i mocne ciało; już nie jest dla niego dość dobre, nawet jako puchowe łóżko, nawet jako odskocznia. Musi uważać ją za odrażającą.

Pozostało jej jednak trochę dumy, chociaż Bóg wie, jak udało jej się to utrzymać, więc jeżeli pozwoli mu wrócić, to na pełnoprawnych warunkach.

– Nie możesz traktować mnie jak poczekalni – mówi. – Już nie.

Mitch właśnie tak by postąpił, wprowadziłby się, ona wydawałaby pożywne obiady, karmiła go, przywracała mu siły, a on doszedłby do siebie i odpłynął długą łodzią, galeonem, by przemierzyć siedem mórz w poszukiwaniu Świętego

Graala, Heleny Trojańskiej, Zeni, ze szkłem powiększającym wypatrując jej pirackiej flagi. Roz widzi to w jego oczach, które wpatrują się w linię horyzontu, nie w nią. Nawet jeżeli on wróci – do jej sypialni, w malinową pościel, w jej ciało – to nie ona będzie leżeć pod nim, na nim, obok niego, już nigdy. Zenia wykradła mu coś, co zawsze głęboko skrywał przed wszystkimi kobietami, nawet przed Roz. Nazwijmy to duszą. Kiedy nie patrzył, wyjęła mu to z kieszonki na piersi tak łatwo, jak śpiącemu pijakowi, popatrzyła na to, ugryzła, żeby sprawdzić, czy prawdziwe i prychnęła pogardliwie, bo okazało się bardzo małe, a następnie wyrzuciła, ponieważ jest kobietą, która chce tego, czego nie ma, zdobywa to, a potem tym gardzi.

Jaka jest jej tajemnica? Jak ona to robi? Skąd bierze się jej niezaprzeczalna władza nad mężczyznami? W jaki sposób ich przechwytuje, myli im krok, podstawią nogę i z taką łatwością wywraca z lewej strony na prawą? To musi być coś łatwego i oczywistego. Mówi im, że są wyjątkowi, a później udowadnia, że nie. Otwiera swój płaszcz z tajnymi kieszeniami i pokazuje czarodziejskie sztuczki; wszystko to nic innego jak sztuczki. Tylko że w tym czasie oni nie chcą tego zrozumieć, myślą, że eliksir młodości jest prawdziwy, nawet jeżeli ona opróżnia butelkę i napełnia ją wodą z kranu na ich oczach. Oni chcą wierzyć.

– Nic z tego nie będzie – mówi Roz do Mitcha. Nie mści się. Taka jest prawda.

Mitch musi o tym wiedzieć, ponieważ nie prosi. Kurczy się w zmiętym ubraniu; szyja mu się skraca, jakby głowę obciążał mu ciężar nie do wytrzymania.

– Chyba nie – zgadza się.

– Nie zatrzymałeś mieszkania? – pyta Roz. – To nie tam mieszkasz?

– Nie mogłem tam pozostać – mówi Mitch z wyrzutem, jakby to było z jej strony bezdennie głupie, a nawet okrutne, zadawać takie pytanie. Czy ona nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo bolesne byłoby dla niego być tam, gdzie kiedyś żył z ukochaną, która uciekła? W miejscu, gdzie na każdym kroku przypominałby sobie najdroższą, której nie ma, w miejscu, gdzie był tak szczęśliwy?

Roz wie. Ona sama mieszka w takim miejscu, ale on, oczywiście, o tym nie pomyślał. Ci, którzy znoszą ból, nie mają czasu myśleć o bólu, który sami sprawiają.

Roz odprowadza go do holu, do płaszcza, przy którym nieomal się poddaje, gdyż to jest także jej płaszcz, pomagała mu go kupić, dzieliła życie, jakie w nim prowadził, wykwiłtna skóra, kożuch, jednorazowe opakowanie dla

zdradzieckiego wilka. Teraz już nie, nigdy więcej; teraz już nie ma zębów. „Biedna owieczka”, myśli Roz i mocno zaciska pięści, bo już więcej nie da się tak ogłupić.

Mitch odchodzi w mroźny lutowy zmierzch, odchodzi w nieznaną. Roz odprowadza go wzrokiem do samochodu; słania się lekko, chociaż nie tknął alkoholu. Chodniki są śliskie. Może on coś bierze, jakieś leki, prochy. Prawdopodobnie nie powinien prowadzić, chociaż zatrzymać go, to już nie jej sprawa. Mówi do siebie, że nie musi robić sobie wyrzutów co do niego. Może iść do hotelu. Przecież ma pieniądze.

Czerwone róże od niego zostawia na kredensie, jeszcze zawinięte w celofan. Niech zwiędną. Dolores znajdzie je jutro i w sercu zarzuci Roz niedbałość, bogaci ludzie nie wiedzą, ile co kosztuje, a potem je wyrzuci. Roz naleje sobie nowego drinka i zapali następnego papierosa, wyciągnie stare albumy ze zdjęciami, które pstrykała bez końca na przyjęciach urodzinowych w ogrodzie za domem, na wakacjach – w zimie na śniegu, w lecie na łodzi, aby udowodnić sobie, że rzeczywiście są rodziną; siada w kuchni i przegląda je. Zdjęcia Mitcha w nienaturalnych kolorach: ślub Mitcha i Roz, Mitch, Roz i Larry, Mitch, Roz, Larry i bliźniaczki. Szuka w jego twarzy jakiegoś znaku, cienia zbliżającej się katastrofy, która w końcu ich dopadła. Nic nie znajduje.

Niektóre kobiety w podobnej sytuacji biorą nożyczki i odcinają mężczyznom głowę, pozostawiając tylko tułów. Niektóre wycinają całe postacie, ale Roz tego nie robi z powodu dzieci. Nie chce, aby natknęły się na zdjęcie ojca bez głowy, nie chce ich niepokoić bardziej niż do tej pory. Zresztą, to i tak nie miałoby sensu, ponieważ Mitch nadal byłby na tych zdjęciach, zostałby jego zarys, puste miejsce, zajmowałby taką samą przestrzeń, podobnie jak w jej łóżku. Roz nigdy nie śpi na środku łóżka, ale po jednej jego stronie. Nie potrafi zmusić się do zajęcia całej przestrzeni.

Na lodówce znajduje walentynki, przyczepione magnesami w kształcie uśmiechniętych świnek i kotków; bliźniaczki przygotowały je dla niej w szkole. Z bliźniaczek zrobiły się ostatnio przylepy, pragną jej bliskości. Nie lubią, kiedy wychodzi w nocy. Nie czekały na Dzień Świętego Walentego, przyniosły swoje walentynki do domu i wręczyły natychmiast, jakby coś je nagliło. To są jedyne walentynki, jakie dostanie. Prawdopodobnie jedyne, jakie kiedykolwiek dostanie. Powinny jej wystarczyć. Czego ona chce z płonąącym sercem, z rozszarżonymi ustami i przyspieszonym oddechem, w jej wieku?

Zostaw to, Roz, mówi do siebie. Nie jesteś stara, żyjesz jeszcze.

To się tylko tak wydaje.

Mitch jest w mieście. Jest w pobliżu. Przychodzi zobaczyć się z dziećmi; Roz stara się wtedy wyjść z domu, ale przez cały czas przechodzą ją dreszcze na myśl o nim. Kiedy wraca do domu po jego odejściu, wyczuwa jego zapach – wodę po goleniu, angielskie wrzosa, czy to możliwe, żeby rozpylił je dookoła, by do niej dotrzeć? Trafia na niego w restauracjach, w klubie jachtowym. Przestaje bywać w tych miejscach. Odbiera telefon – on jest po drugiej stronie z którymś z dzieci. Cały świat jest pełen pułapek. Ona sama też.

Ich adwokaci rozmawiają. Pada sugestia separacji, ale Mitch robi uniki; nie chce Roz – bo przecież tu był, prawda, na progu, czyż nie prosiłby? – ale nie chce także być od niej odseparowany. A może tylko szuka najlepszego wyjścia, może chce podbić cenę? Roz zgrzyta zębami i trzyma fason. To będzie ją kosztować, ale będzie tego warte, aby przeciąć linę, węzeł, łańcuch, cokolwiek to jest, co ją przytrzymuje. Trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać. W każdym razie ona funkcjonuje. Mniej więciej. Chociaż kiedyś bywało lepiej.

Zapisuje się do psychoanalityka, by sprawdzić, czy może coś z sobą zdziałać, przemienić się w nową kobietę, taką, której nic nie obchodzi. Bardzo by chciała. Psychoanalityk to miła kobieta; podoba się Roz. Razem pracują nad życiem Roz, jakby to była układanka, kryminał z rozwiązaniem na końcu. Układają różne fragmenty ciągle na nowo, próbując znaleźć najlepsze wyjście. Są pełne nadziei; jeżeli Roz dojdzie do tego, w jakiej jest historii, to będą mogły znaleźć te miejsca, w których podjęła błędne decyzje, będą mogły wrócić po śladach, będą mogły zmienić zakończenie. Opracowują próbną fabułę. Może Roz wyszła za Mitcha, ponieważ – chociaż wtedy Mitch bardzo różnił się od jej ojca – wyczuwała, że w środku był taki sam. Oszukiwał ją tak samo, jak jej ojciec oszukiwał matkę, a ona wybaczała mu i przyjmowała go, gdy wracał, tak samo jak jej matka. Ratowała go ciągle od nowa. Ona odgrywała świętą, a on grzesznika.

Jednakże jej rodzice skończyli razem, a Roz i Mitch nie, więc w czym tkwił błąd? W Zeni. Zenia zmieniła fabułę, zmieniła ratunek w ucieczkę, a kiedy Mitch potrzebował znowu pomocy, Roz już nie mogła mu jej dać. Czyja to była wina? Kto ponosił odpowiedzialność? Ach! Czy Roz nie za dużo czasu poświęcała winie? Czy może obwiniała siebie? Jednym słowem – tak. Może nadal nie bardzo potrafi wyeliminować z tego Boga i przekonania, że spotyka ją kara.

Może to była niczyja wina, sugeruje psychoanalityk. Może takie rzeczy po prostu się zdarzają, jak katastrofy samolotowe.

Skoro Roz tak bardzo pragnie powrotu Mitcha – a wydaje się, że tak jest,

teraz, kiedy zgłębiła dynamikę ich stosunków – może powinna namówić go, by przyszedł po poradę. Może powinna mu wybaczyć, przynajmniej do tego stopnia.

To wszystko wydaje się bardzo rozsądne. Roz zastanawia się nad telefonem. Już niemal się zdecydowała, nabrała odwagi, kiedy nagle, w dżdżystym marcu, Zenia umiera. Ginie w Libanie od wybuchu bomby; wraca w blaszanym pojemniku i zostaje pochowana. Roz nie płacze. Zamiast tego cieszy się jak wściekła – gdyby było ognisko, zatańczyłaby dookoła, potrząsając tamburynem. Później jednak przychodzi strach, bo Zenia jest mściwa. Śmierć tego nie zmieni. Ona już coś wymyśli.

Mitcha nie ma na pogrzebie. Roz wyciąga szyję, szuka go, ale jest tylko garstka nieznanymi mężczyzn. I oczywiście Tony z Charis.

Zastanawia się, czy Mitch dowiedział się o pogrzebie, a jeśli tak, to jak to przyjął. Powinna poczuć, że Zenia została usunięta, jak futro zjedzone przez mole, jak gałąź leżąca na drodze, ale nie czuje tego. Martwa Zenia stanowi większą przeszkodę niż Zenia żywa, chociaż, jak opowiada swojemu psychoanalitykowi, nie umie wytłumaczyć dlaczego. Może są to wyrzuty sumienia, ponieważ Zenia – znenawidzona rywalka – nie żyje, a tego właśnie pragnęła Roz? Możliwe. „Nie jesteś odpowiedzialna za wszystko”, mówi psychoanalityk.

Z pewnością Mitch teraz się zmieni, pojawi się, zareaguje. Obudzi się jak z hipnozy. Nie dzwoni jednak. Nie daje żadnego znaku, a jest już kwiecień, pierwszy tydzień, drugi tydzień, trzeci. Kiedy w końcu Roz dzwoni do jego adwokata, by dowiedzieć się, gdzie jest, adwokat milczy. Wspominał coś o wyjeździe, coś sobie przypomina. Dokąd? Adwokat nie wie.

Mitch żegluje na jeziorze Ontario. Jest tam od jakiegoś czasu. Policja natrafiła na jego łódź „Rosalind II”, dryfującą ze zwiniętymi żaglami. Wkrótce znajdują Mitcha na brzegu w pobliżu urwisk Scarborough. Ma na sobie kamizelkę ratunkową, ale o tej porze roku oziębienie organizmu następuje bardzo szybko. Musiał się poślizgnąć, tak mówią. Poślizgnął się i wypadł, nie zdołał wspiąć się z powrotem. W dniu, w którym opuścił przystań, był wiatr. Wypadek. Gdyby to miało być samobójstwo, nie wkładałby kamizelki ratunkowej, prawda?

Włożyłby, włożył, myśli Roz. Zrobił to ze względu na dzieci. Nie chciał ich obciążać. Kochał je wystarczająco, aby to zrobić. Wiedział jednak o temperaturze wody, często ją o tym pouczał. Ciepło uchodzi z ciała w

okamgnieniu. Cierpniesz, a potem umierasz. Tak się z nim stało. Roz nie ma wątpliwości, że to było celowe, ale milczy. „To był wypadek”, mówi dzieciom. Wypadki się zdarzają.

Musi oczywiście posprzątać po nim. Pozbierać resztki. Posprzątać bałagan. Mimo wszystko nadal jest jego żoną.

Najgorsze jest mieszkanie, które dzielił z Zenią. Mitch nie wrócił tam po odejściu Zeni, po tym jak pojechał za nią do Europy. Niektóre jego ubrania wiszą jeszcze w szafie – jego znakomite garnitury, piękne koszule, krawaty. Roz składa je i pakuje, jak tyle razy wcześniej. Buty – jeszcze bardziej puste niż puste być mogą. Gdziekolwiek jest, tutaj go nie ma.

Obecność Zeni jest silniejsza. Większość jej ubrań zniknęła, ale chiński szlafrok, różowy jedwab z wyhaftowanymi smokami, wisi na krześle w sypialni. Opium, myśli Roz, wdychając jego zapach. To właśnie ten zapach najbardziej niepokoi Roz. Na łóżku leży jeszcze zmięta pościel, w łazience są brudne ręczniki. Miejsce zbrodni. Nie powinna była tu w ogóle przychodzić, to makabra. Mogła przysłać Dolores.

Roz rezygnuje z wizyt u psychoanalityka. Opuszcza ją optymizm, wiara, że można coś naprawić, to dla niej jeszcze jeden ciężar. To wszystko i jeszcze ma żywić nadzieję? Dziękuję, dziękuję, nie. „Boże, mówi do siebie. To był dopiero numer. Nabrałam się! Zadowolony jesteś? Co jeszcze chowasz w zanadru? Może miłą wojenkę, rzeź niewiniątek – hej, jakąś zarazę?” Wie, że nie powinna mówić w taki sposób, nawet do siebie, to kuszenie losu, ale pomaga jej przetrwać dzień.

Przetrwać dzień, to najważniejsze. Każde czekać dwu nie rozstrzygniętym umowom o zakup nieruchomości; nie jest w stanie podejmować zasadniczych decyzji. Czasopismo poradzi sobie samo, zanim zdecyduje się je sprzedać; to nie powinno być takie trudne, ponieważ od czasu zmian wprowadzonych przez Zenię przynosi zyski. Jeżeli nie zdoła go sprzedać, przestanie je wydawać. Nie ma serca do współpracy z wydawnictwem mającym tak ekstrawaganckie wymagania, których nie udało się jej urzeczywistnić w swoim życiu. Nie jest superkobietą, słowo klucz to „nie udało się”. Odniosła wiele sukcesów, ale nie w jednym, nie w trwaniu przy swoim mężczyźnie. Skoro Mitch utopił się – skoro nie miał już po co żyć – to czyja to była wina? Zeni, tak, ale także jej. Powinna była pamiętać własnego ojca, który wybrał tę samą ciemną drogę. Powinna była pozwolić mu wrócić.

Przetrwanie dnia to jedna rzecz, przetrwanie nocy druga. Nie potrafi umyć zębów w swojej wspaniałej łazience z dwiema umywalkami, nie wyczuwając Mitcha obok siebie, nie potrafi wziąć prysznicu, nie szukając śladów jego mokrych stóp na podłodze. Nie umie spać pośrodku malinowego łóżka, ponieważ – bardziej niż kiedykolwiek, bardziej nawet niż kiedy żył, chociaż gdzie indziej – on niemalże tu jest. A jednak go nie ma. Brakuje go. Jest brakującą osobą. Poszedł dokądś, tam, gdzie ona nie może do niego dotrzeć.

Roz nie może spać w swoim malinowym łożu. Leży, wstaje, nakłada szlafrok, schodzi na dół, do kuchni, gdzie buszuje w lodówce, albo chodzi na palcach po korytarzu na piętrze, nasłuchując oddechów dzieci. Jest teraz o nie niespokojna bardziej niż zwykle, a one są niespokojne o nią. Pomimo jej starań, by je uspokoić, przekonać, że czuje się dobrze i wszystko będzie w porządku, przeraża je. Wie o tym.

To chyba z powodu jej beznamiętnego głosu, twarzy pozbawionej makijażu i udawania. Ciągnie za sobą koc, na wypadek gdyby ogarnął ją sen. Czasem zasypia na podłodze, w salonie, z telewizorem włączonym dla towarzystwa. Czasem pije, chcąc się odprężyć, stracić świadomość. Niekiedy to się udaje.

Dolores odchodzi. Mówi, że znalazła inną pracę, z emeryturą w przyszłości, ale Roz myśli, że to co innego. To pech; Dolores boi się, że ją też osiągnie. Roz zastąpi ją, znajdzie kogoś innego, ale później, kiedy będzie w stanie myśleć, kiedy się wyśpi.

Idzie do lekarza, do tego samego, do którego chodzi z dziećmi, gdy mają kaszel, i prosi o tabletki nasenne. Tylko żeby przetrwać ten okres, mówi. Lekarz jest wyrozumiały, tabletki są zapewnione. Początkowo jest z nimi ostrożna, ale później nie są tak skuteczne i bierze ich więcej. Pewnego wieczoru zażywa całą garść tabletek i wypija potrójną szkocką – nie z pragnienia śmierci, nie chce tego robić, ale ze zwykłego rozdrażnienia, spowodowanego niemożnością zaśnięcia. Kończy na podłodze w kuchni.

Znajduje ją Larry, po powrocie od przyjaciela. Dzwoni po pogotowie. Jest teraz starszy, starszy, niż powinien być. Jest odpowiedzialny.

Roz dochodzi do siebie i budzi się w otoczeniu dwóch wielkich pielęgniarek. Gdzie jest? W szpitalu. Jaka słaba, jaka zawstydzona, nie zamierzała skończyć w takim miejscu.

- Muszę wracać do domu – odzywa się. – Muszę odpocząć.
- Odzyskuje przytomność – mówi pielęgniarka po lewej stronie.
- Wszystko będzie dobrze, kochana – uspokaja druga.

Długo nikt nie nazwał Roz kochana. Jest w tym iskra poniżenia, ale gaśnie.

Roz wynurza się z mgły. Czuje, że kości jej czaszki są cienkie jak skóra; mózg jest w środku opuchnięty i wypełniony miazgą. Jej ciało jest ciemne i rozległe jak nocne niebo, nerwy są jak świetlne punkciki, gwiazdy, łańcuchy falujących wodorostów. Mogłaby dryfować, mogłaby zatonać. Spotkałaby tam Mitcha.

Potem siedzi przy niej Charis, trzymając ją za rękę.

– Jeszcze nie – mówi Charis. – Musisz wrócić, jeszcze nie czas dla ciebie. Masz coś do zrobienia.

Kiedy jest sobą, kiedy jest normalna, Roz uważa Charis za miłego głuptasa – spójrzmy prawdzie w oczy, wielce uczona to ona nie jest – i przeważnie traktuje z góry jej niewyraźną metafizykę. Teraz jednak Charis sięga ręką po stopę Roz i mocno ją ujmując; Roz czuje, jak boleść przechodzi przez nią jak fala, przechodzi przez całe jej ciało, wzdłuż ramienia, ręką i wychodzi poprzez dłoń Charis. Czuje szarpnięcie, ciągnięcie, jakby Charis była daleko od brzegu i trzymała coś podobnego do liny – i wyciągała Roz na brzeg z wody, z wody jeziora, w którym nieomal utonąła. Na brzegu jest życie: plaża, słońce, jakieś postacie. Jej dzieci machają, wołają do niej, chociaż ona ich nie słyszy. Koncentruje się na oddechu, z wysiłkiem wprowadza powietrze do płuc. Jest wystarczająco silna, uda jej się.

– Tak – mówi Charis. – Uda ci się.

Tony wprowadziła się do domu Roz, aby być z dziećmi. Kiedy Roz wychodzi ze szpitala, Charis również się wprowadza, na pewien czas, dopóki Roz nie stanie na nogi.

– Nie musisz tego robić – protestuje Roz.

– Ktoś musi – odpowiada krótko Tony. – Masz inne propozycje? – Zadzwoiła już do biura i powiedziała, że Roz ma zapalenie oskrzeli i krtani, więc nie może rozmawiać przez telefon. Przychodzą kwiaty, Charis wstawia je do wazonu, później zapomina dolać wody. Idzie do sklepu ze zdrową żywnością i przynosi najrozmaitsze kapsułki i wyciągi, którymi karmi albo naciera Roz, oraz jakieś płatki śniadaniowe z nieznanymi ziaren, które należy długo gotować. Roz tęskni za czekoladą, więc Tony przemyciła dla niej kawałek. – To dobry znak – mówi do Roz.

Charis przyprowadziła z sobą August i trzy dziewczynki bawią się razem lalką Barbie w pokoju bliźniaczek; niektóre zabawy są pełne przemocy – Barbie wkracza na wojenną ścieżkę, podbija świat i rozkazuje wszystkim dookoła, a w innych zabawach kończy paskudnie. Innym razem przebierają się w stare halki Roz i biegają po domu – trzy księżniczki na wyprawie. Roz z radością wsłuchuje się w ich głośne krzyki i awantury; bliźniaczki były ostatnio

o wiele za ciche.

Tony parzy herbatę, a na obiad przyrządza – jak za dawnych czasów – zapiekanki z tuńczyka z serem i frytkami na wierzchu. Charis masuje stopy Roz, wcierając esencję miętową i olejek różany – Roz myślała, że takie rzeczy zniknęły już z powierzchni ziemi. Charis mówi Roz, że jest pradawną duszą, pochodzącą z Peru. To, co się jej przydarzyło, co wygląda na tragedię, to minione życia, które próbowały się uzewnętrznić. Roz musi się od nich uczyć, ponieważ właśnie po to wracamy na ziemię: uczyć się.

– Nie przestajesz być tym, kim jesteś, w następnym życiu – mówi – ale dodajesz różne rzeczy. – Roz gryzie się w język, ponieważ dochodzi do siebie i uważa te słowa za sieczkę, ale nigdy nie śmiałyby tego powiedzieć głośno, bo Charis chce dobrze; przygotowuje dla niej kąpiele z laseczkami cynamonu i jakimiś liśćmi, jakby miała ugotować z Roz rosół.

– Rozpieszczacie mnie – zwraca się do nich.

Teraz, kiedy poczuła się lepiej, ten cały rozgardiasz wokół jej osoby wprawia ją w zakłopotanie. To zazwyczaj ona wykonuje te czynności, kurze, opiekuńcze czynności. Nie przywykła być po tej stronie, która odbiera.

– Wróciłaś z trudnej podróży – mówi Charis łagodnym głosem. – Zużyłaś wiele energii. Teraz możesz odpocząć.

– To wcale nie jest łatwe – odpowiada Roz.

– Wiem – mówi Charis. – Ty nigdy nie szłaś na łatwiznę. – Przez „nigdy” rozumie „ostatnie cztery tysiące lat”. Na tyle właśnie lat Roz się czuje.

Roz ocknęła się, siedząc na podłodze w piwnicy, w świetle nagiej żarówki, z pustym talerzem obok, z bajkami dla dzieci na kolanach. Kręci obrączką na palcu raz w jedną, raz w drugą stronę, obrączką, która kiedyś oznaczała, że jest zamężna, obrączką, która teraz jej ciąży; obraca ją na palcu, jakby odkręcała śrubę, albo oczekiwała, że jakiś duszek pojawi się skądś i rozwiąże jej problemy: poskłada wszystkie kawałki, naprawi wszystko, przeniesie żywego Mitcha z powrotem do jej łóżka, gdzie ona go znajdzie, gdy wejdzie na górę – wyszorowanego i pachnącego, uczesanego i przebiegłego, przepelnionego czułymi kłamstwami, kłamstwami, które ona potrafi przejrzeć, kłamstwami, z którymi umie sobie poradzić, dwadzieścia lat młodszego. Jeszcze jedna szansa. Teraz, kiedy wie, co robić, zrobi to lepiej. „Powiedz mi, Boże, dlaczego nie mamy prób jak w teatrze?”

Jak długo już tu siedzi, żaląc się tak, w kiepskim świetle? Musi iść na górę i zająć się rzeczywistością, jakakolwiek by była. Musi wziąć się w garść.

Robi to, poklepując się po kieszeniach szlafroka, gdzie kiedyś miała papierowe chusteczki, dopóki bliźniaczki nie zakazały ich używania. Nie znajduje żadnej, więc osusza oczy pomarańczowym rękawem, zostawiając czarny, rozmazany tusz, następnie wyciera nos w drugi rękaw. Cóż, a kto patrzy, prócz Boga? Według zakonnicy on preferował chusteczki bawełniane. „Boże, mówi do niego, gdybyś nie chciał, abyśmy wycierali nosy w rękawy, nie dałbyś nam rękawów”. Albo nosów, albo łez, jeżeli do tego doszło. Albo pamięci, albo bólu.

Odkłada książki dzieci na półkę. Powinna była oddać je jakiejś instytucji charytatywnej, a może wypożyczyć je, wypuścić w świat, by wypaczały umysły jakimś innym dzieciom, podczas gdy ona będzie czekać na własne wnuki. Jakie wnuki? „Pomarz sobie, Roz”. Bliźniaczki są za małe, a jak dorosną, zostaną pewnie rajdowcami albo wyjadą, aby żyć wśród goryli, będą nieustraszone i całkowicie oryginalne. Jeśli chodzi o Larry’ego, to on wcale się nie spieszy. Jeżeli te niewłaściwe kobiety, z którymi się pojawia, są próbką tego, jaka będzie jej przyszła synowa, to Roz jest już na to przygotowana.

Życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby istniała instytucja swata. Poszłaby na rynek panien do wzięcia z gotówką w ręce, potargowałaby się z godnym

zaufania maklerem małżeńskim i zapewniła Larry'emu miłą narzeczoną: wesolą, ale nie narzucającą się, słodką, ale nie nachalną, z solidnymi biodrami i mocnym krzyżem. Gdyby jej małżeństwo zostało umówione, czy stałoby się gorzej, niż się stało? Czy to w porządku wysłać niedoświadczone, młode dziewczyny w dziki las, żeby same sobie radziły? Dziewczyny o mocnych kościach i może nie najmniejszych stopach. Przydałaby się mądra sękata starucha, która wychylałaby się zza drzewa, by udzielić rady, i mówiłaby: „Nie, nie ten” albo „Ładna miska jeść nie daje”, zarówno o mężczyznach, jak i o kobietach, która wzrokiem sięgałaby do serca. Kto wie, jakie zło czai się w męskich sercach? Stare kobiety wiedzą. Tylko jak bardzo trzeba się zestarzeć, żeby zdobyć taką wiedzę? Roz spodziewa się, że to zakiełkuje w niej, pokryje ją całą, jak plamy starości, ale jeszcze się tak nie stało.

Wstaje z podłogi, otrzepuje pośladki – błąd, ponieważ ręce ma pobrudzone od książek; uświadamia to sobie zbyt późno, kiedy widzi, że natrafiła na rozgniecionego rybika, który przykleił się do jej welurowego tyłka; Bóg jeden wie, co po niej łąziło, kiedy myślała o niebieskich migdałach. „Myśleć o niebieskich migdałach” – powiedzenie jej matki, powiedzenie tak stare, tak dawno zakorzenione w czasie, że chociaż wszyscy wiedzą, co znaczy, nikt nie wie, skąd się wzięło. Dlaczego migdały skojarzono z próżnowaniem? Czytanie i myślenie dla jej matki to niebieskie migdały. „Rosalindo! Nie siedź i nie myśl o niebieskich migdałach! Zamieć chodnik!”

Nogi Roz ścierpły. Każdy krok sprawia, że czuje szpilki, bolesne igiełki. Kulejąc podchodzi do schodów, zatrzymuje się i krzywi twarz z bólu. Gdy dotrze do kuchni, otworzy lodówkę i sprawdzi, czy jest coś do zjedzenia. Nie zjadła porządnego obiadu, często nie je. Nie ma jej kto gotować, nie ma dla kogo gotować, co nie znaczy, że jest kucharką z zamiłowania. Nie ma dla kogo zamawiać. Jedzeniem należy się dzielić. Samotne jedzenie może się stać jak samotne picie – przytępienie bólu, wypełnianie pustki. Pustka; zarys postaci Mitcha.

Jednakże w lodówce nie będzie nic, na co by miała ochotę; znajdzie kilka rzeczy, ale nie upadnie tak nisko, by wyjadać łyżką ze słoika czekoladowo-rumową polewę do lodów, jak zrobiła wcześniej, ani nie spałaszuje puszeki *pâté de foie gras*, którą oszczędzała na Bóg wie jaką mityczną okazję razem z ukrytą w tyle butelką szampana. Jest jeszcze trochę warzyw, badyli kupionych przez nią w przypiływie żywieniowej cnoty, ale teraz do niej nie przemawiają. Przepowiada ich los: zamienią się w zielonopomarańczową maź w pojemniku, a potem ona dokupi więcej.

Może zadzwoniłaby do Charis albo Tony, może do nich obu, i zaprosiła je.

Zamówiłaby pikantne skrzydełka z indyjskiej restauracji przy Carlton albo klopsiki z krewetek, fasolkę czosnkową i smażone won-ton z jej ulubionej chińskiej kuchni przy Spadina, a może i jedno, i drugie: będą miały małą, grzeszną, multikulturową ucztę. Jednakże Charis będzie już teraz na Wyspie; zrobiło się ciemno, a nie chciałyby, żeby Charis podróżowała sama w nocy – mogą pojawić się jacyś bandyci, Charis to taki rzucający się w oczy cel, kobieta w średnim wieku o długich włosach, ubrana jak cebula w drukowane tkaniny, potykająca się o wszystko, równie dobrze mogłaby przypiąć sobie kartkę: „Porwijcie mi torebkę”; Roz trudno przychodzi namówić ją na taksówkę, nawet jeżeli proponuje zapłacić, ponieważ Charis martwi się zużyciem benzyny. Pojedzie autobusem albo jeszcze gorzej, postanowi iść pieszo przez dzikie Rosedale, wzdłuż podrabianych dziewiętnastowiecznych dworów, i złapie ją policja za włóczęgostwo.

Jeżeli chodzi o Tony, to będzie już w domu, w forticy z wieżyczką, będzie już gotować obiad dla Westa, zapiekanekę z makaronem według *Radości gotowania* z 1967 roku. To zadziwiające, że jedynie Tony z ich trójki ma mężczyznę. Roz nie bardzo to rozumie; mała Tony, o oczach pisklęcia, ze skwaszonym uśmiechem, pociągająca jak hydrant uliczny – można by pomyśleć – i o takich samych mniej więcej proporcjach. Miłość pojawia się jednak w dziwnych opakowaniach, o czym Roz miała okazję się przekonać. Może Zenia tak dotkliwie wystraszyła Westa w młodości, że od tego czasu nie śmie spojrzeć na żadną inną kobietę.

Roz myśli zazdrośnie o jądłospisie w domu Tony, ale dochodzi do wniosku, że właściwie nie czuje zawiści, ponieważ West – wyprostowany jak trzcina, z dziwnymi myślami, o szczękach jak latarnia – nie jest osobą, z którą chciałaby siedzieć przy stole. Jest zadowolona, że Tony ma mężczyznę, ponieważ Tony jest jej przyjaciółką, a przecież chcemy, aby nasi przyjaciele byli szczęśliwi. Według feministek, tych z dawnych lat, w kombinezonach, jedyny dobry chłop to martwy chłop, a najlepiej w ogóle żaden. Jednakże Roz nadal życzy swoim przyjaciółkom, aby miały z nich jakąś radość, z tych mężczyzn, którzy są dla nich tacy źli. „Poznałam kogoś”, mówi jej przyjaciółka i Roz piszczy z radości, szczerą radości. Jest tak może dlatego, że dobrego mężczyznę bardzo trudno znaleźć, więc to prawdziwe wydarzenie, kiedy się takiego znajduje. To jest trudne, prawie niemożliwe, ponieważ wydaje się, że nikt już nie wie, co to takiego „dobry mężczyzna”, nawet mężczyźni nie wiedzą.

Być może jest tak dlatego, że wielu dobrych mężczyzn zostało pożartych przez takie modliszki jak Zenia. Większość kobiet nie pochwała zjadania mężczyzn: nie tyle samej czynności czy zawartej w tym przypadkowości, ile

chciwości. Kobiety nie chcą, aby modliszki pożarły wszystkich mężczyzn; chcą, aby paru zostało, żeby one same mogły ich zjeść.

To cyniczny pogląd, typowy bardziej dla Tony niż dla Roz. Roz musi zachować optymizm, ponieważ jest jej potrzebny. To witamina dla psychiki, dzięki niej funkcjonuje. „Te kobiety wkrótce się do nas przyłączą”, mawiały feministki. Jak długo to potrwa, zastanawia się Roz, i dlaczego jeszcze nie nastąpiło?

Tymczasem Zenie tego świata są wszędzie, uprawiają swój fach, opróżniają męskie kieszenie, zaspokajają męskie fantazje. Męskie fantazje, męskie fantazje, czy wszystko jest podporządkowane męskim fantazjom? W górze, na piedestale, albo w dole, na kolanach, to wszystko jest męską fantazją: że jesteś silna na tyle, by przyjąć to, co dla ciebie przygotowują, albo przeciwnie, zbyt słaba, by cokolwiek z tym zrobić. Nawet udawanie, że nie zaspokajasz męskich fantazji, jest męską fantazją: udawanie, że jesteś niewidzialna, udawanie, że masz własne życie, że myjesz stopy i czeszysz włosy, nieświadoma wiecznie obecnego podglądacza zerkającego przez dziurkę od klucza, przez dziurkę od klucza w twojej własnej głowie, jeśli nie gdzie indziej. Jesteś kobietą z mężczyzną w środku obserwującym kobietę. Sama siebie podglądasz. Wszystkie Zenie tego świata zgłębiły tę sytuację i obróciły ją na własną korzyść; nie pozwoliły wtopić się w męskie fantazje, same fantazjowały. Osunęły się w sny, także w sny o kobietach, ponieważ kobiety są fantazjami dla innych kobiet, tak samo jak dla mężczyzn, ale fantazjami innego rodzaju.

Czasem Roz przytłacza samą siebie. Sprawia to jej poczucie własnej wartości, presja, aby być miłą, etyczną, aby dobrze postępować; to promyki dobrego postępowania, promyki dobrej natury, to szczerzołota, rozgdakana dobroć promieniująca wokół jej głowy. To jej najlepsze intencje. Skoro jest tak cholernie wartościowa, to dlaczego nie ma więcej frajdy? Niekiedy chciałaby zrzucić z siebie ten maskujący płaszcz Dobrej Wróżki, przestać chodzić na palcach pośród skrupułów, uwolnić się, nie w pomniejszych sprawach, tak jak to robi teraz – trochę poprzeklina w myślach, używa brzydkich słów – ale w czymś naprawdę wielkim, w jakimś wielkim, przerażającym, całkowicie nie dającym się wytłumaczyć grzechu.

Przypadkowy seks wystarczyłby kiedyś, ale urozmaicony, czysty seks już się nie liczy, to jedynie forma terapii, poprawy humoru, gimnastyki; musiałaby spróbować krwawego szaleństwa albo może czegoś innego, niespotykanego, archaicznego, skomplikowanego i przebiegłego. Uwodzenie i powolne zatrucie. Zdrada. Podstęp. Oszustwo i kłamstwo.

Aby tego dokonać, potrzebowałyby innego ciała; to, które posiada, jest zbyt niezgrabne, zbyt zwalście szczere, a sprytnie obmyślane zło wymaga wdzięku. Aby być okrutną, musiałyby być chudsza.

„Lustereczko, powiedz przecie, kto jest najgorszy na świecie?”

„Schudnij parę kilo, to zobaczymy, co się da zrobić”.

A może zamiast tego powinna być nadludzko dobra. Włosiennice, stygmaty, niesienie pomocy biednym, taka jakby przerośnięta Matka Teresa. Święta Roz, to brzmi dobrze, chociaż święta Rosalind byłoby bardziej klasyczne. Kilka cierni, jeden albo dwa organy na talerzu, żeby pokazać, ile wycierpiała: oko, ręka, cycek, cycki były ulubione, starożytni Rzymianie mieli słabość do obcinania kobietom piersi, tacy jakby chirurdzy plastyczni. Widzi siebie w aureoli, z omdlewającą ręką na sercu, w zakonnym barbecie, dobry, bo zakrywa obwisłe podbródki, z oczami uniesionymi w ekstazie. Te skrajności najbardziej ją pociągają. Najwyższe dobro, najwyższe zło – wymagane są podobne zdolności.

W każdym razie, chciałyby być kimś innym, ale nie kimkolwiek. Czasem – przynajmniej na jeden dzień albo chociaż na godzinę, a jeżeli już nic innego nie da się zrobić, to tylko na pięć minut – chciałyby być Zenią.

Kuśtyka po schodach na ścierpiętych nogach, po jednym stopniu na raz, trzyma się bariery i myśli, czy tak właśnie jest, jak ma się dziewięćdziesiąt lat i czy dożyje tego wieku. Otwiera drzwi do kuchni. Tutaj jest biała kuchnia, tak jak ją zostawiła. Ma wrażenie, jakby nie było jej tu bardzo długo, jakby wędrowała zagubiona w ciemnym lesie z powykręcanyimi, zaczarowanymi drzewami.

Blizniaczki siedzą przy blacie na wysokich taboretach, ubrane w szorty z rajstopami pod spodem, z modną dziurą na każdym kolanie, piją koktajl truskawkowy z wysokich szklanek. Różowe wąsy zdobią ich górne wargi. Pojemnik z mrożonym jogurtem topnieje obok zlewu.

– Mamo, wyglądasz jak po wypadku drogowym! – woła Paula. – Co ci się rozmazało na twarzy?

– Taką mam twarz – odpowiada Roz. – Schodzi.

Erin zeskakuje ze stołka i podbiega do niej.

– Siadaj, kochanie – parodiuje matczyiny ton Roz. – Masz temperaturę? Zobaczą twoje czołko!

Blizniaczki przeprowadzają ją przez kuchnię do taboretu. Biorą wilgotny ręcznik i wycierają jej twarz: „Ojej, co za brudastwo!” Dobrze wiedzą, że płakała, ale nic na ten temat nie mówią. Próbują namówić ją na koktajl, śmiejąc

się przy tym i chichocząc, ponieważ śmieszy je ta sytuacja: matka w roli wielkiego niemowlęcia i one w roli matek. Doczekacie się, myśli Roz. Poczekajcie, aż stracę rozum i zacznę bełkotać, wtedy będziecie robić to naprawdę. Wtedy to nie będzie takie śmieszne.

Jednakże jej osamotnienie musi być dla nich ogromnym ciężarem. Dlaczego nie miałyby udawać kłownów, by ukryć smutek? Tej sztuczki nauczyły się od niej. Sztuczka się udaje.

„Toxique“

Tony gra na pianinie, ale nie słycać muzyki. Nie sięga nogami do pedałów, nie dotyka dłońmi klawiszy, a jednak nie przerywa gry, gdyż może wydarzyć się coś strasznego. Po pokoju rozchodzi się suchy zapach dymu, to zapach kwiatów na zasłonach. Wielkie różowe róże zamykają i otwierają płatki, które wyglądają jak płomienie; już przenoszą się na tapetę. To nie są kwiaty z jej zasłon, Tony nie może sobie przypomnieć skąd pochodzą.

W pokoju robi się ciemno; wchodzi matka, stuka rytmicznie obcasami o podłogę, ma ciemny kapelusz z nakrapianą woalką. Siada obok Tony na ławeczce przed pianinem; twarz matki jest niewyraźna, ciemna, ma zamazane rysy. Jej skórzana dłoń, chłodna jak mgła, muska twarz Tony. Tony odwraca się i obejmuje ją, obejmuje mocno, gdyż wie, co się zaraz stanie, ale jej matka wyjmuje z sukni jajko, które pachnie jak morskie wodorosty. Gdyby Tony dostała to jajko i ukryła je bezpiecznie, ogień w domu zgasłby, można by było uniknąć przyszłości. Matka podnosi jednak jajko do góry, ponad głowę Tony, i drażni ją; Tony nie jest na tyle duża, by je dosięgnąć. „Biedactwo, biedactwo”, mówi matka, a może „biedaczko”? Mówi, jakby gruchał gołąb, nieugięcie i nieskończenie żałośnie.

Gdzieś poza zasięgiem wzroku kwiaty wydostały się spod kontroli i dom stanął w ogniu. Jeżeli Tony nie powstrzyma ognia, wszystko, co kiedyś było, spłonie. Niewidzialne płomienie wydają taki dźwięk, jak trzepoczące skrzydła ptaków. W narożniku stoi wysoki mężczyzna. To West, ale dlaczego jest tak ubrany, dlaczego ma czarne włosy, dlaczego ma kapelusz? Obok niego na podłodze stoi walizka. Podnosi ją, otwiera: jest pełna zaostzonych ołówków. „Ezswazan”, mówi smutno, chociaż ma na myśli „Żegnaj”, ponieważ przy drzwiach stoi Zenia, zawinięta w jedwabny szal z długimi frędzlami. Zenia ma na szyi różowoszarą ranę, jakby podcięto jej gardło. Tony przygląda się uważnie, rana otwiera się i zamyka, jest wilgotna; teraz widzi, że to skrzela.

West odchodzi, obejmuje Zenię ramieniem, odwraca się plecami. Na dworze czeka taksówka, aby zabrać ich na ośnieżone zbocze.

Tony musi ich powstrzymać. Jeszcze raz wyciąga rękę i matka daje jej jajko, ale jajko jest zbyt gorące z powodu pożaru, więc Tony je upuszcza. Toczy się na gazetę i pęka, wycieka z niego czas, mokry i ciemnoczerwony. Słycać

strzały dochodzące z tyłu domu, tupot żołnierskich butów, krzyki w obcym języku. Gdzie jest jej ojciec? Rozgląda się za nim gwałtownie, ale nigdzie go nie widać, żołnierze już są gotowi zabrać jej matkę.

Charis leży w swoim białym łóżu z pościelą w winne latorośle; ręce ma przy sobie, ma otwarte dłonie i zamknięte oczy. Jest jednak w pełni świadoma. Czuje, jak jej ciało astralne opuszcza ją, wznosi się prosto w górę i zawisa niczym maska zdjęta z twarzy. Ono też ma na sobie białą bawełnianą koszulę.

Jakże luźno zamieszkujemy nasze ciała, myśli Charis. W swoim ciele ze światła – przezroczystym jak żelatyna – przenika przez okno, szybuje ponad przystanią. Pod nią jest prom; Charis nurkuje i podąża za kilwaterem. Dookoła słyszy szum skrzydeł. Rozgląda się myśląc, że zobaczy mewy, lecz ku swemu zdziwieniu widzi stado fruujących w powietrzu kurczaków.

Osiąga przeciwny brzeg i unosi się ponad miastem. Przed nią jest wielkie okno, okno hotelu. Dociera do jego powierzchni i uderza przez chwilę ramionami jak ćma. Nagle okno rozpuszcza się jak lód i Charis dostaje się do środka.

Zenia jest w środku, siedzi na krześle, ubrana w białą koszulę nocną, taką jak Charis, szcztokuje przed lustrem chmurę włosów. Włosy wiją się jak płomień, jak gałęzie ciemnych cyprysów pragnących wspiąć się do nieba. Włosy trzaskają elektrycznością, błękitne iskry tryskają z końcówek. Zenia widzi Charis i przywołuje ją, Charis podchodzi coraz bliżej i widzi siebie w lustrze obok Zeni. Sylwetka Zeni rozplywa się powoli, jak akwarela na deszczu, i Charis wtapia się w nią. Nakłada się jak rękawiczka, nasuwa się jak cielesna suknia, spogląda przez jej oczy. Widzi siebie w lustrze, siebie obdarzoną władzą. Jej koszula faluje w niewidzialnym deszczu. Pod skórą twarzy są kości, coraz ciemniejsze w tym szkłe, jak na zdjęciu rentgenowskim; teraz może zaglądać we wszystko, teraz może zamienić się w energię i przenikać przedmioty. Możliwe, że nie żyje. Trudno to sobie przypomnieć. Możliwe, że urodziła się na nowo. Rozkłada palce nowych dłoni, zastanawiając się, co uczynią.

Unosi się w stronę okna i patrzy. W dole, pośród ognistych światła i życia, coś się powoli tli. Ten zapach wypełnia pokój. W końcu wszystko płonie, nawet kamień może się zapalić. W pokoju za jej plecami jest głębia kosmosu, atomy unoszą się jak popioły, rodzone przez międzygwiazdne wiatry, wygnane dusze, pokutujące...

Ktoś stuka do drzwi. Podchodzi, by otworzyć, myśli, że to pokojówka z ręcznikami. To nie ona, lecz Billy, w piżamie w prążki; jego ciało jest starcze i nabrzmiałe, jego twarz wygląda jak z surowego mięsa. Jeżeli jej dotknie, Charis

rozpadnie się jak zgniła skóra. Sprawiają to jej nowe oczy. Pociera i ściąga twarz, pragnąc uwolnić się od tych oczu, tych ciemnych oczu, których już nie chce. Oczy Zeni nie schodzą, są przyklejone do jej własnych oczu jak rybie łuski, przyciemniają wszystko jak przydymione szkło.

Roz idzie przez las, przez kłujące podszycie, omija roztrzaskane pnie. Ubrana jest w zbyt dużą żeglarską sukienkę. Wie, że to nie jej sukienka, nigdy takiej nie miała. Stopy ma gołe i zimne; przenika je ból, ponieważ ziemia pokryta jest śniegiem. Widzi przed sobą ślady: czerwony odcisk stopy, biały odcisk stopy, znowu czerwony. Z boku rośnie kępa drzew. Wielu ludzi tędy przechodziło; porozrzucali rzeczy, które nieśli: lampę, książkę, zegarek, otwartą walizkę, nogę z butem, but z diamentową sprzączką. Papierowe pieniądze to tu, to tam unoszą się w powietrzu, jak wyrzucone papierki od cukierków. Ślady prowadzą między drzewa, ale nie wychodzą stamtąd. Wie, że nie powinna tam iść; tam coś jest, coś przerażającego, czego nie chce zobaczyć.

Jest jednak bezpieczna, ponieważ to jej ogród, więdnące ostróżki, czarne od pleśni, tkwią zapomniane w śniegu. Są też białe chryzantemy, ale nie zasadzone w ziemi, lecz w dużych, cylindrycznych, srebrnych wazonach, których nigdy wcześniej nie widziała. Mimo wszystko to jest jej dom. Okno jest roztrzaskane, drzwi zwisają luźno, ale wchodzi przez nie. Idzie przez białą kuchnię, gdzie nic się nie porusza, przechodzi obok stołu z trzema krzesłami. Wszystko pokrywa kurz. Będzie musiała posprzątać, ponieważ jej matki już tu nie ma.

Wchodzi po schodach, zmarznięte stopy cierpną. Korytarz na piętrze jest pusty i cichy; nie słychać muzyki. Gdzie są dzieci? Na pewno już dorosły, musiały odejść, chyba mieszkają gdzie indziej. Czy to możliwe, czy ona może mieć dorosłe dzieci? Jest na to zbyt młoda, zbyt mała. Coś niedobrego dzieje się z czasem.

Słyszy szum prysznica. To musi być Mitch, przepelnia ją radość, bo tak długo go nie było. Chce wbiec do środka, by się z nim przywitać. Przez otwarte drzwi łazienki wydostają się kłęby pary.

Nie może jednak wejść do łazienki, ponieważ jakiś mężczyzna w płaszczu blokuje jej drogę. Pomarańczowe światło wylewa mu się z ust i nozdrzy. Otwiera poły płaszcza i odsłania swoje święte serce, także pomarańczowe, jak płonący lampion z dyni, migoczący na wietrze, który nagle się zerwał. Podnosi lewą rękę, aby ją powstrzymać. „Mniszka”, mówi.

Mimo pozorów, pomimo wszystkiego wie, że ten mężczyzna to Zenia. Z sufitu zaczyna padać deszcz.

Zapadła ciemność. Mży chłodny, delikatny deszcz; rozświetlone witryny sklepów i czarne ulice z refleksami czerwonych neonów mają gładki, mokry wygląd, który Tony kojarzy z plastikowymi prochowcami, brylantyną we włosach i świeżo nałożoną szminką – dwuznaczny, ekscytujący wygląd. Samochody wypełnione obcymi ludźmi przemykają z sykiem gdzieś w nieznane. Tony idzie pieszo.

W nocy „Toxique” jest inne. Światła są przyciemnione, na stołach, w czerwonych, szklanych świecznikach, migoczą pękate świece. Stroje kelnerów i kelnerek są nieco bardziej śmiałe. Kilku mężczyzn w garniturach je obiad; to biznesmeni, domyśla się Tony, są raczej z kochankami niż z żonami. Podoba jej się myśl, że tacy mężczyźni ciągle mogą mieć kochanki. Dziewczyny. Przyjaciółki. Partnerki. Osoby towarzyszące. Do „Toxique” zabiera się raczej specjalną przyjaciółkę niż żonę. Skąd Tony ma o tym wiedzieć? Nie porusza się w tym świecie. Teraz jest tu więcej mężczyzn w skórzanych kurtkach niż w dzień. Panuje przytłumiony gwar.

Patrzy na zegarek z dużymi cyframi: grupa rockowa nie pojawi się przed jedenastą; ma nadzieję, że do tej pory już jej tu nie będzie. Hałas miała dosyć w domu. Przez pełnych trzydzieści minut musiała słuchać prawdziwych tortur dla uszu, ułożonych przez Westa i odtworzonych zbyt głośno. Towarzyszyła temu radość Westa, wyrażana wymachiwaniem rękami i okrzykami. „Chyba mi się udało”, skomentował West. Cóż mogła powiedzieć? „Dobre”, potwierdziła. Wydaje się, że to zwrot odpowiedni na wszystkie okazje.

Tony przychodzi pierwsza. Nigdy wcześniej nie jadła obiadu w „Toxique”, jedynie lunch. Obiad został ustalony na ostatnią minutę: zadzwoniła Roz i powiedziała, dysząc, że jest coś, czym musi się z nimi koniecznie podzielić. Najpierw zaproponowała, aby Tony i Charis przyszły do niej, ale Tony zwróciła uwagę, że bez samochodu byłoby to bardzo trudne.

Poza tym specjalnie nie przepada za wizytami u Roz, chociaż bliźniaczki – przynajmniej teoretycznie – są jej ulubienicami. Kiedyś żałowała, że nie ma własnych dzieci, chociaż nie była pewna, czy sprostałaby zadaniu, pamiętając Antheę. Bycie matką chrzestną odpowiadało jej bardziej niż macierzyństwo z jednego powodu: odbywa się z przerwami. Bliźniaczki wprawiają ją w dumę.

Mają w sobie połyskujące ostrze, tak samo jak jej druga chrześniaczka Augusta. Żadnej z nich nie brakuje pewności siebie – wszystkie trzy pasowałyby do końskiego grzbietu jak ulał, galopowałyby z rozwianymi włosami, przemierzały równiny, nie oszczędzając nikogo. Tony nie wie, skąd wzięła się u nich ta odwaga, to nieugięte spojrzenie, te wesole, lecz bezlitosne usta. Nie mają nic z tej nieśmiałości, która była kiedyś jakby przypisana kobiecie. Ma nadzieję, że przegalopują przez świat w dobrym stylu, w lepszym stylu niż ona. Mają jej błogosławieństwo, ale z oddali, ponieważ z bliska Augusta jest nieco chłodna – tak bardzo pragnie sukcesu, a bliźniaczki zrobiły się olbrzymie, a także niedbałe. Tony trochę się ich boi. Mogą ją przez pomyłkę rozdeptać.

Tak więc tym razem Tony zaproponowała „Toxique”. Może Roz ma coś do powiedzenia, ale i Tony także, najlepiej, żeby to zostało powiedziane w tym miejscu. Zamówiła ten sam stolik co zawsze, w narożniku, przy przydymionym lustrze. U młodej kobiety, a możliwe, że mężczyzny, która podchodzi do niej ubrana w czarny koci kostium z szerokim skórzanym pasem ponabijanym ćwiekami, z pięcioma kolczykami w każdym uchu, zamawia butelkę białego wina i wodę mineralną.

Charis przychodzi w tym samym momencie co butelki; jest niepokojąco blada. Cóż, myśli Tony, ona zawsze wygląda niepokojąco blado, ale dzisiaj o wiele bardziej. „Przydarzyło mi się dzisiaj coś niesamowitego” mówi do Tony, zrzucając wilgotny, wełniany płaszcz i miękki kapelusz robiony na szydełku. Takie słowa w ustach Charis nie są czymś niezwykłym, więc Tony kiwa jedynie głową i nalewa sobie wody. Prędzej czy później usłyszą opowieść o błyszczących ludziach siedzących na drzewach, o zadziwiającym zbiegu okoliczności dotyczącym numerów domów albo o kotach, które wyglądały jak koty jakiejś znajomej Charis, z którą ona się już nie widuje, ale Tony woli poczekać, aż zjawi się Roz. Roz jest bardziej tolerancyjna wobec takiej intelektualnej paplaniny oraz lepiej potrafi zmienić temat.

Wchodzi Roz, macha do nich i wykrzykuje po kowbojsku; ma na sobie ogniście czerwoną pelerynę i kapelusz z szerokim rondem w tym samym kolorze. Jest roztrzęsiona.

– Judasz! – woła, ściągając szkarłatne rękawiczki. – Zaraz usłyszycie! Nie uwierzycie! – Jej głos jest raczej przerażony niż radosny.

– Widziałś Zenię – mówi Charis.

Roz otwiera usta.

– Skąd wiesz? – pyta.

– Bo ja też widziałam – odpowiada Charis.

- Ja też – oświadcza Tony.
- Roz siada ciężko i przygląda się każdej po kolei.
- W porządku – mówi. – Opowiadajcie.

Tony czeka w holu Arnold Garden Hotel, którego sama nigdy by nie wybrała. Jest to budowla z lat pięćdziesiątych, pozbawiona smaku, z cementowych płyt, z mnóstwem szklanych powierzchni. Ze swego punktu obserwacyjnego Tony może patrzeć przez podwójne drzwi na patio, ozdobione zwalistymi kwietnikami, z wielką okrągłą fontanną w narożniku, nieczynną o tej porze roku; na patio wychodzą rzędy balkonów z metalowymi barierkami, pomalowanymi na pomarańczowo. Postmodernistyczna markiza i mosiądz przed budynkiem to jedyne dodatki; istotę „Arnold Garden” stanowią właśnie te balkony. Podjęto jednak wysiłki – ponad Tony wisi kompozycja z purpurowych suszonych kwiatów, drutów i dziwnych strąków, prowokując estetycznie nie wtajemniczonych, by uznali to za brzydkie.

Patio i fontanna to na pewno ogrodowa część „Arnold Garden”, domyśla się Tony, ale zastanawia się nad Arnoldem. Czy to Matthew Arnold, ten z ciemnych armii walczących nocą, czy Benedict Arnold, zdrajca lub bohater w zależności od punktu widzenia? A może to imię radcy dawnego miasta, jakiegoś zasłużonego obywatela, którego przyjaciele nazwali Arnie? Hol, obwieszony oprawionymi w ramki reprodukcjami, przedstawiającymi okrągłych Anglików w różowych kurtkach, polujących na lisa, niczego nie podpowiada.

Hotel, w którym siedzi Tony, jest skórzany, śliski i wyprodukowany dla kolosów. Jej stopy nie dotykają podłogi, nawet jeśli przesunie się do przodu. Jeżeli przesunie się do tyłu, nie może spuścić nóg i sterczą jej wtedy sztywno jak u lalki. Wybrała więc kompromis – zgarbione skrzywienie – ale wygodne to nie jest.

Poza tym, pomimo poważnego, granatowego płaszcza i praktycznych sportowych butów oraz infantylnego, marynarskiego kołnierza, czuje się podejrzenie. Jej złe intencje przebijają na całym ciele. Ma uczucie, jakby porastała ją sierść, małe włoski przepychają się przez jej skórę jak kolce jeżozwierza, dookoła uszu pojawiają się kępki. To powoduje Zenia, wysiłek, z jakim ją śledzi: to stapia jej neutrony, przestawia molekuly w mózgu. Staje się włochatym, białym diabłem, potworem z kłami. Może to konieczna transformacja, gdyż z ogniem należy walczyć ogniem. Jednakże każdy kij ma dwa końce, więc trzeba będzie za to zapłacić: Tony nie wyjdzie z tego nie zmieniona.

W jej zbyt dużej torbie jest luger ojca, wydobyty z pudełka z ozdobami

choinkowymi, gdzie zazwyczaj spoczywa, świeżo naoliwiony i załadowany według instrukcji rusznikarskiej z lat czterdziestych, której ksero zrobiła w bibliotece. Aby zachować ostrożność, podczas kopiowania miała rękawiczki, by nie zostawić odcisków, tak na wszelki wypadek, w razie gdyby mieli jakieś podejrzenia później. Sama broń nie jest zarejestrowana, tak jej się wydaje. W końcu to jakby pamiątka.

Obok jest inny przyrząd. Tony skorzystała z jednej z licznych reklamówek narzędzi, zaśmiecających trawnik przed domem, i kupiła z przeceny bezprzewodową wiertarkę z założonym wiertłem. Nigdy czegoś takiego nie używała. Nigdy też nie używała broni, ale zawsze coś dzieje się pierwszy raz. Początkowo myślała, że użyje wiertarki, aby włamać się do pokoju Zeni, jeśli będzie taka potrzeba. Odkręci drzwi z zawiasów albo coś w tym rodzaju. Kiedy siedzi w holu, przychodzi jej do głowy myśl, że sama wiertarka jest potencjalnym narzędziem zbrodni. Który policjant wpadłby na to, że zabiła Zenię wiertarką?

Dokładny scenariusz jest jeszcze niegotowy. Może powinna strzelić do Zeni, a następnie wykończyć ją wiertarką: odwrotna kolejność byłaby niewygodna, gdyż musiałaby zaskoczyć Zenię od tyłu, a warkot wiertarki zdradziłby ją. Zawsze mogłaby zamordować oburącz: rewolwer w lewej ręce, wiertarka w prawej, jak połączenie rapiera i sztyletu w późnym renesansie. To dość frapująca myśl.

Problem w tym, że Zenia jest znacznie wyższa od Tony, a Tony oczywiście będzie celować w głowę. Symetryczny odwet: w zwyczaju Zeni było, że atakowała najbardziej czułe punkty ofiar; najbardziej czułe, to znaczy najcenniejsze, a najczulszym punktem Tony jest mózg. Tak właśnie została osaczona przez Zenię na początku; to była pokusa, przynęta. Tony padła ofiarą własnej intelektualnej naiwności. Myślała, że znalazła przyjaciółkę tak samo inteligentną jak ona. Nie było kategorii „inteligentniejsza”.

Miłość Tony do Westa to drugi najczulszy punkt, więc jest pewne, że teraz Zenia zaatakuje ją poprzez Westa. W istocie Tony robi to po to, żeby Westa ochronić – on nie przeżyje, jeśli odkroi mu się następny kawałek serca.

Nie podzieliła się tymi planami ani z Roz, ani z Charis. Każda z nich to przyzwoita osoba; żadna nie uznaje przemocy. Tony wie, że sama nie jest przyzwoitym człowiekiem, wie to od dzieciństwa. Zachowuje się przyzwoicie przez większość czasu, ponieważ nie ma powodów, by tak się nie zachowywać, ale ma inne „ja”, bardziej bezwzględne, ukryte wewnątrz. Nie jest tylko Tony Fremont, jest także „Tnomerf Ynot”, królową barbarzyńców, teoretycznie

zdolną do wielu rzeczy, których nie zrobiłaby Tony. „Bulc egdirb! Bulc egdirb! Nie brać więźniów!”, gdyż w obronie niewinnych niektórzy muszą poświęcić swą niewinność. To jedna z zasad wojny. Trzeba robić trudne rzeczy, trzeba robić trudne, męskie rzeczy. Rzeczy twardych mężczyzn. Trzeba rozlewać krew, aby inni mogli wieść spokojne życie, karmić niemowlęta, pracować w ogrodzie, tworzyć niemelodijne melodie, wolni od winy. Zazwyczaj nie wzywa się kobiet do popełniania takich wyrachowanych, wymagających zimnej krwi czynów, ale to nie znaczy, że nie są do tego zdolne. Tony zaciska drobne zęby i przywołuje lewą rękę; ma nadzieję, że sprostą zadaniu.

Jej twarz zasłania „Globe and Mail”, otwarta na dziale biznesu. Nie czyta, obserwuje hol, szuka Zeni. Obserwuje i denerwuje się, gdyż nie codziennie robi coś tak ryzykownego. Żeby przerwać napięcie, stworzyć dla siebie jakiś krytyczny dystans, składa gazetę i wyjmuje z torby notatki do wykładów. Przejrzenie ich pomoże jej się skupić, odświeży pamięć – od zeszłego roku nie prowadzi tych wykładów.

To ulubione wykłady jej studentów. Dotyczą roli markietanek na przestrzeni wieków, przed i po bitwie – ich przydatności jako ciał do wynajęcia, jako ofiar gwałtu, dostarczycielek mięsa armatniego, ich umiejętności w łagodzeniu napięć, pielęgnowaniu, psychiatrii, gotowaniu i praniu, grabieży po masakrach, w kończeniu życia – z dygresją na temat chorób wenerycznych. Krążą plotki, że studenci nazywają te wykłady „Matka Courage spotyka Nakrapianego Wacka” albo „Rany i kurtyzany”; zazwyczaj przyciągają cały kontyngent inżynierów, którzy przychodzą na film, gdyż Tony wyświetla instruktażowy film, wywierający ogromne wrażenie. Ten sam film był pokazywany rekrutom w czasie drugiej wojny światowej, aby zachęcić do używania kondomów; jest na nim niejeden zgniły nos i zielone, ociekające organy męskie. Tony jest przyzwyczajona do nerwowych śmiechów. „Poczujcie się na ich miejscu, mówi. Pomyślcie, że to wy. Teraz mniej zabawne, co?”

W tamtych czasach syfilis traktowano jako samookaleczenie. Niektórzy chłopcy wykorzystywali choroby weneryczne, bo chcieli być odesłani do domu jako inwalidzi. Za złapanie trypra, tak samo jak za postrzelenie się w stopę, groził sąd wojskowy. Jeżeli rana powstała w wyniku tej choroby, to bronią była kurwa. Jeszcze jedna broń w wojnie płci. „Kurw(a) wróg”. Niemal doskonały palindrom.

Może właśnie temu West nie mógł się w Zeni oprzeć, uważała Tony: Zenia to nieokiełznany seks, natomiast Tony złagodzona odmiana, pozbawiona niebezpiecznej dzikości, zapachu świeżej krwi. Zenia była dżinem o północy, Tony jajkami na śniadanie, w kieliszkach do jajek na dodatek. Ta kategoria nie

przypadła Tony do gustu.

Przez te wszystkie lata Tony powstrzymywała się przed zapytaniem Westa o Zenię. Nie chciała go denerwować; poza tym bała się dowiedzieć czegoś więcej o sile oddziaływania Zeni, o jej naturze i zasięgu. Jednakże po powrocie Zeni nie mogła sobie z tym poradzić. Na krawędzi kryzysu musiała wiedzieć.

– Pamiętasz Zenię? – zapytała Westa przy obiedzie, dwa dni temu. Jedli rybę *sole à la bonne femme* z francuskiej książki kucharskiej Tony, którą dokupiła do patery z pola bitewnego pod Pourrières.

West tylko na moment przestał rzuć.

– Oczywiście – powiedział.

– Co to było? – pytała Tony.

– Co to było? – odpowiedział pytaniem West.

– Dlaczego ty... no, wiesz. Dlaczego z nią odszedłeś? – Tony czuła, jak cała tężeje. „Zamiast ze mną, pomyślała. Dlaczego mnie rzuciłeś?”

West wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Nie wiem – rzekł. – Nie pamiętam. W każdym razie, to było dawno temu. Ona nie żyje.

Tony wiedziała, tak samo jak West, że Zenia jest daleka od śmierci.

– Prawda – odparła jednak. – Czy to był seks?

– Seks? – powtórzył West, jakby Tony wspomniała o jakimś zapomnianym i nieważnym artykule z listy zakupów. – Nie, chyba nie. Niezupełnie.

– Co rozumiesz przez niezupełnie? – zapytała Tony ostrzej, niż powinna.

– Dlaczego o tym rozmawiamy? – powiedział West. – Teraz to nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma – rzekła cicho Tony.

– Zenia była oziębła – westchnął West. – Nic nie mogła na to poradzić. Jako dziecko była seksualnie wykorzystywana przez greckiego popa. Żal mi jej było.

Tony zaniemówiła ze zdziwienia.

– Greckiego popa?

– No, on po części był Grekiem – wyjaśniał West. – Greckim emigrantem. Nikomu nie mogła o tym powiedzieć, ponieważ nikt by jej nie uwierzył. Społeczność była bardzo pobożna.

Tony nie mogła się powstrzymać. Czuła, że narasta w niej niepokonane i niepojęte zadowolenie. Oziębła! A więc o takich rzeczach naopowiadała Zenia biednemu Westowi! Ani trochę nie zgadza się to z pewnymi uwagami na temat seksu, jakimi Zenia podzieliła się z Tony. Seks jako wielki śliwkowy pudding,

słodycz pełna rozkoszy; wyliczała jego przyjemności, podczas gdy Tony słuchała odgradzona, z nosem przylepionym do szyby. Wyobraziła sobie Westa jako białego rycerza, sapiącego i napierającego z całej siły, by uwolnić Zenię od złego czaru rzuconego przez grzesznego, nie istniejącego greckiego popa; Zenia musiała mieć niezły ubaw. Prawdopodobnie powiedziała mu, że udawała orgazm, aby go zadowolić. Podwójna wina!

Oczywiście, dla niego było to prawdziwe wyzwanie. Rozgrzać Lodową Pannę. Pierwszy mężczyzna, który z powodzeniem spenetrował polarne krainy. W żaden sposób nie mógł jednak odnieść zwycięstwa, ponieważ gry Zeni zawsze były machinacjami.

– Nie wiedziałam o tym – rzekła Tony. Utkwiła w Westa duże, szeroko otwarte oczy, starając się okazać współczucie.

– Tak, cóż – powiedział West. – Trudno jej było o tym mówić.

– Dlaczego z nią zerwałeś? – pytała Tony. – Za drugim razem. Dlaczego się wyprowadziłeś? – Teraz, kiedy przekroczyli granicę i znaleźli się na zakazanych obszarach, teraz, kiedy West zaczął mówić, mogła wykorzystać swoją przewagę.

West westchnął. Patrzył na Tony jakby ze wstydem.

– Mówiąc szczerze – zaczął i urwał.

– Tak? – podchwyciła Tony.

– Mówiąc szczerze, dała mi kosza. Powiedziała, że ją nudzę.

Tony przeraziła samą siebie, gdyż o mało nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Może Zenia miała rację; z pewnego punktu widzenia West był nudny. Co jest dobre dla jednego, może być nudne dla drugiego; West był nudny w taki sam sposób, jak nudne są dzieci, i interesujący tak samo. Taka kobieta jak Zenia nigdy by tego nie zrozumiała. Poza tym, co to za prawdziwa miłość, jeśli nie potrafi znieść odrobiny nudy?

– Dobrze się czujesz? – zapytał West.

– O mało co udławiłabym się ością – odpowiedziała Tony.

West zwiesił głowę.

– Chyba jestem nudny.

Tony poczuła żal. To okrutne z jej strony, że uważa to za śmiesznie. To nie było śmieszne, ponieważ West został głęboko zraniony. Tony wstała od stołu i objęła go za szyję od tyłu, położyła policzek na jego łysiejącej głowie.

– Nie jesteś wcale nudny – powiedziała. – Jesteś najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. – To była prawda, gdyż rzeczywiście West był jedynym mężczyzną, jakiego Tony знаła bliżej.

West poklepał ją po ręku.

– Kocham cię – rzekł. – Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek kochałem Zenię.

No i bardzo dobrze, myśli Tony, siedząc w holu Arnold Garden Hotel, ale jeżeli to prawda, to dlaczego nie powiedział mi, że Zenia dzwoniła? Może już się z nią widział. Może już zaciągnęła go do łóżka. Może właśnie teraz wbija mu zęby w szyję; może wysysa z niego krew, podczas gdy Tony siedzi tutaj, w tym perwersyjnym, skórzanym fotelu, nie wiedząc, gdzie jej szukać, ponieważ Zenia może być wszędzie, może robić cokolwiek; jak dotąd, Tony nie wpadła na żaden trop.

To już trzeci hotel, który sprawdza. Dwa poprzednie przedpołudnia spędziła, kręcąc się po hotelach „Arrival” i „Avenue Park”, bez jakichkolwiek rezultatów. Jedyna wskazówka, jaką posiada, to numer wewnętrzny, nabazgrany przez Westa obok telefonu; nie zdecydowała się dzwonić do wszystkich hoteli, bo nie chce zaalarmować Zeni, chce ją zaskoczyć. Nie chce także pytać o nią w recepcji, ponieważ czuje w kościach, że Zenia używa fałszywego nazwiska; gdyby spytała i dowiedziała się, że nie ma w hotelu gościa o takim nazwisku, jej przesiadywanie tutaj byłoby podejrzone. Poza tym, nie chce, aby zapamiętali ją pracownicy, gdyby później znaleziono Zenię konającą w kałuży krwi. Tak więc siedzi tylko i stara się wyglądać, jakby była umówiona na spotkanie w interesach.

Według jej teorii Zenia – która zazwyczaj późno wstaje – musi w końcu wstać z łóżka, musi zjechać windą w dół, musi przejść przez hol. Oczywiście niewykluczone, że Zenia zostanie w łóżku cały dzień albo wymknie się schodami przeciwpożarowymi, ale Tony liczy na typowe zachowania. Prędej czy później – zakładając, że Tony jest we właściwym hotelu – Zenia pojawi się.

I co wtedy? Tony zeskoczy albo ześlizgnie się z fotela, drobnym krokiem podejdzie do Zeni, powita ją radośnie, zostanie zignorowana; wymknie się za Zenią, kiedy ta będzie zamasyście wychodzić przez szklane drzwi. Łapiąc oddech, ze staromodną bronią i głupią wiertarką stukającymi w torbie, dogoni Zenię na chodniku. „Musimy porozmawiać”, wyrzuci z siebie Tony. „O czym?”, zapyta Zenia. W tym momencie po prostu przyspieszy kroku, a Tony będzie musiała albo truchtać komicznie, albo zrezygnować.

To koszmarna wersja scenariusza. Na samą myśl o tym Tony rumieni się z poczucia przyszłego poniżenia. Jest jeszcze inny scenariusz, w którym Tony jest przekonująca i zręczna, a Zenia przegrywa, w którym spełniają się bardziej gwałtowne, chociaż hipotetyczne fantazje Tony; znajduje się w nim miejsce dla małej, czerwonej dziurki, umiejętnie zrobionej w samym środku czoła Zeni.

Jednakże w tym momencie Tony nie bardzo w to wierzy.

Nie udaje się jej skupić na notatkach do wykładu, więc wraca do gazety, do działu biznesu, i zmusza się do lektury. „Hcyntoborzeb jecëiw. Atëinkmaz akyrbař”. Ma to przyjemne, słowiańskie brzmienie, albo fińskie, a może to język jakiegoś dzikiego plemienia z Plutona. Kiedy Tony rozsmakowuje się w tym, czuje dotknięcie dłoni na ramieniu.

– Tony, no, jesteś nareszcie! – Tony podnosi głowę i wydaje cichy okrzyk, jak gryzoń: pochyla się nad nią Zenia z ciepłym uśmiechem. – Dlaczego nie zadzwoniłaś? I dlaczego tu siedzisz? Dałam Westowi numer pokoju!

– No... – bełkocze Tony. Jej mózg stara się poskładać to wszystko. – Nabazgrał go gdzieś na papierze i zgubił. Wiesz, jaki jest. – Niezdarnie podnosi się ze skórzanego fotela, któremu najwyraźniej wyrosły chwytne macki.

– Powiedziałałam mu, żebyś natychmiast oddzwoniła – mówi Zenia. – To było po tym, jak zobaczyłam cię w „Toxique”. Chyba mnie nie rozpoznałaś! Zadzwoniłam i powiedziałam mu, że to bardzo ważne. – Już się nie uśmiecha; przybiera wyraz twarzy, który Tony dobrze pamięta, coś między niezadowoleniem a skrzywieniem z bólu, napastliwa i przerażona. To znaczy, że Zenia czegoś chce.

Tony jest czujna, skupiona wewnątrz. Potwierdzają się jej najczarniejsze podejrzenia. To najwyraźniej z góry ukartowana historia, historyjka, którą uknuła Zenia z Westem, na wypadek gdyby Tony coś zwęszyła albo wpadła na Zenię w jakimś nieprawdopodobnym miejscu, na przykład we własnej sypialni. Historia jest następująca: wiadomość jest dla Tony, nie dla Westa. To bardzo chytre, wszędzie widać odciski łap Zeni, ale West musi być w znowiu. Sprawy mają się gorzej, niż myślała Tony. Zgnilizna sięgnęła głębiej.

– No, chodź – mówi Zenia. – Pójdziemy do mojego pokoju. Zamówię kawę. – Bierze Tony pod rękę. Jednocześnie rozgląda się po holu. To spojrzenie pełne niepokoju, nawet strachu, spojrzenie, którego Tony nie powinna zobaczyć. Czy na pewno?

Wyciąga szyję, spogląda na ciągle zachwycającą twarz Zeni. W myślach maluje na niej mały czerwony krzyżyk dla oznaczenia miejsca.

Hotelowy pokój Zeni niczym się nie wyróżnia, poza obszernością i schludnością. Ta schludność jest do Zeni niepodobna. Nie widać żadnych ubrań, żadnych walizek rozrzuconych dookoła, żadnych kosmetyczek nad umywalką, o ile Tony jest w stanie zaobserwować to jednym rzutem oka. Zupełnie jakby nikt tutaj nie mieszkał.

Zenia rzuca czarny skórzany płaszcz i dzwoni po kawę, siada na pastelowozielonej kanapie w kwiaty, krzyżując nie kończące się nogi w czarnych pończochach. Sukienka, którą ma na sobie, to obcisły bezrękawnik z dzianiny, fioletowy jak ugotowane jagody. Jej ciemne oczy są przeogromne i – teraz Tony to widzi – podkrążone ze zmęczenia; na jej twarzy pojawia się ironiczny uśmiech w kolorze śliwkowym. Tutaj wydaje się spokojniejsza niż w holu. Unosi brew, spoglądając na Tony.

– Długo się nie widziałyśmy – mówi.

Tony jest zakłopotana. Jak ma to rozegrać? Błędem byłoby okazanie złości: to by zaniepokoiło Zenię, obudziło jej czujność. Tony tasuje karty w głowie i odkrywa, że właściwie nie jest zła, nie w tej chwili. Jest raczej zaintrygowana i zaciekawiona. Górę bierze w niej historyk.

– Dlaczego sfingowałaś śmierć? – pyta. – Po co to wszystko z prochami i fałszywym adwokatem?

– Adwokat był prawdziwy – odpowiada Zenia, wydmuchując dym. – On w to uwierzył. Prawnicy są tacy łatwowierni.

– I? – napiera Tony.

– I musiałam zniknąć. Uwierz mi, miałam powody. To nie były tylko pieniądze! Zniknęłam. Przygotowałam sześć ślepych uliczek dla tych, którzy próbowaliby mnie szukać, ale ten durny Mitch włókł się za mną, nie chciał dać za wygraną. Był tak cholernie uparty! Też miał pieniądze, wynajmował ludzi, wcale nie amatorów. Znalazłby mnie, był bardzo blisko. Ludzie o tym wiedzieli, tamci ludzie, ci, których nie chciałam widzieć. Byłam niedobrą dziewczyną, handlowałam bronią, aż okazało się, że towar znalazł się nie tam, gdzie obiecałam. Nie polecam tego – faceci od broni wścibiają nos, szczególnie Irlandczycy. Lubią się mścić. Wpadli na pomysł, że będą jedynie obserwować Mitcha, a on prędzej czy później mnie odnajdzie. To jego musiałam przekonać, żeby zrezygnował. Żeby dał spokój.

– Dlaczego w Bejrucie? – pyta Tony.

– Gdybyś chciała przypadkiem wysadzić się w powietrze, nie znajdziesz lepszego miejsca – odpowiada Zenia. – Tam były girlandy z ludzkich ciał; setek ludzi nigdy nie zidentyfikowano.

– Wiesz, że Mitch się zabił z twojego powodu – mówi Tony.

– Tony, kiedy ty dorosniesz? – wzdycha Zenia. – Nie z mojego powodu. To była tylko wymówka. Myślisz, że nie czekał na kogoś? Powiedziałabym, że nawet przez całe życie.

– Roz mówi, że to przez ciebie – niezręcznie oponuje Tony.

– Mitch mi powiedział, że spać z Roz to jak iść do łóżka z betoniarką –

oznajmia Zenia.

– To okrutne – mówi Tony.

– Tylko cytuję – chłodno ripostuje Zenia. – Mitch był gnidą. Roz lepiej jest bez niego.

Tony myśli, że robią się sobie zbyt bliskie. Czuje, że się uśmiecha; uśmiecha i osuwa z powrotem w ten stan, który tak dobrze pamięta. Partnerstwo. Przyjaźń. Współdziałanie.

– Po co miałyśmy być na pogrzebie? – pyta Tony.

– Dekoracja – odpowiada Zenia. – Musiał być ktoś bliski. Wiesz, starzy przyjaciele. Pomyślałam, że wam się spodoba. O czymkolwiek wiedziała Roz, wiedział też Mitch. Ona już tego dopilnowała! Zależało mi tylko na nim. On jednak uciekł. Chyba oszalał z żalu.

– Było mnóstwo facetów w prochowcach – mówi Tony.

– Jeden z nich był ode mnie – opowiada Zenia. – Sprawdzał dla mnie, kto przyszedł. Paru było z opozycji. Płakałyście?

– Ja nie płaczę – odpowiada Tony. – Charis trochę pociągała nosem. – Wstydzi się teraz tego, co w trójkę mówiły, tego, jak były radosne i złośliwe.

Zenia śmieje się i mówi, że Charis zawsze była beksą.

Rozlega się stukanie do drzwi.

– To kawa – mówi Zenia. – Mogłabyś odebrać?

Tony domyśla się, że Zenia może mieć kilka powodów, by nie otwierać drzwi. Po plecach przebiega jej dreszcz.

To rzeczywiście jest kawa; przynosi ją niski mężczyzna o brązowej twarzy. Mężczyzna uśmiecha się i Tony dopisuje napiwek do rachunku; zamyka delikatnie drzwi i zakłada łańcuch. Zenię trzeba chronić przed siłami, które jej zagrażają. Tony ją chroni. W tym momencie, w tym pokoju, gdy Zenia w końcu ucieleśniła się, Tony nie pamięta, co robiła przez ostatni tydzień – nie pamięta, że ogarnięta furią czatowała z pistoletem w torebce, samolubnie planując sprzątnąć Zenię. Dlaczego miałaby tego chcieć? Ona czy ktokolwiek? Zenia przechodzi przez życie niby galeon rozpruwający dziobem fale. Jest wspaniała, wyjątkowa. Jest ostrzem.

– Mówiłaś, że chcesz ze mną porozmawiać – odzywa się Tony, rozpoczynając rozmowę.

– Chcesz rumu do kawy? – Nie? – pyta Zenia. Otwiera buteleczkę wyjętą z mini-barku, nalewa sobie kropelkę. Zapala papierosa. Marszczy brwi i zniża głos konfidencjonalnie. – Tak. Chciałam cię prosić o przysługę. Tylko do ciebie mogłam z tym przyjść, naprawdę.

Tony czeka. Znowu ma się na baczości. „Uważaj”, mówi do siebie.

Powinna stąd wyjść, natychmiast! Nie zaszkodzi jednak posłuchać, prawda? Chętnie się dowie, czego chce Zenia. Prawdopodobnie pieniędzy. Tony zawsze może powiedzieć nie.

– Muszę tylko gdzieś się zatrzymać – mówi Zenia. – Nie tutaj, to nie jest dobre miejsce. Pomyślałam o tobie. Tylko parę tygodni.

– Dlaczego? – pyta Tony.

Zenia porusza niecierpliwie rękami i rozrzuca popiół.

– Bo szukają mnie! Nie Irlandczycy, oni zgubili ślad. Inni ludzie. Jeszcze ich tu nie ma, w tym mieście, ale dotrą i tutaj. Wynajmą miejscowych zawodowców.

– Więc dlaczego nie mieliby sprawdzić mojego domu? – pyta Tony. – Czy nie szukaliby najpierw właśnie u mnie?

Zenia śmieje się. Znajomy śmiech, ciepły, czarujący, niedbały, pogardliwy wobec głupoty innych.

– To ostatnie miejsce! – mówi. – Odrobili dobrze zadanie domowe. Wiedzą, że mnie nienawidzisz! Ty jesteś żoną, ja byłam narzeczoną. Nie uwierzą, że mogłabyś mnie wpuścić!

– Zenia – pyta Tony. – Kim dokładnie są ci ludzie i dlaczego ciebie szukają?

Zenia wzrusza ramionami.

– Typowa sprawa – mówi. – Za dużo wiem.

– Oj, daj spokój – denerwuje się Tony. – Nie jestem dzieckiem. Za dużo o czym? I nie mów, że będzie lepiej dla mnie, jak nic nie usłyszę.

Zenia pochyła się do przodu. Zniża głos.

– Czy nazwa plan „Babilon” mówi ci coś? – pyta. Musi wiedzieć, że tak; wie, czym zajmuje się Tony. – Superbroń dla Iraku – dodaje.

– Gerry Bull – odpowiada Tony. – Geniusz balistyki. Oczywiście. Został zamordowany.

– Mówiąc delikatnie – dodaje Zenia. – Cóż. – Wydmuchuje dym, spoglądając na Tony nieomal bojaźliwie.

– Nie zastrzeliłaś go! – wykrzykuje Tony z przerażeniem w głosie. – To nie ty! – Nie może uwierzyć, że Zenia naprawdę kogoś zabiła. Nie: nie wierzy, że osoba siedząca naprzeciw niej, w realnym pokoju, w realnym świetle, naprawdę kogoś zabiła. Takie rzeczy dzieją się za kulisami, gdzie indziej; należą do przeszłości. Tutaj, w tym neutralnym pokoju o kalifornijskich kolorach, ze spokojnymi meblami, byłby to anachronizm.

– Nie ja – mówi Zenia. – Ale wiem, kto to zrobił. – Zapala następnego papierosa, właściwie odpala od poprzedniego. Powietrze dookoła jest szare,

Tony lekko kręci się w głowie.

– Izraelczycy – mówi Tony. – Za Irak.

– Nie Izraelczycy – szybko zaprzecza Zenia. – To przykrywka. Byłam tam, należałam do spisku. Można powiedzieć, że byłam jedynie łącznikiem, ale wiesz, co się dzieje z tymi, co przynoszą wiadomości.

Tony istotnie wie.

– Och – wzdycha. – O rany.

– Moją jedyną szansą – ożywia się Zenia – jest opowiadanie wszystkiego jakiejś gazecie. Absolutnie wszystkiego! Wtedy nie będzie sensu mnie zabijać, prawda? Poza tym, mogłabym co nieco zarobić, nie mówię, że pieniądze by się nie przydały. Jednakże nikt mi nie uwierzy bez dowodów. Nie martw się, mam dowód; nie w tym mieście, ale jest już w drodze. Pomyślałam więc, mogłabym się ukryć u ciebie i Westa, aż to coś przybędzie. Wiem jak i kiedy. Będę naprawdę cicho, nie potrzebuję niczego poza śpiworem, mogłabym spać na górze, w pracowni Westa...

Tony nagle robi się czujna. Słowo „West” pulsuje jej w głowie: oto klucz, tego naprawdę chce Zenia; skąd Zenia wie, że West ma pracownię i że ona jest na drugim piętrze? Nigdy nie była w domu Tony. A może była?

Tony wstaje. Nogi się pod nią uginają, jakby właśnie odciągnięto ją od skrajną przepaści. Znowu nieomal dała się nabrać! Ta cała historia z Gerrym Bullem to jedno wielkie kłamstwo. Bujda na resorach. Obojętnie kto mógłby coś takiego wymyślić, czytając „Jane’s Defence Weekly” i „The Washington Post”; Zenia – znająca słabości Tony, jej upodobanie do nowych technologii zbrojeniowych – musiała właśnie tak zrobić.

Nie ma żadnej wendety, nie ma żadnych „ich”, nikt Zeni nie ściga, chyba że konduktor. Ona chce włamać się do zamku Tony, do jej opancerzonego domu, jej jedyne bezpieczne schronienie, i wydobyć Westa, jak ślimaka ze skorupy. Chce go żywego, wijącego się, nadzianego na widelec.

– Myślę, że to nie będzie możliwe – oświadcza Tony, starając się panować nad głosem. – Muszę już iść.

– Nie wierzysz mi, co? – pyta Zenia. Jej twarz znieruchomiała. – Proszę bardzo, ulżyj sobie pogardą, ty smarku. Zawsze byłeś najokropniejszą hipokrytką o dwóch twarzach, Tony. Kołtuński pies ogrodnika, małe gówno sznurujące usta o megalomańskich pretensjach. Myślisz, że masz umysł do wielkich spraw, ale oszczędź mi! W sercu jesteś tchórzem, kryjesz się w tym burżuazyjnym kojcu z kolekcją ran wojennych, siedzisz na Weście, jakby był jajkiem, co je sama, kurwa, zniosłaś! Założę się, że zanudził się na śmierć, ale tylko tobie mógł wetknąć swojego nudnego kutasa! Jezu, musi się czuć, jakby

rznął wiewiórkę.

Słodki, aksamitny płaszcz Zeni opadł, odsłaniając szorstką brutalność. To jak uderzenie pięścią. Tony stoi na środku pokoju, zamyka i otwiera usta. Nie wydobywa żadnych dźwięków. Wokół zamykają się szklane ściany. Napada ją myśl o bezużytecznym rewolwerze w torbie, bezużytecznym: Zenia ma rację, nigdy nie mogłaby nacisnąć spustu. Wszystkie jej wojny są hipotetyczne. Nie jest zdolna do prawdziwego działania.

Twarz Zeni zmienia się teraz ze złośliwej w przebiegłą.

– Wiesz, ciągle mam tę pracę semestralną, o której pewnie zapomniałaś. Handel rosyjskimi niewolnikami, prawda? Te wszystkie trupy na papierze to jakby twoja odmiana sadyzmu, źle ulokowanego. Jesteś fotelowym nekrofilem, wiesz? Powinnaś kiedyś spróbować z prawdziwym trupem! Może powinnam wysłać tę pracę do twojego kochanego Wydziału Historii, nasrać ci w papiery, malutki skandal! Bardzo bym chciała! Ile kosztuje akademicka uczciwość?

Tony czuje, jak tępe przedmioty przelatują ze świstem wokół jej głowy, jak ziemia usuwa się jej spod nóg. Wydział Historii byłby zachwycony, byłiby niewymownie szczęśliwi, mogąc ją zdyskredytować i skreślić z listy pracowników. Ma kolegów, ale nie sprzymierzeńców. Ruiny mającą we mgle. Zenia to chodzące zło; pragnie zniszczenia, pragnie wypalonej ziemi, rozbitego szkła. Tony próbuje spojrzeć na sytuację z dystansu, jakby wydarzyła się dawno temu, jakby ona i Zenia były jedynie dwiema figurkami na sypiącej się makiecie. Może właśnie tym jest historia, kiedy faktycznie się dzieje: rozwścieczeni, krzyczący na siebie ludzie.

Zapomnij o konwenansach. Zapomnij o godności. Daj chodu. Tony niepewnie idzie do drzwi.

– Do widzenia – mówi tak stanowczo, jak tylko może, ale jej głos w jej własnych uszach brzmi jak pisk. Przez chwilę szamocze się z łańcuchem. Gdy wypada na korytarz, spodziewa się, że usłyszy dziki ryk, uderzenie ciężkim przedmiotem o drzwi. Nic się nie dzieje.

Zjeżdża windą z dziwnym uczuciem, że jedzie do góry; płacze się po holu jak pijana, wpadając na skórzane meble. W recepcji melduje się grupa mężczyzn. Płaszcz, aktówki, chyba jakiś zjazd. Przed sobą widzi niewyraźnie kompozycję z kwiatów. Wyciąga rękę, obserwuje lewą dłoń, jak odłamuje gałązkę. Coś pomalowanego na fioletowo. Kieruje się do drzwi, ale natrafia na niewłaściwe, wychodzące na patio i fontannę. To nie jest wyjście. Gubi się, krąży w przestrzeni – świat wizualny wygląda jak wymieszany. Lubi mieć wszystko dobrze poukładane w głowie, ale teraz jest od tego daleka.

Wpycha ukradzioną gałązkę do torby i idzie w kierunku drzwi frontowych,

przechodzi przez nie i w końcu znajduje się na zewnątrz. Wciąga zimne powietrze. Na górze było tyle dymu. Potrząsa głową, próbując zebrać myśli. Czuje się, jakby przebudzona ze snu.

W niezupełnie wierny sposób Tony opowiada to Roz i Charis. Opuszcza część dotyczącą pracy semestralnej, chociaż skrupulatnie powtarza wszystkie złe rzeczy, jakie Zenia o niej powiedziała. Mówi o pistolecie, który ma pewną wagę, ale opuszcza wiertarkę, która nie jest ważna. Opowiada o własnej sromotnej ucieczce. Na koniec wyciąga fioletową gałązkę jako dowód.

– To szaleństwo – mówi. – I pomyśleć, że mogłam ją zabić.

– Wcale nie takie szaleństwo – odzywa się Roz. – W każdym razie chciałeś ją zabić. Ona tak okrutnie postępuje z ludźmi. Miałaś szczęście, że udało ci się z tego wyjść cało, o to mi chodzi.

Tak, myśli Tony, oglądając swoje ciało. Nie brakuje niczego.

– Nadal masz broń w torebce? – pyta niespokojnie Charis. Nie chciałyby, aby tak niebezpieczny przedmiot ścierał się z jej aurą.

– Nie – odpowiada Tony. – Po tym wszystkim wróciłam do domu i zostawiłam ją.

– Dobry plan – mówi Roz. – Teraz ty, Charis, ja będę ostatnia.

– Nie wiem, czy powinnam opowiedzieć o wszystkim – waha się Charis.

– Czemu nie? – pyta Roz. – Tony powiedziała. Ja też zamierzam. No, już, nie mamy tajemnic!

– Ale... – zaczyna Charis. – Jest coś, co na pewno ci się nie spodoba.

– Cholera, chyba nic mi się nie spodoba – odpowiada jowialnie Roz. Mówi trochę za głośno. Charis przypomina się dawna Roz, ta, która malowała szminką twarz na brzuchu i tańczyła w świetlicy McClung Hall. Może Roz robi się nadpobudliwa.

– To o Larrym – wyznaje z trudem Charis.

Roz natychmiast trzeźwieje.

– W porządku, kochanie – mówi. – Jestem już duża.

– Nikt nie jest – odpowiada Charis. – Nie do końca. – Bierze głęboki oddech.

Po tym jak Zenia pojawiła się tamtego dnia w „Toxique”, Charis nieomal przez tydzień zastanawiała się, co powinna zrobić. W istocie wiedziała, co zrobić, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Poza tym musiała wzmocnić się duchowo,

ponieważ spotkanie z Zenią nie będzie zwyczajną sprawą.

Wyobraziła sobie swoją walkę z Zenią. Zenia strzela czerwonymi jak krew iskrami; jej czarne włosy trzaskają jak palący się tłuszcz, białka oczu robią się wiśniowe, są rozświetlone od środka, jak oczy kota w blasku reflektorów. Z drugiej strony Charis jest spokojna, wyprostowana, otoczona delikatną poświatą. Stoi w kręgu narysowanym kredą, aby powstrzymać złe wibracje; unosi ramiona ku górze, przywołując niebo, z jej wnętrza wydobywa się głos brzmiący jak dzwoni: „Co zrobiłaś Billy’emu?”

Zenia szamocze się, wije i opiera, ale zostaje pokonana dzięki przewadze pozytywnego pola siłowego Charis; jest zmuszona do odpowiedzi.

Charis nie była jednak wystarczająco silna jak na taką próbę sił. Może sama nigdy w sobie tych sił nie znajdzie. Będzie musiała pożyczyć jakąś broń od przyjaciółek. Nie, nie broń; jedynie zbroję, ponieważ nie wyobraża sobie siebie jako strony atakującej. Nie chciała zranić Zeni, prawda? Chciała tylko, aby Zenia oddała to, co ukradła: życie Charis, jej lata spędzone z Billym. Chciała tego, co jej się słusznie należało. To wszystko.

Przeszukała kartony w małym pokoju na piętrze, który kiedyś był magazynem, później pokojem Zeni, później August, teraz pokojem gościnnym, jeżeli byli jacyś goście. Faktycznie nadal należał do August; mieszkała w nim, gdy przyjeżdżała na niedzielę. W kartonach było sporo rzeczy, których Charis nigdy nie używała i które chciała wykorzystać. Znalazła prezent gwiazdkowy od Roz – przerażające rękawiczki, skórzane, oblamowane prawdziwym futrem, skóra martwego zwierzęcia; nigdy nie mogła ich nosić. Znalazła książkę od Tony, przez nią samą napisaną: *Cztery przebrane sprawy*. Wszystko było o wojnie i zabijaniu, septyczne tematy, Charis nigdy nie potrafiła tym się zainteresować.

Zabrała książkę i rękawiczki na dół. Położyła je na małym stoliku pod oknem w dużym pokoju – będzie na nie świecić słońce i odczaruje cienie – a obok nich geodę ametystu; to wszystko otoczyła suszonymi płatkami nagietków. Do tej kompozycji, po pewnym namyśle, dodała Biblię babci, zawsze pomocną, i grudkę ziemi z ogrodu. Nad tym zbiorem medytowała dwa razy dziennie po dwadzieścia minut.

W ten sposób chciała wchłonąć pozytywne cechy swych przyjaciółek, te, których jej brakowało. Od Tony chciała jasności umysłu, od Roz dobrego metabolizmu i umiejętności planowania, a także ostrego języka, aby odciąć się skutecznie, kiedy Zenia zacznie ją obrażać. Od grudki ziemi chciała podziemnej potęgi. Od Biblii, czego? Obecności babki: jej dłoni, jej błękitnego

uzdrawiającego światła. Płatki nagietków i ametyst miały skupić te różne energie i ukierunkować je. Myślała o czymś skoncentrowanym jak promień lasera.

W pracy Shanita zauważa, że Charis jest bardziej rozkojarzona niż zwykle.

- Coś cię martwi? – pyta.
- Tak jakby – odpowiada Charis.
- Postawić ci pasjansa?

Zajęte są projektowaniem wnętrza nowego sklepu, a raczej Shanita jest zajęta, a Charis podziwia rezultaty. W oknie powieszają duży szyld z brązowego papieru z nazwą sklepu wypisaną kredką.

– Dziecięcym pismem – mówi Shanita: „Okazja”. Na obu końcach będzie wielka kokarda, także z brązowego papieru, ze zwisającymi girlandami z taśmy do pakowania. – Chodzi o to, żeby wszystko wyglądało na zupełnie prymitywne – tłumaczy Shanita. – Jak zrobione w domu. Rozumiesz, to znaczy tanio. – Zamierza sprzedać klonowe gabloty i zastąpić je nowymi, zrobionymi z surowych desek, ze sterczącymi gwoździami. Takimi jak skrzynki na owoce, mówi. – Możemy zostawić niektóre kamienie i zioła, ale będziemy je trzymać z tyłu, nie w oknie. Luksus nie jest naszym drugim imieniem.

Shanita jest zajęta zamawianiem nowego towaru: małe zestawy do robienia doniczek z makulatury, zestawy do własnoręcznego sklejania kartek świątecznych z wycinków z magazynów oraz kartek z suszonymi kwiatami razem z folią do hermetycznego pakowania za pomocą suszarki; kompostowniki do odpadków kuchennych z organicznymi, drewnianymi pokrywkami; komplety igieł do robienia koronek z wzorami kwiatów z osiemnastego wieku – gotowe kosztują fortunę; piękne, drewniane ręczne młynki do kawy z szufladką na zmieloną kawę. Skończyło się szaleństwo elektrycznych urządzeń. Wróciła ciężka praca.

– Potrzebujemy rzeczy służących do wytwarzania innych rzeczy, za które normalnie musielibyśmy zapłacić dużo więcej – wyjaśnia Shanita. – Oszczędzanie to nasza linia. Boże, poznałam to na własnej skórze od drugiej strony. Rzecz w tym, że nikt nigdy mi nie powiedział, co można zrobić z milionem gumek aptekarskich.

Postanowiła także zmienić ich stroje: kwieciste pastele zastąpią płóciennymi, ciesielskimi fartuchami, w beżu, a z brązowego papieru zrobią czworokątne czapki. Aby dopełnić obrazu, wetkną za ucho ołówek.

- Na znak, że poważnie podchodzimy do sprawy – mówi Shanita.

Pomimo podziwu, z jakim to przyjmuje, ponieważ wszelka twórczość

wymaga wsparcia, a działanie Shanity z pewnością jest twórcze, Charis nie jest pewna, czy się do tego dopasuje. Trudno będzie się przestawić, ale będzie musiała spróbować, bo gdzie znajdzie pracę odpowiednią dla siebie? Może nawet nie dostać skierowania do pracy; nie żeby chciała, nie uważa, aby alfabet był właściwym sposobem klasyfikacji. Jeżeli zostanie, będzie musiała być bardziej przekonująca, będzie musiała być stanowcza. Trzymać się mocno. Sprzedawać aktywnie. Shanita mówi, że personel i konkurencyjne ceny to przyszłość. To oraz jak najniższe koszty własne. Przynajmniej nie mają długów.

– Dzięki Bogu, nigdy dużo nie pożyczałam – mówi. – Zresztą banki nie dałyby mi pożyczki. Oto dlaczego.

– Dlaczego nie? – pyta Charis.

Shanita potrząsa włosami – dzisiaj upięła je w długie, lśniące ogony – i spogląda na nią wyrzutem.

– Zgadnij, do trzech razy sztuka.

Po południu robią sobie przerwę, Shanita przyrządza napój cytrynowy z zapasów w magazynie i kładzie pasjansa dla Charis.

– Wielkie wydarzenie, już wkrótce – mówi. – Co widzisz... twoja karta to Królowa Kielichów, tak? Leży na tobie Wysoka Kapłanka. Czy to coś znaczy?

– Tak – odpowiada Charis. – Wygram?

– Co znaczy to wygram? – pyta Shanita, uśmiechając się do niej. – Po raz pierwszy słyszę u ciebie takie słowo! Może już czas, żebyś zaczęła go używać. – Przygląda się kartom, kładzie ich więcej. – Wygląda, jakbyś wygrywała – mówi. – W każdym razie nie przegrasz. Ale! Jest śmierć. Nie można jej unikać.

– Nie August! – wybuchła Charis. Stara się sama zajrzeć w karty: Wieża, Królowa Mieczy, Magik, Głupiec, ale nigdy nie dawała sobie rady z kartami.

– Nie, nie w jej pobliżu – uspokaja Shanita. – To starsza osoba, to znaczy starsza od niej, jednakże w jakiś sposób z tobą związana. Nie będziesz widziała tej śmierci, ale będziesz jedną z osób, które ją odkrywają.

Charis jest przerażona. Billy, to na pewno on. Pójdzie zobaczyć się z Zenią i Zenia powie jej, że Billy nie żyje. Tego zawsze się bała, ale lepsze to niż niewiedza. Ma to też dobre strony, bo kiedy przyjdzie jej kolej na przejście i znajdzie się w ciemnym tunelu, w pieczarze, w łodzi, i zobaczy przed sobą światło, to właśnie głos Billy'ego usłyszy pierwszy. To on będzie jej pomagał po drugiej stronie. Będą razem; Billy nie mógłby się z nią spotkać, gdyby nie umarł pierwszy.

Myśl, że Wysoka Kapłanka jest ponad nią, pomaga jej. Odpowiada jej to także dlatego, że nadszedł wreszcie wybrany dzień, dzień odpowiedni do tego, by spotkać się z Zenią. Zdała sobie z tego sprawę, gdy tylko wstała, gdy tylko wbiła – jak co dzień – szpilkę w Biblię. Szpilka wybrała Apokalipsę, rozdział siedemnasty, o Wielkiej Nierządniczy: „Niewiasta była odziana w purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogi kamień i perły, miała w swej ręce złoty puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu. A na jej czole wypisane imię – tajemnica: WIELKI BABILON. MACIERZ NIERZĄDNIC I OBRZYDLIWOŚCI ZIEMI”.

Charis ujrzała pod powiekami kształt, zarys – szkarłatny obrys, iskrzenie światła twardego jak diament. Nie widziała twarzy, ale czy to mógł być ktoś inny niż Zenia?

– Dlatego pomyślałam, że to takie... no, właściwe – mówi Charis do Tony.

– Co? – pyta cierpliwie Tony.

– To, co powiedziałś o planie „Babilon”. To nie może być tylko zbieg okoliczności, prawda?

Tony otwiera już usta i chce powiedzieć, że może, ale milczy, ponieważ Roz trąca ją pod stołem.

– Mów dalej – Roz zachęca Charis.

Charis brnie przez miasto, wdychając unoszące się w powietrzu zanieczyszczenia. Mija „BamBoo Club” z gorącymi, karaibskimi grafikami, mija „Zephyr” z muszlami i kryształami – gdzie zazwyczaj się zatrzymuje, ale dzisiaj idzie dalej, zaledwie rzucając okiem – mija księgarnię z komiksami „Dragon Lady”; spieszy się, ponieważ ma ograniczony czas. To jej przerwa na lunch. Zazwyczaj nie ma zbyt wiele czasu na lunch, ponieważ w przerwie obiadowej jest największy ruch. Jednakże właśnie zamknęły sklep na kilka dni, aby zainstalować papierowe kokardy i nowe lady, więc może zrobić wyjątek. Poprosiła Shanię o dodatkowe pół godziny; odrobi to, zostając dłużej, kiedy otworzą. Dzięki temu zdąży dotrzeć do Arnold Garden Hotel, żeby zobaczyć się z Zenią i zapytać ją o to, o co musi zapytać, żeby wydobyć z niej odpowiedź – zakładając oczywiście, że Zenia jest w hotelu. Zawsze może się zdarzyć, że wyszła.

Kiedy ubierała się dzisiaj rano, kiedy myła się w zimnej łazience, uświadomiła sobie, że chociaż zna nazwę hotelu, to nie zna numeru pokoju. Może jednak wejść do hotelu i rozejrzeć się, pochodzić korytarzami, podotykać klamek; może wyczuje prąd, dotykając metalu, opuszki palców zareagują na

obecność Zeni za właściwymi drzwiami. W hotelu będzie jednak pełno ludzi, a inni ludzie też wytwarzają energię statyczną – łatwo się pomylić.

Kiedy płynęła promem, przyszło jej do głowy, że jest osoba, która z całą pewnością wie, w którym pokoju zatrzymała się Zenia. Larry, syn Roz, będzie wiedział, ponieważ Charis widziała, jak oboje wchodzili do tego hotelu.

– To jest to, o czym nie chciałam ci powiedzieć – mówi Charis do Roz. – Byli w „Toxique”. Czekałam w „Kafay Nwar”, naprzeciw. Widziałam, jak wyszli. Poszłam za nimi. Za Zenią i Larrym.

– Ty poszłaś za nimi? – Roz przeczuwała, że ktoś inny też ich śledził i nawet wiedziała kto.

– Chciałam tylko zapytać ją o Billy’ego – odpowiada Charis.

– Oczywiście, że tak! – mówi Roz i poklepuje ją po rękę.

– Widziałam, jak całowali się na ulicy – dodaje przepraszająco Charis.

– Już w porządku, kochanie – uspokaja Roz. – Nie martw się o mnie.

– Charis! – mówi Tony z podziwem. – Jesteś o wiele sprytniejsza, niż myślałam! – Myśl o Charis tropiącej Zenię przepełnia ją radością, ponieważ to jest takie nieprawdopodobne. Jeżeli Zenia podejrzewała kogoś, że ją śledzi, to na pewno nie Charis.

Kiedy Charis zjawiła się rano w sklepie, skorzystała z tego, że Shanita wyszła rozmiąć pieniądze, i zadzwoniła do domu Roz. Pomyślała, że o tej porze telefon musi odebrać Larry, ponieważ bliźniaczki są w szkole, a Roz w pracy. Miała rację, to był Larry.

– Cześć, Larry, tu ciocia Charis – powiedziała. Czuli się głupio, nazywając siebie ciocią, ale ten zwyczaj zapoczątkowała Roz, kiedy dzieci były małe, i tak zostało.

– Och, cześć, ciociu – odpowiedział Larry. Był trochę zaspany. – Mama jest w pracy.

– Tak, ale to z tobą chciałam porozmawiać – wyjaśniła Charis. – Szukam Zeni. Wiesz, Zeni, może pamiętasz ją z czasów, gdy byłeś mały. (Zastanawia się, jak mały był wtedy Larry. Nie taki mały. Ile Roz powiedziała mu o Zeni? Ma nadzieję, że niedużo.) – Byliśmy razem na studiach. Mam się z nią spotkać w Arnold Garden Hotel, ale zgubiłam numer pokoju. – To było wierutne kłamstwo; czuła się winna, a jednocześnie nienawidziła Zeni za to, że postawiła ją w takiej sytuacji. Taka właśnie była Zenia: zmuszała do działania w swoim stylu.

Zapadła długa chwila ciszy.

– Dlaczego mnie ciocia pyta? – odezwał się w końcu Larry ostrożnie.

– Och – odpowiedziała Charis, udając zwykłą dla siebie niedbałość. – Ona wie, jaką mam słabą pamięć! Wie, że nie jestem najlepiej zorganizowana. Powiedziała, że gdybym zgubiła numer, to mam zadzwonić do ciebie. Powiedziała, że będziesz wiedział. Przepraszam, jeżeli cię obudziłam – dodała.

– To głupio z jej strony – rzekł Larry. – Nie jestem jej sekretarką. Czemu ciocia nie zadzwoni do hotelu? – Jak na Larry’ego było to dziwnie opryskliwe. Z zasady był grzeczny.

– Zadzwoniłabym – odparła Charis – ale, no, wiesz, teraz inaczej się nazywa, obawiam się, że wyleciało mi z głowy jej nowe nazwisko. – To blef – to nowe nazwisko – ale trafiony. Tony powiedziała kiedyś, że Zenia prawdopodobnie zmienia nazwisko co rok, a Roz na to, że co miesiąc i że pewnie wstąpiła do Klubu Nazwiska Miesiąca.

– Jest w 1409 – powiedział nadąsany Larry.

– Och, pozwól, że zapiszę – poprosiła Charis. – Tysiąc czterysta dziewięć? – Chciała, aby wyglądało na to, że jest roztargniona i że ma krótką pamięć, jak stare próchno, a przynajmniej, że jej to wkrótce grozi. Nie chciała, aby Larry zadzwonił do Zeni i ostrzegł ją.

Nie uszło jej uwagi znaczenie numeru pokoju. Hotele, jak wie, nigdy nie numerują trzynastego piętra, ale mimo to, ono istnieje. Czternaste jest w rzeczywistości trzynastym. Zenia mieszka na trzynastym piętrze. Cały pech może być jednak zrównoważony przez dziewiątkę, gdyż dziewięć to liczba Bogini. Pech przyłgnie do Zeni, a szczęście do Charis, ponieważ Charis jest czysta w sercu – przynajmniej stara się, a Zenia nie. Obmyślając plan i odziewając się w światło, Charis dociera do Arnold Grand Hotel. Przechodzi pod onieśmielającą markizą i przez połyskujące mosiądzem szklane drzwi, jakby były całkiem zwyczajne.

Zatrzymuje się na chwilę w holu, łapiąc oddech, orientuje się w położeniu. Hol nie jest zły, chociaż jest tu wiele mebli z zamordowanych zwierząt; z zadowoleniem spostrzega, że jest tu także coś w rodzaju roślinnego ołtarza: suszone kwiaty. Za szklaną taflą drzwi jest fontanna w ogrodzie, ale nie włączona. Lubi, kiedy miasto zwraca się ku naturze.

Nagle nachodzi ją odbierająca odwagę myśl. A jeżeli Zenia nie ma duszy? Muszą istnieć tacy ludzie, ponieważ teraz żyje na ziemi więcej ludzi niż kiedykolwiek, od zarania ludzkości, a skoro dusze krążą, to muszą być osobnicy, którzy są ich pozbawieni, jak w zabawie z krzesłami – dla kogoś nie starcza. Może właśnie taka jest Zenia: bez duszy, zupełnie jak skorupa. W takim razie,

jak Charis sobie z nią poradzi?

Ta myśl ją paraliżuje. Charis stoi nieruchomo pośrodku holu, jest w pułapce. Nie ma już odwrotu. Zamyka oczy i przywołuje obraz swego ołtarza, z rękawiczkami, ziemią i Biblią; wzywa moce. Otwiera oczy i czeka na znak. W jednym z narożników holu stoi duży szafkowy zegar. Dochodzi południe. Charis patrzy, jak obie wskazówki zachodzą na siebie i sterczą prosto. Idzie w kierunku windy. Z każdym piętrem serce bije jej coraz mocniej.

Na czternastym piętrze, a w rzeczywistości na trzynastym, staje przed pokojem 1409. Czerwonoszare światło sączy się przez szparę pod drzwiami, odpychając ją z namacalną siłą. Dotyka dłonią drewna drzwi, które wibrują bezgłośnie groźbą. To jak pociąg jadący w oddali albo powolny wybuch bardzo daleko. Zenia musi być w środku.

Charis stuka.

Po chwili – podczas której wyczuwa na sobie oko Zeni, spoglądające przez wizjer – Zenia otwiera drzwi. Ma na sobie hotelowy szlafrok, głowę ma zawiniętą w ręcznik. Musiała brać prysznic. Nawet w turbanie z ręcznika jest niższa, niż pamięta Charis. To przynosi ulgę.

– Zastanawiałam się, kiedy przyjdiesz – odzywa się.

– Tak? – dziwi się Charis. – Skąd wiedziałaś?

– Larry powiedział mi, że jesteś w drodze – mówi Zenia. – Wejdz. – Głos ma beznamiętny, twarz zmęczoną. Charis dziwi jej podstarzały wygląd – może to dlatego, że nie ma makijażu. Gdyby Charis nie wyciągnęła takich wniosków, pomyślałaby, że Zenia jest chora.

W pokoju panuje bałagan.

– Poczekaj – przerywa jej Tony. – Powiedz to jeszcze raz. Byłaś tam w południe i w pokoju panował bałagan?

– Zawsze była bałaganiarą, kiedy mieszkała u mnie na Wyspie – mówi Charis. – Nigdy nie pomagała przy zmywaniu i tak dalej.

– Kiedy byłam tam wcześniej, wszystko było uporządkowane – dziwi się Tony. – Łóżko pościelone. Wszystko.

– No... nie było – zaprzecza Charis. – Na podłodze leżały poduszki, łóżko było rozwalone. Brudne filizanki po kawie, chrupki, ubrania walały się dookoła. Na ławie było rozbite szkło, na dywanie też, jak po całonocnej imprezie.

– Jesteś pewna, że to był ten sam pokój? – pyta Tony. – Może straciła nerwy i rozbiła parę szklanek.

– Musiała wrócić do łóżka po twoim wyjściu – domyśla się Roz.

Wszystkie zastanawiają się nad tym. Charis kontynuuje opowiadanie.

W pokoju panuje bałagan. Zasłony w kwiaty są do połowy zaciągnięte, jakby miały chronić przed światłem. Zenia stąpa między przedmiotami leżącymi na podłodze, siada na kanapie, podnosi papierosa, jednego spośród wielu rozrzuconych wśród odłamków szkła na ławie.

– Wiem, że nie powinnam palić – mruczy do siebie – ale teraz to już nie ma znaczenia. Siadaj, Charis. Ciesz się, że przyszedłaś.

Charis siada w fotelu. Nie jest to konfrontacja, jaką sobie wyobrażała. Zenia nie próbuje się wymknąć, wydaje się raczej umiarkowanie zadowolona z wizyty Charis. Charis przypomina samej sobie, że ma zapytać o Billy’ego, gdzie jest, czy żyje. Trudno jej jednak skoncentrować się na Billym, już prawie nie pamięta, jak Billy wyglądał, podczas gdy Zenia siedzi tutaj w pokoju. Jakie to dziwne, widzieć ją w końcu żywą.

Zenia uśmiecha się słabo.

– Byłaś dla mnie taka dobra – mówi. – Zawsze chciałam cię przeprosić, że tak odeszłam, bez pożegnania. To było zupełnie bezmyślne z mojej strony. Jednakże za bardzo się od ciebie uzależniłam, pozwalałam ci próbować mnie leczyć, zamiast samej tchnąć w siebie energię. Musiałam się wydostać, uciec dokądś, pobyć sama, żeby się skupić. To było... cóż, dostałam jakby znak, rozumiesz?

Charis jest zdziwiona. Może źle osądzała Zenię przez te wszystkie lata, a może Zenia się zmieniła. Ludzie mogą się zmieniać, mogą wybierać, mogą przejść metamorfozę. Głęboko w to wierzy. Nie wie sama, co myśleć.

– Tak naprawdę to nie miałaś raka – mówi w końcu. Nie chce, aby brzmiało to jak oskarżenie. Chce się jedynie upewnić.

– Nie – odpowiada Zenia. – Dokładnie nie. Byłam jednak chora. To była choroba duchowa. Teraz też jestem chora. – Przerzywa, ale Charis o nic nie pyta, więc mówi dalej. – Po to wróciłam – aby się wyleczyć. Nie było mnie stać na leczenie gdzie indziej. Powiedzieli, że umieram. Dawali mi sześć miesięcy.

– Och, to fatalnie – mówi Charis. Przygląda się sylwetce Zeni, by sprawdzić, jakiego koloru jest jej światło, ale nie otrzymuje żadnego przekazu. – Czy to rak?

– Nie wiem, czy powinnam ci powiedzieć – odpowiada Zenia.

– W porządku – zachęca Charis, bo jeżeli Zenia tym razem mówi prawdę? Jeżeli naprawdę umiera? Ma szare cienie dookoła oczu. Charis może chociaż posłuchać.

– Tak naprawdę to mam AIDS – wyznaje Zenia i wzdycha. – Jakie to głupie. Parę lat temu wpadłam w nałóg. Zaraziłam się przez brudną igłę.

Charis łapie powietrze. To straszne! A co z Larrym? Czy on też dostanie AIDS? „Roz! Roz! Przychodź szybko!” Ale co Roz może zrobić?

– Chciałabym pobyć gdzieś w spokoju – mówi Zenia. – Żeby pozbiierać myśli, zanim... no, wiesz. Gdzieś w takim miejscu jak Wyspa.

Charis wyczuwa znajome szarpnięcie, starą pokusę. Może nie ma nadziei co do ciała Zeni, ale ciało nie jest jedynym czynnikiem. Mogłaby zabrać Zenię do siebie, tak jak przedtem. Mogłaby pomóc przygotować się do przejścia, mogłaby odziać ją w światło, mogłoby razem medytować...

– A może po prostu skończę z tym – mówi cicho Zenia. – Jakieś tabletki albo coś w tym rodzaju. W każdym razie jestem skazana. Po co czekać?

W gardle Charis zbierają się znajome uczucia. „Och, nie, musisz próbować, musisz próbować pozytywnych...” Otwiera usta, aby wypowiedzieć zaproszenie: „Tak, chodź”, ale coś ją powstrzymuje. To spojrzenie Zeni: uważne spojrzenie, przekrzywiona głowa. Ptak obserwujący robaka.

– Dlaczego udawałaś, że masz raka? – pyta.

Zenia śmieje się. Siada prosto. Na pewno wie, że przegrała, wie, że Charis jej nie uwierzy w AIDS.

– W porządku – mówi. – To również możemy omówić. Powiedzmy, że chciałam, abyś wpuściła mnie do swojego domu, a to wydawało się najszybszym sposobem.

– To był podstęp – mówi Charis. – Wierzyłam ci! Bardzo się tobą martwiłam! Próbowałam cię uratować!

– Tak – przyznaje radośnie Zenia. – Ale nie martw się, ja też cierpiałam. Gdybym musiała wypić jeszcze jedną szklankę tego obrzydliwego soku z kapusty, to bym się wykończyła. Wiesz, co zrobiłam, jak dopłynęłam na ląd? Zamówiłam wielki talerz frytek i wspaniały, surowy stek. Samym zapachem mogłam się najeść, tak bardzo pragnęłam czerwonego mięsa!

– Ale ty naprawdę byłaś na coś chora – mówi z nadzieją Charis. Aura nie kłamie, Zenię opanowała choroba. Poza tym, nie chce myśleć, że wszystkie warzywa, którymi ją karmiła, zmarnowały się.

– Jest w tym pewien kruczek – oświadcza Zenia. – Wyrzuć z diety witaminę C, a dostaniesz wczesne symptomy szkorbutu. Nikt nie spodziewa się szkorbutu, nie w dwudziestym wieku, więc nie zauważają tego.

– Ale ja ci dawałam dużo witaminy C!

– Spróbuj wetknąć palec do gardła – mówi Zenia. – Działa cuda.

– Ale dlaczego? – pyta zrozpaczona Charis. – Dlaczego to robiłaś? – Czuję

się oszukana, pozbawiona własnej dobroci, chęci przysłużenia się. Jakaż ona głupia.

– Z powodu Billy’ego naturalnie – wyjaśnia Zenia. – Nic osobistego, ty byłaś jedynie środkiem. Chciałam się do niego zbliżyć.

– Ponieważ go kochałaś? – dopytuje się Charis. Przynajmniej to byłoby zrozumiałe, przynajmniej byłoby w tym coś pozytywnego, bo miłość jest pozytywną siłą. Potrafi zrozumieć, że ktoś zakochał się w Billym.

– Jesteś taką niemądrą romantyczką – śmieje się Zenia. – W tym wieku powinnaś być mądrzejsza. Nie, nie kochałam Billy’ego, chociaż seks był frajdą.

– Frajdą? – powtarza Charis. W jej doświadczeniu seks nigdy nie był frajdą. Był niczym albo był bólem; był wszechogarniający, łączył się z ryzykiem, więc dlatego unikała go przez te wszystkie lata. Nie był frajdą.

– Tak, to może dziwić – mówi Zenia – że dla niektórych to jest frajda. Nie dla ciebie, oczywiście. Z tego, co mi Billy opowiadał, nie wiedziałabyś, co to przyjemność, nawet gdyby ci się przypadkiem trafiła. Był tak wyposzczony, że rzucił się na mnie, jak tylko weszłam do tej twojej patetycznej szopy. Jak myślisz, co robiliśmy, kiedy uczyłaś tej nudnej jogi? Albo jak gotowałaś na dole śniadanie dla nas, albo karmiłaś te pieprzone na umyśle kury?

Charis wie, że nie wolno jej płakać. Zenia mogła być dla Billy’ego seksem, ale ona była miłością.

– Billy mnie kochał – mówi niepewnie.

Zenia uśmiecha się. Poziom jej energii podniósł się, jej ciało brzęczy jak zepsuty opiekacz.

– Billy ciebie nie kochał – mówi. – Obudź się! Objadał cię, mimo że miał własne pieniądze; handlował haszem, ale to chyba do ciebie nie docierało. Uważał cię za krowę, jeśli chcesz wiedzieć. Uważał, że urodzisz idiotę. Mówiąc dokładnie, uważał cię za głupią cipę.

– Billy nigdy by czegoś takiego nie powiedział – zaprzecza Charis. Czuje się, jakby spadła na nią sieć ostrych, rozgrzanych drutów i zacierała się wokół jej ciała, czuje, jak płonąca włosienica wbija się w jej skórę.

– Seks z tobą to było dla niego jak rżnięcie rzepy – kontynuuje Zenia bezlitośnie. – Teraz słuchaj mnie, Charis. To dla twojego dobra. Znam ciebie i domyślam się, jak żyjesz. Przebierasz się w zgrzebne płótno. Udajesz pustelnicę. Tęsknisz za Billym, ale on jest dla ciebie tylko wymówką, pozwala ci unikać życia. Zrezygnuj z niego. Zapomnij o nim.

– Nie mogę – bezgłośnie odpowiada Charis. Jak może siedzieć tutaj i pozwalać Zeni rozszarpywać Billy’ego? Pamięć o Billym. Jeżeli to jeszcze potrwa, to co jej zostanie z tamtego okresu? Nic. Próżnia.

– Słuchaj uważnie, co powiem, on nie był tego wart – oświadcza Zenia. Wygląda na zirytowaną. – Wiesz, po co naprawdę się zjawiałam? Żeby go przekabacić. I wierz mi, łatwo poszło.

– Przekabacić? – powtarza Charis. Nie potrafi się skoncentrować; czuje się, jakby bito ją po twarzy, raz po jednej, raz po drugiej stronie. „Nadstaw drugi policzek”. Ale jak często?

– Skaptować, jak zdrajcę – wyjaśnia Zenia jak dziecku. – Billy został informatorem. Wrócił do Stanów i wydał wszystkich małych podlegaczy, swoich przyjaciół, tych, którzy jeszcze tam byli.

– Nie wierzę ci – mówi Charis.

– Nie obchodzi mnie, czy wierzysz czy nie. Mimo wszystko, to prawda. Sprzedał kumpli, żeby uwolnić się od zarzutów i zarobić trochę forsy. Zapłacili mu nowym nazwiskiem i pracą trzeciorzędnego szpiega. I tak nie był w tym za dobry. Ostatnim razem, kiedy na niego wpadłam, w Baltimore czy gdzieś tam, był bardzo rozczarowany. Załamany ćpun, żalosny pijaczyna, na dodatek łysy.

– Ty mu to zrobiłaś – szepcze Charis. – Ty go zrujnowałaś. – Złoty Billy.

– Gównu – mówi Zenia. – To samo on powiedział, ale ja mu ręk nie wiązałam! Powiedziałam tylko, w czym może wybierać. Billy miał do wyboru albo to, albo coś znacznie gorszego. W realnym świecie ludzie przeważnie decydują się ratować własną skórę. Można na to liczyć, dziewięć razy na dziesięć.

– Byłaś na policji – wyrzuca z siebie Charis. W to jest najtrudniej uwierzyć... to absurdalne. Zenia po stronie prawa i porządku.

– Niezupełnie – odpowiada Zenia. – Zawsze byłam samodzielnym agentem. Billy był tylko okazją, którą zobaczyłam. Te świętoszkowate grupy pomagające uciekinierom były dokładnie infiltrowane, a ja miałam powiązania, więc zerknęłam do akt. Pamiętałam ciebie z akademika – twoje akta też mieli, rozumiesz, ale powiedziałam im, że szkoda marnować papier, nie wspominając o ciężko zarobionych pieniądzach podatników, bo to jakby prowadzić akta słoika dżemu – i liczyłam, że ty też mnie pamiętasz. Podbite oko nietrudno sobie zrobić, zjawiałam się na twoich zajęciach jogi. Cholera, ty załatwiłaś resztę! A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, muszę się ubrać, mam sprawy do załatwienia. À propos, Billy mieszka w Waszyngtonie. Jeżeli chcesz zainscenizować radosne spotkania z nim i jego zaginioną córką, to z radością dam ci adres.

– Nie sądzę. – Charis trzęsą się nogi; przez moment boi się wstać. Billy leży roztrzaskany w jej głowie. Rozumie, że nie ma żadnej broni, żadnej broni przeciw Zeni. Po swojej stronie Charis ma tylko pragnienie bycia dobrą, a

dobroć to brak zła, podczas gdy Zenia ma prawdziwą historię.

– Jak chcesz – mówi Zenia, wzruszając ramionami. – Na twoim miejscu skreśliłabym go z listy.

– Chyba nie potrafię – przyznaje Charis.

– Rób, co chcesz – mówi Zenia. Wstaje, podchodzi do szafy i zaczyna przebierać w sukienkach.

Charis chce dowiedzieć się jeszcze jednej rzeczy, przyzywa wszystkie swoje siły, aby o to zapytać.

– Dlaczego zabiłaś moje kury? One nikomu nie szkodziły.

– Nie zabiłam, kurwa, twoich zasranych kur – odpowiada Zenia, odwracając się. Wydaje się rozbawiona. – Billy je zabił. Z radością. Wyszedł na palcach przed świtem, kiedy jeszcze przebywałaś w krainie snów, i popodcinał im gardła nożem do chleba. Powiedział, że robi im przysługę, bo już nie będą musiały żyć w gnoju, w którym je trzymałaś. Prawda jednak jest taka, że ich nienawdził. Mało tego, dobrze się bawił, myśląc o tym, jak pójdziesz rano do kurnika i je tam znajdziesz. Taki praktyczny żart. Ależ miał ubaw.

Wewnątrz Charis coś pęka. Ogarnia ją wściekłość. Chce udusić Zenię, dusić ją, aż życie Charis, jej własne życie, które sobie wyobrażała, wyleje się z niej jak woda z gąbki. Przeraża ją gwałtowność własnej reakcji, ale straciła samokontrolę. Czuje, że jej ciało wypełnione jest i otoczone gorącym białym światłem; wyrastają jej ogniste skrzydła.

Nagle znajduje się obok kwiecistych zasłon, przy drzwiach na balkon, jest poza swoim ciałem i obserwuje. Ciało stoi tam. Ktoś inny teraz nad nim panuje. To Karen. Charis widzi ją, ciemny rdzeń, cień z długimi, postrzępionymi włosami. Czekala przez cały czas, przez te wszystkie lata, na ten moment, na moment, kiedy będzie mogła wrócić do ciała Charis i posłużyć się nim do morderstwa. Porusza rękami Charis w stronę Zeni, rękami migoczącymi niebieskim światłem; jest nieodparcie silna, napiera na Zenię jak niewidzialny wiatr, pcha ją do tyłu, na drzwi balkonu, pęknięte szkło rozsypuje się jak lód. Zenia jest fioletowa i czerwona, błyszczący jak drogocenne kamienie, ale nie może przeciwstawić się posępnej Karen. Podnosi Zenię – Zenia jest lekka, pusta, zamieszkują ją choroby i zgnilizna, jest bezcielesna jak papier – i wyrzuca ją ponad barierkę. Obserwuje, jak spada z trzepotem w dół, w dół z wieży, uderza o krawędź fontanny i pęka jak stara dynia. Charis, ukryta za zasłoną, woła płaczkliwie: „Nie! Nie!” Żadnej krwi, żadnych psów, pozerających kawałki na podwórku, nie chce tego. Nie chce?

– W każdym razie to stara historia – mówi Zenia spokojnie. Charis jest już w

swoim ciele, kontroluje je, idzie w stronę drzwi. W końcu nic się nie stało. Na pewno nic. Odwraca się i patrzy na Zenię. Promieniują z niej czarne kreski jak pajęczyna. Nie. Te czarne nici oplatają ją, chwytają, wkrótce zostanie osaczona. W samym środku trzepocze się jej dusza, biała ćma. Ma jednak duszę.

Charis skupia całą swoją siłę, całe wewnętrzne światło; przyzywa je, gdyż to, co chce uczynić, wymaga dużego wysiłku. Cokolwiek Zenia zrobiła, w jakikolwiek sposób była zła, potrzebuje pomocy. Pomocy od Charis, na płaszczyźnie duchowej.

Charis otwiera usta.

– Wybaczam ci – słyszy własny głos.

Zenia śmieje się złośliwie.

– Myślisz, że kim jesteś? – pyta. – Co mnie to, kurwa, obchodzi, czy mi wybaczasz czy nie? Wypchaj się z tym wybaczam! Złap chłopa! Złap życie!

Charis widzi swoje życie tak, jak Zenia musi je widzieć: pusty tekturowy karton, porzucony na poboczu; nikogo w środku nie ma. Nikogo, o kim warto mówić. W pewnym sensie to najbardziej boli.

Przywołuje ametyst, zamyka oczy, widzi kryształ.

– Mam życie – mówi. Prostuje plecy i naciska klamkę, powstrzymując łzy.

Dopiero kiedy niepewnie pokonuje hol, przychodzi jej na myśl, że może Zenia kłamała. Może kłamała na temat Billy'ego, kur i wszystkiego. Przedtem okłamywała Charis równie przekonywająco. Dlaczego nie miałyby kłamać teraz?

Roz pochyla się i obejmuje Charis jedną ręką.

– Oczywiście, że kłamała – mówi. – Billy by czegoś takiego nie powiedział.
– Co ona wie o Billym? Nic a nic, nigdy go nie spotkała, ale chce obrócić to na jego korzyść, bo to nic nie kosztuje, poza tym chce złagodzić problem. – Zenia jest złośliwa. Mówi takie rzeczy z czystej złośliwości. Chciała tylko tobie dokuczyć.

– Ale dlaczego? – pyta Charis bliska łez. – Dlaczego? Dlaczego to powiedziała? Była taka negatywna. To naprawdę bolało. Teraz nie wiem, co myśleć.

– Już dobrze, kochanie – uspokaja Roz, powtórnie ściskając Charis. – Niech ją cholera! Nie będziemy zapraszać jej na urodziny, co?

– Na miłość boską – odzywa się Tony, ponieważ Roz zawsze posuwa się za daleko i dla Tony ta scena jest zbyt infantylna. – Dostyc tego!

– Dobrze – mówi Roz, biorąc się w garść. – Kończę.

– Ja przecież mam życie – dodaje Charis, mrużąc wilgotne oczy.

– Masz bogate życie wewnętrzne – potwierdza stanowczo Tony. – Bogatsze niż inni. – Zagląda do torby, wyciąga pogniecioną chusteczkę i podaje ją Charis. Charis wydmuchuje nos.

– Teraz posłuchajcie mnie – mówi Roz. – Miss Dojrzałej i Pełnej Figury spotyka Królową Nocy. W skali przyjemności to nie jest dziesięć punktów na dziesięć możliwych.

Roz przemierza biuro tam i z powrotem. Na biurku leżą stery teczek, teczek z projektami, a także teczek zawierających dokumentację fundacji na rzecz wątroby, nerek, płuc, serca – wszystko domaga się uwagi, nie wspominając już o bezdomnych kobietach i bitych żonach, ale to będzie musiało poczekać, ponieważ aby dać, trzeba najpierw mieć, pieniądze nie rosną na drzewach. Musi pomyśleć o projekcie „Rubikon”, tak jak przedstawili go Lookmakers. „Szminka lat dziewięćdziesiątych”, taki pomysł proponują, Boyce przekłada to na „Oralne kleje dla dziewięćdziesięciolatek”. Roz nie może się w to wgryźć, jest zbyt zajęta. Zajęta? Wściekła! Jej ciało ogarnęła gorączka podsycona paliwem hormonalnym; w głowie ma myjnię samochodową – wszystkie

szczotki wirują, mydliny pryskają, obraz się zaciera. Zenia jest na wolności i szuka zdobywcy, Bóg jeden wie gdzie! Może właśnie teraz wspina się jak mucha po tym wieżowcu, z przysawkami u stóp.

Roz zjadła wszystkie czekoladowe cukierki, wypaliła papierosy co do jednego; jedyną wadą Boyce'a, naprawdę jedyną, jest to, że nie pali, więc nie może od niego wycygnąć fajki, przynajmniej ma czyste płuca. Może nowa recepcjonistka – Mitzi, Bambi? – ma gdzieś wetkniętą paczkę; mogłaby zadzwonić, ale jakie to poniżające, szefowa prosi o papierosa.

Nie chce teraz wychodzić z budynku, gdyż zbliża się pora telefonu od Harriet. Roz prosiła ją, aby dzwoniła codziennie o trzeciej i zdawała relację z postępów.

– Namierzamy – tyle tylko mówiła Harriet przez kilka pierwszych dni. – Są dwie możliwości. „King Eddie” albo „Arnold Garden”. Ludzie, których... ludzie, którzy byli na tyle mili, że zidentyfikowali zdjęcie, są pewni, że to ona.

– Dlaczego myślisz, że musisz wybierać między jednym hotelem a drugim?
– zapytała Roz.

– Słucham?

– Założę się, że ma pokoje w obu hotelach – powiedziała Roz. – To do niej podobne! Dwa nazwiska, dwa hotele. – „Wszystkie lisy podkopują się pod tylne wejście”. – Podaj numery pokoiów.

– Pozwól, że jeszcze trochę posprawdzamy – ostrożnie poprosiła Harriet. – Dam ci znać. – Widocznie wyobraziła sobie niepożądaną sytuację: Roz wdzierająca się do pokoju kogoś obcego, rzucająca przedmiotami, ciskająca oskarżenia, dysząca ogniem, i Harriet podana do sądu za złą informację.

Tak więc Roz siedzi teraz jak na szpilkach. Jej matka coś o tym wiedziała, to jej określenie. Zapisuje sobie w myślach, aby zapytać o to Boyce'a; przywołuje się do porządku, siada za biurkiem i otwiera teczkę ze „Szminkami lat dziewięćdziesiątych”, którą przyniósł Boyce. Lubi planować, sporządzać projekty, ale Boyce ma rację, sama nazwa jest niedobra, ponieważ będą chcieli wyjść poza szminki. Cień do oczu zmniejszający opuchnięte powieki będzie ich głównym przebojem; jeżeli ona coś kupi, to znaczy, że wiele innych kobiet też będzie chciało to kupić, o ile cena będzie przystępna. Z innego jeszcze powodu trzeba zrezygnować z „lat dziewięćdziesiątych”. Jak dotąd, nie przyniosły nic dobrego, chociaż minął dopiero rok, po co więc podkreślać fakt, że w nich tkwimy?

Nie, Boyce zgadza się z nią – czyta jego schludne notatki na marginesach, on ma prawdziwy talent, ten chłopak – że powinni wykorzystać podróż w

czasie, historię przez wielkie H, przez nazwy rzek. Kobietom zawsze łatwiej wyobrazić sobie, że mają romans w jakiejś innej epoce, przed wynalezieniem w.c. i elektrycznych młynków do kawy, w epoce, w której gromadka przedwcześnie postarzałych, schorowanych służących pierze ręcznie męską bielizną, jeżeli taka istnieje, opróżnia kubły z pomyjami, grzeje wodę w wielkich kotłach, stojących w brudnych, zaszczerzonych kuchniach, a ziarenka kawy rozgniata pod stopami jak winogrona. Proszę bardzo, dajcie tylko Roz odpowiednie przyrządy. Przyrządy z gwarancją, a do tego niezawodną pomoc domową dochodzącą dwa razy w tygodniu.

Jeśli chodzi o reklamy, to chce, żeby było w nich dużo koronek. Koronki i maszyna robiąca wiatr, żeby rozwiewała włosy i stwarzała dramatyczną atmosferę, jak podczas pożaru w Charleston. Modelki będą fotografowane pod kątem, od dołu i z ukosa; statycznie i monumentalnie, dopóki nie zajrzy im się do nozdrzy; ten problem Roz ma zawsze z herosami z brązu na koniach. Myślała też o innej nazwie rzeki, innym kolorze: „Athabaska”. Pewien odcień różu w brązie. Odmrożenie połączone z oparzeniem. Jak żyć na Północy bez kremu z filtrem przeciwsłonecznym.

Dzwoni telefon, Roz niemalże rzuca się na niego.

– Tu Harriet. To z całą pewnością „Arnold Garden”, pokój 1409. Sama tam poszłam z ręcznikami, przebrana za pokojówkę. Nie ma wątpliwości.

– Wspaniale. – Roz zapisuje pospiesznie numer.

– Jest jeszcze coś, co powinnaś wiedzieć – mówi Harriet. – Zanim się rzucisz.

– W przepaść? – niecierpliwi się Roz. – Co takiego?

– Wydaje się, że ona ma romans czy coś w tym rodzaju z... no, z mężczyzną dużo od niej młodszym. Według naszego informatora jest z nią w tym pokoju niemal codziennie.

Dlaczego Harriet tak się czai, zastanawia się Roz.

– To mnie nie dziwi – odpowiada Roz. – Zenia ograbiłaby wszystko, nie wyłączając kołyski. Pod warunkiem, że bogatej.

– Jest bogaty – mówi Harriet. – W każdym razie będzie. – Waha się.

– Dlaczego mi to mówisz? – pyta Roz. – Co mnie to obchodzi, z kim ona się pieprzy!

– Kazałaś dowiedzieć się wszystkiego – odpowiada z wyrzutem Harriet. – Nie wiem tylko, jak ci to powiedzieć. Ten młody mężczyzna, o którym mowa, to, zdaje się, twój syn.

– Co? – pyta Roz.

Odkłada słuchawkę, chwytając torebkę, rzuca się do windy; nieomal biegnie chodnikiem, na tyle na ile pozwalają jej te przeklęte buty. Udaje jej się dotrzeć do najbliższego kiosku, gdzie kupuje trzy paczki du Mauriers; rozdziera jedną drżącymi palcami i zapala papierosa tak błyskawicznie, że o mało nie podpala włosów. Zabije Zenię, zabije ją! Bezcelność, napad w biały dzień, nieskończenie „zły smak”, żeby wykorzystać małego, bezradnego Larry’ego, Larry’ego, syna Mitcha, po tym, jak doprowadziła do śmierci jego ojca! „Wybierz sobie kogoś na swoją miarę!” Larry: bezbronny, biedne dziecko; taki samotny, taki zagubiony. Prawdopodobnie pamięta Zenię z czasów, kiedy miał piętnaście lat; wtedy pewnie zabujał się w niej po szczeniacku. Prawdopodobnie uważa ją za zachwycającą, ciepłą i wyrozumiałą. W tej dziedzinie Zenia ma spore osiągnięcia. Opowie mu parę pechowych historii o swoim życiu, a on uzna ich oboje za sierotki zaginione podczas burzy. Roz nie może tego znieść!

Dym przenika jej ciało i po chwili czuje się spokojniejsza. Wraca do biura, w głowie czuje słaby szum. Co ma teraz zrobić, do cholery?

Stuka do drzwi Boyce’a.

– Boyce? Mogę skorzystać na chwilę z twojego mózgu? – pyta.

Boyce wstaje szarmancko i proponuje jej krzesło.

– Proście, a będzie wam dane – mówi. – Bóg.

– Jakbym nie wiedziała – odpowiada Roz. – Ostatnio nie mam dobrych wyników w rozmowach z Bogiem, jeśli chodzi o odpowiedzi. – Siada, zakłada nogę na nogę i bierze od Boyce’a filiżankę kawy. Boyce ma na głowie tak równy przedziałek, jakby był zrobiony nożem. Jego krawat jest w małe kaczuszki. – Pozwól, że ci przedstawię teoretyczny przypadek – mówi.

– Zamieniam się w słuch – zapewnia Boyce. – Czy dotyczy to klejów oralnych?

– Nie – odpowiada Roz. – To opowieść. Pewnego razu była sobie kobieta, która miała męża, a ten mąż brykał sobie.

– Znam tego kogoś? – pyta Boyce. – To znaczy męża.

– Z innymi kobietami – kontynuuje twardo Roz. – Cóż, ta kobieta zносиła wszystko ze względu na dzieci; poza tym te rzeczy nigdy nie trwały długo, bo owe kobiety były jedynie nakręcanymi zabawkami, przynajmniej tak ten mąż to określił. Według niego naprawdę liczyła się tylko nasza bohaterka, żrenica oka, ogień na kominku i tak dalej. Nagle zjawia się dzierlatka, och, przepraszam, ta osoba jest w tym samym wieku, co nasza bohaterka, tylko, muszę przyznać, o wiele lepiej wygląda; chociaż, tak między nami mówiąc, cycki miała sztuczne.

– Nadchodzi powabna jak zaraza – komentuje współczująco Boyce. –

Byron.

– Dokładnie – potwierdza Roz. – Była również bystra, ale gdyby była facetem, nazwałbyś ją kutasem. To znaczy, nie ma żeńskiego odpowiednika, ponieważ „suka” nawet w najmniejszym stopniu tego nie oddaje! Opowiada jakąś historię, że jest pół-Żydówką, wojenną sierotą uratowaną przed faszystami, a nasza bohaterka, o czułym sercu, daje się na to złapać i daje jej pracę. Pani Dmuchane Melony udaje, że jest wdzięczną przyjaciółką naszej bohaterki, a jej męża obrzuca chłodnym spojrzeniem, dając do zrozumienia, że znaczą dla niej mniej niż krasnoludki, co na samym końcu okazało się świętą prawdą. Tymczasem nasze dwie przyjaciółeczki umawiają się często i gęsto na robocze lunchy, omawiają sprawy międzynarodowe i interesy. Potem nasza dama ucieka z naszym panem Wrażliwym za plecami pani Tępy Łeb. Dla pani Super-Hiper to nic nie znaczy – gorzej, to taktyka, ale dla niego to najprawdziwsza i największa namiętność.

– Geniusz to nieskończone możliwości sprawiania bólu – poważnie wygłasza Boyce.

– Racja – zgadza się Roz. – Przekonuje wszystkich, żeby powierzyli jej prowadzenie wspomnianego interesu, średnio dużego przedsiębiorstwa. Mieszka razem z panem Lepkie Paluchy w Miłosnym Gniazdku Roku, a zapłakana żona zostaje sama i gryzie się w swoim zranionym serduszk. Namiętność u Wampa znika, ale nie u niego, chociaż dowiaduje się, że ona miewa randki w porze lunchu z jakimś ogierem, który jeździ na motorze; zamartwia się tym. Ona fałszuje parę czeków – podpisując jego nazwiskiem, niewątpliwie skopiowanym z wielu obślinionych notatek – i znika z gotówką. Czy to chłodzi jego namiętność? Czy kurczaki mają cycki? Goni za nią, jakby miał gacie podłączone do prądu.

– Znam to – mówi Boyce. – Zdarza się wszystkim.

– Pani Długa Ręka znika – opowiada Roz. – Nagle dowiadujemy się, że kończy w konserwie z zupą. Najwyraźniej przytrafił się jej paskudny wypadek i przerobiono ją na pokarm dla kotów. Zostaje umieszczona na cmentarzu – nie żeby ją czy moja przyjaciółka uroniła choćby łzę – i pan Żalony wraca, czólgając się, do swej zasmarkanej żoneczki, która staje okoniem i nie chce go przyjąć. Cóż, czy można ją winić? To znaczy, są granice. A on – zamiast wylać sobie kubek zimnej wody na głowę albo znaleźć jakąś nową seksowną zabawkę, jak zdarzało się już wiele razy – cóż robi? Umiera z miłości, nie do pani Domowej, ale do pani Ogniste Łędźwie. Wypływa łodzią podczas sztormu i tonie. Może nawet sam wyskoczył. Kto wie?

– Marnotrawstwo – mówi Boyce. – Żywe ciała są o wiele miłsze.

– Jest coś jeszcze – kontynuuje Roz. – Okazuje się, że ta kobieta wcale nie zginęła. Wygłupiała się tylko. Zjawia się ponownie i tym razem wbija szpony w jedyne go syna – jedyne go i ukochanego syna – możesz to sobie wyobrazić? Ona musi mieć z pięćdziesiąt lat! Wbija szpony w syna kobiety, którą obrabowała, i mężczyzny, którego przywiodła do śmierci!

– To napuszone – mruczy Boyce.

– Słuchaj, ja nie napisałam tej fabuły – mówi Roz. – Tylko ci opowiadam i krytyki literackiej nie potrzebuję. Chcę tylko wiedzieć, co byś zrobił?

– Ty mnie pytasz? – odpowiada Boyce. – Co ja bym zrobił? Najpierw upewniłbym się, czy ona rzeczywiście jest kobietą. To mógłby być mężczyzna w przebraniu.

– Boyce, bądź poważny – wyrzuca mu Roz.

– Jestem poważny – odpowiada Boyce. – Ale tobie naprawdę chodzi o to, co ty masz zrobić, prawda?

– W pewnym sensie – mówi Roz.

– Obsesja to lepsza strona męstwa – komentuje Boyce. – Szekspir.

– To znaczy?

– Będziesz musiała się z nią zobaczyć – wzdycha Boyce. – Wyduś to z siebie. Och, Roz, chore jest twoje wnętrze. Urządź scenę. Krzycz i wrzeszcz. Powiedz, co o niej myślisz. Oczyść powietrze; uwierz mi, to konieczne. Inaczej, niewidzialny robak, co w burzy lata, odnajdzie twe szkarłatne łoże i jego posępna, tajemna miłość zniszczy twe życie. Blake.

– Chyba tak – przyznaje Roz. – Po prostu nie ufam sobie, to wszystko. Boyce, czy wiesz, co to znaczy siedzieć jak na szpilkach?

– Szpilki? Pantofle damskie na cienkim, wysokim obcasie – definiuje Boyce.

– Niezbyt pomocne.

– A jednak prawdziwe.

Roz wyrusza do Arnold Garden Hotel. Bierze taksówkę, gdyż nie jest w nastroju do kierowania. Nie musi nawet pytać w recepcji, przed którą tłoczą się podróżujący sprzedawcy. Pospiesznie pokonuje godny pożalowania hol z krzykliwą, niby staromodną kanapą ze skóry, z suszonym wiechciem w stylu „zrób to sam” gdzieś z 1984 roku, z widokiem na kiepsciutkie patio i nowoczesną fontannę w stylu ratusza miejskiego, widoczną przez szklane drzwi; to się ma tak do ogrodu, jak pakowane obiady w folii do jedzenia; wpada do windy wyłożonej plastikiem i skórą.

Przez cały czas powtarza sobie: „Jeden ci nie wystarczył? Syna też chcesz

mi zabić? Zabierz szpony od mojego dziecka!” Czuje się jak tygryś broniący młodych, przynajmniej takie krążą o tygryścach pogłoski. „Jak dmuchnę, jak chuchnę, ryczy w sobie, to rozwalę twój domek!”

Tylko że Zenia nigdy specjalnie nie gustowała w domach. Jedynie się do nich włamywała.

Gdzieś w zakamarkach umysłu kryje się inny scenariusz: co się stanie, jeżeli Larry dowie się o tym, co zrobiła? W końcu ma już dwadzieścia dwa lata, bez wątplenia jest pełnoletni. Jak chce się pieprzyć z licealistkami, z bernardynami albo podstarzałymi wampami jak Zenia, to co ją to obchodzi? Wyobraża sobie jego cierpliwe, wzburzone, pełne pogardy spojrzenie, i rezygnuje z tego.

Puk, puk, puk, stuka do drzwi Zeni. Już sam dźwięk przywraca jej siły. „Otwieraj, ty świni, locho, wpuść mnie!”

Słyszysz, że ktoś podchodzi. Drzwi otwierają się tylko trochę. Jest łańcuch.

– Kto tam? – odzywa się przytłumiony głos Zeni.

– To ja, Roz. Lepiej mnie wpuść, bo jak nie, to będę tu stać i krzyczeć.

Zenia otwiera drzwi. Ubrana jest do wyjścia, w tę samą czarną sukienkę z dekoltem, którą Roz pamięta z „Toxique”. Jest umalowana, włosy ma rozpuszczone; falują, zwijają się i rozwijają w niespokojnych splotach wokół głowy. Na łóżku leży otwarta walizka.

– Walizka? – dziwi się Tony. – Nie widziałam żadnej walizki.

– Ja też nie – potwierdza Charis. – Czy pokój był posprzątany?

– W miarę – odpowiada Roz. – Ale to było później, po południu. Byłam tam po was. Najprawdopodobniej przyszła sprzątaczką.

– Co było w walizce? – pyta Tony. – Pakowała się? Może chciała wyjechać?

– Była pusta – odpowiada Roz. – Specjalnie spojrzalam.

– Roz! – odzywa się Zenia. – Co za niespodzianka! Wejdz... wyglądasz świetnie!

Roz wie, że nie wygląda świetnie; „wyglądasz świetnie” to określenie używane w stosunku do kobiet w jej wieku, które nie są jeszcze martwe. Zenia natomiast rzeczywiście wygląda świetnie. Czy ona w ogóle się starzeje, zastanawia się gorzko Roz. Jaką krew pije? „Tylko jedną zmarszczkę, malutką, Boże, czy to takie trudne? Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego złym tak dobrze się powodzi?”

Roz zaczyna bez ogródek.

– Co ty sobie myślisz, romansując z Larrym? – mówi. – Nie masz zupełnie

zadnych skrupułów?

Zenia patrzy na nią.

- Romansuje? Wyśmienity pomysł! On ci to powiedział?
- Widziano, jak wchodzi do twojego pokoju. Więcej niż raz.

Zenia uśmiecha się lekko.

– Widziano? Nie mów tylko, że znowu wysłałaś za mną tę Węgierkę. Roz, może usiądziesz? Napijesz się czegoś? Nigdy osobiście nie miałam nic przeciwko tobie. – Zenia siada przesadnie skromnie na kanapie w kwiaty, jakby nic się nie działo, jakby obie były szanowanymi matronami i umówiły się na popołudniową herbatkę. – Uwierz mi, Roz. Moje uczucia do Larry’ego są czysto macierzyńskie.

– Macierzyńskie? Co przez to rozumiesz? – pyta Roz. Czuje się głupio stojąc, siada więc w fotelu. Zenia szuka papierosów. Znajduje paczkę, potrząsa nią, jest pusta. – Weź moje – proponuje niechętnie Roz.

– Dziękuję – mówi Zenia. – Wpadłam na niego przypadkiem w „Toxique”. Pamiętał mnie... cóż, powinien, ile miał wtedy lat? Piętnaście? Chciał porozmawiać ze mną o ojcu. Jakie to wzruszające! Nie poruszałaś z nim tej sprawy, co, Roz? Chłopiec musi wiedzieć coś o swoim ojcu, coś dobrego. Nie sądzisz?

– Więc, co dokładnie mu powiedziałaś? – pyta podejrzliwie Roz.

– Same najlepsze rzeczy – odpowiada Zenia. Skromnie spuszcza oczy. – Uważam, że czasami dla czyjegoś dobra trzeba nagiąć trochę prawdę. To mnie nic nie kosztuje, a biedny Larry najwyraźniej chce mieć ojca, którego mógłby szanować.

Roz nie może w to uwierzyć. Tak naprawdę, to nie wierzy. Musi w tym być coś jeszcze, i jest.

– Oczywiście, jeżeli ta sytuacja potrwa dłużej, to może się bardziej skomplikować – oświadcza Zenia. – Mogę się zapomnieć i powiedzieć trochę za dużo prawdy o tym, jakim popieprzonym wariatem był ojciec biednego Larry’ego.

Roz zalewa krew. Rzeczywiście widzi na czerwono, czerwona mgła przysłania jej oczy. Co innego, gdy ona krytykuje Mitcha, ale Zenia!

– Wykorzystałaś go – mówi. – Wydrążyłaś go, wysłałaś do końca, a potem rzuciłaś! Jesteś odpowiedzialna za jego śmierć, wiesz o tym. Zabił się z twojego powodu. Nie myślę, żebyś miała jakiegokolwiek prawo go osądzać.

– Chcesz wiedzieć? – pyta Zenia. – Naprawdę chcesz wiedzieć? Po tym jak mu powiedziałam, że nic z tego nie będzie, ponieważ był za dużym wariatem... cholera, nie mogłam nawet oddychać, był autentycznym świrem,

nie miałam własnego życia, chciał wiedzieć, co jadłam na śniadanie, chciał wchodzić ze mną do łazienki za każdym razem, kiedy szłam siku, naprawdę! W rzeczywistości chciał mnie zabić! Przez całe tygodnie miałam ślady na szyi; dobrze, że nie spanikowałam i nie kopnęłam go w jaja z całej siły, żeby mnie puścił. Potem krzyczał na mnie. Chciał, żebyśmy oboje zawarli jakąś głupią samobójczą umowę, żebyśmy byli razem po śmierci! To ci ubaw! Odpierdol się, tak mu powiedziałam! Więc nie obwiniaj mnie. Umywam ręce.

Roz nie może tego znieść, nie może! Biedny Mitch, tak skończył, nikczemny lizus.

– Mogłaś mu pomóc – mówi. – Potrzebował pomocy! – Roz też mogła mu pomóc. Pomogłaby, gdyby wiedziała; czyżby?

– Nie bądź taka skromna – odpowiada Zenia. – Powinnaś dać mi medal za to, że cię uwolniłam od niego. Mitch był zboczuchem. Żądał ode mnie zboczeń seksualnych: chciał, żeby go wiązać, a ja żebym się ubierała w skórzaną bieliznę; ciebie nigdy by nie poprosił, bo byłeś jego anielską żoną. Mężczyźni robią się tacy w pewnym wieku, ale tego było za wiele. Nie mogę ci opowiedzieć nawet połowy, to było takie niedorzeczne!

– Wciągnęłaś go w to – oskarża Roz, która w tej chwili chce już wybiec z pokoju. To zbyt poniżające dla Mitcha. To go pomniejsza, jest zbyt bolesne.

– Rzygać mi się chce, jak widzę takie kobiety jak ty – mówi Zenia ze złością. – Zawsze posiadałaś przedmioty, ale nigdy nie posiadałaś jego, wiesz dobrze. Nie był twoją darowaną od Boga własnością! Myślisz, że miałaś do niego prawo? Nikt nie ma żadnych praw, z wyjątkiem tego, co zdobędzie!

Roz bierze głęboki oddech. Jeśli straci nerwy, to przegra.

– Być może – przyznaje. – Ale to nie zmienia faktu, że zjadłaś go na śniadanie.

– Twój problem, Roz, jest taki – mówi Zenia, teraz spokojniej – że nigdy w niczym mu nie zaufałaś. Zawsze widziałaś w nim ofiarę kobiet, łup w ich rękach. Matkowałaś mu. Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że Mitch był odpowiedzialny za własne decyzje i że może te decyzje niewiele miały wspólnego ze mną albo z tobą? Mitch robił to, co chciał. Łapał okazje.

– Grałaś nie fair – stwierdza Roz.

– Och, proszę – obrusza się Zenia. – Tango tańczy się we dwoje. Ale po co walczyć o Mitcha? Mitch nie żyje. Wróćmy do głównego tematu. Mam dla ciebie propozycję: może, dla dobra Larry’ego, powinnam wyjechać. Larry nie byłby jedynym powodem, będę z tobą szczerą, Roz, i tak muszę wyjechać. Jestem tu w niebezpieczeństwie, więc proszę cię, także ze względu na dawne czasy: nie stać mnie na to, nie będę przed tobą ukrywać, że sprawy mają się

kiepsko. Pyskałabym natychmiast, gdybym miała, no, powiedzmy, bilet na samolot i trochę drobnych.

– To szantaż – mówi Roz.

– Nie nazywajmy rzeczy po imieniu – odpowiada Zenia. – Na pewno widzisz w tym logikę.

Roz waha się. Ma to kupić, ma zapłacić Zeni? A jeżeli tego nie zrobi? Jakie jest faktyczne zagrożenie? Larry nie jest już dzieckiem; z pewnością wiele domyślił się co do Mitcha.

– Nie sądzę – mówi powoli. – Mam lepszą propozycję. I tak wyjedziesz z miasta. Mogłabym oskarżyć cię o malwersację, wiesz przecież. Jest jeszcze sprawa sfałszowanych czeków.

Zenia marszczy czoło.

– Pieniądze są dla ciebie najważniejsze – cedzi. – Tak naprawdę, to proponowałam bezpieczeństwo tobie, nie Larry’emu, ale ty nie jesteś tego warta. Taka jest prawda. Tak, pieprzę się z Larrym, ale to tylko uboczna sprawa. Larry nie jest przede wszystkim moim kochankiem, przede wszystkim sprzedaje dla mnie prochy. Dziwię się, że twój tępy szpicel nie doszedł do tego, dziwię się, że sama się nie domyśliłaś. Może ładna nie jesteś, ale kiedyś byłaś inteligentna. Twój maminsynek nadmuchiwał swoje małe, próżne ego, rozprawdając kokainę dla zdruzonych, bogatych szczeniaków. Sprzedaje, handluje wśród nadzianych koleżków. Sam też dość mocno próbuje towar – będziesz miała szczęście, jak mu nos nie odpadnie. Jak myślisz, co on robi w „Toxique” noc po nocy? To miejsce jest wszystkim znane. On nie robi tego tylko dla pieniędzy – on się tym bawi! A wiesz, co mu się podoba najbardziej? Zakraść się od tyłu! Zrobić szybki numer z mamusią! Jaki ojciec, taki syn. Ten chłopiec ma problem, Roz, a ten problem to ty!

Roz zdrętwiała. Nie chce w to wierzyć, ale jest w tym część prawdy. Przypomina sobie kopertę z białym proszkiem, którą sama znalazła, pamięta sekrety Larry’ego, białe plamy w jego życiu, których ona nie potrafi wypełnić, i wraca do niej strach, zalewa ją, z wielkim poczuciem winy na dodatek. Czy była nadopiekuńcza? Czy Larry chce od niej uciec? Czy jest pożerającą matką? Gorzej: czy Larry jest skazany na nałóg?

– Na twoim miejscu zastanowiłabym się – mówi Zenia. – Bo jak ty nie zapłacisz za informację, to znajdą się inni, którzy zapłacą. Nie sądzisz, że to byłby ładny nagłówek w gazecie: „Syn prominenta aresztowany za handel narkotykami?” Nic łatwiejszego dla mnie, jak to załatwić. Larry ufa mi. Uważa, że go potrzebuję. Mogę tylko gwizdnąć, a twój synek biegnie z pełnymi kieszeniami. Jest naprawdę miłusi, ma miłą pupcię. Docenią go w pierdlu. Ile

im teraz dają? Dziesięć lat?

Roz jest oszołomiona; nie potrafi tego wszystkiego przyjąć do wiadomości. Wstaje z fotela i podchodzi do okna, do przeszklonych drzwi na balkon. Widzi okrągłą, srebrną jak księżyc w pełni fontannę. Jeszcze jej nie osuszono. Brązowe liście unoszą się na wodzie. Najprawdopodobniej w hotelu zredukowano personel z powodu recesji.

– Muszę z nim porozmawiać – mówi.

– Nie robiłabym tego – przestrzega Zenia. – Spanikuje, zrobi coś głupiego. Jest amatorem, zdradzi się, a teraz winien jest swoim dostawcom całkiem sporą sumkę. Wiem, kim oni są; to nie są mili ludzie. Nie spodoba im się, jak spuści towar do kibla. Jak nie dostają forsy, to reagują bardzo niegrzecznie. Nie lubią także, jak ludzie zostają złapani i zaczynają o nich mówić. Oni się nie bawią. Twój Larry mógłby się sparzyć. Prawdę mówiąc, mógłby skończyć w jakimś rowie, pozbawiony paru organów.

To nie może się zdarzyć, myśli Roz. Słodki, poważny Larry, w swoim pokoju z trofeami ze szkolnych zawodów i obrazkami statków? Zenia jest kłamczuchą, przypomina samej sobie Roz. Nie potrafi jednak przekreślić jej wersji, bo jeżeli to prawda?

Myśl o martwym Larrym jest nie do zniesienia. Ona tego nie przeżyje. Ta myśl tkwi w jej sercu jak lodowa drzazga. Jednocześnie czuje się, jakby została teleportowana do jakiegoś nędznego serialu przedpołudniowego, pełnego skrywanych niegodziwości i złowróżbnych intryg, ze zdjęciami zrobionymi pod złym kątem.

Mogłaby podejść do Zeni od tyłu i walnąć ją w głowę lampą. Związać ją rajstopami. Upozorować, że to zbrodnia na tle seksualnym. Przeczytała wystarczająco dużo kryminałów i Bóg jeden wie, że uwierzyliby; taki koniec należy się kobietom plugawym jak Zenia. Zaludnia pokój detektywami z papierosami w ustach, którzy szukają odcisków palców na meblach, odcisków, które ona już sprytnie usunęła...

– Nie mam przy sobie książeczki czekowej – odzywa się. – To będzie musiało poczekać do jutra.

– Ma być gotówka – mówi Zenia. – Pięćdziesiąt tysięcy, i tak za mało. Gdyby nie recesja, zażądałabym dwa razy więcej. Stare banknoty o małym nominale, bardzo proszę; możesz przysłać je przez gońca, przed południem. Tylko nie tutaj, zadzwonię do ciebie rano i powiem gdzie. A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, spieszę się trochę.

Roz zjeżdża na dół. Nagle zaczyna ją okropnie boleć głowa, a na dodatek czuje się chora. To strach i złość wiją się w niej jak obiad z salmonellą. „Boże,

czy to moja wina? Czy muszę nieść podwójny krzyż? A może według ciebie to żart!” Przychodzi jej do głowy, nie po raz pierwszy zresztą, że skoro wszystko jest częścią boskiego planu, to Bóg musi mieć cholerne poczucie humoru.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta Tony.

– Zapłacić – odpowiada Roz. – A jaki mam wybór? W każdym razie, to tylko pieniądze.

– Mogłabyś porozmawiać z Larrym – sugeruje Tony. – W końcu Zenia kłamie jak najęta. Mogła to wszystko wymyślić.

– Najpierw zapłacę – mówi Roz. – Wtedy Zenia poleci, a ja porozmawiam z Larrym. – Uderza ją, że Tony nie zawsze rozumie sprawy dzieci. Nawet pięć procent prawdy byłoby za dużo; nie może ryzykować.

– A co zrobimy z nią? – odzywa się Charis.

– Z Zenią? – pyta Roz. – Pojutrze będzie gdzie indziej. Osobiście, to chciałabym, aby zniknęła na zawsze, jak brodawka. Ale to chyba się nie zdarzy. – Zapala następnego papierosa od świeczki w świeczniku z czerwonego szkła. Charis kaszle nieśmiało i odgania dłonią dym.

– Nie sądzę – mówi powoli Tony – abyśmy mogły coś z nią zrobić. Nie sprawimy, że zniknie. Nawet jeżeli wyjedzie, to wróci, gdy tylko zechce. Ona jest darowana. Po prostu jest, jak pogoda.

– Może powinniśmy podziękować – proponuje Charis. – I poprosić o pomoc.

– Podziękować za co? „Dziękujemy ci, Boże, za stworzenie Zeni? Następny razem nie sprawiaj sobie kłopotu?” – śmieje się Roz.

– Nie – odpowiada Charis. – Za to, że ona odjeżdża, a nam nic się nie stało, prawda? Żadna z nas się nie poddała. – Nie wie dokładnie, jak to wyrazić. Ma na myśli to, że każda z nich miała pokusy, ale nie uległa im. Poddanie się oznaczałoby zabicie Zeni, fizycznie lub duchowo. Zabicie Zeni byłoby zamienieniem się w Zenię. Inną formą poddania się mogło być uwierzenie jej, wpuszczenie do domu, zezwolenie, aby je rozdarła. Co prawda, są trochę rozdarte, ale dlatego że nie postąpiły tak, jak chciała Zenia. – Chodzi mi o to, że...

– Chyba wiem, o co ci chodzi – wtrąca Tony.

– Dobra – mówi Roz. – Podziękujmy. Zawsze jestem za. Komu dziękujemy i jak to zrobimy?

– Złożymy ofiarę – odpowiada Charis. – Mamy tutaj wszystko, co

potrzeba, nawet świeczkę. – Unosi kieliszek, w którym zostało trochę białego wina, i wylewa odrobinę na resztkę swoich łodów. Pochyla głowę i zamyka na krótko oczy. – Prosiłam o pomoc – mówi. – Dla nas wszystkich. Teraz wy. – Prosiła także o wybaczenie, dla nich wszystkich. Uważa, że tak trzeba, tylko nie wie dlaczego, więc nic o tym nie mówi.

– Nie jestem co do tego przekonana – odzywa się Roz. Widzi potrzebę ofiary, ostrożność nie zawadzi, ale chciałaby wiedzieć, jakiego Boga przywołują – a raczej jakie wcielenie Boga – żeby mogła obronić się przed piorunami zsyłanymi przez innych. Wylewa jednak wino. Podobnie robi Tony, uśmiecha się sztywno, jakby przygryzła sobie język. Gdyby to się działo trzysta lat temu, myśli, wszystkie trzy zostałybyśmy spalone na stosie. Jednakże Zenia pierwsza. Bez wątplenia, Zenia pierwsza.

– To wszystko? – pyta.

– Chciałabym posypać trochę soli na płomień świeczki – mówi Charis i sypie sól.

– Mam nadzieję, że nikt nie patrzy – dodaje Roz. – Ciekawa jestem, ile jeszcze czasu minie, zanim zostaniemy dyplomowanymi starymi jędzami? – Czuje, że lekko kręci się jej w głowie; może to przez kodeinę, którą wzięła na migrenę.

– Jeszcze na taką nie wyglądasz – mówi Tony.

– Być starym to nie takie złe – stwierdza Charis. – Wiek to tylko nastawienie. – Przygląda się świeczce z rozmarzeniem.

– Powiedz to mojemu ginekologowi – odpowiada Roz. – Chcesz być starą jędzą, żeby robić te mikstury.

– Już je robi – odzywa się Tony.

Nagle Charis prostuje się na krześle. Wybałusza oczy. Zakrywa dłonią usta.

– Charis? – pyta Roz. – Co ci, kochanie?

– O mój Boże – wydobywa z siebie Charis.

– Dusi się? – pyta Tony. Może Charis ma zawał serca albo jakiś atak. – Uderz ją w plecy!

– Nie, nie – mówi Charis. – To Zenia! Ona nie żyje!

– Co? – dziwi się Roz.

– Skąd wiesz? – dopytuje się Tony.

– Zobaczyłam w świeczce – wyjaśnia Charis. – Widziałam, jak spada. Spadała w wodę. Widziałam to! Ona nie żyje. – Charis zaczyna płakać.

– Skarbie, jesteś pewna, że to nie było tylko twoje pobożne życzenie? – pyta delikatnie Roz. Jednakże Charis jest zbyt zaabsorbowana swoim żalem, aby usłyszeć.

– No, już – odzywa się Tony. – Pojedziemy do hotelu. Sprawdzimy. W przeciwnym razie – zwraca się do Roz ponad głową Charis, która ukryła twarz w dłoniach i kołysze się z boku na bok – żadna z nas porządnie się dzisiaj nie wyspi. – To prawda; Charis będzie martwić się śmiercią Zeni, a Tony i Roz będą martwić się o Charis. To jest warte krótkiej przejażdżki.

Gdy zabierają płaszcze, Roz reguluje rachunek, a Charis nadal po cichu szlocha: po części dlatego, że przeżyła szok, cały dzień był taki, a to przeważało szalę, a po części dlatego, że Charis widziała więcej, niż im powiedziała. Nie tylko widziała upadek Zeni, ciemny, wirujący kształt z rozwianymi włosami, z tęczą życia wymykającą się z ciała w postaci szarej mgły, nie tylko widziała Zenię zamieniającą się w nicość. Widziała też, jak ktoś ją popchnął. Ktoś zepchnął Zenię w przepaść.

Chociaż nie widziała wyraźnie, chyba wie, kto to był. To była Karen, która w jakiś sposób została, ukryła się w pokoju Zeni, która czekała, aż Zenia otworzy drzwi na balkon, a potem podeszła do niej od tyłu i pchnęła. Karen zamordowała Zenię i to jest wina Charis, gdyż wygoniła Karen z siebie, nie schowała jej w sobie. Łzy Charis to łzy winowajczyny.

To oczywiście tylko jeden ze sposobów ujęcia tej sprawy. Charis tłumaczy sobie, że to właśnie ona pragnęła śmierci Zeni, i teraz Zenia nie żyje. Z moralnego punktu widzenia czyn duchowy jest tym samym co czyn fizyczny. Karen–Charis jest morderczynią. Ma krew na rękach. Jest nieczysta.

Jadą samochodem Roz, tym mniejszym. Tracą trochę czasu, kiedy Roz próbuje znaleźć kogoś z obsługi, by zaparkował wóz, i kiedy skarży się człowiekowi, który w końcu się zjawia, że „Arnold Garden” nie do końca spełnia oczekiwania klientów. Wchodzi w trójkę do holu. Charis już doszła do siebie, Tony podtrzymuje ją za ramię.

– Jest w fontannie – szepcze Charis.

– Ciii – mówi Tony. – Zaraz zobaczymy. Niech Roz mówi.

– Byłam dzisiaj po południu w waszym hotelu, rozważając możliwość zorganizowania tutaj zjazdu, i chyba zostawiłam rękawiczki – zaczyna Roz. Uznała, że byłoby błędem, gdyby powiedziała, że szuka Zeni. A gdyby się okazało, że Charis ma rację? Co nie znaczy, że choć przez chwilę w to wierzyła, ale na wszelki wypadek. W każdym razie, jeżeli sprawdzą pokój i nikogo nie będzie, to czego to będzie dowodziło? Na pewno nie śmierci. Zenia mogła się wymeldować.

– Z kim pani rozmawiała? – pyta kobieta w recepcji.

– Och, tylko się rozglądałam – odpowiada Roz. – Chyba zostawiłam je w

patio. Na brzegu fontanny.

– O tej porze roku drzwi do patio są zamknięte na klucz – oświadcza kobieta.

– Ale nie były zamknięte – atakuje Roz – więc tylko się rozejrzałam. To patio to miłe miejsce na koktajle, przy fontannie, na powietrzu, tak sobie pomyślałam. Zjazd byłby w czerwcu. Proszę, moja wizytówka.

Wizytówka wywołuje pozytywny skutek.

– Dobrze, pani Andrews, każe je natychmiast dla pani otworzyć – mówi kobieta. – Prawdę mówiąc, często urządzamy tu koktajle. Moglibyśmy wystawić bufet z lunchem; latem są tam stoły. – Przywołuje boya.

– Czy można jeszcze włączyć światła zewnętrzne? – prosi Roz. – Rękawiczki mogły wpaść do fontanny, wiatr mógł je zdmuchnąć.

Roz chce, aby cały plac był oświetlony jak choinka, żeby Charis dokładnie zobaczyła, że nigdzie nie ma Zeni. Wychodzą przez szklane drzwi i stają razem, czekając na światło.

– Już dobrze, kochanie, nic tu nie ma – szepcze Roz do Charis.

Kiedy zapalają się światła, wielkie górne reflektory, a także światła w dnie fontanny, dostrzegają Zenię. Unosi się na wodzie pośród martwych liści, twarzą w dół, jej włosy falują jak wodorosty.

– Mój Boże – szepcze Tony. Roz tłumi krzyk. Charis milczy. Czas zapętlił się, przepowiednia okazała się prawdą. Tylko nie ma psów. Po chwili dociera to do niej: „My jesteśmy psami, liżącymi jej krew na podwórku, liżącymi krew Jezabel”. Chyba zwymiotuje.

– Nie dotykaj jej – mówi Tony, ale Charis musi to zrobić. Dotyka jej i pociąga. Zenia obraca się powoli i patrzy prosto na nie białymi, syrenimi oczami.

Prawdę mówiąc, nie patrzy, bo nie może. Gałki oczu ma obrócone do środka głowy – dlatego są puste, jak u ryby. Nie żyje od kilku godzin, tak twierdzi policja, kiedy przejeżdża na miejsce.

Obsługa hotelowa jest bardzo zmartwiona. Trup kobiety w fontannie nie przysporzy im popularności, przynajmniej takiej, jakiej potrzebują, kiedy interes idzie klopsko. Wydaje się, że uważają, iż to wszystko wina Roz, bo kazała włączyć światła, jakby to właśnie zmaterializowało Zenię w basenie. Roz tłumaczy im, że dzienne światło byłoby o wiele gorsze: goście hotelowi spożywaliby śniadanie w pokojach, wyszliby na balkon, by zaczerpnąć świeżego powietrza i zapalić papierosa, spojrzeliby w dół, i można sobie wyobrazić, jaka podniosłaby się wrzawa.

Ponieważ Tony, Roz i Charis znalazły ciało, muszą teraz czekać. Muszą odpowiedzieć na pytania. Roz przejmuje szybko prowadzenie rozmowy i wplata swoją historię z rękawiczkami. Nie byłoby mądre zdradzić policji, że pędziły do Arnold Garden Hotel, ponieważ Charis ujrzała coś w płomieniu świeczki. Roz naczytała się dosyć kryminałów i wie, że taka wersja natychmiast rzuciłaby podejrzenie na Charis. Mało tego, policja uznałaby Charis za stukniętą – cóż, obiektywnie mówiąc, Roz to rozumie – a także za wariatkę – zdolną do wypchnięcia Zeni z balkonu – którą ogarnęła później amnezja i napadły psychodeliczne wizje wywołujące winę.

Gdzieś w zakamarkach umysłu Roz powstaje cień podejrzenia; może mieliby rację. Charis miała dosyć czasu, aby wrócić do hotelu, zanim pojawiła się w „Toxique”. Mogła to zrobić. Tak samo jak Tony, która szczerze wyznała swoje mordercze zamiary. Prawdę mówiąc, Roz też mogła. Nie ma wątpliwości, że w pokoju Zeni jest pełno odcisków ich trzech.

Może był to ktoś, kogo nawet nie znają, jakiś obcy, któryś z handlarzy bronią, o których Zenia powiedziała Tony. Roz jednak w to nie wierzy. Istnieje za to jeszcze gorsza możliwość, o wiele gorsza: to mógł być Larry. Jeżeli to prawda, co powiedziała Zenia, to miałyby dobry motyw. Nigdy nie był gwałtownym dzieckiem; wołał odejść od innych dzieci, niż się kłócić. Zenia mogła jednak zagrazać mu w jakiś sposób. Mógł być na prochach. Co Roz

faktycznie wie o Larrym, teraz, kiedy jest dorosły? Musi jak najszybciej wrócić do domu, żeby dowiedzieć się, co zrobił.

Tony odciągnęła Charis na bok, żeby zaoszczędzić jej widoku. Ma nadzieję, że Charis będzie milczeć na temat swej wizji, która – Tony musi przyznać – była całkiem dokładna, chociaż po fakcie. Co faktycznie się wydarzyło? Tony wylicza możliwości: Zenia wypadła, Zenia wyskoczyła, Zenia została wypchnięta. Wypadek, samobójstwo, morderstwo. Tony skłania się ku temu trzeciemu: Zenia została zabita – z całą pewnością – przez nieznaną osobę lub osoby. Tony cieszy się, że zabrała broń do domu – na ciele mogą być ślady po kulach, chociaż żadnych nie widziała. Nie sądzi, aby mogła to zrobić Charis, ona nie skrzywdziłaby nawet muchy – wierzy, że w muchach może żyć ktoś spokrewniony z tobą w poprzednim wcieleniu – ale co do Roz, nie ma takiej pewności. Roz ma temperament, bywa porywcza.

– Czy ktoś znał tę kobietę? – pyta policjant.

Trzy kobiety patrzą po sobie.

– Tak – odpowiada Tony.

– Wszystkie widziałyśmy się z nią dzisiaj, wcześniej – dodaje Roz.

Charis zaczyna płakać.

– Byłyśmy jej najlepszymi przyjaciółkami.

Co jest, myśli Tony, dla niej zupełną nowością, ale jak na razie będzie musiało wystarczyć.

Roz zawozi Charis na przystań, a potem Tony do domu. Tony wchodzi po schodach do pracowni Westa, gdzie znajduje go podłączonego przez słuchawki do dwóch maszyn. Tony wyłącza urządzenie.

– Czy Zenia tutaj dzwoniła? – pyta.

– Co? O co chodzi, Tony?

– To ważne – mówi Tony. Wie, że jest wściekła, ale nic nie może na to poradzić. – Rozmawiałaś z Zenią? Była tutaj? – Myśl o Zeni tarzającej się z Westem na dywanie, pośród syntezatorów, uważa za wyjątkowo niesmaczną. Nie: nieznośną.

A może, myśli Tony, West to zrobił. Może poszedł do niej do hotelu, aby błagać i prosić, chcąc jeszcze raz z nią uciec, a Zenia go wyśmiała. Wtedy West stracił panowanie i wyrzucił ją przez balkon. Jeżeli tak się stało, Tony chce to wiedzieć. Chce wiedzieć, aby mogła chronić Westa, wymyślić dla niego niepodważalne alibi, obronić go przed nim samym.

– Ach, tak – mówi West. – Rzeczywiście dzwoniła, nie wiem... jakiś tydzień temu. Ale nie rozmawiałem z nią, zostawiła tylko wiadomość

automatycznej sekretarce.

– Co mówiła? – pyta Tony. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Czego chciała?

– Może powinienem był – odpowiada West – ale nie chciałem cię zranić. To znaczy, oboje myśleliśmy, że ona nie żyje. Chyba wolałem, żeby tak zostało.

– Naprawdę?

– Ona nie chciała rozmawiać ze mną – mówi West, jakby wiedział, co myśli Tony. – Chciała ciebie. Gdybym rozmawiał z nią przez telefon, kazałbym jej o tym zapomnieć; wiedziałem, że nie zechcesz się z nią spotkać. Zapisałem, gdzie mieszka, ale jak wszystko przemyślałem, to wyrzuciłem adres. Ona zawsze przynosiła złe wieści.

Tony czuje, że mięknie.

– Jednakże widziałam ją – przyznaje się. – Widziałam ją dzisiaj po południu. Najwyraźniej znajoma jej była twoja pracownia na drugim piętrze. Skąd mogła o tym wiedzieć, skoro nigdy tu nie była?

West uśmiecha się.

– Mam to na automatycznej sekretarce. „Drugie piętro. Wiatry przeciwnie”. Pamiętasz?

Tymczasem wyplątał się z drutów i wstał. Tony podchodzi do niego i West składa się jak krzesło w kościele, otacza ją ramionami niczym zasupłanymi linami. Całuje ją w czoło.

– Podoba mi się, że jesteś zazdrosna – mówi. – Ale nie musisz być. Ona już jest niczym.

Jak on mało wie, myśli Tony, albo wie, tylko udaje, że nie. Przyciśnięta do jego torsu, stara się wywąchać, czy dużo pił. Jeśli tak, to by go zdradzało. Nie wyczuwa nic poza typowym, lekkim zapachem piwa.

– Zenia nie żyje – oznajmia uroczyście Westowi.

– Och, Tony – mówi West. – Znowu? Tak mi przykro. – Kołysz je w ramionach, jakby to ją trzeba było pocieszać, a nie jego.

Kiedy Charis wraca do domu, ciągle roztrzęsiona, ale już opanowana, w kuchni pali się światło. To Augusta przyjechała na weekend. Charis cieszy się, że ją widzi, chociaż wolałaby najpierw posprzątać. Zauważa, że Augusta pozmywała naczynia z kilku ostatnich dni i zlikwidowała co większe pajęczyny, chociaż wiedziała, że lepiej nie ruszać medytacyjnego ołtarza Charis. Zwróciła jednak na niego uwagę.

– Mamo – zaczyna, kiedy Charis już się z nią przywitała i nastawiła czajnik na wieczorną herbatę – co te kamienie, kupa śmieci i liście robią na stole w

salonie?

– To do medytacji – wyjaśnia Charis.

– Chryste – mruczy Augusta. – Nie możesz tego położyć gdzie indziej?

– August – odpowiada nieco rozdrażniona Charis – to moje medytacje i to mój dom.

– Nie rzucaj się na mnie! – oponuje Augusta. – I mam, teraz mam na imię Augusta.

Charis wie o tym. Wie, że powinna szanować nowe imię August, ponieważ każdy ma prawo do takiej zmiany zgodnie z własnymi wewnętrznymi przekonaniami. Jednakże to pierwotnie imię August wybrała Charis z taką miłością i troską. Dała je jej, to był dar. Trudno jej teraz rozstać się z nim.

– Zrobię ci racuchy – obiecuje pojednawczo. – Jutro. Z nasionami słonecznika. Zawsze je lubiłaś.

– Nie musisz ciągle mi czegoś dawać, mam – mówi Augusta dziwnie dorosłym głosem. – I tak cię kocham.

Charis czuje, że wilgotnieją jej oczy. Od dłuższego czasu Augusta nie mówiła nic tak czułego. Aż trudno jej uwierzyć, że ktoś mógłby ją kochać, kiedy ona nawet się o to nie stara: nie stara się domyślać, czego potrzebują inni ludzie, nie stara się na to zasłużyć.

– Ja tylko martwię się o ciebie – mówi. – O twoje zdrowie. – Prawdę mówiąc, nie tą stroną Augusty się martwi, ale tą drugą, bardziej duchową. Chociaż zdrowie to też sprawa ducha.

– Nie żartuj – odpowiada Augusta. – Za każdym razem jak przyjeżdżam, próbujesz mnie napchać wegetariańskimi hamburgerami. Mam dziewiętnaście lat, potrafię się o siebie zatroszczyć, jadam treściwe posiłki! Dlaczego nie możemy po prostu przyjemnie spędzić czasu? Pójść na spacer albo coś podobnego?

To niepodobne do Augusty chcieć spędzać czas z Charis. Może Augusta nie jest wcale taka twarda, polakierowana i błyszcząca. Może ma czuły punkt. Może, mimo wszystko, jest częścią Charis.

– Czy bardzo ci przeszkadzało, że nie miałaś ojca? – pyta Charis. – Jak byłaś mała? – Chciała zadać to pytanie już od dawna, chociaż bała się odpowiedzi, bo z całą pewnością Billy odszedł z jej winy. Jeżeli Billy uciekł, to znaczy, że nie była dla niego wystarczająco pociągająca. Jeżeli został porwany, to znaczy, że nie opiekowała się nim tak jak trzeba. Teraz ma jednak inne spojrzenie na Billy'ego. Bez względu na to, czy Zenia kłamała czy nie, może dobrze, że Billy nie został.

– Przestań brać na siebie winę – mówi Augusta. – Może przeszkadzało mi,

jak byłam mała, ale rozejrzyj się, mamo, mamy dwudziesty wiek! Ojcowie przychodzą i odchodzą – wiele dzieci na Wyspie nie miało ojca. Znam ludzi z trzema, czterema ojcami! To znaczy: mogło być gorzej, prawda?

Charis spogląda na Augustę i widzi światło dookoła niej. To światło jest twarde jak minerał, a jednocześnie miękkie, świeci blaskiem perły. Wewnątrz świetlnych warstw, w samym środku Augusty, jest mała rana. Należy do Augusty, nie do Charis. Augusta musi ją zaleczyć.

Charis jest oczyszczona. Kładzie dłonie na ramionach Augusty, delikatnie, aby Augusta nie czuła się pochwycona, i całuje ją w czoło.

Przed pójściem spać Charis medytuje na temat Zeni. Musi to zrobić, bo chociaż często o niej myślała w odniesieniu do siebie samej, do Billy’ego czy nawet do Tony i Roz, nigdy naprawdę nie rozważała, kim Zenia była sama w sobie: Zeniowatość Zeni. Nie posiada żadnego przedmiotu, niczego należącego do Zeni, by móc na tym się skoncentrować, więc wyłącza światło i wygląda przez okno; patrzy w ciemność, w stronę jeziora. Zenia została zesłana w jej życie – została wybrana przez nią – aby ją czegoś nauczyć. Charis nie wie, co to było, ale z czasem to odkryje.

Widzi Zenię wyraźnie, Zenię leżącą w fontannie, z włosami falującymi dookoła. W miarę jak wpatruje się w nią, czas zaczyna się cofać i do Zeni wraca życie. Powstaje z wody i niczym wielki ptak wlatuje na pomarańczowy balkon. Charis nie potrafi jej jednak utrzymać i Zenia spada znowu; spada, przemieniając się powoli w swoją własną przyszłość. Swoją przyszłość jako martwej osoby, jako osoby jeszcze nie narodzonej.

Charis zastanawia się, czy Zenia powróci jako istota ludzka czy jako coś innego. Może dusza pęka tak samo jak ciało i odradzają się tylko jej części, fragment tutaj, fragment tam. Może wkrótce urodzi się wielu ludzi z cząstkami Zeni w sobie. Charis będzie jednak myślała o niej raczej jako o całości.

Po chwili gasi pozostałe światła na parterze i idzie na piętro. Przed wejściem do łóżka z pościelą w winną latorośl Charis sięga po notatnik z lawendowym papierem i pióro z zielonym atramentem. Pisze: „Zenia powróciła do światła”.

Ma nadzieję, że tak się stało. Ma nadzieję, że Zenia nie krąży gdzieś w pobliżu, sama i zagubiona, pośród nocy.

Po odwiezieniu Tony do domu Roz wraca do siebie najszybciej, jak może. Jest jej niedobrze ze zdenerwowania: może w jej domu jest pełno poupychanych wszędzie małych, plastikowych torebek kokainy – w herbacie, w puszcze z

ciastkami – może jej dom jest pełen psów policyjnych i mężczyzn nazwiskiem Dwayne, którzy będą zwracać się do niej per „szanowna pani” i będą twierdzić, że wykonują tylko swoją pracę? Przejeżdża nawet na czerwonym świetle, czego normalnie nie robi, chociaż wszyscy inni tak dzisiaj postępują. Zrzuca płaszcz w holu, zdejmuje buty i zaczyna szukać Larry’ego.

Bliźniaczki są w dużym pokoju i oglądają *Star Trek*.

– Witaj, Ziemiańska Mamo – mówi Paula.

– Może to nie jest mama? – odzywa się Erin. – Może to Kopia.

– Cześć, dzieciaki – mówi Roz. – Już dawno powinnyście spać! Gdzie

Larry?

– Erla zrobiła zadanie domowe – mówi Erin. – To nasza nagroda.

– Mamo, co się stało? – pyta Paula. – Wyglądasz tragicznie.

– To wiek – odpowiada Roz. – On jest w domu?

– W kuchni – mówi Erin. – Chyba.

– Je chleb z miodem – dodaje Paula.

– To Królowa, głupia – upomina ją Erin. Chichoczą.

Larry siedzi na wysokim taborecie przy blacie kuchennym. Ma na sobie dżinsy i czarny T-shirt; jest boso, pije piwo z butelki. Naprzeciw niego siedzi Boyce w nienagannym garniturze. Także pije piwo. Kiedy Roz wchodzi do kuchni, obaj podnoszą wzrok. Wydają się jednakowo zaniepokojeni.

– Cześć, Boyce – mówi Roz. – Co za niespodzianka! Coś się stało w biurze?

– Dobry wieczór, pani Andrews – odpowiada Boyce. – Nie, nie w biurze.

– Muszę coś omówić z Larrym. Wybacz, Boyce.

– Myślę, że Boyce powinien zostać – odzywa się Larry. Wygląda na przygnębitego, jakby oblał egzamin: musi chodzić o Zenię, ale co ma z tym wspólnego Boyce?

– Larry, jestem zmartwiona – oświadcza Roz. – W co się wplątałeś z Zenią?

– Z kim? – pyta Larry, zbyt niewinnie.

– Muszę wiedzieć – nalega Roz.

– Śnię o Zeni w jej brązowym legowisku – mruczy Boyce jakby do siebie.

– Powiedziała ci? – Larry jest ostrożny.

– O narkotykach? – sprawdza Roz. – O, Boże, więc to prawda! Jeżeli masz w tym domu jakieś prochy, to usuń je natychmiast! Więc byłeś z nią!

– Byłeś? – powtarza Larry.

– Byłeś, spałeś, obojętnie jak to nazwiesz – denerwuje się Roz. – Matko święta, nie wiesz, ile ona ma lat? Nie wiesz, jaka jest zła? Nie wiesz, co zrobiła

z twoim ojcem?

– Był z nią? – wtrąca Boyce. – Nie sądzę.

– Jakie prochy? – pyta Larry.

– Tylko parę razy – mówi Boyce. – Eksperymentował. Nos mnie boli, senne odrętwienie ogarnia me zmysły. Keats. Już to rzucił, jak na razie... prawda, Larry?

– To nie dostarczałeś jej towaru? – pyta Roz.

– Mamo, było odwrotnie.

– Charis widziała, jak się z nią całowałeś. Na ulicy! – wyrzuca z siebie Roz. Czuje się dziwnie, zwracając się tak do własnego syna. Czuje się jak stare, wścibskie babsko.

– Całowałem? – powtarza Larry. – Nigdy jej nie pocałowałem. Mówiła mi coś na ucho, że idzie za nami pomyłona starsza pani. Może to wyglądało na całowanie dla ciotki Charis, bo to była właśnie ona.

– Nie całowała, ale syczała – wtrąca Boyce. – Jak „nie machała, ale tonęła”. Stevie Smith.

– Boyce, zamknij się na chwilę – irytuje się Larry. Najwyraźniej znają się znacznie lepiej, niż sądziła Roz. Myślała, że spotkali się tylko raz na balu dla ojców i córek, a później wymieniali jedynie ukłony w biurze, kiedy wpadał tam Larry. Okazuje się, że nie.

– Bywałeś u niej w hotelu – mówi Roz. – Wiem na pewno!

– To nie to, co myślisz – zaprzecza Larry.

– Czy nie rozumiesz, że ona nie żyje? – Roz wyciąga asa. – Właśnie stamtąd wracam. Wyłowili ją z fontanny!

– Nie żyje? – dziwi się Boyce. – Jak to się stało? Ta żmija sama się ugryzła?

– Kto wie? – odpowiada Roz. – Może ktoś wypchnął ją z balkonu.

– Może skoczyła – przypuszcza Boyce. – Kiedy ładna kobieta popada w szaleństwo i zbyt późno odkrywa męską zdradę, wtedy skacze z balkonu.

– Mam jedynie nadzieję, że nie miałeś z tym nic wspólnego – mówi Roz do Larry’ego.

– Nie mógłby. Dzisiaj nie zbliżał się do niej. Był ze mną – odzywa się Boyce pospiesznie.

– Próbowałem ją od tego odciągnąć – opowiada Larry. – Ona chciała pieniędzy. Nie miałem tyle, a ciebie nie mogłem prosić.

– Odciągnąć od czego? Pieniądzy na co? – pyta Roz. Nieomal krzyczy.

– Żeby ci nie powiedziała. – Larry jest wyraźnie nieszczęśliwy. – Myślałem, że uda mi się utrzymać to w tajemnicy. Nie chciałem pogarszać

wszystkiego... i tak byłaś przygnębiona z powodu taty i tego wszystkiego.

– Judaszu, żeby czego mi nie powiedziała? – krzyczy Roz. – Wpędzisz mnie do grobu! – Mówi dokładnie tak samo jak jej matka. To jednak miło, że Larry chciał jej czegoś oszczędzić. Nie chciałby wrócić do domu i znaleźć jej na podłodze w konwulsjach, tak jak przedtem. – Boyce – mówi teraz łagodniej – masz papierosa?

Boyce, zawsze przygotowany, podaje jej paczkę i ogień.

– Chyba już pora – mówi do Larry’ego.

Larry przełyka ślinę, wbija wzrok w podłogę, wygląda na zrezygnowanego.

– Mamo – wyznaje – jestem gejem.

Roz czuje, że oczy wychodzą jej z orbit, jak u duszonego królika. Dlaczego sama tego nie widziała, nie poznała się, co się z nią dzieje? Nikotyna ogarnia jej płuca, rzeczywiście musi rzucić palenie, zaczyna kaszleć, dym wydobywa się z jej ust, może będzie miała przedwczesny atak serca! To właśnie robi, runie bezwładnie na podłogę i niech inni tym się przejmują, ponieważ dla niej to za wiele.

Widzi jednak rozpacz w oczach Larry’ego, a także prośbę. Nie, potrafi sobie z tym poradzić, jeżeli odpowiednio mocno ugryzie się w język. Zupełnie nie była na to przygotowana. Co należy powiedzieć w takim przypadku? „I tak cię kocham? Nadal jesteś moim synem? A co będzie z moimi wnukami?”

– A te wszystkie lalunie, które musiałam ścierpieć? – mówi w końcu. Teraz rozumie: Larry próbował ją zadowolić. Próbował przyprowadzać do domu kobiety, jak coś w rodzaju świadectwa z egzaminu, żeby pokazać mamie. Żeby pokazać, że zdał.

– Człowiek może jedynie starać się jak najlepiej – wtrąca Boyce. – Walter Scott.

– A co z bliźniaczkami? – szepcze Roz. Są w wieku, kiedy kształtuje się osobowość; co im powie?

– Ach, bliźniaczki wiedzą – mówi Larry z wyraźną ulgą, chociaż jeden problem załatwił. – Całkiem szybko się domyśliły. Mówią, że to w dechę. – To znaczy, myśli Roz, że bariery odgradzające niegdyś płcie tak mocno, stały się dla nich stertą zardzewiałych drutów.

– Niech pani pomyśli o tym w taki sposób – odzywa się czule Boyce. – Nie traci pani syna, zyskuje pani syna.

– Postanowiłem iść na prawo – oświadcza Larry. Teraz, kiedy najgorsze już minęło i Roz nie wybuchnęła, czuje się odprężony. – Chcemy cię prosić o pomoc przy urządzaniu naszego mieszkania.

– Kochanie – mówi Roz, biorąc głęboki oddech. – Bardzo bym chciała. –

Nie chodzi o to, że jest uprzedzona, jej własne małżeństwo nie stanowi specjalnego argumentu za heteroseksualizmem, Mitch też nie był uprzedzony, chce tylko, aby Larry był szczęśliwy, a skoro on tak to sobie wyobraża, to dobrze. Może Boyce wpłynie na niego pozytywnie i zmusi go do zbierania rzeczy z podłogi, wyciągnie z kłopotów. Miała jednak długi dzień. Jutro będzie szczerą, ciepłą i otwartą. Dzisiaj musi wystarczyć hipokryzja.

– Pani Andrews, jest pani wzorem dla wszystkich i przykładem – odzywa się Boyce.

Roz rozpościera ręce, unosi ramiona, ściąga w dół kąciki usta.

– Powiedzcie – mówi – jaki mam wybór?

Przychodzą mężczyźni w prochowcach. Chcą dowiedzieć się wszystkiego o Zeni. Który z jej trzech paszportów jest prawdziwy, może żaden. Skąd naprawdę pochodziła. Co robiła.

Tony służy informacją, Charis jest powściągliwa. Roz jest ostrożna, ponieważ nie chce mieszać Larry’ego. Nie musi się jednak martwić, gdyż żaden z mężczyzn nie interesuje się Larrym. Interesują ich dwie spakowane walizki Zeni, pozostawione na łóżku, w jednej z nich jest jedenaście plastikowych woreczków białego proszku, przynajmniej tak mówią. Dwunasta torebka była otwarta i leżała przy telefonie. Z całą pewnością nie był to proszek do nosa, tylko heroina, czysta, dziewięćdziesiąt procent. Spoglądają kamiennym wzrokiem, ich oczy są jak inteligentne kamyki, szukają fałszu, oznak winy.

Interesuje ich także igła znaleziona na balkonie, kontynuują, oraz fakt, że przyczyną śmierci Zeni było przedawkowanie, jeszcze zanim uderzyła o powierzchnię wody. Czy to możliwe, że chciała się naćpać, nie wiedząc, jak silny jest towar, który sprzedawała lub kupowała? Na lewym ramieniu miała ślady, aczkolwiek wyglądały na stare. Według prochowców, ostatnio coraz więcej jest takich przedawkowań; widocznie ktoś zalewa rynek wysokoprocentowym towarem i nawet ci doświadczeni nie są na to przygotowani.

Mówią, że na igle znajdowały się jedynie odciski Zeni. Jeśli chodzi o łabędzi skok do fontanny, to mogła wypaść. Była wysoką kobietą, a metalowe bariere były zbyt niskie i nie stanowiły należytego zabezpieczenia; trzeba poprawić normy. Takie coś jest możliwe, jeżeli się opierała. Z drugiej strony heroina mogła stanowić kamuflaż dla morderstwa.

A może było to samobójstwo, sugeruje im Tony. Bardzo by chciała, aby w to uwierzyli. Mówi im, że Zenia mogła być przy zdrowych zmysłach.

Oczywiście, zgadzają się grzecznie mężczyźni w prochowcach. Wiemy o

tym. W walizce znaleźliśmy recepty, trafiliśmy do lekarzy. Wydaje się, że miała fałszywą książeczkę zdrowia, jak i fałszywe paszporty, ale sama choroba była wystarczająco prawdziwa. Sześć miesięcy życia: rak jajnika. Nie zostawiła jednak listu, jak robią samobójcy.

Tony mówi, że listu nie mogło być: Zenia nie należała do osób, które piszą takie rzeczy.

Mężczyźni w prochowcach spoglądają na nią; ich oczka połyskują sceptycznie. Żadnej z tych teorii nie chcą kupić, ale mają inną, też nielogiczną.

Tony wie, jak to będzie: Zenia okaże się zbyt przebiegła dla mężczyzn w prochowcach. Przechytrzy ich, tak jak zawsze wszystkich przechytrzała. Tony cieszy się z tego, nawet bardzo, jakby wiara w Zenię – wiara, której sobie nie uświadamiała – została obroniona. Niech się pocą! Dlaczego wszyscy mają wiedzieć wszystko? Przecież zdarzają się precedensy; historia pełna jest ludzi zaginionych w nie wyjaśnionych okolicznościach.

A jednak honor nakazuje jej, aby powtórzyła rozmowę o Gerrym Bullu i planie „Babilon”, chociaż nie tylko honor nakłania ją do tego: ma nadzieję, że jeżeli Zenia została zamordowana, to przez profesjonalistów, a nie przez kogoś znajomego. Mężczyźni mówią, że – jak mogą najlepiej – idą po śladach Zeni, posługując się biletami lotniczymi. Rzeczywiście, była ostatnio w kilku bardzo dziwnych miejscach, ale to nie rozstrzyga sprawy. Podają sobie ręce i odchodzą, prosząc Tony, by zadzwoniła, jeżeli dowie się czegoś. Obiecuje im, że tak zrobi.

Pozostaje wobec niewiarygodnej możliwości, że wszystkie trzy najświeższe opowieści Zeni – przynajmniej częściowo – były prawdą. A jeśli wołania Zeni o pomoc były tym razem prawdziwe?

Gdy policja skończyła swoją pracę, odbyła się kremacja. Płaci za to Roz, ponieważ kiedy odnajduje adwokata, tego, który urządził pierwszy pogrzeb Zeni, jest on bardzo rozżłoszczony. Za osobistą zniewagę uważa to, że Zenia postanowiła żyć przez cały ten czas, nie konsultując się z nim. Jej testament został poddany uwierzytelnieniu, nie dlatego że cokolwiek zostawiła, jedynie małą darowiznę dla sierocińca w pobliżu Waterloo, który i tak już nie istniał; na dodatek nic mu nie zapłacono. Więc czego się po nim spodziewają?

– Niczego – odpowiada Roz. – Wszystkim się zajmiemy.

– A co z tym? – Roz pyta Tony i Charis. – Wygląda na to, że nam to zostało na głowie. Wydaje się, że nie ma żadnych krewnych.

– Poza nami – mówi Charis.

Tony nie widzi sensu zaprzeczać, ponieważ Charis wierzy, że wszyscy są z sobą spokrewnieni poprzez jakiś niewidzialny system korzeni. Mówi, że zajmie się prochami, dopóki nie wymyślą razem czegoś bardziej odpowiedniego. Urnę z Zenią, zawiniętą w czerwoną bibułę, zanoszą do piwnicy, do pudełka z ozdobami na choinkę, kładzie obok pistoletu. Nic o tym nie mówi Westowi, ponieważ to kobieca sprawa.

Zakończenie

Tak więc Zenia jest historią.

Nie: Zeni nie ma. Zaginęła i przepadła na zawsze. Jest garścią pyłu na wietrze, wiatr rozdmuchuje ją jak zarodniki; niewidzialna chmura wirusów, kilka rozproszonych molekuł. Stanie się historią, jeżeli tylko Tony postanowi stworzyć z niej historię. W tym momencie jest bezkształtna, jak rozbita mozaika, jej fragmenty znajdują się w dłoniach Tony, ponieważ nie żyje, a wszyscy zmarli są w rękach żyjących.

Jednakże co Tony ma z niej zrobić? Historia Zeni jest pozbawiona treści, pozbawiona właściciela, jest tylko plotką, przechodzącą z ust do ust i zmieniającą się podczas tej drogi. To tak jak z magikiem – widziałeś to, co Zenia chciała, abyś ujrzał, albo widziałeś to, co sam chciałeś zobaczyć. Sprawiała to za pomocą luster. Lustrem był ten, kto patrzył, ale za dwuwymiarowym obrazem nie było niczego prócz cienkiej warstwy rtęci.

Nawet imię Zenia może nie istnieć; Tony już sprawdziła. Próbowała ustalić jego znaczenie: *Xenia*, z rosyjskiego – gościnnie, z greckiego – odnoszące się do wpływu pyłu na owoc; *Zenaida*, oznacza córkę Zeusa, a także dwie wczesnochrześcijańskie męczenniczki; *Zillah*, z hebrajskiego – cień; *Zenobia*, wojownicza królowa Palmyry w Syrii z trzeciego wieku, pokonana przez cesarza Aureliana; *Xeno*, z greckiego – obcy, jak w ksenofobii; *Zenana*, w języku hindi – część haremu przeznaczona dla kobiet; *Zen*, japońska religia medytacyjna; *Zendic*, osoba praktykująca heretycką magię na Wschodzie – to najbliższe określenia, jakie znalazła.

Z takich aluzji i podszeptów zrodziła się Zenia. Jeżeli chodzi o prawdę o niej, to leży ona poza zasięgiem, ponieważ – według wszelkich istniejących dokumentów – ona nigdy się nie urodziła.

Tylko po co w dzisiejszych czasach zawracać sobie głowę – jak powiedziała sama Zenia – takim donkiszockim pojęciem jak prawda? Każda zwyczajna historia jest przynajmniej w połowie kuglarską sztuczką: prawa ręka wymachuje nędznymi skrawkami faktów, by wszyscy mogli je zweryfikować, podczas gdy lewa zajmuje się matactwami, głęboko ukrytymi w kieszeniach. Tony jest zniechęcona niemożliwością dokładnej rekonstrukcji.

A także jej daremnością. Dlaczego to robi? Historia była kiedyś potężnym gmachem, z kolumnami mądrości i ołtarzem ku czci bogini Pamięci, matki dziewięciu muz. Teraz dobrały się do niej kwaśne deszcze, bomby terrorystów i termity; coraz mniej przypomina świątynię, upodabnia się do sterty gruzu, chociaż kiedyś jej konstrukcja miała znaczenie. Było w niej coś, co miało uczyć ludzi, coś korzystnego; jakieś witaminy dające zdrowie albo wygrane na loterii ciastko z myślą przewodnią ukrytą wśród stosów relacji, z których większość mówiła o chciwości, przemocy, zawziętości, żądzy władzy, ponieważ historia nie troszczy się o tych, którzy starają się być dobrzy. Dobro samo w sobie jest problematyczne, gdyż czyn może być dobry w intencjach, ale jego wynik może okazać się zły, pomnijcie na misjonarzy. Dlatego właśnie Tony woli bitwy: w bitwie występują czyny właściwe i niewłaściwe, a można je rozgraniczyć przez tego, kto wygrywa.

Kiedyś było w tym zawarte jakieś przesłanie. „Niech to będzie dla ciebie nauką”, mawiali dorośli do dzieci, a historycy do czytelników. Czy opowieści wyjęte z historii uczą czegokolwiek? W sensie ogólnym, myśli Tony, chyba nie.

Pomimo to nadal brnie naprzód, nadal splata własne domysły oparte na informacjach i prawdopodobne założenia, nadal rozmyśla nad skrawkami faktów, skorupami i połamanymi grotami, nad zmatowiałymi paciorkami naszyjników, układa je we wzory, które według niej niegdyś tworzyły. Kogo to obchodzi? Prawie nikogo. Może to tylko hobby, zajęcie na pochmurny dzień. A może to przekora: historie mogą być postrzępione i wyświechtane, posklejane z bezwartościowych resztek, ale dla niej są sztandarami wznoszonymi z beztróską zuchwałością, sztandarami trzepoczącymi śmiało, chociaż niekonsekwentnie, migoczącymi pośród drzew, na górskich drogach, wśród ruin, w długim marszu ku chaosowi.

Jest środek nocy. Tony jest w piwnicy, gdyż nie chce jej się spać. Ubrana jest w szlafrok, grube, wełniane skarpety i kapcie w kształcie szopów, które w końcu są już na ostatnich nogach, chociaż same nóg nie mają, a nogi, na które są włożone, należą do niej. Jeden z kapci stracił ogon, mają też na dwoje tylko jedno oko. Tony przywykła do posiadania oczu na nogach, jak oczy starożytnych Egipcjan namalowane na dziobach łodzi. Zapewniają dodatkową opiekę – dodatkową opiekę duchową, można by powiedzieć – której, jak się Tony wydaje, coraz bardziej potrzebuje. Może, jak te kapcie się rozlecą kupi sobie jakieś inne, z oczami. Zwierzęta można wybierać: świnie, niedźwiedzie, króliki, wilki. Chyba weźmie wilki.

Makietę Europy przerobiła. Teraz jest druga dekada trzynastego wieku;

tereny, które później staną się Francją, są rozdzielane wojnami religijnymi. Tym razem już nie walczą chrześcijanie z muzułmanami, ale katolicy z katarami. Dualistyczni katarowie utrzymywali, że świat został podzielony między siły dobrego i złego, duchowe i materialne, Boga i Szatana; wierzyli w reinkarnację, religii uczyły kobiety. Katolicy natomiast odrzucali ponowne narodziny, uważali kobiety za nieczyste i siłą logiki twierdzili, że skoro Bóg jest wszechpotężny, zło jest iluzją. Ta różnica poglądów kosztowała wiele istnień ludzkich, chociaż w grę wchodziło więcej niż sama teologia, na przykład: kto ma kontrolować szlaki kupieckie i zbiory oliwek, a także kobiety, które zaczęły wymykać się spod męskiej dominacji.

Carcassonne, warownia Langwedocji i katarów, uległo żądnemu krwi Simonowi de Montfort i jego brutalnej armii katolickich krzyżowców po piętnastu dniach oblężenia i z braku dostaw wody. Zaprezentowano pełny zestaw sposobów zabijania. Tony nie interesuje się głównie Carcassonne, lecz Lavaur, które zostało zaatakowane później. Przez sześćdziesiąt dni stawiało opór pod wodzą kasztelanki, Dame Giraude. Kiedy miasto ostatecznie padło, osiemdziesięciu rycerzy zaszlachtowano jak prosiaki, a czterystu katarskich obrońców spalono żywcem; sama Dame Giraude została wrzucona do studni przez żołnierzy de Montforta, zrzucano na nią stos kamieni, by już nie mogła się wydostać. Szlachetność na wojnie sama się wsławia, myśli Tony, gdyż tak jest jej mało.

Tony wybrała drugi dzień maja 1211 roku, dzień przed masakrą. Atakujący katolicy to fasolki, broniący się katarowie – ziarenka białego ryżu. Simon de Montfort to czerwona figurka z „Monopoly”, Dame Giraude – niebieska. Czerwień dla krzyża, błękit dla katarów: to był ich kolor. Tony zjadła już kilka fasolek, czego, prawdę mówiąc, nie powinna była robić, chyba że po bitwie. Chrupanie pomaga jej w koncentracji.

Co myślała Dame Giraude, gdy spoglądała na mury obronne, oceniając siły wroga? Musiała wiedzieć, że tej bitwy nie da się wygrać, że jej miasto i wszyscy ludzie w nim są skazani. Czy rozpaczała, czy modliła się o cud, czy była dumna z siebie, z tego, że walczyła o własną wiarę? Widząc następnego dnia, jak smażą się jej współwyznawcy, musiała czuć, że więcej jest dowodów popierających jej teorie zła niż teorie de Montforta.

Tony tam była, widziała teren. Zerwała kwiat, wykę o twardej łodydze, sprasowała w Biblii i wkleiła do zeszytu, pod L jak Lavaur. Kupiła pamiątkę, małą, satynową poduszkę wypchaną lawendą. Według mieszkańców tych okolic Dame Giraude nadal tam jest, głęboko w studni. Tyle tylko potrafili wtedy zrobić z kobietami, z kobietami takimi jak ona: wrzucać je do studni albo

zrzucać ze stromych zboczy, z wież – czasami nieubłaganie pionowych – i patrzeć, jak się rozbijają.

Może Tony napisze coś o Dame Giraude, kiedyś. Studium kobiet-przywódców sił zbrojnych. „Żelazne dłonie, aksamitne rękawiczki”, taki mogłaby dać tytuł. Nie ma jednak zbyt wiele materiału.

Nie chce kontynuować tej bitwy teraz, nie ma nastroju do rzezi. Wstaje z krzesła i nalewa sobie szklankę wody, następnie, na makiecie trzynastowiecznej Europy, sporządza plan miasta, centrum Toronto. Tutaj jest „Toxique”, tutaj Queen Street, tutaj odnowiony biurowiec Roz; tam przystań promowa i płaska Wyspa, gdzie nadal stoi dom Charis. Tam dalej jest Arnold Garden Hotel, który teraz jest wielką, gliniastą dziurą w ziemi, miejscem na przyszłe inwestycje, ponieważ podupadające hotele sprzedają się tanio i ktoś zrobił dobry interes. Tutaj jest McClung Hall, a na północy dom Tony z Westem w środku, na górze w łóżku, pojękującym cicho przez sen; w domu jest piwnica, w niej makieta, z mapą, z miastem, w nim jest dom, z piwnicą, z mapą. Gdzieś w tej przestrzeni nadal istnieje Zenia.

Tony potrzebna jest ta mapa z tych samych powodów, dla których zawsze map używa: pomagają jej widzieć, wyobrazić sobie topografię, zapamiętywać. Zapamiętuje Zenię. Winna jest jej tę pamięć. Winna jest jej zakończenie.

Każde zakończenie jest arbitralne, ponieważ koniec jest tam, gdzie pisze się: Koniec. Kropka, znak przestankowy, stan zastoju. Dziurka w papierze jak po ukłuciu szpilką: można by przyłożyć oko i zajrzeć na drugą stronę, do początku czegoś innego. Jak Tony mówi studentom: „Czas nie jest ciałem stałym, jak drewno, ale płynnym, jak woda lub wiatr. Nie istnieje w równo przyciętych wielkościach, w dekadach i stuleciach. A jednak, dla naszych celów, musimy udawać, że tak jest. Koniec każdej historii jest kłamstwem, w którym wszyscy uczestniczymy”.

W takim razie – zakończenie. 11 listopada 1991 roku, jedenasta rano, jedenasta godzina jedenastego dnia jedenastego miesiąca. Poniedziałek. Kryzys jest coraz wyraźniejszy, krążą pogłoski o bankructwie wielkich firm, głód przetacza się przez Afrykę; tam gdzie kiedyś była Jugosławia, trwa etniczna wojna. Mnożą się okrucieństwa, autorytety upadają, fabryki samochodów stają. Wojna w Zatoce skończyła się, piaski pustyni poznaczone są bombami; pola naftowe płoną, chmury czarnego dymu kłębią się ponad zatłuszczonym morzem. Obie strony twierdzą, że odniosły zwycięstwo, obie strony przegrały. Dzień jest szary, spowity w mgłę.

Ich trójka stoi w tyle promu, który przepływa przez przystań i płynie w stronę Wyspy, ciągnąc za sobą znikającą ciemność kilwatu. Z lądu dochodzą do nich odgłosy syren i stłumionych strzałów. Salwa. Woda w perłowym świetle jest jak rtęć, wieje lekki wiatr, chłodny, lecz łagodny jak na tę porę roku, na ten miesiąc. Miesiąc przerwy, miesiąc nagich gałęzi i wstrzymywanego oddechu, miesiąc mgły; szarawa cisza przed zimą.

Miesiąc zmarłych, miesiąc powrotów, myśli Charis. Myśli o szarych wodorostach falujących pod trującą, otwartą wodą na dnie jeziora; o szarych rybach z guzowatymi, chemicznymi naroślami; o węgorzach o ostrych zębach, błędzących pośród wraków samochodów i pustych butelek. Myśli o wszystkim, co wpadło w wodę albo zostało do niej wrzucone. Skarby i kości. Na początku

listopada Francuzi ozdabiają groby bliskich chryzantemami, Meksykanie nagietkami, tworząc złotawą ścieżkę, by duchy odnalazły drogę. My wybieramy maki. Kwiaty snu i zapomnienia. Płatki rozlanej krwi.

Każda z nich ma przypięty do płaszcza mak. Miękki plastik, ale kto się oprze, myśli Roz, chociaż kiedyś bardziej lubiła ten materiał. Tak samo jak te okropne żonkile symbolizujące walkę z rakiem; niedługo każdy kwiat będzie miał przyporządkowaną jakąś chorobę albo część ciała. Plastikowa wilcza jagoda na wilka, plastikowe przetaczniki na przetoki, plastikowe aspidistry na AIDS, a jednak to cholerstwo trzeba kupić, gdyż chroni cię przed atakiem za każdym razem, gdy wyjdiesz na ulicę. O, proszę, ja już jednego mam.

To Tony uparła się co do tego dnia. Dzień Pamięci o Zmarłych. Dzień Krwawych Maków. Tony robi się coraz dziwniejsza, zdaniem Roz; ale prawdę mówiąc, wszystkie takie się robią.

Dzień Pamięci bardzo pasuje, myśli Tony. Chce oddać Zeni sprawiedliwość, ale wspomina nie tylko Zenię. Wspomina wojnę, poległych w tamtym okresie i później; czasami wojnom potrzeba dużo czasu, by zabijać ludzi. Wspomina wszystkie wojny. Potrzeba jej ceremonii, uroczystości; to nie znaczy, że ktoś cholernie chciałby z nią współpracować. Roz, co prawda, ubrała się na czarno, jak ją prosiła, ale udekorowała się czerwono-srebrnym szalem. „W czerni uwydatniają mi się worki pod oczami, powiedziała. Musiałam mieć coś innego przy twarzy. Pasuje mi do pomadki – to «Rubikon», jeszcze gorąca. Podoba ci się? Nie masz nic przeciwko temu, skarbie?”

Jeśli chodzi o Charis... Tony zerka spod oka na zbiornik, który trzyma Charis: to nie jest przybrana perkalem miedziana urna z uchwytemi w stylu greckim, proponowana po niskiej cenie przez krematorium, przypominająca bardziej kielich strzebienny, a nawet jeszcze gorzej. To ceramiczny wazon do kwiatów, ręcznie robiony, strasznie artystyczny, w matowych odcieniach fioletów i brązu, ofiarowany Charis przez Shanitę, wydobyty ze sklepowego magazynu, gdzie całymi latami zbierał kurz. Charis upierała się przy czymś bardziej znaczącym niż metalowa puszka, którą Tony trzymała u siebie w piwnicy. Tak więc, zanim kupiły bilety na prom, w barze kawowym przeniosły Zenię z pojemnika do wazonu. Przesypywała Roz; prochy były gęstsze, niż się Tony spodziewała. Charis nie patrzyła, mogły się tam znaleźć jakieś zęby. Teraz jednak odzyskała już równowagę. Stoi przy barierce z rozwianymi, jasnymi włosami i wygląda jak rzeźba na dziobie, tuląca niesamowity wazon z ziemskimi szczątkami Zeni. Jeżeli zmarli powracają, by się zemścić, myśli Tony, to sam

wazon stanowi wystarczający powód.

– Jesteśmy już w połowie? – pyta Tony. Chce, aby woda była najgłębsza.

– Wygląda, że tak, kochanie – odpowiada Roz. Chce już to mieć za sobą. Jak dotrą na Wyspę, pójdą na herbatę do domu Charis i – jak Roz ma nadzieję – zjedzą lunch w jakiejś formie: kromkę chleba domowego wypieku, razowy herbatnik, cokolwiek. Cokolwiek by to było, będzie smakować jak słoma – ten brązowy ryż, niemiłosiernie zdrowy, o bezbarwnym smaku, który stanowi podstawową nutę wszystkiego, co gotuje Charis – ale zawsze będzie coś do zjedzenia. W torebce ma trzy czekoladowe kulki – to dodatek antywitaminowy i racja głodowa. Planowała zabrać szampan, ale zapomniała.

To dopiero będzie stypa, one trzy, skupione przy okrągłym stole Charis, przezuwające pieczone dobra, rzucające kruszynki na podłogę, gdyż śmierć to głód, pustka i należy ją wypełnić. Roz zamierza mówić: to będzie jej udział. Tony wybrała dzień, Charis pojemnik, więc partia wokalna należy do Roz.

Dziwne, że odczuwa teraz smutek. Tylko pomyśleć! Zenia była jak wrzód, ale stanowiła także dużą część życia Roz, a ono biegnie już z górki. Nie za szybko, ale szybciej niż tego chce, zacznie zachodzić jak słońce, zacznie niknąć. Kiedy Zenia zniknie w jeziorze, zniknie wreszcie Mitch; Roz w końcu zostanie wdową. Nie. Będzie czymś więcej, czymś poza tym. Czym? Poczekamy, zobaczymy. Zdejmie obrączkę, ponieważ Charis mówi, że obrączka powstrzymuje lewą rękę, a tej ręki Roz potrzebuje, teraz.

Czuje jeszcze coś, czego nigdy nie spodziewała się czuć wobec Zeni. Coś bardzo dziwnego, jest to wdzięczność. Za co? Kto wie? Ale właśnie to czuje.

– Mam teraz to wysypać czy wyrzucić w całości? – pyta Charis. Coś jej podszeptuje, żeby zachować wazon dla siebie: posiada mocną energię.

– Co potem z tym zrobisz? – odpowiada pytaniem Tony, przyglądając się jej poważnie.

Po chwili – wyobraziwszy sobie wazon wypełniony kwiatami albo pusty na półce, lecz wydzielający w obu przypadkach purpurowe światło – Charis przyznaje:

– Macie rację. – Błędem byłoby zatrzymywać ten wazon, trzymałby Zenię na ziemi, już widziała tego skutki, nie chce powtarzać. Sama nieobecność ciała nie powstrzyma Zeni; zajęłaby ciało kogoś innego. Zmarli powracają w innej postaci, myśli, ponieważ my im na to pozwalamy.

– Hej, hop – mówi Roz – kto ostatni, ten śmierdzi! – Co, do cholery, ona sobie myśli? Zimna woda! Obóz letni! Nie wspominając złego smaku. Jak długo jeszcze zamierza się w życiu popisywać, uprawiać tanie żarty? Ile musimy mieć lat, żeby mądrość spadła nam na głowę jak plastikowa torba i żebyśmy nauczyli się trzymać język za zębami? Może nigdy. Może z wiekiem stajemy się bardziej lekkomyślni. „Ich oczy, ich stare, połyskujące oczy są wesołe”.

To jest śmierć, a śmierć to Śmierć, przez wielkie Ś, nieważne czyja, więc spoważnij, Roz. Właśnie że jest poważna, tylko wypowiada się w taki sposób. „Ugryź się w język, Boże, nie chciałam. Taka już jestem”.

Tony rzuca Roz nerwowe spojrzenie. Sama chciałaby teraz salwy z karabinu maszynowego. Rytualnej kanonady, flagi opuszczonej do połowy masztu, pojedynczego dźwięku rogu drżącego w srebrnym powietrzu. Inni martwi wojownicy to dostają, więc dlaczego nie Zenia? Myśli o podniosłych momentach, bitewny obraz: bohater wspierający się o miecz, włócznię lub muszkiet, spoglądający z góry w szlachetnym i filozoficznym żalu na zabitego właśnie wroga. Równego mu rangą, to się rozumie. „Jam jest wrogiem, którego zabiłeś, przyjacielu”.

Wszystko się zgadza tylko w sztuce. W prawdziwych bitwach jest to raczej pospieszna kradzież zegarka i obcięcie uszu na pamiątkę. Stare fotografie myśliwych, którzy jedną nogę opierają na cielsku niedźwiedzia i wygłupiają się ze smutną, odpiłowaną głową wszystkożernej bestii. Zredukowanie uświęconego wroga do dywanika, z tymi wszystkimi malowidłami i poematami, tworzącymi barwną kurtynę dla pyszałkowatych przechwałek.

– Dobrze – mówi do Charis i Charis wyrzuca przed siebie ręce z wazonem, naczynie przelatuje ponad barierką, słychać suchy trzask i wazon rozpada się na dwie części. Charis wydaje z siebie stłumiony krzyk i cofa ręce, jakby się oparzyła. Patrzy na nie: lekko migoczą na niebiesko. Kawałki wazonu wpadają z pluskiem do wody i Zenia rozciąga się długą, falującą wstęgą, jak dym.

– Kurczę blade! – mówi Roz. – Jak to się stało?

– Chyba uderzył o barierkę – odpowiada Tony.

– Nie – odzywa się Charis ściszonego głosem. – Rozpadł się sam. To ona.

– Istoty potrafią czegoś takiego dokonać, potrafią wpływać na fizyczne przedmioty; robią to, żeby zwrócić naszą uwagę.

Nic, co Tony lub Roz powiedzą, nie zmieni jej zdania, więc nic nie mówią. Charis jest dziwnie spokojna. Cieszy się, że Zenia przybywa na rozrzucenie własnych prochów, że daje o sobie znać. To znak, że istnieje. Zenia będzie teraz wolna, będzie mogła się odrodzić, mieć szansę na inne życie. Może będzie

miała większe szczęście następnym razem. Charis chce jej dobrze życzyć.

A jednak drży cała. Chwyta ręce podane jej z obu stron i ściska mocno; w ten sposób wpływają do przystani. Trzy kobiety w średnim wieku, w ciemnych płaszczach; kobiety w żałobie, myśli Tony. Te woalki były celowe – te staromodne woalki, gęste i czarne. Nikt nie widzi, co za nimi robisz. Mogłaś się śmiać do rozpuku. Ona jednak się nie śmieje.

Nie ma kwiatów pośród fal jeziora ani na polach asfaltu. Tony potrzebny jest kwiat. Zwykły chwast, ponieważ – kimkolwiek była Zenia za życia – była także na wojnie. Nieoficjalnej wojnie, partyzanckiej, na wojnie, o której mogła nie wiedzieć, że ją prowadzi, ale jednak na wojnie.

Kim był wróg? Jakąż złą przeszłość chciała pomścić? Gdzie było pole bitewne? Nie w żadnym konkretnym miejscu. Było w powietrzu dookoła, było w materii całego świata; albo było niewidzialne, pośród neuronów, małych rozżarzonych ogników w mózgu, które zapalają się i gasną. Zeni pasowałby elektryczny kwiat, jasny, śmiertelny kwiat – jak spięcie, oset stopionej stali, gotowy do wyrzucenia nasion w postaci eksplozji isker.

Najlepsze, na co trafia Tony, to gałązka krwawnika zerwana w ogródku Charis, już wysuszona i krucha. Zrywa ją ukradkiem, gdy Charis i Roz wchodzi do domu od strony ogrodu. Zabierze ją do siebie i sprasuje, a potem wklei do zeszytu. Umieści na samym końcu, za Tallinem, za Valley Forge, za Ypres, ponieważ jest sentymentalna, gdy chodzi o zmarłych, a Zenia nie żyje, i chociaż wiele innych rzeczy można o niej powiedzieć, była także odważna. Po której stronie była, nieważne; nie dla Tony, już nie. Może nawet nie było żadnych stron. Może była sama.

Tony spogląda ku górze, na Zenię, w pułapce na balkonie, ze słabnącą magią, balansującą na krawędzi, z pustą już torbą ze sztuczkami. Zenia patrzy w dół. Wie, że przegrała, ale nadal nie zdradza swoich tajemnic. Jest jak starożytna statuetka wykopana w pałacu Minosa: duże piersi, szczupła talia, ciemne oczy, rozwiane włosy. Tony podnosi ją i obraca, próbuje i sprawdza, ale kobieta o glinianej twarzy tylko się uśmiecha.

Z kuchni dochodzi śmiech, stuk naczyń. Charis podaje do stołu, Roz coś opowiada. Będą to robić coraz częściej w swym życiu: opowiadać. Dzisiaj wieczorem będą opowiadać o Zeni.

Czy była w jakimś stopniu taka jak my, myśli Tony. A raczej, ujmując to inaczej, czy my byliśmy takie jak ona?

Otwiera drzwi i przyłącza się do nich.

ZBÓJECKA NARZECZONA

Margaret Atwood

Zaczęłam właśnie czytać pani ostatnią powieść „Zbójcecka narzeczona”... Znowu jesteśmy w świecie kobiet i przyjaźni między kobietami. Jest w nich dużo okrucieństwa zarówno w stosunku do siebie, jak i do mężczyzn. Zenia, główna bohaterka powieści, to bardzo interesująca postać. Ładna, mądra, inteligentna i czurująca, ale także okrutna. Czy znała pani kogoś takiego?

Femme fatale istnieje w literaturze od zawsze! Nie mówiąc już o literaturze końca XIX wieku. Zenia istnieje w wielu powieściach, ale zniknęła z literatury już w latach czterdziestych, więc pomyślałam, że warto byłoby przywrócić ją do życia! Tym bardziej że kobiety są nadal przedstawiane jako ofiary, bez możliwości działania. Mogą tylko reagować.

(fragment wywiadu

Doroty Kosińskiej z Margaret Atwood,
„Rex libris”, nr 72, marzec 1995)

**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**

ISBN 83-7150-092-0

Cena 19 zł 90 gr



Przypisy

[← 1]

Stew (ang.) – imię męskie; gulasz. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

[← 2]

Wets – po angielsku znaczy „on moczy”.

[← 3]

Herstory Not History – historia, raz pisana przez *her* – zaimek dzierżawczy „jej”, a drugi raz poprawnie przez *his*, czyli „jego”. Podobnie z *herstectomy* – wycięcie macicy.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Podziękowania

Początek

1

„Toxique”

2 Tony

3

4

5

6

7 Charis

8

9

10

11

12 Roz

13

14

15

16

Czarna emalia

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Noce łąsicy

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

Zbójcecka narzeczona

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

„Toxique”

50

51

52

53

54

55

Zakończenie

56

57

Przypisy